

Zaraza

Cook Robin



calibre 0.9.43

ZARAZA

Tłumaczył Przemysław Bandel

Nasi szefowie powinni odrzucić wartości rynkowe jako podstawowe dla służby zdrowia i brudne mechanizmy napędzające rynek, w które system ochrony zdrowia został wplątany.

Dr Jerome P. Kassirer

„New England Journal of Medicine”

Vol. 333, nr 1, str. 50, 1995

Dla Phyllis,

Stacy’ego, Marilyn,

Dana, Vicky

i Bena

Chciałbym podziękować wszystkim moim przyjaciołom i kolegom, którzy zawsze łaskawie gotowi są udzielać wyczerpujących odpowiedzi i służyć radami. W związku z wydaniem *Zarazy* chciałbym przede wszystkim wyrazić wdzięczność:

Dr Charlesowi Wetli, lekarzowi z zakładu medycyny sądowej, specjalście patologowi;

Dr Jackiemu Lee, lekarzowi z zakładu medycyny sądowej, specjalście patologowi;

Dr Markowi Neumanowi, dyrektorowi laboratorium wirusologicznego, specjalście wirusologowi;

Dr Chuckowi Karpasowi, naczelnemu dyrektorowi laboratorium, specjalście patologowi;

Joe Coxowi, prawnikowi i czytelnikowi;

Flashowi Wileyowi, prawnikowi, koszykarzowi, konsultantowi w sprawach kultury

rap;

Jean Reeds, pracownicy socjalnej, krytykowi, która była znakomitym źródłem

bezcennych opinii.

Prolog

12 czerwca 1991 roku, gdy promienie słoneczne dotknęły wschodnich wybrzeży kontynentu północnoamerykańskiego, zaczynał się kolejny, wspaniały, późnowiosenny dzień. Nad większą częścią Stanów Zjednoczonych, Kanady i Meksyku spodziewano się czystego, słonecznego nieba. Meteorolodzy ostrzegali jedynie przed możliwą burzą, która miała się rozpętać nad Doliną Tennessee, i przed ewentualnymi ulewami w obszarze od Cieśniny Beringa aż po Przylądek Sewarda na Alasce.

Niemal pod wszystkimi względami ten dwunasty dzień czerwca był identyczny z każdym innym dwunastym dniem czerwca. Z jednym wszak zastrzeżeniem. Zaszły trzy, całkowicie ze sobą nie powiązane zdarzenia, które miały doprowadzić do tragicznego przecięcia się losów trzech wplątanych w nie osób.

Godzina 11.36, Deadhorse, Alaska

- Hej! Dick! Tutaj! - zawołał Ron Halverton. Machał szaleńczo, aby zwrócić na siebie uwagę swego byłego współlokatora. Nie odważył się wysiąść z jeepa w całym tym bałaganie wywołanym odprawą na małym lotnisku. Poranny 737 z Anchorage dopiero co wylądował. Służby ochronne bardzo zwracały uwagę na pojazdy pozostawione bez opieki w rejonie lądowiska. Na turystów i personel techniczny zajmujący się tankowaniem czekały autobusy i minibusy.

Usłyszawszy swoje imię i rozpoznawszy Rona, Dick machnął ręką i zaczął się przepychać przez piekielny tłum.

Ron obserwował zbliżającego się Dicka. Nie widział go od roku, odkąd ukończyli college, ale Dick wydawał się taki jak zawsze: obraz normalności w koszuli od Ralphi Laurena, wiatrówce i dzinsach, z małym plecakiem przerzuconym przez ramię. Jednak Ron znał prawdziwego Dicka: ambitnego mikrobiologa, który w samolocie lecącym z Atlanty na

Alaskę nie myślał o niczym, pochłonięty nadzieją odkrycia nowej bakterii. Oto facet zakochany w bakteriach i wirusach. Kolekcjonował je, tak jak inni kolekcjonują karty z baseballistami. Ron uśmiechnął się i pokręcił głową na wspomnienie pełnych bakterii naczyń laboratoryjnych, które Dick przechowywał w ich lodówce na uniwersytecie w Colorado. Kiedy Ron poznał Dicka na pierwszym roku, stracił sporo czasu, zanim się do niego przyzwyczaił. Chociaż bez cienia wątpliwości był oddanym przyjacielem, zdarzały mu się szczególne i niemożliwe do przewidzenia zachowania. Z jednej strony był zapalonym graczem drużyn uniwersyteckich i kimś, kogo chciałoby się mieć u boku, zbłądziwszy w niewłaściwej dzielnicy miasta, ale z drugiej strony na pierwszym roku nie mógł się zdobyć na wykonanie w laboratorium sekcji żaby.

Na wspomnienie innej, niespodziewanej i zawstydzającej sytuacji, w której znalazł się Dick, Ron ledwo zdusił w sobie śmiech. Wydarzyło się to na drugim roku, gdy cała grupa jadąc na weekend na narty, wcisnęła się do jednego samochodu.

Auto prowadził Dick i przypadkowo przejechał królika. Wybuchnął płaczem. Nikt nie wiedział, jak zareagować. W efekcie zaczęto gadać za jego plecami, szczególnie wtedy, kiedy stało się powszechnie wiadome, że w akademiku wyłapuje karaluchy i wyrzuca je na zewnątrz, zamiast rozdeptywać i spuszczać z wodą w toalecie, jak czynili to wszyscy pozostali mieszkańcy.

Dick wrzucił swój niewielki bagaż na tylne siedzenie, zanim uścisnął wyciągniętą dłoń Rona.

Uściskali się z radością.

- Nie do wiary - Ron odezwał się pierwszy. - Ty tutaj! W krainie lodów.

- Takiej okazji nie przepuściłbym za nic na świecie - odparł Dick. - Naprawdę mnie wzięło. Jak daleko stąd do osiedla Eskimosów?

Ron obejrzał się nerwowo przez ramię. Zauważył paru ludzi z ochrony. Odwracając się ponownie w stronę Dicka, zniżył głos.

- Opanuj się - mruknął. - Mówiłem przecież, że ludzie są na tym punkcie wrażliwi.

- Och, daj spokój. Chyba nie mówisz poważnie? - odpowiedział Dick drwiącym tonem.

- Śmiertelnie poważnie - stwierdził Ron. - Mogą mnie wylać za to, że nie potrafiłem być dyskretny. Żadnej zabawy. Albo zrobimy to raz dwa, albo nie zrobimy w ogóle. A ty nie masz prawa nikomu o tym pisać! Nigdy! Tak obiecałeś!

- Dobrze, już dobrze - łagodził Dick, uśmiechając się, by uspokoić przyjaciela. - Masz rację. Obiecałem. Po prostu nie sądziłem, że to taka poważna historia.

- To niezwykle poważna historia - twardo podkreślił Ron. Doszedł do wniosku, że chyba popełnił błąd, zapraszając Dicka, mimo iż spotkanie z nim zawsze obiecywało niezłą zabawę.

- Ty tu jesteś szefem - uznał Dick, uderzając Rona przyjacielsko w ramię. - Usta zamykam na kłódkę, a klucz wyrzucam za siebie. Rozchmurz się i wyluzuj. - Wśliznął się do jeepa. - No, ale teraz wyrywajmy stąd i sprawdźmy to niezwykle odkrycie.

- Nie chcesz przedtem zobaczyć, jak mieszkam? - zapytał Ron.

- Mam takie przeczucie, że napatrzę się jeszcze więcej, niżbym chciał - odparł Dick za śmiechem.

- Myślę, że to dobra pora, kiedy wszyscy dookoła zajęci są lotem z Anchorage i turystami. - Ron przekręcił kluczyk w stacyjce i zapalił silnik.

Wyjechali z lotniska i skierowali się na jedyną drogę prowadzącą na północny wschód. Droga była żwirowa. Żeby rozmawiać, musieli przekrzykiwać warkot silnika.

- Do Prudhoe Bay mamy około osiem mil - odezwał się Ron - ale za mniej więcej milę

skręcimy na zachód. Zapamiętaj, jeżeli ktokolwiek nas zatrzyma, to jedziemy zobaczyć nowe pole naftowe. Dick skinął. Nie mógł uwierzyć, że to z powodu tej sprawy Ron zrobił się taki nerwowy. Spoglądając na otaczającą ich płaską, bagnistą, monotonną tundrę przykrytą zachmurzonym, metalicznoszarym niebem, zastanowił się, czy to miejsce pasuje do Rona. Domyślał się, iż na aluwialnej równinie północnej Alaski życie nie mogło być łatwe. Dla poprawienia nastroju rozpoczął rozmowę.

- Niezła pogoda. Ile jest stopni?

- Masz szczęście - odparł Ron. - Przedtem świeciło słońce, więc jest niecałe dziesięć.

Tutaj nie może być już cieplej. Ciesz się, dopóki możesz. Po południu będzie chyba śnieżyca.

Zwykle tak jest. Ciągłe sobie żartujemy i zastanawiamy się, czy to ostatni śnieg minionej zimy czy już pierwszy następnej.

Dick uśmiechnął się i skinął, ale w duchu nie mógł się powstrzymać od stwierdzenia, że jeżeli tubylcy uważają to za zabawne, to najwidoczniej ocierają się o szaleństwo.

Kilka minut później Ron skręcił w węższą i nowszą drogę prowadzącą na północny zachód.

- Jak trafiłeś na to opuszczone igloo? - zapytał Dick.

- To nie było igloo. To była chata zbudowana z torfowych cegieł wzmocnionych fiszbinami. Igloo buduje się jak szałas, tylko na pewien czas, na przykład na okres polowań w krainie lodu. Eskimosi Inupiat mieszkają w torfowych chatach.

- Przyznaję się do pomyłki - Dick skwitował wykład. - Więc jak się natknąłeś na tę chatę?

- Kompletny przypadek. Znaleźliśmy ją, kiedy buldożer przygotowywał tę drogę. Przekopaliśmy tunel.

- Czy to wszystko ciągle tam jeszcze jest? - zapytał zaniepokojony Dick. - Bałem się

lotu tutaj. To znaczy, nie chciałbym, aby cała wyprawa okazała się jedynie stratą czasu.

- Bez obaw. Nic nie zostało ruszone. Co do tego możesz być pewien - uspokoił przyjaciela Ron.

- Może na tym obszarze jest więcej domostw - zastanowił się Dick. - Kto wie? To przecież może być wioska.

Ron wzruszył ramionami.

- Może i tak. Ale nikt nie chce się o tym przekonywać. Jeśli ktoś z odpowiedniego urzędu zwietrzy tę sprawę, zatrzymają budowę rurociągu do nowego pola. A to oznaczałoby klęskę, ponieważ musimy skończyć rurociąg przed zimą, a u nas zima zaczyna się w sierpniu.

Ron zwolnił i przyglądał się teraz uważnie poboczu drogi. Nagle zahamował tuż przy małym kopcu. Przytrzymał Dicka za ramię, dając mu do zrozumienia, żeby nie ruszał się ze swojego miejsca, i obejrzał się za siebie, czy nikt nie nadjeżdża. Upewniwszy się, że są sami, wygramolił się z jeepa i gestem nakazał Dickowi zrobić to samo.

Sięgnął do tyłu samochodu i wyciągnął dwie stare, pobrudzone błotem peleryny i rękawice robocze. Wręczył Dickowi jeden komplet.

- Będiesz tego potrzebował - wyjaśnił. - Znajdziemy się poniżej wiecznej zmarzliny.

- Znowu sięgnął do jeepa i wyjął dużą, wielce użyteczną w podobnych wyprawach latarkę. -

W porządku - odezwał się wyraźnie podenerwowany. - Nie powinniśmy tutaj zbyt długo zostawać. Nie chcę, żeby ktoś przejeżdżający drogą zaczął się zastanawiać, co też tu się, do diabła, wyprawia.

Ron ruszył na północ od drogi, a Dick podążył za nim jak za przewodnikiem. W nie wyjaśniony sposób zmaterializował się nagle obłok komarów i bezlitośnie zaatakował intruzów. Wpatrując się przed siebie, Dick dostrzegł zamglony brzeg w odległości około pół mili. Domyślił się, że to musi być wybrzeże Morza Arktycznego. Gdziekolwiek spojrzeć, nie

było ucieczki od monotonii płaskiej, chłostanej wiatrem, niczym nie wyróżniającej się tundry sięgającej aż po horyzont. Nad głową, krzycząc ochryple, krążyły morskie ptaki.

Kilkanaście kroków od drogi Ron zatrzymał się. Jeszcze raz rzucił spojrzenie w stronę samochodu, skłonił się i złapał za krawędź sklejki pomalowanej w barwy otaczającej ich tundry. Odciągnął płytę na bok i odsłonił głęboką na ponad półtora metra jamę. W północnej ścianie dołu znajdowało się wejście do wąskiego tunelu.

- Wygląda, jakby chata została pogrzebana przez lód -zauważył Dick.

Ron skinął głową.

- Podejrzewamy, że w czasie jakiegoś szczególnie potężnego sztormu fala przyniosła tu kawał pływającego pola lodowego.

- Grobowiec zbudowany przez naturę - powiedział Dick.

- Jesteś pewny, że chcesz to zrobić? - zapytał Ron.

- Nie bądź głupi - odparł krótko Dick i włożył pelerynę z kapturem oraz rękawice. -

Przeleciałem tysiące mil. Idziemy.

Ron wlaźł do dziury i stanął na czworakach. Zniżając się jak mógł najbardziej, wczołgał się do tunelu. Dick posuwał się tuż za nim. Poza niesamowitą, pełną grozy sylwetką Rona niewiele mógł dostrzec. Ciemność obejmowała go coraz bardziej niczym ciężki, lodowaty koc. W słabnącym świetle dostrzegł jeszcze, jak jego oddech zamienia się w kryształki lodu. Dziękował Bogu, że nie cierpi na klaustrofobię.

Dwa metry dalej ściany tunelu rozchodziły się. Podłoga także schodziła w dół, dając im dodatkowe trzydzieści centymetrów przestrzeni nad głowami. Otwór miał teraz mniej więcej metr wysokości i metr szerokości. Ron przesunął się pod ścianę, więc Dick mógł podczołgać się tuż obok.

- Cycki starej wiedźmy mają w sobie więcej ciepła niż ta dziura - stwierdził Dick.

Snop światła z latarki Rona ożywiał kąty pomieszczenia, oświetlając krótkie, pionowe wzmocnienia wykonane z żeber białuchy.

- Złamały się pod ciężarem lodu jak zapałki - powiedział Ron. - Gdzie są mieszkańcy?
- zapytał Dick.

Ron skierował światło w stronę dużego, trójkątnego kawałka lodu, który najpewniej wpadł do chaty przez dach.

- Po drugiej stronie tego - odpowiedział i wręczył przyjacielowi latarkę.

Dick wziął ją i poczołgał się we wskazanym kierunku. Choć tak bardzo nie chciał dopuścić do siebie złych myśli, czuł się coraz gorzej.

- Jesteś pewien, że to bezpieczne miejsce? - zapytał w końcu.

- Niczego nie jestem pewien. Może tylko, że tak to wyglądało przez ostatnie siedemdziesiąt pięć lat albo coś koło tego.

Trudno było precyzyjnie się obok bryły brudnego lodu. Gdy Dick znalazł się w połowie drogi, oświetlił przestrzeń za lodowym głazem.

Zaparło mu dech w piersiach. Stęknął tylko cicho z niedowierzaniem. Zdawało mu się, że jest na wszystko przygotowany, jednak wrażenie wywołane przez drżące światło było bardziej upiorne, niż się spodziewał. Spoglądało na niego blade oblicze zamrożonego, brodatego, odzianego w futro mężczyzny. Siedział prosto. Oczy miał otwarte. Swym zimnym błękitem wyzywająco wpatrywały się w Dicka. Dookoła ust i nosa osadził się różowy szron.

- Widzisz wszystkich troje? - z ciemności dobiegło pytanie Rona.

Omiótł światłem całą przestrzeń. Drugie ciało leżało na wznak. Jego dolna połowa szczelnie zamknięta była w lodowym futerale. Trzecie ciało, podobnie jak pierwsze, było oparte o ścianę w pozycji półsiedzącej. Obaj byli Eskimosami z charakterystycznymi rysami twarzy, ciemnymi włosami i oczami. Obaj także mieli różowy szron dookoła ust i nosa.

Dickiem niespodziewanie wstrząsnęło obrzydzenie. Nie spodziewał się po sobie podobnej reakcji, na szczęście szybko minęła.

- Widzisz gazetę? - znowu zapytał Ron.

- Jeszcze nie - odpowiedział Dick i skierował światło na podłogę. Zobaczył zmrożone rumowisko. Wszystko przemieszane razem i skute lodem: ptasie pióra, zwierzęce kości.

- Leży w pobliżu brodacza - podpowiedział Ron.

Zaświecił w okolicy stóp człowieka rasy kaukaskiej. Natychmiast zauważył gazetę z Anchorage. Nagłówek wspominał o wojnie w Europie. Nawet z miejsca, w którym się znajdował, potrafił odczytać datę: 17 kwietnia 1918 roku.

Wygramolił się zza głazu do przedniej części komory. Pierwsze przerażenie minęło.

Teraz czuł wyłącznie podniecenie.

- Chyba miałeś rację - powiedział do Rona. - Wygląda, jakby cała trójka zmarła na zapalenie płuc i data dokładnie pasuje.

- Wiedziałem, że to cię zainteresuje.

- To bardziej niż interesujące - odparł Dick. - To może okazać się życiową szansą.

Potrzebuję piłę.

Z twarzy Rona odpłynęła cała krew.

- Piłę? - powtórzył z przerażeniem. - Żartujesz sobie. Musisz żartować.

- Sądziś, że przepuszczę taką okazję? Niedoczekanie twoje. Potrzebuję nieco tkanki płucnej.

- Jezu Chryste! - stłumionym głosem zawołał Ron. - Lepiej, jeśli jeszcze raz obiecasz, że nigdy nikomu nie powiesz!

- Już raz obiecałem - odpowiedział Dick, wyraźnie poirytowany zachowaniem Rona. -

Jeżeli znajdę to, czego się spodziewam, zachowam do mojej kolekcji. Nie martw się. Nikt się

nie dowie.

Ron pokręcił głową.

- Czasami zdaje mi się, że jesteś nie z tej ziemi.

- Szkoda czasu, idziemy po piłkę - odpowiedział Dick. Oddał Ronowi latarkę i ruszył do wyjścia.

Godzina 18.40, Chicago, lotnisko O'Hara

Marilyn Stapleton pomyślała o ostatnich dwunastu latach życia męża i poczuła łzy w oczach. Wiedziała, że gwałtowne zmiany, które spotkały ich rodzinę, najmocniej uderzyły w Johna, jednak przecież musiała jeszcze myśleć o dzieciach. Spojrzała na dwie dziewczynki siedzące w poczekalni i nerwowo przyglądające się mamie. Czują, że ich życie znajduje się na krawędzi. John chciał, aby przeprowadziły się do Chicago, gdzie rozpoczął specjalizację z patologii.

Marilyn przeniosła wzrok na twarz męża. Zmienił się przez te ostatnie kilkanaście lat.

Ufny, powściągliwy mężczyzna, którego poślubiła, zamienił się w zgorzkniałego i niepewnego człowieka. Zrzucił dwadzieścia pięć funtów, niegdyś rumiane, pełne policzki zapadły się, sprawiając, że wyglądał na wychudzonego, zmizerowanego, dopasowanego do nowej osobowości.

Marilyn pokręciła głową. Z trudem przywoływała wspomnienia sprzed dwóch lat, kiedy tworzyli wizerunek idealnej, odnoszącej sukcesy rodziny z przedmieścia, on - rozkwitająca praktyka okulistyczna, ona - pewna pozycja na wydziale literatury angielskiej Uniwersytetu Illinois.

Ale wtedy właśnie na horyzoncie pojawił się wielki koncern medyczny AmeriCare i przewalając się przez Champaign w Illinois, jak wcześniej przez niezliczone inne miasta, pożerał przychodnie i szpitale z oszałamiającą prędkością. John próbował się utrzymać, lecz

koniec końców utracił pacjentów. Miał dwa wyjścia: poddać się albo czmychnąć stąd. No i czmychnął. Najpierw rozglądał się za inną posadą dla okulisty, jednak szybko okazało się, że na rynku jest więcej okulistów niż miejsc pracy i że nie pozostaje mu nic innego, tylko podjąć pracę dla AmeriCare, ewentualnie jakiejś podobnej organizacji. Wtedy postanowił uciec jeszcze dalej, w nową specjalizację.

- Myślę, że spodoba ci się życie w Chicago - powiedział z nadzieją w głosie. - Tak bardzo tęsknię za wami wszystkimi. Westchnęła.

- My też tęsknimy za tobą. Ale nie w tym rzecz. Jeśli zrezygnuję z pracy na uniwersytecie, dziewczynki będą musiały pójść do zatłoczonej publicznej szkoły w centrum miasta. Twoje wynagrodzenie na stażu nie pozwoli na więcej.

Z charakterystycznym trzaskiem włączyły się megafony, z których po raz ostatni wezwano pasażerów do Champaign do zajęcia miejsc w samolocie.

- Musimy już iść - powiedziała Marilyn. - Spóźnimy się na lot.

John skinął ze zrozumieniem i otarł łzę.

- Wiem. Obiecuj, że to przemyślisz.

- Oczywiście. Pomyślę - niemalże warknęła. Opamiętała się. Westchnęła raz jeszcze.

Nie chciała, aby wiedział, że jest zagniewana. - Tylko o tym ostatnio myślę - dodała łagodnie.

Uniosła ręce i zarzuciła je mężowi na szyję. Objął ją i gwałtownie i mocno przytulił.

- Uważaj - jęknęła - połamiesz mi żebra.

- Kocham cię - odpowiedział stłumionym głosem. Wtulił twarz w zagłębienie jej ramienia.

Szczerze odwzajemniwszy uścisk, Marilyn zawołała dziewczynki i razem skierowały się do wyjścia. Kontrolerowi przy drzwiach pokazała przepustki na pokład, przepchnęła przed sobą córki i poszła rękawem do samolotu. Idąc, machała jeszcze do Johna przyglądającego się

przez szybę z poczekalni. Gdy wchodzili na pokład, machnęła raz jeszcze. To miał być ostatni gest pożegnania.

- Czy będziemy musieli się przeprowadzić? - jęknęła pytająco Lydia. Miała dziesięć lat i chodziła do piątej klasy.

- Ja się nie przeprowadzam - odezwała się Tamara. Miała jedenaście lat i silną wolę. - Przeprowadzę się do Connie. Powiedziała, że mogę z nią zamieszkać.

- I jestem pewna, że przedyskutowałaś to z jej mamą - wtrąciła się sarkastycznie Marilyn.

Walczyła ze sobą z całych sił, aby dziewczynki nie widziały łez w jej oczach.

Pozwoliła, aby pierwsze wsiadły do małego samolotu śmigłowego. Skierowała je na wyznaczone fotele i stoczyła kłótnię na temat, kto ma siedzieć oddzielnie. Fotele ustawione były bowiem po dwa.

Córkom, które usilnie domagały się wyjaśnień, wytłumaczyła, jaka, ogólnie rzecz biorąc, czeka ich przyszłość. Prawdę powiedziawszy, nie wiedziała, co będzie najlepsze dla rodziny. Samolot zapuszczał silniki z takim warkotem, że dalsza rozmowa stawała się niemożliwa. Gdy maszyna opuściła terminal i kołowała na pas startowy, Marilyn przycisnęła nos do okna. Zastanawiała się, skąd weźmie dość siły na podjęcie decyzji.

Na południowym zachodzie błysnął piorun i wyrwał Marilyn z zadumy. Przypomniat jej, jak bardzo nie lubiła lotów takimi samolotami. Nie miała tego samego poczucia bezpieczeństwa w małych samolotach co w dużych, obsługujących stałe linie między dużymi miastami. W nie uświadomionym odruchu zacisnęła mocniej pas i sprawdziła zabezpieczenie dziewczynek.

Gdy samolot odrywał się od ziemi, z taką siłą zacisnęła dłonie na oparciach fotela, jakby była przekonana, że w ten sposób pomoże jej bezpiecznie wzlecieć w powietrze.

Dopiero kiedy ziemia wyraźnie oddaliła się od nich, Marilyn zdała sobie sprawę, że wstrzymała oddech.

- Jak długo tata zamierza mieszkać w Chicago?! - zawołała Lydia z fotela po drugiej stronie przejścia.

- Pięć lat - odpowiedziała mama. - Aż skończy swój staż.

- Mówiłam ci! - wrzasnęła Lydia do Tamary. - Do tego czasu będziemy stare.

Nagły wstrząs wywołał kolejny śmiertelny uścisk dłoni Marilyn na oparciach fotela.

Rozglądnęła się po kabinie. Fakt, że nikt nie panikował, był pewnym pocieszeniem. Zerknęła przez okno. Samolot całkowicie pochłonęły chmury. Kolejna błyskawica przerażająco rozświetliła powietrze.

Lecieli na południe. Turbulencje wzrastały z częstotliwością odpowiednią do coraz częstszych błyskawic. Zwięzła zapowiedź pilota, iż spróbuje znaleźć spokojniejszy tunel powietrza na innej wysokości, nieco osłabiły rosnący w Marilyn strach. Pragnęła mieć już za sobą ten lot.

Pierwszym sygnałem prawdziwego nieszczęścia było dziwne światło, które wypełniło samolot, a zaraz potem potężny wstrząs i wibracja. Kilku z pasażerów wydało na wpół stłumione okrzyki, co do reszty zmroziło Marilyn. Instynktownie sięgnęła w stronę Tamary i przytuliła ją mocno do siebie.

Wibracja stawała się coraz silniejsza, gdy samolot z olbrzymim wysiłkiem skręcał w prawo. W tym samym momencie ryk silnika przeszedł w ogłuszający skowyt. Czując, że została wtłoczona w fotel i całkowicie straciła orientację w przestrzeni, Marilyn wyjrzała przez okno. W pierwszej chwili nie widziała nic prócz chmur. Wtedy spojrzała do przodu i serce podeszło jej do gardła. Ziemia biegła ku nim jak na złamanie karku! Lecieli prosto ku niej...

Godzina 22.40, Nowy Jork, Manhattan General Hospital

Teresa Hagen próbowała przełykać, lecz sprawiało jej to trudności, usta miała suche jak pieprz. Kilka minut wcześniej otworzyła oczy i przez chwilę była całkiem zdezorientowana. Kiedy zrozumiała, że leży na sali pooperacyjnej, wszystko wróciło w jednym błysku.

Problem pojawił się bez ostrzeżenia poprzedniego wieczoru, kiedy wraz z Matthew wybrali się na obiad. Nie czuła żadnego bólu. Pierwsze zaniepokoiło ją uczucie wilgoci na wewnętrznej stronie uda. W toalecie z przerażeniem stwierdziła, że krwawi. I nie było to kilka krwawych plamek. To był regularny krwotok. Od pięciu miesięcy była w ciąży i przeczuwała, że to może zakończyć się nieszczęściem.

Od tej chwili wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Skontaktowała się ze swoją lekarką, doktor Carol Glanz, która zaproponowała spotkanie w Manhattan General Hospital, w izbie przyjęć. Lekarz stwierdził, iż wszystko wskazuje na ciążę ektopową. Płód zamiast usadowić się w macicy, zatrzymał się poza nią, w jednym z jajowodów.

Chwilę po przebudzeniu przy łóżku znalazła się jedna z sióstr. Zapewniała, że wszystko jest w porządku.

- Co z dzieckiem? - zapytała Teresa. Wyczuła grube opatrunki na niepokojąco płaskim brzuchu.

- Na ten temat lekarz wie znacznie więcej niż ja - odparła pielęgniarka. - Powiadomię panią doktor, że pani się obudziła. Wiem, że chce z panią porozmawiać.

Zanim pielęgniarka odeszła, Teresa poskarżyła się na suchość w gardle. Dostała kilka kostek lodu i po chwili zimny płyn przyniósł ulgę.

Teresa zamknęła oczy. Najwidoczniej musiała się zdrzemnąć, ocknęła się, słysząc, jak ktoś wymawia jej imię. Doktor Carol Glanz przyszła z nią porozmawiać.

- Jak się czujesz? - zapytała lekarka.

Zapewniła ją, że dzięki kawałeczkom lodu czuje się dobrze, i zapytała o dziecko.

Doktor Glanz wzięła głęboki wydech, wyciągnęła rękę i położyła dłoń na ramieniu Teresy.

- Obawiam się, że mam dwie smutne wiadomości - powiedziała.

Teresa czuła, jak się napręża.

- To była ciąża ektopowa - stwierdziła, używając medycznego określenia, które, jak sądziła, miało ułatwić trudne zadanie. - Musieliśmy przerwać ciążę, no i oczywiście dziecka nie uratowaliśmy.

Teresa skinęła, starając się nie okazywać żadnych emocji. Spodziewała się tego i próbowała zawczasu się przygotować. Jednak nie była przygotowana na następną wiadomość, którą przekazała jej doktor Glanz.

- Niestety operacja nie była łatwa. Pojawiły się pewne komplikacje, które były przyczyną tak poważnego krwawienia. Musieliśmy poświęcić macicę. Musieliśmy ją usunąć.

W pierwszej chwili umysł Teresy nie potrafił zrozumieć tych słów. Kiwnęła głową i patrzyła w oczekiwaniu na dalsze, szczegółowe informacje.

- Wiem, że to musi być dla ciebie niezwykle bolesne - mówiła dalej doktor Glanz. -

Chciałabym jednak, abyś zrozumiała, że zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy, aby uniknąć tego nieszczęśliwego rozwiązania.

Nagle uświadomienie sobie znaczenia słów, które do niej skierowano, wstrząsnęło

Teresą. Jej spokojny głos wyrwał się z narzuconych okowów opanowania i krzyknęła w rozpacz:

- Nie!

Doktor Glanz ze współczuciem ścisnęła ją za ramię.

- To było twoje pierwsze dziecko i wiem, co to dla ciebie oznacza. Strasznie mi przykro.

Teresa jęczała. Wiadomość była tak straszna, że przez moment nie mogła nawet zapłakać prawdziwymi łzami. Była sparaliżowana. Całe życie zakładała, że będzie miała dzieci. To stało się częścią jej osobowości. Świadomość, że jest to teraz niemożliwe, była zbyt trudna do przyjęcia.

- Co z moim mężem? - zapytała po chwili. - Czy powiedzieliście mu?

- Tak - odparła doktor Glanz. - Rozmawiałam z nim zaraz po operacji. Jest na dole w twoim pokoju, do którego zaraz cię przewieziemy.

Rozmawiały jeszcze o czymś, ale Teresa niewiele z tego zapamiętała. Połączenie dwóch informacji: o straconym dziecku i o tym, że nigdy nie będzie miała następnego, zdruzgotało ją.

Kwadrans później zjawił się pielęgniarz, by zawieźć ją do pokoju. Droga minęła szybko. Nic z niej nie zapamiętała. Umysł miała wzburzony; potrzebowała wsparcia i pomocy.

Gdy dotarła do pokoju, Matthew rozmawiał przez telefon komórkowy. Jak przystało na maklera, miał w nim nieodłącznego przyjaciela.

Pielęgniarka z wprawą pomogła Teresie przesunąć się z łóżka pooperacyjnego do łóżka w pokoju, a na wieszaku umieszczonym za głową powiesiła kroplówkę. Po sprawdzeniu, czy wszystko właściwie działa, poprosiła Teresę, aby wzywała ją zawsze, gdy poczuje taką potrzebę, i w końcu wyszła.

Teresa popatrzyła na Matthew, który odwrócił wzrok po skończonej rozmowie.

Obawiała się o jego reakcję na wieść o katastrofie. Byli małżeństwem dopiero od trzech miesięcy.

Zdecydowanym ruchem wyłączył aparat, złożył i wsunął do kieszeni marynarki.

Odwrócił się w stronę Teresy i przez chwilę wpatrywał się w nią. Krawat miał poluzniony, a koszulę pod szyją rozpiętą.

Próbowała wyczytać coś z oblicza męża, lecz nie zdołała. Przygryzał policzki od wewnątrz.

- Jak się czujesz? - zapytał wreszcie bez większych emocji.

- Tak jak można się czuć w tej sytuacji - odparła. Z całej mocy pragnęła, by podszedł do niej i chwycił ją za rękę, lecz on trwał niewzruszony w swoim miejscu.

- Cóż za osobliwy stan rzeczy - powiedział.

- Nie bardzo rozumiem, o czym mówisz.

- O tym, że główny powód, dla którego się pobraliśmy, właśnie przestał istnieć. Twoje plany nieco się pokrzyżowały.

Teresa powoli otworzyła usta. Zaszokowana, musiała jednak wydobyć z siebie głos.

- Nie podoba mi się twój punkt widzenia - zaprotestowała. - Nie zaszłam w ciążę dla załatwienia jakiejś sprawy.

- No cóż, ty masz swój punkt widzenia, ja swój. Musimy się zastanowić, co my teraz z tym zrobimy.

Teresa zamknęła oczy. Nie potrafiła dać odpowiedzi. Zupełnie jakby Matthew wbił jej w serce nóż. Wiedziała już, że go nie kocha. Więcej, nienawidziła go...

Rozdział I

Środa, godzina 7.15, 20 marca 1996 roku

Nowy Jork

- Przepraszam - Jack Stapleton z udaną grzecznością zagadnął taksówkarza,

ciemnoskórego Pakistańczyka. - Czy nie zechciałby pan wysiąść z samochodu, abyśmy mogli

dokończyć naszą dyskusję?

Jack miał na myśli to, jak taksówkarz zajechał mu drogę na skrzyżowaniu

Czterdziestej Szóstej i Drugiej Avenue. W odwecie, gdy zatrzymali się na czerwonym świetle przy Czterdziestej Czwartej, Jack kopnął w drzwi taksówki od strony kierowcy. Jak co dzień jechał do pracy na swoim górskim rowerze.

Taka poranna konfrontacja nie była niczym niezwykłym. Codzienna trasa Jacka to budzący grozę slalom Drugą Avenue od Pięćdziesiątej Dziewiątej aż do Trzydziestej.

Wszystko przy zabójczej prędkości. Często dochodziło do bliskich spotkań z ciężarówkami i taksówkami, no i nieuniknionych w takich sytuacjach kłótni. Każdy inny taką podróż uznałby za nerwowo wyczerpującą. Jack uwielbiał to. Jak mawiał do kolegów, dopiero to powoduje, że krew w nim krąży.

Dopóki nie zapaliło się zielone światło, Pakistańczyk nie reagował, dopiero potem przeklął Jacka głośno i ruszył pełnym gazem.

- Ciebie też! - odkrzyczał Jack. Popedałował na stojąco, aż zrównał się z samochodami. Teraz dopiero usiadł na siodelku, ale nogi ciągle kręciły z furją.

Ostatecznie dogonił taksówkarza, ale zignorował go. Śmignął tylko, mijając go.

Zdołał się wcisnąć między taksówkę a samochód dostawczy.

Na Trzydziestej Jack skręcił na wschód, przeciął Pierwszą Avenue i ostro skręcił na tyły Biura Głównego Inspektora Zakładu Medycyny Sądowej dla miasta Nowy Jork.

Pracował tu od pięciu miesięcy, kiedy to zaoferowano mu posadę współpracownika głównego konsultanta. Miał za sobą specjalizację z patologii i roczny staż jako lekarz sądowy.

Przeprowadził rower obok budki nie umundurowanego strażnika i pomachał mu.

Skręcając w lewo, minął biuro kostnicy i samą kostnicę. Jeszcze raz skręcił w lewo, przeszedł obok szeregu chłodni używanych do przechowywania ciał przed autopsją. Rower postawił w

kację, w którym stały proste sosnowe trumny, przeznaczone dla zmarłych, którzy nie mieli rodzin i bliskich. Zabezpieczył go kilkoma szyfrowymi kłódkami.

Winda zawiozła go na pierwsze piętro. Było sporo przed ósmą, więc niewielu pracowników znajdowało się już w pracy. Nawet w biurze przeznaczonym dla policji nie było sierżanta Murphy'ego.

Przeszedł przez korytarz i wszedł do strefy zastrzeżonej dla personelu. Przywitał się z Vinniem Amendolą, który odpowiedział, nie podnosząc wzroku znad gazety. Vinnie był jednym z pomocników lekarzy patologów. Jack często z nim pracował.

Przywitał się także z Laurie Montgomery, która była jednym z dyplomowanych patologów sądowych. W nocy miała dyżur i do niej należało opracowanie wszystkich nocnych wypadków. W biurze głównego inspektora pracowała od ponad czterech i pół roku. Podobnie jak Jack, zazwyczaj przychodziła do pracy jako jedna z pierwszych.

- Jak widzę, jeszcze raz udało ci się to zrobić, nie wchodząc do biura nogami do przodu - zauważyła złośliwie Laurie. Mówiła o niebezpiecznej jeździe rowerem. „Nogami do przodu” wjeżdżali do biura ci, którzy mieli w życiu mniej szczęścia.

- Tylko jedno starcie z taksówkarzem - poinformował Jack. - Przywykłem do trzech, czterech. Dzisiaj przypominało to jazdę przez wiejskie okolice.

- Bez wątplenia - zgodziła się Laurie, lecz bez głębszego przekonania. - Osobiście uważam, że wiele ryzykujesz tymi swoimi jazdami po mieście. Przeprowadzałam już kilka autopsji na takich szalonych dostawcach rowerowych. Za każdym razem, gdy widzę takiego wśród pojazdów, zastanawiam się, kiedy zobaczę go na kanale. - „Na kanale” w ich żargonie oznaczało: na stole w sali autopsyjnej.

Jack nalał sobie kawy i podszedł do biurka, przy którym pracowała Laurie.

- Coś szczególnie interesującego? - zapytał, zaglądając koleżance przez ramię.

- Zwykle rany postrzałowe. Przedawkowanie prochów.
- Ohyda - wzdrygnął się Jack.
- Nie lubisz przedawkowań?
- Nie. Wszystkie są takie same. Lubię niespodzianki, które są wyzwaniem.
- Miałam kilka przypadków przedawkowania, które doskonale pasowały do tej kategorii. Ale to było w pierwszym roku pracy.
- Co z nimi?
- To długa historia - Laurie odpowiedziała wymijająco. Wskazała na jedno z nazwisk na liście. - Oto przypadek, który może się wydać ciekawy: Donald Nodelman. Diagnoza: nie zidentyfikowana choroba zakaźna.
- To z pewnością będzie lepsze niż przedawkowanie - odparł Jack.
- Nie sądzę, ale jeśli masz ochotę, proszę, jest twój. Nie lubię zajmować się przypadkami chorób zakaźnych, nigdy nie lubiałam i nigdy nie polubię. Kiedy robiłam powierzchowne badania, skóra mi cierpła. Cokolwiek to było, było piekielnie agresywne. Ofiara miała rozległy podskórny wylew krwi.
- Nieznane może stanowić wyzwanie - skwitował Jack. Wziął z biurka Laurie papiery.
- Zajmę się tym z przyjemnością. Zmarł w domu czy w pracy?
- W szpitalu. Przywieźli go z Manhattan General. Ale przyjmowali go nie z powodu infekcji, był cukrzykiem.
- Zdaje mi się, że Manhattan General jest szpitalem AmeriCare - pomyślał na głos. - Czyż nie?
- Tak sądzę. Dlaczego pytasz?
- Ponieważ to mogłoby zamienić nasz przypadek w osobistą nagrodę. Może będę miał dość szczęścia i stwierdzę, że to coś takiego jak choroba legionistów. Nie mogę myśleć o

niczym przyjemniejszym niż wywołanie zgagi u bossów AmeriCare. Marzę, aby zobaczyć ich, jak się wiją w bólach.

- A to dlaczego? - zapytała Laurie.

- To długa historia - odpowiedział z szelmowskim uśmiechem. - Któregoś pięknego dnia powinniśmy wybrać się na drinka i ty opowiesz mi o swoich przedawkowaniach, a ja ci opowiem o sobie i AmeriCare.

Laurie nie wiedziała, czy zaproszenie było poważne, czy nie. Niewiele wiedziała o Jacku Stapletonie z czasów przed pracą w biurze inspektora. O ile się orientowała, nikt o nim nic więcej nie wiedział. Jack był znakomitym patologiem sądowym, pomimo że dopiero co ukończył specjalizację. Ale nie prowadził życia towarzyskiego, a w krótkich rozmowach nigdy się nie odsłaniał. Zdołała jedynie ustalić, że ma czterdzieści jeden lat, nie jest żonaty, jest zajmująco nonszalancki i pochodzi ze Środkowego Zachodu.

- Powiem ci, co ustalę - powiedział i skierował się do pokoju przejściowego.

- Jack, przepraszam! - zawołała za nim Laurie.

Zatrzymał się i odwrócił.

- Nie pogniewasz się, jeśli dam ci małą radę - zawahała się. Mówiła impulsywnie.

Normalnie nie zachowywała się w ten sposób, ale ceniła Jacka i miała nadzieję, że popracują jeszcze razem przez jakiś czas.

Szelmowski uśmieszek wrócił na usta Jacka. Cofnął się do biurka.

- Ależ bardzo proszę.

- Zapewne popełniam nietakt - powiedziała Laurie.

- Wręcz przeciwnie. Cenię sobie twoje zdanie. O czym myślisz?

- Tylko tyle, że ty i Calvin Washington nie zgadzaliście się ze sobą. Wiem, że to sprawy osobiste, ale Calvin ma od dawna dobre stosunki z Manhattan General podobnie jak

AmeriCare z biurem burmistrza. Uważam, że powinieneś być ostrożny.

- Przez ostatnie pięć lat ostrożność nie należała do moich mocnych stron - przyznał

Jack. - Mam wiele respektu dla naszego wice. Jedynym powodem sporu między nami jest jego wiara, iż zasady zostały wyryte w kamieniu, są niezmiennie, podczas gdy dla mnie są raczej radą, przewodnikiem. Co do AmeriCare, nie dbam ani o ich cele, ani metody.

- Tak właściwie to nie moja sprawa - powiedziała Laurie. - Jednak Calvin powtarza, że nie widzi cię w drużynie.

- I w tym się nie myli - odpowiedział Jack. - Rzecz w tym, że rozwinąłem w sobie awersję do mierności. Czuję się zaszczycony współpracą z większością zatrudnionych tutaj osób, szczególnie cenię cię. Niemniej jednak jest parę osób, z którymi nie umiem się dogadać, i nie ukrywam tego. To wszystko.

- Przyjmuję to jako komplement.

- Bo to był komplement.

- Powiadom mnie, co znajdziesz u Nodelmana, a być może będę miała dla ciebie jeszcze jedną sprawę.

- Z przyjemnością. - Odwrócił się i poszedł do pokoju przejściowego. Gdy mijał Vinnie, ten błyskawicznym ruchem złożył gazetę.

- Chodź, Vinnie - zawołał Jack. - Czas najwyższy wskoczyć w kolejny dzień.

Vinnie ponarzekał, ale wstał i ruszył za Jackiem. Po drodze próbując złożyć porządnie gazetę, wpadł na Jacka, który niespodziewanie zatrzymał się przed pokojem Janice Jaeger.

Janice była jednym z wywiadowców sądowych przydzielanych zwykle patologom lub lekarzom jako asystent. Miała nocną zmianę, od dwudziestej trzeciej do siódmej rano. Jej obecność w biurze zaskoczyła Jacka. Mała kobietka z ciemnymi włosami i ciemnymi oczami wyraźnie robiła wrażenie zmęczonej.

- Co ty tu jeszcze robisz? - zapytał Jack.

- Muszę skończyć ostatni raport.

Jack podniósł dokumenty trzymane w ręku i zapytał:

- Czy ty lub Curt robiliście coś z Nodelmanem?

- Ja - odparła Janice. - A co, masz jakiś problem?

- Nic o czym bym już teraz wiedział - odpowiedział ze zduszonym chichotem. Znał

Janice z niezwyklej wprost skrupulatności, co czyniło z niej idealny obiekt do zaczepiek. - Czy

to według ciebie przyczyną zejścia miałyby być choroba szpitalna?

- A cóż to, u diabła, znaczy „choroba szpitalna”? - zapytał Vinnie.

- To choroba, której nabywa się w szpitalu - wyjaśnił Jack.

- Tak mi się wydaje - zgodziła się Janice. - Facet był przez pięć dni w szpitalu z

powodu cukrzycy, zanim ujawniły się objawy infekcji, a w trzydzieści sześć godzin po ich

wystąpieniu on już nie żył.

Jack aż gwizdnął z uznania. Cokolwiek to było, okazało się naprawdę złośliwe.

- To właśnie najbardziej zaniepokoiło lekarza, z którym rozmawiałam.

- Laboratorium przysłało jakieś wyniki badań mikrobiologicznych? - zapytał.

- Nic nie wykazały. Badanie krwi o czwartej nad ranem niczego nie wyjaśniło.

Żadnych kultur. Ostateczny wynik wskazuje na zespół ostrej niewydolności układu

oddechowego, lecz badania na występowanie kultur w ślinie także dały wynik negatywny.

Jedyny pozytywny wynik dało zastosowanie barwnika Grama przy badaniu śliny. Badanie

wykazało obecność bakterii gram-ujemnych. To sugeruje działanie któregoś z gatunków

bakterii z rodzaju pałeczek.

- Żadnych wskazań czy pacjent był immunologicznie osłabiony? Może miał AIDS

albo był leczony antymetabolikami?

- Nic z tego, o ile mogłam się dowiedzieć. Jedyne, co miał w karcie, to cukrzyca i normalne u każdego diabetyka powikłania. W każdym razie jeśli znajdziesz dość czasu i ochoty, o wszystkim możesz przeczytać w raporcie.

- A po co mam tracić czas, jeżeli mogę zaczerpnąć wiedzy prosto ze źródła - roześmiał się Jack. Podziękował Janice i skierował się do windy.

- Mam nadzieję, że zamierzasz włożyć skafander - odezwał się Vinnie.

Kombinezon, całkowicie okrywający, szczelnie odcinający od środowiska zewnętrznego, z przezroczystą maską, zapewniał maksimum bezpieczeństwa. Powietrze tłoczone było do skafandra przez mały wentylator przymocowany z tyłu. Zanim powietrze wypełniło kask, przechodziło jeszcze przez filtr. Wystarczało go do swobodnego oddychania, ale równocześnie wewnątrz skafandra panowała temperatura jak w saunie. Jack nie cierpiał tego.

Jego zdaniem skafander był zbyt gruby, krępujący, niewygodny, gorący i zbyteczny.

Przez cały okres specjalizacji nie włożył go ani razu. Kłopot polegał na tym, że główny inspektor Nowego Jorku, doktor Harold Bingham zarządził, aby używać skafandrów. Calvin, jego zastępca, zdawał się z ochotą egzekwować zarządzenie. W rezultacie Jack zmuszony był znieść kilka konfrontacji.

- To może być pierwsza sytuacja, w której skafander byłby wskazany. - Taka odpowiedź przyniosła Vinniemu wyraźną ulgę. - Dopóki nie wiemy, z czym mamy do czynienia, musimy zachować wszelkie środki ostrożności. Bądź co bądź, to może być coś podobnego do wirusa Eboli.

Vinnie zatrzymał się w pół kroku.

- Naprawdę uważasz, że to możliwe? - zapytał z szeroko otwartymi oczami.

- Nie tylko możliwe - odpowiedział Jack. Szturchnął Vinniego w bok. - Żartuję.

- Dzięki Bogu - uspokoił się pomocnik Jacka. Poszli dalej.

- Ale może jakaś epidemia - dodał Jack.

Vinnie znów się zatrzymał.

- To by było równie kiepsko - stwierdził.

Jack wzruszył ramionami.

- To nic wielkiego, normalka. Dalej, chodźmy i rozprawmy się z tym.

Przestali rozmawiać. Kiedy Vinnie wkładał skafander i poszedł do sali autopsyjnej,

Jack przeglądał zawartość teczki Nodelmana. Był tam wywiad środowiskowy dotyczący denata, częściowo wypełnione świadectwo zgonu, wykaz nagrań z oględzin zwłok, dwa arkusze spostrzeżeń ze wstępnych badań, informacja telefoniczna o śmierci otrzymana w nocy, karta identyfikacyjna, raport dochodzeniowy Janice, formularz do wypełnienia po autopsji oraz wynik badań laboratoryjnych na obecność przeciwciał HIV.

Pomimo rozmowy z Janice Jack wnikliwie przestudiował raport. Zawsze tak robił.

Kiedy skończył, wszedł do pomieszczenia obok sosnowych trumien i włożył swój skafander.

Teraz ruszył w stronę sali autopsyjnej, która znajdowała się po drugiej stronie kostnicy.

Przeklinał kombinezon, gdy przechodził obok stu dwudziestu sześciu lodówek

przeznaczonych na ciała. Zamknięcie w tym urządzeniu wprawiało go w zły nastrój, całe

otoczenie odbierał z obrzydzeniem. Kostnica kiedyś mogła uchodzić za dzieło sztuki, teraz

wymagała gruntownego remontu i odnowy. Z wiekowymi, niebieskimi kafelkami na ścianach

i poplamioną cementową podłogą wyglądała jak dekoracja do staroświeckiego horroru.

Z głównego korytarza także było wejście do sali autopsyjnej, lecz używano go jedynie

do wwożenia i wywożenia ciał. Zamiast niego Jack skorzystał z wejścia prowadzącego przez małe pomieszczenie, w którym zamontowano umywalkę.

Zanim Jack zjawił się w sali, Vinnie zdołał już umieścić ciało Nodelmana na jednym z

ośmiu stołów i przygotował wszystkie niezbędne narzędzia i wyposażenie do wykonania pracy. Jack zajął miejsce z prawej strony denata, Vinnie z lewej.

- Nie wygląda najlepiej - stwierdził Jack. - A na bal przebierańców chyba się nie wybierał. - Trudno rozmawiało się przez skafander. Dopiero co go włożył, a już był spocony.

Vinnie, który nigdy nie wiedział, jak zareagować na pozbawione szacunku wobec ofiar komentarze Jacka, nie odpowiedział, chociaż ciało rzeczywiście wyglądało makabrycznie.

- Na palcach widać ślady gangreny - zaczął oględziny Jack. Uniósł jedną z dłoni i dokładnie przyjrzał się niemal czarnym opuszkom palców. Następnie wskazał na mocno pokurczone genitalia mężczyzny. - Koniec penisa także zaatakowała gangrena. Psiakrew! Ależ to musiało boleć. Wyobrażasz sobie?

Vinnie nadal trzymał język za zębami.

Jack zaczął wnikliwie badać każdy cal ciała mężczyzny. Na szczęście dla Vinniego skupił się na sporych rozmiarów podskórnych krwawych wylewach na brzuchu i nogach.

Nazwał to plamicą. Następnie stwierdził, że nie znalazł żadnych śladów po ukąszeniu przez insekty.

- To ważne - dodał. - Wiele poważnych chorób zakaźnych przenoszonych jest przez stawonogi.

- Stawonogi? - zapytał Vinnie. Nigdy nie wiedział, kiedy Jack żartuje.

- Insekty - wyjaśnił zapytany. - Skorupiaki nie stwarzają takich problemów jako nosiciele chorób.

Vinnie skinął głową na znak zrozumienia, chociaż nie wiedział teraz ani trochę więcej niż wtedy, gdy zadawał pytanie. Postanowił zapamiętać słowo „stawonogi” i sprawdzić w encyklopedii jego znaczenie, gdy tylko nadarzy się taka okazja.

- Jakie jest prawdopodobieństwo, że to coś, co go zabiło, jest zaraźliwe? - zapytał

Vinnie.

- Olbrzymie, obawiam się - odpowiedział Jack. - Olbrzymie.

Główne drzwi na korytarz otworzyły się i wjechało przez nie kolejne ciało przywiezione przez Sala D'Ambrosio, także technika medycznego. Całkowicie pochłonięty zewnętrznymi oględzinami Nodelmana, Jack nie podniósł nawet wzroku. Zaczął formułować diagnozę różnicową*.

Pół godziny później sześć z ośmiu stołów zajmowały ciała czekające na autopsję.

Jeden po drugim zjawiali się dyżurujący tego dnia lekarze patolodzy. Laurie była pierwsza.

* Diagnoza różnicowa - rodzaj diagnozy, która ma na celu rozróżnienie chorób o podobnym obrazie klinicznym na podstawie obecności lub braku niektórych objawów albo szczególnych ich cech (przyp. tłum. za:

Mała encyklopedia medycyny, tom I, PWN, W-wa, 1987, s. 221).

Podeszła do stołu Jacka.

- Masz już jakiś pomysł? - zapytała.

- Mnóstwo, ale nic ostatecznego - odparł. - Mogę cię jednak zapewnić, że to złośliwy przypadek. Wcześniej wystraszyłem Vinniego, że to może być Ebola. Sporo jest tutaj rozsianych wewnątrznaczyniowych skrzepów.

- Mój Boże! - zawołała Laurie. - Mówisz poważnie?

- Nie, nie do końca. Ale z tego, co dotychczas zbadałem, wynika, że to ciągle możliwe, choć nieprawdopodobne. Oczywiście nigdy nie widziałem nikogo, kto zmarł na Ebolę, więc nie mogę powiedzieć nic pewnego.

- Czy uważasz, że powinniśmy go odizolować? - zapytała podenerwowana Laurie.

- Na razie nie widzę powodów. Poza tym już zacząłem. Mogę obiecać, że będę ostrożny, będę uważał, żeby jego organy nie znajdowały się poza kontrolą. Powiem ci, co

możemy zrobić. Ostrzec laboratorium, żeby uważali z próbkami, dopóki nie postawimy ostatecznej diagnozy.

- Może powinnam zapytać o zdanie Bingham - zastanowiła się Laurie.

- Ach, to by było wielce pomocne - Jack skwitował propozycję sarkastycznie. - To tak jakby ślepy poprowadził kulawego.

- Nie lekceważ go tak. Jest naszym szefem.

- Może sobie być nawet papieżem, nie dbam o to. Wiem, że powinienem się z tym uporać, im szybciej, tym lepiej. Jeżeli Bingham albo nawet Calvin włączą się, zajmie to cały ranek.

- W porządku - Laurie ustąpiła. - Może masz rację. Masz mnie jednak informować o każdej anomalii. Będę przy trzecim stole.

Laurie poszła do swoich zajęć. Jack tymczasem wziął od Vinniego skalpel i już zamierzał wykonać nacięcie, gdy spostrzegł, że Vinnie odsunął się nieco od stołu.

- Gdzie się wybierasz? Chcesz na to popatrzeć z Queens? -zapytał pomocnika. -
Oczekuję od ciebie pomocy.

- Trochę się boję - przyznał Vinnie.

- No, chłopie. Masz na koncie więcej autopsji niż ja. Dawaj tu tę swoją włoską dupę.
Mamy robotę do wykonania.

Jack pracował szybko, ale sprawnie. Ostrożnie wyjmował organy wewnętrzne i bardzo uważał, aby nie zranić siebie czy Vinniego ostrym narzędziem.

- Co masz? - zapytał Chet McGovern, zerkając Jackowi przez ramię.

Chet także był zatrudniony jako lekarz sądowy. Rozpoczął pracę w tym samym miesiącu co Jack. Ze wszystkich kolegów on był najbliżej Jacka, jako że pracowali w jednym pokoju i obaj byli nieżonaci. Tyle tylko, że Chet nigdy nie był żonaty i mając trzydzieści

sześć lat, był młodszy od Jacka o pięć lat.

- Coś interesującego - odpowiedział Jack. - Tajemnicza choroba tygodnia. A poza tym byczy facet. Skurczybyk nie miał najmniejszej szansy.

- Wnioski? - zapytał Chet. Jego wyćwiczone oko natychmiast dostrzegło ślady gangreny i rozległe wylewy pod skórą.

- Mnóstwo. Ale pozwól, że pokażę ci, co jest wewnątrz. Z uwagą wysłucham twojej opinii.

- Jest tam coś, co powinnam zobaczyć? - dobiegło ich pytanie Laurie.

- Tak, pozwól tu - poprosił Jack. - Nie ma sensu przechodzić przez to dwa razy.

Laurie poleciła Salowi wypłukać jelita denata, którym się zajmowała, i podeszła do pierwszego stołu.

- Pierwszą rzeczą, na którą chciałbym zwrócić waszą uwagę, są naczynia limfatyczne.

- Jack odsłonił skórę na szyi od brody aż po obojczyk.

- Nic dziwnego, że autopsje u nas trwają tak długo - dobiegł ich głos z krańca świata.

Wszystkie oczy spoczęły na doktorze Calvinie Washingtonie, zastępcy szefa.

Onieśmielający wzrost dwóch metrów, sto piętnaście kilo wagi, Murzyn, który zrezygnował z możliwości gry w NFL, aby ukończyć medycynę.

- Co się tu, do diabła, wyprawia? - zaklął niby żartobliwym tonem. - Co wy, ludzie, myślicie, że to wakacje?

- Ot, mały totalizator - odpowiedziała Laurie. - Mamy tu przypadek nieznannej infekcji, wywołanej, jak się zdaje, całkiem agresywnym wirusem.

- Tak, słyszałem - powiedział Calvin. - Miałem telefon od dyrektora Manhattan General. Jest poważnie zainteresowany sprawą. Jakie orzeczenie?

- Trochę na nie za wcześnie - wyjaśnił Jack. - Ale mamy tu sporo patologicznych

zmian.

Następnie Jack szybko streścił historię przypadku, powiedział, co ustalił po zewnętrznych oględzinach, zwracając szczególną uwagę na wyraźnie widoczne ślady choroby. Potem wrócił do przerwanych oględzin wewnętrznych, wskazując na rozwój choroby wzdłuż naczyń limfatycznych szyi.

- Niektóre z węzłów są obumarłe - zauważył Calvin.

- Zgadza się - przytaknął Jack. - Prawdę powiedziawszy, większość z nich jest obumarła. Choroba rozprzestrzeniała się gwałtownie naczyniami limfatycznymi, prawdopodobnie od gardła do rozgałęzienia oskrzeli.

- Więc droga kropelkowa - skonał Calvin.

- Taka była moja pierwsza diagnoza - przyznał Jack. - Spójrzcie na organy wewnętrzne. - Teraz zaprezentował płuca, rozchylając ponacinane płaty. - Jak możecie zobaczyć, mamy do czynienia z rozległym płatowym zapaleniem płuc. Sporo tu zagęszczenia tkanki płucnej, ale są również części obumarłe i wczesne nacieki. Gdyby pacjent żył dłużej, sądzę, że moglibyśmy zobaczyć objawy zapalenia ropnego.

Calvin gwizdnął cicho.

- No, no. Wszystko to zaszło pomimo podania dożylnie potężnej dawki antybiotyków.

- To szczególnie niepokojące - zgodził się Jack. Odłożył ostrożnie płuca do miski. Nie chciał, aby coś wypadło, rozprysnęło się i skaziło powietrze. Następnie wziął wątrobę i delikatnym ruchem odsłonił naciętą powierzchnię.

- Jakiś proces - oznajmił, wskazując palcem miejsca, w których zaczęły zachodzić zmiany. - Jednak nie tak gwałtowny jak w płucach. - Odłożył wątrobę i sięgnął po śledzionę.

Wewnątrz występowały podobne zmiany patologiczne jak w poprzednio oglądanych organach. Upewnił się, że wszyscy dobrze się im przyjrzeni. - Na razie tyle - powiedział Jack i

ostrożnie odłożył śledzoną do miski. - Będziemy musieli poczekać na wyniki badania mikroskopowego, ale już teraz myślę, że ostateczną odpowiedź otrzymamy z laboratorium.

- Jakie domysły na tym etapie? - zapytał Calvin.

Jack pozwolił sobie na krótki śmiech.

- Tak, na tym etapie muszą to być domysły. Nie znalazłem niczego typowego dla tej choroby. Lecz jej piorunujące działanie coś nam powinno podpowiedzieć.

- Jaka jest pańska diagnoza różnicowa? - naciskał Calvin. - No dalej, geniuszu, nie daj się prosić.

- Ummmmmm - mruknął Jack. - Był pan uprzejmy postawić mnie w trudnym położeniu.

Ale niech będzie, powiem wam, co mi przeszło przez głowę. Po pierwsze nie uważam, aby to mogły być bakterie z rodzaju pałeczek, jak podejrzewano w szpitalu. Choroba jest zbyt agresywna. Mogłoby to być coś nietypowego jak paciorkowiec grupy A lub nawet gronkowiec wytwarzający silne toksyny. Ale pozwolę sobie w to wątpić, tym bardziej że zgodnie z sugestią wynikającą z badania z użyciem barwnika Grama mamy do czynienia z pałeczkami. Konkludując, muszę stwierdzić, że to raczej coś jak tularemia czy dzuma.

- Ho, ho! - zawołał Calvin. - Odkrywa pan jakąś wielce tajemniczą chorobę w tym, co zwykle się nazywa infekcją szpitalną. Czy nie słyszał pan nigdy tego powiedzenia: kiedy słyszysz tętent kopyt, pomyśl o koniach, nie o zebrach?

- Powiedziałem jedynie, jakie myśli chodzą mi po głowie. To jedynie diagnoza różnicowa. Staram się po prostu zachowywać otwarty umysł.

- Dobrze - odpowiedział uspokajająco Calvin. - Czy to wszystko?

- Nie, to nie wszystko - stwierdził Jack. - Wziąłem również pod rozwagę i taką możliwość, że badania dały fałszywy wynik, a wtedy dopuszczam nie tylko paciorkowce i gronkowce, ale i meningokoki. Mogę również dorzucić gorączkę plamistą Gór Skalistych

oraz hantawirus. Cholera, mogą nawet dorzucić wirusową gorączkę krwotoczną typu Ebola.

- No teraz właśnie zostały przekroczone granice stratosfery - Calvin skwitował domysły Jacka. - Wróćmy do rzeczywistości. Gdybym poprosił, aby zaryzykował pan i powiedział, która z wymienionych chorób pasuje najbardziej do tego, co wiemy o badanym przypadku, co by pan powiedział?

Jack cmoknął. Zirykował go ten egzamin, jakby był z powrotem w szkole, i ten Calvin, jak wielu z jego szkolnych profesorów, próbował ustawić go w jak najgorszym świetle.

- Dżuma - odpowiedział zaszokowanej widowni.

- Dżuma? - W pytaniu Calvina zdziwienie graniczyło z pogardą. - W marcu? W Nowym Jorku? U hospitalizowanego pacjenta? Musiałeś pan postradać rozum.

- Hola, chciał pan diagnozy, więc ją postawiłem. Nie zajmuję się rachunkiem prawdopodobieństwa, tylko patologią.

- I nie zastanowiły pana inne aspekty sytuacji? - zapytał Calvin protekcyjnym tonem i zaśmiał się. Zwrócił się teraz bardziej do pozostałych niż do Jacka. - Czego oni tam uczą w tych chicagowskich szkółkach?

- Według mnie za dużo mamy niewiadomych, aby przywiązywać wielką wagę do niepotwierdzonych informacji - odezwał się Jack. - Nie odwiedziłem jeszcze miejsca zgonu, nie wiem o ewentualnych zwierzętach denata, jego podróżach czy kontaktach z obcokrajowcami. Mnóstwo ludzi przyjeżdża codziennie do miasta i je opuszcza. Tak samo dzieje się w szpitalu. A w końcu dookoła nas żyje dość szczurów, żeby podtrzymać diagnozę. Przez chwilę w sali autopsyjnej zaległa martwa cisza. Ani Laurie, ani Chet nie wiedzieli, co powiedzieć. Ton Jacka wprowadził ich w zakłopotanie, tym bardziej że znali wybuchowy temperament Calvina.

- Zręczna odpowiedź - odezwał się wreszcie Calvin. - Jest pan całkiem dobry w

dwuznacznikach. Muszę to przyznać. Kto wie, może to część szkolenia na Środkowym Wschodzie.

Laurie i Chet uśmiechnęli się nerwowo.

- No dobra, panie mądry. Ile jest pan gotów postawić na tę swoją dzumę? - ciągnął Calvin.

- Nie miałem pojęcia, że obstawianie diagnoz to tutejszy zwyczaj.

- Nie, na co dzień nie uprawiamy tu hazardu, ale jeśli ktoś stawia w diagnozie na dzumę, można się zabawić. Dziesięć dolców. Co pan na to?

- Na tyle mogę sobie pozwolić.

- Świetnie - uznał Calvin. - To mamy to z głowy. Gdzie jest Paul Plodgett i ten postrzelony z World Trade Center?

- Szósty stół - poinformowała szefa Laurie.

Calvin zakołysał się ciężko i odszedł do wskazanego stołu. Przez moment wszyscy patrzyli za nim. Ciszę przerwała Laurie.

- Dlaczego próbowałaś go prowokować? Nie rozumiem. Sam sobie utrudniasz życie.

- Nic na to nie poradzę. Ale przecież to on mnie prowokował!

- Tak, ale on jest zastępcą szefa i to jego święte prawo - wtrącił Chet. - A poza tym to ty nakręciłaś całą tę historię z dzumą. Bez wątpienia nie znalazłaby się na pierwszym miejscu mojej listy.

- Jesteś pewny? - zapytał Jack. - Spójrz na jego czarne palce u dłoni i stóp. Przypomnij sobie, że w czternastym wieku nazywano to czarną śmiercią.

- Wiele chorób wywołuje podobne stany zakrzepowe - stwierdził Chet.

- Prawda - przyznał Jack. - Dlatego omal nie powiedziałem tularemia.

- Więc dlaczego nie powiedziałeś? - zdziwiona zapytała Laurie. Według niej tularemia

była równie nieprawdopodobna.

- Pomyślałem, że dzuma brzmi lepiej. Bardziej dramatycznie.
- Nigdy nie wiem, kiedy jesteś poważny - przyznała zbity z tropu Laurie.
- A to dopiero, ja czuję dokładnie to samo.

Zdezorientowana Laurie pokręciła tylko głową. Czasami trudno było poważnie rozmawiać z Jackiem.

- Nieważne - odezwała się. - Skończyłeś z Nodelmanem? Jeżeli tak, mam dla ciebie inną sprawę.
- Jeszcze nie zbadalem mózgu - stwierdził Jack.
- Więc zbadaj - powiedziała i odeszła do trzeciego stołu, by dokończyć swoją pracę.

Rozdział 2

Środa, godzina 9.45, 20 marca 1996 roku

Nowy Jork

Teresa Hagen zatrzymała się nagle i spojrzała na zamknięte drzwi do „chaty”, jak nazywano główny pokój konferencyjny. Nazwano go tak dlatego, że jego wnętrze było wierną kopią chaty Taylora Heatha, zbudowanej w dzikich ostępach północnego New Hampshire nad jeziorem Squam. Taylor Heath był dyrektorem wykonawczym świetnej, dynamicznej firmy reklamowej Willow i Heath, która zamierzała przewietrzyć zatęchłą atmosferę wielkiego świata reklam.

Gdy upewniła się, że nie jest obserwowana, zbliżyła się do drzwi i przyłożyła do nich ucho. Usłyszała głosy.

Z bijącym mocno sercem pobiegła korytarzem do swojego biura. Taka już była - niewiele wystarczyło, aby wpadła w popłoch. Posiedziała w pokoju pięć minut, ale serce nadal łomotało z podniecenia. Nie podobało jej się, że w „chacie” trwa spotkanie, o którym

nie wie. Osoba na jej stanowisku, a była przecież dyrektorem działu reklamy, musi wiedzieć, co się dookoła dzieje. Tak czuła.

Kłopot polegał zaś na tym, że dział się wyjątkowo dużo. Taylor Heath zaszokował wszystkich, oświadczając w zeszłym miesiącu, że rezygnuje ze swojego stanowiska i desygnował na nie Briana Wilsona, dotychczasowego prezesa. A to stawiało wielki znak zapytania w kwestii następstwa po Wilsonie. Teresa miała szansę na awans. To nie ulegało wątpliwości. Ale także Robert Barker, dyrektor działu finansowego. A oprócz nich, co było najbardziej niepokojące, Taylor mógł przecież sprowadzić kogoś z zewnątrz.

Teresa zdjęła płaszcz i powiesiła w szafie. Jej sekretarka, Marsha Devons, rozmawiała przez telefon z drugiego pokoju, Teresa rzuciła się więc do swojego biurka w poszukiwaniu jakiejś notatki, czegokolwiek, choćby sugestii, która poszerzyłaby jej wiedzę. Nie znalazła jednak niczego poza stosem kartek z chaotycznie zanotowanymi informacjami.

- W „chacie” jest narada - zawołała Marsha, odłożywszy słuchawkę.

Stała w drzwiach. Była małą kobietą o kruczoczarnych włosach. Teresa ceniła ją za inteligencję, kompetencję i intuicję, czyli za to, czego brakowało czterem poprzednim sekretarkom. Teresa postępowała ze swoimi podwładnymi bez skrupułów, oczekiwała od nich zaangażowania i osiągnięć równych własnym.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie? - zapytała Teresa.

- Dzwoniłam, ale już pani nie było - usprawiedliwiła się sekretarka.

- Kto jest na spotkaniu? - warknęła Teresa.

- Zadzwoniła sekretarka pana Heatha. Nie powiedziała, kto został zaproszony, tylko że panią również proszą o przybycie - wyjaśniała Marsha.

- Czy zdradziła choć słowem, czego dotyczy spotkanie?

- Nie - odpowiedziała krótko sekretarka.

- Kiedy się zaczęło?

- Telefon był o dziewiątej.

Teresa chwyciła za słuchawkę i wystukała numer Colleen Andersen. Colleen była najbardziej zaufanym kierownikiem artystycznym Teresy. Kierowała zespołem realizującym zamówienie National Health Care.

- Wiesz coś o spotkaniu w „chacie”? - zapytała Teresa natychmiast, gdy Colleen zgłosiła się po drugiej stronie.

Nic nie wiedziała, poza tym że się odbywa.

- Cholera! - zaklęła Teresa, odkładając słuchawkę.

- Czy coś się stało? - zapytała zaniepokojona Marsha.

- Jeżeli przez cały ten czas jest tam Robert Barker, to mamy problem. Ten kutas nie odpuści żadnej okazji, żeby mi dołożyć.

Jeszcze raz połączyła się z Colleen.

- Na jakim etapie jest Health Care? Mamy jakieś projekty, cokolwiek, co mogłabym im pokazać?

- Obawiam się, że nie. Robiliśmy burzę mózgów, ale nie mamy nic świeżego, nic takiego, o co ci chodzi. Czekam na jakiś przebłysk geniuszu.

- Jasne, popędź zespół - poleciała Teresa. - Mam niewyraźne przeczucie, że Health Care jest moją najsłabszą stroną.

- Zapewniam cię, że nikt tu nie przysypia - stwierdziła Colleen. - Ręczę za to.

Teresa odłożyła słuchawkę bez pożegnania. Złapała kosmetyczkę i pobiegła korytarzem do toalety. Stała przed lustrem i przyjrzała się wysoko upiętym lokom przypominającym węże na głowie Meduzy. Szybkimi ruchami poprawiła fryzurę, a szminką zrobiła sobie lekkie rumieńce.

Wracając, podtrzymywała się na duchu. Na szczęście włożyła dzisiaj jedną ze swoich ulubionych sukienek. Granatowa gabardyna, naprawdę obcisła, opinała jej zgrabną sylwetkę niczym druga skóra.

Zadowolona z wyglądu pobiegła pod drzwi „chaty”. Wzięła głęboki oddech, nacisnęła klamkę i weszła do środka.

- Ach, panna Hagen - odezwał się Brian Wilson, spoglądając równocześnie na zegarek. Siedział u szczytu grubo ciosanego stołu, który wypełniał cały pokój. - Widzę, że udzieliła sobie pani godzinnego kredytu.

Brian był niskim, łysiejącym mężczyzną. Beznadziejnie próbował kamuflować łysinę, zaczesując włosy z jednej strony głowy na drugą. Jak zwykle ubrany był w białą koszulę i krawat poluzowany pod szyją, co dawało mu wygląd zabieganego redaktora naczelnego popołudniówki. Uzupełnienie jego dziennikarskiego wizerunku stanowiły rękawy podwinięte powyżej łokci, a za prawym uchem nosił zatknięty żółty ołówek.

Pomijając ciętą uwagę, Teresa lubiła i szanowała Briana. Był sprawnym administratorem. Co prawda miał swój osobliwy, nierzadko niegrzeczny styl, ale był równie wymagający wobec siebie, jak wobec innych.

- Wczoraj siedziałam w biurze do pierwszej w nocy - usprawiedliwiła się Teresa. - Z pewnością jednak przyszedłbym na czas, gdyby tylko znalazł się ktoś dostatecznie uprzejmy i zawiadomił mnie o spotkaniu.

- To nie zaplanowane zebranie - wyjaśnił Taylor. Stał przy oknie, w swej tak charakterystycznie niedbałej pozie przełożonego. Uwielbiał wynosić się ponad innych niczym bóg olimpijski, postrzegać ich jako półbogów i zwykłych śmiertelników bez prawa do podejmowania decyzji.

Taylor i Brian stanowili swoje przeciwieństwo. Brian był niski, Taylor wysoki. Brian

lysiał, Taylorowi rosła na głowie burza srebrzystoszarzych włosów. O ile Brian wyglądał jak wiecznie spieszący się dziennikarz przyciśnięty do muru, o tyle Taylor był wzorem wyrefinowanego spokoju i wyszukanej elegancji. Jednak nie było takiego, który nie ufałby w encyklopedycznie poprawne pojmowanie biznesu przez Taylora oraz jego niesamowitą zdolność dążenia do celów strategicznych w obliczu bieżących nieszczęść i sporów. Teresa usiadła bez słowa naprzeciwko swego Nemezis, Roberta Barkera. Był wysokim mężczyzną o szczupłej twarzy z wąskimi ustami. Zdawało się, że w sprawach ubioru wzorował się na Taylorze. Zawsze wszystko leżało na nim idealnie. Ubierał się w ciemne, jedwabne garnitury i również jedwabne, ale wzorzyste krawaty. Krawaty były jego znakiem rozpoznawczym. Teresa nie pamiętała, aby kiedykolwiek widziała ten sam po raz drugi.

Obok Roberta siedziała Helen Robinson, której obecność jeszcze bardziej przyspieszyła bicie serca Teresy. Helen podlegała Robertowi jako samodzielny doradca finansowy przydzielony do programu Health Care. Była porażająco atrakcyjną, dwudziestopięcioletnią kobietą z długimi, orzechowymi włosami opadającymi swobodnie na ramiona, z opaloną nawet w marcu cerą, zmysłową figurą. Ze swoją inteligencją i takim wyglądem była śmiertelnym przeciwnikiem.

Przy stole siedział także Phil Atkins, główny dyrektor ekonomiczny oraz Carlene Desalvo, dyrektor do spraw planowania. Phil, ubrany w trzyczęściowy garnitur, z okularami w drucianych oprawkach robił wrażenie nieskazitelnie doskonałego. Carlene zaś była kobietą pełnych kształtów, jasnowłosą, zawsze ubraną na biało. Teresa poczuła się nieco zaskoczona, widząc również tę dwójkę na zebraniu.

- Mamy spory kłopot z zamówieniem National Health Care - zaczął Brian. - To jest powód naszego spotkania.

Wargi zaczęły jej schnąć. Zerknęła na Roberta i dostrzegła słaby, lecz jątrzący

uśmiezek. Dziękowała Bogu, że zdążyła, zanim zebranie się zaczęło, i mogła usłyszeć każde wypowiedziane słowo.

Teresa obawiała się kłopotów z Health Care. Miesiąc temu zażądali miesięcznego sprawozdania, co oznaczało, że Willow i Heath, jeśli chcą utrzymać NHC w pakiecie stałych klientów, będą musieli rozpocząć nową kampanię reklamową. A wszyscy wiedzieli, że muszą utrzymać ich zamówienia. Przynosiły mniej więcej czterdzieści milionów dolarów i dochód ten ciągle rósł. Reklamy NHC przeważały nad innymi i z nadzieją oczekiwano, że wypełnią szybko miejsce po reklamach papierosów.

Brian zwrócił się w stronę Roberta:

- Może ty mógłbyś zastąpić Teresę w związku z nową sytuacją?

- Ustąpiłbym raczej Helen, mojej uzdolnionej asystentce - odpowiedział zapytany, przy okazji posyłając Teresie jeden ze swych protekcyjnych uśmiechów.

Helen poruszyła się na krześle.

- Jak państwu wiadomo, National Health Care niepokoi się o swoją kampanię reklamową. Niestety ich niezadowolenie rośnie. Nie dalej jak wczoraj przyszły wyniki za ostatni okres. Nie są dobre. Miejsce firmy na rynku nowojorskim przejmuje AmeriCare, systematycznie zwiększając swoje wpływy. Po wybudowaniu nowego szpitala to jest dla nich straszliwy cios.

- I winią za to naszą kampanię reklamową? - wybuchnęła Teresa. - To absurd.

Wykupili jedynie dwadzieścia pięć jednostek reklamowych w TV. To nie może wystarczyć. Absolutnie.

- To twoja opinia - odpowiedziała gładko Helen. - Ale ja wiem, że to nie jest wina Health Care.

- Wiem, że jesteś bardzo zaangażowana w kampanię „Opieka zdrowotna dla postępu”

i to jest dobry program -stwierdził Robert. - Faktem jednak jest, że od początku kampanii National Health stracił panowanie nad rynkiem. Ostatnie wyniki podtrzymują jedynie wcześniej zarysowany trend.

- Sześćdziesięciosekundowa reklamówka nominowana została do nagrody Clio - skontrowała zarzuty Teresa. - To cholernie dobra reklamówka. Niezwykle twórcza. Jestem dumna, że udało mi się skompletować taki zespół.

- I rzeczywiście powinnaś być dumna - wpadł jej w słowo Brian. - Robert ma jednak przeczucie, że klientowi nie zależy na wygraniu Clio. No i przypomnij sobie hasło agencji Benton i Bowes: „Jeśli się nie sprzedaje, nie jest dobre”.

- To również absurd - warknęła Teresa. - Kampania jest bez zarzutu. Ale dział finansowy nie jest w stanie namówić klientów do wykupienia odpowiedniej ilości czasu. Powinni wskoczyć do licznych stacji lokalnych, choćby w minimalnym wymiarze.

- Z całym szacunkiem, kupiliby więcej czasu, gdyby podobały im się nasze reklamówki - zauważył Robert. - Nie sądzę, aby zaakceptowali kiedykolwiek ten pomysł „oni kontra my”, „starożytna medycyna kontra nowoczesna”. Możliwe, że to nawet zabawne, ale nie wiem, czy spodziewają się, iż widzowie wysnują z tego wniosek o przedpotopowych metodach leczenia w szpitalach konkurujących z siecią NHC, szczególnie AmeriCare. Mój osobisty pogląd jest taki, że to nie trafia do ludzi.

- Tak naprawdę uważasz, że National Health Care potrzebuje specjalnego rodzaju reklamy - odezwał się Brian. - Powiedz Teresie to, co przed jej przyjściem powiedziałaś nam.

- To proste - oznajmił Robert. - Chcą gadających głów. Zarówno dyskusji o doświadczeniach pacjentów, jak i znakomitych dyskutantów. Mniej uwagi poświęcają temu, czy ich reklamówka wygra Clio lub jakąś inną nagrodę. Chcą efektów. Chcą panowania nad rynkiem, a ja chcę im to dać.

- Czy ja dobrze słyszę, że Willow i Heath chce odwrócić się plecami do swoich sukcesów i przemienić w zwykłego sprzedawcę sklepowego? - zapytała Teresa. - Teraz, kiedy wchodzimy do pierwszej ligi firm? Jak mamy się tam dostać? Mamy taką pozycję, ponieważ robimy reklamówki wysokiej jakości. Kontynuujemy tradycje Doyle-Dane-Bernback. Jeżeli zaczniemy pozwalać klientom na dyktat, zjedziemy na dół, będziemy zgubieni.

- Jesteśmy świadkami zwykłego konfliktu między finansistami i twórcami - wtrącił się do rozmowy milcząco dotychczas Taylor. Wygasił rozpalający się ogień kłótni. - Robercie, tobie się zdaje, że Teresa jest nieodpowiedzialnym dzieckiem, które robi to, na co ma ochotę, i uparcie nie liczy się z klientem. Tereso, ty postrzegasz Roberta jako pragmatyka pozbawionego wyobraźni, który zamierza wylać dziecko z kąpielą. Kłopot w tym, że równocześnie oboje macie rację i oboje się mylicie. Musicie współdziałać ze sobą jak w drużynie. Przestańcie się spierać i załatwcie problem od ręki.

- No dobrze - chciał zakończyć sprawę Brian. - Tak wygląda sprawa na dziś. National Health jest wymarzonym partnerem dla osiągnięcia przez nas długofalowej stabilizacji. Trzydzieści kilka dni temu poprosili nas o sprawozdanie, które mieliśmy dostarczyć za kilka miesięcy. Teraz powiedzieli, że chcą je za tydzień.

- Tydzień! - krzyknęła Teresa, nie przejmując się obecnością innych. - Mój Boże! Przygotowanie nowej kampanii i wdrożenie jej zabierze kilka miesięcy.

- Wiem, że zespół twórców zostanie poddany potężnej presji - powiedział Brian. - Ale prawda jest taka, że rządzi National Health Care. Kłopot polega na tym, że jeśli nie poczują się usatysfakcjonowani nową kampanią, dadzą ogłoszenie i pakiet ich zamówień stanie się kąskiem do przechwycenia. Nie muszę wam mówić, że te giganty zajmujące się opieką zdrowotną w następnej dekadzie staną się kurą znoszącą złote jajka. Wszystkie agencje są nimi zainteresowane.

- Jako główny dyrektor ekonomiczny czuję się w obowiązku poinformować obecnych o skutkach straty zamówień National Health dla naszej egzystencji - odezwał się milcząco dotąd Phil Atkins. - Będziemy musieli odłożyć reorganizację firmy, gdyż zabraknie nam funduszy na wykupienie naszych akcji.

- Oczywiście we wspólnym naszym interesie leży, aby nie stracić tego portfela zamówień - dodał Brian.

- Mimo wszystko nie wydaje mi się, aby możliwe było rozpoczęcie akcji w następnym tygodniu - sceptycznie stwierdziła Teresa.

- Nie masz nic, co mogłabyś nam w tej chwili pokazać? -zapytał Brian.

Teresa pokręciła przecząco głową.

- Musisz mieć coś - twardo powiedział Robert. - Słyszałem, że twój zespół nad tym pracuje. - Zły uśmiech zabłąkał się znowu w kącikach jego ust.

- Oczywiście, że mamy zespół pracujący dla National Health - odparła Teresa. - Ale nie mamy jak dotąd nic wystrzałowego. No cóż, sądziliśmy, że mamy jeszcze kilka miesięcy.

- Może powinnaś wyznaczyć dodatkowych ludzi - zasugerował Brian. - Ale to zostawiam do twojej decyzji. - Do pozostałych zaś powiedział: - Na razie odkładamy spotkanie, do czasu aż otrzymamy coś z biura projektów. - Wstał, a za nim wszyscy obecni.

Oszołomiona przebiegiem zdarzeń Teresa potknęła się, wychodząc z „chaty”.

Natychmiast skierowała się do działu projektowego piętro niżej.

Firma Willow and Heath przeciwstawiła się modzie końca lat siedemdziesiątych i lat osiemdziesiątych, kiedy to nowojorskie firmy reklamowe przenosiły się do odmiennych stylowo dzielnic miasta, na przykład TriBeCa lub Chelsea. Agencja wróciła na stare śmieci, na Medison Avenue i wynajęła kilka pięter skromnego budynku.

Teresa znalazła Colleen przy desce kreślarskiej.

- Dlaczego jesteś taka blada? Co się stało? Mów! - Colleen przywitała przyjaciółkę pytaniami.

- Kłopoty - odpowiedziała krótko Teresa.

Colleen była pierwszą pracownicą w zespole Teresy. Była najsolidniejszym kierownikiem działu projektów. Znakomicie się rozumiały tak w sprawach zawodowych, jak i prywatnych. Colleen była kobietą o mlecznobiałej karnacji i jasnorudych włosach. Na zadartym nosie rozsiane miała drobne, blade piegi. Oczy w kolorze zimnego błękitu były bardziej wyraziste niż u Teresy. Lubiła obszerne bluzy, które jakoś dziwnie zamiast skrywać, raczej podkreślały jej godną pozazdroszczenia figurę.

- Niech zgadnę - powiedziała Colleen. - National Health wyznaczył nieprzekraczalny termin na sprawozdanie?

- Skąd wiesz?

- Intuicja. Kiedy powiedziałaś „kłopoty”, to była najgorsza rzecz, która przyszła mi do głowy.

- Robert i Helen zrobili przedstawienie. Poinformowali, że National Health stracił kontrolę nad większą częścią rynku na rzecz AmeriCare pomimo naszej kampanii.

-

Cholera!

To

dobrze

opracowana

kampania

ze

znakomitym

sześćdziesięciosekundowym spotem.

- Ty to wiesz i ja to wiem - powiedziała Teresa. - Rzecz w tym, że nie jest to dostatecznie widoczne na zewnątrz. Mam takie nieprzyjemne podejrzenie, że Helen kopie pod nami i namówiła ich, żeby wbrew swoim pierwotnym planom nie kupowali dwustu, może nawet trzystu jednostek reklamowych w TV. To dałoby odpowiednie nasycenie. Wiem, że zadziałałoby.

- Pamiętam, jak mówiłaś, że dasz z siebie wszystko, aby zagwarantować National Health wzrost wpływów na rynku.

- I dałam - odpowiedziała Teresa. - Zrobiłam wszystko, o czym można było pomyśleć, i jeszcze więcej. To jest moja najlepsza reklamówka. Sama tak mówiłaś.

Teresa potarła czoło. Zaczynała czuć przejmującą migrenę. Krew pulsowała w skroniach, tak jakby chciała rozsadzić głowę.

- Możesz mi powiedzieć wszystkie złe wieści - zapewniła Colleen. Odłożyła ołówek i stanęła twarzą w twarz z Teresą. - Jaki termin wyznaczyli?

- National Health pragnie, abyśmy zaczęli nową kampanię w przyszłym tygodniu.

- Dobry Boże! - z niedowierzaniem zawołała Colleen.

- Czym w tej chwili dysponujemy?

- Prawie niczym.

- Musisz mieć jakieś pomysły, wstępne projekty. Doskonale wiem, że nie dawałam ci żadnych poleceń, skoro mieliśmy na głowie trzy inne terminowe zamówienia. Ale twój zespół pracuje nad tym od ponad miesiąca.

- Mieliśmy dwa spotkania poświęcone strategii. Burzę mózgów raz i drugi, ale ani jednego godnego uwagi pomysłu. Żadnego błysku ani olśnienia. Mówię o czymś, czego, jak sądzę, szukasz.

- Nieważne, chcę zobaczyć wszystko, co masz - zakończyła sprawę Teresa. -

Nieważne, jak szkicowe czy wstępne. Chcę zobaczyć, co robiliście przez miesiąc. Dzisiaj.

- Jasne - odparła bez entuzjazmu Colleen. - Zwołam spotkanie zespołu.

Rozdział 3

Środa, godzina 11.15, 20 marca 1996 roku

Susanne Hard nigdy nie lubiła szpitali.

Skrzywienie kręgosłupa, na które cierpiała, zmuszało ją do ciągłego leczenia szpitalnego już od dziecka. Bała się szpitali. Nie znosiła tego braku kontroli nad samym sobą i poczucia otoczenia przez chorych i umierających.

Święcie wierzyła w powiedzenie, że jeżeli coś ma pójść źle, to pójdzie. Szczególnie dotyczyło to szpitali. I rzeczywiście, przy ostatnim przyjęciu została skierowana na urologię, gdzie musiała przejść jakąś przerażającą procedurę, zanim oporny lekarz uznał jej protesty, sprawdził nazwisko wypisane na przyczepionej do jej nadgarstka wizytówce i przyznał, że zaszła pomyłka.

Tym razem nie była chora. Zeszłej nocy zaczął się jej drugi w życiu poród. Jakby nie dość problemów miała z kręgosłupem, to jeszcze jej miednica była skrzywiona i uniemożliwiała poród drogami natury. Tak jak przy pierwszym dziecku czekało ją więc cesarskie cięcie.

Lekarz nalegał, aby po operacji pozostała kilka dni w szpitalu. Gdyby to od niej zależało, nalegania lekarza nie odniosłyby skutku.

Próbowała się zrelaksować, zgadując, jakie dziecko przyszło właśnie na świat. Czy będzie jak jego brat, Allen, równie cudownym dzieckiem? Allen przesypiał wszystkie noce niemal od pierwszego dnia. Był prawdziwą radością, a teraz, gdy miał już trzy latka i niemal osiągnął samodzielność, Susanne postanowiła mieć kolejne dziecko. Myślała o sobie jako o

urodzonej matce.

Ocknęła się wystraszona. Zdziwiła się, że w ogóle zasnęła. Obudziła ją biało ubrana postać stojąca u wezłowia przy wieszaku na kroplówkę.

- Co pani robi? - zapytała Susanne. Czuła wręcz paranoiczny strach, kiedy ktoś robił coś, o czym nie wiedziała.

- Przepraszam, że panią obudziłam, pani Hard - odezwała się pielęgniarka. - Wieszam jedynie nową butelkę z kroplówką. Poprzednia się skończyła.

Susanne zerknęła na wbitą w grzbiet dłoni igłę. Jako doświadczona pacjentka zasugerowała, iż chyba nadszedł czas na zrezygnowanie z kroplówki.

- Może powinnam to sprawdzić - odpowiedziała siostra i kołyszącym się krokiem wyszła z pokoju.

Wykręcając głowę do tyłu, Susanne spojrzała na świeżo zawieszoną butelkę. Chciała się zorientować, co jej podają, lecz butelka zawieszona była do góry nogami i nie zdołała przeczytać napisu na etykiecie.

Miała zamiar przewrócić się na bok, ale natychmiast dał znać o sobie gwałtowny ból, przypominając o minionym zabiegu. Zdecydowała się pozostać na plecach.

Ostrożnie wzięła głęboki wdech. Niczego niepokojącego nie poczuła.

Zamykając oczy, spróbowała się uspokoić. Zdawała sobie sprawę, że ciągle jest pod wpływem silnej dawki środków przeciwbólowych i usypiających podanych przed zabiegiem, nie powinna więc mieć kłopotów z zaśnięciem. Nie była jednak pewna, czy życzy sobie zasnąć w pokoju, do którego ciągle ktoś wchodzi i wychodzi.

Bardzo delikatny odgłos plastyku uderzającego o plastik wyodrębnił się ze szpitalnego szumu i wzbudził uwagę Susanne. Natychmiast otworzyła oczy. Tuż obok biurka zobaczyła sanitariusza.

- Przepraszam! - zawołała.

Sanitariusz obrócił się. Był przystojnym mężczyzną w białym kitlu. Stał za daleko, aby Susanne zdołała dostrzec nazwisko na przypiętej do kieszeni wizytówce. Robił wrażenie zaskoczonego wołaniem Susanne.

- Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem pani - powiedział młody mężczyzna.

- Wszyscy mi przeszkadzają - odparła kąśliwie. - Czuję się tutaj jak na dworcu głównym.

- Niezwykle mi przykro - odpowiedział mężczyzna. - Wrócę później, jeśli pani sobie życzy.

- Co pan robi? - zapytała.

- Tylko napełniam nawilżacz - wyjaśnił.

- A po cóż mi nawilżacz? - znowu zapytała Susanne. - Po pierwszej cesarce nie potrzebowałam go, to dlaczego teraz mam go potrzebować?

- Anestezjologzy często każą je włączać o tej porze roku - odpowiedział sanitariusz. -

Zaraz po operacji pacjenci często cierpią z powodu suchości w gardle. Użycie nawilżacza zazwyczaj pomaga w pierwszym dniu, czasami wystarcza tylko kilka godzin. W którym miesiącu rodziła pani poprzednie dziecko?

- W maju.

- I to pewnie jest powód, dla którego wtedy nie dostała pani nawilżacza. Czy życzy sobie pani, abym wrócił później?

- Rób pan, co do pana należy - odpowiedziała Susanne.

Gdy tylko wyszedł sanitariusz, wróciła pielęgniarka.

- Miała pani rację. Zgodnie z poleceniem po opróżnieniu pierwszej butelki należy odłączyć kroplówkę.

Susanne ledwo skinęła. Już chciała zapytać, czy zapominanie poleceń lekarzy jest rutynowym zachowaniem pielęgniarki, ale dała spokój. Pragnęła jak najszybciej stąd wyjść.

Po odłączeniu kroplówki Susanne zdołała się na tyle odprężyć, że zasnęła. Nie na długo jednak. Ktoś potrząsnął ją za ramię.

Susanne otworzyła oczy i spojrzała w uśmiechniętą twarz innej pielęgniarki. Na pierwszy plan wybijała się strzykawka gotowa do użycia.

- Mam coś dla pani - powiedziała siostra, jakby Susanne była dzieckiem, a strzykawka cukierkiem.

- Co to? - zapytała Susanne. Instynktownie cofnęła się.

- To zastrzyk przeciwbólowy, o który pani prosiła - wyjaśniła siostra. Proszę więc odwrócić się, a ja podam lekarstwo.

- Nie prosiłam o żaden zastrzyk - zaprzeczyła Susanne.

- Ależ oczywiście, że pani prosiła - upierała się siostra.

- Na pewno nie - Susanne powtórzyła swoje.

Wyraz twarzy pielęgniarki zmienił się nagle, jakby chmura przesłoniła słońce.

- W takim razie jest to polecenie lekarza. Będzie pani dostawać zastrzyk co sześć godzin.

- Ale nie odczuwam dotkliwego bólu. Jedynie kiedy się poruszam albo głęboko oddycham.

- A no właśnie - podchwyciła siostra. - Musi pani oddychać głęboko, inaczej złapie pani zapalenie płuc. No dalej, proszę być grzeczną dziewczynką.

Susanne zastanowiła się przez moment. Z jednej strony miała ochotę się sprzeciwić. Z drugiej jednak strony chciała, aby się nią opiekowano, i nie widziała nic złego w przeciwbólowych zastrzykach. Może nawet pomogą jej lepiej zasnąć.

- No dobrze - zgodziła się w końcu.

Zaciskając zęby, odwróciła się, a pielęgniarka wstrzyknęła jej w pośladek dawkę środka przeciwbólowego.

Rozdział 4

Środa, godzina 14.05, 20 marca 1996 roku

- Dobrze wiesz, że Laurie ma rację - stwierdził Chet McGovern.

Chet i Jack siedzieli w wąskim pokoju, który dzielili, na czwartym piętrze budynku medycyny sądowej. Każdy z nich trzymał nogi na własnym szarym, metalowym biurku. Skończyli autopsje na ten dzień, zjedli lunch i zamierzali za chwilę zabrać się do papierkowej roboty.

- Jasne, że ma rację - przyznał Jack.

- No to jeśli to wiesz, po co prowokujesz Calvina? Nie zachowujesz się racjonalnie.

Nie dajesz sobie żadnych szans. Przecież to musi wpłynąć na awans.

- Nie chcę się piąć w górę - oznajmił Jack.

- Czy dobrze zrozumiałem? - zapytał Chet. W medycynie pomysł, aby dobrowolnie zrezygnować z ubiegania się o awans, uznawany był za herezję.

Jack zdjął nogi z biurka. Wstał, przeciągnął się i głośno ziewnął. Był krępy męczyzną, wzrostu metr osiemdziesiąt, przyzwyczajonym do fizycznej aktywności. Stanie przy stole autopsyjnym, a potem siedzenie przy biurku powodowało kurcze mięśni, szczególnie nóg.

- Lubię być dolnym wizerunkiem na totemie - powiedział Jack, strzelając stawami napinanych palców.

- Nie chciałbyś zrobić kolejnego stopnia specjalizacji? - zapytał Chet z niedowierzaniem.

- Oczywiście, że chciałbym zrobić kolejny stopień specjalizacji - odrzekł Jack. - Ale to nie to samo. Dopóki chodzi o zrobienie stopnia specjalizacji, dopóty jest to sprawa osobista. A to, o co ja nie dbam, to odpowiedzialność nadzorcy. Po prostu chcę wykonywać robotę patologa sądowego. Do diabła z biurokracją i protokołem.

- Jezu - mruknął Chet, również zdejmując nogi z biurka. - Za każdym razem, gdy wydaje mi się, że już cię trochę poznałem, rzucasz podkręconą piłkę. Pracujemy razem już pięć miesięcy, a ty ciągle jesteś nie rozwiązana zagadką. Psiakrew, przecież nawet nie wiem, gdzie mieszkasz.

- Nie przypuszczałem, że to cię obchodzi.

- Hejże, przecież wiesz, o czym mówię.

- Mieszkam na Upper West Side - poinformował przyjaciela Jack. - To żadna tajemnica.

- W okolicy Siedemdziesiątej? - zapytał Chet. - Nieco dalej.

- Osiemdziesiątej?

- Dalej.

- No nie, chyba nie chcesz powiedzieć, że dalej niż Dziewięćdziesiąta? - z niedowierzaniem powiedział Chet.

- Prawie - odparł Jack. - Mieszkam przy Sto Szóstej.

- Wielkie nieba! - zawołał Chet. - Mieszkasz w Harlemie.

Jack wzruszył ramionami. Usiadł przy biurku i sięgnął po nie dokończony formularz.

- A cóż w tym złego? - zapytał.

- Po jaką cholerę mieszkać w Harlemie? Tyle jest przyzwoitych miejsc w mieście i dookoła. Dlaczego tam? To nie może być miła okolica. Poza tym chyba dość niebezpieczna.

- Nie widzę tego w ten sposób - odparł Jack. - A do tego jest tam mnóstwo boisk

sportowych, jedno z lepszych całkiem niedaleko mojego mieszkania. Wariuję na punkcie kozłowania piłki i koszykówki.

- Teraz wiem na pewno, że jesteś wariatem - stwierdził Chet. - Te boiska i gry z piłką kontrolują różne gangi. To zupełnie jakby pragnąć śmierci. Obawiam się, że możemy cię tu kiedyś oglądać w kawałkach i to wcale nie jako jednego z herosów roweru górskiego.

- Nigdy nie miałem żadnych kłopotów. A poza tym zapłaciłem za nowe tablice do gry i światła i kupiłem piłki. Gang z sąsiedztwa docenia moje starania i nawet troszczy się o boisko.

Chet przyglądał się koledze ze strachem. Próbował wyobrazić sobie Jacka biegnącego po czarnym asfalcie boisk Harlemu. Widział w myślach, jak wyróżnia się z otoczenia ze swoimi jasnobrunatnymi włosami przyciętymi a la Juliusz Cezar. Ciekawe, czy któryś z graczy wie cokolwiek o Jacku, na przykład, że jest lekarzem. Uświadomił sobie jednak, że sam wie niewiele więcej.

- Co robiłeś, zanim poszedłeś na studia medyczne? - zapytał Jacka.

- Chodziłem do szkoły średniej. Zupełnie jak większość ludzi, którzy skończyli studia medyczne. Nie mów mi, że ty nie chodziłeś do szkoły średniej.

- Oczywiście, że chodziłem. Calvin ma rację: jesteś mądrała. Wiesz, o co pytani. Co robiłeś przed specjalizacją z patologii? - Chet od wielu miesięcy pragnął zadać to pytanie, ale nigdy nie było odpowiedniej chwili.

- Zostałem okulistą - wyznał Jack. - Miałem nawet praktykę w Champaign, w Illinois. Wiodłem życie zwykłego, konserwatywnego mieszkańca przedmieścia.

- Tak, no jasne, a ja byłem wtedy mnichem buddyjskim - zaśmiał się Chet. - Chociaż właściwie mogę sobie ciebie wyobrazić jako okulistę. W końcu sam byłem przez kilka lat lekarzem pogotowia ratunkowego, zanim mnie oświeciło. Ale konserwatysta? Nie, w żadnym

razie nie uwierzę.

- Tak było - powtórzył Jack. - Na imię miałem wtedy John, nie Jack. Oczywiście nie rozpoznałbyś mnie. Miałem dłuższe włosy niż dzisiaj i czesałem je na prawą stronę, jak w szkole. No, a jeśli interesuje cię, w co się ubierałem, to preferowałem szkocką kratę.

- Co się stało? - Chet spoglądał na czarne dżinsy Jacka, niebieską sportową koszulę i granatowy krawat.

Stukanie we framugę drzwi zwróciło uwagę Cheta i Jacka. Odwrócili głowy i ujrzeli Agnes Finn, szefową laboratorium. Stała w drzwiach. Była niską, poważną kobietą w okularach z grubymi szklami i prostymi jak druty włosami.

- Mamy coś trochę zaskakującego - zwróciła się do Jacka. W ręku trzymała kartkę.

Zawahała się na progu. Jednak srogi wyraz jej twarzy nie zmienił się.

- Chcesz, żebyśmy zgadywali czy co? - zapytał Jack. Jego ciekawość rosła, w miarę jak przedłużało się milczenie Agnes.

Poprawiła okulary na nosie i wręczyła Jackowi wyniki.

- To badania na przeciwcięża. Prosiłeś o nie w sprawie Nodelmana.

- Słowo daję! - powiedział tylko, rzuciwszy okiem na kartkę. Podał ją Chetowi. Ten spojrzał i aż podskoczył.

- A niech to! Nodelman miał cholerną dzumę?

- Oczywiście, nas także zaskoczyły wyniki - powiedziała Agnes swym zwykłym monotonnym głosem. - Czy coś jeszcze chciałbyś od nas?

Jack zagryzał dolną wargę, gdy myślał.

- Wyhodujmy kultury z wydzieliny któregoś z wrzodów. I spróbujmy zwykłych barwników. Które będą najlepsze na dzumę?

- Giemsa lub Waysona. Zazwyczaj one właśnie najlepiej potrafią ukazać

dwubiegunową morfologię.

- Dobra, zrobmy to. Oczywiście najważniejsze to wyhodować wirus. Dopóki tego nie zrobimy, przypadek jest tylko prawdopodobną dżumą.

- Rozumiem - odpowiedziała Agnes i skierowała się w stronę drzwi.

- Nie muszę chyba przypominać, że powinniście być ostrożni! - Jack zawołał za Agnes.

- Nie ma potrzeby - odpowiedziała. - Mamy nowoczesne urządzenia zabezpieczające i nie omieszkam z nich skorzystać.

- Niesamowite - powiedział Chet, gdy zostali sami. - Skąd, do diabła, wiedziałeś?

- Nie wiedziałem - przyznał uczciwie Jack. - Calvin zmusił mnie do postawienia diagnozy. Prawdę powiedziawszy, myślałem, że żartuję. Faktycznie, objawy się zgadzały, ale i tak sądziłem, że łatwiej znaleźć śnieg w piekle niż dżumę w Nowym Jorku. No ale teraz to już nie jest zabawna sprawa. Jediną korzyścią jest dziesięć dolców, które wygrałem od Calvina.

- Znienawidzi cię za nie - stwierdził Chet.

- O to dbam najmniej - skwitował Jack. - Jestem oszołomiony. Przypadek dżumy płucnej w marcu w Nowym Jorku, najprawdopodobniej złapanej w szpitalu! To nie może być prawdą, chyba że Manhattan General utrzymuje armię szczurów z pchłami. Nodelman musiał mieć kontakt z zarażonym zwierzęciem. Sądzę, że ostatnio podróżował. - Złapał za słuchawkę telefonu.

- Do kogo dzwonisz?

- Do Bingham, oczywiście - odpowiedział Jack i wybrał właściwy numer. - Nie możemy dopuścić do jakichś opóźnień. Chcę jak najszybciej pozbyć się tego gorącego ziemniaka.

Telefon odebrała pani Sanford. Poinformowała, że doktor Bingham jest niestety w ratunku i zostanie tam najpewniej cały dzień. Zostawił polecenie, aby nie niepokoić go w czasie narady z burmistrzem.

- To tyle, jeśli chodzi o szefa - podsumował Jack.

Nie odłożył słuchawki, lecz zadzwonił do Calvina. I tu mu się nie powiodło.

Sekretarka oznajmiła, że Calvina nie będzie cały dzień. Jakaś choroba w rodzinie. Odłożył słuchawkę i zaczął bębnić palcami po biurku.

- Bez skutku? - zapytał Chet.

- Cała góra jest chwilowo niedysponowana lub nieosiągalna. Pozostaliśmy sami sobie.

- Jack nagle zerwał się z krzesła i wyszedł z biura.

Chet pospieszył za kolegą.

- Dokąd cię niesie? - Musiał prawie biec, żeby dotrzymać kroku Jackowi.

- Na dół, porozmawiać z Bartem Arnoldem. - Wszedł do windy i przycisnął dolny guzik. - Potrzebuję więcej informacji. Ktoś musi się dowiedzieć, skąd przyszła zaraza, albo miasto znajdzie się w prawdziwym kłopotcie.

- Nie będzie lepiej, jeśli poczekaasz na Bingham? - zapytał Chet. - Niepokoi mnie wyraz twoich oczu.

- Nie wiedziałem, że tak łatwo mnie przejrzeć - zaśmiał się Jack. - Ten przypadek to moja sprawa. Podnieca mnie.

Drzwi windy otworzyły się i Jack wyszedł. Chet przytrzymał je przed zamknięciem.

- Jack, zrób mi grzeczność i bądź ostrożny. Dobrze mi się pracuje z tobą w jednym pokoju. Nie rozpętuj zbyt wielu wichrów.

- Ja? - zapytał niewinnie Jack. - Jestem Mister Dyplomacja.

- A ja Muammar Kadafi. - Puścił drzwi, które zamknęły się z szelestem.

Gdy winda ruszała, Jack zanucił pod nosem dziarską melodię. Dodawał sobie otuchy, ale był też zadowolony z siebie. Uśmiechnął się, kiedy przypomniał sobie, co powiedział Laurie. Miał nadzieję, że Nodelman okaże się przypadkiem poważnej choroby szpitalnej, na przykład choroby legionistów, i w efekcie, on, Jack, przyprawi AmeriCare o prawdziwą zgałę. Dżuma byłaby dziesięć razy lepsza. A oprócz tego, że dołoży AmeriCare, z przyjemnością odbierze dziesięć dolców od Calvina.

Jack wszedł na parter i skierował się prosto do biura Barta Arnolda. Bart był przełożonym asystentów. Jack ucieszył się, że zastał go w pokoju.

- Mamy diagnozę prawdopodobnej dżumy. Muszę natychmiast porozmawiać z Janice Jaeger - powiedział Jack.

- Będzie spała - odparł Bart. - Czy to nie może poczekać?

- Nie.

- Bingham albo Calvin wiedzą już o tym?

- Obaj wyszli i nie wiem, kiedy wrócą.

Bart zawahał się przez moment, wreszcie otworzył boczną szufladę biurka. Sprawdził numer Janice i wykręcił go. Gdy odebrała telefon, przeprosił, że ją budzi, i wyjaśnił, że doktor Stapleton koniecznie musi z nią porozmawiać. Wręczył mu słuchawkę.

Jack także przeprosił, a następnie poinformował o Nodelmanie. Wszelkie oznaki senności w głosie Janice zniknęły jak ręką odjął.

- W czym mogę ci pomóc? - zapytała.

- Czy znalazłaś jakieś informacje o podróżach w wywiadach szpitalnych?

- Nie przypominam sobie.

- A jakieś sygnały o kontaktach ze zwierzętami domowymi lub dzikimi?

- Nie - odpowiedziała. - Ale mogę przyjechać wieczorem i to sprawdzić. Tego rodzaju

pytań zazwyczaj się nie zadaje.

Jack podziękował jej i obiecał, że sam zajmie się wyjaśnieniem sprawy. Odłożył słuchawkę, podziękował Bartowi i pospieszył do siebie.

Chet podniósł wzrok, gdy Jack wpadł do pokoju.

- Dowiedziałeś się czegoś? - zapytał.

- Niczego, o co pytałem - odrzekł szczęśliwy. Złapał teczkę Nodelmana. Wertując szybko dokumenty, znalazł formularz osobisty zmarłego. Były tam zapisane numery telefonów do najbliższych denata. Przesuwając wskazującym palcem po papierze, wybrał numer do żony Nodelmana. Połączenie z Bronxem.

Po drugim sygnale odebrała pani Nodelman.

- Nazywam się doktor Stapleton - przedstawił się Jack. - Jestem lekarzem sądowym dla miasta Nowy Jork. - Od razu wyjaśnił, kto to jest lekarz sądowy, gdyż nawet dawne określenie „koroner” nic nie mówiło pani Nodelman.

- Chciałbym zadać pani kilka pytań - powiedział, kiedy zrozumiała, z kim rozmawia.

- To się stało tak nagle - zaczęła i zaczęła płakać. - Był cukrzykiem, prawda. Ale nic nie wskazywało, że może umrzeć tak nagle.

- Bardzo pani współczuję z powodu straty. Czy pani mąż w ostatnim czasie odbywał jakieś podróże?

- Był w New Jersey jakiś tydzień temu. - Jack usłyszał, że wysiąkała nos.

- Myślałem o podróżach w odleglejsze strony - poprawił się Jack. - Na Południowy Zachód albo może do Indii.

- Codziennie jeździł wyłącznie na Manhattan - odpowiedziała pani Nodelman.

- A może odwiedził państwa ktoś z egzotycznych stron?

- W grudniu odwiedziła nas ciotka Donalda.

- Skąd przyjechała?

- Z Queens.

- Queens - powtórzył Jack. - Nie to miałem na myśli. A czy może miał mąż jakieś kontakty z dzikimi zwierzętami? Królikami dajmy na to?

- Nie, Donald nie znosił królików.

- Czy macie państwo jakieś zwierzątka domowe?

- Mamy kota.

- Czy kot jest chory? Albo może przyniósł do domu jakiegoś zagryzionego gryzonia?

- Kotka ma się dobrze - oznajmiła pani Nodelman. - To domowa kotka i nigdy nie wychodzi na dwór.

- A co ze szczurami? - drążył dalej Jack. - Czy widuje pani sporo szczurów w pobliżu domu? Czy spostrzegła pani ostatnio jakiegoś martwego?

- W ogóle nie mamy tu szczurów - odparła z oburzeniem pani Nodelman. -

Zajmujemy ładne, czyste mieszkanie.

Jack chciał jeszcze zadać jakieś pytania, ale nie bardzo wiedział w tej chwili, o co pytać.

- Pani Nodelman, była pani niezwykle uprzejma, odpowiadając na wszystkie pytania.

Powodem, dla którego je zadałem, jest nasze podejrzenie, że mąż pani zmarł na bardzo poważną chorobę zakaźną. Być może na dżumę.

Po drugiej stronie słuchawki zapanowała całkowita cisza.

- Ma pan na myśli chorobę morową, jaka zdarzała się w Europie wieki temu? -

zapytała pani Nodelman.

- Którąś z jej odmian - wyjaśnił Jack. - Dżuma przybiera dwie postacie kliniczne:

dymieniczą i płucną. Pani mąż prawdopodobnie miał dżumę płucną, która zdaje się bardziej

zaraźliwa. Radziłbym pani pójść do lekarza i poinformować go o możliwym zarażeniu. Z pewnością zaaplikuje pani leki zapobiegające chorobie. Radziłbym także pani zabrać kotkę do weterynarza i powiedzieć mu to samo.

- Czy mówi pan poważnie? - zapytała pani Nodelman.

- Bardzo poważnie - odpowiedział Jack. Podał jej swój numer telefonu, na wypadek gdyby nasunęły jej się jakieś pytania. Poprosił także, by dała mu znać, jeśli weterynarz odkryje coś podejrzanego u kota. Odłożył słuchawkę i odwrócił się w stronę Cheta: -

Tajemnica pogłębia się. - I dodał zadowolony: - Wszystko wskazuje na to, że AmeriCare dostanie naprawdę ostrej niestrawności.

- To jest właśnie ten wyraz twarzy, który mnie tak niepokoi - odezwał się Chet.

Jack zaśmiał się, wstał i wyszedł z pokoju.

- A teraz dokąd?! - zawołał za nim Chet.

- Powiedzieć Laurie Montgomery, co się dzieje. Chyba dziś jest naszą przełożoną. Musi zostać powiadomiona.

Kilka minut później Jack wrócił.

- Co powiedziała?

- Jest równie oszołomiona jak my. - Zanim usiadł, chwycił książkę telefoniczną.

Otworzył na stronach, gdzie widniał spis urzędów miejskich.

- Kazała ci zrobić coś szczególnego? - zapytał Chet.

- Nie - odparł Jack. - Kazała postępować ostrożnie, zanim Bingham dowie się o wszystkim. Prawdę powiedziawszy, próbowała dodzwonić się do naszego prześwieanego szefa, lecz on ciągle jest nieosiągalny. Konferuje z burmistrzem.

Jack znowu chwycił za słuchawkę i wybrał numer.

- Do kogo znowu dzwonisz? - zapytał Chet.

- Do Patricii Markham, pełnomocnika rządu do spraw zdrowia - odpowiedział. - Nie zamierzam czekać.

- Wielki Boże! - zawołał Chet, wznosząc do góry spojrzenie. - Czy nie powinieneś zostawić tego Binghamowi? Chcesz się kontaktować z górą poza plecami szefa?

Jack nie raczył odpowiedzieć. Zajęty był podawaniem swych danych sekretarce pani pełnomocnik. Kiedy kazała mu poczekać, przykrył słuchawkę ręką i szepnął do Cheta:

- Niespodzianka, niespodzianka, zastałem ją.

- Na sto procent, że Binghamowi nie spodoba się to, co robisz - skwitował radość kolegi Chet.

Jack odsunął rękę ze słuchawki i uciszył w ten sposób Cheta.

- Halo, pani pełnomocnik - odezwał się do telefonu Jack. - Kłaniam się. Mówi Jack Stapleton z zakładu medycyny sądowej.

Chet z niedowierzaniem słuchał poufałego tonu Jacka.

- Przykro mi, że zawracam pani głowę - kontynuował Jack - ale czuję, że musimy porozmawiać. Doktor Bingham i doktor Washington są chwilowo nieosiągalni, a sytuacja rozwija się, i sędzę, iż powinna pani o niej wiedzieć. Właśnie zdiagnozowaliśmy przypadek prawdopodobnej dżumy u pacjenta z Manhattan General Hospital.

- Mój Boże! - Doktor Markham krzyknęła do słuchawki tak głośno, że usłyszał ją nawet Chet. - To przerażające. Mam nadzieję, że tylko jeden.

- Jak na razie - odparł Jack.

- Dobrze, zawiadomię Miejską Radę Zdrowia. Przejmą sprawę w swoje ręce i skontaktują się z Centrum Kontroli Chorób. Dziękuję za ostrzeżenie. Jak pan się nazywa?

- Stapleton. Jack Stapleton.

Jack odłożył słuchawkę z pełnym satysfakcji uśmiechem na ustach.

- Może powinieneś szybko sprzedać swoje akcje AmeriCare - poradził Chetowi. - Pani pełnomocnik wydawała się zaniepokojona.

- Może lepiej, żebyś ty się rozglądął za nową robotą - odpowiedział Chet. - Bingham wścieknie się, kiedy się dowie, co zrobiłeś.

Jack gwizdał pod nosem, przeglądając jeszcze raz teczkę z dokumentacją Nodelmana.

W wywiadzie lekarskim znalazł nazwisko doktora Carla Wainwrighta, które spisał sobie na kartce. Wstał i włożył swoją skórzaną kurtkę.

- Oho - zareagował natychmiast Chet. - A teraz co?

- Wychodzę do Manhattan General. Zrobię badania na miejscu. To zbyt poważny przypadek, żeby zostawić go lekarzom ogólnym.

Chet obrócił się na krześle, gdy Jack wychodził z pokoju.

- Wiesz, oczywiście, że Bingham niechętnie widzi nas, lekarzy sądowych, pracujących na miejscu zdarzenia. Narazasz się na niebezpieczeństwo. Możesz się zarazić.

- Zaryzykuję. W czasie specjalizacji było to obowiązkowe.

- Bingham uważa, że to robota asystentów lekarzy. Ciągłe nam to powtarza.

- To zbyt interesujący dla mnie przypadek, abym miał przejść obok obojętnie - odpowiedział już z głębi korytarza. - Broń twierdzy. Nie zabawię długo.

Rozdział 5

Środa, godzina 14.50, 20 marca 1996 roku

Niebo zasnuwane gęstymi chmurami groziło deszczem, lecz Jack nie przejmował się tym.

Bez względu na pogodę szalona przejażdżka rowerowa do Manhattan General była prawdziwą przyjemnością po całym dniu spędzonym w kosmicznym skafandrze w sali autopsyjnej.

Niedaleko frontowego wejścia do szpitala zauważył solidny znak drogowy, do którego

postanowił przymocować rower. Przyczepił nawet kask i kurtkę, przypinając je osobnym łańcuchem, tak że chroniły siodełko.

Stojąc w cieniu szpitala, Jack spoglądał na jego strzelistą fasadę. W swym poprzednim życiu był starym, szacownym, uniwersyteckim szpitalem. AmeriCare pożarła go w czasach trudności finansowych, jakie rząd nieświadomie zafundował służbie zdrowia na początku lat dziewięćdziesiątych. Chociaż Jack wiedział, że zemsta nie jest pragnieniem szlachetnym, rozsmakowywał się w nadziei, iż będzie mógł podłożyć AmeriCare prawdziwą bombę.

Po wejściu do środka skierował się do informacji i zapytał o doktora Carla

Wainwrighta. Dowiedział się, że jest on zatrudnionym w AmeriCare internistą. Jego biuro znajdowało się w skrzydle przyłączonym do głównego budynku. Siostra z informacji udzieliła bardzo dokładnych instrukcji, jak ma tam trafić.

Piętnaście minut później Jack znalazł się w poczekalni doktora. Gdy błysnął swoją odznaką lekarza sądowego, a wyglądała w istocie jak odznaka policyjna, recepcjonistka nie traciła nadaremnie czasu i natychmiast powiadomiła Carla Wainwrighta o czekającym gościu.

Jack został zaproszony do gabinetu i nie minęła nawet minuta, gdy zjawił się sam pan doktor Wainwright.

Był nieco przygarbionym, przedwcześnie posiwiałym mężczyzną. Jednak jego twarz z pogodnymi, niebieskimi oczami robiła wrażenie młodej. Uścisnęli sobie ręce, po czym Jack został poproszony o zajęcie miejsca w fotelu.

- Nie co dzień odwiedza nas ktoś z biura medycyny sądowej - zagaił doktor Wainwright.

- Byłoby niedobrze, gdybyśmy musieli przychodzić codziennie - odpowiedział Jack.

Doktor Wainwright spojrzał skonsternowany, aż wreszcie zrozumiał, że jego gość żartuje.

- Ma pan całkowicie rację - odparł, śmiejąc się.

- Przyszedłem w sprawie pańskiego pacjenta, Donalda Nodelmana - poinformował

Jack, przechodząc od razu do rzeczy. - Wszystko wskazuje na to, że zdiagnozowaliśmy u niego dżumę.

Wainwrightowi opadła szczęka.

- To niemożliwe - zdołał wykrztusić po dobrej chwili. Jack wzruszył ramionami.

- Sądzę, że możliwe. Badanie na antyciała dżumy jest całkiem solidne. Oczywiście nie wyhodowaliśmy jeszcze samych kultur, ale...

- Wielkie nieba. - Nerwowo tarł dłonią podbródek. - Szokująca wiadomość.

- To rzeczywiście niespodzianka - zgodził się Jack. - Tym bardziej, że przez pięć dni przed wystąpieniem objawów pacjent przebywał w szpitalu.

- Nigdy nie słyszałem o przypadku dżumy dymienicznej - wyznał doktor Wainwright.

- Ani ja - przyznał Jack. - Ale to nie dżuma dymienicza, lecz płucna i jak pan zapewne wie, okres inkubacji w tym przypadku jest krótszy, prawdopodobnie dwa, trzy dni.

- Jednak nie mogę w to uwierzyć. Zaraza? To mi nawet nie przeszło przez myśl.

- Ktoś jeszcze o podobnych objawach? - zapytał krótko Jack.

- Mnie nic przynajmniej o tym nie wiadomo, ale może być pan spokojny, że szybko je zlokalizujemy, jeśli są.

- Interesuje mnie życie tego mężczyzny - przyznał Jack. - Jego żona stanowczo

twierdzi, że nie podróżował, nie miał zagranicznych gości z miejsc endemicznie zagrożonych dżumą. Wątpi także, aby wszedł w kontakt z dzikim zwierzęciem. Czy to również zaprzątnęło pańską uwagę?

- Pracował w dziale odzieży. Zajmował się księgowością. Nigdy nie podróżował. Nie

był myśliwym. Ostatnio często go widywałem; próbowałem utrzymać jego poziom cukru pod

kontrolą.

- Na którym oddziale leżał?

- Na oddziale wewnętrznym, na szóstym piętrze. Pokój siedemset siedem.

Zapamiętałem ten numer.

- Pojedynczy pokój?

- Wszystkie nasze pokoje są jednoosobowe - odpowiedział doktor Wainwright.

- To może pomóc. Czy mogę zobaczyć pokój?

- Oczywiście. Jednak sądzę, że powinienem zawiadomić doktor Mary Zimmerman, która jest u nas lekarzem nadzorującym przypadki chorób zakaźnych. Musi się jak najszybciej o wszystkim dowiedzieć.

- Bez wątplenia - zgodził się Jack. - Tymczasem nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli pojedę na szóste piętro i rozejrzę się po pokoju?

- Proszę - odparł doktor Wainwright i gestem zaprosił Jacka do wyjścia. - Zadzwońię do doktor Zimmerman i spotkamy się na górze. - Sięgnął po telefon.

Jack wrócił do głównego budynku szpitala. Wsiadł do windy i pojechał na szóste piętro. Gdy wysiadł, zorientował się, że jest ono podzielone na dwie części. Północna część mieściła oddział chorób wewnętrznych, a skrzydło południowe zajmował oddział położniczo-ginekologiczny. Jack przeszedł przez drzwi prowadzące do skrzydła północnego.

Nie zdążył jeszcze zamknąć za sobą drzwi, a już wiedział, że informacja o zarazie dotarła na oddział. Nerwowa krzątanina, cały personel w świeżo rozdanych maskach na twarzy. Doktor Wainwright nie tracił czasu.

Nikt nie zwrócił uwagi na Jacka, gdy szedł do pokoju 707. Pchnął drzwi i zaskoczony zobaczył, jak dwóch pielęgniarzy z zakrytymi twarzami wywozi na łóżku zdziwionego pacjenta również w masce na twarzy. Trzymał kurczowo swoje rzeczy, był więc w pośpiechu

przenoszony do innego pokoju. Gdy tylko wyszli, Jack wszedł do środka.

Pokój 707 był trudną do opisaną salą szpitalną o nowoczesnym wystroju; całe wnętrze starego budynku musiało być całkiem niedawno wyremontowane i przebudowane.

Metalowe umeblowanie było typowe dla szpitalnego wyposażenia. W pokoju stało łóżko, biurko, pokryte tworzywem krzesło, nocny stolik i ruchomy wysoki stolik przystawiany do łóżka. Telewizor stał na półce podwieszanej do sufitu.

Klimatyzator znajdował się pod oknem. Jack podszedł do niego, podniósł pokrywę i zajrzał do środka. Rury z gorącą i zimną wodą przeprowadzono przez betonową podłogę, dalej przechodziły przez moduł z termostatem i wentylatorem wydmuchującym na pokój strumień powietrza. Po sprawdzeniu Jack uznał, że w urządzeniu nie ma otworu, którym szczur mógłby przedostać się do pomieszczenia.

Wszedł do łazienki, obejrzał dokładnie umywalkę, muszlę klozetową i prysznic.

Odnosił wrażenie, że kafelki w toalecie położono całkiem niedawno. W suficie znajdowała się kratka wentylacyjna. Schylił się i otworzył szafkę pod umywalką i znowu nie znalazł żadnego przejścia dla szczura.

Słyszając głosy w pokoju, Jack wyszedł z toalety i spotkał doktora Wainwrighta zakładającego maskę na twarz. Towarzyszyły mu dwie kobiety i mężczyzna, wszyscy w maskach. Kobiety ubrane były w długie, lekarskie kitle, które przypomniały Jackowi profesorów akademii medycznej.

Doktor Wainwright wręczył Jackowi maskę i dokonał prezentacji. Wyższą kobietą okazała się pani doktor Mary Zimmerman, lekarz chorób zakaźnych i przewodnicząca Komitetu Kontroli Chorób Zakaźnych. Jack wyczuł w niej poważną kobietę, która przyjęła wobec zaistniałych okoliczności postawę raczej defensywną. Zaraz po przedstawieniu poinformowała, że jest internistą z dodatkową specjalizacją w dziedzinie chorób zakaźnych.

Nie bardzo wiedząc, jak zareagować na takie rewelacje, Jack po prostu

skomplementował ją.

- Nie miałam okazji rozmawiać z panem Nodelmanem - dodała.

- Jestem przekonany, że gdyby rozmawiała pani z pacjentem, postawiłaby pani natychmiast właściwą diagnozę - odpowiedział Jack, starając się ze wszystkich sił nie doprawiać słów sarkazmem.

- Bez wątpienia - stwierdziła.

Drugą kobietą była Kathy McBane i Jack z zadowoleniem przyjął możliwość zmiany tematu, szczególnie gdy okazało się, że w obejściu jest o wiele bardziej sympatyczna niż jej przełożona z komitetu. Dowiedział się, że jest siostrą przełożoną oraz członkiem komitetu kontroli chorób zakaźnych. Było normalną praktyką, że w takim komitecie reprezentowana była większość, jeśli nie wszystkie pionos zatrudnienia.

Towarzyszył im George Eversharp. Nosił gruby, bawełniany, niebieski kombinezon.

Jak się Jack domyślił, był kierownikiem działu technicznego i także członkiem komitetu.

- Jesteśmy niezwykle wdzięczni panu doktorowi Stapletonowi za szybką diagnozę - powiedział doktor Wainwright, próbując nieco rozluźnić napiętą atmosferę.

- Po prostu szczęśliwy traf - odpowiedział Jack.

- Już zaczęliśmy działać - oznajmiła beznamiętnym głosem doktor Zimmerman. - Aby rozpocząć działania profilaktyczne, nakazałam sporządzić listę osób, które mogły mieć kontakt z chorym.

- Myślę, że to bardzo roztropnie - zgodził się Jack.

- Szpitalny komputer poszukuje teraz informacji o pacjentach z objawami mogącymi sygnalizować dżumę - informowała dalej.

- Godne pochwały - skwitował Jack.

- Tymczasem musimy ustalić genezę tego przypadku -powiedziała.

- Pani myśli biegną dokładnie tym samym torem co moje -zauważył Jack.

- Radziłabym więc panu założyć maskę - odpowiedziała.

- Jasne - zgodził się i założył ją na twarz.

Doktor Zimmerman odwróciła się do George'a Eversharpa.

- Proszę kontynuować to, co pan zaczął mówić o obiegu powietrza.

Jack słuchał z uwagą, jak inżynier Eversharp wyjaśniał działanie szpitalnego systemu wentylacji. Powietrze z hallu przechodziło do pokoi, a stąd do łazienek. Następnie było filtrowane. Powiedział także, że w kilku pokojach powietrze mogło krążyć w systemie wewnętrznym.

- Czy to jeden z takich pokoi? - zapytała doktor Zimmerman.

- Nie - odpowiedział Eversharp.

- Czyli że nie można założyć, iż bakterie wywołujące dżumę dostały się do systemu wentylacyjnego i skaziły tylko ten pokój? - pytała dalej doktor Zimmerman.

- Nie. - Powietrze jest rozprowadzane równomiernie do wszystkich pokoi.

- I szansa, że bakterie wydostaną się z tego pokoju i przedostaną do hallu, jest mała, tak?

- To wręcz niemożliwe, pani doktor. Jedyńm sposobem, w jaki mogły wydostać się z pokoju, było opuszczenie go na nosicielu.

- Przepraszam - doszło nagle do zgromadzonych. Odwrócili się i ujrzeli pielęgniarkę stojącą w -drzwiach. Ona także nosiła maskę. - Pan Kelley chciałby się z państwem spotkać w pokoju pielęgniarek.

Bez słowa komentarza skierowali się natychmiast do drzwi. Gdy Kathy McBane znalazła się tuż przed Jackiem, zapytał ją:

- Kim jest pan Kelley?

- Jest prezydentem szpitala - odpowiedziała siostra przełożona.

Jack skinął głową ze zrozumieniem. Idąc, z nostalgią wspominał czasy, kiedy szefa w szpitalu nazywano dyrektorem albo ordynatorem, jeśli miał, a najczęściej miał, medyczne wykształcenie. Tak było w czasach, w których najważniejsza była opieka nad pacjentem.

Teraz królował interes, celem stał się zysk, więc ordynator stał się prezydentem.

Jack czekał na spotkanie z panem Kelleyem. Prezydent szpitala był przedstawicielem AmeriCare, więc przyprawienie go o ból głowy było równoznaczne z przyprawieniem o ból głowy AmeriCare.

Atmosfera w pokoju pielęgniarek była niezwykle napięta. Wieść o dżumie rozniosła się jak burza ogniowa. Wszyscy pracujący na piętrze, a nawet niektórzy pacjenci wiedzieli już, że są narażeni na zakażenie. Charles Kelley robił co mógł, aby ich uspokoić. Tłumaczył, że nie ma niebezpieczeństwa, że wszystko jest pod kontrolą.

- Tak, pewnie! - zadrwił pod nosem Jack. Z niesmakiem patrzył na człowieka, który miał tupet wmawiać ludziom takie kłamstwa. Kelley był wręcz zastrasząco wysoki, dobre dwadzieścia centymetrów wyższy od Jacka. Jego przystojna twarz była opalona, a piaskowego koloru włosy poprzetykane złotymi pasemkami, jakby dopiero co wrócił z Karaibów. Z perspektywy Jacka wyglądał bardziej na obłudnego sprzedawcę samochodów niż biznesmena, którym przecież był.

Gdy tylko Kelley zauważył wchodzących, dał znak ręką, aby poszli za nim, i pospieszył do pomieszczenia znajdującego się za pokojem pielęgniarek.

Jack wcisnął się do środka tuż za Kathy McBane i natychmiast zauważył, że Kelley nie jest sam. Za nim stał mężczyzna drobnej budowy, z zapadłymi policzkami i mocno przerzedzonymi włosami. W przeciwieństwie do Kelleya ubranego jak spod igły, ten drugi

mężczyzna miał na sobie wytartą, tanią kurtkę sportową i spodnie, które chyba nigdy nie widziały żelazka.

- Boże, cóż za zamieszanie! - stwierdził podenerwowany Kelley. Jego zachowanie przeszło gwałtowną metamorfozę, z nieuczciwego sprzedawcy zmienił się w sardonicznego administratora. Oderwał kawałek papierowego ręcznika i wytarł spocone czoło. - Tego z pewnością nie potrzeba temu szpitalowi! - Zmiał ręcznik i wrzucił go do kosza. Zwrócił się w stronę doktor Zimmerman i jakby zapominając, co przed chwilą mówił w pokoju pielęgniarek do wystraszonych pacjentów, zapytał, czy nie ryzykują zbyt, przebywając na tym piętrze.

- Szczerze wątpię, by coś nam groziło - odparła zapytana. - Ale oczywiście musimy mieć pewność.

Kelley zwrócił się teraz do Wainwrighta:

- Gdy tylko usłyszałem o tym nieszczęściu, dowiedziałem się, że pan już o wszystkim wie. Dlaczego mnie pan nie powiadomił?

Doktor Wainwright wyjaśnił, że dopiero co otrzymał wiadomość od Jacka i nie miał czasu na telefonowanie. Dodał, iż jego zdaniem ważniejsze było zawiadomienie doktor Zimmerman, aby mogła podjąć właściwe kroki. Następnie przedstawił Jacka.

Jack zrobił krok do przodu i machnął ręką w stronę Kelleya. Nie zdołał opanować uśmiechu. Czuł, że to moment, który sprawia mu niekłamaną satysfakcję.

Kelley miał na sobie grubą bawełnianą koszulę, wełniany krawat i czarne dżinsy.

- Zdaje się, że to pańskie nazwisko wymieniła pani pełnomocnik rządu do spraw zdrowia, kiedy zadzwoniła do mnie - powiedział Kelley. - O ile sobie przypominam, zrobił pan na niej wrażenie tak szybką diagnozą.

- My, urzędnicy miejscy, zawsze staramy się służyć pomocą - odparował Jack.

Kelley odpowiedział krótkim, drwiącym śmiechem.

- To może ucieszy się pan ze spotkania z kolegą, także miejskim urzędnikiem. To doktor Clint Abelard. Jest epidemiologiem z Rady Zdrowia Miasta Nowy Jork. Jack skinął w stronę nieśmiałego mężczyzny schowanego za Kelleyem, lecz ten nie odwzajemnił pozdrowienia. Jack odniósł wrażenie, że jego obecność nie jest chyba pożądana. Rywalizacja między poszczególnymi wydziałami służb miejskich była częścią urzędniczego życia, które właśnie poznawał.

Kelley chrząknął i zwrócił się do Wainwrighta i pani Zimmerman. Mówił, że nie chce, aby sprawa nabrała rozgłosu. Im później media dowiedzą się o całej sprawie, tym lepiej. Gdyby zjawił się jakiś reporter i chciał porozmawiać, należy go przysłać do niego.

- Przepraszam - odezwał się Jack, nie mogąc się powstrzymać. - Interesy korporacji należy odłożyć na bok. Moim zdaniem powinien się pan skupić na prewencji. A to oznacza przede wszystkim ustalenie, gdzie jest źródło choroby. Zdaje się, że ma pan tu niezłą zagadkę i dopóki nie poda pan rozwiązania, media będą urządzać polowanie, bez względu na to, jak bardzo będzie pan chciał zmniejszyć rozmiary katastrofy.

- Nie zauważyłem, by ktokolwiek pytał o pańską opinię - rzucił Kelley pogardliwie.

- Po prostu czuję, że mógłby pan skorzystać z pewnych wskazówek - zauważył Jack. - Odnoszę wrażenie, iż pańska uwaga skupia się na zagadnieniach mniej istotnych.

Kelley poczerwieniał. Z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Rozumiem - ledwo panował nad głosem. - Jako jasnowidz zapewne ma pan już wyrobione zdanie co do źródła choroby.

- Podejrzewam szczury. Jest ich tu pewnie całe mnóstwo. - Odkąd rano wywarł tym stwierdzeniem niezwykle wrażenie na Calvinie, nie mógł się doczekać, kiedy znów je powtórzy.

- Nie mamy w Manhattan General żadnych szczurów - parsknął ze złością Kelley. - A

jeśli usłyszę, że powiedział pan coś podobnego dziennikarzom, to obiecuję, dostanę pańską głowę.

- Szczury są klasycznym nosicielem zarazków dżumy -

odpowiedział Jack. - Jestem pewny, że są i tutaj, jeśli się wie, jak je rozpoznać, to znaczy chciałem powiedzieć: znaleźć.

Kelley zwrócił się do Clinta Abelarda:

- Czy sądzi pan, że szczury mogą mieć coś wspólnego z tym przypadkiem dżumy? - zapytał.

- Nie zacząłem jeszcze dochodzenia - odpowiedział zapytany - a nie zamierzam zgadywać, jednak nie bardzo chce mi się uwierzyć, że w sprawę wplątane są szczury. Jesteśmy na szóstym piętrze.

- Sugeruję, aby złapał pan kilka szczurów, i radzę poszukać ich w najbliższym sąsiedztwie - odezwał się Jack. - Przede wszystkim trzeba sprawdzić, czy zaraza nie opanowała populacji miejskich gryzoni.

- Chciałbym już wreszcie skończyć tę dyskusję o szczurach - wtrącił Kelley. - Raczej proszę mi powiedzieć, co możemy zrobić dla ludzi, którzy zetknęli się z chorym.

- To moje zadanie - odezwała się doktor Zimmerman. - Oto co zaleciłam...

Kiedy pani doktor relacjonowała swoje posunięcia, Abelard skinął na Jacka, aby wyszedł z nim z pokoju pielęgniarek.

- Jestem epidemiologiem - warknął wściekłym szeptem Clint.

- Nigdy tego nie kwestionowałem - odpowiedział spokojnie Jack. Był jednak zaskoczony i zdeorientowany gwałtowną reakcją Clinta Abelarda.

- Jestem specjalistą w poszukiwaniu źródeł choroby w wielkich skupiskach ludzkich - dodał Clint. - To moja praca. Pan natomiast, pan jest koronerem...

- Błąd - przerwał mu Jack. - Jestem lekarzem sądowym, specjalistą w patologii. Pan jako lekarz powinien to wiedzieć.

- Lekarz sądowy czy koroner, nie dbam o to, jak siebie tam nazywacie - lekceważąco odparł Clint.

- A ja owszem - rozeźlił się Jack.

- Istota sprawy kryje się w tym, że pańskie kompetencje dotyczą zmarłych, a nie pochodzenia choroby.

- Znowu błąd. Zajmujemy się martwymi, by przemówili do żyjących. Naszym celem jest powstrzymać śmierć.

- Nie wiem, jak dosadniej wytłumaczyć panu różnicę -rozdrażnionym głosem

odpowiedział Clint. - Poinformował nas pan, że człowiek zmarł na dżumę. Doceniamy to i nie zamierzamy wtrącać się w pańską pracę. Teraz przyszła kolej na mnie. Mam się dowiedzieć, jak się nią zaraził.

- Próbuję jedynie pomóc - wyjaśnił Jack.

- Dziękuję, ale jeśli będę potrzebować pańskiej pomocy, sam o nią poproszę -

zakończył rozmowę Clint i pomaszerował w stronę pokoju 707.

Jack przyglądał się odchodzącemu, kiedy jego uwagę odwróciło jakieś poruszenie z

tyłu. Z pomieszczenia na zapleczu pokoju pielęgniarek wyszedł Kelley i natychmiast obstąpili

go ludzie, z którymi rozmawiał wcześniej. Jack był pod wrażeniem, widząc, jak na twarz

prezydenta szpitala błyskawicznie wraca sztuczny uśmiech i z jaką łatwością unika

odpowiedzi na kolejne pytania. W kilka sekund poradził sobie z pytającymi i już był na

korytarzu w drodze do windy i dalej do biur administracji szpitala, które zapewniały mu

bezpieczny azyl.

Doktor Wainwright i doktor Zimmerman opuścili pokój zajęci dyskusją. Natomiast

Kathy McBane wyszła sama, Jack więc zastąpił jej drogę.

- Przykro mi, że jestem zwiastunem złych wieści - zagał.

- Niech pan nie przeprasza. Uważam, że to my powinniśmy panu podziękować.

- No cóż, to niefortunna sprawa - przyznał Jack.

- Chyba najgorsza, z jaką się zetknęliśmy, odkąd jestem członkiem komitetu -

stwierdziła. - A zdawało mi się, że zeszłoroczna seria zakażeń żółtaczką była czymś naprawdę złym. Nawet mi się nie śniło, że kiedyś zetknę się z przypadkiem dżumy.

- Jakie Manhattan General ma doświadczenie w sprawie chorób szpitalnych? - zapytał

Jack. Kathy wzruszyła ramionami.

- Dokładnie takie, jakie może mieć każdy duży, specjalistyczny szpital. Mieliśmy odpornego na metycylinę gronkowca. Oczywiście to stały problem. Rok temu mieliśmy również przypadek zainfekowania pałeczkami jelitowymi za pośrednictwem pudełka na mydło chirurgiczne. Zaowocowało to całą serią pooperacyjnych infekcji, zanim odkryliśmy przyczynę.

- A zapalenia płuc? Takie jak w tym przypadku.

- O tak, z nimi także się zetknęliśmy - przyznała Kathy. -

Szczęśliwie nikt nie zmarł. Przeważnie były to przypadki właśnie pałeczek, ale dwa lata temu mieliśmy także przypadki choroby legionistów.

- Nie słyszałem o tym.

- Utrzymali sprawę w tajemnicy. Udało się, bo nikt nie umarł. Niestety, nie mogę tego powiedzieć o kłopotcie, w jaki wpadliśmy pięć miesięcy temu na oddziale intensywnej opieki. Straciliśmy trzech pacjentów z powodu zapalenia płuc wywołanego jelitowcem. Musieliśmy zamknąć oddział do czasu, aż odkryliśmy, że niektóre z naszych aerozoli z lekami stosowanymi na rany uległy skażeniu.

- Kathy! - zabrzmiał ostro czyjś głos.

Jack i Kathy gwałtownie odwrócili się i ujrzeli stojącą za nimi doktor Zimmerman.

- To poufne informacje - pouczyła Kathy doktor Zimmerman.

Początkowo Kathy chciała powiedzieć coś na swoje usprawiedliwienie, ale w końcu rozmyśliła się.

- Mamy pracę do wykonania - powiedziała pani doktor. - Pozwól do mojego gabinetu.

Jack, pozostawiony nagle sam sobie, zaczął się zastanawiać, co robić dalej. Przez chwilę wahał się, czy wrócić do pokoju 707, ale przypomniawszy sobie tyradę Clinta, pomyślał, że lepiej zostawić faceta samego. A poza tym intencją Jacka było sprowokowanie Kelleya, nie Clinta. Wreszcie wpadł mu do głowy pewien pomysł: pouczająca może się okazać wizyta w laboratorium. Skoro pani doktor Zimmerman przyjęła postawę zdecydowanie obronną i ani ona, ani ktokolwiek inny nie jest gotowy, by wziąć na siebie winę, to zapewne zostanie ona zrzucona właśnie na laboratorium. Przecież to oni przeoczyli ten przypadek i nie postawili właściwej diagnozy.

Jack wypytał o drogę do laboratorium i zgodnie ze wskazówkami zjechał na pierwsze piętro. Okazał oznakę lekarza sądowego i nie musiał długo czekać na rezultaty. Doktor Martin Cheveau, kierownik laboratorium, zjawił się osobiście i zaprosił Jacka do swojego gabinetu. Był niskim mężczyzną o bujnej, ciemnej fryzurze i wąsikach jakby narysowanych kredką.

- Słyszał już pan o przypadku dżumy? - zapytał Jack bez ogródek, gdy tylko znaleźli się sami w gabinecie.

- Nie, gdzie? - odpowiedział pytaniem Martin.

- Tu, w Manhattan General. Pokój 707. Dziś rano zajmowałem się pacjentem.

- O nie - jęknął Martin. Westchnął głośno. - To nie zwiastuje nic dobrego. Jak się nazywał?

- Donald Nodelman.

Martin obrócił się z krzesłem do biurka i włączył komputer. Na ekranie szybko pojawiły się wyniki wszystkich badań Nodelmana z całego okresu pobytu w szpitalu. Martin przerzucał strony, aż dotarł do wyników mikrobiologicznych.

- Widzę, że wykonywaliście badania płwociny pokazujące słabe bakterie Gram ujemne - zauważył Martin. - Próbowaliśmy także wyhodować kultury bakterii, ale po trzydziestu sześciu godzinach nie było żadnych rezultatów. To, jak sądzę, powinno było nam coś podpowiedzieć, szczególnie, że podejrzewaliśmy pseudomonas. Przecież pseudomonas bez problemów wyhodowalibyśmy w trzydzieści sześć godzin.

- Pomocne byłyby na pewno badania Giemsa lub Waysona. Można by postawić ostateczną diagnozę.

- Bez wątplenia tak - zgodził się Martin. Odwrócił się w stronę Jacka. - To straszne. Jestem wielce zakłopotany. Niestety, to przykład tego rodzaju zdarzenia, które zachodzić będą coraz częściej. Administracja naciska na nas, abyśmy obcinali wydatki, chociaż nasz przerób ciągle wzrasta. To śmiertelna kombinacja, jak pokazuje ten przypadek. I tak się dzieje w całym kraju.

- Musiał pan zwolnić ludzi? - zapytał Jack. Sądził, że gdzie jak gdzie, ale na laboratorium powinni przeznaczać dość pieniędzy.

- Około dwudziestu procent - odpowiedział Martin. - Innych musieliśmy przenieść na niższe stanowiska. W laboratorium mikrobiologicznym nie ma kierownika, gdyby był, pewnie wyłapałby ten przypadek dżumy. Z budżetem, jaki nam w tej chwili przydzielono, nie możemy sobie jednak pozwolić na zatrudnienie kierownika w mikrobiologii, a poprzedni został przeniesiony na stanowisko szefa działu technicznego. To wielce zniechęcające. Kiedyś staraliśmy się pracować w laboratorium dla dobra szpitala, teraz pracujemy „adekwatnie”,

cokolwiek by to miało znaczyć.

- Czy pański komputer może pokazać, który z techników wykonywał badania na bakterie Gram ujemne? Jeśli nie jesteśmy w stanie zrobić nic więcej, to zbadajmy nasz przypadek chociaż w celach szkoleniowych.

- Dobry pomysł - zgodził się Martin. Znowu odwrócił się do komputera i włączył bazę danych. Dane technika były zakodowane. Nagle spojrzał w stronę Jacka. - Właśnie sobie coś przypomniałem. Szef techników wczoraj pytał mnie o dżumę w związku z jednym z pacjentów, pytał, co o tym sądzę. Obawiam się, że spławiłem go, mówiąc, że szansa jest jak jeden do miliarda.

Jack ożywił się.

- Ciekawe, co go skłoniło do podejrzeń o dżumę? - zapytał. - Ciekawe - powtórzył

Martin. Sięgnął po słuchawkę wewnętrznego telefonu i przywołał Richarda Overstreeta.

Czekając na jego przybycie, Martin ustalił, że badania rozdzielnice bakterii wykonała Nancy Wiggins. Ją także wezwał.

Richard Overstreet pojawił się w ciągu minuty. Był atletycznie zbudowanym mężczyzną o chłopięcym wyglądzie z kudłatą, kasztanową czupryną opadającą na czoło.

Włosy przysłaniały mu nawet oczy. Richard ciągle odgarniał je ręką z czoła albo odrzucał gwałtownym ruchem głowy w bok. Miał na sobie białą marynarkę i lekarskie spodnie.

Kieszenie marynarki wypchane były testami, opaskami uciskowymi, opatrunkami z gazy, laboratoryjnymi druczkami i strzykawkami.

Martin przedstawił Jackowi Richarda, a następnie zapytał o rozmowę w sprawie dżumy, którą odbyli poprzedniego dnia.

Richard robił wrażenie zakłopotanego.

- To jedynie wyobraźnia wzięła górę nad rozsądkiem - odpowiedział z uśmiechem.

- Ale co sprowokowało pana do takich podejrzeń? - nie dawał za wygraną Jack.

Richard znowu odgarnął włosy z oczu i w zamyśleniu przyłożył dłoń do czoła.

- Tak, przypominam sobie. Nancy Wiggins przeprowadziła badania na kulturach bakterii ze śliny i badała krew pacjenta. Powiedziała mi, jak bardzo był chory oraz że pojawiły się u niego objawy gangreny na opuszkach palców. Powiedziała, że jego palce poczerniały. - Richard wzruszył ramionami. - Dlatego przyszła mi do głowy czarna śmierć. Jack był pod wrażeniem.

- Poszedłeś tym tropem? - zapytał Martin.

- Nie. Po tym, co powiedziałeś o prawdopodobieństwie, odpuściłem sprawę. Biorąc pod uwagę, jak bardzo jesteśmy opóźnieni z robotą, nie mogłem tracić czasu. Wszyscy tu, łącznie ze mną, zajmujemy się badaniem krwi. Czy stało się coś ważnego?

- Bardzo ważnego - powiedział Martin. - Tamten mężczyzna naprawdę miał dżumę.

Nie żyje.

Richarda po prostu замуrowało.

- Mój Boże! - wykrzyknął.

- Mam nadzieję, że zachowuje pan ostrożność podczas badań - wtrącił Jack.

- Jasne - odparł Richard, odzyskując zimną krew. - Mamy obudowane stoły laboratoryjne, aseptyczne, drugiej i trzeciej generacji. Staram się zawsze używać jednego z nich, szczególnie w przypadkach groźnych infekcji. Osobiście wolę typ trzeciej generacji, ale niektórzy uważają, że praca w grubych gumowych rękawicach jest niewygodna.

W tej chwili zjawiała się Nancy Wiggins. Nieśmiała kobieta wyglądająca bardziej na nastolatkę niż kobietę z wyższym wykształceniem. Kiedy Martin dokonywał prezentacji, Nancy ledwie zerknęła w stronę Jacka. Ciemne włosy nosiła rozpuszczone, przedzielone równo przedziałkiem. Grzywka spadała jej na oczy podobnie jak Richardowi.

Martin wyjaśnił jej, co się wydarzyło. Była tak samo zaszokowana jak przed chwilą Richard. Martin zapewnił ją, że nie wini jej za nic i że wszyscy powinni się uczyć na przykładach.

- Co mam zrobić? Miałam bezpośredni kontakt z krwią, podobnie jak ten, kto ją pobierał.

- Najprawdopodobniej otrzyma pani doustnie tetracyklinę lub streptomycynę domięśniowo - uspokoił ją Jack. - Komitet Kontroli Chorób Zakaźnych pracuje w tej chwili nad tym.

- Ach! - stęknął pod nosem Martin, wystarczająco jednak głośno, aby wszyscy usłyszeli. - Oto i nasz nieustraszony wódz z szefem personelu medycznego. Nie wyglądają na uradowanych.

Kelley wpadł do gabinetu poirytowany jak generał po przegranej bitwie. Stał nad Martinem, podparł się pod boki i poczerwieniałą twarz wysunął groźnie do przodu.

- Doktorze Cheveau - zaczął pogardliwym tonem. - Doktor Arnold twierdzi, że powinniście postawić stosowną diagnozę, zanim... - Kelley przerwał w pół zdania. Chociaż skłonny był zignorować techników laboratoryjnych, z Jackiem była zupełnie inna historia. - A cóż, u diabła, pan tutaj robisz? - zapytał zaskoczony.

- Tylko pomagam - odpowiedział Jack.

- Czy aby nie przekracza pan swoich kompetencji? - stwierdził raczej niż zapytał Kelley jadowitym tonem.

- Lubimy w śledztwie dokładność - wyjaśnił niczym nie zrażony Jack.

- Zdaje mi się, że zrobił pan więcej, niż pozwalają panu pańskie pełnomocnictwa. Chcę, aby pan opuścił szpital. W końcu to prywatna instytucja.

Jack wstał i bezowocnie próbując spojrzeć Kelleyowi w oczy, powiedział:

- Jeżeli AmeriCare sądzi, że upora się z tym beze mnie, to spływam.

Twarz Kelleya spurpurowiała. Już miał coś powiedzieć, ale rozmyślił się. Zamiast tego wskazał Jackowi drzwi.

Jack uśmiechnął się i zanim wyszedł, pokiwał dłonią pozostałym. Był zadowolony z wizyty. O ile potrafił się zorientować w sytuacji, nie mogła mu się lepiej udać.

Rozdział 6

Środa, godzina 16.05, 20 marca 1996 roku

Susanne Hard spoglądała uważnie w stronę windy przez małe, okrągłe okienko w drzwiach. Koniec korytarza nie był tak odległy, żeby nie mogła do niego dojść. Szła małymi krokami, podtrzymując rękami świeżo zeszyty brzuch. Z jednej strony ćwiczenie było niezwykle nieprzyjemne, z drugiej jednak doświadczenie podpowiadało jej, że im wcześniej się zmobilizuje, tym szybciej ją zwolnią.

Zainteresował ją niecodzienny ruch w hallu przy windzie oraz ogólne podenerwowanie personelu. Szósty zmysł Susanne podpowiadał, że dzieje się coś złego, szczególnie że niektórzy nosili maski. Zanim jednak zdołała poznać powód zaskakującego poruszenia, poczuła chłód, jakby powiał mroźny arktyczny wiatr. Odwróciła się w poszukiwaniu źródła przeciągu. Niczego takiego nie było. Nagle chłód wrócił, wywołując napięcie i dreszcz, po czym znowu znikł. Susanne spojrzała na ręce. Były trupioblade. Coraz bardziej zaniepokojona postanowiła wrócić do pokoju. Taki chłód nie zapowiadał nic dobrego. Jako doświadczona pacjentka wiedziała, że podobne uczucie towarzyszy zawsze groźnym infekcjom.

Gdy weszła do pokoju, poczuła przejmujący ból głowy zlokalizowany tuż za oczami. Położyła się do łóżka, lecz ból nie minął, przesunął się jedynie w górę głowy. Nie przypominał tych bólów, które zdarzało się jej miewać wcześniej. Zupełnie jakby ktoś wbijał

w jej mózg drut do robótek.

Przez kilka przerażających chwil Susanne leżała kompletnie bez ruchu z nadzieją, że cokolwiek to było, wróciło już do normy. Zamiast tego jednak pojawiły się kolejne objawy: poczuła przejmujący ból w mięśniach nóg. Po chwili zaczęła się wiercić na pościeli, uparczywie szukając pozycji, która przyniosłaby jej ulgę.

Tuż po pojawieniu się bólu w nogach poczuła na całym ciele coś, co dusiło ją jak ciasno owinięty pled. Pozbawiało ją siły do tego stopnia, iż ledwo zdołała unieść rękę, aby przycisnąć guzik dzwonka wzywającego siostrę. Wcisnęła go i natychmiast bezwolna ręka opadła na łóżko.

Zanim pielęgniarka zjawiała się w pokoju, Susanne dostała ataku kaszlu, który dodatkowo podrażniał i tak bolące już gardło.

- Jestem chora - zacharczała Susanne.

- Co pani dolega? - zapytała pielęgniarka.

Susanne pokręciła głową. Trudno jej było nawet mówić. Czowała się tak paskudnie, że nie wiedziała, od czego zacząć.

- Głowa mnie boli - zdołała wreszcie wykrztusić.

- To zapewne pora na kolejną porcję leków przeciwbólowych - wyjaśniła siostra. -

Zaraz je pani podam.

- Chcę lekarza - wyszeptała Susanne.

- Myślę, że zanim wezwiemy lekarza, powinniśmy spróbować z lekami przeciwbólowymi - upierała się siostra.

- Zimno mi - powiedziała Susanne. - Okropnie zimno.

Pielęgniarka przyłożyła rękę do czoła chorej i natychmiast przestraszona cofnęła.

Susanne aż płonęła. Pielęgniarka wzięła termometr z pojemnika stojącego na stoliku przy

łóżku i włożyła do ust chorej. Czekaając na wynik, wokół ramienia pacjentki zacisnęła opaskę aparatu do mierzenia ciśnienia krwi. Było bardzo niskie.

Wyjęła termometr z ust Susanne. Kiedy odczytała temperaturę, z ust wyrwało jej się pełne zaskoczenia, ciche „Och!” Na termometrze było czterdzieści jeden stopni.

- Mam gorączkę? - zapytała Susanne.

- Niewielką - odpowiedziała pielęgniarka. - Ale wszystko będzie dobrze. Teraz pójde i poproszę pani lekarza.

Susanne skinęła. W kącie oka pojawiła się łza. Nie pragnęła tego rodzaju komplikacji. Chciała do domu.

Rozdział 7

Środa, godzina 16.15, 20 marca 1996 roku

- Naprawdę sądzisz, że Robert Barker specjalnie sabotuje naszą kampanię reklamową?

- Colleen zapytała Teresę, gdy schodziły po schodach. Zmierzały do studia, w którym Colleen miała zaprezentować, co zespół wymyślił do tej pory na kolejną kampanię reklamową National Health.

- Nie mam najmniejszych wątpliwości - odparła Teresa. - Oczywiście nie robi tego osobiście. Do przekonania National Health, aby nie kupowali odpowiedniej ilości czasu antenowego przeznaczonego na reklamy, użył Helen.

- Ale w ten sposób podcina gałąź, na której sam siedzi. Jeżeli stracimy National Health i nie zdołamy się restrukturyzować, wtedy jego udziały pracownicze w firmie będą warte tyle, ile nasze, czyli zero.

- Pieprzyć udziały. On chce dla siebie fotela prezesa i zrobi wszystko, żeby dopiąć swego.

- Boże, walka urzędników o władzę jest obrzydliwa. Jesteś pewna, że chcesz zająć to

stanowisko?

Teresa zatrzymała się nagle na schodach i spojrzała na Colleen, jakby usłyszała od niej bluźnierstwo.

- Nie mogę uwierzyć, że powiedziałaś coś podobnego.

- Ale przecież sama powtarzasz, że im więcej masz administracyjnych obowiązków, tym mniej ci zostaje czasu na tworzenie.

- Jeżeli Barker zostanie prezesem, rozpieprzy całą firmę -z oburzeniem stwierdziła Teresa. - Będziemy musieli płaszczyć się przed klientami i w konsekwencji jednym ciosem zmiecie się twórczość i jakość. Poza tym chcę tego stanowiska. Od pięciu lat jest moim celem. To moja szansa i jeżeli nie wykorzystam jej teraz, to już nigdy mi się nie uda.

- Nie rozumiem, dlaczego nie jesteś zadowolona ze swoich dotychczasowych dokonań

- powiedziała Colleen. - Masz dopiero trzydzieści jeden lat i już jesteś dyrektorem działu reklamy. Powinnaś być szczęśliwa i robić to, co doskonale potrafisz, dobre reklamówki.

- Och, daj spokój - Teresa zlekceważyła uwagę koleżanki. - Przecież wiesz, że my, ludzie reklamy, nigdy nie jesteśmy zadowoleni. Nawet jeśli zostanę prezesem, prawdopodobnie zacznę zerkać wyżej.

- Chyba powinnaś nieco ochłonać. Spalisz się, zanim skończysz trzydzieści pięć lat.

- Ochłonę, kiedy zostanę prezesem.

- Tak, akurat.

Po wejściu do studia Colleen skierowała przyjaciółkę do małego, oddzielnego pomieszczenia, które nazywano „areną”. To miejsce, w którym przeglądano gotowe produkcje. Pomieszczenie nazwano tak na pamiątkę rzymskich aren, na których chrześcijan rzucano na pożarcie lwom. U Heatha i Willowa chrześcijanie należeli do istot niższego rzędu.

- Masz film? - zapytała Teresa. W pokoju obok tablicy stał przygotowany do użycia

ekran. W najlepszym razie, jak sądziła, obejrzy zarys sekwencji proponowanych do reklamówki.

- Zmontowaliśmy sklejkę - wyjaśniła Colleen. „Sklejką” nazywano film zmontowany w całość z kawałków pochodzących z innych filmów po to, aby dać pewne wyobrażenie o planowanej realizacji.

Teresa poczuła się podbudowana. Nie spodziewała się filmu.

- Ostrzegam cię jednak, że to tylko wstępny zarys - dodała Colleen.

- Przestań się już zarzekać i dawaj, co tam masz - poleciła.

Colleen skinęła jednemu ze swoich podwładnych. Światła zgasły, włączono magnetowid. Film miał sto sekund. Opisywał historię uroczej czterolatki z zepsutą lalką.

Teresa natychmiast rozpoznała źródło. Fragment pochodził ze spota, który nakręcili w zeszłym roku dla sieci krajowej produkującej zabawki, promując ich program wspianałomyślniej wymiany starego na nowe. Colleen tak sprytnie to poukładała, że wyszło iż dziewczynka przynosi lalkę do nowego szpitala National Health. Hasłem reklamowym było: „Leczymy wszystko o każdej porze”.

Gdy tylko film się skończył, włączono światła. Przez kilka sekund nikt się nie odezwał. Wreszcie Colleen przerwała męczącą ciszę.

- Nie spodobało ci się? - zapytała.

- Ciekawe - przyznała Teresa.

- Pomysł polega na tym, by w kilku reklamówkach lalka cierpiała na różne choroby i urazy - wyjaśniła Colleen. - Oczywiście w ostatecznej wersji dziecko będzie wychwalało zalety National Health. W druku zadbamy także, żeby rysunki opowiadały historyjkę.

- Kłopot w tym, że to zbyt sprytnie - stwierdziła Teresa. - Nawet jeśli moim zdaniem ma to wiele zalet, jestem przekonana, że klient nie kupi pomysłu, gdyż Helen z polecenia

Roberta strywializuje go.

- Jak na razie to najlepsze, co mamy - wyznała Colleen. - Będziesz musiała coś nam podsunąć. Potrzebujemy od ciebie twórczej podpowiedzi. Inaczej będziemy się kręcić w kółko w świecie nie kończących się koncepcji. A wtedy nie ma najmniejszych szans na to, byśmy zakończyli robotę w następnym tygodniu.

- Musimy znaleźć coś, co odróżnia National Health od AmeriCare, nawet jeżeli wiemy, że są identyczne. Problem polega na znalezieniu tej różnicy.

Colleen skinęła na asystentkę, żeby wyszła. Gdy zamknęła za sobą drzwi, Colleen wzięła krzesło i postawiła je tuż przed Teresą.

- Musisz się w to bezpośrednio zaangażować - upierała się.

Teresa skinęła głową. Wiedziała, że Colleen ma rację, lecz czuła się jakby spętana psychicznie.

- Widzisz, tak trudno myśleć twórczo, gdy sprawa prezesury wisi nad człowiekiem jak miecz Damoklesa.

- Sama się zamęczysz na śmierć. Jesteś jednym kłębkim nerwów.

- I cóż w tym odkrywczego? - skwitowała Teresa.

- Kiedy ostatni raz wyszłaś na kolację i drinka?

Teresa zaśmiała się.

- Od miesięcy nie miałam na to czasu.

- No właśnie. O tym mówię. Nic dziwnego, że twórcze siły cię opuściły. Potrzebujesz odpoczynku. Nawet gdyby to miało być tylko kilka godzin.

- Naprawdę tak myślisz?

- Absolutnie - twardo przyznała Colleen. - Nie ma co dalej gadać. Idziemy dzisiaj na kolację i wypijemy kilka drinków. I żadnych rozmów o reklamie. Choćby tylko przez

dzisiejszy wieczór.

- No nie wiem - wahała się Teresa. - Termin nas goni...

- O tym właśnie mówię. Musimy się wyładować, odsunąć ponure myśli, a kto wie, czy wtedy nie przyjdzie do głowy coś twórczego. Więc się nie sprzeczasz. Nie przyjmuję odmowy.

Rozdział 8

Środa, godzina 16.35, 20 marca 1996 roku

Jack skierował swój rower między dwie furgonetki-karawany należące do miejskiej spółki Health and Hospital Corporation, zaparkowane w zatoczce należącej do Biura Głównego Inspektora Zakładu Medycyny Sądowej i pojechał prosto do kostnicy. W normalnych warunkach zsiadłby już z roweru i przeprowadził go pieszo, ale tym razem był w znakomitym nastroju.

Zostawił rower przy stosie trumien, pozapinał łańcuchy i pogwizdując, skierował się w stronę windy. Przechodząc obok biura, pomachał Salowi D' Ambrosio.

- Chet, chłopie, co słychać? - zapytał, wchodząc do swojego pokoju na czwartym piętrze.

Chet odłożył ołówek na biurko i spojrzał na kolegę.

- Cały świat cię poszukiwał. Co porabiałeś?

- Folgowałem sobie - stwierdził Jack z uśmiechem.

Zdjął skórzaną kurtkę i powiesił na oparciu swojego krzesła, po czym usiadł na nim.

Przejrzał stos teczek, zastanawiając się, od której zacząć. W swojej przegrodce znalazł także nowe wyniki badań laboratoryjnych i raporty asystentów medycznych.

- Nie czułem się szczególnie przyjemnie - wyjąwił Chet. - Jednym z poszukujących był sam Bingham. Kazał ci powiedzieć, że jak się zjawisz, masz natychmiast stawić się w jego biurze.

- Jak miło - zauważył Jack. - A już się bałem, że zapomniał o mnie.

- Na twoim miejscu nie lekceważyłbym tego. Bingham nie wyglądał na szczęśliwego.

Dzwonił też Calvin. On także chce cię widzieć, a miałem wrażenie, że gotuje się wewnątrz.

- Pewnie chce mi jak najszybciej zapłacić te dziesięć dolarów - odparł Jack. Wstał od biurka i klepnął Cheta w ramię. - Nie martw się o mnie. Mam silnie rozwinięty instynkt przetrwania.

- Przy mnie możesz strugać wariata - powiedział zrezygnowany Chet.

Gdy tylko zamknęły się drzwi windy, Jack zaczął się zastanawiać, jak też Bingham poradzi sobie z tą sytuacją. Od początku miał sporadyczne kontakty z szefem. Codzienne obowiązki związane z administrowaniem spoczywały na Calvinie.

- Może pan wejść od razu - powiedziała pani Sanford, sekretarka Bingham, nie odrywając nawet oczu od maszyny do pisania.

Ciekawiło go, skąd wiedziała, że to właśnie on.

- Niech pan zamknie drzwi - polecił doktor Harold Bingham.

Zrobił, jak mu kazano. Gabinet Bingham był obszerny. Duże biurko stało pod wysokim oknem przysłoniętym starymi drewnianymi żaluzjami. Po drugiej stronie pokoju stał stół laboratoryjny z mikroskopem. Przeciwną ścianę wypełniała biblioteka z oszklonymi drzwiami.

- Niech pan siada - zakomenderował Bingham.

Jack usiadł, okazując szacunek wobec poleceń przełożonego.

- Nie jestem pewien, czy dobrze pana zrozumiałem - zaczął Bingham swym głębokim, ochryplym głosem. - Najwyraźniej postawił pan dzisiaj diagnozę, z której wynika, że mamy do czynienia z dżumą, a potem niemądrze biorąc odpowiedzialność na siebie, powiadomił pan moją przełożoną. Albo jest pan istotą całkowicie pozbawioną politycznego wyczucia, albo też

chce się pan pogrążyć w autodestrukcji.

- Prawdopodobnie w grę wchodzi kombinacja obu czynników - odpowiedział Jack.

- I do tego jest pan impertynentem - stwierdził Bingham.

- To jeden z elementów autodestrukcji - wyjaśnił Jack. - Z drugiej jednak strony, proszę zauważyć, że jestem szczery. - Uśmiechnął się.

Bingham pokręcił głową. Jack sprawdzał, na ile jest w stanie się kontrolować.

- To jeszcze mógłbym zrozumieć - powiedział Bingham, splatając palce swych potężnych niczym szufle dłoni. - Ale czy nie przyszło panu do głowy, że mógłbym uznać pańską rozmowę z pełnomocnikiem rządu za niestosowną?

- To właśnie sugerował Chet McGovern, ja jednak uważałem, że należy zacząć działać. Uncja prewencji jest więcej warta niż funt leczenia, szczególnie jeśli w grę wchodzi niebezpieczeństwo epidemii.

Nastąpiła chwila milczenia, w czasie której Bingham rozważał słowa Jacka, a była w nich, co musiał przyznać, pewna doza słuszności.

- Druga sprawa, którą chciałem przedyskutować, to pańska wizyta w Manhattan General. Szczerze mówiąc, zaskoczyło mnie to. Wiem, że kiedy pana przyjmowaliśmy, został pan poinformowany, iż nasi lekarze nie angażują się w czynności, które do nich nie należą. Pamięta pan, prawda?

Pamięta pan, prawda?

- Oczywiście, że pamiętam - przyznał Jack. - Sądzę jednak, że pojawienie się przypadku dżumy to sytuacja wyjątkowa. A poza tym byłem ciekawy.

- Ciekawy! - wybuchnął Bingham. Stracił kontrolę nad sobą. - To najgorsze usprawiedliwienie, jakie słyszałem od lat.

- Cóż, było coś jeszcze - dodał Jack. - Wiedząc, że Manhattan General Hospital należy do AmeriCare, chciałem nieco powęszyć. Nie lubię AmeriCare.

- Na Boga, a co ty, człowieku, masz przeciwko AmeriCare? - zapytał Bingham.

- To sprawa osobista.

- Może zechciałby mi pan o tym opowiedzieć - zachęcił do zwierzeń poirytowany Bingham.

- Raczej nie, to długa historia.

- Rób pan, jak uważasz - odparł rozzłoszczony. - Nie zamierzam jednak tolerować pańskich wycieczek do szpitala, machania ludzom przed nosem legitymacją służbową, a wszystko po to, aby urządzić wendetę. To skandaliczne nadużywanie autorytetu służbowego.

- Myślałem, że jesteśmy upoważnieni do wmieszania się w każdą sprawę, która może dotyczyć zdrowia obywateli. A przypadek dżumy z pewnością mieści się w tej rubryce.

- Rzeczywiście - przesyłabizował Bingham. - Ale pan musiał zaalarmować pełnomocnika rządu do spraw zdrowia, ten z kolei Miejską Radę Zdrowia, która natychmiast przysłała głównego specjalistę epidemiologa. Nie było żadnego powodu, żeby tam jechać i ściągać na nas dalsze kłopoty.

- A jakie to kłopoty ściągnąłem? - zapytał zaciekawiony Jack.

- Udało się panu zirytować szefa szpitala i miejskiego epidemiologa - warknął Bingham. - Obaj byli wystarczająco wściekli, by złożyć oficjalne protesty. Szef szpitala dzwonił do burmistrza, a epidemiolog do pełnomocnika. Obydwaj są w pewnym sensie moimi przełożonymi. Nie byli zadowoleni i dali mi to do zrozumienia.

- Chciałem jedynie być pomocny - niewinnym głosem oznajmił Jack.

- Proszę mi zrobić przysługę i nie być więcej pomocnym - warknął Bingham. - Zamiast tego proszę zostać na miejscu i wykonywać pracę, do której został pan zatrudniony. Calvin poinformował mnie, że czeka na pana wiele spraw.

- Czy to wszystko? - zapytał Jack, kiedy Bingham skończył.

- Na razie - odparł szef.

Jack wstał i skierował się do drzwi.

- I jeszcze jedno - dodał Bingham. - Proszę pamiętać, że przez pierwszy rok jest pan tylko na stażu.

- Zapamiętam - odpowiedział Jack.

Wyszedł z gabinetu, bez słowa minął sekretarkę i skierował się do gabinetu Calvina.

Drzwi zastał uchylone. Calvin zajęty był przy mikroskopie.

- Przepraszam - Jack zwrócił na siebie uwagę. - Podobno szukał mnie pan.

Calvin odwrócił się.

- Rozmawiał już pan z szefem? - zapytał stłumionym głosem.

- Właśnie od niego wyszedłem - wyjaśnił. - Zainteresowanie, jakie towarzyszy mojej osobie, budzi zaufanie do tej instytucji i uspokaja mnie co do przyszłości.

- Daj pan sobie spokój z tym wymądrzaniem - przerwał Calvin. - Co powiedział doktor Bingham?

Jack powtórzył słowa szefa, a na koniec dodał, że Bingham przypominał mu o rocznym stażu.

- Cholernie jasno powiedziane - zauważył Calvin. - Lepiej, kolego, żebyś się utemperował albo będziesz szukał pracy.

- Póki co mam jedną sprawę - odparł Jack.

- Co znowu? - zapytał Calvin.

- Jest mi pan winien dziesięć dolarów.

Calvin wybałuszył oczy, zdziwiony, iż w tych okolicznościach Jack ośmiela się jeszcze mówić o pieniądzach. Koniec końców, nie pozostało mu nic innego, jak sięgnąć do kieszeni po portfel i wyjąć z niego dziesięć dolarów.

- Jeszcze sobie to odbiorę - zapowiedział złowieszczo, wręczając banknot Jackowi.

- Bez wątplenia - odpowiedział Jack, chowając pieniądze.

Z pieniędzmi w kieszeni, w dobrym nastroju Jack wrócił do siebie. Gdy wszedł do pokoju, zaskoczył go widok Laurie opartej o biurko Cheta. Oboje spoglądali na niego z wyrazem oczekiwania na twarzy.

- No i? - zapytał Chet.

- No i co? - odpowiedział pytaniem Jack. Przecisnął się obok Laurie i usiadł na swoim miejscu.

- Ciągle jeszcze tu pracujesz? - zapytał wprost Chet.

- Na to wygląda - odparł, sięgając po raporty leżące w przegródce na jego biurku.

- Lepiej bądź ostrożny - poradziła Laurie i ruszyła do drzwi. Przed wyjściem rzuciła jeszcze: - Z wielką przyjemnością cię wyleją.

- O czym przypominał mi Bingham - zakończył Jack.

Laurie odwróciła się i wyznała:

- Mnie też omal nie wyrzucili.

Jack podniósł głowę znad papierów.

- Jak to?

- To musiało mieć coś wspólnego z przypadkami przedawkowania, o których wspominałam rano. Gdy poszłam ich śladem, zdenerwowałam Bingham.

- Czy to część owej długiej historii? - spytał Jack.

- Owszem. Znalazłam się wtedy jedną nogą na bruku. Wszystko dlatego, że nie wzięłam poważnie ostrzeżeń Bingham. Nie popełnij tego samego błędu.

Gdy tylko Laurie wyszła, Jack powtórzył Chetowi wszystko, także o skargach do burmistrza i pełnomocnika i ich pretensjach do Bingham.

- Skargi były skierowane pod twoim adresem?
- Najwyraźniej, a ja tylko starałem się być dobrym Samarytaninem.
- Na miłość boską, coś ty znowu zrobił?
- Po prostu zachowałem się z wrodzoną dyplomacją. Zadawałem pytania i udzielałem rad.
- Jesteś kompletnym wariatem - stwierdził z przekonaniem Chet. - Niemal pozwalasz, żeby wyrzucili cię z pracy i dlaczego? Co chcesz udowodnić?
- Niczego nie chcę udowadniać.
- Nie rozumiem cię.
- To dość powszechna opinia - odpowiedział Jack.
- Wiem o tobie jedynie, że w poprzednim życiu byłeś okulistą, a teraz mieszkasz w Harlemie, żeby grać na ulicy w kosza. Co robisz poza tym?
- To chyba wszystko. Nie licząc pracy tutaj.
- Co robisz, żeby się rozerwać? Jak wygląda twoje życie towarzyskie? Nie zamierzam być wścibski, ale masz jakąś przyjaciółkę?
- Nie, właściwie nie.
- Jesteś gejem?
- Stanowczo nie. Na razie jestem, jakby to powiedzieć, poza obiegiem.
- No to nic dziwnego, że zachowujesz się tak dziwacznie. Coś ci powiem. Wyskoczmy sobie dziś wieczorem. Zjemy kolację, wypijemy po kilka drinków. Niedaleko mnie jest całkiem przyjemna knajpka. Będziemy mieli okazję pogadać.
- Nie bardzo lubię rozmawiać o sobie.
- Jasne. Nie będziesz musiał nic mówić. Ale i tak wyskoczmy. Zdaje się, że potrzebujesz normalnych kontaktów z ludźmi.

- A co to znaczy normalne? - zapytał Jack.

Rozdział 9

Środa, godzina 22.15, 20 marca 1996 roku

Chet okazał się niezwykle rezolutny. Na każdy argument odpowiadał celnie i upierał się przy wspólnej kolacji. W końcu Jack poddał się i tuż przed ósmą jechał na rowerze przez Central Park do włoskiej restauracji na Drugiej Avenue na spotkanie z przyjacielem.

Po kolacji Chet równie uparcie nakłaniał Jacka do wypicia kilku drinków. Za kolację zapłacił Chet, Jack czuł się więc zobowiązany i zgodził się w końcu na ciąg dalszy wieczoru.

Ale gdy znaleźli się na schodach prowadzących do baru, Jack nabrał wątpliwości, czy dobrze robi. Przez ostatnie kilka lat codziennie kładł się spać o dziesiątej i wstawał o piątej.

Piętnaście po dziesiątej po wypiciu połowy butelki wina czuł, że zaraz padnie.

- Nie jestem pewien, czy nadaję się do tego - odezwał się do Cheta.

- Jesteśmy przecież na miejscu - zaczął narzekać Chet. - Dalej, włącz. Wypijemy chociaż po piwku.

Jack cofnął się, chcąc przeczytać nazwę baru. Niczego takiego nie dostrzegł.

- Jak się nazywa to miejsce? - zapytał Cheta.

- Auction House - odparł kolega. - Ładuj tyłek do środka. - Otworzył Jackowi drzwi.

Wnętrze w nieokreślony sposób przypominało Jackowi pokój dzienny jego babci z Des Moines w Iowa, jedynie mahoniowy bar nie pasował do wspomnień. Wyposażenie stanowiło dziwną mieszankę mebli z czasów wiktoriańskich, na oknach wisiały długie kotary. Wysoki sufit ozdobiony był pokolorowaną w jaskrawe barwy wytłaczaną ocynkowaną blachą.

- Może siądziemy, co? - zaproponował Chet. Wskazał na stolik pod oknem z widokiem na Osiemdziesiątą Dziewiątą Ulicę.

Jack zgodził się. Z miejsca, w którym usiadł, miał dobry widok na salę. Teraz dopiero zauważył, że podłogę zrobiono z polakierowanych desek, co nie było często spotykane w barach. W środku znajdowało się około pięćdziesięciu osób, część gości stała przy barze, część siedziała na wysokich stołkach. Wszyscy dobrze ubrani, wyglądali na przedstawicieli klasy średniej. W całym towarzystwie ani jedna osoba nie nosiła na głowie baseballówki.

Kobiet było mniej więcej tyle samo co mężczyzn.

Jack w myślach przyznał, że może Chet miał rację, namawiając go na mały wypad. Od lat nie przebywał w „normalnym” środowisku. Może to wyjdzie mu na dobre. Powoli stawał się samotnikiem dźwigającym swój krzyż. Ciekawiło go, o czym rozmawiają ci ludzie.

Docierał do niego gwar rozmów, niezrozumiały, bełkotliwy szum.

Jego wzrok spoczął na Checie, który zamawiał piwo przy barze. Rozmawiał z obdarzoną bujnymi wdziękami, długowłosą blondynką w stylowym blezerze i obcisłych dżinsach. Towarzyszyła jej smukła przyjaciółka z burzą loków na głowie, ubrana w prostą, czarną suknię, która więcej odsłaniała, niż zakrywała. Nie brała udziału w rozmowie.

Najwyraźniej wolała koncentrować się na kieliszku wina.

Przez ułamek sekundy Jack pozazdrościł Chetowi łatwości w nawiązywaniu kontaktów, otwartości. W czasie kolacji mówił o sobie z uderzającą swobodą. Między innymi Jack dowiedział się, że ostatnio Chet zerwał bliższą znajomość z pewną lekarką i obecnie jest wolny, w „antrakcie”, jak powiedział.

Kiedy Jack przyglądał się koledze, Chet odwrócił się w jego stronę. Niemal równocześnie zrobiły to obie kobiety i wtedy wszyscy troje roześmieli się. Jack poczuł, jak czerwienieje na twarzy. Na sto procent rozmawiali o nim.

Chet oderwał się od baru i ruszył w stronę stolika. Jack zastanawiał się, czy powinien teraz uciekać, czy zacząć bębnić palcami w stół. Nie miał wątpliwości, na co się zanosí.

- Hej, chłopie - szepnął Chet. Celowo stanął tak, że zasłonił sobą kobiety. - Widzisz te dwa kurczaczki przy barze? - wskazał na własny brzuch, żeby gest nie został dostrzeżony przez nowe znajome. - Co sądzisz? Nieźle, co? Obie są świetne i zgadnij... Chcą cię poznać.

- Chet, było fajnie, ale... - zaczął Jack.

- Nawet o tym nie myśl. Nie psuj mi teraz zabawy. Ja upolowałem blondynkę w blezerku.

Czując, że opór wymagałby znacznie więcej energii niż kapitulacja, Jack pozwolił zaprowadzić się do baru. Chet przedstawił przyjaciela obu paniom.

Jack natychmiast zorientował się, co pociągało Cheta w Colleen. Miała wyjątkową zdolność do błyskotliwych i dowcipnych ripost. Teresa za to była ponura za obie. Kiedy tylko się sobie przedstawili, rzuciła Jackowi blade spojrzenie niebieskich oczu i zajęła się swoim kieliszkiem wina.

Chet i Colleen pograżyli się w ożywionej rozmowie. Jack spoglądał na tył głowy Teresy i zastanawiał się, co on, u diabła, tu robi. Chciał wracać do domu, znaleźć się w łóżku, a zamiast tego pozwalał się lekceważyć komuś równie nietowarzyskiemu jak on sam.

- Chet - po paru minutach zwrócił się do przyjaciela. - To strata czasu.

Teresa rzuciła przez ramię:

- Strata czasu? Dla kogo?

- Dla mnie - odparł prosto Jack. Spoglądał na dość szczupłą, lecz mimo to pociągająco zbudowaną kobietę, stojącą przed nim. Zaskoczyła go jej gwałtowna reakcja.

- A co ze mną? - sapnęła ze złością Teresa. - Wydaje ci się, że to budujące doświadczenie znosić impertynencje faceta, który wybrał się na polowanie?

- Hola, panienko, chwileczkę! - odpowiedział Jack, sam coraz bardziej poirytowany. -

Nie schlebiaj sobie. Nie jestem na żadnym polowaniu. Zapewne sądzisz innych według siebie.

Ale nawet gdybym był, z pewnością nie...

- Hej, Jack. Wyluzuj się - przerwał mu w ostatniej chwili Chet.

- Ty też, Tereso - podchwyciła Colleen. - Zrelaksujcie się. Przyszliśmy tu po to, żeby się zabawić.

- Słowem się do tej damy nie odezwałem, a ona naskakuje na mnie - usprawiedliwił się Jack.

- Już nic więcej nie musisz mówić - przerwała mu Teresa.

- Dajcie spokój. - Chet stanął między Jackiem a Teresą, ale przodem do przyjaciela. - Jesteśmy tu, żeby nawiązać normalne stosunki z innymi istotami ludzkimi.

- Prawdę powiedziawszy, to powinnam już iść do domu -oznajmiła Teresa.

- Nigdzie nie pójdziesz - zawyrokowała Colleen. - Skrzeczy jak rozstrojony fortepian - oceniła koleżankę. - Właśnie dlatego na siłę wyciągnęłam ją na świat. Musi się trochę odprężyć. Praca ją pożera.

- Dokładnie jak z Jackiem - wyrwało się Chetowi. - Rozwija w sobie jakieś antytowarzyskie tendencje.

Chet i Colleen zaczęli rozmawiać, jakby Teresy i Jacka nie było, tymczasem oni stali obok, patrząc w różne strony.

Chet i Colleen zamówili kolejkę i wręczając wszystkim szklanki, kontynuowali wymianę poglądów na temat przyjaciół.

- Życie towarzyskie Jacka kręci się wokół gry w kosza z mordercami w niebezpiecznej okolicy - poinformował nową znajomą Chet.

- Przynajmniej ma jakieś życie towarzyskie - odparła Colleen. - Teresa mieszka w domu lokatorskim należącym do gromadki staruszków. Spotkania przy zsypie na śmieci są główną atrakcją niedzielnego popołudnia.

Chet i Colleen szczerze się uśmieali, po czym wzięli po sporym łyku piwa. Teraz

zaczęli rozmawiać o przedstawieniu, które - jak się okazało - oboje widzieli niedawno na Broadwayu.

Jack i Teresa, sącząc drinki, rzucili sobie kilka przelotnych spojrzeń.

- Chet wspomniał, że jesteś lekarzem. Jakiej specjalności? - zapytała w końcu Teresa.

Jej głos wyraźnie złagodniał.

Jack przyznał się do patologii. Podłyszawszy wyznanie Jacka, Chet dodał:

- Znajdujemy się w towarzystwie najlepiej zapowiadającego się i najzdolniejszego patologa. Jack postawił właśnie diagnozę dnia. Wbrew opinii wszystkich pozostałych oznajmił, że ma do czynienia z przypadkiem dżumy.

- Tu? W Nowym Jorku? - zapytała przestraszona Colleen.

- W Manhattan General - wyjaśnił Chet.

- Mój Boże! - zawołała Teresa. - Kiedyś się tam leczyłam. Ale dżuma jest niezwykle rzadka, prawda?

- Słabo powiedziane - wtrącił Jack. W ciągu roku stwierdza się kilka przypadków w całych Stanach, najczęściej na terenach pustynnych, i to zazwyczaj latem.

- Czy łatwo się zarazić? - spytała Colleen. <

- Dość łatwo - odpowiedział Jack. - Szczególnie formą płucnej dżumy, na którą zmarł pacjent.

- Nie boisz się zakażenia? - zapytała Teresa i nieświadomie odsunęła się od Jacka.

Colleen zrobiła to samo.

- Nie. A nawet jeżeli ją złapaliśmy, to dopóki nie mamy zapalenia płuc, nie jesteśmy groźni, a to oznacza, że nie musicie stawać pod przeciwległą ścianą.

Czując lekkie zakłopotanie, obie panie zbliżyły się do Jacka i Cheta.

- Istnieje jakieś niebezpieczeństwo wybuchu epidemii w mieście? - zainteresowała się Teresa.

- Jeżeli bakterie dżumy zaatakują populację miejskich szczurów i jeśli pasożytują na nich odpowiednie pchły, to możemy mieć problem, który zakończy się zamianą miasta w zamknięte getto - stwierdził Jack. - Ale niebezpieczeństwo jest małe. Ostatni wybuch dżumy w Stanach miał miejsce w 1919 roku i zanotowaliśmy wtedy dwanaście przypadków. A działo się to jeszcze przed wynalezieniem antybiotyków. Nie przewiduję wybuchu epidemii, tym bardziej że Manhattan General potraktował przypadek bardzo poważnie.

- Mam nadzieję, że skontaktowałaś się z mediami w sprawie tego przypadku - bardziej stwierdziła, niż (zapytała Teresa.

- Ja nie - odparł Jack. - To nie należy do moich obowiązków.

- Czy społeczeństwo nie powinno zostać ostrzeżone? - zdziwiła się Teresa.

- Nie sądzę - powiedział Jack. - Przez wywoływanie sensacji media mogą tylko pogorszyć sprawę. Słowo „dżuma” może wywołać panikę, a paniki naprawdę nam nie potrzeba.

- Być może. Jednak założę się, że ludzie czuliby się o wiele lepiej, gdyby ostrzeżenie pozwoliło im uniknąć kontaktu z chorobą.

- Cóż, problem wydaje mi się akademicki - stwierdził Jack. - Nie ma sposobu, aby media nie dowiedziały się o całej historii. Na pewno posłuchamy o niej w wiadomościach. Wierzcie mi.

- Zmieńmy temat - zaproponował Chet. - A co wy robicie, dziewczyny?

- Pracujemy w dużej firmie reklamowej - odpowiedziała Colleen. - Ja jestem kierownikiem artystycznym, a Teresa dyrektorem działu reklamy. Jest częścią wierzchołka góry.

- Imponujące - przyznał Chet.
- I tak się dziwnie składa, że również jesteśmy wplątane w medycynę - dodała.
- Co masz na myśli, mówiąc „wplątane w medycynę”? -zapytał Jack.
- Jednym z naszych liczących się klientów jest National Health. Myślę, że słyszałeś o tej spółce - wyjaśniła Teresa.
- Niestety - odparł, a głos najwyraźniej mu przygasał.
- Coś nie pasuje? - zapytała Teresa.
- Prawdopodobnie.
- Mogę zapytać co?
- Jestem przeciwny reklamom w medycynie. Szczególnie promowaniu tych wielkich molochów wchodzących na rynek.
- A to dlaczego?
- Po pierwsze, reklamy jedynie zwiększają zysk firmy przez przyciąganie nowych pacjentów. Wyolbrzymiają niektóre sprawy, podają półprawdy albo robią szum wokół problemów drugorzędnych. Nie mają nic wspólnego z jakością usług medycznych. Po drugie reklamy kosztują kolosalne pieniądze, które wrzuca się w całości w koszty utrzymania. To zbrodnia wyciągać pieniądze z funduszu przeznaczonego dla pacjentów.
- Skończyłeś? - zapytała Teresa.
- Gdybym się jeszcze chwilę zastanowił, bez wątpienia podałbym jeszcze kilka powodów.
- Pozwolę sobie nie zgodzić się z tobą. - Zapał, z jakim to powiedziała, zrobił wrażenie na Jacku. - Moim zdaniem reklama ukazuje różnice i podsyca do rywalizacji, która koniec końców wychodzi na dobre przede wszystkim konsumentom.
- To czysto teoretyczne usprawiedliwienie - stwierdził Jack.

- Hej tam, czas dla drużyny - przerwał Chet, po raz drugi tego wieczoru wkraczając między dyskutantów. - Znowu zaczynacie tracić nad sobą kontrolę. Przełączmy się na inne fale. Dlaczego nie pogadamy o czymś neutralnym, dajmy na to o seksie albo o religii.

Colleen roześmiała się i po przyjacielsku klepnęła Cheta w plecy.

- Poważnie - zapewniał Chet, śmiejąc się wraz z nią. - Pogadajmy o religii. Ostatnia spowiedź późną porą w barze. Niech każdy powie, w jakiej religii został wychowany. Ja zaczynam...

Przez następne pół godziny rzeczywiście dyskutowali o religii i Teresa i Jack zapomnieli o swych uniesieniach. Nawet śmiali się, kiedy Chet opowiadał jakiś dowcip. Piętnaście po jedenastej Jack spojrzął na zegarek i zaniemówił. Nie sądził, że może być tak późno.

- Przepraszam - przerwał rozmowę. - Muszę was opuścić. Mam jeszcze przed sobą długą jazdę rowerem.

- Rowerem? - z niedowierzaniem spytała Teresa. - Jeździsz po mieście rowerem?

- Szuka śmierci - wyjaśnił Chet.

- Gdzie mieszkasz?

- Za West Side.

- Zapytaj go, jak daleko za West Side - zaproponował Chet.

- No więc gdzie dokładnie?

- Jeden-zero-sześć, na Sto Szóstej. Dokładnie - przyznał się.

- Ale to w Harlemie - zorientowała się natychmiast Colleen.

- Mówiłem, że szuka śmierci - przypomniał Chet.

- Tylko mi nie mów, że o tej porze przejeżdżasz przez park - powiedziała Teresa.

- Jeżdżę dość szybko.

- No cóż, według mnie rzeczywiście szukasz kłopotów - odpowiedziała. Schyliła się i podniosła torebkę, którą zostawiła przy nodze krzesła. - Nie mam roweru, ale mam randkę z moim łóżkiem.

- Chwila moment, kochani - zaprotestował Chet. - Jesteście pod naszą opieką. Zgadza się, Colleen? - Lekko objął dziewczynę za ramię.

- Zgadza się - odparła zapytana.

- A my zdecydowaliśmy, że żadne z was nie pójdzie do domu, dopóki nie umówimy się na jutro na kolację - mówił tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Colleen schyliła głowę, jakby chciała wywinąć się z objęć Cheta.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Zbliża się ostateczny termin wykonania zlecenia, więc będziemy musiały zostać po godzinach.

- Gdzie mieliście zamiar zjeść tę kolację? - zapytała Teresa.

Colleen, zaskoczona, spojrzała na przyjaciółkę.

- Na przykład tuż za rogiem, u Elaine - zaproponował Chet. - O ósmej. Może nawet zobaczymy kogoś sławnego.

- Nie sądzę, abym... - zaczął Jack.

- Nie będę słuchał żadnych wykrętów - wpadł mu w słowo Chet. - Z tymi gagatkami możesz sobie pograć w piątek. Jutro jesz kolację z nami.

Jack był zbyt zmęczony, aby myśleć. Wzruszył ramionami.

- W takim razie jesteście umówieni? - zapytał Chet. Wszyscy przytaknęli.

Po wyjściu z baru panie wsiadły do taksówki. Zaproponowały też Chetowi podwiezienie, ale stwierdził, że mieszka w sąsiedztwie.

Teresa zapytała Jacka:

- Jesteś pewny, że nie chcesz tu zostawić roweru na noc? - Jack właśnie kończył

otwieranie ostatniej kłódki.

- W żadnym razie - odparł. Wskoczył na siodełko, nacisnął na pedały i pomknął Drugą Avenue, machając im na pożegnanie.

Teresa podała kierowcy pierwszy adres i samochód także ruszył Drugą Avenue, by po chwili przyspieszyć, kierując się na południe. Colleen, która spoglądała na Cheta przez tylną szybę, odwróciła się do swojej szefowej.

- A to ci niespodzianka - powiedziała. - Wyobraź sobie, spotkanie z dwoma samotnymi mężczyznami w barze. Coś takiego zawsze spotyka człowieka wtedy, kiedy najmniej się tego spodziewa.

- Mili chłopcy - zgodziła się Teresa. - Zdaje się, że byłam wobec nich nieuprzejma.

Dzięki Bogu nie zaczęli rozmawiać o sporcie czy giełdzie. A to często jedyne tematy, które interesują mężczyzn w tym mieście.

- Najzabawniejsze, że moja mama zawsze upierała się, abym poznała lekarza - wyznała ze śmiechem Colleen.

- Nie sądzę, żeby byli typowymi lekarzami - stwierdziła Teresa. - A szczególnie Jack.

Ma dziwne usposobienie. Jest strasznie zgorzkniały z jakiegoś powodu i do tego jest ryzykantem. Potrafisz sobie wyobrazić jeżdżenie na rowerze w tym mieście?

- To nic w porównaniu z tym, czym się zajmuje cały dzień - zauważyła Colleen. - Jak można spędzać cały dzień z umarlakami?

- Nie wiem, ale nie może to być dużo gorsze niż przebywanie w gronie księgowych.

- Muszę powiedzieć, że zaszokowała mnie twoja zgoda na jutrzejszą kolację, i to teraz, kiedy mamy ten kłopot z National Health.

- Ależ właśnie dlatego się zgodziłam. - Teresa uśmiechnęła się tajemniczo. - Wierz

albo nie, ale Jack Stapleton poddał mi wspaniały pomysł na nową kampanię reklamową dla

National Health. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jaka byłaby jego reakcja, gdyby się o tym dowiedział. Z takim wrogim stosunkiem wobec reklamy... ścięłoby go z nóg.

- O jakim pomysle mówisz?

- Chodzi mi o tę informację o dżumie. Skoro AmeriCare jest jedynym liczącym się przeciwnikiem National Health, nasza kampania reklamowa musi wykorzystać fakt, że w szpitalu AmeriCare pacjent zaraził się dżumą. Po tak przerażającej historii ludzie rzucają się tłumnie do National Health.

Twarz Colleen spoważniała.

- Nie możemy tego zrobić - zaprotestowała.

- Do diabła, chcę jedynie podkreślić, że placówki National Health są nowe i czyste.

Trzeba zmusić ludzi do myślenia. Widzowie wywnioskują, że placówki AmeriCare nie są ani nowoczesne, ani czyste, skoro doszło tam do zarażenia dżumą. Wiem, jak wygląda Manhattan General. Byłam tam. Mogli przeprowadzić remont, ale przecież to stary budynek. Szpital National Health stanowi jego przeciwieństwo. Już widzę reklamę, w której pacjenci w naszym szpitalu mogą jeść z podłogi, bo jest tam tak czysto. Sądzę, iż ludziom spodoba się to, że ich szpital jest nowy i czysty, szczególnie teraz, przy tym całym zamieszaniu z bakteriami i odpornością na antybiotyki.

- Masz rację - przyznała Colleen. - To przemówi do każdego. Jeśli to nie poprawi notowań National Health na rynku, to nic tego nie uczyni.

- Mam już nawet slogan reklamowy. Posłuchaj: „Zasługujemy na twoje zaufanie. Zdrowie to nasze drugie imię”.

- Świetnie, podoba mi się. Skoro świt zagonię cały zespół do pracy.

Taksówka zajechała pod dom Teresy. Zanim wysiadła, obie panie uściśniły sobie dłonie, czując, że wieczór był udany i owocny.

Teresa wysiadła, lecz cofnęła się jeszcze i powiedziała:

- Dziękuję, że mnie zabrałaś ze sobą. To był dobry pomysł, i to z wielu powodów.

- Nie ma za co - odpowiedziała Colleen, unosząc kciuk w geście zadowolenia.

Rozdział 10

Czwartek, godzina 7.25, 21 marca 1996 roku

Jak przystało na człowieka z przyzwyczajeniami, Jack zjawiał się codziennie w pracy o tej samej porze, plus minus pięć minut. Tego szczególnego ranka spóźnił się aż dziesięć minut, a to z powodu kaca, z którym się obudził. Od tak dawna nie cierpiał na kaca, że zupełnie zapomniał, jak bardzo potrafi być dokuczliwy. W efekcie stał pod prysznicem kilka minut dłużej niż zwykle, no i slalom w dół Drugiej Avenue odbył się w bardziej umiarkowanym tempie.

Przecinając Pierwszą Avenue, ujrzał coś, czego nigdy o tej porze dnia nie widział.

Przed zakładem medycyny sądowej stał duży wóz transmisyjny telewizji z rozłożoną na dachu anteną.

Zmieniając nieco kierunek jazdy, objechał wóz, ale nikogo w środku nie zauważył.

Spojrzał w stronę głównego wejścia i tam dostrzegł grupę reporterów stłoczonych na progu.

Ciekawy, co się dzieje, przepchnął się do wejścia, rower zostawił tam gdzie zwykle i niezwłocznie udał się do strefy zastrzeżonej dla personelu.

Laurie i Vinnie byli u siebie. Jack rzucił w ich stronę krótkie „cześć”, ale poszedł dalej. Chciał się dostać do hallu. Panował w nim taki tłok, jakiego jeszcze nie widział.

- Co tu się wyprawia? - zapytał, zwracając się do Laurie.

- Ty powinieneś wiedzieć najlepiej - odpowiedziała. Zajęta była opracowywaniem dziennego grafiku. - Wszystko z powodu epidemii dżumy!

- Epidemii? - zapytał Jack. - Były kolejne przypadki?

- Nie słyszałeś? Nie oglądałeś porannych wiadomości?

- Nie mam telewizora - wyznał. - Tam, gdzie mieszkam, posiadanie telewizora oznacza kłopoty.

- No tak, dwie ofiary zjawiły się u nas w nocy - poinformowała Laurie. - Jedna ma dżumę na sto procent albo stan poprzedzający, gdyż w szpitalu wykonano badanie fluorescencyjne i wynik jest pozytywny. U drugiej podejrzewamy chorobę, gdyż ma kliniczne objawy, ale wynik badania był negatywny. A w dodatku, o ile zdołałam się zorientować, kilku pacjentów z wysoką gorączką poddano kwarantannie.

- Czy to wszystko zdarzyło się w Manhattan General? -zapytał.

- Tak.

- Czy chorzy mieli bezpośredni kontakt z Nodelmanem?

- Nie wiem, nie miałam czasu tego ustalić. Interesuje cię to? Jeśli tak, postaram się sprawdzić.

- Oczywiście, że interesuje. U kogo stwierdzono wczesne stadium rozwoju choroby?

- Katherine Mueller - odpowiedziała Laurie i podała Jackowi kartotekę chorej.

Usiadł na brzegu biurka, przy którym pracowała Laurie, i zaczął przeglądać dokumenty. Przerzucał papiery, aż dotarł do raportu dochodzeniowego. Wyjął go z teczki i zaczął czytać. Dowiedział się, że kobieta została przywieziona do izby przyjęć Manhattan General o godzinie szesnastej poważnie chora na, jak stwierdzano w diagnozie, ostrą postać dżumy. Dziewięć godzin później, pomimo zaaplikowanej natychmiast silnej dawki antybiotyków, pacjentka zmarła.

Sprawdził miejsce zatrudnienia kobiety i nie był zaskoczony tym, co odkrył.

Pracowała w Manhattan General. Wywnioskował, że musiała mieć bezpośredni kontakt z Nodelmanem. Niestety raport nie wspominał, w jakim charakterze była zatrudniona.

Zgadywał, że była albo pielęgniarką, albo laborantką.

Czytając raport, w myślach chwalił pracę Janice Jaeger. Po rozmowie telefonicznej, którą z nią przeprowadził poprzedniego dnia, dodała informacje o podróżach, kontaktach ze zwierzętami i odwiedzinach. W przypadku Kathy Mueller wszystkie odpowiedzi były negatywne.

- Gdzie jest podejrzenie dżumy? - zapytał Laurie.

Podawała mu kolejną kartotekę.

Otworzył ją i natychmiast poczuł się zaskoczony. Kobieta ani nie pracowała w Manhattan General, ani nie miała kontaktu z Nodelmanem. Nazywała się Susanne Hard. Podobnie jak Nodelman była pacjentem w Manhattan General, ale na innym oddziale. Hard leżała na oddziale ginekologiczno-położniczym po urodzeniu dziecka. Jack poczuł, że stoi przed trudną do rozwikłania zagadką.

Z dalszej lektury dowiedział się, że pani Hard przebywała w szpitalu od dwudziestu czterech godzin, zanim wystąpiła wysoka gorączka, bóle mięśniowe, bóle głowy, ogólne złe samopoczucie i nasilający się kaszel. Powyższe objawy pojawiły się w ciągu osiemnastu godzin po zabiegu cięcia cesarskiego i urodzeniu zdrowego dziecka. Osiem godzin po wystąpieniu objawów pacjentka zmarła.

Ze zwykłej ciekawości spojrzął na adres Susanne Hard, pamiętając, że Nodelman mieszkał w Bronx. Ale Hard nie mieszkała w Bronx. Mieszkała na Manhattanie na Sutton Place South, w okolicy niemal odizolowanej od reszty miasta.

Przeczytał także, że nigdzie nie wyjeżdżała, odkąd zaszła w ciążę. Miała starego, lecz zdrowego pudła. Co do gości, dom państwa Hardów odwiedził współpracownik jej męża, który przyjechał z Indii. Opisano go jako zdrowego.

- Czy Janice Jaeger jest jeszcze w biurze? - zapytał Jack.

- Piętnaście minut temu mijałam jej pokój i jeszcze była - odpowiedziała Laurie.

Jack znalazł Janice tam gdzie zwykle.

- Jesteś pełnym poświęcenia urzędnikiem - zaczął od progu.

Janice spojrzała na niego znad papierów rozłożonych na biurku. Oczy miała przekrwione ze zmęczenia.

- Zbyt wielu ludzi ostatnio zmarło. Jestem zawałona robotą. Ale powiedz szczerze, czy udzieliłam odpowiedzi na twoje pytania dotyczące przypadków z ostatniej nocy?

- Absolutnie. Byłem pod wrażeniem. Jest jednak jeszcze kilka spraw, o które chciałbym zapytać.

- Wal śmiało.

- Gdzie w stosunku do oddziału wewnętrznego znajduje się oddział położniczy?

- Na tym samym piętrze. Sąsiadują ze sobą.

- Nie żartuj.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Nie mam najmniejszego pojęcia - przyznał Jack. - Czy pacjenci z obu oddziałów mogą się spotykać?

- Nie wiem, ale nie sądzę, aby na to pozwalano.

- Ani ja - zgodził się Jack.

Jeżeli nie mogli się bezpośrednio kontaktować, to jak, na miłość boską, Hard mogła się zarazić, zastanawiał się w myślach. Coś tu nie pasowało. Zastanawiał się bez przekonania, czy stado zakażonych szczurów mogłoby żyć w systemie wentylacyjnym.

- Masz jeszcze jakieś pytania? Chciałabym trochę pomieszkać, a mam do skończenia ostatni raport.

- Ostatnie - obiecał Jack. - Sprawdziłaś, że Katherine Mueller zatrudniona była w

Manhattan General, ale nie napisałaś jako kto. Wiesz, czy była pielęgniarką, czy laborantką?

Janice przejrzała nocne notatki i natrafiła w końcu na kartkę z informacjami o

Mueller. Przeleciała po nich wzrokiem i spojrzała na Jacka.

- Ani tu, ani tam. Pracowała w zaopatrzeniu.

- No nie, daj spokój! - Z tonu wynikało, że Jack nie jest usatysfakcjonowany.

- Przepraszam, ale tak mi powiedziano.

- Ależ nie mam pretensji do ciebie - odpowiedział, machając ręką. - Chciałbym

jedynie odnaleźć w tym bałaganie jakiś logiczny porządek. Jak kobieta z działu zaopatrzenia może skontaktować się z chorym pacjentem z szóstego piętra? Gdzie mieści się dział zaopatrzenia?

- Zdaje się, że na tym samym piętrze co sale operacyjne, czyli na drugim.

- Dobra, dzięki. Teraz zmykaj stąd i wyśpij się.

- Tak właśnie zamierzam zrobić.

Jack ruszył z powrotem do strefy dla personelu, myśląc po drodze o nie mającej pozornie żadnego sensu sprawie. Zazwyczaj ciąg zakażeń bywał łatwą do przewidzenia sekwencją w obrębie rodziny albo określonej społeczności. Był więc podstawowy przypadek i pochodzące od niego kolejne zachorowania, do których dochodziło przez osobiste kontakty lub przez nosicieli, na przykład insekty. Nie było w tym żadnej tajemnicy. Tym razem jednak sprawa nie wydawała się tak oczywista. Jedynym czynnikiem wspólnym był Manhattan General.

Przechodząc obok biura sierżanta Murphy'ego, odruchowo machnął do niego.

Impulsywny Irlandczyk odwzajemnił pozdrowienie z wielkim entuzjazmem.

Im bardziej myśli kłębiły się w umyśle Jacka, tym wolniej szedł. Objawy nie mogły

się pojawić po jednodniowym pobycie pacjenta w szpitalu. Najkrótszy okres wylegania

choroby, jaki można przyjąć, to przynajmniej dwa dni, a więc musiała zostać zarażona przed przyjściem do szpitala. Jack wrócił do pokoju Janice.

- Jeszcze jedno pytanie. Nie wiesz przypadkiem, czy ta Hard odwiedzała szpital przed przyjęciem na porodówkę?

- Jej mąż powiedział, że nie. Specjalnie go o to pytałam. Wyjątkowo nie zносиła szpitali i unikała ich, a do porodu przyjechała na ostatnią chwilę.

Jack skinął.

- Dziękuję - odparł jeszcze bardziej zatroskany.

Wyszedł i znowu skierował się do biura. Sytuacja stawała się coraz bardziej kłopotliwa. Informacje, jakie uzyskał, skłaniały go do wysnucia wniosku, że mają do czynienia z dwoma, może trzema niezależnymi ogniskami choroby. To było niemożliwe. Innym rozwiązaniem było przyjęcie, iż okres inkubacji bardzo się skrócił, trwał mniej niż dwadzieścia cztery godziny. To mogło oznaczać, że w wypadku Susanne Hard mieli do czynienia z infekcją szpitalną, którą podejrzewano u Nodelmana, i zapewne podobnie było w przypadku Katherine Mueller. To rozwiązanie sugerowało potężną, wszechogarniającą infekcję, co także wydawało się mało prawdopodobne. Przecież ile zakażonych szczurów mogło znaleźć się w systemie wentylacyjnym, a wszystkie musiałyby w tym samym czasie roznosić zarazki.

Jack wyrwał z rąk ociągającego się Vinniego „Daily News” otwarte na stronie z informacjami sportowymi i zwlókł nieszczęśnika na parter do sali autopsyjnej.

- Jak możesz zaczynać dzień tak wcześnie? - mrucał nieszczęśliwy Vinnie. - Nikogo jeszcze nie ma. Czy ty nie masz własnego życia?

Jack uderzył go w pierś teczką Katherine Mueller.

- Nie znasz tego powiedzenia „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje”?

- Rzygać mi się chce - odparł Vinnie i wziął teczkę z rąk Jacka. - Od tego zaczynamy?

- Tak, możemy przecież równie dobrze posuwać się od znanego do nieznanego. U niej testy wykryły antycyjala dżumy, więc wskakuj w swój księżycowy skafander.

Piętnaście minut później Jack zaczynał autopsję. Sporo czasu poświęcił na oględziny zewnętrzne, szukając najdrobniejszych śladów ukąszeń owadów. To nie było łatwe zadanie, gdyż Katherine Mueller była czterdziestoczteroletnią kobietą z nadwagą i niezliczonymi pieprzykami, piegami i mniejszymi przebarwieniami skóry. Nie znalazł niczego, co mógłby z pewnością nazwać miejscem po ukąszeniu, chociaż kilka uszkodzeń wyglądało podejrzanie.

Na wszelki wypadek sfotografował je.

- Tym razem ani śladu gangreny - wtrącił Vinnie.

- Ani wylewów - dodał Jack.

Zanim zaczął badanie organów wewnętrznych, w sali zjawilo się sporo osób i mniej więcej połowa stołów została zajęta. Dało się usłyszeć kilka komentarzy o Jacku jako lokalnym ekspercie od dżumy, ale zignorował je. Zbyt był pochłonięty pracą.

Jak się okazało, płuca zmarłej były w stanie identycznym jak u Nodelmana. Płatowe zapalenie płuc z objawami rozwijającej się martwicy tkanek. Naczynia limfatyczne w obrębie szyi były również zaatakowane, podobnie jak węzły w okolicach oskrzeli.

- Wygląda równie źle albo i gorzej jak u Nodelmana - stwierdził Jack. - To niepokojące.

- Nie musisz mówić - odpowiedział Vinnie. - Te przypadki zarazy skłaniają mnie do szukania pracy w ogrodnictwie.

Jack właśnie kończył badanie organów wewnętrznych, gdy do sali wszedł Calvin. Nie można było pomylić jego olbrzymiej sylwetki. Towarzyszyła mu jakaś osoba, rozmiarami dorównywała mu tylko w połowie. Calvin podszedł prosto do stołu Jacka.

- Coś szczególnego? - zapytał, spoglądając do miski z organami.

- Jeśli chodzi o organy wewnętrzne, mamy powtórkę z wczoraj - odparł Jack.

- Dobrze - powiedział Calvin. Wyprostował się i przedstawił Jacka gościowi. Był to Clint Abelard, miejski epidemiolog.

Jack zdołał rozpoznać charakterystyczną linię dolnej szczęki Abelarda, ale z powodu załamania światła na plastikowej masce nie dostrzegł świdrujących oczu epidemiologa.

Ciekawiło go, czy będzie tak samo kłótlivy jak poprzedniego dnia.

- Jak mnie poinformował doktor Bingham, panowie już się znają - zauważył Calvin.

- Rzeczywiście - odparł Jack.

Abelard milczał.

- Doktor Abelard próbuje zlokalizować ognisko choroby - wyjaśnił Calvin.

- Godne pochwały - skwitował Jack.

- Doktor Abelard przyszedł do nas, by dowiedzieć się, czy możemy mu dostarczyć jakichś szczególnych informacji. Może pan doszedł do jakichś pozytywnych wniosków i mógłby się nimi podzielić?

- Z przyjemnością - przyznał Jack.

Rozpoczął od zewnętrznych oględzin, zwracając uwagę na ślady ewentualnych ukąszeń. Następnie pokazał całą masę patologicznych zmian w organach wewnętrznych.

Szczególną uwagę zwrócił na płuca, naczynia limfatyczne, wątrobę i śledzionę. Przez cały wykład Clint Abelard stał milcząco.

- Tak się przedstawia sprawa - zakończył Jack i włożył wątrobę z powrotem do miski.

- Jak pan widzi, to poważny przypadek, podobnie jak Nodelman, i nic dziwnego, że w tym stanie oboje zmarli bardzo szybko.

- A co z Susanne Hard? - zapytał Clint.

- Teraz się nią zajmę - odpowiedział Jack.

- Nie ma pan nic przeciwko temu, abym się przyglądał? -zapytał Clint.

Jack wzruszył ramionami.

- Decyzja należy do doktora Washingtona.

- Nie widzę problemu - zgodził się Calvin.

- Jeśli można zapytać - Jack zwrócił się do Clinta Abelarda: - Ma pan już jakąś teorię dotyczącą pochodzenia choroby?

- Nie - odburknął Clint. - Jeszcze nie.

- Może jakieś domysły - drążył Jack. Zdawało się, że Clint nie miał lepszego humoru niż poprzedniego dnia.

- Poszukujemy źródeł zakażenia w populacji miejskich gryzoni - ujawnił łaskawie.

- Świetny pomysł - przytaknął Jack. - A dokładnie, jak to robicie?

Clint zamilkł, jakby bał się zdradzić jakiś sekret.

- Pomaga nam Centrum Kontroli Chorób - powiedział w końcu. - Przysłali kogoś z sekcji zajmującej się dżumą. Właśnie przeszukuje teren i analizuje wyniki.

- Trafił na coś?

- Kilka złapanych ostatniej nocy szczurów było chorych, jednak żaden z nich nie miał dżumy.

- A co ze szpitalem? - naciskał Jack, nie zwracając uwagi na wyraźną niechęć rozmówcy. - Kobieta, której autopsję właśnie skończyłem, pracowała w dziale zaopatrzenia.

Wydaje się wielce prawdopodobne, że tak jak u Nodelmana była to choroba szpitalna. Sądzi pan, że zaraziła się od Nodelmana czy z jakiegoś innego źródła w szpitalu?

- Nie wiemy - przyznał Clint.

- Przyjmijmy, że zaraziła się od Nodelmana. Ma pan jakiś pomysł na drogę

przekazania choroby?

- Sprawdzaliśmy dokładnie szpitalny system wentylacji i klimatyzacji. Wszystkie filtry były na swoim miejscu, zmieniane ściśle według instrukcji.

- A co z sytuacją w laboratorium?

- Co pan ma na myśli?

- Nie wiedział pan, że szef działu technicznego w laboratorium mikrobiologicznym sugerował dżumę w rozmowie z dyrektorem laboratorium, ale ten uznał to za nonsens i kazał zapomnieć o podobnych pomysłach.

- Nie wiedziałem - mruknął Clint.

- Gdyby szef działu technicznego poszedł własnym tropem, diagnoza zostałaaby postawiona wcześniej i podjęto by odpowiednie działania - powiedział Jack. - Kto wie, może uratowano by ludzkie życie. Rzecz w tym, że laboratorium ma ograniczony budżet, bo AmeriCare chce zaoszczędzić kilka dolarów, i zlikwidowali stanowisko kierownika laboratorium mikrobiologicznego.

- Nie wiedziałem o tym wszystkim - przyznał Clint. - Niemniej jednak przypadek dżumy i tak by się ujawnił.

- Ma pan rację. Tak czy siak, trzeba określić źródło choroby. Niestety nie wie pan ani trochę więcej niż wczoraj. - Jack zaśmiał się ukryty za maską. Odczuwał nieco perwersyjną przyjemność, stawiając epidemiologa w trudnej sytuacji.

- Nie posunąłem się zbyt daleko - mruknął pod nosem Clint.

- Czy wystąpiły jakieś objawy choroby wśród personelu szpitalnego? - zapytał Jack.

- Mamy kilka pielęgniarek z wysoką gorączką poddanych kwarantannie. Nie ma żadnych dowodów, że to dżuma, ale tak podejrzewamy. Wszystkie miały kontakt z Nodelmanem.

- Kiedy zajmie się pan tą Hard? - wtrącił się Calvin.
 - Mniej więcej za dwadzieścia minut. Jak tylko Vinnie wszystko przygotuje.
 - Przejdę się i sprawdzę, jak wyglądają inne przypadki -oznajmił Calvin. - Chce pan iść ze mną czy woli zostać z doktorem Stapletonem? - zapytał Clinta.
 - Chętnie pójdę z panem, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu - oświadczył Abelard.
 - A tak na marginesie, Jack - powiedział przed odejściem Calvin. - Na zewnątrz kłębi się tłum dziennikarzy jak stado spragnionych krwi bestii. Nie życzę sobie, żeby udzielał pan jakichś nie autoryzowanych przez nas wywiadów. Wszelkie informacje z naszego instytutu wychodzą od doktora Donnatello lub jego asystenta.
 - Nawet nie marzyłem o rozmowie z prasą - zapewnił szefa Jack.
- Calvin odszedł do następnego stołu. Clint deptał mu po piętach.
- Nie odniosłem wrażenia, że ten facet chciał z tobą pogadać - zauważył Vinnie, kiedy Calvin i Clint odeszli dość daleko. - Za co akurat nie mogę go winić.
 - Ta mała myszka jest niezwykle ponura, odkąd ją pierwszy raz spotkałem. Nie wiem, z jakiego powodu, ale zdaje się, że to jakiś dziwny przyjemniaczek.
 - Przyganiał kocioł garnkowi - odpowiedział Vinnie.

Rozdział 11

Czwartek, godzina 9.30, 21 marca 1996 roku

- Panie Lagenthorpe, słyszy mnie pan?! - wołał do swojego pacjenta doktor Doyle.
- Donald Lagenthorpe był trzydziestoosmioletnim czarnoskórym Amerykaninem, inżynierem nafciarzem, cierpiącym na astmę. Tego ranka, tuż po godzinie trzeciej, obudził się z narastającymi trudnościami w oddychaniu. Przepisane przez lekarza środki, których używał w domu, nie pomagały, więc zjawił się w izbie przyjęć Manhattan General około czwartej. Zwykłe zabiegi medyczne stosowane w podobnych sytuacjach nie pomogły, więc za

kwadrans piąta wezwano doktora Doyle'a.

Donald mrugnął oczami i otworzył je. Nie spał, jedynie próbował odpocząć. Uczucie niemożności złapania oddechu stawało się prawdziwą torturą, przeżywał najgorsze chwile w życiu.

- Jak się pan czuje? - zapytał lekarz. - Wiem, przez co pan przeszedł. Musi pan być teraz bardzo wyczerpany. - Doktor Doyle należał do tych rzadko spotykanych lekarzy, którzy byli w stanie współczuć wszystkim pacjentom z głębokim zrozumieniem, tak jakby cierpiał na tę samą chorobę co pacjent.

Donald skinął głową, dając do zrozumienia, że czuje się lepiej. Oddychał dzięki masce tlenowej, ale przez to rozmowa stała się niemożliwa.

- Pozostawię pana w szpitalu przez kilka dni - oznajmił doktor. - Niezwykle trudno było zatrzymać atak.

Donald znowu skinął. Nikt nie musiał mu tego mówić.

- Zaaplikuję panu dożylnie nieco silniejszą dawkę sterydów - dodał Doyle.

Donald zsunął maskę z twarzy.

- Czy nie mógłbym ich dostawać w domu? - Wdzięczny za pomoc, jaką otrzymał w szpitalu w trudnej chwili, wołał jednak wrócić do domu, kiedy już jego oddech się unormował. W domu mógł przynajmniej trochę popracować. Jak zwykle w takim wypadku, atak astmy nadchodził w najmniej odpowiednim momencie. Donalda oczekiwano w Teksasie, gdzie rozpoczynały się kolejne prace wiertnicze.

- Rozumiem, że nie chce pan spędzać czasu w szpitalu. Ja na pana miejscu też bym wołał wrócić do domu. Ale proszę mi wierzyć, w tych okolicznościach to najlepsze rozwiązanie. Rzecz nie tylko w tym, że chcę podać panu sterydy, ale chciałbym także, aby pooddychał pan odpowiednio nawilżonym, czystym powietrzem. Chciałbym także dokładnie

zbadać pańskie górne drogi oddechowe. Jak już zauważyłem, ciągle jeszcze nie wróciliśmy do stanu normalnego.

- Jak długo to potrwa?

- Jestem przekonany, że tylko kilka dni.

- Muszę wracać do Teksasu - wyjaśnił Donald.

- Och - zdziwił się doktor Doyle. - Kiedy pan tam był ostatnio?

- W zeszłym tygodniu.

- Hmm. - Doyle zastanowił się przez chwilę. - Czy w czasie pobytu w Teksasie zetknął się pan z czymś nienormalnym? Coś pana zastanowiło?

- Jedynie teksasko-meksykańska kuchnia - odparł Donald, próbując się uśmiechnąć.

- Nie ma pan żadnych nowych zwierząt, prawda? - Jednym z problemów w leczeniu astmy było określenie czynników wywołujących ataki. Astma miewa często podłoże alergiczne, a wielu ludzi jest uczulonych na zwierzęta.

- Moja dziewczyna ma nowego kota. Kilka razy drapałem się trochę po wizytach u niej.

- A ostatni raz kiedy pan odwiedzał znajomą?

- Zeszłego wieczora - przyznał Donald. - Ale tuż po jedenastej wróciłem do domu i czułem się doskonale. Zasnąłem bez problemów.

- Będziemy musieli to sprawdzić, a tymczasem chcę, aby został pan u nas. Co pan na to?

- To pan jest lekarzem - odparł Donald.

- Dziękuję. - Doyle z zadowoleniem przyjął decyzję pacjenta.

Rozdział 12

Czwartek, godzina 9.45, 21 marca 1996 roku

- A niech to! - Jack mruknął pod nosem, kiedy zobaczył na stole przygotowaną do autopsji Susanne Hard. Tuż za nim wiercił się Abelard, przestępując z nogi na nogę.

- Clint, dlaczego nie staniesz po drugiej stronie stołu? -zapytał Jack. - Zobaczysz wszystko znacznie dokładniej.

Abelard posłuchał propozycji i trzymając ręce z tyłu, spokojnym krokiem przeszedł na wskazane miejsce.

- A teraz się nie ruszaj - powiedział Jack raczej do siebie. Nie podobało mu się, że ma Clint'a na karku, ale nic nie mógł na to poradzić.

- To smutne, gdy widzi się taką młodą kobietę - nagle odezwał się Clint.

Jack podniósł wzrok. Nie spodziewał się podobnej uwagi z ust doktora Abelarda.

Wydawała się zbyt ludzka jak na niego. Jack postrzegał go jako beznamiętnego, ponurego biurokrate.

- Ile ma lat? - zapytał Clint.

- Dwadzieścia osiem - odpowiedział stojący u wezłowania Vinnie.

- Z wyglądu kręgosłupa można wnioskować, że nie miała łatwego życia - zauważył Clint.

- Przeszła co najmniej kilka operacji pleców - wyjaśnił Jack. - To podwójne nieszczęście - mówił dalej Abelard. - Zmarła tuż po urodzeniu dziecka. Teraz dziecko nie ma matki.

- To było jej drugie dziecko - wyjaśnił Vinnie.

- I nie można przecież zapomnieć o mężu. Na pewno bardzo rozpacza po stracie żony.

Po grzbiecie Jacka przeszły ciarki. Musiał walczyć ze sobą, żeby nie sięgnąć przez stół i nie uderzyć Clint'a z całej siły.

Nagle odszedł od stołu i skierował się do umywalni. Słyszał, jak Vinnie woła za nim,

ale zignorował to. Zamiast wrócić, oparł się o krawędź umywalki i starał się uspokoić.

Wiedział, że złośczenie się na Clinta jest nieracjonalne. Takie gadanie zawsze denerwowało Jacka, szczególnie że najczęściej mówili ci, którzy nie mieli zielonego pojęcia o życiu.

- Jakiś problem? - zapytał Vinnie, wsuwając głowę za drzwi.

- Zaraz wracani.

Vinnie zamknął drzwi.

Jack umył jeszcze raz ręce i założył nowe rękawiczki. Kiedy skończył, wrócił na salę.

- Zaczynamy przedstawienie - powiedział, stając przy stole.

- Pod pańską nieobecność przyjrzałem się ciału i nie znalazłem żadnych śladów po ukąszeniu owada - oznajmił Clint.

Jack znowu musiał się powstrzymać, żeby nie pouczać Clinta, tak jak tamten to zrobił poprzedniego dnia. Zwyczajnie zabrał się do zewnętrznych oględzin. Po chwili zaczął mówić.

- Brak śladów gangreny, brak wylewów i, o ile mogę dostrzec, brak również ukąszeń owadów. Ale już po zewnętrznych oględzinach mogę stwierdzić, że niektóre z węzłów chłonnych denatki wydają się opuchnięte.

Jack wskazał zmienione miejsca i Clint skinął głową na znak zgody.

- To z pewnością ma związek z dżumą - stwierdził doktor Abelard.

Jack nie odpowiedział. Wziął z ręki Vinniego skalpel i sprawnie wykonał typowe przy autopsji cięcie w kształcie litery „Y”. Gwałtowność ruchu wywołała odruch wstrętu u Clinta.

Natychmiast cofnął się o krok.

Jack pracował szybko, ale ostrożnie. Wiedział, że im mniejszym uszkodzeniom ulegną wewnętrzne organy, tym mniejsze jest ryzyko rozsiania zarazków.

W pierwszej kolejności zajął się płucami. W tym momencie zjawił się Calvin i górując nad Jackiem, stanął tuż obok.

Jack wykonał pierwsze cięcie na płucach, po czym rozchylił je jak skrzydła motyla.

- Wygląda na odoskrzelowe zapalenie płuc, sporo obumarłych tkanek. Bardzo podobne do Nodelmana - zauważył Calvin.

- Nie wiem - odparł Jack. - Wydaje mi się, że są podobnie uszkodzone, ale jakby w mniejszym stopniu. No i proszę spojrzeć na okolicę węzłów.

Clint słuchał wyjaśnień patologa z nikłym zainteresowaniem. Pamiętał terminy ze studiów, ale dawno temu zapomniał ich znaczenie.

- Czy to wygląda jak dzuma? - zapytał.

- Podobnie - odparł Calvin. - Spójrzmy jeszcze na wątrobę i śledzionę.

Jack wyjął organy i kolejno je rozkroił. Tak jak w wypadku płuc rozchylił nacięte ściany, aby wszyscy mogli się przyjrzeć. Nawet Laurie odeszła na chwilę od swojego stołu.

- Spora martwica - spostrzegł Jack. - Z pewnością przypadek podobny do Nodelmana i Katherine Mueller.

- Według mnie wygląda na dzumę - stwierdził Calvin.

- W takim razie dlaczego badanie fluorescencyjne na antyciała dało negatywny wynik? To każe mi się domyślać czegoś innego, szczególnie uwzględniając stan płuc.

- A co jest z płucami? - spytała Laurie.

Jack odłożył do miski wątrobę i śledzionę i powtórnie sięgnął po płuco. Wyjaśnił, co sądzi o uszkodzeniach.

- Teraz widzę, co masz na myśli. Rzeczywiście różni się od Nodelmana. Wygląda bardziej na niezwykle agresywną gruźlicę.

- A to ci dopiero! - zawołał Calvin. - Przecież to nie jest gruźlica. W żadnym razie.

- Nie wydaje mi się, aby Laurie sugerowała, że to gruźlica - zaprotestował Jack.

- Nic podobnego - zgodziła się Laurie. - Powiedziałam tak jedynie, aby opisać stan

zmian w chorym organie.

- Myślę, że to dżuma - upierał się Calvin. - Pewnie nie myślałbym tak, gdybyśmy nie mieli wczoraj identycznego przypadku z tego samego szpitala.

- A mnie się zdaje, że to nie jest dżuma - sprzeciwił się Jack. - Ale poczekajmy, co powie nasze laboratorium.

- Może podwoimy nasz zakład? Dwadzieścia albo nic - zaproponował pewny swego Calvin. - Jeżeli jest pan pewny swej opinii.

- Nie jestem, ale wchodzę w to. Wiem, ile pieniądze dla pana znaczą.

- Czy to już wszystko? - zapytał zniecierpliwiony Clint. - Bo jeżeli tak, to będę już szedł.

- Zasadniczo skończyłem - potwierdził Jack. - Jeszcze przez chwilę pooglądani naczynia limfatyczne i na końcu przygotuję próbki do badań mikroskopowych. Jeżeli musi pan już iść, nic ważnego pan nie straci.

- Odprowadzę pana - zaoferował się Calvin.

Po chwili obaj zniknęli za drzwiami do umywalni.

- Jeżeli to nie jest dżuma, to co to jest twoim zdaniem? - zapytała Laurie, gdy zostali sami.

- Czuję się zakłopotany moimi podejrzeniami.

- Och, no dalej, obiecuję, że nikomu nie powiem.

Jack spojrział na Vinniego. Pomocnik uniósł obie ręce i powiedział:

- Jak kamień w studnię.

- No cóż, muszę się wycofać z pierwotnej diagnozy, którą postawiłem w przypadku

Nodelmana. Powiem więcej, znowu muszę stąpać po cienkim lodzie domysłów. Jeżeli to nie dżuma, to najbliższą jej chorobą o podobnych objawach klinicznych i patologicznych jest

tularemia.

Laurie roześmiała się.

- Tularemia u dwudziestoośmioletniej położnicy w środku Manhattanu? - zapytała. -

To bardzo mało prawdopodobne, chociaż z drugiej strony bardziej prawdopodobne niż dżuma. Koniec końców, mogła w weekendy polować na króliki. Ot tak, dla przyjemności.

- Zdaję sobie sprawę, że to mało prawdopodobne. Jednak jeszcze raz zaufam wynikom badań patologicznych i wynikowi testów, według których raczej nie ma mowy o dżumie.

- Założyłabym się z tobą o ćwierć dolara - zaproponowała Laurie.

- Ostro grasz! - zażartował Jack. - Dobra! O ćwierć dolara.

Laurie wróciła do swojej pracy. Jack i Vinnie znowu zajęli się Susanne Hard. Kiedy Vinnie robił, co do niego należy, Jack dokonał drobiazgowej analizy naczyń limfatycznych, a następnie pobrał odpowiednie próbki do analizy mikroskopowej. Kiedy próbki znalazły się we właściwych woreczkach i zostały starannie opisane, pomógł Vinniemu zeszyć ciało.

Opuściwszy salę autopsyjną, zdjął kombinezon ochronny. Podłączył akumulatory wentylatora do ładowarki, wsiadł do windy i pojechał na drugie piętro zobaczyć się z Agnes Finn. Zastał ją przed mnóstwem szklanych naczyń wypełnionych kulturami bakterii.

- Właśnie skończyłem z kolejnym przypadkiem domniemanej dżumy - oznajmił. -

Wkrótce dostaniesz wszystkie wycinki. Ale jest pewna niejasność. Laboratorium w Manhattan General doszło do negatywnych wniosków po zbadaniu materiału. Oczywiście chcę powtórzyć badania, ale równocześnie prosiłbym cię o wykonanie testów pod kątem tularemii i, proszę, zrób to tak szybko jak się da.

- To nie takie proste - odpowiedziała Agnes. - Operowanie *francisella tularensis* jest wielce ryzykowne. Jeśli przedostanie się do powietrza, stanowi olbrzymie zagrożenie dla laboranta. Są testy fluorescencyjne na antyciała tularemii, ale niestety nie posiadamy ich.

- W takim razie, w jaki sposób możesz postawić diagnozę?

- Wysyłamy próbki na zewnątrz, ponieważ odczynniki niezbędne do przeprowadzenia tych testów na ogół otrzymują tylko przystosowane laboratoria, w których laboranci są przeszkoleni w bezpiecznym obchodzeniu się z mikroorganizmami. Mamy w mieście takie laboratorium.

- Możesz to wysłać natychmiast?

- Zrobię to, gdy tylko dostaniemy próbki. Zadzwoń i powiem, że to sprawa niezwykle pilna. Powinniśmy otrzymać wyniki w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Znakomicie. Będę czekał. Postawiłem na ten wynik dwadzieścia dolarów i dwadzieścia pięć centów.

Agnes spojrzała na Jacka. Mógłby jej wszystko wyjaśnić, ale obawiał się, że tłumaczenie brzmiałoby jeszcze dziwniej. Dał więc spokój i pojechał na górę do swojego biura.

Rozdział 13

Czwartek, godzina 10.45, 21 marca 1996 roku Nowy Jork

- Coraz bardziej mi się podoba - oznajmiła Teresa. Wstała zza stołu montażowego Colleen. Colleen zaprezentowała jej właśnie materiał, który zespół zrobił od rana, kierując się ich wczorajszą wieczorną rozmową.

- Najlepsze jest to, że myśl główna związana jest z przysięgą Hipokratesa - zauważyła Colleen. - Szczególnie ten fragment, żeby przede wszystkim nikomu nie szkodzić. Uważam, że to najlepsza część.

- Sama nie wiem, dlaczego nie wpadłyśmy na to wcześniej - zastanowiła się Teresa. -

To takie naturalne. Aż nieprzyjemnie pomyśleć, że musiała się zdarzyć epidemia dżumy, żeby nam przyszło coś takiego do głowy. Oglądałaś poranne wiadomości? Wiadomo coś nowego?

- Trzy zgony! - poinformowała Colleen. - I kilka nowych przypadków zachorowań.

Okropne. Prawdę powiedziawszy, śmiertelnie się boję.

- Rano bolała mnie głowa po tym wczorajszym winie, ale pierwszą myślą, jaka mnie nawiedziła, było pytanie, czy mam już dżumę czy jeszcze nie.

- Dokładnie tak samo jak ja - potwierdziła obawy koleżanki Colleen. - Cieszę się, że się przyznałaś pierwsza. Było mi tak głupio.

- Cholera jasna, mam nadzieję, że nasi panowie mieli wczoraj rację. Robili wrażenie godnych zaufania, kiedy mówili, że nie będzie z tym wielkiego problemu.

- Boisz się tego spotkania? - zapytała Colleen.

- Przeszło mi coś takiego przez głowę - przyznała Teresa. - Ale, jak powiedziałam, budzą zaufanie. Nie wyobrażam sobie, aby postępowali podobnie, gdyby istniało choćby małe ryzyko.

- To znaczy, że pójdziemy z nimi dziś na kolację?

- Bez dwóch zdań. Mam przeczucie, że Jack Stapleton okaże się fontanną pomysłów. Może i jest z jakiegoś powodu zgorzkniały, ale jest również inteligentny i uparty i z pewnością zna się na swojej robocie.

- Aż trudno uwierzyć, jak wszystko się ułożyło - stwierdziła Colleen. - O wiele bardziej przypadł mi do gustu Chet. Dowcipny, otwarty i tak miło się z nim rozmawia. Mam dość własnych problemów i nie oczaruje mnie żaden cierpiący, zadumany typ.

- Nic nie powiedziałam o oczarowaniu - zaprotestowała Teresa. - Chodzi o coś całkiem innego.

- Co sądzisz o wykorzystaniu postaci Hipokratesa w jednej z reklamówek?

- Myślę, że to może być wspaniały pomysł - zachwyciła się Teresa. - Zrób to. Ja tymczasem idę na górę pogadać z Helen Robinson.

- Po co? Sądziłam, że to wróg.
- Potraktuję sugestię Taylora dosłownie. Niech dział reklamy rzeczywiście współpracuje z działem finansowym.
- No jasne! To ci historia!
- Poważnie. Chcę, żeby coś dla mnie zrobiła. Potrzebuję piątej kolumny. Helen ma potwierdzić, że National Health jest w porządku, że nie ma chorób szpitalnych czy jakiś innych podobnych kłopotów. Jeżeli ich przeszłość nie jest czysta jak łza, całą kampanię diabli wezmą, a wtedy nie tylko pożegnam się z szansą na awans, ale obie zaczniemy sprzedawać ołówki w sklepie papierniczym.
- Słyszałybyśmy chyba o czymś takim. Są naszymi klientami od wielu lat.
- Wątpię. Te gigantyczne spółki medyczne niechętnie udostępniają dane, które mogłyby zaszkodzić ich pozycji na giełdzie. Z pewnością przypadki szpitalnych infekcji nie poprawiłyby ich notowań.

Teresa klepnęła koleżankę w ramię, poleciła jej utrzymywać zespół na pełnych obrotach i skierowała się ku schodom.

Biegnąc po dwa stopnie naraz, szybko znalazła się na piętrze, które zajmowała administracja firmy. Poszła prosto do wyściełanego dywanami królestwa finansów. Jej nastrój poprawiał się z każdą chwilą. Było to zupełne przeciwieństwo obaw i lęków z poprzedniego dnia. Intuicja podpowiadała Teresie, że jest na najlepszej drodze do zrobienia czegoś naprawdę wspaniałego i zgarnięcia w efekcie zasłużonej nagrody.

Gdy tylko skończyło się niespodziewane spotkanie z Teresą i ta zniknęła za rogiem, Helena wróciła do biurka i połączyła się ze swoim głównym informatorem z National Health Care. Kobieta nie była w tej chwili osiągalna, ale też Helen nie spodziewała się, że ją zastanie. Zostawiła tylko imię i numer i poprosiła o telefon tak szybko, jak to będzie możliwe.

Potem Helen wyjęła z torebki szczotkę do włosów, otworzyła szafkę, spojrzała w lustro zawieszone na wewnętrznej stronie drzwi i przeczesała kilka razy włosy. Gdy uznała, że wygląda dobrze, udała się do gabinetu Roberta Barkera.

- Masz minutkę? - zapytała, stając w drzwiach.

- Dla ciebie nawet cały dzień - odparł szarmancko Robert i oparł się wygodnie w fotelu.

Helen weszła do gabinetu. Kiedy odwróciła się, aby zamknąć za sobą drzwi, Robert szybkim ruchem zdjął z biurka fotografię żony i wsunął ją do szuflady. Srogie spojrzenie małżonki zawsze wzbudzało w nim poczucie winy, kiedy zjawiała się Helen.

- Przed chwilą miałam gościa - oznajmiła Helen bez dalszych wstępów. Swoim zwyczajem usiadła na oparciu jednego z dwóch krzeseł stojących przed biurkiem Roberta i skrzyżowała nogi.

Robert czuł jak jego puls przyspiesza, a na czole pojawiają się kropelki potu. Z miejsca, w którym siedział, krótka spódniczka Helen odsłaniała przed nim nie kończące się uda.

- Zjawiała się nasza pani dyrektor działu reklamy - ciągnęła Helen. Miała pełną świadomość efektu, jaki wywołuje na szefie i pochlebiało jej to. - Prosiła, żebym zdobyła dla niej pewne informacje.

- Jakie informacje? - zapytał Robert. Nie poruszył nawet oczami, nie mrugnął powieką. Był jak zahipnotyzowany.

Wyjaśniła, o co chodzi, streściła też rozmowę sprzed paru minut i opowiedziała o epidemii dżumy. Robert siedział dłuższą chwilę w milczeniu. Helen wstała, wrywając tym szefa z transu.

- Próbowałam jej powiedzieć, żeby nie wykorzystywała tej sytuacji - dodała Helen -

ale upiera się, że to zadziała.

- Może nie powinnaś była jej zniechęcać - odparł Robert. Rozpiął kołnierzyk pod szyją i głęboko wciągnął powietrze.

- Ale to obrzydliwy pomysł. Trudno mi sobie wyobrazić coś bardziej niesmacznego - upierała się.

- No właśnie - zgodził się Robert. - O tym myślę. Niech zaproponuje jakąś niesmaczną kampanię reklamową.

- Rozumiem. Nie pomyślałam o tym w ten sposób.

- Oczywiście, że nie pomyślałaś. Nie jesteś jeszcze tak podstępna jak ja. Ale szybko się uczysz. Kłopot z tym pomysłem polega na tym, że może się on okazać całkiem dobry. Kto wie, może to jest dobry sposób na wyraźne zaznaczenie różnicy między National Health a AmeriCare.

- Zawsze mogę jej powiedzieć, że informacje są nie do zdobycia. Prawdę powiedziawszy i tak może się zdarzyć.

- Kłamstwo jest ryzykowne - stwierdził Robert. - A jeżeli ona już zdobyła informacje i sprawdza, czy jesteśmy wobec niej uczciwi? Nie, wykorzystaj swoje źródło i znajdź dla niej, co możesz. Ale poinformuj mnie, co ustaliłaś i co przekazałaś Teresie Hagen. Chcę być zawsze o krok przed nią.

Rozdział 14

Czwartek, godzina 12.00, 21 marca 1996 roku

- Cześć, jak samopoczucie? - przywitał kolegę Chet, kiedy Jack wszedł do ich wspólnego pokoju i rzucił na biurko kilka teczek.

- Nie mogłoby być lepsze - odpowiedział Jack.

Czwartek był dla Cheta dniem papierkowym. Nie schodził do sali autopsyjnej, lecz

siedział przy biurku i wypełniał zaległą dokumentację. Właściwie lekarze patolodzy wykonywali autopsje tylko przez trzy dni w tygodniu. Pozostałe dni wykorzystywali na opracowanie pełnej dokumentacji zbadanych przypadków. Zawsze było mnóstwo dokumentów z wydziału dochodzeniowego, z laboratorium, ze szpitali i od lekarzy rodzinnych, w końcu z policji. Do tego lekarze musieli przeglądać preparaty mikroskopowe przygotowywane do każdego przypadku przez laboratorium histologiczne.

Jack usiadł i odepchnął na bok część papierów od dawna zalegających biurko, żeby zrobić nieco miejsca do pracy.

- Dobrze się czujesz rano? - zapytał Chet.

- Troszkę mnie trzęsło - przyznał Jack. Wydobył aparat telefoniczny spod sterty raportów laboratoryjnych i otworzył pierwszą z przyniesionych przed chwilą teczek. Zaczął przeglądać jej zawartość. - A ty?

- Świetnie. No aleja przywykłem do odrobiny wina i czegoś tam jeszcze. A poza tym wspomnienie tych kurczaczek pomaga, szczególnie Colleen. Wieczór jest aktualny, co?

- Chciałem o tym porozmawiać.

- Obiecałeś - przypomniał Chet.

- Właściwie to nie obiecałem - uznał Jack.

- No co ty - prosząco zaczął Chet. - Nie załamuj mnie. Będą czekały na nas. Mogą sobie pójść, jak pokażę się sam.

Jack wnikliwie przyjrzał się koledze zza biurka.

- Nie rób mi tego. Proszę! - nalegał Chet.

- Niech tam, w porządku - zgodził się niechętnie Jack. - Tylko ten raz. Szczerze powiedziawszy, nie wiem, do czego mnie potrzebujesz. Sam doskonale dajesz sobie radę.

- Dzięki, chłopie. Jestem twoim dłużnikiem.

Jack znalazł kartę identyfikacyjną z numerami telefonów do Maurice'a Harda, męża

Susanne. Były dwa, do biura i domowy. Zadzwoił do domu.

- Do kogo dzwonisz?

- Jesteś wścibskim sukinsynem - zażartował Jack.

- Muszę cię kontrolować, żebyś przypadkiem sam się nie wyrzucił z roboty.

- Dzwonię do męża kolejnej ofiary naszej dziwnej infekcji. Właśnie wykonałem badania i jestem w kropce. Z klinicznego punktu widzenia wygląda na dżumę, ale nie wierzę, że to dżuma.

Słuchawkę podniosła gospoia. Poproszona o przywołanie pana Harda, poinformowała, że Hard jest w pracy. Jack zadzwonił pod drugi numer. Tym razem odebrała sekretarka. Wyjaśnił, kim jest, i połączyła go.

- Jestem zaskoczony - powiedział do Cheta, zasłaniając dłonią słuchawkę. - Facetowi dopiero co zmarła żona, a on siedzi w biurze. To jest możliwe tylko w Ameryce!

Maurice Hard w końcu się zgłosił. Głos miał napięty. Bez wątpienia ten człowiek znajdował się w głębokim stresie. Jack uważał, że mógłby powiedzieć coś o swych uczuciach, o tym, jak mu przykro, czy coś podobnego, lecz coś go powstrzymało. Zamiast tego jeszcze raz się przedstawił, wyjaśnił, kim jest i po co dzwoni.

- Czy nie powinienem przedtem porozumieć się ze swoim prawnikiem? - zapytał Maurice.

- Prawnikiem? A dlaczego z prawnikiem?

- Rodzina mojej żony snuje dziwaczne przypuszczenia. Uważają, że miałem coś wspólnego ze śmiercią żony. Są szaleni. Bogaci, ale kompletnie szaleni. Mieliśmy z Susanne lepsze i gorsze dni, ale nigdy nie skrzywdzilibyśmy się nawzajem w żaden sposób.

- Czy nie wiedzą, że pańska żona zmarła na śmiertelną chorobę, którą się zaraziła w

szpitalu? - zapytał zaskoczony przebiegiem rozmowy Jack.

- Staralem się im to wyjaśnić.

- Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Nie do mnie należy udzielanie panu rady w sprawie prawnego zabezpieczenia.

- A niech tam, niech pan zadaje te swoje pytania - zgodził się Maurice Hard. - Nie wydaje mi się, żeby to miało sprawiać jakąś różnicę. Ale proszę pozwolić, że ja pierwszy o coś pana zapytam. Czy to była dżuma?

- To jeszcze nie jest przesądzone. Obiecuję, że jak tylko się upewnimy, przedzwonię do pana.

- Byłbym bardzo zobowiązany. No więc, co chciałby pan wiedzieć?

- Wiem, że ma pan psa. Czy jest zdrowy?

- Jak na siedemnastoletniego psa to jest zdrowy.

- Proponowałbym panu, aby zabrał go pan do weterynarza i kazał zbadać, wyjaśniając, że pańska żona zmarła na bardzo groźną chorobę zakaźną. Chciałbym mieć pewność, że cokolwiek to jest, pies nie jest nosicielem.

- A mogłoby tak być? - zapytał zaniepokojony Maurice.

- Możliwość jest niewielka, ale istnieje - odpowiedział Jack.

- Dlaczego nie powiedzieli mi o tym w szpitalu? - zapytał Maurice Hard.

- Na to nie umiem panu odpowiedzieć. Jednak przypuszczam, że wspomnieli, iż powinien pan brać antybiotyki?

- Tak, już zacząłem. Ale ta sprawa z psem wytrąciła mnie z równowagi. Powinni powiedzieć.

- Jest jeszcze sprawa podróży - powiedział Jack. - Jak zostałem poinformowany, pańska żona nie odbywała ostatnio żadnych podróży, prawda?

- Owszem - przytaknął Maurice. - Źle się czuła w ciąży, głównie z powodu chorego kręgosłupa. Nie wyjeżdżaliśmy nigdzie z wyjątkiem wycieczki do naszego domku w Connecticut.

- Kiedy byliście tam państwo ostatni raz?

- Jakies półtora tygodnia temu. Lubiła tam przebywać.

- To wiejska posiadłość?

- Siedemdziesiąt akrów pól i las - wyjaśnił z dumą Maurice. - Piękny zakątek. Mamy nawet własny staw.

- Czy pańska żona wychodziła na spacer do lasu?

- Codziennie. To była jej największa przyjemność. Uwielbiała karmić sarny i króliki.

- Czy dużo tam królików?

- Wie pan, jak to jest z królikami. Za każdym razem, kiedy zjawialiśmy się na wsi, było ich więcej. Prawdę powiedziawszy, to prawdziwe utrapienie. Wiosną i latem zżerają wszystkie kwiaty.

- Czy macie jakieś kłopoty ze szczurami?

- O niczym takim nie wiem. Sądzi pan, że to wszystko może być ważne?

- Nie wiemy - przyznał Jack. - Co może pan powiedzieć o swoim gościu z Indii?

- O panu Svinashanie? To mój wspólnik w interesach. Przyjechał z Bombaju.

Mieszkał u nas mniej więcej przez tydzień.

- Hmm - zamyślił się Jack. Przypomniała mu się epidemia dżumy w Bombaju z 1994 roku. - I o ile panu wiadomo, jest zdrowy i ma się dobrze?

- O ile wiem, tak.

- Może zadzwoniłby pan do niego - zasugerował Jack. - Jeżeli okaże się, że jest chory, proszę mnie powiadomić.

- Oczywiście - zapewnił Maurice. - Nie sądzi chyba pan, że mógłby być w to wmieszany. Odwiedził nas trzy tygodnie temu.

- Ta informacja uszła mojej uwagi. Czy żona lub pan znaliście Donalda Nodelmana?

- A kto to jest?

- Pierwsza ofiara epidemii. Był pacjentem w Manhattan General. Ciekawi mnie, czy pańska żona mogła go odwiedzić w szpitalu. Leżał na tym samym piętrze.

- Na oddziale położniczym? - zapytał zaskoczony Maurice.

- Nie, na wewnętrznym. Leżał z powodu cukrzycy.

- Gdzie mieszkał?

- W Bronx.

- Wątpię - odparł Maurice. - Nie znamy nikogo z tej dzielnicy.

- Jeszcze jedno pytanie. Czy pańska żona odwiedzała szpital w tygodniu poprzedzającym poród?

- Nienawidziła szpitali - oświadczył Hard. - Szczęśliwie udało mi się ją tam zawieźć, gdy zaczęła rodzić.

Jack podziękował Maurice'owi Hardowi i odłożył słuchawkę.

- A teraz do kogo? - zapytał Chet, widząc Jacka wystukującego kolejny numer.

- Do męża pierwszej kobiety, którą dzisiaj badałem. Przynajmniej w tym wypadku mamy pewność, że to była dzuma.

- Dlaczego nie zostawisz tych telefonów asystentom z dochodzeniówki?

- Bo nie potrafię im powiedzieć, o co mają pytać. Nie wiem, czego szukam. Działam po omacku. Mam przeczucie, że przeoczyliśmy jakąś drobną informację. Poza tym jestem zwyczajnie ciekawy. Im bardziej myślę o przypadku dzumy w marcu w Nowym Jorku, tym bardziej zdaje mi się niemożliwy.

Pan Harry Mueller w niczym nie przypominał Maurice'a Harda. Strata kompletnie go załamała i pomimo deklarowanej gotowości do współpracy ledwo można było coś z niego wydusić. Nie chcąc go dodatkowo zasmucać, Jack postanowił szybko zakończyć rozmowę. Po uzyskaniu potwierdzenia, że w grę nie wchodzi domowe zwierzęta, podróże i goście z zagranicy, zapytał, podobnie jak Maurice'a Harda, o znajomość z Donaldem Nodelmanem.

- Jestem pewny, że moja żona nie знаła tego osobnika - odparł Harry. - I w ogóle rzadko spotykała pacjentów, szczególnie chorych.

- Czy pańska żona od dawna pracowała w centrali zaopatrzenia szpitala?

- Od dwudziestu jeden lat.

- Czy kiedykolwiek zachorowała na chorobę, którą mogła się zarazić w szpitalu? A może podejrzewała, że zaraziła się czymś w pracy?

- Może wtedy, kiedy jedna z jej koleżanek przeziębila się. Ale nic ponadto.

- Dziękuję, panie Mueller. Był pan wielce pomocny.

- Katherine życzyłaby sobie, żeby panu pomógł. Była dobrym człowiekiem.

Jack odłożył słuchawkę, ale nadal bębnił po niej palcami. Był wyraźnie poruszony.

- Nikt, łącznie ze mną, nie ma zielonego pojęcia, co się tu dzieje - powiedział.

- Prawda - zgodził się Chet. - Ale to nie twoje zmartwienie. Kawaleria już przybyła.

Słyszałem, że był u nas rano na wizytacji miejski epidemiolog.

- Rzeczywiście, był tu - potwierdził Jack. - Zwykła desperacja. Ten mały palant nie ma mglistego pojęcia, co się dzieje. Gdyby nie przysłali kogoś z Centrum Kontroli Chorób z Atlanty, nic by się nie wydarzyło. W końcu ktoś tropi szczury i szuka siedliska choroby.

Nagle Jack zerwał się z krzesła i wziął kurtkę.

- Oho - odezwał się Chet. - Dlaczego wyczuwam kłopoty? Dokąd się wybierasz?

- Wracam do Manhattan General - oznajmił Jack. - Mój siódmy zmysł podpowiada mi,

że brakująca informacja znajduje się tam i, na Boga, znajdę ją.

- A co z Binghamem? - zapytał wystraszony Chet.

- Kryj mnie. Jeśli spóźnię się na odprawę, powiedz... - Jack zastanowił się nad odpowiednim usprawiedliwieniem, lecz nic nie przyszło mu do głowy. - No, wymyśl coś - powiedział w końcu. - Nie zabawię długo. Będę przed nasiadówką. Jeżeli będą telefony, to powiedz, że jestem w kibelku.

Ignorując prośby o przemyślenie zamiaru, Jack wyszedł. Wsiadł na rower i pojechał do szpitala. Na miejscu był po piętnastu minutach. Rower przymocował do tego samego znaku co poprzednio.

Najpierw wsiadł do windy i jadąc na szóste piętro, dokładnie ją zbadał. Po dojechaniu na miejsce sprawdził, że oba oddziały, ginekologiczno-położniczy i internistyczny, były od siebie oddzielone i nie łączyły ich ani wspólna świetlica, ani toalety. Zauważył także, że system wentylacyjny został tak zaprojektowany, aby powietrze z jednego oddziału nie mogło przedostawać się do drugiego.

Pchnął drzwi i wszedł na oddział ginekologiczno-położniczy. Skierował się prosto do informacji.

- Przepraszam - zagadnął do pielęgniarki pełniącej dyżur. - Czy ktoś z personelu tego oddziału pracuje również na internie po przeciwnej stronie?

- O ile mi wiadomo, to nie - odpowiedział młody mężczyzna. Wyglądał na piętnastolatka, który nie musi się jeszcze golić. - Nie licząc oczywiście sprzątaczek. No ale one pracują w całym szpitalu.

- Znakomicie - ucieszył się Jack. Nie pomyślał dotąd o sprzątaczkach. Warto było się nad tym zastanowić. Następnie zapytał o numer pokoju zajmowanego przez Susanne Hard.

- Czy mogę zapytać o pańskie upoważnienie - poprosił młodzieniec. Zauważył

dopiero teraz, że Jack nie nosi szpitalnej karty identyfikacyjnej. Wszystkie szpitale wymagają od swoich pracowników noszenia identyfikatorów, często się jednak zdarza, że część personelu nie stosuje się do zarządzenia.

Jack wyjął swoją legitymację służbową i błysnął odznaką. Osiągnął spodziewany efekt. Dowiedział się, że pani Hard zajmowała pokój numer 742.

Jack ruszył w stronę tego pokoju, ale pielęgniarz zawołał za nim, że pomieszczenie jest poddawane kwarantannie i chwilowo zabezpieczone.

Nie spodziewając się, aby obejrzenie pokoju naprawdę mogło coś dać, Jack cofnął się i zjechał windą na drugie piętro. Tutaj mieściły się sale operacyjne i pooperacyjne, oddział intensywnej opieki medycznej i centrala zaopatrzenia szpitala. Panował tu ożywiony ruch, kręciło się wielu pacjentów z całego szpitala.

Jack pchnął wahadłowe drzwi i wszedł do działu zaopatrzenia. Niemal tuż za progiem zatrzymał go odpychająco wyglądający kontuar. Tuż za nim rozciągał się niezmierny labirynt regałów sięgających sufitu. Na półkach ułożone było rozmaite wyposażenie niezbędne do funkcjonowania każdego dużego szpitala. Między regałami krzątała się grupa osób ubranych w białe kitle i nakrycia głowy przypominające czepki pływackie. Gdzieś z zaplecza dochodziły dźwięki radia.

Po kilku minutach został dostrzeżony przez krzepką, pełną wigoru kobietę. Podeszła i zapytała, w czym może pomóc. Na plakietce przypiętej do jej fartucha przeczytał: „Gladys Zarelli, kierownik”.

- Chciałbym zapytać o Katherine Mueller - wyjaśnił Jack.

- Niech ją Bóg ma w opiece - odpowiedziała Gladys, zegnając się. - Co za straszna historia.

Jack przedstawił się i pokazał odznakę, a następnie zapytał, czy ona i jej

współpracownicy nie są zaniepokojeni faktem, że Katherine zmarła na zakaźną chorobę.

- Oczywiście, że jesteśmy zaniepokojeni - przyznała Gladys. - Któż by nie był.

Pracujemy w bezpośrednim kontakcie ze sobą. Ale cóż można poradzić? W końcu cały szpital jest zaniepokojony. Dali nam wszystkim antybiotyki i, dzięki Bogu, nikt nie choruje.

- Czy coś podobnego zdarzyło się kiedykolwiek wcześniej? Myślę o tym, że dzień przed Katherine umarł na dżumę pacjent, a to sugeruje, że jest wielce prawdopodobne, iż Katherine zaraziła się w szpitalu. Nie zamierzam pani straszyć, to są jednak fakty.

- Wszyscy zostaliśmy o tym powiadomieni. Nie, nic podobnego sobie nie przypominam. Wyobrażam sobie, że mogło to przytrafić się pielęgniarce, ale tu, w dziale zaopatrzenia?

- Czy pani pracownicy mają jakiś kontakt z pacjentami?

- Raczej nie - stwierdziła Gladys. - Zdarza się czasami, że musimy udać się na oddział, jednak nigdy nie spotykamy się z pacjentami.

- Co Katherine robiła w tygodniu poprzedzającym jej śmierć?

- Muszę to sprawdzić. - Poprosiła Jacka, aby z nią poszedł. Wprowadziła go do małego pokoju bez okien i otworzyła wielki, oprawiony w płótno rejestr przydziału obowiązków pracowniczych. - Pracownicy nie mają stałych, ściśle przydzielonych zadań - wyjaśniła. Wiodła palcem po kolejnych nazwiskach. - Wszyscy możemy robić to, co w danym momencie jest niezbędne. Jednak niektórym ze starszych pracowników przydzielam zadania bardziej odpowiedzialne. - Palec zatrzymał się, po czym przejechał wzdłuż strony. - Tak, Katherine zajęta była przy zaopatrywaniu oddziałów.

- Co to oznacza?

- Dostarczała na poszczególne oddziały wszystko, co było potrzebne, z wyjątkiem leków i tym podobnych rzeczy. W to zaopatruje dział farmakologii - wyjaśniła Jackowi.

- A więc na przykład wyposażenie potrzebne w pokojach dla pacjentów, tak?
- Oczywiście, w salach chorych, w pokojach pielęgniarek, wszędzie. My właśnie tym się zajmujemy. Bez nas szpital stanąłby w ciągu dwudziestu czterech godzin.
- Proszę mi powiedzieć, co na przykład dostarczacie do pokoi pacjentów - poprosił Jack.

- Mogę wymienić wszystko - odpowiedziała z lekką nutką irytacji w głosie. -
Podsuwacze, termometry, nawilżacze, poduszki, dzbanki, mydło. Wszystko.

- Czy Katherine w ostatnim tygodniu dostarczała coś na szóste piętro? Ma pani może taki wykaz?

- Nie - odparła Gladys. - Nie przechowujemy podobnych informacji. Mogę jednak wydrukować wykaz wyposażenia, którym dysponujemy. Takie rzeczy znajdują się w komputerze.

- Wezmę wszystko, co może mi pani zaofiarować.

- Będzie tego sporo - ostrzegła Gladys, uruchamiając swój terminal komputerowy. -

Chce pan oddział położniczo-ginekologiczny, chorób wewnętrznych czy oba?

- Wewnętrzny.

Gladys skinęła, uderzyła w kilka klawiszy i po kilku sekundach drukarka z szumem zaczęła pracę. Po paru minutach wręczyła Jackowi spory plik papierów. Rzucił na nie okiem. Rzeczywiście, jak Gladys uprzedzała, było tu wszystko, od nawilżaczy aż po papier toaletowy. Długość wykazu nakazała Jackowi poczuć respekt wobec pracy działu zaopatrzenia szpitala. Po wyjściu z działu centralnego zaopatrzenia udał się do laboratorium. Nie odniósł na razie wrażenia, że posunął się w swoich badaniach, nie zamierzał się jednak poddawać. Przekonanie, że gdzieś niedaleko jest brakująca informacja, nie dawało mu spokoju. Nie wiedział jeszcze tylko, gdzie ją można znaleźć.

Tę samą recepcjonistkę, której pokazał legitymację przy pierwszej wizycie w szpitalu, teraz zapytał o drogę do laboratorium mikrobiologicznego. Od razu wyjaśniła mu, jak tam trafić.

Nie zatrzymywany przez nikogo przeszedł przez laboratorium. Spore wrażenie zrobił na nim widok mnóstwa skomplikowanych urządzeń pracujących bez dozoru. Przypomniało mu się narzekanie kierownika laboratorium na redukcje dotyczące aż dwudziestu procent pracowników.

Nancy Wiggins zastał przy badaniu jakichś bakterii.

- Cześć - przywitał się. - Pamiętasz mnie?

Nancy spojrzała na gościa i wróciła do przerwanej pracy.

- Oczywiście.

- Zrobiliście świetną robotę przy zdiagnozowaniu dżumy w drugim przypadku - pochwalił.

- To nietrudne, jeśli się wie, czego szukać - przyznała. - Ale przy trzecim przypadku już nie poszło nam tak dobrze.

- Właśnie o tym przyszedłem porozmawiać. Jak wyglądało zbarwienie?

- Nie robiłam tego. Zajmowała się tym Beth Holderness. Chcesz z nią porozmawiać?

- Chciałbym.

Nancy odłożyła narzędzia i zniknęła. Jack skorzystał z okazji i rozejrzał się po laboratorium mikrobiologicznym. Był pod wrażeniem. W większości laboratoriów, szczególnie mikrobiologicznych, panował niezmienny bałagan. To jednak bez wątpienia było doskonale kierowane. Każda rzecz, krystalicznie czysta, znajdowała się na swoim miejscu. Robiło wrażenie, iż pracują w nim kompetentni ludzie.

- Cześć, jestem Beth.

Jack odwrócił się i ujrzał przed sobą uśmiechniętą, dwudziestokilkuletnią kobietę. Bił od niej zapał typowy dla *cheerleader*, wręcz zaraźliwy. Włosy z trwałą ondulacją sterczały jak naelektryzowane.

Jack przedstawił się i natychmiast został oczarowany naturalną swobodą, z którą Beth prowadziła rozmowę. Była jedną z najbardziej przyjacielsko usposobionych kobiet, jakie spotkał w życiu.

- Z pewnością nie przyszedłeś tu pogadać - powiedziała Beth. - Słyszałam, że interesujesz się badaniami dotyczącymi Susanne Hard. Chodź. Czekają na ciebie.

Beth dosłownie złapała Jacka za rękaw i pociągnęła za sobą do swojego stanowiska.

Pod mikroskopem znajdowała się próbka tkanki Susanne. Wszystko było przygotowane do pracy.

- Usiądź tutaj - powiedziała, sadzając Jacka na swoim krzeselku. - Jak? Dobra wysokość?

- Doskonale - zapewnił ją Jack. Pochylił się nieco do przodu i spojrział w okular. Przez chwilę przyzwyczajał wzrok. Kiedy już się zaadaptował, ujrzał pole wypełnione zabarwionymi na czerwono bakteriami.

- Proszę zauważyć, jak są polimorficzne - usłyszał męski głos.

Jack uniósł wzrok. Richard, szef działu technicznego, zjawił się zniemacka i stał tak blisko Jacka, że niemal go dotykał.

- Nie zamierzałem kłopotać wszystkich moją osobą - rzekł do Richarda.

- Nie sprawia pan kłopotu. Tak naprawdę sam interesuję się tym przypadkiem. Ciągłe nie mamy diagnozy. Nic się nie pokazuje, a jak się domyślam, wie pan już, że testy na dzumę są negatywne.

- Słyszałem. - Znowu schylił się nad mikroskopem i jeszcze raz przyjrzał się

bakteriom. - Nie myślę, aby chciał pan usłyszeć moją opinię. Nie jestem w tym takim ekspertem jak pan.

- Ale widzi pan polimorfizm? - zapytał Richard.

- Tak sędzę. To całkiem małe bakterie. Niektóre wyglądają na kuliste albo może są ustawione pionowo?

- Myślę, że widzi je pan takie, jakie są - odparł Richard. - Więcej tu polimorfizmu niż w wypadku dżumy. Dlatego właśnie Beth i ja wątpiliśmy, czy to dżuma. Oczywiście do momentu zrobienia testu fluorescencyjnego nie mieliśmy pewności.

Jack oderwał się od mikroskopu.

- Jeżeli to nie dżuma, to co to jest waszym zdaniem?

Richard zaśmiał się słabo i z zakłopotaniem.

- Nie wiem.

Jack spojrział na Beth.

- A ty? Zaryzykuj. Beth pokręciła głową.

- Nie, skoro i Richard nie ryzykuje - odpowiedziała dyplomatycznie.

- Czy nikt nie zaryzykuje? Zgadujcie. Richard zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie nadaję się do tego. Ile razy zgaduję, tyle razy się mylę.

- Nie pomyliłeś się w sprawie dżumy - przypomniał mu Jack.

- To tylko szczęście - odpowiedział Richard i lekko się zarumienił.

- Co tu się dzieje? - dobiegł ich zirytowany, podniesiony głos.

Jack obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Tuż za Beth stał kierownik laboratorium

Martin Cheveau. Stał na rozstawionych nogach, ręce miał oparte na biodrach, a jego wąż poruszał się nerwowo. Za nim stała doktor Mary Zimmerman, a za nią Charles Kelley.

Jack wstał z krzesła. Laboranci odsunęli się na bok. Atmosfera stała się napięta.

Kierownik laboratorium wyglądał na szczerze rozgniewanego.

- Jest pan tu z oficjalną wizytą? - zapytał Jacka. - Bo jeżeli tak, to ciekaw jestem, dlaczego nie zastosował się pan do powszechnie panujących obyczajów i nie przyszedł do mojego biura, zamiast tu węszyć? Mamy w szpitalu kryzysową sytuację, a laboratorium jest w centrum sprawy. Nie ścierpię czyjegokolwiek wtrącania się.

- Ho, ho! - zawołał Jack. - Spokojnie. - Nie spodziewał się podobnego wybuchu, szczególnie po Martinie, który poprzedniego dnia był tak gościnny.

- Żadne „spokojnie” - warknął Martin. - Co pan tu, do cholery, robisz?

- Wykonuję swoją pracę, prowadzę dochodzenie w sprawie śmierci Katherine Mueller i Susanne Hard. Nie wydaje mi się, żebym przeszkadzał. Właściwie to mogę powiedzieć, że jak dotąd byłem dyskretny.

- Szuka pan czegoś konkretnego w moim laboratorium? -zapytał Martin.

- Omawiałem sprawę badania bakterii z pańskim niezwykle uzdolnionym personelem - odpowiedział Jack.

- Pańskie uprawnienia pozwalają jedynie na opisanie przypadku i przyczyny śmierci - wtrąciła się doktor Zimmerman, wysuwając się przed Martina. - A to już pan zrobił.

- Nie całkiem - poprawił ją Jack. - Nie postawiliśmy jeszcze diagnozy w przypadku Susanne Hard.

W odpowiedzi dostrzegł zwężające się złowrogo oczy doktor Zimmerman. Nie miała maski ochronnej, więc Jack mógł się przekonać, jak surowy wyraz miała jej twarz.

Podkreślały go zwłaszcza wąskie, zacięte usta.

- Nie postawił pan szczegółowej diagnozy w przypadku Susanne Hard. Jednak postawił pan diagnozę ogólną, wykrywając fatalną infekcję. W tych warunkach sędzę, że to podobna sprawa.

- Określenie „podobna” nigdy nie było celem moich medycznych ambicji - zauważył sarkastycznie Jack.

- Ani moich - odparowała Mary Zimmerman. - Również nie dla Centrum Kontroli Chorób ani Miejskiej Rady Zdrowia, które aktywnie zajęły się wyjaśnieniem niefortunnych zdarzeń. Szczerze powiedziawszy, pańska obecność tylko utrudnia nam pracę.

- I jest pani pewna, że nie potrzebujecie pomocy? - Nie potrafił ukryć kpiącego tonu.

- Powiem, że pańska obecność to coś więcej niż tylko utrudnianie pracy - wtrącił się Kelley. - Jesteś pan zwykłym oszczercą. Będzie pan musiał porozmawiać z naszymi prawnikami.

- Och la, la! - odpowiedział Jack, unosząc ręce w geście obrony przed nagłym i niespodziewanym atakiem. - Utrudnia pracę, to jeszcze mogę zrozumieć. Oszczerca brzmi natomiast śmiesznie.

- Nie z mojego punktu widzenia - stwierdził Kelley. - Kierowniczka działu zaopatrzenia poinformowała mnie, że powiedział pan, iż Katherine Mueller zaraziła się chorobą w pracy.

- A to nie zostało udowodnione - dodała doktor Zimmerman.

- Wypowiadanie nie sprawdzonych poglądów jest oszczerstwem wobec instytucji i obniża jej reputację - podniesionym głosem wyrzucił z siebie Kelley.

- I może mieć negatywny wpływ na poziom notowań na giełdzie - dodał od siebie Jack.

- I to także - zgodził się Kelley.

- Kłopot w tym, że nie powiedziałem, iż pani Mueller zaraziła się w pracy.

Powiedziałem, że mogła się zarazić w pracy, a to wielka różnica.

- Pani Zarelli powiedziała, iż potraktował pan tę możliwość jako fakt - zauważył

Kelley.

- Powiedziałem: „takie są fakty”, mówiąc o możliwości. Ale dajmy spokój, łapiemy się za słówka. Tak naprawdę przyjęliście postawę nadmiernie nieufną. To wzbudziło moje zainteresowanie historią szpitala i infekcjami szpitalnymi, które zdarzały się tu w przeszłości. Co możecie o tym powiedzieć?

Kelley spurpurowiał i wybuchnął. Jack na wszelki wypadek cofnął się o krok.

- Nasze doświadczenia z chorobami szpitalnymi to nie pański interes.

- Ależ to coś, od czego należy zacząć - stwierdził Jack. - No, ale zostawię to na następny raz. Było mi miło znowu państwa widzieć. Do zobaczenia.

Jack przepchnął się przez mały tłumek i pomaszerował przed siebie. Usłyszał za sobą nagły ruch i schylił się w uniku, spodziewając się nadlatującej zlewki albo jakiegoś innego poręcznego przedmiotu z laboratoryjnego wyposażenia. Ale doszedł do drzwi i nic się nie stało. Przed szpitalem odwiązał rower i skierował się na południe.

Klucząc między pojazdami w ulicznych korkach, nie mógł się nadziwić przebiegowi dopiero co zakończonej wizyty w Manhattan General. Najbardziej zniechęcająca była nadwrażliwość ludzi, z którymi się spotkał. Nawet Martin, tak przyjacielsko usposobiony za pierwszym razem, teraz atakował Jacka jak wroga. Co oni wszyscy ukrywali? I dlaczego ukrywali to przed nim?

Nie wiedział, kto zaalarmował górę o jego pobycie w szpitalu, ale z łatwością domyślał się, kto zawiadomi Bingham. Nie łudził się, że Kelley nie wykorzysta kolejnej okazji do zaprotestowania.

Nie rozczarował się. Gdy tylko zjawił się w biurze, pracujący na dole ochroniarz zatrzymał go.

- Kazano mi przekazać panu, że natychmiast po powrocie ma się pan zgłosić do szefa

- poinformował Jacka. - Doktor Washington osobiście kazał mi to zrobić.

Zabezpieczając rower, zastanawiał się, co powinien powiedzieć Binghamowi. Nic nie przychodziło mu do głowy.

Jadąc windą na górę, zdecydował, że skoro nie potrafi wymyślić niczego na swoją obronę, to zaatakuje. Kiedy stanął przed biurkiem panny Sanford, ciągle jeszcze obmyślał taktykę działania.

- Ma pan wejść bez czekania - powiedziała, jak zwykle nie odrywając się od pracy.

Jack przeszedł obok jej biurka i wszedł do gabinetu Bingham. Od razu spostrzegł, że szef nie jest sam. Potężne cielsko Calvina wierciło się w pobliżu oszklonej biblioteki.

- Szefie, mamy problem - powiedział poważnie Jack. Podszedł prosto do jego biurka i dla podkreślenia powagi sytuacji uderzył w nie dłonią. - Ciągłe nie mamy diagnozy w sprawie tej Hard, a musimy ją mieć tak szybko, jak to tylko możliwe. Jeżeli nie uda nam się ustalić, co to za choroba, zbląznimy się, szczególnie że prasa cały czas węszy i pisze o dżumie. Nawet pojechałem do tego Manhattan General, żeby przyjrzeć się bakteriom. Niestety, nie pomogło. Bingham pilnie przyglądał się Jackowi swymi kaprawymi oczkami. Miał zamiar natrzeć mu uszu, teraz jednak wahał się. Zamiast coś powiedzieć, zdjął druciane okulary i przecierał je, ważąc słowa Jacka. Spojrzał także na Calvina. Ten w odpowiedzi podszedł do biurka. Jego Jack nie oszukał.

- O czym pan, do diabła, mówi? - zapytał ostro.

- O Susanne Hard - odpowiedział Jack. - Pamięta pan. Przypadek, w związku z którym pan i ja założyliśmy się o dwadzieścia dolarów.

- Zakład? - zapytał Bingham. - Czyżbyśmy się stawali jaskinią hazardu?

- Niezupełnie, szefie - odparł Calvin. - To jedynie taki sposób dosadnego wyrażenia swojego zdania. Normalnie to się nie zdarza.

- Mam nadzieję, że nie - sapnął Bingham. - Nie życzę sobie tu żadnych zakładów, a zwłaszcza w sprawach dotyczących diagnozowania. Nie chciałbym o czymś podobnym przeczytać w gazetach. Nasi wrogowie mają dziś dobry dzień na polowanie.
- Wracając do Susanne Hard - wtrącił Jack. - Nie bardzo wiem, co dalej robić. Miałem nadzieję, że w bezpośredniej rozmowie z laborantami w szpitalu coś uzyskam, jakąś wskazówkę, ale niestety nic takiego się nie stało. Jak pan myśli, co powinienem teraz zrobić?
- Jack chciał, aby rozmowa zesła z niebezpiecznego tematu hazardu w pracy. To mogło odwrócić uwagę Bingham, ale później miałby piekło z Calvinem.
- Jestem w małym kłopotcie - zaczął Bingham. - Nie dalej jak wczoraj kazałem panu pozostać na miejscu i zająć się wyznaczonymi sprawami. Szczególnie mocno podkreślałem, żebyś się pan, do cholery, nie zbliżał do Manhattan General. - Nastrój Bingham zmienił się na gorsze.
- Gdybym chciał załatwiać sprawy osobiste - zauważył Jack. - Ale to nie o to chodziło. Pojechałem zawodowo.
- No to jak udało się panu znowu wyprowadzić z równowagi ich szefa? Znowu dzwonił do cholernego biura burmistrza ze skargą na nas. Burmistrz chce wiedzieć, czy pan czasami nie cierpi na jakieś zaburzenia albo czy to może ja cierpię na jakąś umysłową dolegliwość, zatrudniając pana.
- Mam nadzieję, że zapewnił go pan, iż obaj jesteśmy całkiem normalni - powiedział Jack.
- Niech pan na domiar wszystkiego nie będzie impertynencki.
- Jeżeli mam być zupełnie szczery - wyznał Jack - to powiem, że nie mam najmniejszego pojęcia, dlaczego pan Kelley tak się rozżłościł. Może presja tego przypadku z dżumą tak podziałała na pracowników jego szpitala, gdyż wszyscy zachowywali się

agresywnie.

- A więc teraz wszyscy zachowują się wobec pana agresywnie - zauważył Bingham.

- No, nie wszyscy - zaprzeczył Jack. - Ale tam dzieje się coś dziwnego i tego akurat jestem pewien.

Bingham spojrzał na Calvina, który wzruszył ramionami i znacząco spojrzał na sufit.

Nie rozumiał, o czym mówi Jack. Bingham znów popatrzył na Jacka.

- Niech pan posłucha - zwrócił się do niego. - Nie chcę pana wyrzucać, więc niech mnie pan nie wnerwia. Jest pan bystry. Ma pan przed sobą przyszłość. Ale ostrzegam pana, jeżeli rozmyślnie będzie pan nieposłuszny i nadal będzie nas narażał wobec władz miejskich na niepotrzebne uwagi, nie zawaham się ani przez moment. Czy pan zrozumiał?

- Doskonale - potwierdził Jack.

- Świetnie - powiedział Bingham. - Proszę teraz wracać do pracy, spotkamy się później na konferencji.

Jack natychmiast posłuchał rady i zniknął.

Przez chwilę Bingham i Calvin milczeli zatopieni we własnych myślach.

- Dziwny gość - stwierdził Bingham. - Nie potrafię go rozszyfrować.

- Ani ja - przyznał Calvin. - Jego niezaprzeczalną zaletą jest bystrość i ochota do ciężkiej pracy. Jest bardzo zaangażowany. Ile razy ma dyżur przy autopsjach, zawsze jest pierwszy w sali.

- Wiem i dlatego nie mogę go od razu wylać. Skąd u niego tyle zuchwalstwa? Przecież musi wiedzieć, że to źle nastraja ludzi, a nie wydaje się, żeby go to zniechęcało. Jest lekkomyślny, sam się unicestwia, do czego wczoraj wręcz się przyznał. Dlaczego?

- Nie wiem. Czasami mam wrażenie, że to złość. Ale na co? Nie mam pojęcia. Kilka razy próbowałem z nim porozmawiać na towarzyskiej stopie, ale to równie bezskuteczne jak

wyciskanie wody z kamienia.

Rozdział 15

Czwartek, godzina 20.30, 21 marca 1996 roku

Teresa i Colleen wysiadły z taksówki na Drugiej Avenue, pomiędzy Osiemdziesiątą Ósmą a Osiemdziesiątą Dziewiątą, kilka domów od „Elaine”, i poszły spacerkiem do restauracji. Nie mogły podjechać pod samo wejście, ponieważ podjazd zajęty był przez parkujące limuzyny, stojące równolegle jedna obok drugiej.

- Jak wyglądam? - zapytała Colleen, gdy znalazły się w cieniu markizy wiszącej nad wejściem. Rozchyliła płaszcz, aby Teresa mogła lepiej się przyjrzeć.

- Za dobrze - odpowiedziała przyjaciółka i tak rzeczywiście myślała. Colleen zamieniła tak charakterystyczny dla niej blezer i džinsy na prostą, czarną sukienkę, która znakomicie podkreślała jej godny pozazdrosczenia biust. Teresa pomyślała o sobie i nieco się podłamała. Ciągle miała na sobie kostium, w którym była w biurze. Nie znalazła niestety dość czasu, by pojechać do domu i przebrać się.

- Doprawdy nie rozumiem, dlaczego jestem taka zdenerwowana - przyznała Colleen.

- Wyluzuj się - poradziła Teresa. - W tej sukni? Doktor McGovern nie ma szans.

Po wejściu Colleen podała nazwiska witającemu je szefowi sali, który natychmiast sprawdził rezerwację i poprosił, aby obie panie udały się za nim, a sam ruszył na drugi koniec sali.

To był prawdziwy marsz z przeszkodami. Slalom między gęsto ustawionymi stolikami i uwijającymi się kelnerami. Teresa poczuła się, jakby była rybką w akwarium. Każdy mężczyzna i każda kobieta, wszyscy bez wyjątku mierzyli je wzrokiem.

Panowie siedzieli przy małym stoliku wciśniętym w kąt sali. Gdy się zjawiły, obaj jednocześnie wstali. Chet odsunął krzesło dla Colleen. Jack zrobił to samo dla Teresy. Zanim

usiadły, zdjęły płaszcze i przewiesiły je przez oparcia krzeseł.

- Musisz znać właściciela, skoro dostałeś takie dobre miejsca - zauważyła Teresa.

Chet, który opacznie wziął uwagę Teresy za komplement, pochwalił się, że rzeczywiście już w zeszłym roku poznał osobiście Elaine. Wyjaśnił, że to kobieta, która siedzi przy kasie na końcu kontuaru.

- Chcieli nas posadzić na przedzie, ale się nie zgodziliśmy - wtrącił Jack. -

Pomyśleliśmy, że wam, drogie panie, może przeszkadzać przeciąg, jaki panuje w pobliżu drzwi.

- Jacy troskliwi - zauważyła Teresa. - Poza tym tu jest tak intymnie.

- Tak sądzisz? - Twarz Cheta wyraźnie pojaśniała. Prawdę powiedziawszy, byli ściśnięci jak sardynki w puszcze.

- Jak możesz pytać? Ona jest zawsze szczerą - oburzył się Jack.

- No dobra, wystarczy! - przerwał Chet łagodnie. - Może jestem tępy, ale w końcu zrozumiałem.

U kelnera, który pojawił się natychmiast po przybyciu pań, zamówili wino i aperitif.

Colleen i Chet zaczęli jakąś żartobliwą rozmowę. Teresa i Jack natomiast prawili sobie złośliwości, aż wino stąpiło wreszcie ostrze sarkazmu i ironii. Do tego czasu zjawiło się na stole główne danie i zaczęli rozmawiać w bardziej przyjacielskim tonie.

- Co nowego o epidemii? - zapytała Teresa.

- Dwie kolejne ofiary i kilka pielęgniarek poddanych kwarantannie - poinformował Jack.

- Tyle to podali w porannych wiadomościach - zauważyła Teresa. - Pytam, czy jest coś nowego?

- Tylko jedna z ofiar zmarła na dżumę - ujawnił Jack. - U drugiej stwierdzono jedynie

kliniczne objawy choroby, ale ja osobiście wątpię, aby to była dżuma.

Widelec Teresy znieruchomiał w połowie drogi do ust.

- Nie? Jeżeli nie dżuma, to co to było? - zapytała zaskoczona.

Jack wzruszył ramionami.

- Sam chciałbym wiedzieć. Mam nadzieję, że wyniki badań laboratoryjnych pozwolą mi na to odpowiedzieć.

- W Manhattan General musi wrzeć - stwierdziła Teresa. - Dobrze, że tam teraz nie leżę. Pobyt w szpitalu jest wystarczająco przygnębiający, a jeżeli do tego dochodzi strach przed dżumą albo czymś podobnym, to prawdziwy horror.

- Administracja szpitala jest wprost wstrząśnięta - stwierdził Jack. - I mają powód.

Jeżeli okaże się, że tam kryje się źródło epidemii, będzie to pierwszy we współczesnej historii przypadek szpitalnej dżumy.

- Pierwsze słyszę, że może chodzić o infekcję szpitalną - przyznała Teresa. - Prawdę powiedziawszy, do wczoraj niewiele myślałam o tych sprawach. Czy wszystkie szpitale mają podobne kłopoty?

- Zdecydowanie tak. Nie mówi się o tym głośno, ale od pięciu do dziesięciu procent hospitalizowanych pacjentów staje się ofiarami infekcji nabytych w czasie pobytu w szpitalu.

- Mój Boże! Nie miałam pojęcia, że to aż tak powszechne zjawisko.

- To się zdarza wszędzie - potwierdził Chet. - Każdy szpital ma podobne problemy, począwszy od placówek naukowych, na najmniejszym wiejskim szpitaliku kończąc. A najgorsze w tym wszystkim jest to, że wirusy, które można złapać w szpitalu, są przeważnie uodpornione na antybiotyki.

- No, wspaniale - cynicznie zauważyła Teresa. Po chwili zastanowienia zapytała: -

Czy szpitale jakoś zasadniczo różnią się od siebie w tych sprawach?

- Z pewnością - odparł Chet.

- Czy znane są liczby?

- Tak i nie. Komisja Zdrowia wymaga składania raportów dotyczących wewnątrzszpitalnych infekcji, ale dane nie są udostępniane.

- To przecież parodia! - oburzyła się Teresa, spoglądając ukradkiem w stronę Colleen.

- Jeżeli wskaźniki przekraczają dopuszczalną normę, szpital traci koncesję - wyjaśnił Chet. - Nie jest więc tak źle.

- Ale to nie fair wobec społeczeństwa - upierała się Teresa. - Nie mając dostępu do tych danych, ludzie nie mogą zdecydować, do którego ze szpitali się zapisać.

Chet rozłożył ręce w geście bezradności.

- Polityka - skwitował jednym słowem.

- Moim zdaniem to okropne - oświadczyła Teresa.

- Życie w ogóle jest nie fair - dorzucił Jack.

Po deserze i kawie Chet i Colleen rozpoczęli wspólną kampanię na rzecz przedłużenia wieczoru. Zaproponowali tańce w jakimś klubie, na przykład w China Club. Propozycja została przyjęta z niechęcią. Pomysłodawcy robili co mogli, aby zmienić zdanie Teresy i Jacka, lecz po kilku nieudanych próbach poddali się.

- Wy sobie idźcie - namawiała Teresa.

- Jesteś pewna?

- Nie chcemy was zatrzymywać - dołączył się Jack.

- No to chodźmy - zdecydował Chet.

Zatrzymał taksówkę i zadowolony wsiadł obok roześmianej Colleen. Teresa i Jack pokiwali im na pożegnanie.

- Myślę, że dobrze się bawią w swoim towarzystwie - zwróciła się do Jacka Teresa. -

Trudno mi sobie wyobrazić coś gorszego niż siedzenie w zatłoczonym, zadymionym nocnym klubie, w którym wszystko aż drży od głośnej muzyki. Nie, to nie dla mnie.

- No proszę, w końcu znaleźliśmy coś, co nas łączy - zauważył Jack.

Zaśmiała się. Zaczynała powoli doceniać jego poczucie humoru.

Przez kilka minut stali zamyśleni przy krawężniku; każde z nich patrzyło w inną stronę. Pomimo chłodu Druga Avenue roiła się od żadnych nocnych rozrywek nowojorczyków. Powietrze było mroźne i czyste, a niebo nad głowami bezchmurne.

- Czy oni tam zapomnieli, że dziś jest pierwszy dzień wiosny? - Teresa przerwała milczenie, spoglądając w niebo. Wsunęła ręce głęboko w kieszenie płaszcza i skuliła ramiona.

- Moglibyśmy przejść się do tego baru, w którym byliśmy wczoraj - zaproponował Jack.

- Moglibyśmy - zgodziła się. - Ale mam lepszy pomysł. Moja agencja jest tuż obok, przy Medison Avenue. To niedaleko, więc może wpadniemy tam?

- Zapraszasz mnie do biura, wiedząc, co myślę o reklamie?

- Myślałam, że sprzeciwiasz się jedynie reklamom w medycynie?

- Prawda jest taka, że w ogóle nie przepadam za reklamami - przyznał Jack. - Wczoraj Chet mi przerwał, zanim zdołałem wyjaśnić sprawę.

- No więc jak, wpadniemy do biura? Robimy nie tylko reklamy dla spółek medycznych. Może ci się spodoba.

Jack próbował rozszyfrować kobietę ukrytą za łagodnymi, niebieskimi oczami i zmysłowymi ustami. Słabość i wrażliwość, jakie sugerowały, w żaden sposób nie pasowała do logicznej, bezwzględnie zmierzającej do celu, przedsiębiorczej kobiety, którą w niej widział.

Teresa dostrzegła jego badawcze spojrzenie i uśmiechnęła się kokieteryjnie.

- Zaryzykuj! - rzuciła wyzwanie.

- Dlaczego mam przeczucie, że kieruje tobą jakiś ukryty motyw? - zapytał.

- Może dlatego, że to prawda - odparła. - Podsunąłeś mi pomysł na nową kampanię reklamową. Byłam nawet gotowa przyznać, iż możesz być doskonałym natchnieniem, ale dzisiaj przy kolacji zmieniłam zdanie.

- Mam się czuć wykorzystany czy dowartościowany? Jak to się stało, że dostarczyłem ci pomysł do nowej kampanii reklamowej?

- Chodzi o tę rozmowę o dżumie w Manhattan General - odpowiedziała. - To naprowadziło mnie na problem chorób szpitalnych.

Przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

- No i dlaczego w końcu zmieniłaś zdanie i powiedziałaś mi o tym, a nawet szukasz rady? - zapytał w końcu.

- Bo przyszło mi do głowy, że może spodoba ci się ten pomysł - wyjaśniła. - Mówiłeś, że jesteś przeciwny reklamom medycznym, bo nie mają nic wspólnego z jakością usług. Cóż, kampania mówiąca o infekcjach szpitalnych z pewnością będzie miała.

- Przyjmijmy - powiedział Jack.

- Daj spokój, oczywiście, że będzie miała. Jeżeli szpital jest dumny ze swoich wyników, dlaczego nie miałby ich ujawnić opinii społecznej?

- W porządku, poddaję się. Chodźmy obejrzeć to twoje biuro.

Pojawił się problem z rowerem, który stał przymocowany do znaku „Zakaz parkowania”. Po krótkiej dyskusji postanowili go zostawić i pojechać taksówką. W drodze powrotnej do domu Jack miał przyjść po niego.

Po kilku korkach i dzikiej, brawurowej jeździe taksówkarza - rosyjskiego emigranta zjawili się przed budynkiem firmy Willow i Heath. Jack chwiejnym krokiem wysiadł z

samochoду.

- Boże! - powiedział. - Ludzie oskarżają mnie, że ryzykuję życie, jeżdżąc po mieście rowerem. To nic w porównaniu z jazdą z takim maniakiem za kółkiem.

Jakby dla podkreślenia słów Jacka, taksówkarz wcisnął gaz i z piskiem opon zniknął wśród samochodów jadących Madison Avenue.

O dziesiątej trzydzieści budynek był zamknięty, Teresa musiała więc użyć klucza do głównego wejścia. Głuchy odgłos kroków na pustej, marmurowej posadzce hallu rozszedł się echem po wnętrzu. Nawet jęk windy zdawał się głośny w panującej dookoła ciszy.

- Często tu bywasz po godzinach? - zapytał Jack.

Teresa zaśmiała się.

- Cały czas. Prawie tu mieszkam.

W milczeniu pojechali na górę. Kiedy drzwi się otworzyły, Jack z zaskoczeniem odkrył, że całe piętro jest oświetlone, a na korytarzu panuje ruch jak w południe.

Zpracowane postacie schylały się nad niezliczonymi deskami kreślarskimi.

- Co wy tu robicie? Pracujecie na dwie zmiany? - zapytał zdziwiony.

Teresa znowu odpowiedziała śmiechem.

- Nie, skądże. Oni są tu od rana. Reklama to świat rywalizacji. Jeśli chcesz w tym pracować, musisz poświęcić cały swój czas. Zbliża się kilka przeglądów.

Przeprosiła na chwilę swego gościa i podeszła do kobiety stojącej przy najbliższej desce. Podczas gdy rozmawiały, Jack przyjrzał się obszernemu pomieszczeniu. Nie spodziewał się aż tylu stanowisk pracy. Oprócz nich było kilka samodzielnych pokoi połączonych wspólną ścianą od strony windy.

Po chwili Teresa wróciła.

- Alice przedstawi zaraz materiał - powiedziała. - Pójdziemy do pokoju Colleen.

Wprowadziła Jacka do jednego z pokoi i włączyła światło. W porównaniu z otwartą przestrzenią pracowni było to małe, pozbawione okien, klaustrofobiczne pomieszczenie całkowicie zavalone gazetami, książkami, magazynami i taśmami wideo. Stało tu także kilka sztalug z przygotowanym do użycia kartonem rysunkowym.

- Z pewnością Colleen nie weźmie mi za złe, jeśli zrobię nieco miejsca na biurku. -

Mówiąc to, przesunęła na bok stos pomarańczowych kalek, zebrała kilka książek i położyła na podłodze. Gdy skończyła, w pokoju zjawiała się Alice.

Teresa przedstawiła ich sobie i kazała Alice omówić nowe pomysły reklamowe.

Jack bardziej zainteresował się procesem niż treścią powstających reklam. Nigdy się nie zastanawiał nad tym, jak powstają telewizyjne reklamy, i musiał z szacunkiem przyznać, że wymaga to wielkiej pomysłowości i ciężkiej pracy.

Wyjaśnienia zabrały Alice około piętnastu minut. Kiedy skończyła, zebrała materiały i spojrzała na Teresę. Najwyraźniej czekała na dalsze instrukcje. Teresa jednak tylko podziękowała i odesłała ją do pracowni.

- No i tak to właśnie jest - odezwała się do Jacka. - Oto garść pomysłów, które zrodziły się z tematu o chorobach szpitalnych. Co o tym sądzisz?

- Jestem pod wrażeniem waszej ciężkiej pracy - odparł.

- Bardziej interesuje mnie twoje zdanie w tej konkretnej sprawie. Co sądzisz o reklamówce, w której do szpitala przychodzi Hipokrates i wręcza medal „Po pierwsze nie szkodzić”?

Jack wzruszył ramionami.

- Nie uważam siebie za kompetentnego krytyka filmów reklamowych.

- Oj, daj spokój - odpowiedziała, znacząco unosząc oczy. - Chcę usłyszeć twoje zdanie jako przeciętnego człowieka. To nie jest żaden quiz na inteligencję. Co byś powiedział,

gdybyś zobaczył tę reklamówkę w telewizji, powiedzmy w przerwie meczu o Super Bowl.

- Myślę, że to sprytne - przyznał.

- Czy zdecydowałbyś się skorzystać ze szpitala National Health, gdyby się okazało, że przypadki infekcji szpitalnych są u nich rzadkie?

- Kto wie.

- Dobra - powiedziała, starając się zachować spokój. - Może masz jakieś inne pomysły. Co jeszcze moglibyśmy zrobić?

Jack zastanawiał się kilka minut.

- Moglibyście także wykorzystać Olivera Wendella Holmesa i Josepha Listera.

- Czy Holmes nie był poetą? - zapytała Teresa.

- Ale również lekarzem - wyjaśnił Jack. - On i Lister zrobili pewnie więcej niż

ktokolwiek inny, aby lekarze po każdym kontakcie z pacjentem myli ręce. Tak, Semmelweis także pomógł. W każdym razie mycie rąk to najważniejsza sprawa, jeśli chce się powstrzymać choroby roznoszone w szpitalach.

- Hmm - zastanowiła się Teresa. - To brzmi interesująco. Osobiście uwielbiam takie starocie. Od razu pójde do Alice i niech zleci komuś rozpracowanie tematu.

Oboje wyszli z pokoju Colleen. Teresa podeszła do Alice i chwilę rozmawiały.

- W porządku - powiedziała, gdy wróciła do Jacka. - Kula zaczęła się toczyć.

Chodźmy stąd. - W windzie Teresa wysunęła następną propozycję. - A może skoczylibyśmy teraz do twojego biura? - zapytała. - Skoro widziałeś moje, to byłoby miło, gdybyś zaprosił mnie do siebie.

- Nie chciałabyś tego oglądać. Wierz mi.

- Spróbujmy.

- Mówię prawdę. To nie jest przyjemne miejsce.

- Ale myślę, że interesujące - upierała się Teresa. - Kostnicę widziałam tylko na filmie. Kto wie, może zrodzi się z tego jakiś nowy pomysł. A poza tym, gdy zobaczę, gdzie pracujesz, to pewnie zrozumie cię troszkę lepiej.

- Nie jestem pewien, czy chcę być rozumiany.

Wyszli z budynku i stanęli na chwilę na chodniku.

- No i jak? Przecież to nie może zabrać zbyt wiele czasu, a i tak nie jest jeszcze późno.

- Ale z ciebie uparciuch - skomentował jej nalegania Jack. - Czy ty zawsze stawiasz na swoim?

- Zazwyczaj - przyznała i dodała ze śmiechem: - Ale wolę myśleć o sobie jako o nieustępliwej.

- Niech będzie - zgodził się. - Nie mów mi jednak, że cię nie ostrzegałem.

Zawołali taksówkę. Jack podał adres. Kierowca natychmiast zawrócił i skierował się na Park Avenue.

- Odniosłam wrażenie, że jesteś samotnikiem - powiedziała Teresa.

- Jesteś niezwykle spostrzegawcza.

- Nie musisz być taki zgryźliwy.

- Tym razem akurat nie byłem.

Gdy w półmroku taksówki spojrzeli na siebie, na ich twarzach zatańczyły promienie światła z ulicznych latarni.

- Trudno odgadnąć, jak się zachowywać w twoim towarzystwie - stwierdziła.

- Mógłbym powiedzieć to samo.

- Byłeś kiedyś żonaty? Jeżeli nie masz nic przeciwko takim pytaniom.

- Tak, byłem.

- I nie wyszło? - raczej wyciągnęła wniosek, niż pytała.

- Był pewien problem - przyznał Jack. - Ale nie bardzo mam ochotę o tym mówić. A ty? Miałaś męża?

- Tak, miałam. - Westchnęła i spojrzała przez okno jadącego samochodu. - Ale ja także wolę o tym nie mówić.

- No i już łączą nas dwie rzeczy - zauważył Jack. - To samo odczuwamy w nocnych klubach i oboje nie lubimy rozmawiać o poprzednich małżeństwach.

Jack poprosił, aby kierowca zatrzymał się na Trzydziestej przy wejściu do gmachu medycyny sądowej. Z zadowoleniem odnotował brak obu furgonetek. Pomyślał, że to znak, iż na stołach nie leżą żadne świeże ciała. Chociaż to Teresa nalegała na wizytę, nie chciał jednak niepotrzebnie narażać jej na odpychający widok.

Nie odezwała się ani słowem, kiedy Jack prowadził ją wzdłuż ściany zbudowanej z lodówek przeznaczonych do przechowywania ludzkich ciał. Dopiero kiedy zobaczyła stos sosnowych trumien, zapytała, po co tu stoją.

- Przeznaczone są dla nie zidentyfikowanych osób oraz dla tych, po które nikt się nie zgłasza - wyjaśnił. - Ich ciała są później palone w miejskim krematorium.

- Czy to się często zdarza?

- Bez przerwy.

Teraz zabrał ją do sali autopsyjnej. Otworzył drzwi do umywalni. Teresa zajrzała, ale nie weszła. Sala była doskonale widoczna przez oszklone drzwi. Stalowszare stoły autopsyjne połyskiwały w mdłym świetle.

- Sądziłam, że to będzie bardziej nowoczesne miejsce - przyznała. Bardzo uważała, by niczego nie dotknąć.

- Kiedyś było - stwierdził Jack. - Już dawno miało zostać poddane kompletnej modernizacji. Tak się składa, że miasto jest w ciągłym kryzysie finansowym i wielu

polityków skutecznie sprzeciwia się topieniu tu pieniędzy. Zdobyć odpowiednich funduszy jest trudne, z drugiej jednak strony otrzymaliśmy supernowoczesne wyposażenie do badania DNA.

- Gdzie jest twój pokój?

- Na czwartym piętrze.

- Mogę go zobaczyć?

- Czemu nie? Doszliśmy tak daleko, to możemy wejść i tam.

Przeszli znów obok kostnicy i poczekali na windę.

- Trudno tu się dobrze czuć, prawda? - zapytał Teresę.

- Ma nieco makabryczną atmosferę - przytaknęła.

- Pracując tu, zapominamy, jak takie miejsce oddziałuje na kogoś z zewnątrz-

stwierdził Jack, chociaż był pod wielkim wrażeniem spokoju i opanowania, które okazywała Teresa.

Winda wreszcie zjechała, więc wsiedli, Jack wcisnął guzik i ruszyli na górę.

- Jak to się stało, że zdecydowałeś się na ten rodzaj kariery? Miałeś trudności na studiach?

- Rany boskie, nie - odpowiedział zaskoczony. - Chciałem czegoś czystego,

technicznie zaawansowanego, emocjonalnie wypełniającego, no i lukratywnego. Tak zostałem okulistą.

- I co się stało?

- Moją praktykę diabli wzięli, a raczej AmeriCare. Nie chciałem pracować ani dla nich, ani dla podobnej korporacji i zrezygnowałem. To przeklęty czas niepotrzebnych lekarzy specjalistów.

- Czy było aż tak ciężko?

Jack nie od razu odpowiedział. Winda zatrzymała się na czwartym piętrze.

- Niezwykle ciężko - powiedział i poszedł korytarzem w stronę gabinetu. - Przede wszystkim z powodu samotności.

Teresa spojrzała na Jacka. Nie spodziewała się, że on może narzekać na samotność.

Uważała, że jest samotnikiem z wyboru. Gdy patrzyła na niego, zdawało się jej, że dyskretnie wytarł oko. Łza? Najwyraźniej była w tym jakaś tajemnica.

- Jesteśmy - oznajmił. Otworzył kluczem drzwi i wcisnął przełącznik światła.

Wnętrze przedstawiało gorszy widok, niż się spodziewała. Ciasny, wąski pokój.

Zapełniały go szare, stare, metalowe meble. Ściany gwałtownie potrzebowały malowania.

Pod sufitem było pojedyncze, brudne okno.

- Dwa biurka? - zapytała.

- Siedzę tu z Chetem - wyjaśnił.

- A które jest twoje?

- To z bałaganem. Historia z dżumą pochłonęła mnie bardziej niż zwykle. Jestem spóźniony, bo nie cierpię papierkowej roboty.

- Doktorze Stapleton! - ktoś zawołał go po nazwisku.

Okazało się, że to Janice Jaeger.

- Dowiedziałam się od strażnika, że pan tu jest - wyjaśniła, przywitawszy się z Teresą.

- Próbowałam złapać pana w domu.

- Co się stało?

- Dzwonili z laboratorium. Mają wyniki testu fluorescencyjnego na antycyala na próbce z płuca Susanne Hard. Tak jak pan prosił. Wynik wskazuje na tularemię.

- Żartujesz? - Wziął raport z ręki Janice i z niedowierzaniem zaczął go studiować.

- Co to jest ta tularemia? - zapytała Teresa. - Jeszcze jedna choroba zakaźna -

odpowiedział. - Pod wieloma względami przypomina dżumę.

- Gdzie przebywała pacjentka? - Teresa domyślała się odpowiedzi.

- Także w Manhattan General. Naprawdę nie mogę uwierzyć. Nadzwyczajne! -

Pokręcił głową.

- Muszę wracać do pracy - powiedziała Janice. - Jeśli będzie mnie pan potrzebował, proszę dać znać.

- Przepraszam, nie miałem pojęcia, że pani jeszcze tu jest. Dziękuję za informacje.

- Drobiazg. - Machnęła ręką i poszła w stronę windy.

- Czy tularemia jest równie niebezpieczna jak dżuma? -zapytała Teresa.

- Trudno je porównywać. Ale jest groźna, szczególnie ta jej postać, która wywołuje zapalenie płuc. Potrafi być niezwykle zaraźliwa. Gdyby Susanne Hard była tu z nami, mogłaby powiedzieć, jak okropna potrafi być ta choroba.

- Dlaczego jesteś tak zaskoczony? Czy jest także równie rzadka jak dżuma?

- Prawdopodobnie nie. Występuje na większym obszarze Stanów niż dżuma, szczególnie w południowych regionach, na przykład w Arkansas. Jednak, podobnie jak dżuma, raczej nie zdarza się w zimie, a już na pewno nie na północy. Tutaj może stanowić problem późną wiosną i latem, jeżeli w ogóle wystąpi. Potrzebuje nosiciela tak jak dżuma. Tyle że zamiast szurzących pcheł roznoszą ją kleszcze lub komary.

- Wszystkie kleszcze lub komary? - Rodzice Teresy mieli chatę w górach Catskill, dokąd miała zamiar pojechać latem. Dom stał na odludziu, otoczony lasami i łąkami. W okolicy bez trudu można było trafić na kleszcze i roiło się od komarów.

- Bakterie powodujące zarażenie przenoszą małe ssaki, na przykład szczury i króliki...

- Już zamierzał rozpocząć wykład, ale nagle przerwał. Przypomniała mu się poranna rozmowa z Maurice'em, mężem Susanne. Susanne uwielbiała jeździć do Connecticut, spacerować po

lesie i karmić dzikie króliki!

- Może to króliki? - mruknął pod nosem.

- Co mówisz?

Przeprószył, że myślał głośno. Otrząsnął się z chwilowego oszołomienia i poprosił

Teresę, żeby usiadła na krześle przy biurku Cheta. Streścił jej rozmowę z mężem Susanne i wyjaśnił, jakie znaczenie dla rozprzestrzeniania tularemii mają dzikie króliki.

- Według mnie to możliwe - uznała Teresa.

- Kłopot w tym, że jej ewentualny kontakt z królikami miał miejsce dwa tygodnie

temu - zadumał się Jack. Bębnił palcami w słuchawkę telefonu. - To długi okres wylęgania, szczególnie dla postaci wywołującej zapalenie płuc. Oczywiście, jeżeli nie złapała tego w Connecticut, mogła się zarazić tu, w szpitalu. Szpitalna tularemia ma tyle samo sensu co szpitalna dżuma.

- Tak czy siak ludzie powinni o tym wiedzieć. - Skinęła w stronę telefonu. - Mam nadzieję, że podobnie jak szpital, ty również porozumiałeś się z mediami.

- Ani oni, ani ja - odpowiedział. Spojrzał na zegarek. Nie minęła jeszcze północ.

Podniósł słuchawkę i wystukał numer. - Dzwonię do mojego bezpośredniego szefa.

Rozsądnie będzie dać mu pierwszeństwo. Zajmowanie się takimi sprawami należy do niego.

Calvin odebrał zaraz po pierwszym sygnale. Odezwał się mrukliwym tonem, jakby wyrwano go ze snu. Jack przedstawił się uprzejmie.

- Lepiej, żeby to było ważne - warknął Calvin.

- Dla mnie jest. Chciałem panu oznajmić, iż jest mi pan winien następne dziesięć dolarów.

- Do cholery z tobą! - wybuchnął. - Jeżeli to jakiś kolejny chory kawał...

- To nie kawał - stwierdził Jack. - Właśnie otrzymaliśmy raport z laboratorium.

Manhattan General oprócz dwóch przypadków dżumy ma także jeden przypadek tularemii.

Jestem tak samo zaskoczony jak inni.

- Dzwonili do pana z laboratorium?

- Nie. Otrzymałem wiadomość od jednego z asystentów z dochodzeniówki.

- Jest pan w biurze? - zapytał Calvin.

- Jasne, że jestem. Urabiam sobie ręce po łokcie.

- Tularemia? - zapytał Calvin, jakby chciał się upewnić. - Muszę sobie na ten temat poczytać. Chyba nigdy nie widziałem żadnego przypadku.

- Ja też przeczytałem o tym dopiero dziś rano - przyznał się Jack.

- Niech się pan upewni, że nie ma u nas żadnych przecieków. Nie będę teraz dzwonił do Bingham, bo o tej porze i tak nic nie zrobimy. Zawiadomię go zaraz z rana i niech on powiadomi całą resztę.

- Jasne - przytaknął Jack.

- Więc masz to zatrzymać w tajemnicy - odezwała się Teresa ze złością w głosie, gdy odłożył słuchawkę.

- Nie ja za to odpowiadani.

- Tak, wiem - powiedziała sarkastycznie. - To nie twoja działka.

- Wpadłem już w niezłe tarapaty, dzwoniąc na własną rękę do władz miejskich w sprawie dżumy i nie mam zamiaru tego powtarzać. Rano wiadomość i tak rozejdzie się właściwymi kanałami.

- A co z ludźmi w Manhattan General, którzy spodziewają się, że mają do czynienia z dżumą? Może mają i tę nową chorobę. Uważam, że powinieneś ich powiadomić jeszcze dzisiejszej nocy.

- To celna uwaga - przyznał. - Ale tak naprawdę nie ma znaczenia. Postępowanie przy

tularemii jest identyczne jak przy dżumie. Poczekamy więc do rana. Poza tym zostało już tylko kilka godzin.

- A co się stanie, jeśli ja zawiadomię prasę?

- Jestem zmuszony prosić cię, abyś tego nie robiła. Słyszałaś równie dobrze jak ja, co powiedział mój szef. Jeżeli przeprowadzą dochodzenie, trafią do mnie.

- Ty nie lubisz reklam w medycynie, a ja nie lubię polityki w medycynie - stwierdziła Teresa.

- Amen - odparł Jack.

Rozdział 16

Piątek, godzina 6.30, 22 marca 1996 roku

Pomimo że drugą noc z rzędu kładł się spać znacznie później niż zwykle, już o piątej trzydzieści nad ranem Jack obudził się całkiem rześki. Zastanawiał się nad ironią rzeczy.

Żeby między przypadkami dżumy pojawiła się także tularemia? Przedziwny zbieg okoliczności, szczególnie że to on postawił obie diagnozy. To sztuka bez wątpienia warta dziesięciu dolarów i dwudziestu pięciu centów, które wygrał od Calvina i Laurie.

Myśli tak wirowały mu w głowie, że wszelkie próby zaśnięcia okazały się daremne. W efekcie wstał, zjadł śniadanie i przed szóstą znalazł się na rowerze. O tej porze panował mniejszy niż zwykle ruch uliczny, więc w pracy zjawił się rekordowo wcześnie.

Po przyjeździe udał się najpierw do pokoju lekarskiego, aby zobaczyć się z Laurie i Winniem. Nie było ich jeszcze w pracy. Wracając korytarzem, zapukał do Janice. Wydała mu się bardziej zmęczona niż zazwyczaj.

- Co za noc - przywitała Jacka.

- Zapracowana? - zapytał.

- To się samo przez się rozumie. Głównie przez te kolejne przypadki. Co się dzieje w

tym Manhattan General?

- Ilu dzisiaj?

- Trzy przypadki i w żadnym z nich nie mamy pozytywnego testu na dżumę, chociaż takie postawiono diagnozy. Cała trójka zmarła w piorunującym tempie. Wszyscy zeszli po dwunastu lub niewiele więcej godzinach od pojawienia się pierwszych objawów. To przerażające.

- We wszystkich dotychczasowych przypadkach zgon następował błyskawicznie - stwierdził Jack.

- Sądysz, że te dzisiejsze to tularemia?

- Wielce prawdopodobne - odparł. - Szczególnie, jeśli, jak powiedziałaś, testy nie wykazały dżumy. Nie wspominałaś nikomu o diagnozie w przypadku Susanne Hard, prawda?

- Musiałam się ugryźć w język, żeby nie powiedzieć, ale nie powiedziałam. Kilka gorzkich doświadczeń przekonało mnie, że moim zadaniem jest zbierać informacje, a nie rozpowszechniać je.

- To musieliśmy mieć podobne doświadczenia - stwierdził Jack. - Skończyłaś z tymi trzema nowymi?

- Są twoje - odpowiedziała, wręczając mu trzy teczki z dokumentami.

Jack zabrał papiery i wrócił do pokoju lekarskiego. Vinnie'ego nie było, więc sam musiał przygotować kawę. Z kubkiem w dłoni usiadł i zaczął przeglądać materiały.

Niemal natychmiast znalazł coś dziwnego. Pierwszą ofiarą była czterdziestodwuletnia Maria Lopez. Pracowała w centralnym zaopatrzeniu w Manhattan General Hospital! Nie dość tego. Pracowała na tej samej zmianie co Katherine Mueller!

Jack zamknął oczy i zaczął się zastanawiać, jak dwie pracownice zaopatrzenia mogły w tym samym czasie zapaść na dwie śmiertelne choroby zakaźne. To nie mógł być zwykły

przypadek. Obie musiały zarazić się w pracy. Pytanie brzmiało: Jak?

W myślach powrócił do magazynu szpitalnego. Widział półki i przejścia między nimi, nawet ubiory pracowników. Ale nie dostrzegł nic, co mogło stanowić drogę zakażenia śmiertelnymi zarazkami. Centralne zaopatrzenie nie miało nic wspólnego z wywozem nieczystości ani nawet z pralnią. Kierowniczką wspomniała również, że możliwości zetknięcia się z pacjentami są niewielkie.

Wrócił do czytania pozostałych raportów. Po sprawie Nodelmana Janice konsekwentnie zbierała informacje o zwierzętach, wyjazdach i gościach z odległych stron. W sprawie Marii Lopez wszystkie odpowiedzi były negatywne.

Zaczął przeglądać drugą teczkę. Zmarła nazywała się Joy Hester. Tym razem nie wyczuwał wielkiej tajemnicy. Joy była pielęgniarką na oddziale ginekologiczno-położniczym i miała bezpośredni kontakt z Susanne Hard przed i po ujawnieniu się objawów choroby.

Jedynie to, że zarażanie tularemią przez chorego człowieka jest niezwykle mało prawdopodobne, kazało mu się wstrzymać z wyrażeniem ostatecznej opinii.

Trzecią osobą był Donald Lagenthorpe, trzydziestoosmioletni inżynier-naftciarz przyjęty do szpitala poprzedniego ranka. Trafił przez izbę przyjęć, w której zjawił się z ostrym atakiem astmy. Zaaplikowano mu sterydy w kroplówce, lek rozszerzający oskrzela, nawilżanie powietrza i kilkugodzinny odpoczynek w łóżku. Według notatek Janice, jego stan poprawiał się i nalegał nawet, żeby go wypisać, gdy nagle pojawiły się ostre bóle głowy w części czołowej.

Bóle wystąpiły po południu, a towarzyszyły im dreszcze i gorączka. Następnie pojawił się męczący kaszel i typowe dla astmy, lecz silniejsze duszności. A wszystko pomimo nieprzerwanego leczenia. W tym stadium drogą prześwietlenia zdiagnozowano zapalenie płuc. Jednak wydaje się dziwne, że badanie śliny nie ujawniło żadnych bakterii.

Raport wspominał też o dokuczliwych bólach mięśni. Ponieważ wystąpił także nagły ból w dole brzucha i pacjent był nadzwyczajnie pobudzony, sygnalizowano możliwość zapalenia wyrostka robaczkowego. O dziewiętnastej trzydzieści usunięto wyrostek, który wyglądał jednak na zdrowy. Po operacji stan chorego ulegał systematycznemu pogorszeniu. Odnosiło się wrażenie, że choroba dotknęła wszystkich układów organizmu. Ciśnienie krwi spadło i nie reagowało na podawane środki. Wynik badania moczu niczego nie wniósł. Czytając dalej raport Janice, Jack dowiedział się, że pacjent wizytował rozrzucone po Teksasie instalacje naftowe i sporo czasu przebywał w terenie pustynnym. Działo się to w zeszłym tygodniu. Dowiedział się ponadto, że jego dziewczyna otrzymała ostatnio kota birmańskiego. Nie spotkał się natomiast z nikim z egzotycznego kraju.

- Ho, ho! Wcześniej się dzisiaj zjawiłeś! - przywitała go Laurie Montgomery.

Przybycie Laurie wyrwało Jacka z zamyślenia. Weszła do pokoju, zdjęła płaszcz i rzuciła go na biurko, przy którym wykonywała różne poranne czynności. Tego dnia kończyły się jej obowiązki jako szefa, który musi rozdzielać pracę między patologów i decydować, kto zbada który przypadek. Żaden ze specjalistów nie lubił pełnić tej funkcji.

- Mam dla ciebie złe wiadomości - przywitał koleżankę Jack.

Laurie zatrzymała się w przejściu. Przez jej zwykle pogodną, śniadą twarz przebiegł cień. Jack uśmiechnął się.

- Spokojnie, to nie jest aż takie straszne. Tylko tyle, że jesteś mi winna ćwierć dolara.

- Poważnie? Hard zmarła na tularemię?

- W nocy przysłali z laboratorium wyniki testów. Pozytywne. Sądzę, że to pewna diagnoza.

- Dobrze, że nie założyłam się o więcej. Osiągasz imponujące wyniki na polu chorób zakaźnych. W czym tkwi tajemnica?

- Szczęście początkującego - wyjaśnił. - Ale, ale. Mamy tu następne trzy przypadki.

Wszyscy z infekcją i wszyscy z General. Chciałbym zbadać przynajmniej dwoje z nich.

- Nie widzę żadnych przeciwwskazań - zgodziła się Laurie. - Ale pozwól mi chwilę odsapnąć.

Laurie wyszła z pokoju, a tuż po jej wyjściu zjawił się Vinnie. Twarz miał ziemistą, podkrążone, przekrwione oczy. Przypominał Jackowi jednego ze sztywniaków z parteru.

- Wyglądasz jak śmierć - odezwał się Jack.

- Kac - wyjaśnił Vinnie. - Kumpel urządzał wczoraj wieczór kawalerski. Wszyscy nieźle zabalowali.

Rzucił na biurko gazetę i natychmiast skierował kroki w stronę szafki, w której trzymali kawę.

- Kawa jest już zrobiona - zauważył Jack.

Vinnie musiał przez dłuższą chwilę wpatrywać się w pełen napoju dzbanek, zanim dotarło do jego rozkołatanego umysłu, że podjęty właśnie wysiłek jest całkowicie niepotrzebny.

- A może zamiast kawy zrobimy to? - zapytał Jack, pokazując Vinniemu teczkę Marii Lopez. - To może pobudzić do życia bardziej niż kawa. Pamiętaj: „Kto rano wstaje...”

- Daj spokój z tymi frazesami - zaprotestował Vinnie. Wziął teczkę i otworzył. -

Szczerze powiedziawszy, nie jestem w nastroju do wysłuchiwania twoich soczystych powiedzonek. Wkurza mnie, że nie możesz zjawić się tu w porze, kiedy inni przychodzą.

- Laurie już jest - przypomniał mu Jack.

- Tak, ale ona ma teraz kierowniczą zmianę. Nie ma dla ciebie usprawiedliwienia. -

Szybko przeczytał kawałek raportu. - Cudownie! Następna zakaźnie chora! Uwielbiam to!

Powinienem być zostać w łóżku.

- Za parę minut będę na dole - oznajmił Jack.

Poirytowany Vinnie złapał gazetę i poszedł na dół.

Laurie wróciła do pokoju ze stertą teczek. Położyła je na biurku.

- No, no, mamy dziś do wykonania kawał roboty - zakomunikowała.

- Wysłałem już Vinnie'ego na dół, żeby przygotował jeden z tych nocnych

przypadków - poinformował koleżankę Jack. - Mam nadzieję, że nie przekroczyłem

kompetencji. Wiem, że jeszcze im się nie przyjrzałaś, ale wszystkie wyglądają na dzumę, tyle

że z negatywnym wynikiem testu. Powinniśmy przynajmniej postawić diagnozę.

- Nie mam zastrzeżeń. Pójdę jednak na dół i zrobię, co do mnie należy. Kiedy

przeprowadzę zewnętrzne oględziny, będziesz mógł się nią zająć. Chodźmy. - Zabrała ze sobą

listę przywiezionych w nocy zwłok.

- Czego dowiedziałeś się o tej zmarłej, od której chcesz zacząć? - zapytała, gdy szli do

windy.

Krótko streścił historię Marii Lopez. Podkreślił, że pracowała w Manhattan General w

centralnym zaopatrzeniu. Przypomniwał, iż ofiara, która zmarła poprzedniej nocy, także

pracowała w tym dziale. Weszli do windy.

- To raczej dziwne, nie? - zapytała Laurie.

- Dla mnie owszem.

- Sądysz, że ma to jakieś szczególne znaczenie?

Winda zatrzymała się i drzwi otworzyły. Wyszli, nie przerywając rozmowy.

- Intuicja podpowiada mi, że tak. Dlatego bardzo chcę wykonać tę pracę. Za skarby

świata nie potrafię sobie jeszcze wyobrazić, na czym mógłby polegać związek.

Gdy przechodzili obok biura kostnicy, Laurie skinęła na Sala. Podszedł natychmiast.

Wręczając mu listę przywiezionych ofiar, powiedziała:

- W takim razie najpierw zobaczmy ciało Marii Lopez.

Maria Lopez, podobnie jak jej współpracowniczka, Katherine Mueller, była kobietą tęgą. Włosy miała proste, ufarbowane na dziwny rudopomarańczowy kolor. W lewej ręce i w szyi ciągle jeszcze tkwiły igły po kropłównce.

- Całkiem młoda kobieta - zauważyła Laurie.

Jack skinął i dodała:

- Miała tylko czterdzieści dwa lata.

Laurie spojrzała pod światło na zdjęcia rentgenowskie całego ciała zmarłej. Jedyne wygląd płuc odbiegał od normy.

- Zabieraj się do pracy - poleciła Jackowi.

Zakręcił się na pięcie i pomaszerował do przebieralni, gdzie czekał kombinezon.

- A jeśli chodzi o pozostałe dwa przypadki, o których mówiłeś na górze, to którym z nich chciałbyś się zająć w następnej kolejności?! - zwołała Laurie za oddalającym się Jackiem.

- Lagenthorpe - odpowiedział.

Laurie uniosła kciuk na znak, że się zgadza.

Pomimo kaca Vinnie, jak zawsze, sprawnie przygotował ciało Marii Lopez do autopsji. Zanim skończył, Jack po raz drugi przejrzał teczkę ofiary, a następnie włożył strój ochronny.

Poza nim i Vinniem w sali nikogo nie było. Jack mógł się łatwo skoncentrować. Na oględziny zewnętrzne poświęcił o wiele więcej czasu niż zwykle. Uznał, że jeżeli jest na ciele ślad ukąszenia, to on go musi znaleźć. I znowu, jak u Katherine Mueller, było kilka miejsc o dyskusyjnym wyglądzie - wszystkie sfotografował - ale ukąszenia nie znalazł.

Kac Vinnie'ego pomagał Jackowi się skoncentrować. Vinnie, chcąc ukoić ból głowy,

milczał. Mógł się doskonale obejść bez ciętych dowcipów Jacka, jego chorych żartów i nieustających komentarzy na temat nic nikogo nie obchodzących szczegółów wydarzeń sportowych. Jack rewanżował się również wiele znaczącym milczeniem.

Po zewnętrznych oględzinach przystąpił do badania organów wewnętrznych, tak jak przy wszystkich poprzednich przypadkach. Zachowywał tylko jeszcze większą ostrożność, aby do zera zmniejszyć ryzyko rozsiania śmiertelnych bakterii.

W miarę postępu badań Jacka ogarniało przeświadczenie, iż przypadek Lopez jest lustrzanym odbiciem tego, co widział u Susanne Hard, a nie u Katherine Mueller. W efekcie jego wstępną diagnozą była tularemia, nie dżuma. To jednak jeszcze bardziej zmuszało do zastanowienia się, jak dwie kobiety z działu zaopatrzenia mogły zarazić się chorobami, podczas gdy reszta personelu, bardziej przecież narażona na kontakt z chorymi, zarażenia uniknęła.

Kiedy skończył badać organy wewnętrzne, przygotował próbki laboratoryjne z płuc, żeby zanieść je później Agnes Finn. Wszystkie próbki, także te pobrane od Joy Hester i Donalda Lagenthorpe'a, chciał jak najszybciej wysłać do laboratorium miejskiego w celu przebadania na obecność zarasków tularemii.

Kiedy zabrali się do szycia zwłok, dobiegły ich odgłosy z umywalni i spoza sali.

- Zjawili się normalni, cywilizowani ludzie - zauważył Vinnie.

Jack nie odpowiedział.

Otworzyły się drzwi do umywalni. Do sali weszły dwie osoby ubrane w kombinezony i wolnym krokiem ruszyły w stronę stołu Jacka. Okazało się, że to Laurie i Chet.

- Chłopcy, już skończyliście? - zapytał Chet.

- Mnie w to nie mieszajcie - odparł Vinnie. - To szalony rowerzysta, musi zaczynać, zanim wzejdzie słońce.

- I co to jest twoim zdaniem? Dżuma czy tularemia? -zapytała Laurie.

- Moim zdaniem tularemia - odparł Jack.

- No więc jeżeli w pozostałych dwóch przypadkach również stwierdzimy tularemię, będziemy mieli sześć zachorowań.

- Wiem. Fatalna sprawa. Choroba przekazywana przez ludzi to niezwykle rzadko spotykana droga zakażenia. Nie ma to sensu, ale z biegu zdarzeń wynika, że właśnie tak się rozprzestrzenia.

- A jak się rozprzestrzenia tularemia? - zapytał Chet. - Nigdy nie miałem z nią do czynienia.

- Roznoszą ją kleszcze. Ewentualnie można się zarazić przez kontakt z chorym zwierzęciem, dajmy na to królikiem - poinformował Jack.

- Zapisałam, że teraz zajmiesz się Lagenthorpe'em. Trzeci przypadek zamierzam sama zbadać - stwierdziła Laurie.

- Z ochotą zajmę się również Hester - odpowiedział.

- Nie ma potrzeby. Nie mamy dzisiaj aż tak wielu autopsji, jak sądziłam. Większość z przywiezionych w nocy denatów nie wymaga sekcji. Nie mogę więc pozwolić, abyś jedynie ty dobrze się bawił.

Zaczęto wwozić ciała. Stoły na kółkach pchali pracownicy kostnicy. Oni też

poukładali ciała na stołach autopsyjnych. Laurie i Chet odeszli do swoich zajęć, a Jack i

Vinnie wrócili do szycia. Gdy skończyli, Jack pomógł Vinniemu przenieść ciało na wózek.

Następnie zapytał, jak długo będzie trwało przygotowanie Lagenthorpe'a.

- Co za krwiopijca - poskarżył się Vinnie. - Czy nie możemy jak wszyscy inni wypić kawę?

- Wolałbym mieć to już za sobą. A potem możesz sobie pić kawę przez resztę dnia.

- Bzdury. Zaraz zagonią mnie do pomocy komuś innemu.

Narzekając na swój los, Vinnie wyprowadził wózek z ciałem Marii Lopez. Jack

tyczasem podszedł do stołu Laurie. Była pochłonięta pracą. Przeprowadzała oględziny, ale gdy zauważyła Jacka kątem oka, natychmiast powiedziała:

- Biedaczka miała trzydzieści sześć lat. Cóż za tragedia.

- Co znalazłaś? Jakieś ślady po ukąszeniu owadów albo zadrapanie?

- Nic poza skaleczeniem na lewej nodze, ale to od maszynki do golenia. Nie ma śladu infekcji, myślę więc, że to zwykły wypadek. Jest jednak coś interesującego. Ma wyraźne zapalenie spojówek.

Ostrożnie uniosła powieki zmarłej. Zapalenie spojówek było wyraźne, chociaż rogówka była czysta.

- Wyczuwam także powiększone węzły przeduszne. - Mówiąc to, wskazała na widoczne guzki z przodu uszu.

- Ciekawe. Pasuje do tularemii, lecz nie występuje w poprzednio badanych przypadkach. Daj znać, jeśli trafisz jeszcze na coś niezwykłego.

Teraz Jack podszedł do stołu Cheta. Szczęśliwie jemu przypadł podziurawiony kulami mężczyzna. W tej chwili zajęty był fotografowaniem ran postrzałowych, wlotów i wylotów kul. Gdy spostrzegł Jacka, podał aparat Salowi, który asystował mu przy autopsji, wziął Jacka na bok i zapytał:

- Jak spędziłeś ostatnią noc?

- To chyba nie jest najlepsza pora - zauważył Jack. Jakakolwiek rozmowa w kosmicznym kombinezonie była bardzo utrudniona.

- No, nie wykręcaj się - nalegał Chet. - My z Colleen zabawiliśmy się nieźle. Po chińskim klubie poszliśmy do niej. Mieszka przy Sześćdziesiątej Szóstej Wschodniej.

- Cieszę się, że ci się udało.

- Ale jak wy zakończyliście wieczór?

- Nawet gdybym ci powiedział, to i tak byś nie uwierzył.

- Spróbuj - powiedział Chet i przysunął się bliżej do Jacka.

- Najpierw poszliśmy do jej biura, a później przyjechaliśmy tutaj.

- Miałeś rację, nie wierzę - skwitował Chet.

- Prawda często bywa trudna do zaakceptowania.

Vinnie właśnie wjechał do sali z ciałem Lagenthorpe'a, więc Jack wykorzystał to jako

usprawiedliwienie, przeprosił i wrócił do swojego stołu. Wolał pomagać w przygotowaniu ciała do sekcji, niż wysłuchiwać kolejnych uwag na temat minionego wieczoru.

Tym, co zwracało największą uwagę podczas oględzin ciała, była świeża rana po

wycięciu wyrostka robaczkowego długa na około dwa cale. Jack szybko jednak odkrył

kolejne nieprawidłowości. Dokładnie przyglądając się dłoniom, zauważył ślady gangreny na

koniuszkach palców. Oznaki podobnych zmian, w bardzo początkowym stadium odnalazł

również na płatkach usznych denata.

- Przypomina mi to Nodelmana - stwierdził Vinnie. - Tylko że mniej tego i nie

występuje na nosie. Sądysz, że znowu mamy dżumę?

- Nie wiem - odparł Jack. - Nodelman nie był po operacji wyrostka.

Kolejne dwadzieścia minut poświęcił na dokładne sprawdzenie, czy nie ma śladów

ukąszeń insektów lub innych zwierząt. Jednak w przypadku ciemnoskórego Lagenthorpe'a

rzecz była trudniejsza niż u białej Marii Lopez.

Mimo starannych poszukiwań nie znalazł śladów ukąszeń. Zaowocowały one za to

odkryciem innych niezwykle subtelnych zmian. Na wewnętrznej stronie dłoni i na

podeszwach stóp widoczna była słaba wysypka. Vinnie twierdził, że nic nie widzi.

- Powiedz mi, na co mam patrzeć.

- Płaskie, różowawe plamki - wyjaśnił Jack.

- Przykro mi, ale niczego takiego nie widzę - stwierdził Vinnie.

- Nieważne - uznał Jack. Zrobił kilka fotografii, choć sam wątpił, aby słaba wysypka była na nich widoczna. Światło lampy błyskowej najczęściej zaciera tak subtelne zmiany na skórze.

Gdy Jack kontynuował oględziny, czuł, że jest coraz bardziej zaskoczony rozwojem wypadków. Lagenthorpe'a przywieziono ze wstępnym rozpoznaniem dżumy płucnej i po zewnętrznych oględzinach, jak Vinnie zwrócił na to uwagę, można było rzeczywiście uznać Lagenthorpe'a za kolejną ofiarę dżumy. Jednak była w tym pewna sprzeczność. Raport wspominał, że test na dżumę wypadł negatywnie, więc Jack pierwotnie podejrzewał raczej tularemię.

Ale tularemia zdawała się rozwiązaniem niemożliwym do przyjęcia, gdyż w ślinie chorego nie wykryto żadnych wolnych bakterii. Dalej sprawę komplikował fakt, iż u chorego wystąpiły wystarczająco poważne objawy, by podejrzewać zapalenie wyrostka, który po operacji okazał się zdrowy. A na dodatek na dłoniach i stopach miał jakąś wysypkę. Jack nie miał pojęcia, z czym ma do czynienia. Im bardziej się nad tym zastanawiał, tym głębsze miał przeczucie, że nie chodzi ani o dżumę, ani o tularemię!

Ledwie zaczął badanie wewnętrzne, a od razu nabrał przekonania, że jego domysły nie są bezpodstawne. Naczynia limfatyczne były minimalnie powiększone. Po rozcięciu płuca już na pierwszy rzut oka Jack mógł stwierdzić, że widzi różnicę między stanem Lagenthorpe'a, a innych chorych na dżumę lub tularemię. Tym razem bardziej wyglądało to na niewydolność serca niż na infekcję. W płucach było sporo płynu, niewiele zaś zagęszczeń tkanki.

Po obejrzeniu innych organów wewnętrznych stwierdził, że w większości z nich

zaczęły zachodzić procesy patologiczne. Serce było znacznie powiększone, podobnie jak wątroba, śledziona i nerki. Jelita wyglądały na przekrwione, jakby na jakiś czas przed śmiercią przestały pracować.

- Coś interesującego? - dobiegł go silny głos.

Jack był tak zaabsorbowany, że nawet nie zauważył, jak Calvin odsunął Vinniego na bok i zajął jego miejsce.

- Myślę, że tak - odpowiedział Jack.

- Kolejny przypadek infekcji? - zapytał inny burkliwy głos.

Jack odwrócił się w lewo. Od razu rozpoznał głos, ale nie potrafił ukryć zaskoczenia.

Miał rację. To był sam szef!

- Zjawił się z rozpoznaniem dżumy - wyjaśnił Jack. Był zaskoczony pojawieniem się szefa. Bingham schodził do sali jedynie wtedy, gdy mieli na stole niezwykle rzadki przypadek lub gdy sprawa dotyczyła osób z politycznego establishmentu.

- Z pańskiego tonu wnoszę, że nie wierzy pan w dżumę - stwierdził Bingham. Pochylił się nad otwartym korpusem i przyglądał opuchniętym organom wewnętrznym.

- Jest pan niezwykle spostrzegawczy, sir - przyznał Jack. Z wielkim wysiłkiem starał się powstrzymać od normalnego dla siebie sarkazmu. Tym razem miał na myśli komplement.

- Co to jest pańskim zdaniem? - zapytał Bingham. Ręką w chirurgicznej rękawiczce dotknął ostrożnie powiększonej śledziony. - Ta śledziona wygląda na niezwykle dużą.

- Nie mam najmniejszego pojęcia - stwierdził szczerze Jack.

- Doktor Washington powiadomił mnie dzisiaj, że wczoraj imponująco trafnie zdiagnozował pan tularemię - powiedział Bingham.

- Dość szczęśliwy strzał - odpowiedział skromnie Jack.

- Nie według doktora Washingtona. Chciałbym pana pochwalić. Biorąc do tego pod

uwagę pańską błyskawiczną i trafną diagnozę dżumy, jestem pod wrażeniem. Jestem również pod wrażeniem, że zostawił pan informację dla mnie, abym mógł osobiście zawiadomić odpowiednie władze. Oby tak dalej. Cieszę się, że wczoraj nie wyrzuciłem pana z pracy.

- Taka pochwała brzmi jednak dwuznacznie - zauważył Jack i roześmiał się.

Bingham również się uśmiechnął.

- Gdzie jest ten Martin? - Bingham zapytał Calvina.

Calvin wskazał ręką.

- Trzeci stół, sir. Zajmuje się nim doktor McGovern. Za moment dołączę do pana.

Jack dostatecznie długo patrzył za oddalającym się Binghamem, aby zobaczyć zmieszanie Cheta, gdy rozpoznał zbliżającego się szefa. Jack odwrócił się w stronę Calvina.

- Me uczucia zostały zranione - wyznał teatralnym tonem. - Przez moment wierzyłem, że szef pofatygował się na dół tylko po to, by nagrodzić mnie komplementem.

- Marzenia - skomentował Calvin. - To była decyzja z ostatniej chwili. Naprawdę zszedł tu, żeby się zorientować, jak wygląda sprawa tego zastrzelonego, którego sekcję wykonuje doktor McGovern.

- To jakiś trudny przypadek? - zapytał Jack.

- Potencjalnie - odpowiedział Calvin. - Policja twierdzi, że opierał się aresztowaniu.

- To nie jest nic nadzwyczajnego.

- Kłopot w tym, że nie wiemy, czy kule weszły z przodu, czy z tyłu. Poza tym mamy aż pięć ran. Ktoś był trochę niezręczny - wyjaśnił Calvin.

Jack skinął. Doskonale rozumiał, na czym polega problem, i cieszył się, że to nie on zajmuje się tą sprawą.

- Szef powiedział panu komplement, choć nie po to tu przyszedł. Zaimponował mu pan tą tularemią i, muszę przyznać, mnie także. To była szybka i czysta robota. Warta

dziesięciu docłców. Ale coś panu powiem. Nie podobało mi się to małe krętaństwo w gabinecie szefa i rozprowadanie o naszym zakładzie. Mógł pan na chwilę zaskoczyć szefa, ale mnie pan nie oszukał.

- Doskonale wiem - odparł Jack. - Dlatego właśnie szybko zmieniłem temat.

- Chciałem tylko, żeby pan wiedział. - Pochylił się nad ciałem Lagenthorpe'a i dotknął śledziony, tak jak wcześniej zrobił to Bingham. - Szef miał rację. Jest obrzęknięta.

- Jak serce i niemal wszystko inne - dodał Jack.

- I co pan podejrzewa? - zapytał Calvin.

- Tym razem nie potrafię nawet zgadnąć - przyznał Jack. - To jakaś kolejna choroba zakaźna, lecz mogę się jedynie założyć, że to nie dżuma ani tularemią. Naprawdę nasuwa się pytanie, co oni w tym szpitalu wyprawiają.

- Niech się pan nie daje ponieść fantazjom - upomniał go Calvin. - Nowy Jork to wielkie miasto, a Manhattan General to wielki szpital. Mnóstwo ludzi przewija się tu co dnia, tłumy przylatują i odlatują i w związku z tym możemy mieć każdą chorobę bez względu na porę roku.

- W tym się zgadzamy ze sobą - ustąpił Jack.

- Tak, jeżeli wpadnie panu coś do głowy na temat tego przypadku, proszę dać mi znać

- poprosił Calvin. - Chciałbym odegrać moje dwadzieścia dolarów.

Po odejściu Calvina Vinnie wrócił na swoje miejsce. Jack pobrał próbki ze wszystkich organów, a Vinnie miał dopilnować, by odpowiednio je zabezpieczyć i opisać. Po pobraniu próbek zabrali się wspólnie do zaszycia Lagenthorpe'a.

Zostawiwszy Vinniemu dalsze obowiązki związane z zakończeniem sekcji, Jack podszedł znowu do stanowiska Laurie. Chciał, żeby pokazała mu wątrobę, śledzionę i płuca.

Uszkodzenia przypominały przypadki Susanne Hard i Marii Lopez. Zauważył setki ropni w

postaci ziarniaków.

- Przypomina poprzednie przypadki tularemii - stwierdziła Laurie.

- Nie mogę się z tobą spierać. Jednak niepokoi mnie fakt, że zarażanie się od człowieka jest niezwykle rzadkie. Nie potrafię tego wyjaśnić.

- Chyba że wszyscy zostali wystawieni na działanie tego samego czynnika.

- No jasne! - zawołał ironicznie. - Wszyscy udali się do tego samego miejsca w Connecticut i spotkali w lesie tego samego chorego królika.

- Staram się jedynie wskazać możliwości - odparła poirytowana tonem Jacka Laurie.

- Przepraszam. Masz rację. Nie powinienem napadać na ciebie. Wszystko dlatego, że te cholerne przypadki infekcji zrobiły ze mnie idiotę. Ciągłe czuję, że przeoczyłem coś ważnego, ale nie mogę odkryć, co to takiego.

- A co z Langenthorpe'em? Według ciebie także miał tularemię?

- Nie. Zdaje się, że miał coś całkowicie innego, lecz nie mam zielonego pojęcia co.

- Może za bardzo emocjonalnie zaangażowałeś się w sprawę? - zastanowiła się Laurie.

- Może. - Miał nieczyste sumienie w związku z życzeniami wszystkiego najgorszego dla AmeriCare po odkryciu pierwszego przypadku. - Spróbuję się uspokoić. Chyba powinienem więcej poczytać o chorobach zakaźnych.

- Dobry pomysł - zgodziła się Laurie. - Zamiast gryźć się i wpadać w stresy, powinieneś właśnie wykorzystać okazję i nauczyć się czegoś nowego. W końcu to jedna z przyjemności, jakich dostarcza nasza praca.

Jack spróbował przeniknąć wzrokiem przez plastikową maskę okrywającą twarz

Laurie, by stwierdzić, czy mówi poważnie, czy może naigrywa się z niego. Niestety, światło ze zwisających z sufitu lamp odbijało się refleksami na tworzywie, więc nie zdołał odpowiedzieć sobie na pytanie.

Wychodząc z sali, zatrzymał się jeszcze na chwilę przy stole Cheta. Jego kolega nie był w najlepszym nastroju.

- Do diabła - narzekał. - Cały dzień stracę na ustalenie takiego toru pocisków, jaki sugerował Bingham. Skoro ma takie wyjątkowe wymagania, mógł się sam wziąć do roboty.

- Powiedz, jeśli potrzebujesz pomocy. Chętnie odprężę się po tych moich przypadkach i pomogę ci - zaofiarował się Jack.

- Poradzę sobie - zapewnił go kolega.

Jack zdjął kombinezon i upewnił się, że baterie się ładują. Przebrał się w cywilną odzież i ponownie zabrał się do przeglądania teczek Marii Lopez, Lagenthorpe'a i Joy Hester.

W papierach Hester szukał informacji o jej najbliższych krewnych. Wymieniono siostrę zmarłej mieszkającą pod tym samym co ona adresem. Przepisał sobie jej numer telefonu.

Zobaczył Vinniego idącego od strony kostnicy, gdzie zostawił zwłoki Lagenthorpe'a.

- Gdzie są wszystkie próbki? - zapytał pomocnika.

- Mam je pod opieką - odparł Vinnie.

- Sam je zabiorę na górę.

- Na pewno? - Roznoszenie próbek po laboratoriach stanowiło zawsze dogodną okazję do zrobienia sobie przerwy na kawę.

- Na pewno.

Wziął próbki i teczki z dokumentami i ruszył do pokoju. Po drodze jednak załatwił dwie sprawy. Po pierwsze odwiedził w laboratorium Agnes Finn.

- Zaimponowałaś mi tą tularemią - przywitała Jacka pochwałą.

- Spotkało mnie z jej powodu wiele przyjemności.

- Masz dzisiaj coś dla mnie? - zapytała, widząc pełne dłonie próbek.

- Rzeczywiście, mam. - Wyszukał odpowiednią próbkę pobraną od Marii Lopez i

położył na biurku. - To zapewne kolejny przypadek tularemii.

- W miejskim laboratorium są bardzo ożywieni z powodu tularemii, sądzę więc, że nie będzie kłopotów. Powinnam jeszcze dzisiaj otrzymać wyniki. Coś jeszcze?

- Tak, ale to tajemnica - mówiąc to, położył na biurku próbki pobrane z ciała

Lagenthorpe'a. - Nie wiem, na co zmarł chory. Wiem jedynie, że nie mamy tu do czynienia ani z dżumą, ani z tularemią.

Następnie opisał Agnes przypadek Lagenthorpe'a, podając możliwie najwięcej szczegółów. Zafrapowała ją szczególnie informacja, iż w ślinie nie wykryto żadnych bakterii.

- Myślałeś o wirusie? - zapytała Jacka.

- Na tyle, na ile pozwoliła mi moja ograniczona wiedza o chorobach zakaźnych.

Przyszły mi do głowy hantawirusy, ale nie wystąpiły zbyt obfite krwotoki.

- Zacznę od testów na obecność wirusów - zdecydowała Agnes.

- A ja trochę poczytam i kto wie, może przyjdzie mi coś nowego do głowy.

- W każdym razie, gdyby coś nowego się pojawiło, będę tu - zapewniła Jacka.

Po wyjściu z laboratorium mikrobiologicznego Jack udał się na czwarte piętro do histologów.

- Dziewczyny, obudźcie się, mamy gościa - zawołała jedna z laborantek na widok Jacka. Odpowiedziały jej śmiechy.

Jack również się uśmiechnął. Wizyty w histologii zawsze sprawiały mu przyjemność.

Pracujące tu kobiety były zawsze w świetnym nastroju. Szczególnie przypadła mu do gustu rudowłosa i biuściasta Maureen O'Conner, z diabelskimi ognikami w oczach. Ucieszył się, gdy zobaczył ją tuż za rogiem laboratoryjnego kontuaru wycierającą ręce. Kitel z przodu przypominał tęczę z wielokolorowych plam.

- Cóż tam znowu, doktorze Stapleton - zagadnęła miłym irlandzkim akcentem. - Co

możemy zrobić dla kogoś takiego jak pan?

- Przyszedłem prosić o przysługę.

- Przysługę, mówi - powtórzyła Maureen. - Słyszałyście, dziewczyny? Czego zażądamy w zamian?

Odpowiedział jej wybuch śmiechu. Było powszechnie wiadomo, że jedynie Chet i Jack nie są żonaci, więc laborantki z histologii lubiły się z nimi droczyć.

Jack rozłożył na stole próbki, oddzielając Lagenthorpe'a od Lopez.

- Chciałbym żebyście zamroziły i pocięły na płatki próbki Lagenthorpe'a. Wystarczy kilka skrawków z każdego organu.

- Co z barwieniem? - spytała Maureen.

- Jak zwykle - odparł Jack.

- Szukasz czegoś szczególnego?

- Jakichś mikrobów. Niestety tylko tyle jestem w stanie powiedzieć.

- Zadzwoń do ciebie. Zaraz się do tego wezmę - obiecała Maureen.

Po powrocie do swojego biura sprawdził czekające na niego wiadomości, lecz niczego interesującego nie znalazł. Zrobił na biurku nieco miejsca na teczki Lagenthorpe'a i Lopez.

Zamierzał sporządzić raport poautopsyjny, a następnie podzwonić po krewnych ofiar. Chciał zatelefonować także do kogoś bliskiego ofiary, nad którą pracowała Laurie. Jednak zamiast

zabrać się do pracy, spojrzął na stojący na półce egzemplarz podręcznika medycyny

Harrisona. Zdjął książkę, poszukał rozdziału o chorobach zakaźnych i zaczął czytać. Sporo tego było, prawie pięćset- stron. Jednak nie przerażał się, mógł szybko przerzucać strony,

gdyż większość informacji miał w głowie. Często korzystał z tej wiedzy w pracy.

Trafił w końcu na podrozdział o nietypowych infekcjach wirusowych i w tym

momencie zadzwoniła Maureen. Poinformowała go, że zamrożone płatki do analizy są

gotowe. Natychmiast też zszedł do laboratorium, aby je odebrać. Wrócił z nimi do pokoju, postawił swój mikroskop na środku biurka i zabrał się do pracy. Próbki miał posegregowane według organów. Zaczął od płuc. Zaintrygowały go spore zmiany w opuchniętej tkance i zupełny brak bakterii.

Badając próbki serca, od razu się zorientował, co spowodowało jego powiększenie.

Mięsień serca opuchł z powodu zapalenia, w komórkach mięśniowych znajdowało się mnóstwo płynu.

Przełączył na silniejsze powiększenie i natychmiast rozpoznał przyczynę tych zmian.

Komórki wyściełające naczynia krwionośne dochodzące do serca były w większości zniszczone. W efekcie wiele z naczyń zostało zatkanych przez skrzepy, wywołując liczne drobne ataki serca!

Czując, jak po tak ekscytującym odkryciu rośnie mu poziom adrenaliny we krwi, Jack wrócił do próbek pobranych z płuc, aby zbadać je w tym samym powiększeniu. Bez problemu odkrył identyczne uszkodzenia w naczyniach krwionośnych.

Wymienił próbkę z płuc na wycinek pobrany ze śledziony. Pokręcił okulem i znowu ujrzał tę samą przyczynę choroby. Oczywiście było to znaczące odkrycie, które mogło sugerować możliwą diagnozę.

Jack wstał od biurka i szybko zjechał do laboratorium mikrobiologicznego, by porozmawiać z Agnes. Zastał ją przy jednym z licznych laboratoryjnych inkubatorów.

- Powstrzymaj się z próbkami Lagenthorpe'a - zawołał, łapiąc oddech. - Mam nowe informacje, które na pewno ci się spodobają.

Agnes przyjrzała się Jackowi z zainteresowaniem przez grube okulary.

- To choroba śródbłonkowa - powiedział podnieconym głosem. - Pacjent miał ostrą chorobę zakaźną bez widocznych wykształconych bakterii. To powinno być nam coś

powiedzieć. Miał także początek wysypki na dłoniach i stopach. A do tego rozpoznano u niego zapalenie wyrostka robaczkowego. Zgadnij dlaczego?

- Tkliwość uciskowa - powiedziała Agnes.

- Właśnie. No a co według ciebie może wywołać takie objawy?

- Riketsje.

- Bingo! - zawołał i gwizdnął z zadowolenia. - Dobra stara gorączka Gór Skalistych.

Możesz to potwierdzić?

- To równie trudne jak w przypadku tularemii. Znowu będziemy musieli wysłać próbki. To się robi zwykłą techniką immunofluorescencyjną, ale brakuje nam odczynników.

Wiem jednak, że w laboratorium miejskim mają wszystko, co potrzeba, ponieważ w osiemdziesiątym siódmym w Bronxie odnotowano kilka zachorowań na gorączkę Gór Skalistych.

- Wyślij to natychmiast - zdecydował Jack. - I powiedz im, że potrzebujemy wyniki tak szybko, jak tylko zdołają je ustalić.

- Zrobi się.

- Jesteś kochana.

Ruszył do wyjścia. Agnes zatrzymała go jeszcze na chwilę.

- Cieszę się, że powiedziałaś mi o wszystkim zaraz po odkryciu. Doceniani to.

Riketsjozy są dla laborantów wyjątkowo groźne. Unoszącymi się w powietrzu riketsjami niezwykle łatwo się zarazić. Choroby są równie niebezpieczne, a bywa, że nawet bardziej niż tularemia.

- Nie ma o czym mówić. Bądź ostrożna - poprosił Jack.

Rozdział 17

Piątek, godzina 12.15, 22 marca 1996 roku

Helen Robinson krótkimi, szybkimi ruchami rozczesywała włosy. Była podniecona.

Dopiero co skończyła rozmawiać ze swoim informatorem z National Health i musiała jak najszybciej spotkać się z Robertem Barkerem. Wiedziała, że to, co mu powie, spodoba mu się.

Odsunęła się na kilka kroków od lustra, z tej perspektywy dokładnie obejrzała się z lewej i prawej strony. Zadowolona z siebie zamknęła drzwi szafy, po czym wyszła z biura. Jej zwykłą metodą kontaktowania się z Robertem było wpadanie do niego bez uprzedzenia. Lecz informacje, jakie posiadała, usprawiedliwiały bardziej oficjalną wizytę, więc poprosiła sekretarkę, aby powiadomiła szefa o jej przyjściu. Po chwili rozmowy sekretarka powiedziała, że szef prosi Helen do siebie. Nie zdziwiło jej to.

Urabiała Roberta przez ostatni rok. Zaczęła, gdy stało się jasne, że Robert ma szansę objąć stanowisko prezesa. Wyczuwając u Roberta pociąg do seksu, systematycznie podsycala w nim ogień pożądania. Nie było to trudne, chociaż wiedziała, że stąpa po cienkiej linii.

Chciała go prowokować, nie doprowadzając jednocześnie do sytuacji, w której musiałaby otwarcie odmówić. Prawdę powiedziawszy, w sensie fizycznym nie odpowiadał jej zupełnie. Celem Helen było stanowisko Roberta. Pragnęła zostać dyrektorem w dziale finansowym firmy i nie widziała powodów, dla których nie miałoby się tak stać. Przeszkodzić mogło jej jedynie to, że była młodsza od pozostałych w dziale. Instynktownie wyczuwała, że to może być raczej przeszkoda, której nie pokona nawet przez „urabianie” Roberta.

- Ach, Helen, moja droga - przywitał ją Robert, gdy weszła do gabinetu, przyjmując przesadnie skromną postawę. Zerwał się na równe nogi, podszedł do drzwi i zamknął je za nią.

Helen swoim zwyczajem przysiadła na oparciu krzesła. Założyła nogę na nogę, tak że spódniczka odsłoniła sporą część uda. Spozrzegła, że fotografia żony Roberta leżała na

biurku twarzą do blatu.

- Może napijesz się kawy? - zaproponował Robert, który zajął miejsce za biurkiem i zaczął powoli popadać w hipnotyczny trans, patrząc w stronę oparcia krzesła.

- Właśnie rozmawiałam z Gertrudą Wilson z National Health - zaczęła Helen. - Na pewno ją znasz.

- Oczywiście - potwierdził. - Jest jednym ze starszych wiceprezydentów.

- Ale również jest jednym z moich najbardziej zaufanych informatorów. A poza tym jest gorącą zwolenniczką współpracy z naszą firmą.

- Hmm - mruknął Robert.

- National Health otrzymało wszelkie rekomendacje od Centrum Kontroli Chorób i Komisji Zdrowia - powiedziała Helen.

Robert potrząsnął głową, jakby się zbudził ze snu. Zanim uwagi Helen dotarły do jego zaprzątniętego czym innym umysłu, musiało minąć kilka sekund.

- Zaraz, zaraz - odezwał się. Rozglądał się nerwowo, porządkując myśli. - To nie są dobre wiadomości. A zdawało mi się, że sekretarka mówiła, iż masz dobre wiadomości.

- Wysłuchaj mnie - poprosiła Helen. - Choć pobili wszystkich danymi na temat chorób szpitalnych, mają ostatnio w nowojorskich oddziałach pewne kłopoty, o których woleliby publicznie nie rozprawiać. Są niezwykle wyczuleni na tym punkcie. Dokładnie mówiąc, zdarzyły się trzy historie. Pierwsza dotyczyła bardzo wielu zachorowań na oddziale intensywnej opieki wywołanych gronkowcem. Mieli z tym sporo kłopotów, zanim zorientowali się, że kilka osób z personelu było nosicielami. Leczenie antybiotykami pomogło i epidemia została opanowana. Powiem ci, że kiedy się o tym słucha, to ciarki przechodzą po plecach.

- A kolejna sprawa? - zapytał Robert. Przez chwilę próbował nie patrzeć na Helen.

- Następna historia z bakteriami wywołana została w kuchni. Wielu pacjentów zaczęło cierpieć na ostrą biegunkę. Kilkoro nawet umarło. A ostatnio pojawiła się żółtaczka. Również zmarło kilku chorych.

- To chyba oznacza, że mają nie najlepsze wyniki w zapobieganiu chorobom szpitalnym - stwierdził Robert.

- Są dobre, jeśli porówna się je z wynikami innych szpitali. Wiesz, to naprawdę okropne historie. Prawda jest jednak taka, że National Health jest niezwykle wrażliwe na punkcie chorób szpitalnych. Gertruda specjalnie podkreśliła, że jej firma nawet za milion lat nie zaakceptuje uruchomienia kampanii reklamowej bazującej na czymś takim.

- Znakomicie! - zawołał Robert. - To jest właśnie dobra wiadomość. Co powiedziałaś Teresie Hagen?

- Nic, oczywiście. Kazałeś mi przecież najpierw przyjść z tym do ciebie.

- Świetna robota! - Wstał i zaczął się przechadzać. - Nie mogło być lepiej. Tak pokieruję Teresą, że zrobi, co będę chciał.

- Co mam jej powiedzieć?

- Powiedz, że z twoich informacji wynika, iż National Health ma znakomite wyniki w zapobieganiu chorobom szpitalnym w porównaniu z innymi. Chcę, żeby poszła dalej ze swoją kampanią reklamową, aż wybuchnie bomba.

- Ale w ten sposób stracimy klienta - zauważyła Helen.

- Niekoniecznie. Już wcześniej zorientowałaś się, że są zainteresowani reklamówkami typu „gadające głowy” z udziałem znanych fachowców. Wielokrotnie mówiliśmy o tym Teresie, ale ignorowała nasze sugestie. Zamierzam bez jej wiedzy zaangażować kilka gwiazd z wyświetlanych właśnie w telewizji seriali „szpitalnych”. Będą wiarygodnym dowodem w naszej sprawie. Teresa Hagen wyleci, a my będziemy mogli wejść od razu z gotową

kampanią.

- Pomysłowe - powiedziała Helen. Zsunęła się z oparcia krzesła. - Zadzwoń w takim razie do Teresy i niech się lawina potoczy.

Po powrocie do biura kazała sekretarce połączyć się z Teresą. Czekaając na rozmowę, pochwaliła samą siebie za przebieg rozmowy z Robertem. Nikt nie wyreżyserowałby tego lepiej. Jej pozycja w firmie wydawała się coraz mocniejsza.

- Panna Hagen jest na dole, w sali projekcyjnej - sekretarka przerwała rozmyślenia

Helen. - Czy mam tam zadzwonić?

- Nie. Zejdę sama.

Opuściła wyłożone dywanami zacisze działu finansowego. Obcasy wydawały na metalowych stopniach charakterystyczny odgłos, który niósł się po klatce schodowej.

Cieszyła się z osobistej rozmowy z Teresą. Tak wołała. Chociaż z drugiej strony zawsze czuła się nieco onieśmielona w jej gabinecie i nie lubiła tam wchodzić.

Zanim weszła do środka, głośno zapukała do drzwi. Teresa siedziała za olbrzymim biurkiem zawalonym rysunkami i jakimiś papierami. Była tam także Colleen Anderson, Alice Gerber i mężczyzna, którego Helen nie знаła. Przedstawiono go jako Nelsona Friedmana.

- Mam informacje, o które prosiłaś - zaczęła Helen. Zmusiła się do szerokiego uśmiechu.

- Dobrze czy źle? - zapytała Teresa.

- Powiedziałabym, że bardzo dobre.

- Posłuchajmy więc - zaproponowała Teresa i wygodnie rozsiadła się w fotelu.

Helen opisała doskonale wyniki National Health w zapobieganiu występowania chorób szpitalnych. Powiedziała nawet coś, czego nie uzgodniła z Robertem - otóż według jej informacji wyniki te są znacznie lepsze w National Health niż w AmeriCare i należącym do

niej Manhattan General.

- Cudownie. To właśnie chciałam wiedzieć. Byłaś nam wielce pomocna. Dziękuję.

- Z przyjemnością służę pomocą - odpowiedziała Helen. - Jak daleko jesteście z kampanią?

- Daleko. Myślę, że do poniedziałku będziemy mieli materiał dla Taylora i Briana.

- Wyśmienicie. Jeśli jeszcze będę mogła coś dla ciebie zrobić, daj znać.

- Z pewnością. - Teresa odprowadziła Helen do drzwi, pomachała jej na do widzenia, po czym wróciła na swój fotel.

- Wierzysz jej? - zapytała Colleen.

- Tak. Nie ryzykowaliby kłamstw w sprawach, które możemy sprawdzić z innych źródeł.

- Nie rozumiem, jak możesz jej ufać - upierała się Colleen. - Nienawidzę takich przyklepanych uśmiechów. To nienaturalne.

- Hola, hola, powiedziałam, że jej wierzę, nie, że ufam - zaprotestowała Teresa. - Dlatego nie rozmawiałam z nią na temat tego, co tu robimy.

- Skoro już jesteśmy przy tym, co tu robimy - zmieniła temat Colleen - to nie powiedziałaś, że ci się to podoba.

Teresa w odpowiedzi westchnęła, pobieżnie przeglądając papiery rozrzucone na biurku.

- Podoba mi się sekwencja z Hipokratesem. Ale co do materiału z Oliverem

Wendellem Holmesem i tym drugim, Josephem Listerem, to nie wiem. Doskonale zdaję sobie sprawę, jak ważne jest mycie rąk w szpitalu, nawet nowoczesnym, ale w tym nie ma ikry.

- A co z tym lekarzem, który odwiedził nas ostatniego wieczoru? - zapytała Alice. -

Może poza sugestią dotyczącą mycia rąk będzie miał nowe pomysły, a my coś z nich

wykroimy.

Oszupiała Colleen spojrzała uważnie na Teresę.

- Przyszłaś tu wczoraj z Jackiem? - zapytała.

- A tak, wpadliśmy, przechodząc obok - odpowiedziała Teresa od niechcienia. Sięgnęła po jeden z rysunków, aby lepiej mu się przyjrzeć.

- Nie mówiłaś mi - w głosie Colleen brzmiał wyrzut.

- Nie pytałaś - odparła Teresa. - Ale to żaden sekret, jeżeli tak ci się właśnie zdaje.

Mój związek z Jackiem nie ma w sobie niczego romantycznego.

- I rozmawialiście o kampanii reklamowej? - drażyla dociekliwie Colleen. - Nie sądzę, abyś chciała mu o tym mówić, szczególnie że mógłby się poczuć w pewien sposób odpowiedzialny za pomysł.

- Zmieniłam zdanie - przyznała się Teresa. - Pomyślałam, że mu się spodoba, skoro ma dużo wspólnego z jakością opieki zdrowotnej.

- Jesteś pełna niespodzianek - skomentowała Colleen.

- To chyba niezły pomysł prosić o opinię Jacka lub Cheta. Uwagi zawodowców mogą się okazać pomocne.

- Z radością zadzwonię z propozycją - zaoferowała się bez wahania Colleen.

Rozdział 18

Piątek, godzina 14.45, 22 marca 1996 roku

Jack wisiał na telefonie ponad godzinę, wydzwaniając do krewnych trzech ofiar.

Zanim zadzwonił do siostry i współlokatorki Joy Hester, porozmawiał z Laurie. Nie chciał, aby pomyślała, że za plecami zajmuje się jej sprawą, ale Laurie zapewniła go, że nie ma nic przeciwko temu.

Niestety z tych rozmów nie dowiedział się niczego, co by wyjaśniało zagadkę. Na

wszystkie swoje pytania uzyskał negatywne odpowiedzi. Nie, żadna z chorych osób nie miała kontaktu z dzikimi zwierzętami, a w szczególności z królikami. Jedynie Lagenthorpe zetknął się z kotem domowym swojej przyjaciółki, którego niedawno otrzymała w prezencie. Kot miał się jednak całkiem dobrze. Odkładając słuchawkę po ostatniej rozmowie, niedbale wyciągnął się na krześle i bezmyślnie zapatrzył na białą ścianę. Adrenalina, której poziom podniósł mu się, kiedy rozpoznał gorączkę Gór Skalistych teraz powodowała narastającą frustrację. Miał wrażenie, że nie posunął się naprzód ani o krok.

Telefon wyrwał go z odrętwienia. Rozmówca przedstawił się jako doktor Gary Eckhart, mikrobiolog z laboratorium miejskiego.

- Czy rozmawiam z doktorem Stapletonem? - zapytał.

- Tak, to ja.

- Mam pozytywny wynik badania na riketsje. Pański pacjent zmarł na gorączkę Gór Skalistych. Czy zgłosi pan to sam do Rady Zdrowia, czy mam to zrobić osobiście?

- Proszę to zrobić - odpowiedział Jack. - Nie wiem nawet, kogo miałbym powiadomić.

- Proszę uważać rzecz za załatwioną - odparł doktor Eckhart i odwiesił słuchawkę.

Swoją Jack odłożył powoli, z namysłem. To, że jego wstępna diagnoza potwierdziła się, było dla niego równie wielkim szokiem jak potwierdzenie dwóch poprzednich. Rozwój wypadków przybierał nieprawdopodobny kierunek. W ciągu trzech dni stwierdzili wystąpienie trzech stosunkowo rzadkich chorób zakaźnych.

To jest możliwe tylko w Nowym Jorku, pomyślał. Oczami wyobraźni zobaczył samoloty z całego świata lądujące na lotnisku Kennedy'ego.

Jego zaskoczenie zaczęło powoli przeradzać się w niedowierzanie. Nawet przy tych wszystkich samolotach i ludziach przylatujących z egzotycznych stron świata, przywożących ze sobą wszelkiego rodzaju pasożyty, bakterie, wirusy, wydaje się, że jednoczesne pojawienie

się dżumy, tularemii i gorączki Gór Skalistych, to coś więcej niż zwykły zbieg okoliczności.

Analityczny umysł Jacka zaczął szacować prawdopodobieństwo podobnego splotu zdarzeń.

- Moim zdaniem zerowe - powiedział na głos.

Nagle poderwał się z krzesła i wybiegł z biura jak oparzony. Niedowierzanie zaczęło przemieniać się w złość. Był pewny, że dzieje się coś tajemniczego, i przez chwilę traktował to osobiście. Głęboko wierząc, że trzeba coś zrobić, zjechał na dół i zjawił się u pani Sanford. Domagał się rozmowy z szefem.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Pan Bingham udał się do ratusza na spotkanie z burmistrzem i szefem policji - oświadczyła sekretarka Bingham.

- Psiakrew! - zaklął Jack. - On się tam wprowadził czy co?

- Jest sporo kontrowersji wokół tego przypadku ze śmiertelnym postrzeleniem - odpowiedziała, ostrożnie ważąc słowa.

- Kiedy wróci? - Nieobecność Bingham tylko pogłębiła jego frustrację.

- Po prostu nie wiem - przyznała pani Sanford. - Ale z pewnością poinformuję go, że chciał pan z nim rozmawiać.

- A doktor Washington?

- Jest na tym samym spotkaniu.

- To świetnie.

- Czy mogę panu w czymś pomóc?

Jack przez chwilę myślał.

- Poproszę o kawałek papieru. Powiniennem zostawić wiadomość.

Sekretarka wręczyła mu kartkę papieru maszynowego, na której Jack drukowanymi literami napisał: LAGENTHORPE MIAŁ GORĄCZKĘ GÓR SKALISTYCH. Za informacją umieścił pół tuzina znaków zapytania i wykrzykników. Poniżej dopisał: MIEJSKA RADA

ZDROWIA ZOSTAŁA POINFORMOWANA PRZEZ MIEJSKIE LABORATORIUM.

Wręczył notatkę pani Sanford, która przyrzekła, że osobiście dopilnuje, aby pan Bingham otrzymał ją, gdy tylko się zjawi. Zapytała jeszcze, gdzie Jack będzie, gdyby szef chciał się z nim spotkać.

- Zależy kiedy wróci - odparł Jack. - Zamierzam na chwilę wyjść z biura. Ale może się tak zdarzyć, że zanim usłyszysz mnie, usłyszysz o mnie.

Pani Sanford spojrzała na niego pytająco, nie rozumiejąc, co ma na myśli, lecz nie zamierzała wdawać się w szczegóły.

Wrócił do siebie po kurtkę. Zszedł na dół i odczepił rower. Pomimo napomnienia Bingham'a ruszył do Manhattan General. Przez dwa dni podejrzewał, że dzieje się tam coś dziwnego, teraz miał już pewność.

Po szybkiej jeździe zaparkował rower przy tym samym znaku co zwykle i wszedł do szpitala. Rozpoczęły się godziny odwiedzin, więc hall zatłoczony był ludźmi, szczególnie wokół punktu informacyjnego.

Przeciskając się przez tłum, Jack wszedł na schody i ruszył na pierwsze piętro.

Skierował się prosto do laboratorium. Począł na recepcjonistkę. Tym razem, chociaż od razu miał ochotę wejść do środka, postanowił najpierw spotkać się z szefem.

Martin Cheveau kazał na siebie czekać aż pół godziny. Przez ten czas Jack postanowił uspokoić myśli. W ciągu ostatnich czterech, może pięciu lat zauważył u siebie niepokojące zmiany. Nawet w najlepszych okolicznościach nie potrafił zachować taktu, a gdy był zły, a teraz był, stawał się arogancki.

Zjawił się technik i przekazał Jackowi, że doktor Martin Cheveau może go przyjąć.

- Dziękuję, że przyjmuje mnie pan bez zwłoki - przywitał się Jack z kierownikiem laboratorium. Pomimo najlepszych chęci nie zdołał uniknąć sarkazmu.

- Jestem zapracowanym człowiekiem - odpowiedział Martin, nie racząc nawet wstać.

- To akurat doskonale potrafię sobie wyobrazić - odpowiedział Jack. - Z serią

zakaźnych chorób, które wylęgają się w pańskim szpitalu dzień po dniu, podejrzewam, że musi pan nawet zostawać po godzinach.

- Doktorze Stapleton - Martin świetnie panował nad głosem - muszę panu powiedzieć, że pańską obecność tutaj uważam za wysoce niewskazaną.

- Widzę, że jest pan zmieszany. Przy pierwszej rozmowie był pan wzorem gościnności. Przy drugiej ustawił się pan w pozycji wroga.

- Niestety, proszę wybaczyć, ale nie mam czasu na tę rozmowę - przerwał Martin. -

Czy chciał mi pan powiedzieć coś szczególnego?

- Oczywiście. Nie przyszedłem tu po to, aby kogokolwiek obrażać. Chciałbym zasięgnąć pańskiej, opinii jako profesjonalisty. Jakie jest prawdopodobieństwo, by w tym samym czasie w szpitalu pojawiły się trzy choroby zakaźne roznoszone przez owady. Cenię sobie nade wszystko własną opinię, jednak pańskie zdanie jako szefa laboratorium jest dla mnie również niezwykle cenne.

- Co pan ma na myśli, mówiąc „trzy choroby”? - zapytał zdezorientowany Martin.

- Dopiero co otrzymałem potwierdzenie, iż pacjent nazwiskiem Lagenthorpe, który wyzionął u was ducha, cierpiał na gorączkę Gór Skalistych.

- Nie wierzę panu - stanowczo stwierdził Martin.

Jack wnikliwie przyjrzał się rozmówcy, próbując ocenić, czy jest dobrym aktorem, czy rzeczywiście nie wierzy, zaskoczony informacją.

- Cóż, to w takim razie proszę mi powiedzieć, co miałbym osiągnąć, przychodząc tu i opowiadając panu nieprawdziwe historie? Czy uważa mnie pan za prowokatora atakującego system opieki medycznej?

Martin nie odpowiedział. Zamiast tego podniósł słuchawkę telefonu i połączył się z gabinetem doktor Mary Zimmerman.

- Wzywa pan posiłki? - zapytał Jack. - Dlaczego po prostu nie porozmawiamy?

- Nie jestem pewien, czy jest pan zdolny do normalnej rozmowy - odpowiedział Martin.

- Dobra technika. Gdy zawodzi obrona, należy przejść do ataku. Problem jednak w tym, że nawet najsprytniejsza strategia nie zmieni faktów. Riketsje są niezwykle niebezpieczne w laboratorium. Może powinniśmy sprawdzić, czy ten, kto zajmował się badaniem próbek Lagenthorpe'a, zachował odpowiednią ostrożność?

Martin wcisnął przycisk interkomu i wezwał do siebie szefa laboratorium mikrobiologicznego Richarda Overstreeta.

- Inną sprawą, którą chciałem przedyskutować, jest kwestia pieniędzy. Przy naszej pierwszej rozmowie wspomniał pan, jak zniechęcające są narzucone przez AmeriCare oszczędności budżetowe w laboratorium. W skali od jeden do dziesięć jak określiłby pan swoje niezadowolenie?

- Do czego pan znowu zmierza? - zapytał Martin.

- W tej chwili jeszcze do niczego. Pytam jedynie. Zadzwoił telefon. To była doktor Zimmerman. Martin zapytał, czy mogłaby zejść do laboratorium, gdyż pojawiło się coś nowego.

- Kłopot polega na tym, że wystąpienie trzech takich chorób równocześnie według mnie jest niemożliwe - ciągnął Jack. - Jak pan to może wyjaśnić?

- Nie muszę tego słuchać - warknął Martin.

- Ale musi pan to przemyśleć.

W drzwiach pojawił się Richard Overstreet, jak poprzednio ubrany w biały kitel i

chirurgiczny czepek. Wyglądał na zabieganego.

- O co chodzi, szefie? - zapytał. Skinął głową na widok Jacka, a ten odpowiedział gestem.

- Właśnie się dowiedziałem, że pacjent o nazwisku Lagenthorpe zmarł na gorączkę Gór Skalistych - oznajmił ponurym głosem Martin. - Dowiedz się, kto pobierał próbki i kto je badał.

Richard stał przez chwilę w milczeniu najwyraźniej przestraszony informacją.

- To oznacza, że mamy w laboratorium riketsje - stwierdził w końcu.

- Obawiam się, że tak. Daj mi znać jak najszybciej.

Richard zniknął, a Martin odwrócił się w stronę Jacka.

- Teraz, skoro już przyniósł nam pan tę wspaniałą nowinę, proszę zrobić jeszcze jedną grzeczność i pójść sobie.

- Wolę wysłuchać pańskiego zdania na temat pochodzenia choroby - oznajmił Jack.

Martin poczerwieniał na twarzy, lecz zanim zdążył odpowiedzieć, w gabinecie zjawiła się doktor Mary Zimmerman.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Martinie? - zapytała. Już zamierzała dodać, że właśnie wzywają ją do izby przyjęć, gdy spostrzegła Jacka. Przymknęła lekko oczy. Bez wątpienia widząc niechcianego gościa, nie była ani trochę szczęśliwsza od Martina.

- Jak się mamy, pani doktor - przywitał się Jack z uśmiechem.

- Byłam pewna, że więcej się nie zobaczymy - odpowiedziała na przywitanie.

- Niech pani nigdy nie wierzy we wszystko, co mówią - poradził Jack.

W tej chwili wrócił Richard, najwyraźniej oszołomiony.

- To była Nancy Wiggins - oznajmił. - Ona pobierała próbkę i badała ją. Rano zadzwoniła, że jest chora.

Doktor Zimmerman przeczytała notatkę, którą trzymała w ręku.

- Wiggins jest jedną z pacjentek, do których wezwali mnie na izbę przyjęć -

oświadczyła. - Najwidoczniej cierpi na jakąś gwałtownie rozwijającą się infekcję.

- Och, nie! - jęknął Richard.

- O co tu chodzi? - zapytała zniecierpliwiona Mary Zimmerman.

- Doktor Stapleton poinformował mnie właśnie, że jeden z naszych zmarłych pacjentów miał gorączkę Gór Skalistych. Nancy zajmowała się badaniem jego próbek.

- Ale nie tu, w laboratorium - wtrącił Richard. - Jestem wyczulony na sprawy bezpieczeństwa. Po stwierdzeniu dżumy nalegałem, aby wszystkie przypadki chorób zakaźnych były badane w bioseptycznej pracowni. Jeżeli zaraziła się tym, to od pacjenta.

- Mało prawdopodobne - zauważył Jack. - Pozostaje jedynie stwierdzić, czy szpital nie jest wylegarnią robactwa.

- Doktorze Stapleton, pańskie uwagi są niesmaczne i niewłaściwe - zaprotestowała doktor Zimmerman.

- Jest o wiele gorzej - wtrącił Martin. - Tuż przed pani przyjściem sugerowałem, że mogą mieć coś wspólnego z tymi chorobami.

- To nieprawda - poprawił go Jack. - Stwierdziłem jedynie, że musimy się zastanowić nad tym, czy ktoś nie roznosi tych chorób rozmyślnie, gdyż szansa, że pojawiły się przypadkiem, nie istnieje. Tylko to ma w obecnej sytuacji sens. Ludzie, co wam się porobiło?

- Tego rodzaju pomysły są wynikiem paranoi - odpowiedziała Mary Zimmerman. - I szczerze powiedziawszy, nie mam czasu na bzdury. Muszę iść do izby przyjęć. Poza panną Wiggins jeszcze dwóch naszych pracowników ma podobnie ostre dolegliwości. Żegnam pana, panie Stapleton.

- Chwileczkę! - zawołał Jack. - Proszę mi pozwolić zgadnąć, gdzie pracowały chore

osoby. Chodzi o pielęgniarki albo o dział zaopatrzenia?

Doktor Zimmerman była już przy drzwiach. Zatrzymała się jednak i spojrzała na Jacka zaskoczona.

- Skąd pan to wie?

- Zaczynam dostrzegać prawidłowości. Nie potrafię teraz tego wytłumaczyć, ale tak się rzeczy mają. Pielęgniarka, choć to godne pożałowania, jest w zrozumiały sposób narażona. Lecz pracownicy działu zaopatrzenia?

- Niech pan posłucha, panie Stapleton - odpowiedziała doktor Zimmerman. - Możliwe, że raz jeszcze jesteśmy pańskimi dłużnikami za to, że ostrzegł nas pan przed kolejną groźną chorobą. Od tej jednak chwili przejmujemy odpowiedzialność na siebie i nie potrzebujemy pańskich paranoicznych iluzji. Życzę panu miłego dnia.

- Zaraz, zaraz! - tym razem Martin zawołał za wychodzącą. - Pójdę z panią do izby przyjęć. Jeżeli to choroba wywołana riketsjami, chcę osobiście dopilnować, aby próbki pobrano z zachowaniem wszelkiej ostrożności.

Złapał kitel wiszący na haczyku za drzwiami i wybiegł za oddalającą się doktor Zimmerman.

Jack pokręcił głową z niedowierzaniem. Każda kolejna wizyta w tym szpitalu była dziwna. Ostatnio pogonili jego, tym razem sami uciekli.

- Naprawdę wierzy pan, że te choroby mogą być roznoszone umyślnie? - zapytał Richard.

Jack wzruszył ramionami.

- Prawdę powiedziawszy, nie wiem, co myśleć. Jednak takie zachowanie wskazuje, że mają coś do ukrycia, a już na pewno ta dwójka, która wyszła stąd przed chwilą. Proszę mi powiedzieć, czy doktor Cheveau jest człowiekiem byстрыm? Zdaje się, że dość nagle i

niespodziewanie rozzłościł się na mnie.

- W kontaktach ze mną zawsze był dżentelmenem - oświadczył Richard.

Jack wstał.

- W takim razie to musi być moja wina. Nasze stosunki zapewne nie poprawią się po dzisiejszej wizycie. Takie już jest to życie. W każdym razie mam nadzieję, że z Nancy wszystko będzie w porządku.

- I ja także mam taką nadzieję - odparł Richard.

Jack opuścił laboratorium, zastanawiając się, co robić dalej. Pomyślał o tym, by zajrzeć do izby przyjęć i zobaczyć trzech chorych lub złożyć kolejną wizytę w dziale zaopatrzenia. Wybrał ostatecznie izbę przyjęć. Pomimo że Zimmerman i Cheveau tam właśnie poszli, uważał, że kolejna kłótnia jest mało prawdopodobna, biorąc pod uwagę rozmiary izby i panujące w niej poruszenie.

Gdy tylko wszedł do izby przyjęć, natychmiast zauważył oznaki paniki. Charles

Kelley z niepokojem rozprawiał o sytuacji z kilkoma osobami z administracji szpitala.

Wejściem prowadzącym z podjazdu dla karetok przebiegł Clint Abelard i zniknął w głównym korytarzu.

Jack podszedł do jednej z pielęgniarek zajętej pracą za kontuarem. Przedstawił się i zapytał, czy powodem zamieszania są trzy chore z personelu szpitalnego.

- Najwyraźniej tak - odpowiedziała pielęgniarka. - Zastanawiają się, jak najlepiej je odizolować.

- Mają diagnozę?

- Słyszałam, że podejrzewają gorączkę Gór Skalistych.

- Dość niebezpieczne - zauważył Jack.

- Bardzo. Jedną z pacjentek jest pielęgniarka.

Kątem oka dostrzegł zbliżającego się Kelleya. Szybko odwrócił głowę w drugą stronę.

Kelley podszedł do kontuaru i poprosił pielęgniarkę o telefon.

Jack opuścił zatłoczoną izbę przyjęć. Chciał pójść do działu zaopatrzenia, lecz w końcu rozmyślił się. Spodziewając się kolejnego spotkania z Kelleyem, uznał, że lepiej będzie wrócić do biura. Niczego nie dokonał, przynajmniej jednak opuszczał szpital z własnej woli.

- O rety! Gdzieś ty był? - przywitał go podekscytowany Chet.

- W General - przyznał się Jack. Zaczął porządkować papiery na biurku.

- Musisz być sobą, jak widzę; nie było jednak żadnych szalonych telefonów z góry.

- Byłem greczny - odparł Jack. - No, stosunkowo greczny. W szpitalu popłoch. Mają kolejną epidemię. Tym razem gorączka Gór Skalistych. Dasz wiarę?

- Nieprawdopodobne! - wykrzyknął Chet.

- Dokładnie tak myślę - zgodził się Jack. Opowiedział Chetowi o wizycie w szpitalu i sugestiach poczynionych w rozmowie z kierownikiem tamtejszego laboratorium, że trzy różne choroby przenoszone przez owady, pojawiające się w odstępie kilku dni nie mogą być naturalnym przypadkiem.

- Założę się, że to go musiało niezłe poruszyć.

- Ach, był oburzony, ale wtedy pojawiły się dalsze trzy ofiary choroby, i zapomniał o mnie.

- Dziwię się, że znowu cię nie wyrzucili. Po co się tak narażasz?

- Ponieważ podejrzewam, że źle się dzieje w państwie duńskim - odpowiedział Jack. - No, ale dość o mnie. Jak poszło z twoim przypadkiem?

Chet zaśmiał się krótko i szyderczo.

- I pomyśleć, że lubiłem zastrzelonych. Ten w każdym razie wywołał burzę. Trzy z pięciu kul trafiły go w plecy.

- To musi przyprawić departament policji o ból głowy -skonstratował Jack.
- Mnie również. Ach, zapomniałbym. Dzwoniła Colleen. Zaprasza nas obu do siebie do pracy, gdy skończymy tutaj. Dzisiaj. Posłuchaj, potrzebują naszej opinii w sprawie jakiejś reklamówki. Co ty na to?
- Idź - odpowiedział Jack. - Muszę się zająć tymi przypadkami. Jestem tak spóźniony, że aż mnie to przeraża.
- Zapraszają nas obu. Colleen specjalnie to podkreśliła. Właściwie powiedziała, że zależy im na tobie, bo już okazałeś się pomocny. Chodź, może zabawimy się trochę. Chcą nam pokazać fragmenty telewizyjnych reklamówek.
- I uważasz, że to będzie zabawne?
- No dobra - przyznał się Chet. - Mam ukryty powód. Lubię spędzać czas z Colleen. Ale chcą, żebyśmy przyszli obaj. Pomóż mi.
- Niech będzie - zgodził się Jack. - Daję jednak słowo, że nie wiem, do czego będę ci tam potrzebny.

Rozdział 19

Piątek, godzina 21.00, 22 marca 1996 roku

Jack nalegał, aby pracowali nieco dłużej. Chet wyświadczył więc przysługę koledze i przyniósł chińskie jedzenie. Nienawidził przerywać raz rozpoczętej pracy. Przed wpół do dziewiątej zadzwoniła Colleen, ciekawa, gdzie się podziewają. Chet po telefonie nie dał już Jackowi spokoju, marudząc w kółko, że mógłby już wyłączyć mikroskop i odłożyć długopis. Kolejnym problemem okazał się rower. Po dłuższej dyskusji ustalili, że Chet weźmie taksówkę, a Jack jak zwykle pojedzie rowerem i spotkają się przed firmą Willowa i Heatha. Dozorca otworzył im drzwi i skinął, żeby weszli. Załapali się na jedyną działającą windę, w której Jack bezzwłocznie wcisnął przycisk z numerem dziesięć.

- Ty tu naprawdę byłeś - zauważył Chet.

- Mówiłem ci - przypomniał Jack.

- Sądziłem, że sobie ze mnie kpisz.

Kiedy drzwi windy otworzyły się, Chet poczuł się równie zaskoczony jak Jack podczas swojej poprzedniej wizyty. W studio panował normalny ruch, jakby działo się to między dziewiątą a siedemnastą, a nie o dwudziestej pierwszej.

Dwóch mężczyzn stało kilka minut, obserwując krzątanicę, lecz nikt nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi.

- Proszę przyjąć - skomentował Jack.

- Może ktoś zapomniał im powiedzieć, że jest fajrant - odpowiedział Chet.

Jack skierował się w stronę biura Colleen. Światło się paliło, ale nikogo nie zastali.

Rozglądając się, rozpoznał przy jednej z desek kreślarskich pograżoną w pracy Alice.

Podszedł do niej, lecz nie zwróciła na niego uwagi.

- Przepraszam - odezwał się. Pracowała z taką koncentracją, że nie miał sumienia jej przerywać. - Halo, halo! - zawołał jednak.

W końcu uniosła lekko głowę, a gdy go poznała, uśmiechnęła się lekko.

- O kurczę, przepraszam - odezwała się, wycierając ręce w ręcznik. - Witam. - Przez chwilę udawała zakłopotaną, po czym poprosiła, żeby poszli za nią. - Chodźcie. Sądzę, że czekają na was w arenie.

- Ho, ho! - odpowiedział Chet. - To nie zabrzmiało dobrze. Czyżby brali nas za chrześcijan?

Alice zaśmiała się.

- Na naszej arenie składa się ofiary z twórców, nie z chrześcijan - wyjaśniła.

Teresa i Colleen ucałowały ich na powitanie. Ledwo zetknęli się policzkami, a

pocałunki, choć było je słycać, poszybowały w dal. Była to część rytuału, która wprawiała Jacka w zły nastrój.

Teresa od razu przeszła do sprawy. Kazała gościom usiąść za stołem, a ona i Colleen ułożyły przed nimi plansze z rysunkami przedstawiającymi całą historię. Komentowały rysunki, by nic im nie umknęło.

Zarówno Jack, jak i Chet od razu uznali to za niezłą zabawę. Przypadł im do gustu humor zawarty w opowiadaniu, jak to Oliver Wendell Holmes i Joseph Lister wizytują szpital należący do National Health i sprawdzają, czy personel przestrzega obowiązującego regulaminu mycia rąk. Na zakończenie każdej reklamówki owe znane z historii medycyny postacie informują, jak skrupulatny w przestrzeganiu ich nauk jest szpital National Health w odróżnieniu od innych placówek medycznych.

- No, tak to wygląda - powiedziała Teresa po omówieniu ostatniego z rysunków. - Co o tym myślicie, chłopcy?

- Sprytne - przyznał Jack. - I prawdopodobnie skuteczne. Ale chyba nie są warte pieniędzy, które trzeba by na nie wydać.

- No przecież mają związek z tym, co nazwałeś jakością usług medycznych - broniła pomysłu Teresa.

- Nieznacznie. Pacjenci National Health mieliby się lepiej, gdyby miliony przeznaczone na tę reklamę poszły na bieżącą opiekę zdrowotną.

- Mnie się podobają - wtrącił Chet. - Są świeże i dowcipne. Moim zdaniem znakomite.

- Domyślam się, że określenie „inne placówki medyczne” odnosi się do konkurencji - zauważył Jack.

- Rzecz jasna. Uznaliśmy jednak, że byłoby w złym guście wymieniać General Manhattan Hospital z nazwy w obliczu kłopotów, jakie teraz przeżywają.

- Coraz większych kłopotów - dodał Jack. - Pojawiła się u nich seria zachorowań na kolejną groźną chorobę. Trzy choroby w trzy dni.

- Dobry Boże! - zawołała Teresa. - To okropne. Mam nadzieję, że tym razem trafi to do telewizji, a może nadal ma zostać sekretem?

- Nie rozumiem, dlaczego snujesz równie absurdalne przypuszczenia - rozzłościł się Jack. - Przecież nie ma sposobu, by utrzymać to w tajemnicy.

- Znajdzie się, jeśli AmeriCare będzie na tym zależało - odpowiedziała zapalczywie.

- Hej, znowu zaczynacie - przerwał Chet.

- To ciągle ta sama kłótnia - odparła Teresa. - Po prostu nie potrafię pogodzić się z tym, że Jack nie rozumie, iż jego praca powinna służyć społeczeństwu, a on osobiście powinien zawiadomić media i za ich pośrednictwem ostrzec ludzi przed tymi strasznymi chorobami.

- Już ci mówiłem, że specjalnie mnie pouczono o zakresie moich obowiązków i to się w nich nie mieści - przypomniał Teresie Jack.

- Chwila! Czas! - zawołał Chet. - Słuchaj, Tereso. Jack ma rację. Nie możemy pójść do dziennikarzy. To sprawa szefa i rzecznika prasowego. Ale Jack nie odwała roboty byle jak. Dzisiaj znowu pognął do General i wywalił im prosto w oczy, że jego zdaniem ta epidemia nie jest sprawą zwykłego przypadku.

- „Nie jest sprawą zwykłego przypadku”? Co masz na myśli? - dopytywała się Teresa.

- Dokładnie to, co powiedziałem - odparł Chet. - Jeśli to nie jest przypadek, to mamy do czynienia z działaniem umyślnym. Ktoś wywołuje zakażenia.

- Czy to prawda? - Teresa spojrzała na Jacka. Była zaszokowana.

- Przyszło mi coś takiego do głowy - przyznał. - Trudno mi logicznie wytłumaczyć wszystko, co tam się dzieje.

- Dlaczego ktoś miałby robić coś podobnego? To absurd.

- Czyżby?

- Może to robota jakichś szaleńców? - wtrąciła się Colleen.

- W to wątpię - stwierdził Jack. - Za dużo trzeba wiedzieć. Poza tym takie zarazki są niebezpieczne. Jedną z ostatnich ofiar jest laborantka.

- Raczej jakiś niezadowolony pracownik - domyślał się Chet. - Ktoś z odpowiednią wiedzą i urazem, kto może swobodnie działać.

- Tak, to bardziej prawdopodobne - przytaknął Jack. - Na przykład kierownik szpitalnego laboratorium nie jest zadowolony z pracy zarządu szpitala. Sam mi to powiedział. Został zmuszony do zredukowania liczby personelu o dwadzieścia procent.

- O mój Boże! - zawołała Colleen. - Sądzisz, że to mógłby być on?

- Tak naprawdę to nie - stwierdził Jack. - Zbyt wiele śladów prowadzi do niego. Byłby pierwszym podejrzanym. Przyjął zdecydowanie agresywną postawę, ale głupi nie jest. Jeżeli seria zachorowań spowodowana jest umyślnie, to w grę musi wchodzić poważniejszy powód i większe pieniądze.

- Na przykład? Zdaje się, że skaczemy na głęboką wodę.

- Możliwe - zgodził się Jack. - Powinniśmy jednak pamiętać, że AmeriCare jest najsilniejsza w interesie. Wiem nawet co nieco o ich filozofii. Wierzcie mi, kierują się wyłącznie chęcią zysku.

- Sugerujesz, że AmeriCare mogłaby wywoływać choroby we własnych oddziałach? - Teresa zapytała z niedowierzaniem. - To już zupełnie nie ma sensu.

- Tylko głośno myślę - wyjaśnił Jack. - Teoretycznie, dla wyjaśnienia sprawy przyjmijmy, że ktoś celowo roznosi choroby. Przyjrzyjmy się teraz poszczególnym przypadkom. Pierwszy był Nodelman, cukrzyk. Druga Hard z chronicznymi kłopotami

ortopedycznymi, a ostatnio Lagenthorpe, który cierpiał na astmę.

- Rozumiem, co sugerujesz - przerwał mu Chet. - Każdy z nich, chorując na przewlekłą chorobę, przekroczył znacznie wniesiony przez siebie wkład. Spółka wydała na nich znacznie więcej, niż chciała. Nadużyli opieki medycznej.

- Co ty! - przerwała mu Teresa. - To śmieszne. AmeriCare nigdy nie zaryzykowałaby podobnej katastrofy w stosunkach z pacjentami tylko po to, aby pozbyć się trojga uciążliwych chorych. To nie ma sensu. Daj spokój!

- Teresa najpewniej ma rację - zgodził się Jack. - Gdyby AmeriCare stała za całą sprawą, mogłaby zrobić to już wcześniej. Naprawdę niepokoi mnie to, że nie jest jasne pochodzenie chorób. Gdyby istniał sprawca, chciałby zapewne wywołać epidemię, a nie eliminować konkretnych pacjentów.

- To jeszcze bardziej diaboliczne - zauważyła Teresa.

- Zgoda - przyznał Jack. - To zmusza nas do powrotu do pomysłu z nieprawdopodobnie szalonym człowiekiem.

- No, ale jeśli ktoś chciałby epidemii, dlaczego jej jeszcze nie ma? - zapytała Colleen.

- Z kilku powodów. Po pierwsze we wszystkich trzech przypadkach diagnozy zostały postawione stosunkowo szybko. Po drugie szpital potraktował serię zachorowań niezwykle poważnie i podjął kroki, by kontrolować rozwój infekcji. Po trzecie sposoby przenoszenia chorób nie dają wielkiej szansy na epidemię w Nowym Jorku w marcu.

- Zechciej to wyjaśnić - poprosiła Teresa.

- Dżumą, tularemią i gorączką Gór Skalistych można się zarazić przez zwykły kontakt z chorym, mówiąc inaczej przez skażone powietrze, ale to droga niezwykle rzadka.

Normalnie dochodzi do zakażenia przez owady. A te owady trudno raczej spotkać o tej porze roku w Nowym Jorku, szczególnie w szpitalu.

- Co o tym wszystkim myślisz? - Teresa zwróciła się do Cheta.

- Ja? - zapytał z zakłopotaniem. - Nie wiem, co mam myśleć.

- No, dalej - nalegała. - Nie próbuj osłaniać kolegi. Jak sądzisz?

- No cóż, to jest Nowy Jork. Spotykamy tu wiele chorób, więc wątpię, że to celowo roznoszone zarazki. Powinienem chyba powiedzieć, że według mnie brzmi to jak objaw uczulenia. Wiem, że Jack nie przepada za AmeriCare.

- Rzeczywiście? - zwróciła się Teresa do Jacka.

- Nienawidzę ich - przyznał.

- Dlaczego?

- Sprawa osobista i wolę o tym nie mówić.

- Jasne - odpowiedziała. Położyła rękę na stosie rysunków.

- Zapominając, że doktor Stapleton pogardza reklamą medyczną, uważacie, że nasze propozycje są w porządku?

- Dla mnie wspaniałe - potwierdził Chet.

- Powiedziałem już, że mogą okazać się skuteczne - przyznał Jack.

- Czy macie jeszcze jakieś sugestie dotyczące zapobiegania infekcjom w szpitalach?

- Może coś o sterylizacji narzędzi i wyposażenia szpitalnego - zasugerował Jack. - Szpitale stosują różne sposoby. Zajmował się tym Robert Koch, wyjątkowo barwna postać.

Teresa zanotowała tę propozycję.

- Coś jeszcze?

- Obawiam się, że nie jestem w tym najlepszy - usprawiedliwił się Chet. - Ale dlaczego nie mielibyśmy wpaść na kilka drinków do Auction House. Kto wie, jak się dobrze nasmaruje umysł, to może pojawią się nowe pomysły.

Obie panie jednak odmówiły. Teresa wyjaśniła, że muszą kontynuować pracę. Do

poniedziałku miały przygotować coś nadającego się do pokazania prezesowi firmy i dyrektorowi wykonawczemu.

- To może jutro wieczorem? - zaproponował Chet.

- Zobaczymy - odparła Teresa.

Pięć minut później Chet i Jack zjeżdżali windą na dół.

- Wywaliły nas - skwitował Chet.

- Są stanowcze - ocenił Jack. - Twardo dążą do celu.

- A ty masz ochotę na piwko?

- Lepiej pojedę do domu. Może chłopaki grają w kosza. Muszę trochę poćwiczyć.

Jestem wykończony.

- Koszykówka o tej porze?

- Piątkowy wieczór to wyjątkowy wieczór w mojej okolicy - wyjaśnił Jack.

Pozegnali się przed gmachem spółki Willow i Heath. Chet wsiadł do taksówki, a Jack

zabrał się do otwierania kolejnych zamków. Wreszcie wsiadł na rower i popedałował

Madison Avenue na północ w stronę Piątej Avenue i skręcił w Pięćdziesiątą Dziewiątą. Stąd

wjechał do Central Park.

Zazwyczaj jeździł szybko, tym razem jednak nie spieszył się. Analizował zakończoną

przed chwilą rozmowę. Pierwszy raz ubrał swoje podejrzenia w słowa. Wcale nie poczuł się

od tego lepiej.

Chet sugerował przewrażliwienie i Jack musiał przyznać sam przed sobą, że było w

tym nieco racji. Odkąd AmeriCare pożarła jego praktykę, czuł, że śmierć kroczy za nim krok

w krok. Najpierw pozbawiła go rodziny, później zagroziła jego życiu, zsyłając głęboką

depresję. Wypełniła przecież jego nową zawodową codzienność. A teraz drażni się z nim tym

wybuchem chorób, naigrywa, mnożąc wszystkie te niewytłumaczalne szczegóły.

Gdy wjeżdżał coraz głębiej w ciemność, opustoszały park, jego mroczny i pośępny wygląd jeszcze bardziej pobudzały niepokój Jacka. W miejscu, gdzie jadąc rano do pracy, podziwiał piękno, teraz ujrzał szkielety bezlistnych drzew rysujące się na tle groźnie bielejącego nocnego nieba. Nawet odległy, poszarpany zarys uśpionego miasta przybrał złowieszczy charakter.

Jack nacisnął na pedały i rower zaczął nabierać szybkości. Przez chwilę, z jakichś irracjonalnych powodów bał się obejrzeć za siebie. Czuł przejmujący strach, że coś nagle zwali mu się na plecy.

Wjechał w smugę światła samotnej parkowej latarni i zatrzymał się. Zmusił się do odwrócenia i spojrzenia w twarz prześladowcy. Lecz za nim nie było nikogo ani niczego.

Wpatrując się w odległe cienie, zrozumiał, że to, co go przeraziło, siedziało w nim samym, w jego głowie. Ta sama depresja, która sparaliżowała go po śmierci żony i córek.

Zły na siebie zaczął znowu kręcić pedałami. Czuł się zażenowany takim dziecinny strachem. Mógł się bardziej kontrolować. Oczywiście należało wszystko złożyć na karb epidemii, która widać zbytnio go pochłonęła. Lamie miała rację - za bardzo się w to zaangażował emocjonalnie.

Gdy odnalazł źródło swych lęków, poczuł się lepiej. Park jednak nadal wyglądał ponuro. Znajomi ostrzegali go przed jeżdżeniem tędy po nocy, lecz on ignorował ich ostrzeżenia. Teraz po raz pierwszy zastanawiał się, czy jednak nie postępuje głupio.

Wyjazd z parku w stronę Central Park West przypominał ucieczkę z koszmaru. Z ciemnej, przerażająco pustej czeluści parku nagle wyskoczył na zatłoczoną ulicę pełną żółtych taksówek jadących na północ. Miasto żyło. Ludzie spokojnie przechadzali się chodnikami.

Im dalej na północ jechał, tym bardziej nieprzyjemna stawała się okolica. Często teraz

spotykał wyraźnie podniszczone, czasami wręcz zrujnowane budynki. Niektóre zdawały się opuszczone, przeznaczone do wyburzenia. Chodniki i jezdnię zalegały nie sprzątane od dawna śmieci. Wałęsające się psy przeszukiwały powywracane kubły.

Jack skręcił w lewo w Sto Szóstą. Gdy tak jechał ulicą, okolice jego mieszkania wydawały mu się tego wieczoru bardziej przygnębiające niż zwykle. Chwila otrzeźwienia w parku otworzyła mu oczy.

Zatrzymał się przy boisku, na którym grywał w kosza. Nie zsiadł jednak z roweru, stopy pozostały w noskach, jedną ręką jedynie przytrzymał się ogrodzenia oddzielającego boisko od ulicy.

Tak jak się spodziewał, plac zajmowali grający. Uliczne rtęciowe latarnie, za których zainstalowanie sam zapłacił, świeciły pełnym blaskiem. Rozpoznał wielu z biegających po boisku graczy. Warren, bez dwóch zdań najlepszy z koszykarzy, także grał tego wieczoru.

Jack słyszał jego pokrzykiwanie zachęcające kolegów z drużyny do większego wysiłku.

Przegranymi będą musieli zejść z boiska i czekać na swoją kolej tam, gdzie teraz czekali wcześniej pobici. Zawody zawsze były zażarte.

Jack przyglądał się, jak Warren ulokował w koszu ostatnią piłkę meczu i przegranym nie pozostało nic innego, jak zejść z placu. Przygotowując się do kolejnego meczu, Warren dostrzegł spojrzenie Jacka. Machnął w jego stronę i przyczłapał do ogrodzenia. Tak wyglądał chód zwycięzcy.

- Cześć doktorku, siemanko - przywitał Jacka. - Przyjechałeś pograć czy co?

Warren był przystojnym Murzynem z ogoloną głową, starannie wypielęgnowanym wąsikiem i ciałem jakby zdjętym z posągu greckiego atlety z Metropolitan Museum. Zawarcie z nim znajomości zabrało Jackowi kilka ładnych miesięcy. W końcu rozwinęła się między nimi nić przyjaźni, głównie dzięki wspólnemu zamiłowaniu do ulicznej koszykówki. Jack

niewiele wiedział o Warrenie poza tym, że jest najlepszym koszykarzem w okolicy. No może jeszcze i to, że przewodzi lokalnemu gangowi. Rozumiał, że obie pozycje wzajemnie z siebie wynikały.

- Miałem zamiar porzucić - przytaknął Jack. - Kto walczy?

Wejście do gry mogło się okazać trudnym przedsięwzięciem. Na początku, gdy przeprowadził się w te strony, cały miesiąc musiał cierpliwie odczekać, siedząc pod płotem, zanim zaprosili go do gry. Wtedy dowiedział, ile jest wart. Zaczęli go tolerować, gdy okazało się, że trafia do kosza nie z przypadku, lecz z pewną regularnością.

Sprawy posunęły się nieco do przodu, choć nie zanadto, kiedy zafundował oświetlenie placu i odnowił tablice do gry. Oprócz Jacka było jeszcze tylko dwóch innych białych, którym pozwolono grać. Bycie białym stanowiło ewidentną wadę w tej okolicy. Koniecznie należało znać reguły.

- Ron i Jake - odparł Warren. - Ale mogę cię włączyć do drużyny. Stara wołała Flasha do domu.

- Do tego czasu będę już kimał - powiedział Jack. Odepchnął się od ogrodzenia i przejechał ostatni kawałek drogi do domu.

Przed budynkiem zsiadł z roweru i zarzucił go sobie na ramię. Zanim wszedł do środka, podniósł wzrok i przyjrzał się fasadzie. Był w zbyt krytycznym nastroju, aby zaprzeczyć, że nie prezentowała się dobrze. Właściwie należało stwierdzić, że budynek prezentował się wyjątkowo obskurnie. Kiedyś musiał wyglądać elegancko, gdyż jeszcze dziś widoczne były fragmenty ozdobnego gzymsu pod krawędzią dachu. Dwa okna na trzecim piętrze zostały zabite deskami.

Budynek miał pięć pięter, a na każdym były dwa mieszkania. W całości zbudowano go z cegły. Jack mieszkał na trzecim piętrze, które dzielił z Denise, niezamężną nastolatką z

dwojgiem dzieci. Drzwi frontowe otworzył kopnięciem. Nie było w nich zamka. Ostrożnie, aby nie nadepnąć na jakiś walający się na schodach kawał tynku, zaczął wspinać się na górę. Gdy mijał drugie piętro, dotarły do jego uszu odgłosy kłótni i brzęk tłuczonego szkła. Taka niestety była wieczorna rzeczywistość.

Z rowerem na ramieniu musiał się trochę nagimnastykować, żeby dotrzeć do swojego mieszkania. Zaczął gmerać w kieszeni w poszukiwaniu klucza, lecz niemal natychmiast zorientował się, że nie będzie mu potrzebny. Kawałek futryny na wysokości zamka został wyłamany. Sterczały tylko drzazgi.

Pchnął otwarte drzwi. W mieszkaniu panował mrok. Nasłuchiwał przez chwilę.

Usłyszał jedynie sprzeczkę z dołu i odgłosy ruchu ulicznego. W mieszkaniu panowała całkowita cisza. Postawił rower, sięgnął ręką do włącznika i zapalił wiszącą pod sufitem lampę.

Pokój dzienny został wywrócony do góry nogami. Nie miał zbyt wielu mebli, ale to, co miał, zostało przewrócone, opróżnione albo połamane. Zauważył, że małe radio stojące zazwyczaj na biurku zniknęło. Wprowadził rower do pokoju i oparł go o ścianę. Zdjął kurtkę i powiesił ją na kierownicy. Teraz podszedł do biurka. Szuflady były wyjęte i opróżnione.

Pośród rozrzuconych na podłodze przedmiotów znajdował się album z fotografiami. Schylił się i podniósł go. Otworzył i westchnął z ulgą. Nie były zniszczone. Zdjęcia stanowiły jedyną dla niego wartościową rzecz.

Położył album na parapecie i przeszedł do sypialni. Włączył światło i ujrzał podobny widok. Większość rzeczy została wyrzucona z szafy na podłogę, podobnie z szafki przy łóżku.

Stan łazienki niczym nie odbiegał od reszty mieszkania. Cała zawartość apteczki znalazła się w wannie.

Z łazienki poszedł do kuchni. Spodziewając się tego samego, włączył światło.

Stłumiony okrzyk wyrwał mu się z ust.

- Niepokoiliśmy się o pana - powiedział potężnie zbudowany ciemnoskóry mężczyzna. Siedział na stole. Cały, włącznie z rękawiczkami i czapką z daszkiem, ubrany był w czarną skórę. - Wypiliśmy całe piwo z lodówki i zaczęliśmy się niecierpliwic.

W kuchni było jeszcze trzech innych mężczyzn ubranych identycznie jak pierwszy.

Jeden z nich przysiadł na parapecie. Na stole leżał prawdziwy arsenał, Jack rozpoznał nawet pistolet maszynowy.

Jack nie znał żadnego z nich. Zaskoczył go fakt, że ciągle jeszcze byli w mieszkaniu.

Już raz go okradziono, ale wtedy nikt nie został, aby napić się piwa.

- Może byś tak wszedł i usiadł - zaproponował wielki czarny facet.

Jack zawahał się. Wiedział, że drzwi na klatkę schodową są otwarte. Czy zdołałby uciec, zanim złapią za broń? Wątpił i nie zamierzał sprawdzać.

- No dalej, człowieku - ponaglił mężczyzna. - Dawaj tu tą swoją białą dupę!

Odruchowo zrobił, co mu kazano. Ostrożnie usiadł i przyjrzał się nieproszonemu gościowi.

- Możemy zachowywać się przyzwoicie, to zależy - powiedział facet siedzący na stole, chyba szef tej grupki. - Ja jestem Twin - przedstawił się. - A to - wskazał na mężczyznę przy oknie - Reginald.

Jack spojrzał w stronę Reginalda. Murzyn dłubał w zębach wykałaczką i głośno cmokał. Patrzył na Jacka z pogardą. Chociaż nie był aż tak umięśniony jak Warren, należał do tej samej kategorii. Na zewnętrznej stronie prawego przedramienia miał wytatuowane dwa słowa „Black Kings”.

- Widzisz, chłopie, Reginald jest wkurzony - kontynuował Twin - bo w mieszkaniu

gównu znalazł. Tu nie ma nawet telewizora. A tymczasem część umowy była taka, że możemy sobie zabrać, co chcemy z twojej chaty.

- Jakiej umowy? - zapytał Jack.

- Ujmijmy to w ten sposób. Ja i moi bracia zostaliśmy opłaceni niewielką sumką, żeby wdepnąć do twojej cholery nory i trochę ci ją wysprzątać. Nie licząc artylerii na stole, nic wielkiego, niemal towarzyska wizyta. To ma być tylko takie małe ostrzeżenie. Szczegółów nie znam, ale najwyraźniej jesteś dla kogoś w pewnym szpitalu jak drzazga w dupie, wkurzyłeś tam ciężko pracujących ludzi. Mam ci przypomnieć, żebyś zabrał się do własnej roboty i pozwolił im robić swoje. Rozumiesz, o co tu biega, lepiej niż ja, jak sądzę. No bo ja nie bardzo. Pierwszy raz mam takie zlecenie.

- Chyba łapię, o co chodzi - odpowiedział Jack.

- Cieszę się - stwierdził Twin. - Inaczej musielibyśmy złamać ci kilka palców lub co innego. Nie zlecono nam jakiegoś poważnego uszkodzenia klienta, ale jak Reginald zaczyna, trudno go powstrzymać, szczególnie gdy jest wkurzony. Coś musi dostać. Na pewno nie chowasz tu gdzieś telewizora albo czegoś podobnego?

- Przyjechał na rowerze - odezwał się jeden z pozostałych mężczyzn.

- Co ty na to, Reginald? - zapytał Twin. - Chcesz nowy rower?

Reginald pochylił się do przodu, tak że mógł zajrzeć do pokoju dziennego. Wzruszył tylko ramionami.

- Myślę, że uratowałeś dupę - oświadczył Twin. Wstał.

- Kto wam za to zapłacił? - zapytał Jack.

Twin otworzył szeroko oczy i roześmiał się.

- To nie byłoby dla mnie zdrowe, gdybym ci powiedział, prawda? Ale skoro pytasz, to przynajmniej masz jaja.

Jack chciał zadać jeszcze jedno pytanie, gdy został gwałtownie powstrzymany przez Twina. Siła ciosu zwała go z krzesła. Upadł na plecy. Pokój zafalował mu przed oczyma. Będąc na pograniczu utraty świadomości, poczuł, że wyciągają mu portfel z kieszeni spodni. Przed ostatnim, zdawało mu się śmiertelnym kopnięciem w brzuch usłyszał jeszcze stłumiony śmiech. Potem nastąpiła kompletna ciemność.

Rozdział 20

Piątek, godzina 23.45, 21 marca 1996 roku

Pierwsze, co dotarło do świadomości Jacka, to dzwonięcie w głowie. Powoli otworzył oczy. Okazało się, że spogląda prosto na sufit w kuchni. Zastanawiając się, co robi na kuchennej podłodze, próbował się podnieść. Jednak gdy się ruszył, poczuł ostry ból w szczęce. Wrócił do poprzedniej pozycji. Wtedy też zrozumiał, że dzwonek dzwoni nieprzerwanie i to wcale nie w jego głowie. Dzwonił wiszący nad nim na ścianie telefon. Przekręcił się na brzuch. Z tej pozycji wstał na kolana. Nigdy przedtem nikt go nie znokautował, nie mógł wręcz uwierzyć, jak jest słaby. Delikatnie pomacał się po szczęce. Na szczęście nie natrafił na żadne wystające połamane kości. Równie ostrożnie zbadał obolały brzuch. Bolał go mniej niż szczęka, domyślił się więc, że nie ma żadnych wewnętrznych uszkodzeń.

Telefon dzwonił i dzwonił. Jack zdołał się w końcu unieść i sięgnąć po słuchawkę. Powiedział „halo” i osunął się na podłogę. Usiadł, opierając się plecami o szafkę. Jego głos brzmiał obco nawet dla niego.

- Och, nie! Przepraszam - powiedziała Teresa, słysząc głos Jacka. - Spałeś. Nie powinnam była dzwonić tak późno.

- Która godzina? - zapytał.

- Prawie dwunasta. Czasami, gdy siedzimy w studio, zapominamy, że reszta świata

sypia w normalnych godzinach. Chciałam zapytać o sterylizację, ale lepiej zadzwonię jutro.

Przepraszam, że cię obudziłam.

- Dokładnie mówiąc, to leżałem nieprzytomny na podłodze w kuchni - wyjaśnił Jack.

- To jakiś żart?

- Wolałbym, żeby to był żart. Niestety, wszedłem do okradzionego mieszkania, w którym ciągle jeszcze byli złodzieje. Trochę oberwałem.

- Nic ci nie jest? - zapytała z niepokojem.

- Chyba nie, chociaż pewnie wybili mi ząb.

- Naprawdę straciłeś przytomność?

- Raczej tak. Ciągle czuję się słabo.

- Posłuchaj - powiedziała zdecydowanym tonem - zawiadomię policję i już wyjeżdżam do ciebie.

- Poczekaj sekundę - powstrzymał ją Jack. - Po pierwsze, policja nic nie zrobi. No bo co by mogli pomóc? Czterech członków gangu, a w mieście jest ich z milion.

- Nic mnie to nie obchodzi, masz wezwać policję - uparła się Teresa. - Będę u ciebie za piętnaście minut.

- Tereso, to nie jest najbezpieczniejsza okolica. - Wiedział, że nie zmieni zdania, jednak nalegał. - Nie musisz przyjeżdżać. Wszystko ze mną w porządku. Mówię szczerze!

- Nie chcę słyszeć żadnych wykrętów. Masz zadzwonić na policję. Będę za kwadrans.

Usłyszał sygnał. Teresa odłożyła słuchawkę.

Poczuł się wobec tego zobowiązany do wykręcenia numeru policji i poinformowania dyżurnego oficera o zdarzeniu. Zapytany, czy nadal jest w niebezpieczeństwie, odpowiedział, że nie. Dyżurny obiecał, iż patrol przyjedzie tak szybko, jak tylko będzie mógł.

Jack podniósł się ciężko i na chwiejnych nogach pomaszerował do pokoju dziennego.

Rozejrzał się za rowerem, ale przypomniało mu się, że zabrali go bandyci. W łazience przed lustrem otworzył usta i obejrzał zęby. Jak wyczuł wcześniej językiem, jeden z przednich zębów był nadłamany. Twin musiał mieć coś pod rękawiczką - kastet lub coś podobnego. Ku zaskoczeniu Jacka policja zjawiła się w ciągu dziesięciu minut. Przyjechało dwóch funkcjonariuszy, ciemnoskóry David Jefferson i Latynos Juan Sanchez.

Cierpliwie wysłuchali opowieści Jacka o przykrym zdarzeniu, spisali szczegóły zajścia wraz z informacją o rowerze. Zapytali także, czy nie zechciałby pojechać na komisariat, aby przejrzeć zdjęcia członków miejscowych gangów, lecz Jack nie zdecydował się na to. Znał Warrena i wiedział, że gangi nie czują respektu przed policją, a ta z kolei nie zdołałaby go uchronić przed zemstą. Postanowił więc nie mówić wszystkiego. Przynajmniej wiedział, że Teresa przejmowała się nim, a z ubezpieczenia dostanie pieniądze za rower.

- Przepraszam, doktorze - zagadnął na odchodnym David Jefferson. Jack, składając wyjaśnienia, powiedział, kim jest. - Dlaczego pan tu mieszka? Czy sam się pan nie prosi o kłopoty?

- Też zadaję sobie te pytania - przyznał Jack.

Po wyjściu policjantów Jack zamknął wyłamane drzwi, oparł się o nie i spojrzał na splądrowane mieszkanie. Musiał jakoś znaleźć dość sił, aby posprzątać. W tej chwili było to dla niego zadanie ponad siły.

Pukanie, które bardziej czuł, niż słyszał, nakazało mu ponownie otworzyć drzwi.

Teresa.

- Dzięki Bogu to ty - przywitała go. Weszła do środka. - Nie żartowałeś, mówiąc, że to nie jest najbezpieczniejsza okolica. Już samo wchodzenie po schodach przyprawia niemal o śmierć. Gdyby drzwi otworzył ktoś inny, na pewno zaczęłabym krzyczeć.

- Ostrzegałem przecież - przypomniał Jack.

- Niech no spojrzę na ciebie. Gdzie masz najlepsze światło? Wzruszył ramionami.

- Sama zobacz. Może w łazience.

Zaciągnęła go do łazienki i bacznie przyjrzała się twarzy Jacka.

- Tuż nad żuchwą masz rozcięcie.

- Nic dziwnego - przyznał Jack. Pokazał jej także złamany ząb.

- Dlaczego cię pobili? - zapytała. - Mam nadzieję, że nie próbowałeś grać bohatera?

- Wręcz przeciwnie. Byłem całkowicie sparaliżowany ze strachu. Uderzył mnie niespodziewanie. Wcześniej dał mi do zrozumienia, że to ostrzeżenie, abym trzymał się z dala od Manhattan General.

- O czym ty, na miłość boską, mówisz?

Jack opowiedział Teresie wszystko to, co zataił przed policją. Nawet wyjaśnił jej, dlaczego nie powiedział wszystkiego policji.

- Sprawa staje się coraz bardziej nieprawdopodobna - uznała Teresa. - Co zamierzasz teraz robić?

- Prawdę powiedziawszy, nie miałem zbyt wiele czasu, żeby o tym pomyśleć.

- No cóż, jedną rzecz powinieneś zrobić - stwierdziła. - Powinieneś pójść do lekarza.

- Co ty! - zaprotestował. - Szczeka może jest nieco opuchnięta, ale nic mi nie jest.

- Straciłeś przytomność - przypomniała mu. - Powinien cię obejrzeć lekarz. Nawet ja, chociaż nie jestem lekarzem, wiem takie rzeczy.

Jack otworzył usta, aby protestować, lecz powstrzymał się. Wiedział, że ma rację.

Powinni go zbadać. Po urazie głowy, w wyniku którego stracił przytomność, mogły nastąpić wewnętrzne wylewy. Musi przejść podstawowe badanie neurologiczne.

Podniósł kurtkę z podłogi i ruszył za Teresą na dół. Aby złapać taksówkę, poszli w stronę Columbus Avenue.

- Chwilowo będą trzymał się z dala od Manhattan General - powiedział z uśmiechem

Jack. - Pojedziemy do Columbia-Presbyterian.

- Dobrze - zgodziła się Teresa. Podała kierowcy adres i usiadła wygodnie na swoim miejscu.

- Tereso, naprawdę doceniam, że przyjechałaś. Nie musiałaś i właściwie nie oczekiwałem tego. Jestem wzruszony.

- Ty też byś to dla mnie zrobił.

Nie był o tym przekonany. Ten dzień był naprawdę zaskakujący.

Wizyta na ostrym dyżurze przeszła gładko. Musieli przepuścić ofiary wypadków samochodowych, rany od noża i zawały serca. Ale w końcu i Jacka obejrzano. Teresa nalegała, aby mogła zostać z nim cały czas, i nawet towarzyszyła mu w gabinecie.

Gdy lekarz dowiedział się, że Jack także jest lekarzem, nalegał na badanie neurologiczne. Dyżurny neurolog przebadał Jacka z nadmierną dokładnością. Uznał, że pacjent jest w dobrej formie i nie zalecił prześwietlenia, chyba że sam Jack upierałby się przy nim. Oczywiście nie upierał się.

- Jedyne, co bym panu zalecił, to pozostać w nocy pod opieką - zaproponował neurolog. Odwrócił się w stronę Teresy i powiedział: - Pani Stapleton, niech pani budzi męża co jakiś czas i sprawdza, czy zachowuje się normalnie. A poza tym proszę sprawdzać, czy źrenice mają zawsze tę samą wielkość. Dobrze?

- Oczywiście - odparła Teresa.

Kiedy opuszczali szpital, Jack wyznał, iż był pod wielkim wrażeniem spokoju, jaki zachowała, kiedy lekarz nazwał ją panią Stapleton.

- Pomyślałam, że sprostowanie może wprawić go w zakłopotanie - stwierdziła Teresa.

- Mam jednak zamiar potraktować jego zalecenia całkiem serio. Pojedziesz do mnie.

- Tereso... - zaczął Jack.

- Żadnych sprzeciwów - przerwała mu. - Słyszałeś, co powiedział lekarz. Nie pozwolę ci wrócić na noc do tej twojej piekielnej nory.

Pomyślał o pulsującej z bólu głowie, spuchniętej szczęce i obolałym brzuchu i poddał się.

- Niech będzie. Ale to znacznie więcej niż zwykła koleżeńska pomoc.

Jack poczuł prawdziwą wdzięczność, gdy weszli do windy luksusowego wieżowca, w którym mieszkała Teresa. Przez całe lata nikt nie zachowywał się wobec niego tak troskliwie. Teraz, widząc jej troskliwość i wielkoduszność, wiedział, że źle ją ocenił.

- Umieszczę cię w pokoju gościnnym. Ufam, że będzie ci tam wygodnie -

powiedziała, gdy znaleźli się w wyłożonym dywanem hallu. - Ile razy przyjeżdżają do mnie krewni, zawsze w nim mieszkają i trudno się ich potem pozbyć.

Mieszkanie prezentowało się znakomicie. Zaskoczył go doskonały smak, z jakim zostało urządzone. Nawet czasopisma na stoliku ułożone były tak starannie, jakby gospodyni oczekiwała architekta wewnątrz z aparatem fotograficznym.

Pokój gościnny robił oryginalne wrażenie. Tapety w kwiaty, dywan i narzuta na łóżko doskonale zgrane w tonacji i wzorze. Jack zażartował, że ma nadzieję, iż trafi do łóżka, jeśli będzie chciał się położyć.

Najpierw dała mu fiolkę z aspiryną, a następnie pokazała, gdzie może wziąć prysznic.

Przygotowała mu również aksamitny szlafrok. Po kąpieli zajrzał ostrożnie do pokoju dziennego i ujrzał Teresę siedzącą na kanapie. Była pogrążona w lekturze. Wszedł i usiadł naprzeciwko.

- Nie idziesz spać? - zapytał.

- Chcę mieć pewność, że niczego ci nie brakuje - odpowiedziała. Pochyliła się w

stronę Jacka. - Źrenice wyglądają w porządku, przynajmniej według mnie.

- Według mnie także - powiedział i zaśmiał się. - Rzeczywiście wzięłaś jego nauki poważnie.

- Bądź pewien. Spodziewaj się więc przebudzenia.

- Wiem, że lepiej się z tobą nie spierać.

- Jak się czujesz?

- Fizycznie czy psychicznie?

- Psychicznie. Potrafię sobie doskonale wyobrazić twoje fizyczne samopoczucie.

- Szczerze wyznam, że to zdarzenie poważnie mnie przestraszyło. Wiem o tych gangach dość, aby się bać.

- Dlatego właśnie chciałam, żebyś zawiadomił policję.

- Nie rozumiesz. Policja nie może mi pomóc. Nie zawracałem sobie nawet głowy podaniem im prawdopodobnej nazwy gangu czy imion chuliganów. Powiedzmy, że ich złapią. I co dalej? Pogrożą im palcem, a potem tamci wrócą na moją ulicę.

- Więc co zamierzasz zrobić?

- Myślę, że będę się trzymać z daleka od General - odparł Jack. - To powinno wszystkich zadowolić. Chyba mogę wykonywać moją robotę bez odwiedzania szpitala.

- Ulżyło mi - przyznała Teresa. - Już sądziłam, że potraktujesz to jak wyzwanie i zagrasz bohatera.

- Już to mówiłaś wcześniej. Ale nie bój się. Nie jestem bohaterem.

- Nie? A co wobec tego powiesz o codziennym jeżdżeniu po mieście na rowerze? I do tego przez park po nocy? Albo o mieszkaniu w tamtej dzielnicy? Prawda jest taka, że się martwię. Martwię się, że albo nie myślisz o niebezpieczeństwie, albo go poszukujesz. Jak jest naprawdę?

Jack wpatrywał się w bladoniebieskie oczy Teresy. Zadawała pytania, których chciał uniknąć. Odpowiedzi na nie byłyby zbyt osobiste. Ale wobec troski, jaką tego wieczoru okazała, uznał, że jest winny wyjaśnienie.

- Myślę, że raczej poszukuję niebezpieczeństwa - odpowiedział.

- Wolno zapytać dlaczego?

- Zdaje się, że nie boję się śmierci - przyznał. - Był taki czas, kiedy śmierć uważałem za jedyne wyzwolenie. Kilka lat temu miałem problemy z depresją i myślę, że gdzieś w tle zawsze będzie obecna.

- Mogę sobie wyobrazić - zauważyła Teresa. - Także przeżywałam załamanie. Czy twoja depresja była związana z jakimś szczególnym wypadkiem? Jeżeli nie chcesz, nie odpowiadaj.

Jack przygryzł wargi. Nie czuł się dobrze, rozmawiając na te tematy, ale gdy zaczął, trudno było się wycofać.

- Zmarła moja żona - wyznał. Nie potrafił się zmusić do wspomnień o dzieciach.

- Przykro mi. - Zamilkła na chwilę, po czym dodała: - Mój mąż był winny śmierci jedyne dziecko, jakie mieliśmy.

Jack odwrócił głowę. Łzy napłynęły mu do oczu. Głęboko westchnął i znowu spojrzał na nią. Była osobą twardo zmierzającą do celu, tego był pewny od pierwszej chwili. Teraz wiedział jednak coś więcej.

- Sądzę, że mamy ze sobą więcej wspólnego niż zamięłowanie do sporów - spróbował rozluźnić atmosferę.

- Oboje zostaliśmy skrzywdzeni - odpowiedziała Teresa. - I oboje poświęciliśmy się bez reszty karierze zawodowej.

- Nie jestem pewien, czy w tym także jesteśmy do siebie podobni. Nie jestem tak

zaangażowany w pracę jak kiedyś. I chyba nie tak jak ty. Zmiany, które zaszły w medycynie, pozbawiły mnie ochoty do robienia kariery.

Teresa wstała. Jack także. Stali blisko siebie.

- Chyba oboje boimy się zaangażować uczuciowo. Zostaliśmy okaleczeni przez los.

- Z tym mogę się zgodzić - odparł Jack.

Teresa pocałowała koniuszki swych palców i delikatnie przytknęła je do ust Jacka.

- Za kilka godzin przyjdę cię obudzić. Spodziewaj się mnie.

- Nie chciałem, abyś przechodziła przez to wszystko.

- Podoba mi się to przypadkowe matkowanie. Śpij dobrze.

Rozeszli się. Jack poszedł do pokoju gościnnego, ale zanim doszedł do drzwi, Teresa zapytała jeszcze:

- Dlaczego mieszkasz w tym okropnym slumsie?

- Nie zasługuję na szczęśliwie życie - odpowiedział Jack.

Zastanowiła się nad usłyszaną odpowiedzią, po chwili uśmiechnęła się i powiedziała:

- Nie powinnam sądzić, że potrafię wszystko zrozumieć. Dobranoc.

- Dobranoc - odpowiedział Jack.

Rozdział 21

Sobota, godzina 8.30, 23 marca 1996 roku

Zgodnie z zapowiedzią, Teresa kilkakrotnie w nocy wchodziła do pokoju Jacka i budziła go. Za każdym razem przez parę minut rozmawiali. Rano, gdy się zbudził na dobre, czuł, jak ścierają się w nim sprzeczne nastroje. Z jednej strony wdzięczność za pomoc i troskę, z drugiej obawy o to, jak się odwdzińczyć.

Teresa przygotowywała śniadanie i towarzyszyły jej identyczne wątpliwości. O ósmej trzydzieści z obopólną ulgą rozstali się przed domem Teresy. Ona pojechała do studia, gdzie

tego dnia czekał ją prawdziwy maraton. On postanowił wrócić do siebie.

Kilka godzin stracił na porządkowanie bałaganu. Za pomocą podstawowych narzędzi zdołał nawet jako tako naprawić drzwi.

Kiedy skończył sprzątać, pojechał do kostnicy. Co prawda według grafiku miał wolny weekend, chciał jednak nadrobić zaległości papierkowe. Chciał także sprawdzić, czy w ciągu nocy nie przywieźli nowych ciał z Manhattan General. Wiedząc, że na dyżur przywieziono wczoraj trzy ostre przypadki prawdopodobnej gorączki Gór Skalistych, niepokoił się o to, co może czekać na niego w pracy.

Stracił rower, ale myślał już o kupieniu następnego. Tymczasem wybrał metro, jednak nie było to najlepsze rozwiązanie. Aż dwukrotnie musiał się przesiadać. Nowojorskie metro znakomicie sprawdzało się na trasie północ-południe, ale przejazd z zachodu na wschód to całkiem inna historia.

Potem musiał jeszcze przejść kawałek pieszo. Padał drobny deszcz, a Jack nie miał parasola i do pracy dotarł całkiem przemoczony. Dochodziło południe.

Weekendy w pracy bardzo różniły się od zwykłych dni. Przede wszystkim nie było takiego zamieszania. Jack wszedł głównym wejściem i poprosił o otwarcie drzwi do strefy przeznaczonej wyłącznie dla pracowników. Przechodząc obok pokoju identyfikacyjnego, usłyszał szlochy jakiejś zrozpaczonej rodziny.

Z zadowoleniem wyczytał z grafiku, że wśród wymienionych lekarzy dyżurujących pod telefonem była Laurie. Przejrzał także raport z ostatniej nocy. Przesuwając palcem po poszczególnych pozycjach, z bólem natrafił na znajome nazwisko. O czwartej nad ranem przywieziono Nancy Wiggins! Według diagnozy wstępnej zmarła na gorączkę Gór Skalistych.

Znalazł jeszcze dwie inne ofiary prawdopodobnie tej samej choroby: Valerie Schafer,

wiek trzydzieści trzy lata, i Carmen Chavez, czterdzieści siedem lat. Jack domyślił się, że to były te dwie pozostałe pacjentki, które znalazły się w izbie przyjęć poprzedniego dnia. ‘

Zszedł na dół i zajrzał do sali autopsyjnej. Dwa stoły były zajęte. Nie potrafił powiedzieć, kim byli lekarze, jedynie zgadując po wzroście, domyślił się, że jednym z nich była Laurie.

Przebrał się w odzież ochronną i wszedł do sali przez umywalnię.

- Co ty tu robisz? - zapytała Laurie, dostrzegając zbliżającego się kolegę. - Nie powinieneś radośnie zajmować się własnymi sprawami?

- Po prostu nie mogę bez was wytrzymać - zażartował Jack.

Przesunął się, aby dokładnie przyjrzeć się twarzy zmarłego, który leżał na stole. Serce w nim zamarło. Niewidzącymi oczami spoglądała na niego Nancy Wiggins. Po śmierci wydawała się nawet młodsza niż za życia. Szybko odwrócił wzrok.

- Znałeś ją? - zapytała Laurie. Natychmiast wyczuła zmianę w zachowaniu Jacka.

- Słabo - odpowiedział.

- To straszne, gdy ktoś ze służby zdrowia umiera w wyniku zarażenia się od pacjenta.

Wcześniej robiłam autopsję pielęgniarki, która opiekowała się twoim pacjentem z dnia poprzedniego.

- Też tak sędzę - odparł. - A co z trzecim przypadkiem?

- Zrobiłam ją jako pierwszą. Pracowała w zaopatrzeniu. Nie bardzo potrafię sobie wyjaśnić, jak to złapały.

- Opowiedz mi o niej. Robiłem wcześniej sekcje dwóch innych osób z działu zaopatrzenia. Jedna z dżumą, a druga z tularemią. Też nie rozumiem całej historii.

- Lepiej, żeby ktoś to w końcu wyjaśnił - stwierdziła Laurie.

- No właśnie - zgodził się Jack. Zaczął się przyglądać organom Nancy. - Co znalazłaś?

- Wszystko pasuje do gorączki Gór Skalistych. Chciałbyś zobaczyć?

- Oczywiście.

Przerwała na chwilę pracę, aby przedstawić Jackowi zmiany w narządach. Stwierdził, że są jak lustrzane odbicie zmian zaobserwowanych u Lagenthorpe'a.

- Zastanawiające, dlaczego tylko tych troje zachorowało? - zauważyła Laurie. - Okres między wystąpieniem objawów choroby a śmiercią był znacznie krótszy niż zwykle. Sugeruje to, iż zarazki są szczególnie niebezpieczne, a skoro tak, to gdzie są następni chorzy? Janice powiedziała mi, że w szpitalu nie ma kolejnych ofiar.

- Musi być coś, co łączy wszystkie przypadki. Nie potrafię tego wytłumaczyć, tak jak nie potrafię wyjaśnić wielu innych aspektów tej serii. To dlatego tak mnie złością - stwierdził Jack.

Laurie spojrzała na wiszący na ścianie zegar i zaskoczona, że jest już tak późno, powiedziała:

- Wracam do roboty. Sal musi dzisiaj wcześniej wyjść.

- Może pomogę? - zaoferował się Jack. - Powiedz Salowi, że może już iść.

- Mówisz poważnie? - zapytała.

- Całkowicie. Zabierajmy się do pracy.

Sal szczerze się ucieszył, że może wyjść nieco wcześniej. Laurie i Jack szybko uwinęli się z robotą. Salę autopsyjną opuszczali razem.

- Może zjedlibyśmy mały lunch? - zaproponowała Laurie. - Ja stawiam.

- Zgoda - Jack chętnie przystał na propozycję.

Zdjęli ubrania ochronne i zniknęli w osobnych przebieralniach. Jack, ubrany w cywilne rzeczy, wyszedł do hallu i poczekał na Laurie.

- Nie musiałeś czekać na... - zaczęła Laurie i nagle zamilkła. - Masz spuchniętą

szczękę.

- To nie wszystko - powiedział i otworzył usta, by pokazać ułamany lewy siekacz. -

Widzisz? - zapytał.

- Jasne, że widzę. - Ręce Laurie powędrowały na biodra, oczy zwęziły się. Wyglądała jak rozzłoszczona mama stojąca przed swoim nieznośnym dzieckiem. - Spadłeś z tego swojego wstrętnego roweru?

- Chciałbym - odparł Jack z niewesołym śmiechem. Następnie opowiedział całą historię oprócz epizodów związanych z Teresą.

Wyraz udawanej złości na twarzy Laurie powoli ustępował miejsca niedowierzaniu.

- To wymuszenie - odezwała się w końcu z oburzeniem.

- W pewnym sensie tak - zgodził się Jack. - No, ale nie pozwólmy, aby taka sprawa popsowała nam lunch.

W stołówce na pierwszym piętrze wybrali z automatu potrawy - Laurie zupę, a Jack kanapkę z sałatką z tuńczyka - i usiedli przy stoliku.

- Im dłużej myślę o tym, co mi powiedziałaś, tym bardziej wydaje mi się to zwariowane - przyznała Laurie. - Co z mieszkaniem?

- Troszkę zdemolowane po tej wizycie. Jednak wcześniej także nie było w doskonałym stanie, więc nic wielkiego się nie stało. Najgorsze, że zabrali rower.

- Mógłbyś się przeprowadzić. Nie powinieneś tam mieszkać.

- Przecież to dopiero drugie włamanie - zaprotestował Jack.

- Spodziewam się, że nie planujesz spędzić tam dzisiejszej nocy. To zbyt przygnębiające.

- Ach nie, skądże. W nocy będę zajęty. Mam oprowadzić po Nowym Jorku grupę przyjezdnych zakonnic.

Laurie roześmiała się.

- Słuchaj, moi rodzice wydają dzisiaj przyjęcie. Nie zechciałbyś pójść ze mną? To powinno być przyjemniejsze niż siedzenie w splądrowanym mieszkaniu.

- Niezwykle miło z twojej strony. - To zaproszenie całkowicie go zaskoczyło. I poruszyło.

- Lubię twoje towarzystwo - przyznała Laurie. - Co ty na to?

- Wiesz przecież, że nie należę do specjalnie towarzyskich.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Ale nie zamierzam stawiać cię w trudnym położeniu. Nie musisz mi teraz odpowiadać. Przyjęcie zaczyna się o ósmej, więc możesz zadzwonić do mnie pół godziny wcześniej, jeśli się zdecydujesz. Masz mój numer. - Napisała go na serwetce i wręczyła Jackowi.

- Obawiam się jednak, że nie będę dobrym kompanem do zabawy - usprawiedliwił się Jack.

- To już zależy od ciebie. Zaproszenie jest aktualne. A teraz, jeśli mi wybaczysz, mam jeszcze dwie sekcje do zrobienia.

Jack patrzył za odchodzącą Laurie. Podobała mu się od pierwszego dnia, ale zawsze myślał o niej jako o jednej z najbardziej utalentowanych koleżanek, nic ponadto. I dopiero teraz dostrzegł, jak atrakcyjną była kobietą, z rysami jakby wyrzeźbionymi dłutem mistrza, delikatną cerą, pięknymi, kasztanowymi włosami.

Wychodząc, machnęła do niego ręką, a on odwzajemnił gest. Z zakłopotaniem wstał, wyrzucił tackę i poszedł na górę do siebie. W windzie zastanawiał się, co się z nim działo. Całe lata poświęcił na ustabilizowanie swego życia, a tymczasem czuł, iż szczelnie dotąd otaczający go kokon zaczyna pękać.

Wszedł do swego pokoju i usiadł za biurkiem. Pocierając intensywnie skronie,

próbował się uspokoić. Znowu się wzruszył, a wiedział, że kiedy jest wzruszony, staje się impulsywny.

Gdy tylko odzyskał równowagę ducha i zdolność koncentracji, sięgnął po najbliższą teczkę i otworzył ją. Zabrał się do pracy.

Do szesnastej uporał się ze sporą częścią papierkowej roboty. Po wyjściu z biura skierował się znowu w stronę metra. Gdy usiadł w rozkołysanym wagonie obok innych cichych, podobnych do zombich pasażerów, doszedł do wniosku, że musi kupić nowy rower. Poruszanie się pod ziemią jak kret nie odpowiadało mu.

Do mieszkania biegł po dwa stopnie. Leżący na podeście pierwszego piętra pijany, bezdomny człowiek nie zwrócił jego uwagi. Jack przeszedł nad nim i biegł dalej. Potrzebował ruchu. Czuł, że im szybciej znajdzie się na boisku, tym lepiej.

Przed drzwiami na krótko się zawahał. Na pierwszy rzut oka wyglądały na nietknięte.

Otworzył je i zajrzał do mieszkania. Wszystko wydawało się w porządku. Wiedziony jakimś przecuciem poszedł najpierw do kuchni. Z ulgą stwierdził, że nikogo w niej nie ma.

W sypialni przebrał się w strój sportowy - za duże spodenki, koszulkę i sweter.

Zawiązał wysokie buty sportowe, włożył na głowę opaskę, chwycił piłkę do koszykówki i już był z powrotem przy drzwiach.

Sobotnie popołudnie, jeśli pogoda dopisywała, było zawsze wielkim koszykarskim świętem. Zazwyczaj od dwudziestu do trzydziestu chłopaków gotowało się do gry i tym razem nie było inaczej. Poranny deszcz dawno ustał. Gdy stanął niedaleko boiska, naliczył czternastu chętnych do gry. Oznaczało to, że oprócz właśnie rozgrywanego meczu będzie najpewniej musiał przeczekać jeszcze ze dwa kolejne, zanim nadarzy się szansa wejścia do gry.

Z kilkoma znajomymi przywitał się lekkim skinieniem głowy. Etykieta nie pozwalała

na okazywanie uczuć. Przez odpowiednio długą chwilę postać przy bocznej linii, po czym zapytał, kto wygrywa. Dowiedział się, że drużyna Davida. Znał Davida. Ostrożnie, aby nie dać do zrozumienia, jak bardzo chce grać, Jack przysunął się do Davida.

- Wygrywasz? - zagadnął pozornie obojętnym tonem.

- Taa, wygrywam - potwierdził nonszalancko zapytany. Dodał do tego kilka gestów i słów, które stanowiły typową oprawę w podobnych sytuacjach.

Przykre doświadczenia nauczyły Jacka, że nie należy ich naśladować.

- Masz piątkę? - zapytał.

David miał już drużynę, więc Jack spróbował tego samego z następnym, który tego dnia wygrał mecz. Chodziło o Spita, zawdzięczającego swój przydomek jednej z mniej miłych dla otoczenia manier*. Szczęśliwie Spit miał tylko czwórkę graczy, a pamiętając o

* *Spit* (ang.) - pluć (przyp. tłum.).

tym, że Jack świetnie rzuca, zdecydował się włączyć go do zespołu.

Jack, pewny, że wejdzie do gry, podszedł do jednego z bocznych koszy i zaczął się rozgrzewać, ćwicząc rzuty. Bolała go trochę głowa i szczeka, ale poza tym czuł się lepiej, niż sądził. Bardziej obawiał się o brzuch, lecz i te obawy okazały się niepotrzebne. Trenował rzuty osobiste, kiedy zjawił się Warren. Po przejściu identycznej procedury jak Jack, żeby wejść do gry, zjawił się przy koszu treningowym Jacka.

- Cześć, doktorze, jak leci? - zapytał Warren. Wyrwał piłkę z rąk Jacka i rzucił tak celnie, że tylko siatka bzyknęła. Ruchy Warrena były nieprawdopodobnie szybkie.

- Po staremu - odpowiedział zgodnie z obowiązującą normą.

Przez chwilę wykonywali rutynowe rzuty w milczeniu. Najpierw rzucał Warren, dopóki nie chybił, co nie zdarzało się często. Potem to samo robił Jack. Gdy jeden rzucał, drugi zbierał piłki pod koszem.

- Warren, pozwól, że cię o coś zapytam - zagał Jack w czasie swojej serii. - Słyszałeś kiedykolwiek o gangu pod nazwą Black Kings?

- Taa, coś słyszałem - odparł zapytany. Podał Jackowi piłkę, najpierw celnie umieściwszy ją w koszu jednym z tych swoich popisowych rzutów z dystansu. - Zdaje się, że to recydywa z okolic Bowery. Po co pytasz?

- Ciekawość - odparł Jack. Znowu udało mu się trafić. Miał dobry dzień.

Warren złapał piłkę w powietrzu, lecz nie oddał jej Jackowi, ale podszedł do niego.

- Co to znaczy „ciekawość”? - zapytał. Mierzył w Jacka oczami jak lufą rewolweru. - Nigdy przedtem nie interesowałeś się gangami.

Warren był inteligentny. Gdyby los mu sprzyjał, mógł zostać lekarzem, prawnikiem albo kimś podobnym. Jack był o tym przekonany.

- Na przedramieniu pewnego faceta dostrzegłem przypadkowo taki tatuaż - wyjaśnił.

- Martwego faceta? - pytał dalej Warren. Wiedział, w jaki sposób Jack zarabia na życie.

- Jeszcze nie - odpowiedział Jack. Rzadko pozwalał sobie na ironiczne uwagi wobec znajomych z boiska, ale tym razem jakoś mu się wyrwało.

Warren przybrał groźną pozę i nadal nie wypuszczał piłki z rąk.

- Jaja sobie robisz czy co?

- Co ty, kurde, żadnych jaj. Mogę być biały, ale to nie znaczy, że jestem głupi.

Warren uśmiechnął się.

- Gdzieś się dorobił takiej szczęki?

Warren nie dał się zwieść.

- Nadziałem się na łokieć. No wiesz, stałem w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

Warren podał mu piłkę.

- Pograjmy trochę jeden na jednego. Losujemy piłkę.

Warren wszedł na boisko wcześniej niż Jack, ale Jack w końcu także zaczął grać, i to dobrze. Drużyna Spita wydawała się tego dnia nie do pokonania, ku zmartwieniu Warrena, z którym przyszło im się zmierzyć kilka razy. Do osiemnastej Jack był wykończony i spływał cały potem.

Cieszył się, że może opuścić boisko wtedy, kiedy i inni zaczęli znikać na obiad albo cosobotnie wieczorne hulanki. Boisko będzie puste aż do następnego popołudnia.

Długi, pomeczowy prysznic stanowił wyjątkową przyjemność. Po kąpieli przebrał się w czyste ubranie, poszedł do kuchni i zajrzał do lodówki. Jej wnętrze przedstawiało smutny widok. Cały zapas piwa wypili nieproszeni goście. Z jedzenia pozostał mu kawałek cheddara i dwa jajka niewiadomego wieku. Zamknął lodówkę. Zresztą nie był głodny.

W pokoju dziennym usiadł na wytartej kanapie i wziął do ręki jedno z medycznych czasopism. Codzienną normą było czytanie czegoś do dwudziestej pierwszej trzydzieści lub dwudziestej drugiej. Później szedł spać. Tego wieczoru był ciągle pełen energii pomimo gry na boisku. Nie potrafił się skoncentrować.

Rzucił czasopismo i wpatrzył się w ścianę. Był samotny. I chociaż co wieczór był samotny, to dziś odczucie to przygnębiało go. Zaczął myśleć o Teresie i o tym, jak się nad nim ulitowała.

Pod wpływem impulsu zerwał się z kanapy, podszedł do biurka, wziął książkę telefoniczną i po chwili zadzwonił do Willow i Heath. Nie wiedział, czy po godzinach centrala telefoniczna będzie łączyć, ale ktoś odebrał. Po kilku wadliwych połączeniach wreszcie udało mu się skontaktować z Teresą.

Z sercem niespodziewanie dla niego mocno bijącym, ostrożnie napomknął, że myślał

o zjedzeniu czegoś w mieście.

- Czy to jest zaproszenie? - zapytała Teresa.

- Cóż - odparł z wahaniem. - Może zechciałabyś pójść ze mną, jeżeli jeszcze nie jadłaś.

- To najbardziej wymijające zaproszenie, jakie otrzymałam, od czasu gdy Marty

Berman poprosił mnie na bal maturalny - skwitowała ze śmiechem. - Wiesz, co zrobił? Użył trybu warunkowego: „Co byś powiedziała, gdybym cię zaprosił?”

- No to znaczy, że Marty i ja mamy ze sobą coś wspólnego.

- Niewiele. Był chudym krasnalem. Ale co do kolacji, musimy przełożyć ją na inny termin. Z ochotą zobaczyłabym się z tobą, wiesz jednak, że mamy gardłowy termin.

Spodziewamy się, że dzisiaj jeszcze sfinalizujemy przedsięwzięcie. Rozumiesz, mam nadzieję.

- Rozumiem - przyznał Jack. - Żaden problem.

- Zadzwoń do mnie jutro. Może uda nam się wyrwać po południu na kawę albo coś podobnego.

Obiecał, że zadzwoni, i życzył jej wszystkiego najlepszego. Odłożył słuchawkę i poczuł się jeszcze bardziej samotny. Po tylu latach dobrowolnego skazania się na samotność zrobił wielki wysiłek, aby nawiązać towarzyskie stosunki i poniósł porażkę.

Zadziwiając coraz bardziej samego siebie, odnalazł numer do Laurie i zadzwonił.

Próbując pokryć zdenerwowanie dowcipem, poinformował, że oczekiwana przez niego grupa zakonnic w ostatniej chwili zrezygnowała.

- Czy to znaczy, że chcesz iść na przyjęcie? - zapytała Laurie.

- Jeśli mnie zabierzesz.

- Z rozkoszą - odpowiedziała.

Rozdział 22

Niedziela, godzina 9.00, 24 marca 1996 roku

Jack czytał właśnie jedno z tych swoich medycznych czasopism, gdy zadzwonił telefon. Od rana jeszcze się do nikogo nie odezwał, więc głos jego brzmiał chrapliwie.

- Chyba cię nie obudziłam? - w słuchawce zabrzmiał głos Laurie.

- Nie śpię już całe wieki - zapewnił ją.

- Dzwonię, ponieważ mnie o to prosiłeś - przypomniała Laurie. - Inaczej nie zawracałabym ci głowy w niedzielny poranek.

- Dla mnie to nie jest wczesna pora.

- Ale późno wróciłeś do domu.

- Nie było tak bardzo późno, a poza tym niezależnie od tego, jak późno kładę się spać, i tak zawsze wstaję wcześnie.

- W każdym razie chciałeś wiedzieć, czy w nocy pojawiły się jakieś kolejne ofiary infekcji z General. Nic nie było. Janice poinformowała mnie, że w szpitalu nie ma ani jednego przypadku zachorowania na gorączkę Gór Skalistych. To dobra wiadomość, prawda?

- Bardzo dobra - zgodził się Jack.

- Moi rodzice byli tobą zachwyceni - dodała. - Mam nadzieję, że dobrze się bawiłeś.

- Tak, to był przemiły wieczór. Szczerze powiedziawszy, trochę mi głupio, że się tak zasiedziałem. Dziękuję za zaproszenie i podziękuj rodzicom. Nie mogliby być bardziej gościnni.

- Musimy to kiedyś powtórzyć - stwierdziła Laurie.

- Bezwarunkowo - potwierdził Jack.

Odwiesił słuchawkę i próbował wrócić do czytania. Jednak myślami wrócił do poprzedniego wieczoru. Rzeczywiście miło spędził czas. Bawił się lepiej, niż mógł

przypuszczać, i to go najbardziej kłopotowało. Pilnował się przez pięć lat i nagle, bez ostrzeżenia, zaczął się dobrze czuć w towarzystwie dwóch całkiem różnych kobiet.

U Laurie podobała mu się swoboda, jaką czuł w jej towarzystwie. Teresa natomiast potrafiła być wyniosła nawet wtedy, gdy stawiała się wyjątkowo opiekuńcza. Teresa onieśmiała go bardziej niż Laurie, ale równocześnie stanowiła jakby wyzwanie, co bardziej odpowiadało brawurowemu stylowi życia Jacka. Gdy jednak miał okazję zobaczyć sposób, w jaki Laurie traktuje rodziców, zaczął doceniać jej otwarcie i serdeczność wybijającą się nad inne cechy. Wyobraził sobie, że mając za ojca napuszonego kardiochirurga, nie mogło to być łatwe.

Laurie próbowała naciągnąć Jacka na osobiste wynurzenia, gdy tylko starsza generacja zakończyła biesiadowanie, lecz bez powodzenia. Chociaż go kusiło. Nieco otworzył się przed Teresą poprzedniej nocy i z zaskoczeniem doszedł do wniosku, że rozmowa przynosi ulgę. Wczoraj wrócił jednak do swojej starej strategii polegającej na skierowaniu rozmowy na drugą osobę i dowiedział się kilku niespodziewanych rzeczy.

Najbardziej zaskoczyła go informacja, że Laurie nie jest z nikim związana.

Przypuszczał, iż ktoś równie pociągający i wrażliwy jak ona musi kogoś mieć, a tymczasem twierdziła, że nawet nieczęsto umawia się na randki. Opowiedziała o policjancie, z którym kiedyś się spotykała, ale sprawa była już nieaktualna.

Wreszcie wrócił do czasopisma. Czytał, dopóki głód nie wygnał go z domu do baru.

Wracając z lunchu, zobaczył, że wokół boiska zaczęły się już zbierać grupki chłopaków.

Spragniony ruchu skoczył szybko do domu, przebrał się i dołączył do nich.

Grał przez kilka godzin. Niestety rzuty nie były tak celne jak poprzedniego dnia.

Warren niemiłosiernie pokpiwał z niego, tym bardziej że w kilku meczach grali w przeciwnych drużynach. Odbijał sobie za porażki sobotniego popołudnia.

O trzeciej po południu, po kolejnym przegranym meczu, co oznaczało konieczność przeczekania trzech, a może nawet więcej meczy, poddał się i wrócił do domu. Po prysznicu znowu próbował czytać. Szybko odkrył, że myślami ciągle wraca do Teresy.

Zaniepokojony tym wewnętrznym roztargnieniem, postanowił nie dzwonić do niej.

Wytrzymał mniej więcej do czwartej. W końcu prosiła go o telefon. Co ważniejsze, chciał z nią porozmawiać. Skoro częściowo otworzył się przed nią, miał wrażenie, że musi odkryć całą prawdę. Czuł, że to jej się należy.

Bardziej podenerwowany niż wczoraj wykręcił numer.

Tym razem była bardziej chętna. Właściwie trzeba powiedzieć - zapalona.

- Zeszłej nocy zrobiliśmy olbrzymi postęp - oznajmiła z dumą. - Wprawimy w zdumienie zarząd firmy. Dzięki tobie ten pomysł z czystością w szpitalu i małą liczbą infekcji szpitalnych stał się świetnym haczykiem. Złapiemy na niego dużą rybę. A z tą sterylizacją to mieliśmy nawet mały ubaw.

W końcu ogródkami Jack zapytał, czy nie miałyby ochoty na kawę. Nie omieszkał przy tym wspomnieć, że to był jej pomysł.

- Z ochotą - odpowiedziała bez wahania. - Kiedy?

- Może teraz?

- Świetnie.

Spotkali się w małej francuskiej kawiarence na Madison Avenue pomiędzy Sześćdziesiątą Pierwszą a Sześćdziesiątą Drugą, w pobliżu firmy Willow i Heath. Jack zjawił się pierwszy, zajął stolik i zamówił filiżankę kawy z ekspresu.

Chwilę później przyszła Teresa. Pomachała mu przez okno, a po wejściu zmusiła go do przejścia przez rutynowy zabieg przyciskania się policzkami. Tryskała energią. Zamówiła cappuccino bez kofeiny u niezwykle uprzejmego kelnera.

Gdy zostali sami, pochyliła się nad stolikiem i ujęła dłoń Jacka.

- Jak się czujesz? - zapytała. Spojrzała mu w oczy, a potem obejrzała szczękę. -

Żrenice masz równe i wyglądasz nieźle. Myślałam, że będziesz sinofioletowy.

- Czuję się lepiej, niż się spodziewałem - przyznał.

Bez dalszych wstępów Teresa oddała się ekscytującemu monologowi o zbliżającym się przeglądzie i jak wszystko cudownie wraca na swoje miejsce. Wyjaśniła, co oznacza słowo „ripomatic” i jak udało im się połączyć sekwencje z różnych filmów z poprzedniej kampanii National Health. Wspomniała również, że pomysł z przysięgą Hipokratesa okazał się znakomity.

Jack pozwolił jej mówić. Po kilku łykach cappuccino zapytała, co porabiał.

- Sporo myślałem o naszej piątkowej rozmowie - odparł. - To mnie niepokoiło.

- No i?

- Nieco się przed sobą odsłoniliśmy, ale nie byłem całkiem szczery. Nie jestem przyzwyczajony do mówienia o moich problemach. Prawda jest taka, że nie opowiedziałem ci całej historii.

Teresa odstawiła filiżankę na talerzyk i wnikliwie spojrzała na Jacka. W ciemnoniebieskich oczach dojrzała żar. Policzki Jacka pokrywał nie golony tego dnia zarost. Pomyślała, że w innych warunkach mogłaby uznać, iż Jack jest czymś zaniepokojony, może nawet przestraszony.

- Żona nie była jedyną osobą, która wtedy zginęła - powiedział z wahaniem. -

Straciłem również dwie córki. Zginęły w katastrofie lotniczej.

Teresa z trudem przełknęła ślinę. Czuła, że coś ściskają za gardło. Nie spodziewała się takich wieści.

- Problem w tym, że czuję się cholernie winny - kontynuował. - Gdyby nie ja, nie

znalazłyby się na pokładzie tego samolotu.

Teresa coraz bardziej wczuwała się w jego położenie. Po kilku chwilach odezwała się:

- Ja także nie byłam do końca szczerą. Powiedziałam, że straciłam dziecko. Nie powiedziałam tylko, że to było nie narodzone dziecko i że wtedy, gdy je straciłam, straciłam również szansę na następne. A na dodatek mężczyzna, którego poślubiłam, opuścił mnie.

Przez kilka minut milczeli. W końcu Jack przerwał ciszę.

- Brzmi to tak, jakbyśmy chcieli się przelicytować w osobistych tragediach - powiedział, zdobywając się na uśmiech.

- Jak para nieszczęść - dodała Teresa. - Mój psychoanalityk byłby zachwycony.

- Oczywiście, proszę, aby wszystko, co powiedziałem, zostało między nami - wyjaśnił Jack.

- Nie bądź niemądry. To samo przecież dotyczy ciebie. Nikomu poza moim terapeutą nie opowiadałam tej historii.

Wyjawiwszy te najskrytsze tajemnice, oboje czuli wyraźną ulgę. Przeszli do weselszych spraw. Teresa, wychowana w Nowym Jorku, z zaskoczeniem dowiedziała się, że Jack od chwili przyjazdu prawie niczego nie widział. Obiecała zabrać go do Cloisters, jak tylko wiosna zadomowi się na dobre.

- Spodoba ci się - obiecała.

- Czekam z niecierpliwością - odpowiedział Jack.

Rozdział 23

Poniedziałek, godzina 7.30, 25 marca 1996 roku

Jack był zły na siebie. Miał w sobotę czas na kupienie nowego roweru, ale nie zrobił tego. W konsekwencji musiał znowu jechać do pracy metrem, chociaż myślał i o joggingu.

Kłopot z joggingiem polegał na tym, że po przybyciu do biura musiałby się przebrać w

świeże ubranie. Aby w przyszłości nie martwić się tym, zabrał ze sobą w torbie rzeczy na zmianę.

Szedł od strony Pierwszej Avenue i do budynku wszedł od frontu. Przeszedł przez oszklone drzwi i ze zdziwieniem stwierdził, że w hallu czeka wiele rodzin. Nie zdarzało się dotychczas, aby o tak wczesnej porze przebywało tu równie wiele osób. Coś się musiało wydarzyć, wywnioskował.

Wszedł do zastrzeżonej części budynku. Przy biurku zajmowanym przez ostatni tydzień przez Laurie siedział George Fontworth.

Żałował, że minęła zmiana Laurie i przyszła kolej na George'a. Był niskim, nieco zbyt tęgim mężczyzną, o którym Jack nie miał dobrego zdania. W pracy był powierzchowny i często zdarzało mu się przeoczyć coś ważnego.

Ignorując George'a, Jack podszedł do Vinniego i odsuwając gazetę, spojrzał na swego współpracownika.

- Dlaczego w hallu jest tyle ludzi? - zapytał Vinniego.

- Ponieważ w Manhattan General mamy małą katastrofę - odpowiedział za Vinniego George. Vinnie zaś potraktował Jacka lekceważąco i wrócił do gazety.

- Jaką katastrofę? - zapytał Jack.

George stuknął palcem w stos teczek.

- Cała seria zgonów z powodu meningokoków - odpowiedział. - Grozi wybuchem epidemii. Mamy już osiem przypadków.

Jack szybko podszedł do biurka i chwycił pierwszą lepszą teczkę. Otworzył ją i przerzucając kartki, zatrzymał się na raporcie dochodzeniowym. Szybko go przeglądając, dowiedział się, że pacjent nazywał się Robert Caruso i że był pielęgniarzem na oddziale ortopedycznym.

Rzucił teczkę z powrotem na biurko i dosłownie wybiegł do skrzydła, gdzie mieściły się pokoje asystentów. Ulżyło mu, gdy ujrzał Janice jak zwykle pracującą po godzinach.

Wyglądała strasznie. Cienie pod oczyma były tak ciemne, że można by pomyśleć, że ktoś ją pobił. Odłożyła ołówek i odchyliła się do tyłu. Pokręciła głową.

- Muszę sobie znaleźć inną pracę - stwierdziła. - Pierwszy przypadek przywieziono około osiemnastej trzydzieści. Najwidoczniej pacjent zmarł o osiemnastej.

- Ten z ortopedii? - zapytał Jack.

- Skąd wiesz?

- Po prostu zobaczyłem teczkę pielęgniarki z ortopedycznego.

- Ach tak, to Caruso - potwierdziła, ziewając. Przeprosiła i ciągnęła dalej: - W każdym razie zaczęłam dzwonić tuż po jedenastej. No i od tej pory non stop. Całą noc jeździłam w tę i z powrotem. Wróciłam tu dopiero dwadzieścia minut temu. To straszne. Jedną ze zmarłych jest dziewięcioletnia dziewczynka. Co za tragedia.

- Łączyło ją coś z wcześniej zmarłymi?

- Była bratanicą pierwszej ofiary.

- Odwiedzała wujka?

- Wczoraj około południa. Chyba nie myślisz, że to mogło spowodować śmierć, prawda? Przecież widziała się z nim ledwie dwanaście godzin przed zgonem.

- W pewnych okolicznościach *meningococcus* posiada przerażające zdolności i zabija niewiarygodnie szybko. Potrafi spowodować śmierć w ciągu kilku godzin.

- W szpitalu panuje panika.

- Nie dziwię się. Jak się nazywa pierwsza ofiara?

- Carlo Pacini. Ale to wszystko, co o nim wiem. Przywieźli go jeszcze przed moją zmianą. Zajmował się nim Steve Mariott.

- Mogę cię prosić o przysługę?

- To zależy jaką. Jestem piekielnie zmęczona.

- Przekaż jedynie Bartowi, że chciałbym, abyście wy, asystenci medyczni, otrzymali kompletną dokumentację pierwszych spraw z każdej serii chorób. Ułóżmy to tak: Nodelman - dżuma, Hard - tularemia, Lagenthorpe - gorączka Gór Skalistych i Pacini - *meningococcus*.

Sądysz, że mogą być problemy?

- Absolutnie - uznała Janice. - To wszystko są poważne przypadki.

Jack wstał i klepnął Janice w plecy.

- Może w drodze do domu wstąpiłabyś do kliniki - zaproponował. - Troszkę chemioprophylaktyki nie byłoby chyba głupim pomysłem.

Janice otworzyła szeroko oczy.

- Sądysz, że to konieczne?

- Lepiej dmuchać na zimne. W każdym razie przedyskutuj to z jakimś specjalistą od chorób zakaźnych. Lepiej się na tym znają niż ja. Jest też szczepionka czterowalentna, ale działa dopiero po kilku dniach.

Jack pośpieszył z powrotem do biura George'a i poprosił o teczkę Carlo Paciniego.

- Nie mam jej - oznajmił George. - Laurie zajrzała tu przed tobą i gdy usłyszała, co się dzieje, poprosiła o pierwszy przypadek i wzięła teczkę.

- Gdzie ona teraz jest?

- Na górze, u siebie - zza gazety doleciała odpowiedź Vinniego.

Jack popędził do biura Laurie. Inaczej niż Jack, Laurie przed każdą autopsją najpierw dokładnie zapoznawała się z dokumentacją.

- Dość przerażające, powiedziałabym - zauważyła, gdy tylko Jack wszedł do pokoju.

- Okropne - zgodził się. Przyciągnął sobie krzesło należące do koleżanki Laurie,

postawił po drugiej stronie biurka i usiadł. - Stało się to, czego się tak obawiałem. Może wybuchnąć prawdziwa epidemia. Czego się dowiedziałas o tym przypadku?

- Niewiele - stwierdziła szczerze. - Został przyjęty w sobotę wieczorem ze złamanym biodrem. Właściwie miał problemy z kruchymi kośćmi. W ciągu ostatnich pięciu lat cierpiał z powodu całej serii różnych złamań.

- Pasuje jak ulał - stwierdził Jack.

- Do czego?

- Wszystkie pierwsze przypadki z ostatnich dni to pacjenci cierpiący na jakieś choroby przewlekłe - wyjaśnił Jack.

- Wiele hospitalizowanych osób cierpi na przewlekłe choroby - zauważyła Laurie. - Prawdę powiedziawszy, większość z nich. Czy to musi mieć coś wspólnego ze sprawą?

- Powiem ci, co chodzi po głowie tego paranoika - wtrącił Chet. Stanął w drzwiach pokoju Laurie, gdy Jack wyjaśniał, co do czego pasuje. Wszedł do pokoju i przysiadł na drugim biurku. - Widzi w tym jakiś spisek i obwinia o wszystko AmeriCare.

- Czy to prawda? - zapytała Laurie.

- Myślę, że mniejsza o to, czy ja widzę w tym spisek, lecz ważniejsze jest, czy wszyscy nie stanęliśmy w jego obliczu.

- Co rozumiesz przez „spisek”?

- Pozwala sobie sądzić, że te niezwykle choroby rozprzestrzeniają się w wyniku czyjejś celowej działalności - odpowiedział za Jacka Chet. Streścił następnie teorię kolegi, według której winny nieszczęść był albo ktoś z AmeriCare chroniący w ten sposób swój byt, albo jakiś szaleniec z inklinacjami terrorysty.

Laurie pytająco spojrzała na Jacka. Wzruszył ramionami.

- Jest wiele pytań bez odpowiedzi - stwierdził.

- Rzeczywiście grozi nam epidemia - przyznała Laurie. - Ale naprawdę! To jest nieco naciągnięte. Mam nadzieję, że nie wspominałeś o tej teorii szefom General.

- Owszem, wspominałem - potwierdził Jack. - Nawet przepytalem kierownika ich laboratorium, jakby był w to wmieszany. Jest raczej niezadowolony ze środków, jakie przeznaczili na laboratorium. Natychmiast powiadomił o moich sugestiach szefa sekcji chorób zakaźnych. Myślę, że tą drogą dowiedziała się administracja szpitala.

Laurie zaśmiała się krótko i cynicznie.

- No, bracie. Nic dziwnego, że stałeś się tam persona non grata.

- Ale musisz sama przyznać, że w General pojawiło się zagadkowo wiele szpitalnych infekcji.

- Nie jestem tego taka pewna. Zarówno chora na tularamię, jak i pacjent z gorączką Gór Skalistych zmarli w czasie krótszym niż czterdzieści osiem godzin po przyjęciu do szpitala. Z definicji nie wynika więc, że były to infekcje szpitalne.

- Z technicznego punktu widzenia zgadza się - powiedział Jack - Ale...

- Poza tym wszystkie przypadki zdarzyły się w Nowym Jorku - ciągnęła Laurie. -

Trochę ostatnio poczytałam. W osiemdziesiątym siódmym mieliśmy całkiem poważną serię zachorowań na gorączkę Gór Skalistych.

- Dziękuję, Laurie - powiedział Chet. - Staralem się powiedzieć mu to samo. Nawet Calvin mu to mówił.

- A co z serią zachorowań w dziale zaopatrzenia? - Jack zwrócił się z pytaniem do Laurie. - I co powiesz o gwałtowności, z jaką rozwija się u chorych gorączka Gór Skalistych? Sama się nad tym w sobotę zastanawiałaś.

- Oczywiście, że się zastanawiałam. Przecież to są pytania, które muszą się pojawić zawsze w sytuacji zagrożenia epidemią.

Jack westchnął.

- Przykro mi, ale moim zdaniem dzieje się coś szczególnie niezwykłego. Obawiam się, że możemy niespodziewanie stanąć w obliczu prawdziwej epidemii. Wybuch chorób wywołanych meningokokami może właśnie czymś takim być. Jeżeli skończy się jak w poprzednich przypadkach, rzecz jasna ulży mi jak każdemu człowiekowi. Ale równocześnie dojdą nowe podejrzenia. Schemat, według którego najpierw pojawiają się liczne przypadki niezwykle agresywnej choroby, a następnie znikają bez śladu, jest naprawdę zastanawiający.

- Ale przecież mamy sezon na meningokoki - przypomniała Laurie. - Nie ma więc w tych zachorowaniach niczego szczególnie niezwykłego.

- Laurie ma rację - włączył się Chet. - Jednak nie bacząc na to, moja troska wynika z tego, że wpędzasz się w prawdziwe kłopoty. Jesteś jak pies z kością. Uspokój się! Nie chcę patrzeć, jak cię wylewają z roboty. Musisz mi przynajmniej obiecać, że nie pójdziesz znowu do General.

- Nie mogę tego przyrzec - stwierdził Jack. - Nie wobec wybuchu nowej choroby.

Tym razem nie jest to kwestia robactwa. Teraz chodzi o skażone powietrze, więc to zupełnie zmienia postać rzeczy.

- Chwileczkę - Laurie próbowała go powstrzymać. - A co z ostrzeżeniem, które dostałeś od tych zbirów?

- A to co znowu? Jakich zbirów? - zapytał zaskoczony Chet.

- Kilku członków pewnego czarującego gangu złożyło niedawno Jackowi przyjacielską wizytę - oświadczyła Laurie. - Wyniknęło z niej, że przynajmniej jeden z nowojorskich gangów trudni się wymuszeniami.

- Wyjaśni mi ktoś, o czym mówicie? - odezwał się zdezorientowany Chet.

Laurie opowiedziała mu wszystko, co wiedziała o pobiciu Jacka.

- I ty ciągle myślisz o wchodzeniu do tego szpitala? -zapytał Chet, kiedy usłyszał całą historię.

- Będę ostrożny - obiecał Jack. - Poza tym jeszcze nie zdecydowałem, czy pójść.

Chet znacząco spojrział w sufit.

- Wydaje mi się, że wolałbym cię jako podmiejskiego okulistę.

- Dlaczego okulistę? - zapytała tym razem zdziwiona Laurie.

- No dobra, kochani - przerwał rozmowę Jack. Wstał od biurka. - Dość znaczy dość.

Mamy sporo pracy do wykonania.

Żadne z nich nie opuściło sali autopsyjnej aż do trzynastej. Chociaż George

kwestionował potrzebę przebadania wszystkich przypadków wywołanych meningokokami,

cała trójka zgodnie uparła się, i w końcu ustąpił. Badając niektórych samodzielnie, innych

wspólnymi siłami, wykonali sekcję pierwszego zmarłego, pielęgniarza z oddziału

ortopedycznego, dwóch pielęgniarek, jednego sanitariusza, dwóch osób odwiedzających

chorych, w tym dziewięcioletniej dziewczynki, i niezwykle ważnej według Jacka osoby -

kobiety z działu zaopatrzenia.

Po tym maratonie przebrali się w cywilne ubrania i spotkali w stołówce na lunchu.

Zadowoleni, że udało im się uniknąć skaleczenia, a także przytłoczeni trochę

wynikami badań, początkowo nic nie mówili. Zabrali tylko z automatu wybrane potrawy i

usiedli przy jednym stoliku.

- W przeszłości nie miałam do czynienia z wieloma przypadkami meningokoków -

przyznała Laurie. - Jednak dzisiejsze bez wątpienia zrobiły na mnie większe wrażenie niż

tamte z przeszłości.

- Nie widziałem bardziej dramatycznie wyglądającego przypadku syndromu

Waterhouse'a-Friderichsena - wtrącił Chet. - Żadne z nich nie miało najmniejszej szansy.

Bakterie przeszły przez nich jak mongolskie hordy. Ilość wewnętrznych wylewów jest niewyobrażalnie wielka. Mówię wam, przstraszyło mnie to na śmierć.

- Po raz pierwszy nie narzekałem, że mam na sobie kombinezon - przytaknął Jack. -

Nie byłem w stanie poradzić sobie z nieskończoną liczbą śladów gangreny. Było ich znacznie więcej niż przy dżumie.

- Zaskoczyło mnie niezbyt rozległe zapalenie opon mózgowych - powiedziała Laurie.

- Nawet dziecko zostało słabo zaatakowane, a pomyślałabym, że ono właśnie powinno mieć rozległe zapalenie.

- Mnie natomiast zastanawia poważne zapalenie płuc - dodał Jack. - Oczywiście mowa była o infekcji z powietrza, lecz zazwyczaj choroba atakuje górne drogi oddechowe, nie same płuca.

- Skoro dostało się do krwi, natychmiast łatwo mogło się dostać i do płuc - stwierdził

Chet. - Jasne, że u wszystkich zmarłych choroba rozprzestrzeniła się gwałtownie przez układ krwionośny.

- Słyszeliście może, czy pojawiły się jakieś nowe przypadki? - zapytał Jack.

Laurie i Chet spojrzeli na siebie, a potem pokręcili przecząco głowami.

Jack odsunął krzesło, wstał i podszedł do wiszącego na ścianie telefonu. Zadzwoił na

dół i zadał to samo pytanie dyżurującemu portierowi. Odpowiedź była negatywna. Wrócił do stolika i zajął swoje miejsce.

- Tak, tak - odezwał się z zastanowieniem. - Czy to nie dziwne, że nie ma kolejnych przypadków?

- Powiedziałabym, że to dobre wieści - odpowiedziała Laurie.

- Ja również - dodał Chet.

- Czy któreś z was zna jakiegoś internistę w General? - zapytał Jack.

- Znam - przytaknęła Laurie. - Jedna z moich koleżanek ze studiów tam pracuje.

- To może zadzwonimy do niej i dowiemy się, ilu chorych mają w tej chwili pod opieką - zaproponował Jack.

Laurie wzruszyła ramionami i bez protestów poszła w stronę telefonu, przez który wcześniej rozmawiał Jack.

- Nie podoba mi się wyraz twoich oczu - stwierdził Chet.

- Nic na to nie poradzę. Podobnie jak przy poprzednich wybuchach, zaczynają się pojawiać trochę kłopotliwe fakty. Przed chwilą badaliśmy zwłoki najbardziej zainfekowane meningokokami, jakie widzieliśmy w życiu, i nagle bum! Żadnych więcej przypadków, kurek został zakręcony. O tym właśnie wcześniej mówiłem.

- Czy nie taka jest charakterystyka choroby? - zauważył Chet, - Wznoszenie się i opadanie.

- Nie przy takim tempie rozwoju choroby - stwierdził stanowczo Jack. Zamilkł na chwilę. - Zaczekaj - odezwał się po chwili. - Właśnie o czymś pomyślałem. Wiemy, kto przy tej serii umarł jako pierwszy, ale nie wiemy, kto był ostatni.

- Nie wiem, ale mamy wszystkie teczki.

Wróciła Laurie.

- Obecnie nie mają żadnych chorych - oznajmiła. - Lecz w szpitalu nie uważają, że najgorsze mają za sobą. Zaczęli masową akcję szczepień i chemioprophylaktykę. Panuje u nich olbrzymie zamieszanie.

Obaj, Jack i Chet, lekko chrząknęli, słysząc wieści z Manhattan General. Zajęci byli przeglądaniem ośmiu teczek i sporządzaniem krótkich notatek na serwetkach.

- Chłopcy, co wy robicie? - zapytała Laurie, widząc kolegów pochłoniętych pracą.

- Staramy się dojść do tego, kto był ostatnią ofiarą - wyjaśnił Jack.

- Na Boga, po co?

- Nie jestem pewien - przyznał Jack.

- Mam - odezwał się Chet. - Imogene Philbertson.

- Naprawdę? Pokaż - poprosił Jack.

Chet odwrócił świadectwo zgonu na stronę, gdzie była wypisana godzina śmierci.

- Nie do wiary - skomentował informację Jack.

- Co znowu? - zapytała Laurie.

- Była jedyną z ofiar, która pracowała w zaopatrzeniu - wyjaśnił.

- I to ma dla ciebie takie znaczenie?

Jack zastanowił się dłuższą chwilę, w końcu pokręcił głową.

- Nie wiem. Muszę przyrzeć się pozostałym seriom. Jak wiecie, w przypadku

pojawienia się każdej z chorób umierał ktoś z zaopatrzenia. Muszę sprawdzić, czy to jest ślad, który przeoczyłem.

- Nie bardzo zdziwiliście się moją informacją na temat braku kolejnych zachorowań.

- Ja owszem - odparł Chet. - A Jack, cóż, widzi w tym tylko potwierdzenie swojej teorii.

- Obawiam się, że przyprawi to również o frustrację naszego hipotetycznego terrorystę

- wtrącił Jack. - I zapewne nauczy go czegoś dla nas bardzo niefortunnego.

Laurie i Chet ze zniecierpliwieniem wywrócili oczami, wydając przy tym donośne westchnienia.

- No dajcie już spokój - skarcił ich Jack. - Wysłuchajcie mnie. Tak dla świętego

spokoju rozważmy wszelkie za i przeciw. Załóżmy, że mam rację co do istnienia szaleńca, który chce wywołać epidemię. Najpierw sięga po najgroźniejsze, najbardziej egzotyczne choroby, jakie potrafi wymyślić, ale nie wie, że nie rozchodzą się one przez prosty kontakt

chorego ze zdrowym. Rozprzestrzeniane są przez owady, które z kolei potrzebują jakiegoś jednego ośrodka zakażenia. Po kilku próbach zorientował się, w czym rzecz, i sięgnął po chorobę, która roznosi się drogą kropelkową. Jednak wybrał meningokoki. A problem z nimi jest taki, że również nie rozchodzą się przez zwykły kontakt z zarażonym. Uodporniony na bakterie nosiciel roznosi zarazki tu i tam. Więc teraz nasz szaleniec jest już na pewno wściekły, ale i wie, czego mu potrzeba. Poszuka choroby, która jest roznoszona głównie przez zwykły kontakt człowieka z człowiekiem.

- A ty co byś wybrał w tej hipotetycznej sytuacji? - zapytał lekceważącym tonem Chet.

- Pomyślmy. - Jack znowu zamilkł na dłuższą chwilę. - Użyłbym odpornych na leki szczepów bakterii błonicy lub krupu. Ponowne pojawienie się tych staromodnych chorób narobiłoby sporego zamieszania. Albo wiecie co jeszcze mogłoby się znakomicie sprawdzić? Grypa! Jakaś zmutowana odmiana wirusa grypy.

- Cóż za wyobrażenia - skomentował Chet.

Laurie wstała.

- Muszę wracać do pracy. Ta rozmowa jest dla mnie zbyt hipotetyczna.

Chet zrobił to samo.

- Hej, nikt nie zamierza się wypowiedzieć?!

- Przecież wiesz, co sądzimy - powiedział Chet. - To taka intelektualna masturbacja.

Wygląda, że im więcej o tym myślisz i mówisz, tym bardziej w to wierzysz. No wiesz, gdyby chodziło o jedną chorobę, to jeszcze, ale o cztery? Skąd on wzięłby te wszystkie zarazki? To nie jest towar, który mogą ci dostarczyć na zamówienie z pobliskich delikatesów. Zobaczymy się na górze.

Jack patrzył, jak Chet i Laurie odnieśli swoje tacki i wyszli ze stołówki. Siedział sam

przy stoliku i zastanawiał się nad tym, co powiedział Chet. A Chet wskazał na ważną sprawę, która dotychczas nie zwróciła jego uwagi. Skąd ktoś mógł wziąć zmutowane bakterie wywołujące ostre stany chorobowe? Zupełnie nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

Wstał, wyrzucił tackę i opakowanie po kanapce i podążył za kolegami na czwarte piętro. Gdy wszedł do pokoju, Chet pochłonięty już był pracą i nawet nie podniósł głowy.

Jack usiadł przy biurku, zebrał wszystkie swoje teczki oraz notatki i sprawdził godziny zgonu kobiet z zaopatrzenia. Zaopatrzenie straciło do tej pory cztery pracownice. Pomyślał, że wobec tak gwałtownego ubytku pracowników, szef działu zaopatrzenia musi zatrudnić szybko następców.

Później sprawdził czas śmierci pozostałych zmarłych. Żeby ustalić wszystkie dane osób, których nie badał, zadzwonił do Barta Arnolda, szefa asystentów medycznych.

Kiedy już zgromadził wszystkie informacje, natychmiast stało się oczywiste, że przy każdej serii ostatnią ofiarą stawała się kolejna kobieta z działu zaopatrzenia. To z kolei sugerowało, choć nie udowadniało w sposób ostateczny, że za każdym razem pracownice zaopatrzenia zostały zainfekowane jako ostatnie. Sam siebie zapytał, co to oznacza, ale nie potrafił tego wyjaśnić. Niemniej fakt ten był niezwykle dziwny.

- Muszę jechać do General - oświadczył nagle i wstał.

Chet nawet nie podniósł wzroku.

- Rób, jak uważasz - powiedział tylko z rezygnacją w głosie. - Moje zdanie i tak się nie liczy.

Jack włożył kurtkę.

- Nie bierz tego do siebie - odpowiedział. - Doceniam twoją troskę, ale muszę tam iść.

Muszę odkryć to dziwne powiązanie z zaopatrzeniem. Możliwe, że chodzi o zbieg okoliczności, uważam jednak, że to mało prawdopodobne.

- Co z Binghamem i tym gangiem, o którym wspomniała Laurie? - zapytał Chet. -

Narażasz się na wielkie ryzyko.

- Takie jest życie - oświadczył sentencjonalnie Jack. Klepnął Cheta w ramię i już zamierzał wyjść, gdy zadzwonił telefon na jego biurku. Zawahał się, czy tracić czas na rozmowę. Zapewne dzwonił ktoś z laboratorium.

- Mam odebrać? - zapytał Chet, widząc wahanie kolegi.

- Nie, skoro tu jestem, mogę sam się tym zająć - odparł i cofnął się do biurka. Podniósł słuchawkę.

- Dzięki Bogu, jesteś tam! - usłyszał głos Teresy. Powiedziała to z wyraźną ulgą. -

Bałam się, że cię nie zastanę, a przynajmniej nie na czas.

- A co się takiego wydarzyło? - zapytał. Czuł, że serce jak zaczęło mu bić szybciej. Z tonu głosu wyczuwał, że jest zdenerwowana.

- Katastrofa - odpowiedziała. - Muszę cię natychmiast widzieć. Czy mogę wpaść do ciebie do biura?

- Co się stało?

- Nie mogę teraz mówić. Po tym, co się stało, nie mogę ryzykować. Po prostu muszę się z tobą zobaczyć.

- Sami jesteśmy w dość krytycznej sytuacji - oznajmił Jack. - Właśnie wychodziłem z biura.

- To bardzo ważne. Proszę! - Nalegała. Jack zmiękł, szczególnie gdy przypomniał sobie troskliwość, z jaką Teresa potraktowała go w piątkowy wieczór.

- Dobrze. Skoro miałem wyjść, to wyjdę i spotkam się z tobą. Gdzie się umówimy?

- Jedziesz na północ czy południe miasta?

- Na północ.

- To w takim razie spotkajmy się w tej samej kawiarni, w której byliśmy w niedzielę.

- Zaraz tam będę - obiecał Jack.

- Cudownie! Będę czekać - oświadczyła i odłożyła słuchawkę.

Jack także odłożył słuchawkę i zaskoczony spojrzał na Cheta.

- Słyszałeś cokolwiek?

- Trudno było nie słyszeć. Jak sądzisz, co się stało?

- Nie mam zielonego pojęcia - odparł Jack.

Zgodnie z obietnicą od razu poszedł na umówione spotkanie. Po wyjściu z budynku medycyny sądowej złapał taksówkę. Pomimo popołudniowego ruchu stosunkowo szybko dostał się na miejsce.

Kawiarenka była zatłoczona. Dostrzegł Teresę siedzącą tyłem do sali. Usiadł obok.

Nie wykonała najmniejszego ruchu, żeby wstać. Ubrana była jak zwykle w elegancką sukienkę. Szczęki miała zaciśnięte. Wyglądała na zagniewaną.

Pochyliła się w jego stronę.

- Nie uwierzysz - stwierdziła tajemniczym szeptem.

- Czyżby zarząd firmy odrzucił projekt kampanii? - zapytał Jack. Wyłącznie takie nieszczęście przyszło mu do głowy.

Teresa machnęła od niechcenia ręką.

- Zrezygnowałam z prezentacji.

- Dlaczego?

- Ponieważ miałam przecucie i umówiłam się na wczesne śniadanie z kobietą, która ma dobre stosunki z National Health. Jest wiceprezesem od spraw marketingu. Miałam okazję studiować z nią w Smith College. Chciałam przez nią trafić z kampanią do naszych grubych ryb. Szłam na pewniaka. A ona tymczasem oznajmiła mi, że bez względu na wszystko

kampania padnie.

- Ale dlaczego? - zapytał zaciekawiony Jack. Chociaż bardzo nie lubił reklam związanych z medycyną, to musiał przyznać, że pomysł Teresy był najlepszym w tej branży, z jakim się spotkał.

- Ponieważ National Health panicznie się boi wzmianki o infekcjach szpitalnych. -

Znowu się pochyliła i szepnęła: - Podobno niedawno mieli jakieś swoje problemy.

- Jakie problemy?

- Nic podobnego do Manhattan General. Ale nie mniej poważne, zakończone również kilkoma zgonami. Jednak najbardziej rozżłościła mnie informacja, że ludzie z finansowego, a dokładniej Helen Robinson i jej szef Robert Baker, o wszystkim wiedzieli, a nie powiedzieli mi ani słowa.

- To sprzeczne z interesem firmy - zauważył Jack. - Myślałem, że wy, ludzie interesu, współpracujecie ze sobą dla wspólnego celu.

- Sprzeczne! - nieomal krzyknęła Teresa, zwracając na siebie uwagę bliżej siedzących gości. Zamknęła na chwilę oczy, aby się uspokoić.

- „Sprzeczne z interesem firmy” nie jest zwrotem, którego bym użyła - powiedziała, starając się trzymać emocje na wodzy. - Słowa, które byłyby właściwe, wywołałyby jednak ciemny rumieniec. Widzisz, to nie przeoczenie. Zostało to zrobione celowo. Chcieli, abym źle wypadła w czasie prezentacji.

- Przykro mi to słyszeć. Rozumiem, że mogło cię to zdenerwować.

- To jasne. Jeżeli w ciągu najbliższych kilku dni nie wymyślę czegoś nowego, moje marzenia o awansie zostaną pogrzebane raz na zawsze.

- Kilka dni? - zapytał Jack. - Z tego, co mi pokazałaś, wynikało, że wyprodukowanie czegoś podobnego jest niemal niemożliwe w kilka dni.

- No właśnie - potwierdziła Teresa. - Dlatego musiałam się z tobą zobaczyć.

Potrzebuję nowego punktu zaczepienia. Ty wpadłeś na pomysł z infekcją, a przynajmniej byłeś dla mnie inspiracją. Nie mógłbyś wymyślić czegoś innego? Wokół czego zdołałabym opleść nową kampanię reklamową. Jestem naprawdę zdesperowana!

Jack zamknął oczy i zastanowił się. Nie opuszczało go uczucie, iż życie kpi sobie z niego. Sytuacja stawała się ironiczna - im bardziej gardził reklamą w medycynie, tym bardziej musiał wysilać umysł, by znaleźć pomysł na następną. Mimo wszystko chciał pomóc Teresie, przecież była mu tak życzliwa.

- Powodem, dla którego uważam reklamy medyczne za wyrzucanie pieniędzy, jest to, że koniec końców bazują na poważnych uproszczeniach. Problem w tym, że bez wskazania na jakość usług jako rezultat pracy wielkie spółki medyczne, jak AmeriCare czy National Health, czy jeszcze inne, nie różnią się od siebie.

- Nie dbam o to. Daj mi tylko punkt zaczepienia.

- Cóż, jedyne, co mi w tej chwili przychodzi do głowy, to czekanie.

- Co to znaczy „czekanie”?

- No wiesz, nikt nie lubi czekać na lekarza, a jednak każdy czeka. To jedna z tych dokuczliwych i powszechnie występujących przykrości.

- Masz rację! - zawołała podekscytowana Teresa. - Znakomite! Już widzę slogan reklamowy: „W National Health nie czekasz”, albo lepiej: „Nie musisz na nas czekać, to my czekamy na ciebie!” Boże! To wspaniałe! Jesteś geniuszem. Chcesz zmienić pracę?

Jack zaśmiał się pod nosem.

- To by dopiero była przygoda. Ale na razie mam dość kłopotów z tą, którą wykonuję.

Nowe nie są mi potrzebne.

- Jakies poważne sprawy? Co miałeś na myśli, mówiąc, że jesteście w krytycznej

sytuacji?

- W Manhattan General mają nowe zmartwienie. Tym razem pojawiła się choroba wywołana przez meningokoki. Mogą być wyjątkowo śmiertelne i właśnie z takimi mamy tu do czynienia.

- Ilu chorych?

- Ośmioro. W tym dziecko.

- Okropne. - Teresę zatrwożyły wieści ze szpitala. - Uważasz, że to się może rozprzestrzenić?

- Początkowo się tego bałem - powiedział. - Myślałem, że będziemy mieli prawdziwą epidemię. Ale choroba nagle ustała. Jak dotąd, poza pierwszymi ofiarami nie ma dalszych przypadków.

- Mam nadzieję, że to nie będzie trzymane w tajemnicy, tak jak, cokolwiek to było, w przypadku National Health.

- Nie musisz się obawiać. To nie jest żadna tajemnica. Słyszałem, że szpital powoli opanowuje panika. Ale zapoznam się ze sprawą osobiście. Właśnie tam jadę.

- O nie, nie pojedziesz! - zarządziła Teresa. - Czyżby z twojej pamięci uleciał już piątkowy wieczór?

- Jakbym słyszał kolegów w pracy - skomentował jej reakcję. - Doceniam twoją troskę, lecz nie mogę pozostać na uboczu. Mam przeczucie, że ktoś celowo wywołuje kolejne śmiertelne infekcje, a sumienie nie pozwala mi tego przeczucia ignorować.

- A co z tymi, którzy cię napadli?

- Będę musiał być bardziej ostrożny.

Teresa prychnęła lekceważąco.

- Być ostrożnym to za mało, biorąc pod uwagę twój własny opis chuliganów, z

którymi się spotkałeś.

- Muszę zaryzykować i improwizować. Jadę do Manhattan General i nie obchodzi mnie, kto co powie - zdecydował twardo Jack.

- Nie potrafię zrozumieć, co cię tak pociąga w sprawie owych zachorowań. Czytałam, że generalnie rzecz biorąc, notuje się wzrost zachorowań na takie choroby.

- To prawda, ale nie dotyczy to celowo rozsiewanych śmiertelnych bakterii. Dzieje się tak z powodu niewłaściwego stosowania antybiotyków, z powodu urbanizacji i inwazji bakteriologicznej z dziewiczych obszarów.

- Chwileczkę - przerwała Teresa. - Ja martwię się o ciebie, o to, że wpędzasz się w kłopoty albo jeszcze gorzej, a ty serwujesz mi wykład?

Jack wzruszył ramionami.

- Jadę do szpitala - powiedział.

- Świetnie, jedź! - Wstała od stolika. - Jesteś więc tym śmiesznym bohaterem, którego z obawą w tobie podejrzewałam. - Złagodniała nagle. - Rób, co musisz, ale jeżeli będziesz mnie potrzebował, zadzwoń.

- Na pewno - przyrzekł.

Patrzył za nią, gdy w pośpiechu opuszczała kawiarnię, zastanawiając się, jak niezwykle mieszaniną ambicji i troskliwości była. Nic dziwnego, że w jej towarzystwie czuł się zakłopotany - w jednej chwili atrakcyjna nad miarę, w drugiej trudna do zniesienia.

Dopił kawę i wstał. Zostawił napiwek i także pośpieszył do swego celu.

Rozdział 24

Poniedziałek, godzina 14.30, 25 marca 1996 roku

Jack energicznym krokiem zmierzał w stronę Manhattan General. Po rozmowie z

Teresą potrzebował świeżego powietrza. Poruszyła go do głębi, i to nie tylko uczuciowo.

Miała przecież rację co do Black Kings. Im bardziej bronił się przed myślami o zagrożeniu, tym łatwiej przychodziło mu pokonać strach. W głowie kłębiły mu się pytania. Kogo zirytował do tego stopnia, że nasłał na niego gang? Czy to potwierdza jego przypuszczenia? Niestety nie umiał znaleźć na nie odpowiedzi. Obiecał Teresie, że będzie ostrożny. Kłopot w tym, że nie bardzo wiedział, wobec kogo ma zachowywać ostrożność. W grę wchodził Kelley, Zimmerman, Cheveau lub Abelard, ponieważ ich najbardziej zdenerwował. Powinien unikać każdej z tych osób.

Gdy minął ostatni narożnikowy dom, stało się jasne, że w szpitalu dzieją się rzeczy niecodzienne. Przy chodniku stało kilku policjantów na koniach, a przy głównym wejściu dwóch umundurowanych funkcjonariuszy, zapewne z pobliskiego komisariatu. Jack zatrzymał się na chwilę, aby im się przyjrzeć. Zauważył, że przede wszystkim zajmują się rozmową, mniej innymi sprawami.

Jack nie wiedział, jakie przydzielono im zadanie, zdecydował się więc podejść i zapytać.

- Mamy zniechęcać ludzi do wchodzenia do szpitala - wyjaśnił jeden z policjantów. -

Wybuchła tam jakaś epidemia, ale podobno opanowali już sytuację.

- Prawdę powiedziawszy, mieliśmy zapanować nad tłumem - wyznał drugi z nich. -

Wcześniej spodziewali się problemów, bo chcieli zamknąć szpital na okres kwarantanny, ale teraz się uspokoiło.

- Za co wszyscy powinniśmy być wdzięczni - dodał Jack. Zamierzał wejść do środka, ale jeden z policjantów powstrzymał go.

- Jest pan pewien, że chce pan tam wejść? - zapytał Jacka.

- Niestety tak - odpowiedział zatrzymany.

Policjant wzruszył tylko ramionami i pozwolił mu przejść.

Za drzwiami Jack natknął się na umundurowanego strażnika szpitalnego z maską ochronną na twarzy.

- Bardzo mi przykro, lecz nie ma dzisiaj żadnych wizyt.

Jack wyjął swoją odznakę lekarską.

- Przepraszam, panie doktorze - odpowiedział strażnik i odsunął się.

Chociaż na zewnątrz szpital wydawał się wyciszony, wewnątrz panowało spore zamieszanie. Hall wypełniony był ludźmi. Wszyscy mieli maski na twarzy, co sprawiało niesamowite wrażenie.

Ponieważ od dwunastu godzin nikt nie zachorował, Jack uznał maskę za środek zbyt bezużyteczny. Jednak postanowił założyć ją tak jak wszyscy, nie po to, by chronić się przed zarazkami, raczej po to, by łatwiej zniknąć w tłumie. Podeszedł do punktu informacyjnego, gdzie w kilku pudełkach wyłożone były maski, i włożył jedną z nich na twarz.

Następnie poszukał szatni lekarskiej. Kiedy wszedł do środka, jeden z lekarzy właśnie wychodził. Jack zdjął kurtkę i poszukał dla siebie fartucha lekarskiego w odpowiednim rozmiarze. W końcu znalazł, włożył go, i tak przebrany wrócił do hallu głównego.

Celem Jacka był dział zaopatrzenia. Czuł, że jeśli miałby się czegoś z tej wizyty dowiedzieć, to właśnie tam. Wsiadł do windy i pojechał na drugie piętro. Z zaskoczeniem stwierdził, że w porównaniu z poprzednią wizytą gwałtownie zmniejszyła się liczba pacjentów na korytarzu. Rzut oka przez oszklone drzwi w stronę sekcji operacyjnej wyjaśnił przyczynę zmniejszonego ruchu na korytarzu. Sale operacyjne były chwilowo zamknięte. Wiedząc co nieco o problemach finansowych AmeriCare, Jack domyślił się, że to one są przyczyną ograniczenia działań szpitalnych.

Pchnął wahadłowe drzwi i wszedł do działu zaopatrzenia. Nawet tu krzątająca się znacznie osłabła. Dostrzegł tylko dwie kobiety stojące przy końcu jednego z regałów

sięgających od podłogi po sufit. Jak wszyscy, których widział w szpitalu, i one nosiły maski. Najwidoczniej rzeczywiście poważnie potraktowano tu ostatnią serię zachorowań. Omijając przejście między regałami, w którym stały kobiety, Jack udał się do biura Gladys Zarelli. W czasie pierwszej rozmowy zachowywała się przyjaźnie, chętnie udzielała wyjaśnień, a ponadto zajmowała kierownicze stanowisko. Trudno byłoby Jackowi znaleźć w tej chwili kogoś bardziej odpowiedniego.

Przechodząc przez magazyn, spoglądał z zaciekawieniem na niezliczoną liczbę przedmiotów stanowiących wyposażenie szpitala. Widząc takie bogactwo sprzętów, zastanowił się, czy jest wśród nich jakiś przedmiot, którego używały wszystkie ofiary śmiertelnych infekcji. Myśl była interesująca, lecz nie potrafił sobie wyobrazić, jak to mogło pomóc w rozwiązaniu zagadki. Pytanie, w jaki sposób pracownicy zaopatrzenia mogły zetknąć się z pacjentami i zarazić od nich, ciągle pozostawało bez odpowiedzi. Jak mu powiedziano, pracownicy tego działu widywali chorych niezmiernie rzadko, jeżeli w ogóle. Jack zastał Gladys w jej biurze. Rozmawiała przez telefon, ale gdy zobaczyła Jacka, serdecznym gestem zaprosiła go do środka. Usiadł na krzeselku naprzeciwko jej wąskiego biurka. Jak przewidywał, Gladys zajęta była poszukiwaniem osób, które zastąpiłyby zmarłe pracownice.

- Przepraszam, że musiał pan czekać - powiedziała, odłożywszy słuchawkę. Pomimo kłopotów była równie uprzejma jak poprzednim razem. - Potrzebuję na gwałt pomocy.

Jack przypomniał jej, kim jest, ale Gladys oświadczyła, że dobrze go pamięta i poznała go nawet w masce. Tak się starał, aby go nie rozpoznano, a tu masz.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało - powiedział Jack. - Musi to być trudne dla pani z wielu powodów.

- Przeróżające - przyznała Gladys. - Po prostu przeróżające. Któż mógłby się

spodziewać? Cztery wspaniałe kobiety!

- Tak, to szokujące. Szczególnie, że to takie niezwykle. Jak powiedziała pani w czasie naszej pierwszej rozmowy, nikt z pani działu nigdy nie zaraził się poważną chorobą.

Gladys uniosła ręce i spojrzała w górę.

- Cóż można począć? Wszystko w rękach Boga.

- Może i w rękach Boga. Zwykle jednak istnieje jakiś sposób na wytłumaczenie podobnej serii śmiertelnych zarażeń. Czy w ogóle zastanawiała się pani nad tym?

Natychmiast przytaknęła.

- Myślałam o tym tak intensywnie, że aż nie mogłam spać. Ale nie mam pojęcia.

Nawet jeśli nie chciałabym o tym myśleć, to i tak wszyscy zadają mi te same pytania.

- No tak - odpowiedział rozczarowany Jack. Nierozsądnie łudził się, że bada dziewicze obszary.

- Zaraz po panu, w czwartek, przyszła tu doktor Zimmerman - poinformowała go

Gladys. - Był z nią ten mały, dziwny człowiek, co to brodę ma bez przerwy wyciągniętą do góry, jakby miał koszulę z ciasnym kołnierzykiem.

- Opis pasuje do doktora Abelarda - powiedział Jack, czując, że porusza się po pewnym gruncie.

- Tak się nazywał - potwierdziła Gladys. - Zadawał mnóstwo pytań. Przychodzili tu za każdym razem, gdy zachorowała kolejna osoba. Dlatego wszyscy nosimy maski. Zszedł do nas nawet pan Eversharp z technicznego sprawdzić, czy aby system wentylacji się nie zepsuł, czy coś takiego, ale wszystko okazało się w porządku.

- Więc nie znaleźli żadnego wyjaśnienia? - zapytał.

- Nie. Chyba że nie powiedzieli mi o tym. Ale wątpię. Ruch tu był jak na dworcu centralnym. Dawniej prawie nikt do nas nie zaglądał. Chociaż niektórzy z tych lekarzy, tak

myślę, są nieco dziwni.

- To znaczy?

- Tajemniczy, czy ja wiem. Na przykład ten doktor z laboratorium. Ostatnio często się pojawiał.

- Mówi pani o doktorze Cheveau?

- No chyba tak się nazywa - przytaknęła.

- Dlaczego wydał się pani dziwny?

- Taki nieprzyjemny. - Zniżyła głos, jakby wyjawiała sekret. - Kilka razy zapytałam, czy mogę mu w czymś pomóc, a on za każdym razem zbywał mnie w opryskliwy sposób.

Mówił, żeby go zostawić w spokoju. Ale rozumie pan, tu ja jestem szefową. Jestem przecież odpowiedzialna za całe wyposażenie. Nie lubię, kiedy ktoś się tu kręci, nawet jeśli to są lekarze. Musiałam mu to powiedzieć.

- Kto jeszcze zaglądał do pani?

- Cała gromada grubych ryb. Nawet pan Kelley. Zwykle widywałam go wyłącznie na bożonarodzeniowym przyjęciu, a w ciągu ostatnich kilku dni zszedł do mnie trzy, może cztery razy i zawsze w towarzystwie kilku osób. Raz z tym małym doktorem.

- Doktorem Abelardem? - zapytał dla pewności Jack.

- Tym samym - potwierdziła Gladys. - Nie mogę zapamiętać jego nazwiska.

- Nie chciałbym zadawać pani tych samych pytań co inni - wyznał Jack - ale czy pani zmarłe pracownice miały podobne zadania? Czy wspólnie wykonywały jakąś szczególną pracę?

- Jak już panu ostatnio mówiłam, wszyscy robimy to samo.

- Żadna z nich nie kontaktowała się z chorymi?

- Nie, nic podobnego. To była pierwsza rzecz, o którą pytała doktor Zimmerman.

- Kiedy byłem tu pierwszy raz, wydrukowała pani długą listę z wyposażeniem dostarczonym na siódme piętro. Czy może pani zrobić to samo, ale oddzielnie dla każdego pacjenta? - zapytał.

- To będzie nieco trudniejsze. Zamówienia przychodzą z poszczególnych pięter, a tam rozdzielają wszystko na sale chorych.

- Jest jakiś sposób, aby sporządzić taki spis?

- Chyba tak - odparła po zastanowieniu Gladys. - Gdy robimy inwentaryzację, dokonujemy podwójnego sprawdzenia z rachunkami i listami zamówień. Robię to nawet wtedy, kiedy nie wykonujemy oficjalnej inwentaryzacji.

- Doceniam to - przyznał Jack. Wyjął wizytówkę. - Może pani do mnie zadzwonić lub wysłać gotowe wydruki.

Gladys wzięła wizytówkę i dokładnie ją obejrzała.

- Zrobię wszystko, aby pomóc - zapewniła Jacka.

- I jeszcze jedno. Miałem drobne starcie z panem Cheveau i kilkoma innymi osobami stąd. Byłbym więc wdzięczny, gdyby wszystko zostało między nami.

- Mówiłam, że jest dziwny! - podchwyciła skwapliwie Gladys. - Nikomu nic nie powiem.

Jack pożegnał się z tą sympatyczną, krzepko wyglądającą kobietą i opuścił dział zaopatrzenia. Nie był w najlepszym humorze. Tak wiele oczekiwał, a to, czego się dowiedział, właściwie potwierdziło dotychczasowe obserwacje - Martin Cheveau łatwo wybuchał gniewem.

Wcisnął przycisk przy windzie i czekając na nią, zastanawiał się nad następnym ruchem. Miał dwie drogi: albo nie narażając się na niebezpieczeństwo, wymknie się ze szpitala, albo zachowując maksymalną ostrożność, złoży dyskretną wizytę w laboratorium.

Ostatecznie zdecydował, że to drugie rozwiązanie będzie lepsze. Musiał znaleźć odpowiedź na pytanie, skąd ktoś zdobywa bakterie chorobotwórcze.

Gdy drzwi windy otworzyły się, Jack zamierzał wejść do wnętrza kabiny, lecz nagle zawahał się. Na czele grupy osób stał sam Charles Kelley. Pomimo maski Jack natychmiast go rozpoznał.

W pierwszym odruchu chciał się cofnąć i pozwolić windzie zjechać, ale takie zachowanie mogłoby tylko wzbudzić podejrzenia. Spuścił więc głowę, wszedł do windy i odwrócił się przodem do zamykających się drzwi. Dyrektor szpitala stał tuż za nim. Jack oczekiwał, że lada chwila poczuje klepnięcie w ramię.

Szczęśliwie Kelley nie rozpoznał go. Całkowicie pochłonęła go rozmowa na temat kosztów przewiezienia chorych karetkami i autobusami do najbliższych szpitali. Poruszenie Kelleya było oczywiste.

Towarzysz Kelleya zapewniał go, że wszystko, co miało zostać zrobione, zrobione zostało, jak ocenili kontrolerzy stanowić i miejscy.

Kiedy drzwi otworzyły się na drugim piętrze, Jack z wyraźną ulgą wysiadł z windy.

Tym bardziej mu ulżyło, że Kelley pojechał niżej. Po tak bliskim spotkaniu zawahał się, czy dobrze robi, lecz po chwili wahania postanowił jednak złożyć błyskawiczną wizytę w laboratorium. W końcu i tak już był w szpitalu.

W przeciwieństwie do reszty szpitala w laboratorium panował niezwykle ruch.

Zewnętrzne pomieszczenie zatłoczone było personelem medycznym. Wszyscy oczywiście nosili maski.

Jack czuł się zaskoczony takim tłumem pracowników, z drugiej jednak strony był za to wdzięczny losowi, gdyż łatwiej mógł się w tym tłumie rozplątać. W masce i białym kitlu doskonale pasował do otoczenia. Wobec faktu, że laboratorium znajdowało się w centrum

zainteresowania, Jack miał uzasadnione obawy przed spotkaniem z doktorem Cheveau. Teraz szansę na to stały się niemal żadne.

W drugim końcu sali znajdował się szereg boksów używanych przez techników do badania krwi lub innych próbek pobieranych od pacjentów. Wokół nich skupiła się najliczniejsza grupa osób. Gdy przechodził ostrożnie przez salę, zrozumiał, co przyciągnęło ich uwagę. Całemu personelowi szpitala pobierano wymaz z gardła.

Zrobiło to na nim wrażenie. To było właściwe zachowanie wobec ostatniego wybuchu choroby. Skoro epidemie wywołane przez meningokoki pojawiały się najczęściej za sprawą nosicieli, zawsze można było się spodziewać, że jednym z nich jest pracownik szpitala. W przeszłości zdarzały się takie wypadki.

Spojrzenie rzucone w stronę ostatniego z boksów wprowadziło Jacka w lekkie zdumienie.

Pomimo maski i czepka na głowie rozpoznał Martina. Miał po prostu podwinięte rękawy i pracował jak każdy technik, pobierał wymazy z jednego gardła po drugim. Obok niego na tacy leżała imponująca piramida już pobranych wymazów. Oczywiście wszyscy pracownicy laboratorium ciężko pracowali. Czując się jeszcze bardziej bezpieczny, Jack prześlizgnął się przez drzwi do laboratorium wewnętrznego. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. W odróżnieniu od pandemonium panującego w przedsionku, w tej części laboratorium panowała cisza i spokój. Słysząc było jedynie przytłumione odgłosy pracujących urządzeń i popiskiwanie czujników. W polu widzenia nie pojawił się żaden technik.

Jack bez zastanowienia poszedł wprost do laboratorium mikrobiologicznego. Miał nadzieję natknąć się albo na szefa techników Richarda, albo na pełną życia i energii Beth Holderness. Ale nie zastał nikogo. Laboratorium mikrobiologiczne wydawało się opuszczone tak jak inne pomieszczenia.

Jack podszedł do miejsca, gdzie podczas ostatniej wizyty pracowała Beth. Tam znalazł

coś zachęcającego. Palnik Bunsena palił się. Obok niego leżała tacka z wymazami i naczynia z pożywką dla bakterii. Na podłodze stał plastikowy pojemnik na śmieci wypełniony odpadkami.

Czując, że Beth musi znajdować się gdzieś w pobliżu, Jack zaczął jej szukać.

Laboratorium zajmowało kwadratowe pomieszczenie o boku mniej więcej dziewięciu metrów, przedzielone dwoma szeregami stołów laboratoryjnych z półkami. Jack przeszedł środkowym przejściem. Pod tylną ścianą stało kilka stanowisk bioseptycznych. Skręcił w prawo i zajrzał do małego pomieszczenia. Było w nim biurko i szafa z segregatorami. Na tablicy ogłoszeń wisiało kilka fotografii. Nawet nie podchodząc bliżej, na kilku z nich rozpoznał Richarda, szefa laborantów.

Idąc dalej, minął kilkoro wypolerowanych, aluminiowych, hermetycznie zamykanych drzwi, wyglądających jak drzwi do lodówek. Zerkając na drugą stronę pomieszczenia, dostrzegł normalne drzwi, które, jak sądził, mogły prowadzić do magazynu. Już zamierzał skierować się w tamtą stronę, gdy nagle jedno z hermetycznych drzwi otworzyły się z lekkim trzaskiem, na który Jack aż podskoczył.

Wyszła przez nie Beth Holderness i omal nie zderzyła się z Jackiem. Za nią dało się wyczuć smugę gorącego, wilgotnego powietrza.

- Przeraziłeś mnie na śmierć! - zawołała, przyciskając ręce do piersi.

- Nie jestem pewien, kto kogo bardziej - odpowiedział Jack. Przypomniał jej, kim jest.

- Nie martw się, dobrze cię pamiętam. Wywołałeś małe zamieszanie i nie jestem pewna, czy powinieneś tu przychodzić.

- Och! - westchnął niewinnie Jack.

- Doktor Cheveau jest naprawdę wściekły na ciebie -zapewniła go Beth.

- Czyżby? Zauważyłem, że to raczej nieprzystępny człowiek.

- Jest nieznośny - przytaknęła Beth. - Ale Richard wspomniał coś o tym, że oskarżyłeś szefa o roznoszenie tych bakterii, które sprawiają nam tyle kłopotu w szpitalu.

- Prawda jest taka, że nigdy o nic nie oskarżałem twojego szefa - sprostował Jack. - To była jedynie ukryta sugestia, którą rzuciłem, kiedy mnie zirytował. Przyszedłem tu, żeby z nim porozmawiać. Naprawdę chciałem usłyszeć jego opinię na temat prawdopodobieństwa wystąpienia względnie rzadkich chorób w jednym miejscu, blisko siebie i o tej porze roku. Lecz z powodów mi nie znanych, był w równie niegościnnym nastroju jak w czasie poprzedniej wizyty.

- No cóż, muszę przyznać, że zaskoczył mnie sposób, w jaki cię wtedy potraktował - przyznała Beth. - Podobnie zresztą jak pan Kelley i doktor Zimmerman. Odniosłam wrażenie, że chcesz tylko pomóc.

Jack ledwo się powstrzymał od złapania tej uroczej, młodej damy w objęcia.

Wyglądało na to, że jest jedyną osobą na całej planecie, która docenia jego wysiłki.

- Przykro mi z powodu twojej koleżanki Nancy Wiggins. Domyślałam się, że dla was wszystkich musiało to być trudne.

Oblicze Beth posmutniało, w oczach zalśniły łzy.

- Może nie powinienem tego mówić - dodał, widząc reakcję dziewczyny.

- W porządku - powiedziała. - Ale to był prawdziwy szok. Boimy się oczywiście takich wypadków i bierzemy je pod uwagę, ale jednak wydawało się nam, że nic podobnego się nie zdarzy. Nancy była taką ciepłą osobą, nawet jeśli przy tym nieco nierozważną.

- Jak to?

- Nie była tak ostrożna, jak być powinna. Ryzykowała, nie używając osłon, gdy to było Wskazane, nie zakładając okularów ochronnych, kiedy wszyscy je zakładali.

Jack potrafił zrozumieć podobne zachowanie.

- Nie zażywała nawet antybiotyków przepisanych jej przez doktor Zimmerman po tym przypadku z dżumą.

- Jakże nierozmyślnie! To przecież mogło uratować ją przed gorączką Gór Skalistych.

- Wiem - powiedziała Beth. - Żałuję, że nie naciskałam na nią mocniej. Sama brałam, a nie sądzę, abym była wystawiona na niebezpieczeństwo zarażenia się.

- Czy wspomniała może, że w przypadku próbek od Lagenthorpe'a postąpiła inaczej?

- zapytał.

- Nie. Dlatego właśnie podejrzewamy, że zaraziła się tu, w laboratorium, podczas badania próbek. Riketsje w laboratoriach są wyjątkowym zagrożeniem.

Jack zamierzał coś odpowiedzieć, lecz spostrzegł, że Beth zaczyna się denerwować i z niepokojem zerka w przestrzeń za nim. Obrócił się i także spojrzął w tym kierunku, lecz niczego nie dostrzegł.

- Naprawdę powinnam już wrócić do pracy - powiedziała Beth. - No i nie powinnam z tobą rozmawiać. Doktor Cheveau specjalnie na to zwrócił uwagę.

- Nie wydaje ci się to dziwne? - zapytał. - W końcu jestem miejskim patologiem.

Zgodnie z prawem mogę badać przyczyny śmierci przywiezionych do nas pacjentów.

- Sądzę, że tak - zgodziła się. - Ale co mogę powiedzieć? Ja tylko tu pracuję. -

Przeszła obok Jacka i podeszła do swojego stanowiska.

Jack podążył za nią.

- Nie chciałbym być intruzem - zaczął - ale intuicja podpowiada mi, że w tym szpitalu dzieje się coś dziwnego. Dlatego ciągle tu wracam. Wielu ludzi przyjęło postawę defensywną, włączając w to twojego szefa. Oczywiście można to wyjaśnić. AmeriCare i ten szpital to interes, a takie wypadki w sposób skrajnie niekorzystny potrafią wpłynąć na kondycję finansową. Dla wielu ludzi to wystarczy, aby zacząć się dziwnie zachowywać. Według mnie

jednak chodzi o coś więcej.

- Więc co miałabym dla ciebie zrobić? - zapytała Beth. Usiadła na stołku i zaczęła przekładać bakterie z wymazów do naczyń z pożywką.

- Chcę cię poprosić, abys dokładnie wszystkiemu się przyglądała. Jeżeli chorobotwórcze drobnoustroje są roznoszone celowo, to muszą skądś pochodzić, a laboratorium mikrobiologiczne jest doskonałym miejscem do rozpoczęcia poszukiwań. Znajduje się tu dość odpowiedniego sprzętu i materiału. Zarazki dżumy to nie jest coś, co można znaleźć wszędzie.

- To znowu nie takie niemożliwe znaleźć zarazki dżumy w jakimś zwykłym laboratorium - odpowiedziała Beth.

- Tak? - zapytał Jack. Sądził, że poza Centrum Kontroli Chorób i może kilkoma akademickimi laboratoriami zarazki dżumy są rzadkością.

- Laboratoria muszą mieć kultury najróżniejszych bakterii do testowania skuteczności odczynników - wyjaśniła Beth, nie przerywając pracy. - Antyciała, które są często głównym składnikiem współczesnych odczynników, mogą ulec zniszczeniu, a jeżeli tak się stanie, testy będą prowadzić do fałszywych wyników.

- Och, rozumiem, oczywiście - zgodził się Jack. Poczul się głupio. Powinien był o tym wszystkim pamiętać. Wszystkie testy laboratoryjne musiały być ciągle sprawdzane. - Skąd bierzecie, dajmy na to, zarazki dżumy?

- Z Wirginii, z National Biologicals.

- Co musisz zrobić, aby otrzymać materiał?

- Po prostu dzwonię i zamawiam.

- Kto jest do tego upoważniony?

- Każdy.

- Żartujesz - powiedział z niedowierzaniem. Sądził, że w tych sprawach przestrzega się przynajmniej tych samych zasad bezpieczeństwa co w przypadku niektórych leków, jak na przykład morfiny.

- Nie żartuję. Robiłam to wiele razy.

- Nie potrzebujesz specjalnego pozwolenia?

- Na zamówieniu, które wysyłam, muszę mieć jedynie podpis dyrektora laboratorium.

Wymagają jednak tego tylko jako gwarancji, że szpital zapłacił za przesyłkę.

- Popraw mnie, jeśli się mylę - poprosił Jack. - Każdy może do nich zadzwonić i poprosić, aby przysłali mu bakterie wywołujące dżumę?

- Jeżeli dysponuje odpowiednim zasobem gotówki lub kredytem bankowym.

- W jaki sposób przysyłają kultury bakterii?

- Zazwyczaj pocztą. Ale jeżeli potrzebujesz ich natychmiast, przesyłają pocztą kurierską, oczywiście za dodatkową opłatą.

Jack był zaskoczony, ukrywał jednak swoje uczucia. Czuł się nawet zakłopotany własną naiwnością.

- Możesz mi podać numer telefonu do National Biologicals? - zapytał.

Beth otworzyła szufladę z zawieszkami, przejrzała ich tytuły i wyjęła odpowiednią teczkę. Otworzyła ją i wyjęła kartkę, wskazując na nadruk.

Jack przepisał numer telefonu, a następnie spojrział na aparat.

- Nie będziesz miała nic przeciwko temu, że skorzystam? -zapytał.

Beth przesunęła telefon w jego stronę, spoglądając jednocześnie na zegarek.

- Jeszcze tylko sekundkę - zapewnił ją Jack. Ciągle nie wierzył w to, co usłyszał.

Wykręcił przepisany numer. Odpowiedziała mu automatyczna sekretarka,

przedstawiając firmę i prosząc o wybranie właściwego numeru wewnętrznego. Wykręcił

dwójkę do działu sprzedaży. Tym razem przywitał go czarujący głos kobiety i zapytał, w czym można mu pomóc.

- Jestem doktor Billy Rubin i chciałbym złożyć u was zamówienie.

- Czy ma pan konto w National Biologicals?

- Jeszcze nie - odpowiedział. - To zamówienie chciałbym pokryć kartą kredytową American Express.

- Bardzo mi przykro, ale przyjmujemy wyłącznie kartę Visa lub MasterCard - wyjaśniła jego rozmówczyni.

- To żaden problem, mogę zapłacić kartą Visa.

- Doskonale. Czy mogę otrzymać pańskie zlecenie?

- Chciałbym dostać od was meningokoki.

Kobieta roześmiała się.

- Musi być pan bardziej precyzyjny. Potrzebuję grupę serologiczną, serotyp i podgrupę. Mamy tu setki odmian gatunkowych.

- Aha - odpowiedział Jack, udając, iż ktoś go woła. - Przepraszam, ale będę musiał zadzwonić później, mam wezwanie z izby przyjąć.

- Bardzo proszę - odpowiedziała kobieta. - Proszę dzwonić o każdej dogodnej porze.

Jak pan zapewne wie, pracujemy całą dobę.

Odłożył słuchawkę. Był zaskoczony.

- Mam wrażenie, że nie uwierzyłeś mi - odezwała się Beth.

- Nie uwierzyłem - przyznał. - Nie zdawałem sobie sprawy, że tak łatwo zdobyć taki materiał. Mimo wszystko chciałbym, abyś miała oczy szeroko otwarte i rozejrzała się, czy te zbrodnicze zarazki nie zostały gdzieś tu ukryte. Możesz to zrobić?

- Myślę, że tak - odpowiedziała jednak bez entuzjazmu.

- Ale proszę równocześnie o dyskrecję. I ostrożność. Niech to zostanie między nami.

Wyjął jedną z wizytówek i na odwrocie napisał swój domowy numer. Wręczył ją dziewczynie.

- Dzwonź o kaźdej porze dnia i nocy, jeśli cokolwiek odkryjesz lub z mojego powodu wpadniesz w jakieś tarapaty. Zgoda?

Beth wzięła wizytówkę, rzuciła na nią okiem i szybkim ruchem wsunęła do kieszeni fartucha.

- Zgoda.

- Nie będziesz miała nic przeciwko, jeżeli poproszę cię także o twój numer? Mogę mieć jeszcze kilka pytań. Mikrobiologia nie jest moją najmocniejszą stroną.

Beth zastanowiła się i po chwili wyjęła kartkę i zapisała na niej numer telefonu. Jack schował ją do portfela.

- Lepiej, żebyś już poszedł.

- Już znikam. Dziękuję za pomoc.

- Nie ma za co - odpowiedziała. Znowu była sobą.

Zakłopotany wyszedł z laboratorium mikrobiologicznego i skierował się do pomieszczenia, w którym pobierano wymazy. Ciągle nie mógł uwierzyć, jak łatwo można było otrzymać bakterie.

Kilka metrów przed wahadłowymi drzwiami łączącymi właściwe laboratorium z pomieszczeniem zewnętrznym Jack zatrzymał się jak zamurowany. Za drzwiami, tyłem do niego stał ktoś posturą do złudzenia przypominający Martina. Mężczyzna trzymał tacę pełną pobranych wymazów.

Jack poczuł się jak przestępca złapany na gorącym uczynku. Przez ułamek sekundy zapragnął zniknąć, ukryć się gdzieś. Jednak irytacja wywołana absurdalnym strachem

nakazała mu pozostać na miejscu.

Martin przytrzymał przez chwilę drzwi przed drugą osobą, którą okazał się Richard.

On także niósł tacę pełną wymazów. I to on właśnie pierwszy zauważył Jacka.

Martin rozpoznał Jacka pomimo maski.

- Cześć, chłopcy - przywitał się jowialnie Jack.

- Pan...! - zawołał Martin.

- Tak, to ja - potwierdził Jack. Aby rozwiać wszelkie wątpliwości, złapał za górną krawędź maski dwoma palcami i odsłonił twarz.

- Ostrzegano pana przed węszeniem tutaj - syknął Martin. - Nie znosimy intruzów.

- Nic z tego - odparł Jack i wyjął swą odznakę lekarza sądowego. Podsunął ją

Martinowi pod nos. - To oficjalna wizyta. W waszym szpitalu doszło do kilku kolejnych przypadków śmiertelnej infekcji. Chociaż tym razem udało wam się postawić właściwą diagnozę.

- Sprawdzimy, czy to na pewno wizyta urzędowa - ostrzegł Martin. Położył tacę z wymazami na najbliższym stole i szybkim ruchem chwycił słuchawkę telefonu. Zażądał połączenia z Charlesem Kelleyem.

- A tak z czystej ciekawości, może powiedziałby mi pan, dlaczego podczas pierwszego spotkania był pan tak miły, a podczas następnych zachowuje się pan tak nieuprzejmie?

- Dowiedziałem się o pańskim zachowaniu wobec pana

Kelleya oraz o tym, że pańska pierwsza wizyta nie została zlecona przez przełożonych.

Jack zamierzał odpowiedzieć, ale zadzwonił telefon. Zorientował się, że to sam

Kelley. Martin poinformował rozmówcę, że w laboratorium znalazł znowu myszkującego

doktora Stapletona.

Gdy Martin słuchał instrukcji Kelleya, Jack przesunął się i oparł o stół laboratoryjny.

Richard tymczasem stał jak wmurowany, ciągle trzymając swoją tacę z wymazami.

W czasie monologu szefa Martin pozwolił sobie jedynie na kilka przytaknięć i

zakończył rozmowę ostatnim: „Tak jest, proszę pana”. Odkładając słuchawkę, obdarzył Jacka lekceważącym uśmiechem.

- Pan Kelley kazał mi pana poinformować - oświadczył z wyższością - że osobiście zadzwoni do burmistrza, do pańskiego szefa i wszystkich stosownych władz. Złoży oficjalną skargę na pana za uporczywe nękanie personelu szpitalnego, który dokłada wszelkich starań, aby zapanować nad nadzwyczajnie trudną sytuacją. Kazał także powiedzieć, że za chwilę nasza straż szpitalna wyprowadzi pana poza teren szpitala.

- To niezwykle uprzejme z jego strony - odparł Jack. - Ale doprawdy nie trzeba mi wskazywać drogi do wyjścia. Prawdę powiedziawszy, to właśnie wychodziłem, kiedy się spotkaliśmy. Życzę panom miłego dnia.

Rozdział 25

Poniedziałek, godzina 15.15, 25 marca 1996 roku

- Tak się rzeczy mają - powiedziała Teresa, spoglądając na zespół pracujący nad zamówieniem National Health.

Do tej prezentacji Teresa i Colleen wciągnęły najlepszych pracowników, zwalniając ich od bieżących zadań.

- Wszystko jasne? - zapytała Teresa.

Wszyscy stali ściśnięci w biurze Colleen. Stłoczeni jak sardynki, głowa przy głowie.

Teresa wyjaśniła, że nowy pomysł, który zaprezentowały, bazuje na sugestiach Jacka.

- Mamy na to tylko dwa dni? - zapytała Alice.

- Obawiam się, że tak. Może uda mi się wyděbić jeszcze dzień, ale nie liczyłabym na to. Musimy dać z siebie wszystko.

Rozległy się pomruki niedowierzenia w powodzenie.

- Wiem, że proszę o wiele, ale fakty są takie, jak już wam mówiłam, że spotkaliśmy się z sabotażem działu finansowego. Otrzymałyśmy nawet poufną wiadomość, że po naszym blamażu mają zamiar wystąpić z „gadającymi głowami”, że zaprosili nawet kogoś znanego z programu telewizyjnego. Czekają więc na naszą kompromitację, ale nie wiedzą, że wystąpimy z nowym pomysłem - wyjaśniła Teresa.

- Jeśli o mnie chodzi, to pomysł z czekaniem i tak wydaje się lepszy od tego z czystością - stwierdziła Alice. - Byliśmy zmuszeni do zbyt technicznego potraktowania problemu i to całe zawracanie głowy z aseptyką. Ludzie na pewno uznają, że oszczędność czasu to lepszy pomysł.

- Poza tym można potraktować problem na wesoło - dodał ktoś inny.

- Mnie także bardziej podoba się ten pomysł z czekaniem; sama nie znoszę czekać u ginekologa. Zanim mnie przyjmie, jestem napięta jak struna w banjo - wtrąciła jedna z projektantek, wywołując ogólny śmiech.

- O to mi chodziło. To do roboty, moi drodzy. Pokażmy im, że przyparci do muru, potrafimy się bronić.

Wszyscy ruszyli do wyjścia, aby bez dalszej zwłoki zacząć pracę przy deskach.

- Chwileczkę! - zawołała nagle za nimi Teresa. - Jeszcze jedna sprawa. Obowiązuje nas tajemnica. Nie informujcie nawet kolegów zaangażowanych w inne projekty, nad czym pracujecie, jeżeli nie będzie to absolutnie konieczne. Nie chcę, żeby ktoś nabrał najmniejszych podejrzeń, że sprawy nie idą po ich myśli. Jasne?

Odpowiedział jej pomruk akceptacji i zrozumienia.

- Świetnie. Dłużej was nie zatrzymuję.

Pokój opustoszał, jakby ogłoszono alarm pożarowy. Teresa opadła na fotel Colleen, wyczerpana emocjami całego dnia. Jak co dzień pracę w reklamie zaczynała wcześnie rano na wysokich obrotach, by pod koniec padać z nóg. Teraz znajdowała się gdzieś pośrodku.

- Zapalili się. Byłaś świetna. Szkoda, że nie było przy tym kogoś z National Health - pochwaliła Teresę Colleen.

- Cóż, to dobry pomysł na kampanię reklamową. Pytanie tylko, czy zdołają z tego coś skleić.

- Postarają się z całych sił. Pobudziłaś w nich prawdziwą motywację.

- Boże, mam nadzieję, że się nie mylisz. Nie mogę pozwolić Barkerowi na wystawienie jakichś głupawych „gadających głów”. Cofnęlibyśmy się do czasów barbarzyńskich. Musielibyśmy się mocno wstydzić, gdyby klientowi spodobało się coś takiego i trzeba by zamówienie wykonać.

- Boże broń - wyraziła gorące życzenie Colleen.

- W takim wypadku wypadłybyśmy z tego interesu - stwierdziła Teresa.

- Nie popadajmy w skrajny pesymizm.

- Och, co za dzień. Na dodatek pogniewałam się na Jacka.

- Za co?

- Oznajmił, że jedzie do Manhattan General.

- Ho, ho - skomentowała Colleen. - Czy nie przed tym właśnie ostrzegał go ten gang?

- No właśnie. Ale spróbuj dogadać się z Bykiem. Jest tak cholernie uparty i lekkomyślny. Nie musiał tam iść. Mają specjalnych ludzi do chodzenia po szpitalach i sprawdzania wszystkiego. Pewnie w grę wchodzi jakaś samcza duma, musi odgrywać bohatera czy co. Sama nie wiem. Nie rozumiem go.

- Czyżbyś zaczęła się do niego przywiązywać? - zapytała z ożywieniem Colleen, zdając sobie sprawę, że temat dla Teresy jest drażliwy. Wiedziała dość o szefowej, aby mieć pewność, że unika romantycznych pułapek, chociaż chyba sama nie potrafiłaby powiedzieć dlaczego.

Teresa jedynie westchnęła.

- Coś mnie do niego ciągnie i równocześnie odpycha. Pomieszał moje szyki obronne, ale i mnie udało się go nieco odblokować. Zdaje się, że oboje dobrze czujemy się, rozmawiając z kimś, kto nas słucha.

- Brzmi zachęcająco - skwitowała Colleen.

Teresa wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

- Oboje dźwigamy spory bagaż osobistych doświadczeń. Ale dość o mnie. A jak twoja znajomość z Chetem?

- Znakomicie. Naprawdę odpowiada mi ten facet.

Jack miał wrażenie, że po raz trzeci ogląda ten sam film. Kolejny raz stał na dywaniku w gabinecie Bingham'a i znosił przedłużającą się tyradę szefa o tym, jak to musi wysłuchiwać gorzkich narzekań wszystkich urzędników rady miejskiej po kolei, skarżących się na Jacka Stapletona.

- Więc co tym razem może pan powiedzieć na swoje usprawiedliwienie? - Bingham zakończył wystąpienie dramatycznym pytaniem. Wyglądał na rozzłoszczonego nie na żarty, aż brakowało mu oddechu.

- Nie wiem, co powiedzieć - przyznał się Jack. - Mogę jedynie zapewnić, że moim zamiarem nie było rozdrażnianie tych ludzi. Po prostu szukałem informacji. Pojawilo się zbyt wiele pytań, na które nie potrafię odpowiedzieć.

- Jest pan jakimś cholernym paradoksem - odpowiedział Bingham. Najwyraźniej

uspokajał się. - Najpierw stawia pan znakomite diagnozy, a po chwili przyprawia człowieka o ból głowy. Byłem pod wrażeniem, kiedy Calvin opowiadał mi, jak stwierdził pan tularemię i gorączkę Gór Skalistych. Jakby siedziało w panu dwóch różnych facetów. Co ja mam zrobić?

- Wyrzucić tego wkurzającego, a zatrzymać porządnego - zasugerował Jack.

Bingham zdusił w sobie śmiech. Nie okazał nawet śladu rozbawienia.

- Patrząc z mojej perspektywy, głównym problemem wydaje się pańska krnąbrność.

Nie tylko zlekceważył pan moje polecenie, ale zrobił pan to dwukrotnie.

- Przyznaję się do winy - odparł Jack, unosząc ręce w geście poddania się.

- Czy to wszystko wynika z chęci osobistej zemsty na AmeriCare?

- Nie. Od tego się zaczęło, jednak sprawy osobiste dawno już zniknęły z pola

widzenia. Ostatnim razem zwróciłem pańską uwagę, że dzieje się tam coś dziwnego. Teraz

czuję to nawet silniej, a ludzie tam pracujący coraz bardziej przyjmują postawę defensywną.

- Defensywną, mówi pan? Przecież obraził pan kierownika laboratorium oskarżeniem o celowe rozprzestrzenianie zarazy?

- Ta historia została wyolbrzymiona - zaprotestował Jack. Wyjaśnił, że przypomniał

jedynie kierownikowi jego własne stwierdzenia o niezadowoleniu wywołanym obcięciem

budżetu laboratorium przez szefów AmeriCare. - Zachował się jak osioł. Próbowałem zapytać

go o opinię w sprawie możliwości rozprzestrzeniania się tych chorób, ale nie zamierzał nawet

dać mi szansy i w końcu mnie rozzłościł. Możliwe, że nie powinienem mówić tego, co

powiedziałem, czasami jednak nie potrafię się powstrzymać.

- Więc jest pan przekonany do tej swojej teorii? - zapytał Bingham.

- Nie wiem, czy jestem przekonany. Trudno mi jednak wszystko to uznać za zwykły

zbieg okoliczności. Do tego dochodzi dziwne zachowanie pracowników szpitala, poczynając

od szefa aż po niższy personel. - Jack przez chwilę zastanawiał się, czy nie powiedzieć o

napadzie, pobiciu i próbie zastraszenia, ale w końcu zrezygnował. Uznał, że mogłoby to go do reszty pograżyć.

- Po rozmowie z panią Markham, poprosiłem ją, aby skontaktowała ze mną szefa epidemiologii, doktora Abelarda. Gdy zadzwonił, spytałem go, czy uważa, że jest to celowe działanie. Chce pan wiedzieć, co odpowiedział?

- Nie mogę się doczekać - odparł Jack.

- Powiedział, że z wyjątkiem dżumy, której ciągle nie potrafia wyjaśnić, choć usilnie pracują nad tym w Centrum Kontroli Chorób, pozostałe przypadki da się racjonalnie wytłumaczyć. Ta Hard miała kontakt z dzikimi królikami, a Lagenthorpe przebywał na pustyni w Teksasie. No a jeśli chodzi o meningokoki to niestety mamy właśnie na nie sezon.

- Nie uważam, żeby sekwencje czasowe pasowały do tego scenariusza. Również przebieg choroby z klinicznego punktu widzenia nie zgadza się z...

- Wystarczy - przerwał Bingham. - Proszę pozwolić mi przypomnieć, że doktor Abelard jest epidemiologiem. Jest nie tylko lekarzem medycyny, ale ma specjalizację i doktorat. Całe zawodowe życie poświęcił wyjaśnianiu, dlaczego i jak powstają choroby zakaźne.

- Nie podważam jego kompetencji, jedynie wnioski. Od samego początku nie zrobił na mnie dobrego wrażenia.

- Jest pan wyjątkowo zawzięty - stwierdził Bingham.

- W czasie poprzednich wizyt mogłem stracić panowanie nad sobą - przyznał Jack - ale dzisiaj porozmawiałem tylko z kierowniczką działu zaopatrzenia i jedną z laborantek z mikrobiologii.

- Z telefonów, które otrzymałem, wynikało, że skutecznie utrudniał pan pracę nad opanowaniem epidemii wywołanej przez meningokoki.

- Bóg mi świadkiem - zaklął się Jack, unosząc rękę w geście przysięgi. - Pozwoliłem sobie wyłącznie na rozmowy z paniami Zarelli i Holderness, które akurat okazały się miłe i chętne do współpracy.
- Potrafi pan drażnić ludzi. Chyba zdaje sobie pan z tego sprawę?
- Zazwyczaj osiągam podobny efekt tylko wobec tych, których zamierzam sprowokować.
- Zaczynam odnosić wrażenie, że jestem jednym z nich -zauważył Bingham.
- Wręcz przeciwnie. Zirykowanie pana było absolutnie nie zamierzone.
- Chciałbym w to wierzyć.
- W rozmowie z panią Holderness, technikiem laboratoryjnym, odkryłem interesującą rzecz. Otóż każdy, kto posiada uzasadniony powód, może zadzwonić i przez telefon zamówić potrzebne bakterie. Firma wysyłająca nie dokonuje żadnego sprawdzenia klienta.
- Nie potrzeba licencji ani zezwolenia? - zapytał Bingham.
- Dosłownie nic.
- Cóż, o tym nie pomyślałem.
- Ani ja. Nie trzeba dodawać, że ta informacja zmusza do zastanowienia.
- Rzeczywiście - zgodził się Bingham. Zamyślił się nad tym, co usłyszał. Nagle ocknął się z zadumy. - Zdaje się, że znowu sprowadził pan rozmowę z zasadniczego toru - zauważył, przyjmując groźną postawę. - Zastanawiam się, co z panem zrobić.
- Zawsze może mnie pan wysłać na Karaiby. O tej porze roku jest tam niezwykle przyjemnie.
- Dość już tego impertynenckiego poczucia humoru. Staram się z panem rozmawiać poważnie.
- Będę uważał. Rzecz w tym, że przez ostatnie pięć lat mego życia cynizm przerodził

się w odruchowy sarkazm.

- Nie wyrzucę pana. Muszę jednak po raz kolejny ostrzec, że niebezpiecznie zbliżył się pan do takiej decyzji. Prawdę powiedziawszy, gdy odebrałem telefon z biura burmistrza, zamierzałem się panem rozstać. Zmieniłem jednak zdanie. Na razie. W jednej sprawie musimy jednak się porozumieć: Ma się pan trzymać z daleka od Manhattan General. Czy to jest w końcu jasne?

- Myślę, że ta sprawa została już załatwiona - zgodził się Jack.

- Jeżeli będzie pan potrzebował więcej informacji, proszę posłać asystenta. Przecież, psiakrew, od tego ich tu trzymamy.

- Będę o tym pamiętać - przyrzekł Jack.

- Dobrze. Niech już pan stąd idzie - powiedział Bingham, odsyłając go gestem dłoni.

Jack wstał i z ulgą opuścił gabinet szefa. Udał się prosto do siebie. W pokoju zastał Cheta rozmawiającego z George'em Fontworthem. Przecisnął się między nimi, zdjął kurtkę i powiesił ją na oparciu swojego krzesła.

- No i? - zapytał Chet.

- No i co?

- Jak to co? Pytanie dnia: Pracujesz jeszcze z nami?

- Niezwykle zabawne - skwitował Jack. Jego uwagę przykuły cztery duże, szare koperty leżące na stole. Wziął jedną do ręki. Miała z pięć centymetrów grubości. Nie była w żaden sposób oznakowana. Otworzył ją i wyjął zawartość. Okazało się, że ma przed sobą kopię kartoteki szpitalnej Susanne Hard.

- Widziałeś się z Binghamem? - zapytał Chet.

- Właśnie od niego wróciłem. Był słodki. Pragnął mnie pochwalić za zdiagnozowanie gorączki Gór Skalistych.

- Gówna prawda! - zawołał Chet.

- Naprawdę. Oczywiście zmył mi przy okazji głowę za wyprawę do General. - Nie przerywając rozmowy, Jack sprawdził zawartość pozostałych szarych kopert. Miał przed sobą wszystkie kartoteki pacjentów otwierających każdą kolejną serię zgonów.

- Warta była tego wizyta w szpitalu?

- Co rozumiesz przez „warta była”?

- No, czy dowiedziałeś się czegoś, co usprawiedliwiłoby wzniesienie kolejnej burzy?

Słyszeliśmy, że znowu wszystkich tam wnerwiłeś.

- Niewiele da się tu ukryć - skomentował Jack. - Ale rzeczywiście dowiedziałem się czegoś, czego nie wiedziałem. - Jack wyjaśnił Chetowi i George'owi procedurę zamawiania kultur bakterii.

- Wiedziałem o tym - powiedział George. - W czasie studiów pracowałem w wakacje w laboratorium mikrobiologicznym. Pamiętam, jak nasz kierownik zamawiał bakterie cholery. To właśnie ja je odbierałem. Ciarki mi chodziły po grzbiecie.

Jack spojrzał na George'a.

- Ciarki? Jesteś bardziej niepojęty, niż myślałem.

- Poważnie. Wielu z nas miało takie same odczucia. Biorąc pod uwagę, ile bólu, cierpienia i śmierci mogą te małe żyjątka wywołać, a może już wywołały, obcowanie z nimi stawało się równocześnie przerażające i podniecające, a trzymanie ich w ręku po prostu mnie porwało.

- Zdaje się, że mówiąc o ciarkach przechodzących po grzbiecie, mamy na myśli nieco inne odczucia - zauważył Jack. Wrócił do kartotek i uporządkował je chronologicznie. Na wierzchu znalazła się kartoteka Nodelmana.

- Mam nadzieję, że łatwy dostęp do bakterii chorobotwórczych nie utwierdza cię w

tych twoich paranoicznych podejrzaniach. Moim zdaniem nie stanowi to pozytywnego dowodu dla teorii o spisku - stwierdził Chet.

- Umm hmm - mruknął Jack. Zaczął już studiować otrzymane dokumenty. Postanowił je najpierw szybko przeczytać. Następnie dopiero wróci do początku i wszystko zbada dokładnie, detal po detal. Szukał, czy cztery badane przypadki można by w jakikolwiek sposób połączyć ze sobą. Przekonałby wszystkich, że nie przypadek rządził rozwojem wypadków.

Chet i George widząc, iż Jack jest pochłonięty pracą, wrócili do przerwanej rozmowy.

Piętnaście minut później George wstał i wyszedł. Gdy tylko zostali sami, Chet wstał podszedł do drzwi i zamknął je.

- Jakąś chwilę temu dzwoniła do mnie Colleen - oznajmił.

- Cieszę się razem z tobą - odpowiedział Jack, próbując się skoncentrować na kartotekach.

- Powiedziała, co zaszło w agencji. Myślę, że to śmierdzi. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby jeden dział firmy niszczył inny. To nie ma sensu.

Jack podniósł wzrok znad dokumentów.

- Mentalność biznesmenów. Żądza władzy jest najsilniejszą motywacją.

Chet usiadł.

- Colleen powiedziała również, że poddałeś Teresie znakomity pomysł na nową kampanię reklamową.

- Nie przypominaj. - Znowu skupił uwagę na kartach chorych. - Nie chcę być częścią tej sprawy. Nie rozumiem, dlaczego mnie o to prosiła. Przecież wie, co sędzę o reklamach w medycynie.

- Powiedziała także, że ty i Teresa nawiązaliście ze sobą kontakt.

- Naprawdę?

- Powiedziała, że nawet zwierzaliście się sobie. Myślę, że pasujecie do siebie.

- A podała jakieś szczegóły? - zapytał Jack.

- Nie odniosłem takiego wrażenia.

- Dzięki Bogu! - westchnął z ulgą Jack.

Kiedy zamiast odpowiedzi na kolejne kilka pytań Chet usłyszał tylko nieartykułowane mruknięcia, uznał, że Jack znowu pogрузzył się w lekturze, więc dał spokój i zabrał się do swojej pracy.

Przed siedemnastą trzydzieści Chet mógł ogłosić fajrant. Wstał i głośno się przeciągnął, mając nadzieję, że Jack odpowie tym samym. Tak się nie stało. Przez ostatnią godzinę nie ruszył się nawet, nie licząc przewracania stron i robienia notatek.

Chet zdjął kurtkę z uchwytu górnej szuflady szafy z dokumentami i kilkakrotnie chrząknął. Ciągle bez odpowiedzi. Wreszcie postanowił się odezwać.

- Hej, stary. Jak długo zamierzasz jeszcze tkwić w tej robocie?

- Aż ją skończę - odpowiedział zapytany, nie podnosząc wzroku.

- Umówiłem się na krótkie spotkanie z Colleen. Na szóstą. Interesuje cię to? Możliwe, że Teresa też przyjdzie. Zdaje się, że planują pracować przez całą noc.

- Zostaję tu. Bawcie się dobrze. Pozdrów je ode mnie.

Chet wzruszył ramionami, włożył kurtkę i wyszedł.

Jack już dwa razy prześledził informacje zawarte w kartotekach. Jak dotąd jedynym podobieństwem w czterech przypadkach było to, że u wszystkich symptomy śmiertelnej choroby rozwinęły się po przyjęciu do szpitala. Wszystkich przyjęto z powodu dolegliwości wywołanych inną chorobą. Ale gdy podszedł do problemu zgodnie z definicją, jedynie przypadek Nodelmana można było uznać za chorobę szpitalną. W pozostałych objawy

zaczęły występować przed upływem czterdziestu ośmiu godzin po przyjęciu.

Jedynym innym podobieństwem było to, wcześniej już odkryte, że zmarłych wielokrotnie hospitalizowano i dlatego z ekonomicznego punktu widzenia nie byli pożądanymi pacjentami dla kompanii pobierającej od każdego taką samą kwotę ubezpieczenia. Oprócz tego niczego nowego nie znalazł.

Wiek ofiar znacznie się różnił - od dwudziestu ośmiu do sześćdziesięciu trzech lat.

Dwoje leżało na oddziale wewnętrznym, jedna osoba na ginekologii i jedna na ortopedii. Nie zażywali tych samych leków. Podłączeni byli do kroplówki. Pod względem socjalnym także się różnili - od klasy niższej do górnej warstwy klasy średniej, nic nie wskazywało, by znali się nawzajem. W skład tej grupy wchodziła kobieta i trzech mężczyzn. Różnili się także grupą krwi.

Jack rzucił długopis na biurko, rozparł się na krześle i spojrzał w sufit. Nie wiedział, czego powinien oczekiwać po lekturze kartotek, ale też jak dotąd niczego się nie dowiedział.

- Puk, puk - zabrzmiał czyjś głos.

Odwrócił się i ujrzał w drzwiach Lamie.

- Widzę, że wycofałeś się z najazdu na General.

- Nie sądzę, żeby groziło mi jakieś niebezpieczeństwo, przynajmniej dopóki tu nie wróciłem - odparł.

- Rozumiem, co masz na myśli. Plotka niosła, że Bingham był wściekły.

- Szczęśliwy w każdym razie nie był, ale udało mi się przejść przez to.

- Boisz się tych, którzy cię napadli?

- Owszem, chociaż nie myślałem o nich za wiele. Bez wątpienia inaczej podejść do rzeczy, kiedy znajdę się sam w mieszkaniu.

- Przecież możesz wpaść do mnie, czuj się zaproszony. W pokoju dziennym mam

kanapę, która po rozłożeniu tworzy całkiem przyzwoite łóżko.

- Miło, że proponujesz pomoc, ale od czasu do czasu muszę wrócić do domu. Będę uważał.

- Dowiedziałeś się czegoś, co wyjaśniałoby sprawę zgonów pracownic działu zaopatrzenia?

- Chciałbym. Dowiedziałem się jedynie, że sporo osób, w tym miejski epidemiolog i lekarz szpitalny kontrolujący zagrożenie chorobami zakaźnymi są po to, aby zmylić tropy. W każdym razie myliłem się, sądząc, że szukanie tam rozwiązania jest oryginalnym pomysłem.

- Ciągłe uważasz, że w grę wchodzi spisek?

- W jakiejś formie. Niestety wydaję się osamotniony w tej opinii.

Życzyła mu szczęścia i pomachała ręką na pożegnanie. Podziękował. Po minucie była z powrotem.

- W drodze do domu zamierzałam wskoczyć coś przekąsić. Może też masz ochotę?

- Dzięki, ale zacząłem z tymi kartami, więc chciałbym skończyć, póki materiał mam świeżo w głowie.

- Rozumiem. Dobranoc.

- Dobranoc, Laurie.

Zaledwie otworzył teczkę Nodelmana po raz trzeci, gdy zadzwonił telefon. Teresa.

- Słuchaj, Jack, Colleen właśnie wychodzi na spotkanie z Chetem. Może udałoby mi się namówić cię na szybki obiad? Moglibyśmy się wszyscy spotkać.

Jack był zdumiony. Przez pięć lat skutecznie unikał kontaktów towarzyskich, a teraz niespodziewanie dwie inteligentne, atrakcyjne kobiety zapraszają go tego samego popołudnia na wspólny obiad.

- Doceniam propozycję - odpowiedział, a następnie wyjaśnił, jak to zrobił wcześniej

wobec Laurie, że zajęty jest kartotekami i chce skończyć jeszcze tego dnia.

- Ciągle mam nadzieję, że kiedyś skończysz tę swoją krucjatę. Nie wydaje się warta ryzyka, skoro już zostałeś napadnięty, pobity i zagrożono ci wylaniem z pracy.

- Jeżeli zdołam udowodnić, że za wszystkim ktoś się kryje, będzie warta każdego ryzyka. Boję się przede wszystkim o to, że grozi nam prawdziwa epidemia.

- Chet sugeruje, że postępujesz niemądrze - upierała się Teresa.

- Jest przywiązany do swoich opinii.

- Proszę, uważaj na siebie, kiedy będziesz wracać do domu.

- Obiecuję. - Czuł się już znużony troskliwością wszystkich dookoła. Powrót do domu wieczorem był tak samo niebezpieczny jak rano.

- Będziemy pracowali przez całą noc. Jeśli chciałbyś ze mną pogadać, zadzwoń do biura - powiedziała Teresa.

- W porządku. Powodzenia.

- Tobie również. Ach, no i dziękuję za pomysł. Wszyscy są nim zachwyceni. Jestem ci niezmiernie wdzięczna. Cześć.

Jack odłożył słuchawkę i natychmiast wrócił do kartoteki Nodelmana. Próbował przebrnąć przez nie kończące się notatki pielęgniarek. Jednak po pięciu minutach czytania w kółko tego samego akapitu zdał sobie sprawę, że jest zdekoncentrowany. Umysł zaprzętały mu, o ironio, aż dwie kobiety. Myślenie o nich sprowadziło się szybko do sporządzenia listy podobieństw i różnic w ich osobowościach, a gdy zaczął myśleć o osobowości, przyszła mu do głowy Beth Holderness. Potem niespodziewanie wrócił myślami do problemu zamawiania bakterii.

Zamknął kartotekę Nodelmana i zaczął bębnić palcami po blacie biurka. Zastanawiał się. A gdyby ktoś zamówił chorobotwórcze bakterie w National Biologicals, a następnie

celowo nimi zarażał, czy National Biologicals potrafiłoby stwierdzić, czy to ich użyto? Pomysł zaintrygował go. Biorąc pod uwagę rozwój technologii w badaniu DNA, uznał, że z naukowego punktu widzenia National Biologicals powinno poradzić sobie z oznaczeniem swoich bakterii, a zarówno z powodów odpowiedzialności, jak i ochrony szeroko pojętych interesów firmy sądził, że byłoby to rozsądne działanie. Pytanie więc brzmiało: czy oznaczali swoje produkty?

Zaczął szukać numeru telefonu. Gdy tylko go znalazł, zadzwonił do National Biologicals.

Za pierwszym razem po uzyskaniu połączenia wcisnął dwójkę, aby rozmawiać z działem sprzedaży. Tym razem przez trójkę połączył się z informacją.

Najpierw przez kilka minut zmuszony był posłuchać muzyki rockowej. Gdy ucichła, rozległ się młody męski głos przedstawiający się jako Igor Krasnyansky. Igor zapytał, w czym może być pomocny.

Jack także się przedstawił i zapytał, czy może prosić o pomoc w rozwiązaniu pewnego teoretycznego problemu.

- Oczywiście - odpowiedział Igor z lekko słowiańskim akcentem. - Spróbuję odpowiedzieć.

- Czy istnieje jakiś sposób określenia pochodzenia bakterii, to znaczy, czy pochodzą one na przykład z waszej firmy, nawet gdyby przeszły przez kilku nosicieli?

- To proste. Oznaczamy wszystkie kultury bakterii, więc bez problemu mógłby pan określić, czy pochodzą od nas.

- Na czym polega proces identyfikacji?

- Mamy próbki DNA oznaczane metodą fluorescencyjną. Nic trudnego.

- Gdybym chciał dokonać takiej identyfikacji, czy powinienem do was wysłać próbki?

- Może pan, ale mogę również przesłać panu testy.

Jack poprosił o nie. Podał swój adres i poprosił dodatkowo, aby testy zostały dostarczone ekspresowo. Wyjaśnił, że potrzebuje ich tak szybko, jak to tylko możliwe. Odkładając słuchawkę, poczuł satysfakcję. Domyślał się, że jeżeli któryś z testów da pozytywny wynik, zbliży go to do udowodnienia teorii o celowym zarażaniu.

Spojrzał na rozłożone kartoteki i postanowił na razie się poddać. Jeżeli żaden z testów nie da pozytywnego wyniku, będzie musiał raz jeszcze przemyśleć całą sprawę.

Odsunął krzesło do tyłu i wstał. Miał dość jak na jeden dzień. Włożył kurtkę i zamierzał udać się do domu. Nagle poczuł, że ponad wszystko potrzebuje ruchu.

Rozdział 26

Poniedziałek, godzina 18.00, 25 marca 1996 roku

Beth Holderness została po godzinach. Jeszcze tego dnia musiała posiać kultury bakterii pobrane z wymazów. Wieczorna zmiana przyszła o zwykłej porze, ale w tej chwili wszyscy siedzieli jeszcze w barze samoobsługowym, jedząc obiad. Nawet Richard zniknął, chociaż nie była pewna, czy skończył pracę na dobre, czy jeszcze nie.

Całe laboratorium mikrobiologiczne opustoszało i pomyślała, że jeżeli ma czegoś poszukać, moment jest odpowiedni. Zsunęła się z wysokiego taboretu i podeszła do drzwi prowadzących do głównej części laboratorium. Nie zobaczyła żywej duszy, co zachęcało do dalszych poszukiwań.

Odwróciła się i skierowała do hermetycznych drzwi. Nie była pewna, czy powinna to robić, ale skoro obiecała, czuła się teraz zobowiązana. Wobec doktora Jacka Stapletona odczuwała zakłopotanie, jednak w jeszcze większe zakłopotanie wprawiało ją zachowanie doktora Martina Cheveau. Zawsze był wybuchowy, jednak ostatnio zatracił wszelkie proporcje.

Po południu wybuchnął gniewem, domagając się relacji ze spotkania z Jackiem.

Próbowała wyjaśnić, że niczego mu nie powiedziała, a jedynie starała się nakłonić go do opuszczenia laboratorium, ale doktor Cheveau nie słuchał. Zagroził nawet, że wyrzuci ją z pracy za świadome lekceważenie jego poleceń. Złość doktora Cheveau omal nie sprowokowała jej do płaczu.

Gdy wyszedł, pomyślała o tym, co powiedział doktor Stapleton, że personel szpitala zachowuje się skrajnie defensywnie. Oceniając zachowanie swojego przełożonego, doszła do wniosku, że doktor Stapleton może mieć rację. Prawdę powiedziawszy, to jeszcze bardziej zachęciło ją do spełnienia prośby Jacka.

Beth stanęła przed hermetycznymi drzwiami. Po lewej stronie miała dużą chłodnię, po prawej inkubator. Zastanowiła się, które pomieszczenie najpierw przeszukać. Przez cały dzień wchodziła i wychodziła z inkubatora z posiewami bakterii, więc zdecydowała się wejść tam najpierw. W końcu знаła ten inkubator jak własną kieszeń.

Otworzyła drzwi i weszła do środka. Natychmiast ogarnęło ją wilgotne, ciepłe powietrze. Panowała tam temperatura zbliżona do naturalnej ciepłoty ciała, około 36.6°C.

Wiele bakterii i wirusów, szczególnie tych oddziałujących na ludzki organizm najlepiej rozwija się właśnie w temperaturze ludzkiego ciała.

Drzwi za Beth zamknęły się automatycznie, aby nie dopuścić do ochłodzenia wnętrza pomieszczenia. Inkubator miał mniej więcej dwa i pół na trzy metry. Oświetlenie stanowiły dwie żarówki podwieszane do sufitu, zamknięte w metalowych, koszykowych oprawkach. Półki wykonano z perforowanej stali. Zajmowały całą powierzchnię dwóch ścian, od podłogi po sufit i wraz z dwoma kolejnymi regałami stojącymi do siebie plecami na środku pomieszczenia tworzyły dwa wąskie przejścia.

Przeszła do tyłu. Znajdowały się tam kasetki wykonane ze stali nierdzewnej, które

wielokrotnie widziała, ale do których nigdy nie miała okazji zajrzeć.

Chwyciła w obie ręce jedną z kasetek, zdjęła ją z półki i postawiła na podłodze.

Wielkością przypominała pudło na buty. Gdy spróbowała ją otworzyć, zauważyła, że ma zasuwkę zamkniętą na małą kłódkę.

Była zdumiona i zaskoczona. W laboratorium tylko kilka przedmiotów trzymano pod kluczem. Podniosła kasetkę i wstawiła ją z powrotem na miejsce. Idąc wzdłuż regału, obracała wszystkie kasetki po kolei. Wszystkie zamknięte były w ten sam sposób.

Schyliła się i to samo zrobiła z tajemniczymi metalowymi pudełkami na niższej półce.

Sprawy miały się podobnie. Dopiero przy piątej skrzynce wyczuła różnicę. Kłódka nie była zamknięta. Z trudem udało jej się wysunąć otwarte pudło. Gdy uniosła kasetkę, stwierdziła, że nie była tak ciężka jak poprzednie, które zdjęła z półki. Wystraszyła się, że może jest pusta.

Ale nie była. Beth podniosła wieko i ujrzała kilka szklanych naczyń, jakich używa się do przechowywania kultur bakterii. Zauważyła, że naczynia nie zostały oznaczone etykietami, których używano do tych celów w każdym laboratorium. Zamiast tego opisane zostały flamastrem w kodach literowych i cyfrowych.

Z podnieceniem sięgnęła do pudełka i wyjęła naczynie oznaczone A-81. Uniosła przykrywkę i spojrzała na rozwijającą się wewnątrz kolonię bakterii. Zawartość była przezroczysta i śluzowata i rosła na pożywce, którą Beth rozpoznała jako czekoladowy agar.

Ostry trzask otwierających się drzwi do inkubatora wystraszył Beth. Serce zaczęło jej bić szybciej. Jak dziecko przyłapanie na zakazanej zabawie, w szalonym tempie spróbowała włożyć naczynie do pudełka i odstawić je na półkę, zanim ktokolwiek zauważy, czym się tu zajmowała.

Niestety nie zdążyła. Udało się jej co prawda zamknąć pudło i wstać, ale zanim odłożyła je na miejsce, stanęła twarzą w twarz z doktorem Martinem Cheveau. Trzymał w

rękach identyczne pudło jak to, które trzymała.

- Co pani tu robi? - sapnął zaskoczony.

- Ja... - zaczęła, ale nic więcej nie przeszło jej przez gardło. Nie zdołała wymyślić żadnego zgrabnego wytłumaczenia.

Z trzaskiem wstawił pudło na półkę, następnie wyrwał skrzynkę z rąk Beth, spojrzał na nią i zduszonym głosem zapytał:

- Gdzie jest kłódka?

Beth wysunęła ręce do przodu i otworzyła dłonie. W jednej trzymała otwartą kłódkę.

Martin gwałtownym ruchem chwycił ją i dokładnie obejrzał.

- Jak ją otworzyłaś?

- Była otwarta - odpowiedziała Beth.

- Kłamiesz! - Martin tracił panowanie nad sobą.

- Nie kłamię. Naprawdę. Była otwarta, więc mnie zaciekała.

- Ładna historyjka! - wrzasnął Martin. Jego głos rozległ się grzmotem w zamkniętym pomieszczeniu.

- Niczego nie zniszczyłam - zapewniła Beth.

- Skąd wiesz, że niczego nie zniszczyłaś? - Otworzył pudełko i zajrzał do środka.

Chyba usatysfakcjonowany oględzinami zamknął je i założył kłódkę. Sprawdził, czy się zatrzasnęła.

- Tylko spojrzałam na jedno z naczyń z bakteriami - przyznała Beth. Zaczynała odzyskiwać panowanie nad sobą, chociaż puls ciągle był szybszy niż zwykle.

Martin wsunął pudełko na swoje miejsce. Teraz policzył wszystkie. Kiedy skończył, polecił Beth wyjść z inkubatora.

- Przepraszam - powiedziała, gdy Martin zamykał drzwi inkubatora. - Nie wiedziałam,

że nie powinnam dotykać tych pudełek.

W tej chwili w drzwiach pojawił się Richard. Martin zawołał go, a następnie, ciągle zły, opowiedział, jak przyłapał Beth na oglądaniu służących mu do badań kultur bakterii.

Gdy Richard usłyszał nowinę, rozzłościł się tak samo jak wcześniej Martin. Odwrócił się w stronę Beth, zażądał wyjaśnienia, dlaczego pozwoliła sobie zrobić coś podobnego.

Zapytał, czy jej zachowanie oznacza, że nie ma dość pracy.

- Nikt mi nie powiedział, że nie wolno tego dotykać - zaprotestowała Beth. Znowu zbierało się jej na płacz. Nie znosiła konfliktów, a godzinę wcześniej jeden już musiała przeżyć.

- Nikt również nie prosił cię o ruszanie kasetek - warknął ze złością Richard.

- Czy to może doktor Stapleton kazał ci coś podobnego zrobić? - zapytał Martin.

Beth zawahała się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Gdy Martin zauważył jej niezdecydowanie, pewien był celnego strzału.

- Tak myślałem. No to pewnie powiedział ci również o tej swojej nedorzecznej teorii, że dżuma i inne choroby zostały celowo wywołane.

- Powiedziałam mu, że nie zamierzam z nim rozmawiać. - Beth zaczęła płakać.

- Ale on mówił, a ty słuchałaś. Nie zamierzam tego puścić płazem. Panno Holderness, jest pani zwolniona. Proszę zabrać swoje rzeczy i wynocha. Nie chcę pani tu dłużej oglądać.

Beth zamierzała zaprotestować, ale zamiast tego wybuchnęła tylko kolejnym atakiem płaczu.

- Płacz nic tu nie pomoże - syknął Martin. - Nie zostanie potraktowany również jako przeprosiny. Dokonałaś wyboru, a teraz zbierasz owoce. Precz stąd.

Twin sięgnął ponad pokaleczonym blatem stołu i odłożył słuchawkę. Naprawdę nazywał się Marvin Thomas. Przydomek „Twin”* zawdzięczał swemu identycznemu

bliźniakowi. Nikt nie był w stanie ich rozróżnić. Jednego z nich zabito w czasie przedłużającej się wojny między Black Kings a gangiem z East Village wywołanej naruszeniem terytorium.

Twin spoglądał na siedzącego po drugiej stronie stołu Phila. Phil był wysoki i chudy, nie bardzo imponującej postury. Ale miał za to rozum. To właśnie jego rozum, nie brawura czy mięśnie, spowodował, że Twin uczynił z niego człowieka numer dwa w gangu. On jeden wiedział, co robić ze szmałem zarobionym na prochach. Zanim zjawił się Phil, chowali forszę w plastikowej rurze przy spłuczce w mieszkaniu Twina.

- Nie rozumiem tych ludzi - stwierdził Twin. - Najwidoczniej ten biały dupek nie potraktował poważnie naszego ostrzeżenia i wybrał się na przechadzkę tam, gdzie go cholernie nie chciano widzieć. Uwierzysz w to? Nakopałem gnojkwowi do dupy, pokazałem mu, co mogę z nim zrobić, a on trzy dni później wykręca taki numer. Nie można tego nazwać szacunkiem. W żaden sposób.

- Chcą, żebyśmy znowu z nim pogadali? - zapytał Phil. Był wtedy w mieszkaniu Jacka i widział, jak Twin bił doktora.

- Lepiej. Chcą, żeby sukinsyn ostygł. Czy ktoś zrozumie, dlaczego od razu nie kazali tego zrobić? Proponują za to pięć setek. - Twin roześmiał się. - Zabawne, nie? Zrobiłbym to nawet za darmo. Nie możemy pozwolić, żeby ludzie nas ignorowali. Wypadlibyśmy z

* *Twin* (ang.) - bliźniak (przyp. tłum.).

interesu.

- Wyślemy Reginalda? - zapytał Phil.

- A kogo? Uwielbia taką robotę.

Phil wstał, rzucił papierosa na podłogę i zdeptał go. Wyszedł z biura szefa i zaśmieconym korytarzem przeszedł do frontowego pokoju, w którym szóstka jego koleśków

grała w karty. W powietrzu można było powiesić siekiere.

- Hej, Reginald! - zawołał. - Masz ochotę na małą zabawę?

Reginald spojrzął znad kart i wyjął z ust wykałaczkę.

- Zależy - odpowiedział.

- Spodoba ci się. Za doktorka, który sprezentował ci rower, można zarobić pięć stów.

- No, człowieku, ja to zrobię - zaoferował się BJ. BJ to był skrót od Bruce Jefferson.

Był krępyim chłopakiem; jego udo miało w obwodzie tyle, ile Phil w pasie. On także był pamiętnego wieczoru u Jacka.

- Twin chce Reginalda - odparł Phil.

Reginald wstał i rzucił karty na stół.

- I tak miałem gównno w kartach - powiedział i poszedł za Philem.

- Phil wyjaśnił ci sprawę? - zapytał Twin, widząc wchodzącego Reginalda.

- Tyle, że idzie o doktorka i możemy dostać za niego piątkę. Coś jeszcze?

- Tak. Musisz jeszcze oporzadzić jedną białą kotkę. Ją możesz nawet załatwić jako pierwszą. Tu masz adres.

Twin podał mu skrawek papieru z zapisanym nazwiskiem Beth Holderness i jej adresem.

- Obojętne, jak ich załatwię? - zapytał Reginald.

- Twoja sprawa. Najważniejsze, żebyś był pewny, że się ich pozbyłeś.

- Chciałbym wziąć ten nowy pistolet automatyczny. - Uśmiechnął się. W kąciku ust znowu tkwiła wykałaczką.

- No to się przynajmniej dowiemy, czy był wart tych pieniędzy - stwierdził Twin.

Otworzył jedną z szuflad w biurku i wyjął pistolet. Na rękojeści miał nawet jeszcze trochę smaru. Pchnął broń po blacie. Reginald złapał ją, zanim znalazła się na krawędzi. - Baw się

dobrze - dodał Twin.

- Mam zamiar.

Reginald za punkt honoru wziął sobie nieokazywanie uczuć, nie znaczyło to jednak, że niczego nie odczuwał. Gdy wyszedł z budynku, nastrój zdecydowanie mu się poprawił.

Uwielbiał taką robotę.

Otworzył drzwi swojego czarnego jak smoła camaro i wsunął się za kierownicę.

Pistolet położył na siedzeniu obok i przykrył go gazetą. Gdy tylko motor zahuczał, Reginald wsunął kasetę do magnetofonu i puścił ulubiony rap. Aparatura, którą gang miał w samochodzie, była obiektem powszechnej zazdrości. Głośniki miały dość mocy, by w oknach mijanych domów pękały szyby.

Jeszcze raz spojrzął na adres Beth Holderness i kiwając głową w takt muzyki, puścił sprzęgło i ruszył przed siebie.

Beth nie poszła prosto do domu. Była w takim nastroju, że musiała z kimś porozmawiać. Wstąpiła do przyjaciółki i wypła nawet kieliszek wina. Wyżaliwszy się, poczuła się nieco lepiej, ciągle jednak była załamana. Nie mogła uwierzyć, że została tak po prostu wyrzucona z pracy. Dodatkowo gryzło ją przecucie, że w inkubatorze trafiła być może na coś szczególnie ważnego.

Beth mieszkała w czteropiętrowym domu na Wschodniej Osiemdziesiątej Trzeciej, między Pierwszą a Drugą Avenue. To nie była najlepsza okolica, ale też i nie najgorsza. Jedynym problemem było to, że jej budynek nie należał do najporządniejszych. Właściciel ze wszystkimi pracami zwlekał do ostatniej chwili, więc zawsze coś nie działało. Gdy stanęła przed domem, zauważyła, że drzwi wejściowe ktoś wyważył łomem. Westchnęła. Zdarzyło się to już wcześniej i pamiętała, że właścicielowi naprawa zajęła aż trzy miesiące.

Od kilku miesięcy zaczęła odkładać pieniądze na nowe mieszkanie. Jednak teraz, gdy

straciła pracę, będzie musiała sięgnąć do oszczędności. Zapewne nie zdoła się w takiej sytuacji wyprowadzić, a w każdym razie nie w dającej się przewidzieć przyszłości.

Pokonując ostatnie pół piętra, powtarzała sobie, że choć nie jest dobrze, zawsze może być gorzej. W końcu była zdrowa.

Stojąc przed drzwiami, zaczęła przeszukiwać przepastną torbę pełną różnych przedmiotów. Klucz do mieszkania i klucz do bramy trzymała osobno. Uważała, że jeśli zgubi jeden, zostanie jej przynajmniej drugi.

Wreszcie znalazła klucz i mogła dostać się do środka. Zamknęła za sobą drzwi i przekręciła zamek. Taki miała zwyczaj. Zdjęła płaszcz i powiesiła na wieszaku. Znowu zajrzała do torby. Tym razem szukała wizytówki Jacka Stapletona. Gdy ją znalazła, usiadła na ławie i zadzwoniła do niego.

Chociaż minęła już siódma, zadzwoniła do biura medycyny sądowej. Portier poinformował ją, że doktor Stapleton skończył już pracę i wyszedł. Odwróciła wizytówkę na drugą stronę i wykręciła zapisany tam domowy numer Jacka. Odpowiedziała jej automatyczna sekretarka.

- Doktorze Stapleton, tu Beth Holderness. Mam coś dla pana. - Niespodziewany atak płaczu stłumił dalsze słowa. Emocje brały górę. Pomyślała, że powinna odłożyć słuchawkę, ale jakoś zdołała się opanować. Chrząknęła i niezdecydowanym głosem kontynuowała: - Muszę z panem porozmawiać. Coś znalazłam. Niestety, zostałam wyrzucona z pracy. Proszę do mnie zadzwonić.

Beth nacisnęła widełki telefonu, przerywając połączenie i dopiero potem odłożyła słuchawkę. Przez sekundę zastanowiła się, czy nie zadzwonić raz jeszcze i powiedzieć mu o swoim odkryciu, lecz zdecydowała się tego nie robić. Poczeka na telefon od Jacka.

Chciała wstać, gdy potężny hałas sparaliżował jej ruchy. Drzwi do jej mieszkania

gwałtownie się otworzyły i uderzyły w ścianę z taką siłą, że klamka odbiła kawał tynku.

Zasuwa, dzięki której czuła się bezpiecznie, puściła, wyrrywając obejmę z kawałkiem futryny, jakby wykonano ją z balsy.

W drzwiach niczym czarnoksiężnik z obłoku dymu pojawiła się potężna postać od stóp do głów odziana w czarną skórę. Mężczyzna spojrzał na Beth, potem obrócił się i zatrzaskał drzwi. W mieszkaniu zapanowała ta sama cisza, którą zburzyło gwałtowne pojawienie się nieznajomego. W tej chwili jedynie niewyraźny dźwięk telewizora u sąsiadów dobiegał jej uszu.

Gdyby Beth mogła myśleć, zaczęłaby krzyczeć albo uciekać, albo jedno i drugie, nie zrobiła jednak nic. Siedziała sparaliżowana. Wstrzymała nawet oddech, dopiero po chwili wypuszczając powietrze z głośnym westchnieniem.

Mężczyzna zbliżył się do niej. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Z ust beztróska sterczała mu wykałaczka. W lewej dłoni trzymał największy pistolet, jaki Beth w swym życiu widziała. Magazynek z amunicją miał co najmniej trzydzieści centymetrów długości.

Stał dokładnie naprzeciwko niej. Nie odezwał się ani słowem. Zamiast tego wolnym ruchem uniósł broń i wycelował w jej czoło. Beth zamknęła oczy...

Jack wyszedł z metra przy Sto Trzeciej i pobiegł na północ. Pogoda była przyjemna, a temperatura sensowna. Spodziewał się sporej kolejki chętnych do gry na boisku i nie rozczarował się. Przez ogrodzenie zobaczył go Warren. Kazał mu wrzucić tyłek w spodenki i zjawić się pod koszem.

Jack przebiegł ostatni odcinek drogi do domu. Gdy stanął przed bramą, wróciło wspomnienie piątkowego wieczoru. Skoro odwiedził tego dnia Manhattan General i został rozpoznany, niewykluczone, że Black Kings ponownie złożyli mu wizytę. Jeśli tak, to chciał

o tym wiedzieć zawczasu.

Zamiast wejść głównym wejściem, zrobił jeszcze kilka kroków i zszedł do wilgotnego tunelu łączącego front budynku z jego tyłem. Zalatywało uryną. Wyszedł na podwórko przypominające rupieciarnię. W półmroku rozpoznał wystające sprężyny zniszczonych tapczanów, połamane wózki dla lalek, stare, łyse opony i inne nie chciane graty.

Do tylnej ściany przymocowane były schody przeciwpożarowe. Nie dochodziły do samej ziemi. Ostatnim ich fragmentem była metalowa drabina z betonową przeciwwagą. Jack wywrócił kubeł na śmieci do góry dnem, stanął na nim i w ten sposób zdołał uchwycić najniższy szczebel drabiny. Gdy tylko uwiesił się całym ciężarem, drabina zjechała na dół z łoskotem.

Zaczął się po niej wspinać. Stał na postumencie, na wysokości pierwszego piętra, a drabina wróciła do pierwotnej pozycji z podobnym hałasem. Znieruchomiał na kilka dłuższych chwil, aby upewnić się, że niespodziewany rumor nie zwrócił niczyjej uwagi.

Skoro nikt nie wystawił przez okno głowy i nie krzyczał z powodu hałasów, Jack ruszył w górę.

Na każdym piętrze miał niepowtarzalną okazję przyjrzeć się scenom z życia domowego, ale wyrzekł się tej przyjemności. Obrazy nie zawsze były miłe. Kiedy poznał je bliżej po zamieszkaniu w Harlemie, prawdziwe ubóstwo osłabiało go. Idąc, patrzył więc w górę, również po to, aby nie widzieć przepaści pod nogami. Zawsze obawiał się wysokości, więc wspinanie się po schodach przeciwpożarowych stanowiło doskonały sprawdzian hartu ducha.

Gdy doszedł do swojego piętra, zwolnił. Z podestu schodów awaryjnych miał wgląd do mieszkania zarówno przez okno kuchenne, jak i sypialniane. Oba pomieszczenia tonęły w świetle, gdyż rano wychodząc, z rozmysłem zostawił włączone lampy.

Przesunął się najpierw w stronę okna kuchennego i zajrzał przez nie do środka.

Kuchnia była pusta. Owoce, które zostawił rano na stole, wydawały się nietknięte. Z miejsca, w którym stał, mógł dostrzec nawet drzwi wejściowe do mieszkania. Zreperowana część framugi nie zmieniła wyglądu. Nikt na pewno siłą drzwi nie otwierał.

Przeszedł kawałek dalej i zajrzał do sypialni. Także była pusta. Zadowolony z wyników oględzin otworzył okno i wszedł do mieszkania. Wiedział, że jeśli zostawi otwarte okno w sypialni, będzie miał szansę skorzystać z tej drogi, chociaż równocześnie ryzykował sporo. Po wejściu raz jeszcze szybko zlustrował mieszkanie. Było rzeczywiście puste i nic nie wskazywało, żeby ktokolwiek je odwiedzał.

Przebrał się szybko w strój sportowy i wyszedł tą samą drogą, którą przyszedł. Ze względu na odczuwany lęk wysokości zejście było o wiele trudniejsze niż wejście, przemógł się jednak i ruszył w dół. Biorąc pod rozwagę okoliczności, nie uśmiechało mu się wychodzić z budynku głównym wyjściem bez specjalnej ochrony. Kiedy doszedł do końca tunelu, wychylił lekko głowę, pozostając nadal w cieniu, i rozejrzał się po terenie rozciągającym się przed budynkiem. Szczególnie uważnie przyglądał się grupkom młodych ludzi w samochodach. Kiedy upewnił się, że nie ma w pobliżu członków znajomego gangu, czekających na niego, pobiegł w stronę boiska.

Niestety w czasie, gdy wspinał się schodami przeciwpożarowymi, a później przebierał i schodził ostrożnie na dół, chętnych do gry przybyło. Tym razem musiał czekać znacznie dłużej niż zwykle, a i tak dostał się do dość słabej drużyny.

Chociaż rzucał celnie, szczególnie z dystansu, partnerzy z drużyny zawodzili. Ponieśli druzgocącą klęskę, ku zadowoleniu Warrena, który wygrywał przez cały wieczór.

Zdegustowany takim brakiem szczęścia, Jack poszedł poza boisko, podniósł bluzę, włożył przez głowę i ruszył w stronę furki.

- Hej, człowieku, idziesz już?! - zawołał za nim Warren. - Pokręć się tu jeszcze. Damy ci dzisiaj raz wygrać - obiecał i parsknął śmiechem. Nie był złym facetem, a wyśmiewanie przegranych należało do boiskowego rytuału. Każdy tak robił i każdy tego oczekiwał.

- Nie mam nic przeciwko batom, jeśli dostaje się je od przyzwoitej drużyny - odparł Jack. - Ale przegrać ze zgrają takich panienek to wstyd.

- Uuuuu! - zabuczeli zawodnicy z drużyny Warrena. Odpowiedź Jacka została przyjęta z uznaniem.

Warren podszedł pewnym krokiem do Jacka i szturchając go w pierś wskazującym palcem, złożył propozycję.

- Panienki? Powiem ci coś. Moja piątka rozwali każdą piątkę, jaką uda ci się sklecić. Teraz, zaraz! Zbierz chętnych i gramy.

Jack rozejrzał się wokół siebie. Wszyscy obecni spoglądali w ich kierunku. Zastanowił się nad wyzwaniem, szukając plusów i minusów. Przede wszystkim potrzebował wysiłku, więc chciał zagrać i wiedział, że ma teraz taką możliwość.

Z drugiej jednak strony rozumiał, że wybierając czterech graczy, rozzłości tych, których pominie. Przez ostatnie miesiące starał się usilnie, aby ci ludzie go zaakceptowali.

Rozpatrzywszy sprawę ze wszystkich stron, Jack zdecydował, że gra nie jest warta świeczki.

- Raczej pobiegam w parku - odpowiedział Warrenowi.

Warren uznał, że to najlepsza odpowiedź, jaką mógł otrzymać. Odmowę Jacka przyjął jako obawę przed kolejną porażką. Ukłonił się w odpowiedzi na okrzyki radości swojej drużyny. Przybił piątkę z jednym z kolegów i dumnym krokiem wrócił na boisko.

- Gramy! - zawołał.

Jack uśmiechnął się w duchu, myśląc o tym, jak wiele o zasadach rządzących daną społecznością można się dowiedzieć na boisku sportowym. Zaczął się nawet zastanawiać, czy

jakiś psycholog próbował zbadać ten aspekt sprawy z akademickiego punktu widzenia.

Pomyślał, że mogłoby to być wielce owocne.

Wyszedł przez furtkę poza ogrodzenie boiska i zaczął biec. Pobiegnął na wschód. Przed sobą, na końcu długiego bloku dostrzegł ciemny kontur poszarpanych skał i bezlistnych drzew. Zdawał sobie sprawę, że za kilka minut znajdzie się poza zgiełkiem miasta, wbiegnie do wnętrza Central Park. Uwielbiał tam biegać.

Reginald miał twardy orzech do zgryzienia. Dostrzegł doktora grającego w kosza i zdecydował się zaczekać w wozie. Miał nadzieję, że Jack odłączy się wkrótce od graczy i pójdzie coś wypić do pobliskiego baru.

Gdy zobaczył Jacka schodzącego z boiska i ubierającego bluzę, sięgnął pod gazetę i odbezpieczył broń. Wtedy usłyszał wyzwanie Warrena i uznał, że przyjdzie mu przeczekać jeszcze jedną grę.

Mylił się. Ku jego radości, chwilę później Jack opuścił plac gry. Jednak nie skierował się na zachód w stronę sklepów i baru, jak wcześniej przypuszczał Reginald. Wręcz przeciwnie, pobiegł na wschód.

Klnąc pod nosem, Reginald musiał zawrócić. Pisk hamulców i ostry dźwięk klaksonu taksówki rozżłościły go. Ledwie powstrzymał się od złapania za pistolet. Taksówkarzem był jeden z tych Azjatów, któremu chętnie zrobiłby niespodziankę z krótkiej serii.

Rozczarowanie Reginalda zamieniło się szybko w zadowolenie, gdy zrozumiał, dokąd zmierza Jack. Kiedy on biegł przez zachodnią część Central Park, Reginald szybko znalazł dogodne miejsce do zaparkowania. Wyskakując z samochodu, złapał za broń owiniętą w gazetę. Ściskając w dłoni pakunek także ruszył w głąb parku, sprytnie ukrywając się wśród biegających i ćwiczących, których było wielu.

West Drive prowadziła prosto na wschód. Obok wejścia, wokół odsłoniętych skał,

półkolem wznosiły się kamienne schody. Nieliczne latarnie parkowe oświetlały drogę, która dalej ginęła w mroku.

Reginald pobiegł schodami, na których sekundę wcześniej widział Jacka. Był zadowolony. Nie mógł uwierzyć w swój fart. Właściwie pogoń za ofiarą w ciemnym, pustym właściwie parku, czyniła robotę niemal zbyt prostą.

Dla Jacka w tej chwili mrok pustoszejącego parku był raczej powodem do zadowolenia niż zmartwień czy obaw, jak w piątkowy wieczór, kiedy przejeżdżał tędy rowerem. Pocieszało go to, że choć jego wyobraźnia wciąż podsuwała mu nieprzyjemne obrazy, to przecież podobnie działo się z innymi ludźmi. Stanowczo wierzył, że jeżeli Black Kings będą chcieli go dopaść, to zrobią to w mieszkaniu albo w jego pobliżu.

Teren stał się zaskakująco pagórkowaty i skalisty. Tę część parku nazywano Wielkim Wzgórzem, i miało to uzasadnienie. Biegł wyasfaltowaną ścieżką wijącą się w tunelu z gałęzi bezlistnych jeszcze drzew rosnących dookoła. Światło z parkowych latarni oświetlało drzewa, wywołując pełne grozy obrazy. Można było odnieść wrażenie, że park pokryty jest utkaną przez ogromne pająki gigantyczną pajęczyną.

Gdy poczuł zadyszkę, zwolnił i zaczął się rozluźniać. Z dala od świateł i zgiełku miasta mógł spokojnie wszystko przemyśleć. Zastanowił się przede wszystkim nad tym, czy jego kruczata nie została wywołana nienawiścią do AmeriCare, jak sugerowali Chet i Bingham. Z obecnej perspektywy musiał się zgodzić, że to było możliwe. Koniec końców, hipoteza o celowym roznoszeniu zarazków czterech chorób była niewiarygodna, jeśli nie wręcz niedorzeczna. Może to on swoim postępowaniem wywołał u pracowników szpitala taką wrogą postawę. Bingham przecież zwrócił mu uwagę, że potrafi być nieznośny w stosunkach z innymi.

Pogrążony w myślach, zwrócił nagle uwagę na niepokojący nowy odgłos, wyraźnie

współgrający z odgłosem jego kroków. Dźwięk był metaliczny, jakby podkuł swoje koszykarskie buty blachami. Zaniepokojony, przyspieszył kroku. Metaliczny odgłos wyrwany został na moment ze wspólnego rytmu, ale już po chwili zsynchronizował się z rytmem Jacka. Jack spróbował obejrzeć się za siebie. Gdy to zrobił, ujrzał postać biegnącą w jego stronę. Akurat w chwili, gdy spoglądał za siebie, postać mignęła w świetle latarni. Jack od razu spostrzegł, że biegacz nie ma na sobie sportowego stroju. Miał natomiast czarną skórzaną kurtkę, a w ręku połyskującą broń!

Serce Jacka gwałtownie przyspieszyło. Poczuł nagły przyływ adrenaliny i popędził przed siebie. Usłyszał tylko, że goniący stara się dorównać mu kroku.

Biegając, musiał się szybko zastanowić, którędy najprędzej wydostanie się z parku.

Jeśli znajdzie się między ludźmi w ruchu ulicznym, może mieć szansę. Uznał, że najłatwiej będzie mu umknąć przez zarośla rozciągające się po prawej stronie ścieżki. Nie wiedział jednak, jak daleko jest miasto. Możliwe, że tylko trzydzieści metrów, ale możliwe również, że nawet sto.

Czując, że prześladowca siedzi mu na karku, Jack nagle skoczył w prawo i zanurzył się w gęstwinie. Pomiędzy drzewami i krzewami było znacznie ciemniej niż na drodze.

Właściwie nie widział, dokąd biegnie. Nagle potknął się o coś wystającego z ziemi.

Opanowała go kompletna panika, kiedy znalazł się na trawie i próbował na czworakach wydostać się z gęstwiny krzewów.

Teren stał się jakby równiejszy i pozbawiony poszycia, które utrudniało mu poruszanie się. Przyspieszył. Teraz musiał radzić sobie jedynie z liśćmi leżącymi między ciasno rosnącymi drzewami.

Dobiegł do potężnego dębu. Schował się za nimi i oparł o pień. Ciężko oddychał.

Nasłuchując, starał się powstrzymać zadyszkę. Dochodził do niego tylko monotony odgłos

ruchu ulicznego przypominający szum wodospadu. Jedynymi głośniejszymi akcentami w nocnej harmonii były pojedyncze klaksony lub syreny.

Jack przez kilka minut stał za grubym pniem dębu. Nie słysząc żadnych kroków, oderwał się od drzewa i ruszył na zachód. Teraz szedł tak wolno i cicho, jak to było możliwe, ostrożnie przesuając stopy po trawie, by nie szeleścić liśćmi. Serce waliło mu jak oszalałe.

Niespodziewanie nadepnął na coś miękkiego i ku jego przerażeniu to coś eksplodowało przed nim. Przez ułamek sekundy nie miał najmniejszego pojęcia, co się dzieje. Z ziemi wstała jak wyrwana śmierci z objęć, chwiejąc się na nogach, jakaś zakutana w szmaty postać. Zakręciła się wokół własnej osi niczym tańczący derwisz i waląc w powietrze ramionami jak cepem, wrzeszczała raz za razem: „Sukinsyn, sukinsyn!”

Nagle podniosła się druga postać, równie szalona jak pierwsza.

- Nie dostaniesz naszego wózka! - zawołał pierwszy.

- Prędeż cię załatwię - dodał drugi.

Jack zdołał tylko zrobić krok w tył, kiedy pierwsza z postaci rzuciła się na niego, smagając odorem stęchlizny i odrażającym oddechem. Jack starał się odepchnąć napastnika od siebie, ale mężczyźnie udało się pociągnąć paznokciami po jego twarzy.

Jack spróbował pozbyć się cuchnącego włóczęgi. Zanim mu się to udało, ciszę nocną rozerwał huk wystrzału. Jack poczuł pod palcami ciepłą ciecz i jednocześnie wyczuł, jak włóczęga najpierw zeszywniał, a po chwili osunął się na trawę, ciągle trzymając Jacka w objęciach.

Lament drugiego z włóczęgów wywołał z ciemności kolejny strzał. Jęk rozpaczy ucichł, jak ucięty nożem.

Jack odwrócił się i popędził w przeciwną stronę. Raz jeszcze pognał na złamanie karku, nie bacząc na ciemności i przeszkody pod nogami. Niespodziewanie grunt umknął mu

spod nóg i Jack potykając się, zbiegał w dół zbocza, ledwie utrzymując równowagę. Zatrzymał się dopiero, kiedy wpadł w gęstwinę krzewów i jakichś pnączy. Przedzierał się przez zarośla z taką determinacją, że gdy nagle wypadł na ścieżkę, stracił równowagę i wywrócił się jak długi. Przed sobą dostrzegł blade światło, granitowe schody. Podniósł się ciężko i ruszył w ich stronę. Gdy tam dotarł, zaczął biec po dwa stopnie. Był już blisko ostatniego, kiedy usłyszał pojedynczy strzał. Kula zrykoszetowała o skałę na prawo od niego i zniknęła w ciemnościach.

Schylając się i klucząc, dotarł do końca schodów i wszedł na taras. W centrum znajdowała się pusta, wyłączona na zimę fontanna. Trzy strony tarasu zamykały arkady. Pośrodku przeciwległego szeregu kolumn zaczynały się schody prowadzące na kolejny poziom.

Jack usłyszał charakterystyczny metaliczny stukot butów swego prześladowcy, który właśnie wbiegł na pierwsze stopnie. Wiedział, że nie ma czasu na dalszą ucieczkę schodami. Wbiegł więc pomiędzy kolumny arkad. W arkadach panowały całkowite ciemności, więc posuwał się przed siebie po omacku.

Odgłos kroków na pierwszych schodach nagle ucichł.

Jack wiedział, że bandyta dotarł na taras. Zaczął coraz szybciej brnąć w ciemnościach w stronę kolejnych schodów. Ku swemu przerażeniu zderzył się z metalowym pojemnikiem na śmieci. Hałas bezbłędnie wskazał miejsce, w którym się ukrył. Niemal natychmiast rozległ się strzał. Kula wpadła między arkady i twardo odbiła się od granitowej skały. Jack padł plackiem i założył ręce na głowę.

Wstał, kiedy ostatni odprysk ze ściany z jękiem opadł na ziemię. Znowu ruszył do przodu, tym razem jednak wolniej. Dotarł do narożnika. Natrafił w tym miejscu na więcej różnych przedmiotów - butelki, puszki po piwie leżały tak porozrzucone, że nie sposób było

je ominąć.

Za każdym razem, kiedy rozlegał się kolejny hałas odbijający się echem pod arkadami, Jack truchlał ze strachu. Nie mógł jednak się zatrzymać. Tuż, tuż połyskujące refleksy wskazywały rozpoczynające się kolejne schody. Dopadł ich wreszcie i ruszył co sił w górę. Teraz więcej światła oświetlało drogę, mógł więc bezpieczniej biec.

Prawie dotarł do szczytu, gdy ciszę przerwała ostra, nie znoszącym sprzeciwu tonem wypowiedziana komenda:

- Ty, facet, stój albo zginiesz!

Po głosie zorientował się, że wołający za nim mężczyzna znajduje się u podstawy schodów. Jack stał na linii strzału i nie miał wyjścia. Zatrzymał się.

- Odwróć się!

Zrobił, co mu kazano. Od razu zobaczył, że napastnik mierzy do niego z olbrzymiego pistoletu.

- Pamiętasz mnie? Nazywam się Reginald.

- Pamiętam.

- Złaż na dół! Nie zamierzam wdrapywać się dla ciebie na górę. Absolutnie.

Jack powoli zaczął schodzić. Na trzecim stopniu zatrzymał się. Dalekie światła miasta dawały nikłą poświatę, w której Jack ledwo mógł rozpoznać rysy mężczyzny. Jego oczy wydawały się studniami bez dna.

- Masz facet jaja. No, kondycję też. Trzeba ci to przyznać - stwierdził z uznaniem Reginald.

- Czego chcesz ode mnie?

- Co ty, niczego nie chcę. Zresztą mogę ci powiedzieć, że niewiele masz. Szczególnie w tych ciuchach, a w twojej chacie już byłem i widziałem. Pusto. Szczerze powiedziawszy, to

mam cię załatwić. Nie wzięłeś sobie do serca rady Twina.

- Zapłacę ci. Bez względu na sumę, jaką ci zaoferowano, zapłacę więcej.

- Brzmi interesująco, ale nie wchodzę w układy. Poza tym odpowiadam przed

Twinem, a ty nie masz tyle forsy, żebym zaryzykował i wlażył w takie gówno. Absolutnie.

- To powiedz mi chociaż, kto ci płaci. Tak tylko, żebym wiedział.

- No, prawdę mówiąc, to nie mam pojęcia. Wiem tylko, że forsa jest w porządku. Za przegonienie cię po parku przez piętnaście minut dostanę pięć stów. Nieźle.

- Dam tysiąc - zaoferował Jack. Z całych sił pragnął podtrzymać rozmowę.

- Przykro mi, ale nasza mała pogawędka dobiegła końca, bo właśnie wyłączyli twój

numer. - Podczas rozmowy Reginald powoli opuszczał pistolet, teraz szybko go uniósł.

Jack nie mógł uwierzyć, że może zostać tak wprost zastrzelony przez kogoś, kogo nie

zna i dla kogo on też jest zupełnie obcy. To było niedorzeczne. Wiedział, że musi rozmawiać,

ale choć mógł uchodzić za niezwykle wygadanego, nic mu teraz nie przychodziło do głowy.

Dar udzielania ciętych odpowiedzi opuścił go, gdy patrzył w lufę wycelowanej w siebie broni.

- Biorę to - powiedział Reginald.

Jack doskonale rozumiał. Często gracze na boisku mówili tak, kiedy chcieli

powiedzieć, że biorą na siebie całą odpowiedzialność za to, co zrobili czy zrobią.

Broń wypaliła i Jack odruchowo się skurczył. Nawet oczy zamknęły mu się same. Ale

niczego nie poczuł. Zrozumiał, że Reginald bawi się z nim jak kot z zapędzoną do kąta

myszą. Otworzył oczy. Choć czuł się kompletnie sparaliżowany strachem, postanowił nie

dawać satysfakcji bandycie. Ale to, co ujrzał, zaszokowało go. Reginald zniknął.

Jack mrugnął kilka razy, jakby podejrzewając, że oczy płatają mu figła. Gdy przyjrzał

się uważniej, dostrzegł ciało napastnika rozciągnięte na kamieniach przed schodami. Z głowy

sączyła mu się krew, tworząc atramentową plamę.

Przełknął głośno ślinę, ale nie ruszył się z miejsca. Całkowicie go zamurowało. Z cienia arkad wyszedł mężczyzna. Na głowie miał założoną daszką do tyłu baseballową czapkę. W dłoni trzymał pistolet podobny do tego, który miał Reginald. Najpierw podszedł do broni leżącej około trzech metrów od ciała i podniósł ją. Dokładnie obejrzał zdobycz, po czym zatknął za pasek spodni. Teraz zbliżył się do zabitego i czubkiem buta obrócił jego głowę, by przyrzeć się ranie. Zadowolony, pochylił się i tak długo obszukiwał ciało, aż znalazł portfel. Wyjął go, wsunął do własnej kieszeni i wstał.

- Chodźmy, doktoru - powiedział.

Jack zszedł z ostatnich trzech stopni. Kiedy znalazł się na tarasie, natychmiast rozpoznał swego wybawiciela. To był Spit!

- Co ty tu robisz? - zapytał szeptem Jack. Gardło mu wyschło i mówił z wysiłkiem.

- Nie czas na pogawędki, człowieku - odparł Spit i splunął, jak przystało na gościa z takim przydomkiem. - Musimy stąd pryskać. Jeden z tych oberwańców z za wzgórza został tylko ranny i zaraz pewnie sprowadzi tu całą armię glin.

Od chwili, kiedy Spit, ukryty między arkadami, strzelił, Jackowi myśli wirowały w głowie. Nie miał pojęcia, co sprawiło, że Spit znalazł się tam w krytycznym momencie, ani dlaczego teraz wyganiał go z parku.

Spróbował zaprotestować. Wiedział przecież, że opuszczenie miejsca przestępstwa także jest przestępstwem, a w parku zamordowano niejednego, ale aż dwóch mężczyzn. Lecz Spitowi nie dało się niczego wyperswadować. Kiedy Jack zatrzymał się wreszcie i zaczął wyjaśniać, że nie wolno im uciekać, dostał po prostu w twarz. To nie było lekkie szturchnięcie, cios wymierzony został z odpowiednią siłą.

Jack przyłożył dłoń do policzka. Czuł, że skóra w miejscu uderzenia stała się cieplejsza.

- Co ty, do cholery, robisz? - zapytał Spita poirytowany.

- Próbuję ci wbić do łba trochę rozumu. Musimy zabrać stąd dupy i to szybko. Masz, poniesiesz gnata. - Mówiąc to, Spit wcisnął w dłoń Jacka pistolet, który zabrał Reginaldowi.

- I co ja mam z tym zrobić? - O ile się orientował, to nie powinien dotykać tej broni i oddać ją policji jako dowód rzeczowy.

- Wsadź go pod bluzę. No, dalej, idziemy.

- Spit, nie mogę w ten sposób stąd uciec. Jeśli musisz, to idź i zabieraj to ze sobą. -

Jack wyciągnął rękę z pistoletem przed siebie.

Spit eksplodował. Wyrwał broń z ręki Jacka i natychmiast, nie zastanawiając się ani sekundy, przyłożył lufę do czoła Jacka.

- Wkurwiasz mnie facet. Coś ci dolega? Przecież tu gdzieś mogą być te kutasy z Black Kings. Powiem ci coś. Jeżeli nie weźmiesz się w garść, to cię zostawię. Rozumiesz? Nigdy bym nie ryzykował mojej czarnej dupy dla ciebie, gdyby nie kazał mi tego Warren.

- Warren? - powtórzył pytająco Jack. Sprawy zbyt się skomplikowały. Ale wierzył w ostrzeżenia Spita, więc nie pytał już o nic. Wiedział, że ma do czynienia z porywczym facetem. Nigdy nie chciałby z nim zadrzeć.

- To idziesz czy nie? - spytał Spit.

- Idę. Zdaję się na ciebie. Wiesz lepiej, co robić w takich sytuacjach.

- Cholerna racja - powiedział Spit i oddając pistolet Jackowi, pchnął go do przodu.

Zatrzymali się przy najbliższej budce telefonicznej. Spit dzwonił do kogoś, a Jack nerwowo rozglądał się dookoła. Nagle wszechobecne na ulicach syreny samochodowe nabrały dla niego nowego znaczenia. Uświadomił sobie, że został przestępcą. Przez lata myślał o sobie jako o ofiarze, a teraz, ni stąd, ni zowąd stał się kryminalistą.

Spit odwiesił słuchawkę i uniósł kciuk. Jack nie miał pojęcia, co ten gest miał

oznaczać, ale uśmiechnął się na wszelki wypadek, tym bardziej że jego towarzysz robił wrażenie zadowolonego.

Niecałe piętnaście minut później przy krawężniku zatrzymał się ciemnokasztanowy buick. Rytmiczny łoskot rapu dochodził z wnętrza wozu mimo pozamykanych okien. Spit otworzył tylne drzwi i wymownym gestem nakazał Jackowi wsiąść. Nie podobało mu się to. Zaczynał mieć wrażenie, że całkowicie stracił kontrolę nad zdarzeniami.

Spit raz jeszcze rozejrzał się po okolicy, zanim zajął miejsce obok kierowcy.

Samochód oderwał się od krawężnika i pomknął przed siebie.

- Co jest? - zapytał kierowca. Nazywał się David. On także regularnie grywał w kosza.

- Mnóstwo gówna - odparł Spit. Otworzył okno i z hałasem splunął przez nie.

Za każdym razem, gdy z któregoś z głośników wydobywały się głośniejsze dźwięki, Jack wykrzywił się i kulił. Wyjął spod bluzy pistolet. Trzymanie go blisko ciała wywoływało nieprzyjemne uczucie.

- Co mam z tym zrobić? - zapytał Spita. Musiał mówić bardzo głośno, żeby pokonać wszechobecną muzykę.

Spit obrócił się i wziął broń. David na jej widok aż gwizdnął z zachwytu.

- Nówka - skomentował.

Jechali w milczeniu na Sto Szóstą, a następnie skręcili w prawo. David zatrzymał się naprzeciwko boiska. Ciągle trwały rozgrywki.

- Poczekaj tu - polecił Spit. Wsiadł z samochodu i skierował się w stronę boiska.

Jack obserwował Spita, który podszedł do bocznej linii i przyglądał się przez chwilę graczom. Jacka kusiło, aby zapytać Davida, o co w tym wszystkim chodzi, ale intuicja podpowiadała mu, żeby siedzieć cicho. W końcu Spit zwrócił uwagę Warrena i ten zatrzymał grę.

Po krótkiej rozmowie, w czasie której Spit oddał Warrenowi portfel Reginalda, obaj podeszli do samochodu Davida. Kierowca otworzył okno. Warren schylił się, wsunął głowę do środka i spojrzał na Jacka.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz? - zapytał zły.

- Nic. Jestem ofiarą - stwierdził Jack. - Nie rozumiem, dlaczego się na mnie wściekasz.

Warren nie odpowiedział. Obliznął jedynie spierzchnięte wargi, zastanawiając się, co zrobić dalej. Pot spływał mu strużkami po czole. Nagle wyprostował się i otworzył drzwi od strony Jacka.

- Wsiadaj. Musimy pogadać. Idziemy do ciebie.

Jack posłusznie wysiadł z auta. Spróbował spojrzeć w oczy Warrenowi, ale ten skutecznie unikał jego wzroku. Przeszedł przez ulicę, a Jack podążył za nim. Spit siedł obok Jacka.

Po schodach weszli w milczeniu.

- Masz coś do picia? - zapytał Warren zaraz po wejściu do mieszkania.

- Gatorade albo piwo - odparł gospodarz, otwierając równocześnie lodówkę.

- Gatorade - powiedział Warren. Podeszedł do tapczanu i ciężko usiadł.

Spit wybrał piwo.

Jack podał napoje i usiadł na krześle naprzeciwko kanapy. Spit przysiadł na biurku.

- Chcę wiedzieć, co tu jest grane - odezwał się Warren.

- To tak jak ja - odparł Jack.

- Nie wciskaj mi tu żadnego gówna. Jak na razie nie byłeś ze mną szczery.

- Co masz na myśli?

- W sobotę zapytałeś mnie o Black Kings. Powiedziałeś, że po prostu jesteś ciekawy.

A dzisiaj jeden z tych skurwieli chciał cię zdmuchnąć. Wiem co nieco o tych gnojkach. Od dawna siedzą w prochach. Łapiesz, co mówię? Chcę, żebyś wiedział, że jeżeli wplątałeś się w takie interesy, to nie chcę cię widzieć w mojej okolicy. Jasno się wyrażam?

Jack parsknął krótkim śmiechem.

- I to po to tu przyszliśmy? Sądysz, że handluję narkotykami?

- Słuchaj, doktorku. Jesteś dziwak. Nigdy nie zrozumieję, dlaczego tu mieszkasz. Ale wszystko jest okay, dopóki nie psujesz stosunków w okolicy. Jeżeli jesteś tu z powodu prochów, to powinieneś szybko przemyśleć swoją sytuację.

Jack chrząknął. Przyznał się Warrenowi, że rzeczywiście nie był z nim szczery, kiedy pytał o Black Kings. Opowiedział o napaści, wyznając równocześnie, że dotyczyło to jego spraw zawodowych, których sam do końca nie rozumie.

- I na pewno nie handlujesz prochami? - zapytał raz jeszcze Warren. Spoglądał na Jacka z ukosa, ale wnikliwie. - No bo jeżeli i tym razem nie jesteś ze mną szczery, to staniesz się mniej warty niż gówno na chodniku.

- Jestem całkowicie szczery - zapewnił go Jack.

- W takim razie jesteś szczęściarzem. Gdyby David i Spit nie rozpoznali tego gogusia w camaro, byłbyś teraz historią. Spit powiedział, że miał zamiar cię załatwić.

Jack spojrzał na Spita.

- Jestem ci wielce zobowiązany.

- Nic wielkiego, człowieku. Ten sukinsyn był tak nabuzowany na ciebie, że w ogóle się nie oglądał za siebie. Siedzieliśmy mu na ogonie od samej Sto Szóstej.

Jack podrapał się w głowę i westchnął. Dopiero teraz zaczął się uspokajać.

- Co za wieczór. A jeszcze się nie skończył. Musimy zawiadomić policję.

- Gówno musimy - odpowiedział znowu zły Warren. - Nikt nie zamierza iść na

policję.

- Ale ktoś został zabity. Może dwie osoby lub nawet trzy, licząc tych bezdomnych - upierał się Jack.

- Będą cztery, jeśli spróbujesz pójść - ostrzegł Warren. - Doktorku, nie mieszaj się do spraw gangów, a to stało się taką sprawą. Ten Reginald zdawał sobie sprawę, że nie jest tu mile widziany. Nie możemy pozwolić, żeby wydawało im się, że mogą tu przyjechać i załatwić kogoś na naszym terenie, nawet jeśli to tylko ty. Następnym razem uziemią któregoś z naszych. Zostaw to swojemu biegowi. Policja nawet palcem nie kiwnie. Są szczęśliwi, kiedy czarni wybijają się nawzajem. Sprowadziłbyś tylko kłopoty na siebie i na nas, no i jeżeli pójdziesz na policję, nie jesteśmy dłużej przyjaciółmi. W żadnym razie.

- Ale opuszczenie miejsca przestępstwa jest... - zaczął Jack.

- Tak, wiem - przerwał mu Warren. - Jest również przestępstwem. Ale kogo to obchodzi? Pozwól, że jeszcze coś ci powiem. Ciągłe masz problem. Jeżeli Black Kings chcą twojej głowy, to lepiej, żebyś z nami trzymał, bo tylko my potrafimy utrzymać cię przy życiu. Gliny na pewno nie, możesz mi wierzyć.

Jack chciał coś odpowiedzieć, ale zrezygnował ostatecznie. Z całą swoją wiedzą o nowojorskich gangach zdawał sobie sprawę, że Warren ma rację. Jeżeli Black Kings chcą go zabić, a chcą bez wątpienia - po śmierci Reginalda pewnie bardziej niż przedtem - policja nie miała żadnej szansy na chronienie go przez dwadzieścia cztery godziny.

Warren spojrzał na Spita.

- Ktoś musi się przykleić do doktorka na najbliższe kilka dni.

Spit skinął.

- Nie ma problemu.

Warren wstał i przeciągnął się.

- Najbardziej wkurwia mnie to, że miałem dzisiaj najlepszy zespół od kilku tygodni, a to gównem załatwiło mi całą grę.

- Przykro mi, ale obiecuję, że następnym razem, kiedy będę grał przeciwko tobie, pozwolę ci wygrać - odpowiedział Jack.

Warren zaśmiał się.

- Jedno mogę o tobie, doktorze, powiedzieć. Potrafiłbyś poradzić sobie z najlepszymi.

- Skinął na Spita. - Będziemy cię pilnować. Nie rób nic głupiego. Zamierzasz biegać jutro wieczorem?

- Może - odparł Jack. Nie wiedział, co będzie robił przez następne pięć minut, a co dopiero następnego dnia.

Pomachali Jackowi i wyszli. Drzwi zamknęły się za nimi.

Jack siedział nieruchomo przez kilka minut. Czuł się psychicznie wyczerpany. W końcu wstał i poszedł do łazienki. Przeraził się, kiedy spojrział w lustro. Wtedy na ulicy, kiedy czekał ze Spitem na przyjazd Davida, kilku przechodniów zerknęło na niego, ale nikt nie odważył się dłużej przyglądać. Teraz wiedział dlaczego. Twarz i bluza zaplamione były krwią, najpewniej zabitego włóczęgi. Miał też kilka równych, okropnych zadrapań ciągnących się od czoła przez nos. Także mnóstwo drobnych skaleczeń spowodowanych bez wątpienia przedzieraniem się przez zarośla. Jednym słowem wyglądał, jakby wrócił z wojny. Wszedł do wanny i odkręcił prysznic. Myśli pędziły z zawrotną prędkością. Nie pamiętał podobnego zamętu w głowie od czasu katastrofy, w której stracił rodzinę. Ale wtedy było inaczej. Wtedy znalazł się w depresji. Teraz czuł, że jest w niezwykłym kłopotcie. Wyszedł spod prysznica i wytarł się. Ciągłe się wahał, czy zadzwonić na policję, czy lepiej nie. W stanie takiego niezdecydowania zbliżył się do telefonu. Wtedy też dopiero zauważył, że automatyczna sekretarka daje znak światłem, co znaczyło, że ktoś nagrał jakąś

wiadomość. Wcisnął przycisk odtwarzania i usłyszał zdenerwowany głos Beth Holderness. Natychmiast oddzwonił do niej. Aż dziesięć razy zadzwieczał sygnał w jej mieszkaniu, zanim Jack zrezygnowany odłożył słuchawkę. Co mogła znaleźć? Czuł się odpowiedzialny za to, że straciła pracę. Wiedział, że to jest jego wina.

Wyjął z lodówki piwo i poszedł do pokoju dziennego. Usiadł na parapecie okna, przez które mógł widzieć kawałek Sto Szóstej. Panował normalny ruch na jezdni i chodniku. Patrzył niewidzącymi oczami i dalej zastanawiał się, czy zawiadomić policję, czy nie.

Godziny mijały. Zdał sobie sprawę, że zwlekając z podjęciem decyzji, mimowolnie ją podjął. Nie zawiadamiając policji, zgodził się ze stanowiskiem Warrena. Został przestępcą. Wrócił do telefonu i z dziesięć razy próbował skontaktować się z Beth. Było już po północy. Telefon nie odpowiadał. Zaczął się niepokoić. Miał nadzieję, że poszła po prostu do przyjaciół. Nie dość, że nie mógł się z nią skontaktować, to jeszcze zaczął sam się winić za wszystko.

Rozdział 27

Wtorek, godzina 7.30, 26 marca 1996 roku

Pierwsze, co zrobił po przebudzeniu, to zadzwonił do Beth Holderness. Ciągle nie odpowiadała. Starał się być optymistą, pocieszał się, że na pewno jest u przyjaciół, jednak wobec wszystkiego, co zaszło, niemożność skontaktowania się z nią stawała się coraz bardziej denerwująca.

Nie kupił jeszcze roweru, więc musiał znów skorzystać z metra. Ale nie był sam.

Przez cały czas towarzyszył mu młody chłopak, członek lokalnego gangu. Na imię miał Slam, zapewne z szacunku dla niezwyklej umiejętności wsadzania piłki do kosza*. Co prawda był wzrostu Jacka, ale w wysokości sięgał wyżej co najmniej o trzydzieści centymetrów.

Nie rozmawiali ze sobą podczas jazdy metrem. Siedzieli naprzeciwko siebie i choć

Slam nie unikał kontaktu wzrokowego, wyraz jego twarzy nie zmieniał się - wyrażał kompletną obojętność. Jak większość amerykańskich Murzynów ubrany był w za duże ciuchy. Bluza przypominała namiot; Jack wolał sobie nie wyobrażać, co mogło być pod nim ukryte. Nie sądził, aby Warren wysłał swego młodego kolegę do ochrony bez odpowiedniego na podobną okazję uzbrojenia.

Gdy Jack przeszedł Pierwszą Avenue i wszedł na schody prowadzące do budynku medycyny sądowej, odwrócił się i spojrzał za siebie. Slam zatrzymał się na chodniku i najwyraźniej zastanawiał się, co ma zrobić. Jack również się zawahał. Przemknęła mu nawet przez głowę myśl, żeby zaprosić go do środka. Mógłby przesiadzieć spokojnie w barze na piętrze, ale pomysł był nie do zrealizowania. Jack wzruszył ramionami. Doceniał wysiłki Slama, ale to był przecież jego problem.

Odwrócił się z zamiarem wejścia do budynku, starając się jednocześnie przygotować na ewentualność spotkania z ciałem lub ciałami ludzi, do których śmierci w jakiś sposób sam się przyczynił.

Zebrał w sobie całą odwagę, pchnął drzwi i wszedł do środka.

Był to jego „papierkowy dzień”, więc nie musiał wykonywać żadnych autopsji.

Postanowił jednak sprawdzić, co wydarzyło się w nocy. Interesowali go nie tylko Reginald i

* *Slam dunk* (ang.) - wsady do kosza w koszykówce, czyli zdobycie punktów przez włożenie piłki do kosza od góry (a nie tradycyjne wrzucenie jej), co wymaga bardzo wysokiego wyskoku (przyp. tłum.).

parkowi włóczędzy, ale także ewentualne nowe ofiary meningokoków.

Skinął na strażnika, aby wpuścił go do strefy przeznaczonej wyłącznie dla personelu.

Już na progu pokoju lekarzy wiedział, że to nie będzie normalny dzień. Winnie nie czytał gazety, bo nie było go na jego miejscu.

- Gdzie jest Winnie? - zapytał Jack George'a.

Zapytany, nie podnosząc wzroku, odpowiedział, że Winnie z Binghamem są już na sali.

Serce Jacka zabiło mocniej. Winiąc się za wydarzenia poprzedniego wieczoru, nabrał jakiegoś irracjonalnego przeświadczenia, że Bingham mógłby zostać wezwany do przypadku Reginalda. Piastując stanowisko szefa, Bingham rzadko osobiście wykonywał autopsje, chyba że chodziło o sprawy ciekawe lub ważne.

- A co o tej porze robi tu Bingham? - zapytał, starając się nadać głosowi obojętny ton.

- Mieliśmy pracowitą noc - wyjaśnił George. - W Manhattan General doszło do kolejnej śmiertelnej infekcji. Tym razem postawili na nogi całe miasto. Jeszcze w nocy miejski epidemiolog zawiadomił pełnomocnika rządu do spraw zdrowia, a ona zadzwoniła do Bingham.

- Znowu meningokoki?

- Nie. Podejrzewają, że to wirusowe zapalenie płuc.

Jack skinął, czując jednocześnie, jak po krzyżu przechodzą mu ciarki. Jako pierwsze przyszły mu na myśl hantawirusy. Pamiętał, że w zeszłym roku wiosną odnotowano jeden przypadek na Long Island. Była to przerażająca wizja, chociaż to ciągle nie byłaby choroba przenoszona przez zwykły kontakt chorego ze zdrowym.

Na biurku przed George'em leżało więcej teczek niż zwykle.

- Coś interesującego zdarzyło się w nocy? - zapytał Jack. Przejrzał stos, szukającteczki Reginalda.

- Hej - zaprotestował George. - Miałem to poukładane. - Spojrzał na Jacka i zmienionym tonem zapytał: - Kurczę, a tobie co się stało?

Jack zapomniał, jak kiepsko wygląda jego twarz.

- Przewróciłem się wczoraj w czasie joggingu - odpowiedział. Nie lubił kłamać.

Powiedział więc prawdę, choć dalece niewystarczającą.

- I w co wpadłeś? W zwój drutu kolczastego?

- Jakież rany postrzałowe? - zapytał, chcąc zmienić niewygodny temat.

- Nie uwierzysz. Aż czworo. Szkoda, że masz papierkowy dzień. Dałbym ci jedną.

- Którzy to? - zapytał Jack. Spojrzał na rozłożone teczki.

George stuknął palcem w teczki leżące osobno.

Jack przesunął je w swoją stronę, wziął pierwszą z góry i otworzył. Gdy spojrzał do środka, serce w nim zamarło. Aby utrzymać równowagę, musiał oprzeć się o biurko. Ofiara nazywała się Beth Holderness.

- O Boże, nie - jęknął.

George znowu spojrzał na kolegę.

- Co się stało? Stary, jesteś biały jak ściana. Dobrze się czujesz?

Jack usiadł szybko na najbliższym krześle i pochylił głowę między kolana. Czuł, że za chwilę zemdleje.

- Znałeś ją? - zapytał George z troską.

Jack wyprostował się. Słabość minęła. Wziął głęboki wdech i skinął twierdząco.

- To moja znajoma. Jeszcze wczoraj z nią rozmawiałem. Nie mogę uwierzyć - kręcił głową.

George pochylił się i wziął z ręki Jacka teczkę. Otworzył ją.

- Och tak. Laborantka z General. Smutne! Miała dopiero dwadzieścia osiem lat.

Zastrzelona strzałem w głowę od przodu, najprawdopodobniej z powodów rabunkowych, dla telewizora i jakiejś taniej biżuterii. Prawdziwa tragedia.

- A pozostali zastrzeleni? - zapytał Jack. Nie wstawał na razie z krzesła.

George spojrzał do wykazu.

- Mam Hectora Lopeza z Zachodniej Sto Szóstej, Mustafę Abouda ze Wschodniej

Dziewiętnastej i Reginalda Winthorpe'a z Central Park.

- Pokaż mi tego Winthorpe'a - poprosił Jack.

George podał mu teczkę ofiary.

Jack zaczął przeglądać jej zawartość. Nie szukał niczego szczególnego, ale poczucie,

że jest wpłątany w tę sprawę, nakazywało mu sprawdzić ten przypadek. Najdziwniejsze

wydało mu się to, że gdyby nie nieoczekiwana obecność Spita, to jegoteczka spoczywałaby

teraz na biurku George'a. Wzdrygnął się na tę myśl. Zwrócił teczkę Reginalda George'owi.

- Jest już Laurie? - zapytał.

- Przyszła tuż przed tobą. Była u mnie i prosiła o kilka teczek, ale powiedziałem, że

jeszcze nie zrobiłem grafiku.

- Gdzie ją znajdę?

- Myślę, że jest u siebie. Naprawdę nie wiem.

- Przydziel jej Holderness i Winthrope'a - powiedział Jack. Wstał. Bał się, że znowu

poczuje się źle, ale nic takiego się nie stało.

- Dlaczego? - zapytał George.

- George, po prostu zrób to - odpowiedział Jack.

- W porządku, nie wściekaj się.

- Przepraszam. Nie jestem wściekły. Raczej zatroskany.

Jack wyszedł z biura i poszedł korytarzem. Minał pokój Janice, jak zwykle zajętej

pracą. Nie zamierzał jej niepokoić. Zbyt był zaabsorbowany własnymi myślami. Śmierć Beth

Holderness wytrąciła go z równowagi. Przeczucie, że zawinił i przez niego straciła pracę,

było dostatecznie przygnębiające. Myśl, że przez niego straciła również życie, stała się nie do

zniesienia.

Nacisnął przycisk windy i czekał. Zamach na jego życie podjęty wczorajszego wieczoru poważnie wzmacniał podejrzenia. Ktoś próbował go zabić, po tym jak nie przejął się ostrzeżeniem. Tego samego wieczoru zamordowana została Beth Holderness. Stało się tak w wyniku przypadkowego napadu rabunkowego czy może z jego powodu, a jeśli tak, jakie wnioski można było wyciągnąć na temat Martina Cheveau? Nie wiedział. Ale wiedział, że nie wolno mu już nikogo więcej angażować w tę historię, jeśli nie chce sprowadzić kolejnego nieszczęścia. Od tej chwili postanowił wszystko zachowywać w tajemnicy.

Tak jak przypuszczał George, Laurie siedziała u siebie. Czekając na przydział zajęć, wykorzystwała wolny czas na uzupełnienie dokumentacji wcześniejszych przypadków. Zerknęła na Jacka i aż się wzdrygnęła. Podał jej to samo usprawiedliwienie dla swego wyglądu co George'owi, ale nie wiedział, czy ją przekonał.

- Słyszałaś, że Bingham jest w sali? - zapytał, chcąc zmienić temat i nie wracać do wydarzeń poprzedniego wieczoru.

- Tak. Zdziwiłam się. Nie sądziłam, że coś mogłoby go sprowadzić do biura przed ósmą, a tym bardziej do stołu w sali autopsyjnej.

- Wiesz coś o tym przypadku?

- Tylko tyle, że to nietypowe zapalenie płuc. Rozmawiałam z Janice. Powiedziała, że początkowo podejrzewali grypę.

- Ho, ho! - zdziwił się Jack.

- Wiem, o czym myślisz - powiedziała Laurie, grożąc mu palcem. - Powiedziałeś, że grypa byłaby jedną z tych chorób, którymi posłużyłbyś się, żeby wywołać epidemię.

Powinieneś jednak przyznać, zanim uznasz ofiary z nocy za dowód swojej teorii, że mamy właśnie środek sezonu na grypę.

- Pierwotne nietypowe zapalenie płuc po grypie nie jest zbyt powszechne - zauważył

Jack, starając się zachować spokój. Słowo „grypa” znowu przyspieszyło bicie jego serca.

- Co roku mamy z tym do czynienia - uznała Laurie.

- Możliwe, jednak poproszę cię o coś. Może zadzwoniłabyś do tej twojej znajomej internistki i zapytała, czy mają więcej przypadków?

- Teraz? - spytała, spoglądając na zegarek.

- To taka sama dobra pora jak każda inna. Będzie pewnie robiła obchód, może więc skorzystać z komputera w punkcie informacyjnym na piętrze.

Laurie wzruszyła ramionami i chwyciła słuchawkę telefonu. Chwilę później rozmawiała z przyjaciółką. Zadała pytanie i czekając, spoglądała na Jacka. Martwiła się o niego. Na twarzy miał nie tylko zadrapania, pojawiły się także wypieki.

- Żadnych nowych przypadków - powtórzyła do słuchawki, gdy usłyszała odpowiedź od koleżanki. - Dziękuję, Sue. Bardzo mi pomogłaś. Do najbliższego spotkania. Cześć! -

Odłożyła słuchawkę. - Zadowolony?

- Na razie. Posłuchaj. Poprosiłem George'a, aby przydzielił ci dwa szczególne przypadki z tego ranka: niejaka Holderness i mężczyzna nazwiskiem Winthrope.

- Jakiś specjalny powód? - Zauważyła, że Jack zawahał się.

- Zrób mi tę grzeczność.

- Jasne.

- Chciałbym, żebyś sprawdziła, czy na ciele Holderness nie znajdziesz jakichś włosów czy włókien. Następnie sprawdź to samo u Winthrope'a i jeśli coś znajdziesz, porównaj z DNA Winthrope'a.

Laurie nie była w stanie nic powiedzieć. Po chwili odzyskała głos.

- Sądzisz, że Winthrope zabił Holderness? - Jej ton zdradzał brak wiary w podobne przypuszczenie.

Jack spojrział na nią, westchnął i odparł:

- Niewykluczone.

- Skąd wiesz?

- Nazwijmy to niepokojącym przeczuciem. - Chciałby powiedzieć Laurie coś więcej, lecz wobec dopiero co powziętego postanowienia nie zdradził żadnych szczegółów. Nie zamierzał nikogo więcej narażać na niebezpieczeństwo.

- Teraz dopiero pobudziłeś moją ciekawość - stwierdziła Laurie.

- Chciałbym cię prosić o jeszcze jedną przysługę. Wspomniałaś kiedyś, że byłaś blisko z detektywem policyjnym, który jest teraz twoim przyjacielem.

- Zgadza się.

- Mogłabyś do niego zadzwonić? Chciałbym z nim porozmawiać, ale prywatnie, bez protokołów i takich tam.

- Zaczynasz mnie przerażać. Wpadłeś w jakieś poważne tarapaty?

- Laurie, proszę cię, nie zadawaj mi więcej pytań. Im mniej teraz wiesz, tym lepiej dla ciebie. Jednak uważam, że powinienem porozmawiać z kimś, kto jest nieco wyżej usadowiony w wymiarze sprawiedliwości.

- Chcesz, żebym od razu zadzwoniła?

- Jeżeli możesz.

Laurie westchnęła, zacisnęła usta i wykręciła numer do Lou Soldano. Nie rozmawiała z nim od kilku tygodni, więc uznała, że telefonowanie w sprawie, o której sama prawie nic nie wie, jest nieco niezręczne. Jednak naprawdę martwiła się o Jacka i chciała mu pomóc.

Kiedy dyżurny oficer podniósł słuchawkę, Laurie poprosiła o połączenie z Lou.

Niestety, okazało się, że nie jest w tej chwili osiągalny. Zostawiła więc wiadomość z prośbą o kontakt.

- Nie mogę nic więcej zrobić, jednak znając Lou, możesz być spokojny. Odezwie się tak szybko, jak będzie mógł - powiedziała Jackowi.

- Doceniam pomoc. - Ścisnął Laurie lekko za ramię. Miał przyjemne uczucie, że dziewczyna jest jego przyjaciółką.

Udał się do swego gabinetu. Chet, który dopiero co wszedł, spojrzał na twarz kolegi i gwizdnął.

- To jak muszą wyglądać tamci faceci - zażartował.

- Nie mam nastroju - odparł Jack. Zdjął kurtkę i przewiesił ją przez oparcie krzesła.

- Mam nadzieję, że to nie ma nic wspólnego z gangiem, który odwiedził cię w piątek?

Jack wyjaśnił wszystko tak jak George'owi i Laurie.

Chet uśmiechnął się krzywo, chowając swoją kurtkę w szafie.

- Jasne, ty przewróciłeś się w czasie biegania, a ja umówiłem na randkę z Julią

Roberts. No ale, stary, nie musisz mi mówić, co się stało, w końcu jestem tylko twoim przyjacielem.

O to właśnie chodzi, pomyślał Jack. Sprawdził, czy nie ma dla niego jakichś wiadomości, i zaczął zbierać się do wyjścia.

- Przegapiłeś wczoraj miłą kolacyjkę. Teresa także przyszła. Trochę o tobie rozmawialiśmy. Ona cię lubi, wiesz, tak zresztą jak ja i tak samo martwi się tą manią w sprawie infekcji, która zaczęła cię prześladować.

Jack nawet nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć. Gdyby Chet albo Teresa wiedzieli, co się naprawdę zdarzyło zeszłego wieczoru, byłiby więcej niż zaniepokojeni.

Jack wrócił na parter i zajrzał do pokoju Janice. Chciał się dowiedzieć czegoś o tym przypadku grypy, który badał Bingham. Niestety, nie zastał jej. Zszedł do kostnicy i przebrał się w swój kombinezon ochronny.

Wszedł do sali autopsyjnej i podszedł do jedyne go w tej chwili zajętego stołu.

Bingham stał po prawej stronie pacjenta, Calvin po lewej, a Vinnie w głowie. Prawie skończyli.

- Proszę, proszę - odezwał się Bingham na widok Jacka. - Cóż za zaszczyt. Pierwszy ekspert od przypadków infekcji.

- Może ekspert chciałby nam powiedzieć, z czym to mamy tu do czynienia - wtrącił Calvin.

- Słyszałem już. Grypa.

- Szkoda - odpowiedział Bingham. - Dobrze byłoby zobaczyć pana w akcji. Kiedy rano przywieźli zwłoki, przyczyna zgonu nie była znana. Podejrzewano jakąś odmianę wirusowej gorączki krwotocznej. Postawiło to wszystkich na nogi.

- Kiedy zorientował się pan, że to grypa? - zapytał Jack.

- Kilka godzin temu. Jak zaczęliśmy. To klasyczny przypadek. Chce pan zobaczyć płuca?

- Owszem.

Bingham sięgnął do miski i wyjął płuca. Pokazał Jackowi rozciętą powierzchnię.

- Mój Boże, całe płuca zajęte! - skomentował zaskoczony Jack. Był rzeczywiście pod wrażeniem.

- Nawet zapalenie mięśnia sercowego - dodał Bingham i odłożywszy płuca, wyjął serce i pokazał Jackowi. - Jak pan widzi, rozległe.

- Wygląda, jakby zostało gwałtownie przemęczone - zauważył Jack.

- Trudno będzie w taką wersję uwierzyć, biorąc pod uwagę, że zmarły miał dwadzieścia dziewięć lat, a pierwsze symptomy choroby pojawiły się około osiemnastej dnia poprzedniego. Zmarł o czwartej nad ranem. Przypomina mi to przypadek, z którym spotkałem

się w czasie pandemii w pięćdziesiątym siódmym i ósmym - powiedział Bingham.

Vinnie znacząco spojrział na sufit. Bingham miał denerwujący wszystkich zwyczaj porównywania każdego przypadku z którymś z przeszłości, ze swojej bogatej i długiej kariery zawodowej.

- Wtedy także było to pierwotne nietypowe zapalenie płuc po grypie. Płuca wyglądały identycznie. Kiedy przyjrzeliliśmy się bliżej, z przerażeniem patrzyliśmy na zakres zniszczeń. Nauczyło nas to wtedy, że grypa może być rzeczywiście poważną chorobą.

- Wystąpienie takiego przypadku niepokoi mnie - wtrącił Jack. - Szczególnie, jeśli spojrzeć na niego w świetle innych chorób, z którymi mieliśmy ostatnio do czynienia.

- No, tylko niech mnie pan nie zwodzi na lewe tory - Bingham ostrzegł Jacka, przypominając mu pewne deklaracje z dnia poprzedniego. - Nie ma w tym nic nadzwyczajnego jak w przypadku dżumy lub nawet tularemii. Mamy okres grypowy.

Pierwotne nietypowe zapalenie płuc po grypie nie jest często spotykane, to prawda, lecz stykaliśmy się już z tym. Prawdę powiedziawszy, to przecież mieliśmy taki przypadek w zeszłym miesiącu.

Jack słuchał, ale słowa Bingham'a w najmniejszym stopniu nie uspokajały go. Pacjent leżący na stole zapadł na śmiertelną chorobę wywoływaną przez czynnik, który posiadał zdolność prostego przenikania od jednego pacjenta do drugiego niczym burza ogniowa.

Jedynym pocieszeniem dla Jacka było zapewnienie przyjaciółki Laurie, że w szpitalu nie ma kolejnych przypadków zachorowania.

- Nie będzie pan miał nic przeciwko, jeśli wezmę kilka próbek? - Jack zapytał Bingham'a.

- Skądże znowu, cała przyjemność po mojej stronie. Ale proszę uważać, co pan z nimi robi.

- Oczywiście.

Jack z pomocą Vinniego pobrał próbki przez wyplukanie kilku oskrzelików fizjologicznym roztworem soli. Następnie wysterylizował eterem zewnętrzną powierzchnię naczynia, do którego zabrał próbki.

Miał już zamiar wyjść, gdy powstrzymał go Bingham. Był ciekawy, co Jack ma zamiar zrobić z próbkami.

- Zabieram je do Agnes. Chcę znać podtyp.

Bingham wzruszył ramionami i spojrzał na Calvina.

- Niezły pomysł - przyznał Calvin.

Jack zrobił dokładnie tak, jak powiedział. Jednak kiedy zaniósł butelkę na drugie piętro, doznał poważnego rozczarowania.

- Nie mamy możliwości określania podtypów - oświadczyła z żalem Agnes.

- Kto ma? - zapytał.

- Na przykład laboratorium miejskie albo uniwersyteckie. Ale najlepsze będzie zapewne laboratorium Centrum Kontroli Chorób. Mają całą sekcję zajmującą się wyłącznie grypą. Gdyby to zależało ode mnie, wysłałabym próbki właśnie do nich.

Jack wziął od Agnes specjalny pojemnik do przewożenia zarazków, przełożył do niego próbki i poszedł do siebie na górę.

Gdy tylko usiadł za biurkiem, chwycił za telefon i połączył się z Centrum Kontroli Chorób, z działem zajmującym się grypą. Po drugiej stronie odpowiedział mu miły kobiecy głos, który przedstawił się jako Nicole Marquette.

Jack wyjaśnił, o co mu chodzi, i okazało się, że Nicole może mu pomóc. Powiedziała nawet, że z wielką ochotą sama określi typ i podtyp grypy.

- Jeżeli jeszcze dzisiaj zdołałbym dostarczyć wam próbki, na kiedy możecie wykonać

badania? - zapytał Jack.

- Być może na jutro rano, jeśli to panu wystarczy.

- A dlaczego „być może”? - zapytał niecierpliwie.

- Cóż, postaramy się. Jeżeli w pańskim materiale jest dostateczne stężenie czynnika, to znaczy jest dość wirusów, będzie to możliwe. Wie pan, jakie jest nasycenie?

- Nie mam pojęcia, ale próbki w postaci popłuczyn zostały świeżo pobrane z płuc pacjenta, który zmarł z powodu pierwotnego nietypowego zapalenia płuc. Choroba rozwinęła się błyskawicznie i obawiam się epidemii.

- Jeżeli choroba rozwinęła się, jak pan mówi, błyskawicznie, to nasycenie wirusami powinno być wysokie.

- Postaram się dostarczyć próbki jeszcze dzisiaj - obiecał Jack. Podał swoje telefony zarówno do biura, jak prywatny. Prosił o informację bez względu na porę.

- Zrobimy, co będzie w naszej mocy. Muszę jednak ostrzec pana, jeżeli próbki będą słabej jakości, może czekać pan na wynik nawet kilka tygodni.

- Tygodni! Dlaczego?

- Ponieważ będziemy musieli najpierw wydzielić wirus i rozmnożyć go. Zazwyczaj używamy fretek, które potrzebują minimum dwóch tygodni na wytworzenie właściwych przeciwciał, takich, które gwarantują wyhodowanie dobrej jakości wirusów. A kiedy będziemy mieli dostatecznie dużo wirusów, powiemy o nich więcej. Określimy nie tylko podtyp, ale nawet opiszemy jego genotyp.

- W takim razie trzymam kciuki za moje próbki. Aha, jeszcze jedno. Jaki podtyp, pani zdaniem, jest najgroźniejszy?

- Uff, to trudne pytanie. Wpływa na to wiele czynników, a nade wszystko odporność żywiciela. Powiedziałabym, że najgroźniejszy może być nowy szczep, jakaś nowa mutacja

albo wręcz przeciwnie, stara odmiana, która nie występowała od bardzo dawna. Myślę, że wirus, który wywołał w tysiąc dziewięćset osiemnastym i dziewiętnastym roku pandemię grypy, zasługuje na mało zaszczytny tytuł najbardziej złośliwego w tej kategorii. Na całym świecie zmarło wtedy około dwudziestu pięciu milionów ludzi.

- Jaki to był podtyp?

- Nikt tego nie wie na pewno. Podtyp nie istnieje. Wirus zniknął całe lata temu, chyba zginął wraz z epidemią. Niektórzy sądzą, że był bardzo podobny do tego, który wywołał świńską grypę w siedemdziesiątym szóstym.

Jack podziękował Nicole i raz jeszcze zapewnił, że postara się dostarczyć próbki jak najszybciej. Po tej rozmowie zadzwonił do Agnes, aby zapytać ją o opinię w sprawie wysyłki próbek. Podała mu nazwę firmy przewozowej, z której korzystają, lecz nie potrafiła odpowiedzieć, czy kursują także między stanami.

- Poza tym będzie to kosztowało niezłą sumkę. Jedną rzecz to dostarczenie w ciągu dwudziestu czterech godzin, a inną tego samego dnia. Bingham nigdy się na to nie zgodzi.

- Nieważne. Sam za to zapłacę.

Niezwłocznie skontaktował się z firmą kurierską. Z zadowoleniem przyjęli zamówienie. Połączyli Jacka z jednym z kierowników, Tonym Liggio. Kiedy Jack dokładnie wyjaśnił, o co chodzi, Tony odparł, że nie widzi żadnych problemów z realizacją zamówienia.

- Może pan przyjechać natychmiast po przesyłkę? - zapytał Jack. Był zdecydowany doprowadzić sprawę do końca.

- Już kogoś wysyłam.

- Paczka będzie czekała.

Jack już chciał odłożyć słuchawkę, gdy usłyszał jeszcze głos Tony'ego.

- Nie jest pan zainteresowany kosztami? Chodzi mi o to, że to co innego, niż

przewieźć paczkę z jednego końca miasta na drugi. No a poza tym, jest jeszcze kwestia sposobu zapłaty.

- Kartą kredytową, jeśli jest to możliwe.

- Jasne, bez problemów. Nie potrafię jednak dokładnie określić, ile całość może kosztować.

- Proszę podać, jakiego rzędu będzie to suma - odparł Jack.

- Gdzieś między tysiącem a dwoma - stwierdził Tony.

Jack skrzywił się, ale podał numer swojej karty. Sądził, że zapłaci dwieście, może trzysta dolarów, ale też nie przypuszczał, że ktoś będzie musiał polecieć samolotem do Atlanty.

W chwili gdy podawał numer karty, w drzwiach pojawiła się jedna z sekretarek z obsługi biura. Wręczyła Jackowi paczkę z Federal Express i zniknęła bez słowa. Kiedy skończył rozmowę z firmą kurierską, wziął przesyłkę i natychmiast zauważył, że pochodzi z National Biologicals. To były próbki DNA, o które prosił wczoraj.

Wziął otrzymane próbki i materiał do wysyłki i znowu udał się do laboratorium.

Powiedział o firmie przewozowej.

- Jestem pod wrażeniem - stwierdziła Agnes. - Jeśli pozwolisz, zapytam o cenę.

- Lepiej nie. Jak mam zapakować przesyłkę do laboratorium?

- Zrobimy to. - Wezwała sekretarkę i poleciła jej zapakować próbki do pojemnika przeznaczonego specjalnie do przewożenia materiałów groźnych biologicznie i nalepić na niego etykietę.

- Zdaje się, że masz dla mnie coś jeszcze - zauważyła, spoglądając na próbki trzymane przez Jacka w drugiej ręce.

Wyjaśnił, co właśnie otrzymał i co chciał ustalić, a mianowicie, aby laboratorium

użyło DNA i zbadało reakcję nukleoprotein z kultur wyhodowanych z próbek pochodzących z czterech śmiertelnych chorób. Był ciekaw, czy dojdzie do reakcji między nimi. Nie powiedział tylko, dlaczego to go tak interesuje.

- Chcę tylko wiedzieć, czy próby będą pozytywne, czy negatywne. Stopień reakcji nie jest ważny.

- Riketsjami i tularemią zajmę się sama. Boję się zlecać takie prace technikom.

- Naprawdę doceniam twoje poświęcenie.

- No cóż, po to tu jesteśmy - odpowiedziała Agnes.

Po wyjściu z laboratorium zszedł na dół na kawę. Od chwili zjawienia się w pracy był tak zagoniony, że nie miał chwili spokoju na zastanowienie. Pijąc kawę małymi łykami, zdał sobie sprawę, że nie przywieziono do nich żadnego z bezdomnych włóczęgów, na których natknął się w parku. Znaczyło to, że albo są w szpitalu, albo nadal leżą w parku.

Zabrał kawę ze sobą do gabinetu. Usiadł za swoim biurkiem. Wiedział, że Chet i Laurie są w sali autopsyjnej, więc może liczyć na trochę ciszy i spokoju.

Zanim jednak nacieszył się samotnością, zadzwonił telefon. To była Teresa.

- Jestem na ciebie wściekła - powiedziała bez żadnych wstępów.

- To cudownie - odparł ze zwykłym u siebie sarkazmem. - Mogę więc powiedzieć, że dzień zaliczam do udanych.

- Jestem naprawdę zła - powiedziała, lecz głos znacząco złagodniał. - Colleen dopiero co skończyła rozmawiać z Chetem. Wspomniał, że znowu cię pobili.

- To tylko jego własna interpretacja zdarzeń. Tymczasem prawda jest taka, że nie zostałem znowu pobity.

- Nie?

- Wyjaśniłem Chetowi, że upadłem w parku w czasie biegania.

- Ale on powiedział Colleen...
- Tereso - uciął krótko Jack. - Nie zostałem pobity. Czy możemy porozmawiać o czymś innym?
- Skoro nie zostałeś napadnięty, dlaczego jesteś taki poirytowany?
- Miałem stresujący poranek.
- Może porozmawiamy o tym. W końcu od czego są przyjaciele? Ja bez skrępowania opowiadałam ci o moich kłopotach.
- W General mieli następne śmiertelne zachorowanie na jeszcze jedną chorobę. -
Prawdę powiedziawszy, chciał opowiedzieć Teresie o poczuciu winy wobec śmierci Beth Holderness, lecz przecież nie mógł.
- Straszne! Co się tam dzieje? Co to za choroba?
- Grypa. Bardzo złośliwy przypadek. Teraz dopiero mamy do czynienia z chorobą, której najbardziej się obawiałem.
- Przecież pełno dookoła grypy. To chyba okres na grypę?
- Wszyscy tak twierdzą - przyznał Jack.
- Ale nie ty?
- Zrozum. Boję się, szczególnie, jeśli okaże się, że to rzadki wirus. Zmarły był młodym człowiekiem, miał dopiero dwadzieścia dziewięć lat. Przeraza mnie to, co jeszcze może wydarzyć się w Manhattan General.
- Czy twoi koledzy dzielają te obawy?
- W tej chwili jestem sam.
- Jak dobrze, że mamy kogoś takiego jak ty. Z zachwytem przyjmuję twoje poświęcenie.
- Miło, że tak uważasz. Mam jednak nadzieję, że się myłę.

- Ale nie zamierzasz się chyba poddawać, prawda?
- Nie, dopóki nie zdobędę dowodu na takie lub inne rozwiązanie. Porozmawiajmy lepiej o tobie. Mam nadzieję, że lepiej ci się wiedzie niż mi.
- Cieszę się, że pytasz. W wielkim stopniu dzięki tobie przygotowujemy dobrą kampanię reklamową. A do tego udało mi się wewnętrzną prezentację przełożyć na czwartek, więc mamy dodatkowo cały dzień. W tej chwili sprawy wyglądają nieźle, ale w świecie reklamy wszystko może się odmienić w jednej sekundzie.
- W takim razie powodzenia - odparł Jack. Chciał zakończyć rozmowę.
- Może spotkalibyśmy się na szybką kolację - zasugerowała Teresa. - Bardzo bym się ucieszyła. Na Madison Avenue, całkiem niedaleko, jest mała, przyjemna włoska restauracja.
- Kto wie. Wszystko zależy od tego, jak potoczy się dzień.
- No co ty, Jack. Musisz jeść. Obojgu nam przyda się chwila odpoczynku, nie wspominając o towarzystwie. Wyczuwam w twoim głosie jakieś napięcie. Obawiam się, że będę musiała nalegać.
- No dobra - ustąpił. - Ale ostrzegam, że to może się okazać bardzo krótka kolacja. - Rozumiał, że w tym, co mówiła, było nieco prawdy, chociaż w tej chwili nie potrafił przewidzieć, co może się stać, zanim przyjdzie pora kolacji.
- Fantastycznie - powiedziała wyraźnie szczęśliwym głosem. - Zadzwoń do mnie później, to się umówimy. Jeżeli nie będzie mnie tu, to znaczy, że jestem w domu. Okay?
- Zadzwonię - obiecał.

Przez dobrą chwilę Jack wpatrywał się w słuchawkę. Zdawał sobie sprawę, że powszechnie wyznawany pogląd utrzymywał, iż rozmowa o kłopotach powodowała odprężenie i uspokojenie. Jednak w tej chwili myśl o dyskutowaniu z Teresą o przypadku grypy wywoływała u niego jeszcze większe rozdrażnienie. Przynajmniej próbki leciały już do

Atlanty, a laboratorium pracowało nad DNA otrzymanym z National Biologicals. Może wkrótce zaczniesz znajdować odpowiedzi na niektóre pytania.

Rozdział 28

Wtorek, godzina 10.30, 26 marca 1996 roku

Phil przeszedł przez wejściowe drzwi opuszczonego budynku przejętego przez Black Kings na siedzibę gangu. Za drzwiami służyła gruba na ponad siedem centymetrów sklejka przykręcona do aluminiowej ramy.

Przeszedł przez pierwszy pokój. W całunnie trudnego do zniesienia dymu papierosowego grano w karty. Nie zatrzymując się, poszedł prosto do biura. Z ulgą zobaczył Twina przy swoim biurku.

Nie mógł się doczekać, aż Twin skasuje dolę od jednego ze swoich jedenastoletnich handlarzy i odeśle dzieciaka z powrotem na ulicę.

- Mamy problem - powiedział Phil.

- Zawsze mamy jakiś problem - odparł filozoficznym tonem Twin. Przeliczył zielone przyniesione przez małolata.

- Nie taki jak tym razem. Załatwili Reginalda.

Twin spojrzał znad banknotów z wyrazem twarzy kogoś, kto właśnie dostał w pysk.

- Pieprzysz! Gdzieś usłyszał to gówno?

- To prawda - Phil obstawał przy swoim. Przyciągnął podniszczone krzesło z prostym oparciem spod ściany, odwrócił je tyłem do przodu i usiadł na nim jak na końskim grzbiecie, kładąc ramiona na oparciu. Taka pozycja harmonizowała nawet z baseballówką noszoną zawsze daszkiem do tyłu.

- Kto tak twierdzi? - zapytał Twin.

- Cała ulica. Emmett słyszał o tym od handlarza z Times Square. Wygląda, że

doktorek jest chroniony przez Gangsta Hoods z Upper West Side.

- Chcesz powiedzieć, że jeden z Hoodsów załatwił Reginalda? - pytał Twin, kompletnie nie wierząc w to, co usłyszał.

- Tak się sprawy mają. Strzał w głowę.

Twin z taką siłą huknął dłonią w biurko, że banknoty pofrunęły w powietrze. Zerwał się na równe nogi i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Kopnął metalowy kubek na śmieci.

- Nie wierzę. Dokąd, cholera, zmierza ten świat? Nie rozumiem tego. Zachowują się jak bracia wobec jakiegoś pieprzonego białego doktora. Nie, to nie ma sensu.

- Może robi coś dla nich - zasugerował Phil.

- Gówno mnie obchodzi, co on robi! - wrzasnął Twin. Stał nad Philem, który przyłoczony posturą szefa skulił się w sobie.

Phil był pewien, że kiedy Twin jest wkurzony, a w tej chwili był wkurzony jak rzadko kiedy, potrafi być brutalny i nieprzewidywalny.

Twin jednak wrócił do biurka i jeszcze raz grzmotnął w nie ręką.

- Nie rozumiem tego, ale jest jedna rzecz, którą wiem na pewno. Tak nie może zostać!

Na pewno nie! Hoods nie mogą łązić po mieście, zmiatając jednego z naszych, jakby nigdy nic się nie stało. A to oznacza, że musimy przynajmniej załatwić doktora, tak jak uzgodniliśmy.

- Gadają, że doktor ma ogon. Ciągłe go chronią.

- Niewiarygodne. - Twin usiadł na swoim krześle przy biurku. - To nic, będzie nawet łatwiej. Zdmuchniemy doktorka razem z jego ogonem. Ale nie możemy działać na terenie Hoodsów. Załatwimy faceta w pracy. - Twin otworzył środkową szufladę biurka i zaczął czegoś szukać. - Cholera, gdzie się podziała ta kartka o doktorze?

- Boczna szuflada - odpowiedział Phil.

Twin spojrział na niego, a Phil odpowiedział jedynie wzruszeniem ramion. Nie chciał rozjątrzać szefa, ale pamiętał, gdzie ostatnio wkładał kartkę.

Twin wyjął karteczkę i przeczytał zapisane informacje.

- No dobra. Wyślij BJ. Aż się pali do roboty.

Phil zniknął. Po dwóch minutach wrócił z BJ. Jego ociężały chód zdawał się przeczyć powszechnie znanej szybkości w działaniu.

Twin opisał okoliczności, w których się znaleźli.

- Poradzisz sobie z tym? - zapytał na koniec.

- Jasne.

- Chcesz obstawę?

- Po cholere? Poczekam, aż oba skurwiele będą razem, a potem ich obu rozpieprzę.

- Doktora musisz zdjąć w pracy. Nie możemy ryzykować odwiedzin na terenie

Hoodsów, nie mamy przewagi. Kapujesz?

- Jasne.

- Masz automat?

- Nie.

Twin otworzył dolną szufladę i wyjął z niej identyczny pistolet automatyczny jak ten, który wręczył Reginaldowi.

- Nie strać go. Nie mamy tego więcej.

- Jasne - odparł po swoim BJ. Wziął broń i niemal z czcią obracał ją w dłoni.

- Na co jeszcze czekasz? - zapytał Twin.

- A skończyłeś?

- Oczywiście, że skończyłem. Co, chcesz, żebym poszedł z tobą i trzymał cię za rękę?

Wypieprzaj stąd i żebyś mi wrócił i powiedział, że robota wykonana.

Jack nie potrafił skoncentrować się na kolejnych sprawach, bez względu na to, jak bardzo próbował. Było już prawie południe, a on ciągle miał stos papierów do przerobienia. Nie mógł przestać martwić się przypadkiem grypy i myśleć o Beth Holderness. Co takiego znalazła?

Ze złością rzucił długopis na biurko. Pragnął z całej mocy pójść do Manhattan

General, do laboratorium i stanąć twarzą w twarz z Martinem Cheveau, ale wiedział, że nie może. Cheveau w minutę sprowadziłby co najmniej oddział marines, a on sam straciłby pracę.

Jack zdawał sobie sprawę, że najpierw musi poczekać na wyniki badań nad próbkami otrzymanymi z National Biologicals, a dopiero potem, uzbrojony w odpowiednią amunicję, może ruszyć kogoś z góry.

Zrezygnował z dalszej pracy papierkowej, wstał i poszedł na piąte piętro do laboratorium DNA. W odróżnieniu od reszty budynku, laboratorium było supernowoczesne. Niedawno odnowiono je i wyposażono w najnowocześniejszy sprzęt. Nawet laboratoryjne fartuchy noszone przez pracowników zdawały się świeższe i bielsze niż gdzie indziej.

Jack wpadł na kierownika laboratorium, Teda Lyncha, który właśnie był w drodze na lunch.

- Dostałeś próbki od Agnes? - zapytał Jack.

- Tak. Są u mnie w biurze.

- Domyślałem się w takim razie, że nie ma jeszcze wyników?

Ted roześmiał się.

- O czym ty mówisz? Nie mamy nawet wyhodowanych kultur. A poza tym zdaje się,

że nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak skomplikowany to jest proces. To nie tak, że

wrzucamy do zupy na bakteriach dostarczone próbki i obserwujemy. Musimy wyizolować

nukleoproteiny, następnie przepuścić je przez replikator, żeby otrzymać dostatecznie obfite

podłoże. Inaczej nie moglibyśmy ujrzeć fluorescencji, nawet gdyby doszło do reakcji. To musi zabrać trochę czasu.

Jack wrócił do swojego pokoju, by wpatrywać się w ścianę naprzeciwko biurka. Choć była pora lunchu, w ogóle nie czuł głodu.

Po chwili zdecydował się zadzwonić do epidemiologa miejskiego. Ciekawiło go, jak doktor Abelard zareaguje na przypadek grypy. Pomyślał, że w ten sposób może dać miejskiemu specjalście od chorób zakaźnych szansę zrehabilitowania się za dotychczasowe niepowodzenia.

W książce telefonicznej poszukał numeru i zadzwonił. Odebrała sekretarka. Poprosił o połączenie z gabinetem doktora Abelarda.

- Kogo mam zapowiedzieć? - zapytała sekretarka.

- Doktor Stapleton - odpowiedział, rezygnując w ostatniej chwili ze złośliwego dowcipu. Mógł przecież przedstawić się dla kawału jako burmistrz albo przewodniczący Miejskiej Rady Zdrowia.

Czekając na połączenie, bezmyślnie obracał w palcach spinacz. Kiedy znowu usłyszał głos w słuchawce, z zaskoczeniem stwierdził, że należy do sekretarki.

- Bardzo mi przykro, ale doktor Abelard kazał mi przekazać, że nie życzy sobie z panem rozmawiać.

- Proszę przekazać znakomitemu lekarzowi, że jestem pod głębokim wrażeniem jego zawodowej dojrzałości - odpowiedział Jack i odłożył słuchawkę.

Jego pierwsze wrażenie sprawdziło się - facet był dupkiem. Gniew zmieszany z niepokojem wywołanym czasową beczynnością całkowicie przytłoczyły Jacka. Czuł się jak lew w klatce. Musiał coś zrobić. Najbardziej pragnął złożyć wizytę w General mimo zakazu Bingham. Ale jeśli nawet tam pójdzie, z kim będzie mógł porozmawiać? W myślach

sporządził listę osób, które znał w szpitalu. Nagle pomyślał o Kathy McBane. Była zarówno przyjacielska, jak i otwarta i była członkiem Komitetu Kontroli Chorób Zakaźnych. Jeszcze raz schwycił za słuchawkę i zadzwonił do Manhattan General. Nie było jej u siebie, więc wybrał numer jej pagera. Złapał ją w barze szpitalnym. W tle słyszał charakterystyczny gwar i brzęk naczyń. Przedstawił się i przeprosił, że przeszkadza w posiłku.

- Nic nie szkodzi - odpowiedziała przyjaźnie. - Co mogę dla pana zrobić?

- Pamięta mnie pani?

- Oczywiście. Jakże mogłabym zapomnieć po reakcji, jaką wywołał pan u Kelleya i doktor Zimmerman.

- Zdaje się, że nie są to jedyne osoby w szpitalu, które obraziłem - przyznał Jack.

- Odkąd mamy te przypadki z chorobami zakaźnymi, wszyscy są na skraju wyczerpania nerwowego. Nie brałabym tego do siebie.

- Proszę posłuchać. Martwię się tymi samymi przypadkami co wy i bardzo chciałbym przyjść do szpitala i osobiście porozmawiać z panią. Nie miałyby pani nic przeciwko temu? Ale musiałyby to pozostać wyłącznie między nami. Czy proszę o zbyt wiele?

- Ależ nie, skądże. Kiedy chciałby się pan spotkać? Obawiam się, że większą część popołudnia mam już zajętą.

- To może teraz? Zrezygnuję z lunchu.

- Cóż za poświęcenie. Nie mogłabym odmówić. Mój pokój znajduje się w skrzydle administracyjnym na parterze.

- Och! To znaczy, że mógłbym się natknąć na pana Kelleya.

- Wątpię. Mamy gości, grube ryby z AmeriCare. Szef będzie zajęty przez cały dzień.

- W takim razie już jadę - odparł Jack i odłożył słuchawkę.

Wyszedł z budynku frontowym wyjściem na Pierwszą Avenue. Był obserwowany przez Slama, który opierał się niedbale o ścianę sąsiedniego budynku, jednak Jack był zbyt zaaferowany, by zwrócić na to uwagę. Zatrzymał taksówkę i wsiadł do niej. W ostatniej chwili zauważył Slama, który zrobił dokładnie to samo.

BJ widział doktora tylko raz, w czasie piątkowej wizyty, i nie był pewien, czy rozpozna go na ulicy, ale gdy tylko Jack pojawił się w drzwiach budynku medycyny sądowej, BJ wiedział, że to on.

Czekając na ofiarę, starał się odkryć, kto pilnuje doktora. Przez dobrą chwilę przyglądał się jakiemuś muskularnemu gościowi sprzedającemu losy na loterię na rogu Pierwszej Avenue i Trzydziestej Ulicy. Facet palił papierosa i od czasu do czasu spoglądał na budynek medycyny sądowej. BJ pomyślał, że to jego druga ofiara, gdy nagle mężczyzna odszedł. BJ zdziwił się, kiedy zauważył, jak Slam wyprostował się gwałtownie na widok Jacka.

- Przecież to jakiś cholerny dzieciuch - wyszeptał BJ pod nosem. Był zdegustowany. Spodziewał się bardziej odpowiedniego przeciwnika.

Złapał za kolbę pistoletu, który trzymał w kaburze pod workowatą bluzą. W tej samej chwili Jack, a po nim Slam, zatrzymali taksówki i wsiadli do nich. Dał spokój broni, wskoczył na ulicę i także złapał taksówkę.

- Na północ - rzucił kierowcy. - No, ruszaj, człowieku.

Taksówkarz, Pakistańczyk z pochodzenia, rzucił pytające spojrzenie w stronę pasażera, ale natychmiast odwrócił głowę i zrobił, co mu kazano. BJ miał na oku taksówkę Slama. Nie było to trudne, gdyż miała stłuczone tylne światło.

Jack wyskoczył z auta i zniknął w hallu szpitala. Zaprzestano używać masek, kiedy uznano, że meningokoki nie stanowią już zagrożenia. Jack nie mógł więc ukryć twarzy.

Obawiając się rozpoznania, starał się spędzić jak najmniej czasu w powszechnie dostępnej części szpitala.

Przeszedł pośpiesznie do części administracyjnej, mając nadzieję, że Kathy nie myliła się co do Kelleya. Odgłosy szpitalne zamarły, gdy drzwi za nim zamknęły się. Stał na korytarzu wyłożonym miękką wykładziną dywanową. Szczęśliwie jak dotąd nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Wszedł do pierwszego pokoju, na który trafił, i zapytał o pokój Kathy McBane.

Skierowano go do trzeciego pokoju po prawej stronie korytarza. Nie tracąc czasu, podszedł do wskazanych drzwi i wszedł do środka.

- Cześć - powiedział, wchodząc i zamykając za sobą drzwi. - Mam nadzieję, że nie gniewa się pani za to, że tak wtargnąłem. Wiem, że to niegrzeczne, ale jak już wspominałem, parę osób ze szpitala nie przepada za mną i nie chciałbym ich spotkać.

- Nie gniewam się, jeśli poprawi to panu samopoczucie. Proszę, niech pan siada.

Usiadł na jednym z wolnych krzeseł. Pokój był mały. Mieścił ledwie biurko, dwa krzesła i szafę na dokumenty. Na ścianie wisały liczne dyplomy i świadectwa potwierdzające imponujący dorobek zawodowy Kathy. Wystrój był spartański, ale funkcjonalny. Całość dopełniały stojące na biurku fotografie rodzinne.

Kathy, podobnie jak za pierwszym razem, okazała się chętna do rozmowy i przyjaźnie nastawiona. Miała okrągłą buzię o delikatnych rysach. Często się uśmiechała.

Jack przeszedł od razu do sedna:

- Bardzo zaniepokoił mnie przypadek pogrypowego zapalenia płuc. Jak zareagował Komitet Kontroli Chorób Zakaźnych?

- Jeszcze nie spotkaliśmy się w tej sprawie. Zresztą pacjent zeszłej nocy zmarł.

- A rozmawiała pani o tym z któryś z członków komitetu?

- Nie. Dlaczego to pana tak niepokoi? Mamy wiele przypadków grypy w sezonie.

Szczerze powiedziawszy, ten przypadek nie zaniepokoił mnie nawet w przybliżeniu tak jak poprzednie, szczególnie infekcje wywołane meningokokami.

- Niepokoi mnie z powodu pewnej prawidłowości. Tak jak poprzednie choroby, również i to zapalenie płuc miało piorunujący przebieg. Problem w tym, że prawdopodobieństwo zarażenia się grypą jest znacznie wyższe. Nie jest potrzebny nosiciel. Roznosi się drogą kropelkową, od człowieka do człowieka.

- Rozumiem, ale jak już powiedziałam, z grypą mamy do czynienia przez całą zimę.

- A z pogrypowym zapalenie płuc?

- No cóż, nie, z tym nie - przyznała Kathy.

- Rano sprawdziłem, że w szpitalu nie było żadnego podobnego przypadku oprócz tego z nocy. Czy teraz coś się w tej kwestii zmieniło?

- W każdym razie ja nic o tym nie wiem.

- Może pani sprawdzić?

Kathy odwróciła się do komputera i wywołała odpowiednią informację. Komputer potwierdził, że nie odnotowano kolejnych zachorowań na pogrypowe zapalenie płuc.

- Dobrze. Spróbujmy zrobić coś jeszcze. Pacjent nazywał się Kevin Carpenter. Gdzie znajdował się jego pokój?

- Leżał na oddziale ortopedycznym.

- Pierwsze symptomy pojawiły się o osiemnastej. Sprawdźmy, czy któraś z pielęgniarek z popołudniowej zmiany nie zachorowała.

Kathy zawahała się przez moment, ale ponownie odwróciła się w stronę komputera.

Wyświetlenie listy nazwisk z numerami telefonów zabrało kilka minut.

- Chce pan, abym teraz do nich zadzwoniła? Mają jeszcze kilka godzin do rozpoczęcia

swojej zmiany.

- Jeśli byłoby to możliwe - poprosił Jack.

Kathy zaczęła więc wydzwaniać po pielęgniarkach. Już druga z kolei, Kim Spensor, przyznała, że jest chora. Właśnie miała zamiar zawiadomić szpital o chorobie. Przyznała, że objawy są typowe dla grypy, z temperaturą ponad 40 stopni.

- Czy mógłbym z nią porozmawiać?

Kathy zapytała Kim, czy zechciałaby porozmawiać z lekarzem, który właśnie jest u niej w gabinecie. Kim najwidoczniej zgodziła się, gdyż Kathy wręczyła słuchawkę Jackowi. Przedstawił się, lecz nie przyznał się, że jest patologiem sądowym. Wyraził współczucie z powodu choroby, a następnie zapytał o objawy.

- Zaczęło się niespodziewanie. W jednej chwili byłam zdrowa, a w następnej poczułam przejmujący ból głowy i dreszcze. Zaczęły mnie boleć mięśnie, szczególnie w dole pleców. Chorowałam już na grypę, ale nigdy nie czułam się tak źle jak tym razem.

- Kaszel? - zapytał Jack.

- Lekki, ale mam wrażenie, że będzie narastał.

- Ma pani bóle podmostkowe? Przede wszystkim w czasie oddychania?

- Owszem. Czy to oznacza coś szczególnego?

- Czy miała pani bezpośredni kontakt z pacjentem o nazwisku Carpenter?

- Tak, podobnie jak pielęgniarz oddziałowy, George Haselton. Pan Carpenter był bardzo wymagającym pacjentem, szczególnie gdy zaczęły się bóle głowy i dreszcze. Czy pan nie sądzi, że mogłam się od niego zarazić? Zdaje mi się, że okres inkubacji w wypadku grypy jest dłuższy niż dwadzieścia cztery godziny?

- Nie jestem specjalistą od chorób zakaźnych i prawdę powiedziawszy, nie wiem.

Jednak zaleciłbym pani zażyć rymantadynę.

- Jak czuje się Carpenter?

- Jeżeli poda mi pani telefon do swojej apteki, zamówię dla pani leki - powiedział

Jack, ignorując pytanie Kim. Ostry przebieg choroby u Carpentera zaczął się, gdy Kim zakończyła dyżur, więc dziewczyna nie zdawała sobie sprawy z tragedii.

Zakończył rozmowę najszybciej jak mógł, przekazując słuchawkę Kathy.

- Niedobrze. Tego się właśnie obawiałem.

- Czy nie ulega pan zbyt pochopnie panice? Sądzę, że od dwóch do trzech procent personelu szpitalnego jest na zwolnieniu z powodu grypy.

- Zadzwońmy do George'a Haseltona.

Okazało się, że jest nawet bardziej chory niż Kim, zdążył już powiadomić przełożoną oddziału, że nie będzie mógł przyjść na dyżur. Jack nie rozmawiał z nim. Przysłuchiwał się jedynie temu, co mówiła Kathy.

Odłożyła powoli słuchawkę.

- Muszę przyznać, że zaczynam się niepokoić - powiedziała.

Zadzwoiła jeszcze do pozostałych pielęgniarek pełniących wówczas dyżur na oddziale ortopedycznym, włączając w to siostrę z punktu informacyjnego. Nikt więcej nie chorował.

- Spróbujmy teraz zorientować się, co się dzieje w innym dziale - zaproponował Jack.

- Ktoś z laboratorium musiał mieć kontakt z Carpenterem. Jak możemy to sprawdzić?

- Zadzwonię do Ginny Whalen z personalnego - zaproponowała Kathy i znowu złapała za słuchawkę telefonu.

Pół godziny później mieli pełen obraz sytuacji. Czworo pracowników szpitala cierpiało na groźną odmianę grypy. Poza dwoma już znanymi osobami trzecią okazał się technik z laboratorium, który około dziesiątej wieczorem pobierał Carpenterowi wymaz z

gardła. Cierpiał teraz na ból gardła, głowy, dreszcze, ból mięśni, kaszel i ból pod mostkiem.

Ostatnią osobą z tej samej zmiany, która stwierdziła u siebie identyczne symptomy, była, ku zaskoczeniu Kathy, ale nie Jacka, Gloria Hernandez, pracownica działu zaopatrzenia.

Oczywiście nie miała żadnego kontaktu z chorym.

- Nie możemy jej łączyć z innymi - stwierdziła Kathy.

- Nie byłbym taki pewien. - Przypomniał Kathy o innych zmarłych z działu

zaopatrzenia. - Muszę stwierdzić, że zastanawia mnie, iż nie stało się to tematem dyskusji w

czasie posiedzenia waszego Komitetu Kontroli Chorób Zakaźnych. Wiem, że zarówno pani

doktor Zimmerman, jak i doktor Abelard uznali ten trop za ważny, gdyż oboje odwiedzili

dział zaopatrzenia i rozmawiali z jego kierowniczką, panią Zarelli.

- Nie mieliśmy żadnego oficjalnego posiedzenia komitetu, odkąd zaczęły się te

problemy. Spotykamy się zawsze w pierwszy poniedziałek miesiąca.

- To znaczy, że doktor Zimmerman nie informuje pani na bieżąco - stwierdził Jack.

- Nie pierwszy raz. Nigdy nie byliśmy w najlepszych stosunkach - przyznała Kathy.

- Gdy rozmawiałem z panią Zarelli, obiecała przygotować wydruk z informacją o

sprzęcie, który dostarczono wszystkim pacjentom, którzy zmarli w wyniku tych infekcji.

Możemy się dowiedzieć, czy przygotowała już odpowiednie informacje? A jeżeli tak, czy

możemy je teraz otrzymać?

Kathy, zaniepokojona przypadkami grypy podobnie jak Jack, postanowiła pomóc i w

tej sprawie. Po krótkiej rozmowie z panią Zarelli, z której wynikało, że wykazy są gotowe,

posłała jedną z urzędniczek do działu zaopatrzenia z poleceniem dostarczenia wydruków.

- Proszę sprawdzić numer telefonu do Glorii Hernandez -poprosił Jack. - Właściwie to

poproszę również o jej adres. Za żadne skarby świata nie potrafię zrozumieć, jaką rolę gra w

tej całej sprawie dział zaopatrzenia. To nie może być zbieg okoliczności. Wręcz przeciwnie,

uważam, że tam znajduje się klucz do rozwiązania zagadki.

Kathy poszukała informacji w komputerze, przepisała je i wręczyła Jackowi.

- Jak pan sądzi, co powinniśmy zrobić tu, na miejscu?

Jack westchnął.

- Nie wiem. Sądzę, że powinna pani porozmawiać o tym z sympatyczną doktor

Zimmerman. Ona jest tu ekspertem. Przy grypie, która rozprzestrzenia się w tym tempie,

kwarantanna nic nie pomoże. Ale jeżeli mamy do czynienia z jakimś nietypowym szczepem,

może jednak warto spróbować. Gdyby to ode mnie zależało, wszystkich chorych oraz

personel, który miał z nimi styczność, izolowałbym w szpitalu. W najgorszym razie nie stanie

się nic złego, w najlepszym choroba przestanie się rozprzestrzeniać.

- A co z rymantadyną?

Jestem zdecydowanie za jej zastosowaniem. Sam na pewno zażyję. W przeszłości

skutecznie ograniczała liczbę zachorowań na grypę w szpitalach. Ale powtarzani, to działka

pani doktor Zimmerman.

- Chyba zadzwonię do niej.

Jack poczekał na wynik rozmowy. Kathy mówiła z szacunkiem, ale równocześnie

upierała się przy swoim twierdzeniu, że pomiędzy przypadkiem Carpentera a czterema

chorymi z personelu istnieje ścisły związek. Gdy zaczęła o tym mówić, jej rozmówczyni

natychmiast ograniczyła się do krótkich „tak” i „oczywiście”. Doktor Zimmerman

najwidoczniej nie znosiła pouczania.

W końcu Kathy odłożyła słuchawkę. Spojrzała wymownie w górę i westchnęła.

- Ta kobieta jest niemożliwa. W każdym razie nie zamierza robić nic nadzwyczajnego

z powodu, jak to powiedziała, jednego potwierdzonego przypadku. Obawia się, że pan Kelley

i szefowie AmeriCare byliby przeciwni takim posunięciom ze względu na opinię publiczną,

do czasu aż wszystko zostanie bezsprzecznie dowiedzione.

- A co z rymantadyną?

- W tej kwestii była nieco bardziej ustępliwa. Powiedziała, że zobowiąże szpitalną aptekę do wydania dostatecznej ilości lekarstwa dla personelu, ale jeszcze nie teraz. Udało mi się jednak zwrócić jej uwagę na problem.

- Tak, to lepsze niż nic - przyznał Jack.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła sekretarka z wydrukiem z działu zaopatrzenia.

Jack podziękował i natychmiast zaczął przeglądać listę. Był pod wrażeniem. Nie sądził, że każdy pacjent potrzebuje aż tylu różnych rzeczy. Spis był długi i zawierał wykaz leków, pożywienia i bielizny pościelowej.

- Coś interesującego? - zapytała Kathy.

- Nic, co przykułoby moją uwagę. Ale chyba powinienem poprosić dla kontroli o podobną listę dotyczącą któregoś z pozostałych pacjentów szpitala.

- To nie powinno być trudne - uznała Kathy i jeszcze raz zadzwoniła do pani Zarelli.

Poprosiła o wydruk kontrolny.

- Chce pan poczekać?

Jack wstał.

- Wystawiałbym moje szczęście na próbę, gdybym czekał. Gdyby pani mogła przesłać wydruk do zakładu medycyny sądowej, byłbym doprawdy wdzięczny. Jak już wspomniałem, uważam, że trop wiążący się z zaopatrzeniem może okazać się ważny.

- Chętnie panu pomogę - oznajmiła Kathy.

Jack podszedł do drzwi, uchylił je i przezornie spojrzął na korytarz. Odwrócił się do Kathy i powiedział:

- To nie takie proste zachowywać się jak kryminalista.

- Według mnie jesteście pańskimi dłużnikami. Przykro mi z powodu tych, którzy źle odczytują pana zamiary.

- Dziękuję - odpowiedział szczerze Jack.

- Czy mogę zadać panu osobiste pytanie?

- Jak bardzo osobiste?

- O pańską twarz. Co się panu stało? Cokolwiek to było, musiało boleć.

- Wygląda gorzej, niż jest w rzeczywistości. To jedynie pozostałość po wieczornym bieganiu przez park.

Jack szybkim krokiem przemierzył dział administracyjny i hall szpitala. Gdy wyszedł w blask wiosennego słońca, poczuł ulgę. Po raz pierwszy udało mu się odwiedzić Manhattan General, nie narażając się na uządlenia roju os.

Skręcił w prawo i pomaszerował na wschód. W czasie jednej z poprzednich wizyt zauważył, że dwie przecznice od szpitala mieści się drugstore. Skierował się właśnie w tę stronę. Sugestia Kathy dotycząca rymantadyny była dobra i postanowił z niej skorzystać, tym bardziej, że miał zamiar odwiedzić Glorię Hernandez.

Myśląc o niej, włożył rękę do kieszeni, aby sprawdzić, czy nie zapomniał karteczki z adresem. Nie zapomniał. Spojrzał na nią i uświadomił sobie, że mieszka stosunkowo niedaleko od niego, na Sto Czterdziestej Czwartej Zachodniej, a więc jakieś czterdzieści numerów dalej na północ.

Doszedł do apteki, pchnął drzwi i wszedł do środka. Właściwie był to duży sklep oferujący szeroką gamę towarów, nie tylko leki. Były tu kosmetyki, artykuły szkolne, środki czyszczące, materiały piśmienne, kartki z życzeniami, nawet artykuły motoryzacyjne.

Wszystkie towary wyłożono na metalowych półkach.

Upłynęło kilka minut, zanim znalazł dział farmaceutyczny zajmujący jeden z

narożników z tyłu sklepu.

Poczekał w kolejce, a gdy wreszcie mógł porozmawiać z farmaceutą, poprosił go o blankiet recepty, który natychmiast wypełnił zamówieniem na rymantadynę.

Farmaceuta ubrany był w staroświecką białą marynarkę aptekarską bez kołnierzyka.

Górny guzik miał rozpięty. Zerknął na receptę i stwierdził, że jej realizacja zabierze około dwudziestu minut.

- Dwadzieścia minut! Dlaczego tak długo? - zapytał zaskoczony Jack. - Sądziłem, że musi pan jedynie odliczyć tabletki.

- Chce pan ten lek czy nie? - zapytał kwaśno sprzedawca.

- Chcę - mruknął Jack. Medyczny establishment potrafił znęcać się nad ludźmi.

Lekarze nie byli wolni od tych doświadczeń.

Musiał się czymś zająć przez dwadzieścia minut. Bez specjalnego celu ruszył przed siebie przejściem między regałami i nagle znalazł się przed wystawą najróżnorodniejszych prezerwatyw.

Pomysł ze sklepem od razu mu się spodobał. Będzie mógł załatwić sprawę z bliska, a dodatkowym atutem jest znajdujące się tuż obok zejście do stacji metra. W metrze łatwo było zniknąć.

Rzuciwszy krótkie spojrzenie w dół i w górę ulicy, BJ wszedł do sklepu. Zerknął do oszklonego pomieszczenia kierownika sklepu, znajdującego się tuż przy wejściu, ale doświadczenie podpowiedziało mu, że nie będzie kłopotów. Może będzie musiał strzelić w powietrze, żeby wszyscy trzymali pochylone głowy, gdy zacznie się wycofywać, lecz nic więcej na pewno go nie zaskoczy.

BJ przeszedł za ustawione w rzędzie kasy i zaczął spoglądać w kolejne przejścia między regałami, wypatrując Jacka lub Slama. Wiedział, że gdy znajdzie jednego, szybko

zjawi się drugi. Zerknął w przejście siódme. Na końcu stał Jack, a Slam jakieś trzy, cztery metry od niego.

BJ cofnął się do przejścia szóstego i szybko nim idąc, włożył rękę pod kurtkę i złapał za pistolet. Kciukiem sprawnie odbezpieczył broń. Gdy doszedł do skrzyżowania przejść, mniej więcej w połowie sklepu, zwolnił, zrobił kilka kroków bokiem i zatrzymał się.

Ostrożnie wychylił się zza stoiska z papierowymi ręcznikami i spojrział w stronę końca siódmego szeregu.

Serce zaczęło mu bić szybciej. Jack ciągle stał w tym samym miejscu, a Slam przesunął się bliżej niego. Wyglądało idealnie.

Serce omal mu nie wyskoczyło z piersi, kiedy nagle poczuł lekkie stukanie w plecy.

Odwrócił się. Dłoń ciągle spoczywała na rękojeści broni ukrytej pod kurtką.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytał łysawy mężczyzna.

Pytanie zostało zadane w najmniej odpowiednim momencie. BJ wściekł się. Spojrział na tłustą twarz mężczyzny i już zamierzał go walnąć w ten jego świński ryj, gdy nagle uspokoił się. Postanowił zignorować intruza. Nie mógł przegapić takiej okazji. Przecież obie ofiary stały dokładnie przed nim.

BJ gwałtownie odwrócił się plecami do sprzedawcy i wyjął ukryty dotychczas pistolet.

Ruszył przed siebie. Wiedział, że wystarczy jeden krok i będzie miał całe przejście jak na dłoni.

Ekspedienta kompletnie zaskoczył nagły ruch chłopaka, a że nie dostrzegł broni, zawołał: „Hej!” Gdyby dostrzegł, pewnie by milczał.

Jack stał jak na rozżarzonych węglach. Był podenerwowany. Nie podobał mu się ten sklep, szczególnie po krótkim zwarciu z farmaceutą. Dobiegająca z tła kiepska muzyka i unoszący się w powietrzu zapach tanich kosmetyków dopełniały uczucia dyskomfortu.

Pragnął jak najszybciej opuścić to miejsce. Był spięty. Natychmiast spojrzął w stronę, skąd dobiegło wołanie sprzedawcy. Uczynił to dokładnie w tej samej chwili, w której jakiś Murzyn z pistoletem w dłoni wychodził na środek przejścia. Jack zareagował odruchowo. Rzucił się w stronę stoiska z prezerwatywami. Regał zawalił się i z łoskotem runął na podłogę. Jack znalazł się w sąsiednim przejściu na szczycie stosu różnych przedmiotów.

Kiedy Jack wpadł na regał, Slam upadł na podłogę, wyciągając równocześnie swoją broń. Ruch był tak szybki i dokładny, jakby wykonał go specjalista z zielonych беретów.

Pierwszy strzelił BJ. Gdy tylko wyjął broń, natychmiast rozległy się strzały. Kule bzykały po całym sklepie, kalecząc winylową podłogę, dziurawiąc cienki sufit. Jednak większa część serii trafiła w miejsce, gdzie jeszcze przed sekundą stali Jack i Slam, i utkwiała w pojemniczkach z witaminami, ustawionych na półkach za działem z lekami.

Slam również strzelił. Kule strzaskały jedno z okien wystawowych wychodzących na ulicę.

BJ zdał sobie sprawę, że nie trafił, i natychmiast cofnął się o krok. Teraz, znowu ukryty za papierowymi ręcznikami, stał i zastanawiał się, co robić dalej.

Wszyscy obecni w sklepie, włączając w to łysiejącego sprzedawcę, zaczęli wrzeszczeć z przerażenia. Ruszyli biegiem do wyjść, ratując życie w obliczu niespodziewanego zagrożenia.

Jack wstał. Usłyszał serię Slama, a potem jeszcze jedną. Strzelał BJ. Jack chciał jedynie wyjść z tego sklepu.

Pochylając głowę, przesuwał się w stronę działu farmaceutycznego. Zauważył tam drzwi z napisem „Tylko dla personelu”. Przeszedłszy przez nie, znalazł się na zapleczu. Kilka otwartych puszek z napojami i na wpół zjedzone dania świadczyły, że pracownicy sklepu niedawno zaczęli lunch.

Zauważył następne drzwi. Najpierw trafił do łazienki i dalej do magazynu. Usłyszał następną serię strzałów i krzyki dobiegające ze sklepu.

W panice nacisnął klamkę trzecich drzwi. Na szczęście dla siebie tym razem znalazł się na zewnątrz wśród pojemników na śmieci. W pewnej odległości dostrzegł uciekających ludzi. Wśród nich ujrzał białą kurtkę farmaceuty. Ruszył w tę samą stronę.

Rozdział 29

Wtorek, godzina 13.30, 26 marca 1996 roku

Detektyw porucznik Lou Soldano wjechał swoim nie oznaczonym chevroletem caprice na parking na zapleczu zakładu medycyny sądowej i zatrzymał się. Zaparkował tuż za służbowym wozem Bingham, wyłączył silnik i wyjął kluczyki. Oddał je strażnikowi, na wypadek gdyby samochód musiał być przestawiony. Lou często bywał w tutejszej kostnicy, chociaż ostatnią wizytę złożył aż miesiąc temu.

Wszedł do windy i nacisnął przycisk czwartego piętra. Wiadomość otrzymał znacznie wcześniej, lecz dopiero kilka minut temu, przejeżdżając przez Queensboro Bridge, zdołał zadzwonić. W Queens nadzorował śledztwo w sprawie zabójstwa pewnego prominentnego bankiera.

Laurie zaczęła już opowiadać o pewnym patologu sądowym, kiedy Lou przerwał jej i powiedział, że będąc w sąsiedztwie, może wpaść do biura. Od razu się zgodziła, mówiąc, że w takim razie będzie czekała na niego w swoim pokoju.

Lou wysiadł z windy i ruszył przed siebie korytarzem. Z każdym krokiem wracały wspomnienia. Był taki czas, kiedy zdawało mu się, że on i Laurie będą mieć wspólną przyszłość. Ale okazało się, że ich związek nie ma przyszłości. Zbyt wiele różnic wynikających z pochodzenia i wychowania, pomyślał Lou.

- Cześć, Laur! - zawołał Lou, widząc Laurie pracującą przy biurku. Za każdym razem,

gdy ją widział, robiła na nim lepsze wrażenie. Jej kasztanowe włosy opadały na ramiona tak jak w reklamówkach. „Laur” - tym skrótem nazwał ją syn Lou w czasie ich pierwszego spotkania. I tak już zostało.

Laurie wstała i serdecznie uściskała Lou.

- Świetnie wyglądasz - powiedziała.

Wzruszył nieśmiało ramionami.

- Czuję się nieźle - przyznał.

- A dzieci?

- Dzieci? Córka ma szesnaście lat, a zachowuje się, jakby miała trzydzieści. Oszalała na punkcie swojego chłopaka, co z kolei mnie przyprawia o szaleństwo.

Laurie tymczasem zdjęła z drugiego krzesła jakieś czasopisma i poprosiła gościa, by spoczął.

- Dobrze cię znowu widzieć, Laurie.

- Ciebie również. Powinniśmy się częściej spotykać.

- Tak, no więc co to za wielki problem, o którym chciałaś pogadać? - Chciał uniknąć potencjalnie bolesnego tematu.

- Przede wszystkim nie wiem, jak jest wielki. - Wstała i zamknęła drzwi. - Jeden z naszych nowych lekarzy chciałby z tobą porozmawiać, ale nieoficjalnie. Wspomniałam mu kiedyś, że jesteśmy przyjaciółmi. Niestety, w tej chwili nie ma go w biurze. Sprawdziłam to, kiedy zadzwoniłeś, że jedziesz. Prawdę powiedziawszy, nikt nie wie, gdzie jest.

- Domyślasz się, o co chodzi?

- Nie do końca. Jednak boję się o niego.

- Ooo?

-

Prosił mnie dziś rano o wykonanie dwóch autopsji. Jedna to

dwudziestodziewięcioletnia biała kobieta, która pracowała jako laborantka w szpitalu Manhattan General. Zeszłej nocy została zastrzelona w swoim mieszkaniu. Drugi był dwudziestopięcioletni czarny mężczyzna, który został zastrzelony w Central Park. Zanim jednak zajęłam się tymi przypadkami, poprosił o sprawdzenie, czy obie ofiary można połączyć ze sobą. Wiesz, włosy, włókna, krew...

- I?

- Na ubraniu mężczyzny znalazłam ślady krwi, która według wstępnych badań pasuje do kobiety. Ale jestem dopiero na etapie badań serologicznych. Dopiero sprawdzenie i porównanie DNA da pewność. Jednak już teraz mogę powiedzieć, że chodzi o raczej rzadko spotykaną grupę B Rh minus.

Lou uniósł brwi.

- Czy ten lekarz wytłumaczył się jakoś ze swych podejrzeń?

- Powiedział tylko, że ma przeczucie. Ale w tym jest coś więcej. Wiem, że niedawno został pobity przez członków jakiegoś nowojorskiego gangu. Na pewno raz, a możliwe, że dwa. Kiedy zobaczyłam go dziś rano, wyglądał, jakby spotkało go właśnie coś takiego. On jednak stanowczo zaprzeczał.

- Dlaczego go napadli?

- Podobno było to ostrzeżenie, aby więcej nie zbliżał się do szpitala Manhattan General.

- Ooo! A co to ma wspólnego ze szpitalem?

- Nie znam szczegółów, wiem natomiast, że zirytował tam kilka osób, a z tego powodu również parę ważnych osób tutaj. Doktor Bingham już kilka razy zamierzał go wylać.

- Czym on tak wszystkich złości?

- Wymyślił sobie, że seria śmiertelnych infekcji, które w tych dniach zanotowano w Manhattan General Hospital, została wywołana świadomym działaniem.

- Przez terrorystę czy kogoś podobnego? Dobrze zrozumiałem? - pytał Lou.

- Tak sądzę.

- To brzmi znajomo - stwierdził.

Laurie skinęła potwierdzająco.

- Pamiętam, jak czułam się pięć lat temu, gdy nikt nie chciał wierzyć w moje podejrzenia dotyczące tamtej serii przedawkowań.

- Co sądzisz o teorii swojego kolegi? A tak nawiasem mówiąc, to jak on się nazywa?

- Jack Stapleton. Co do teorii, to nie znam wszystkich faktów.

- Laurie, daj spokój. Znam cię lepiej, niż chciałabyś. Powiedz, jaka jest twoja opinia.

- Wydaje mi się, że on widzi spisek, bo chce go widzieć. Jego kolega z pokoju powiedział mi, że Jack od długiego czasu chowa w sobie głęboką urazę wobec AmeriCare, do której należy Manhattan General.

- To jednak nie wyjaśnia ani zdarzenia z gangiem, ani jego przeczucia dotyczącego tych dwóch zabójstw. Jak nazywają się ofiary?

- Elizabeth Holderness i Reginald Winthorpe.

Lou zanotował oba nazwiska w małym, czarnym notesie.

- Dochodzeniówka nie napracowała się przy tym zbytnio - zauważyła z wyrzutem Laurie.

- Wy tu wiecie lepiej niż inni, jak wielu ludzi nam brakuje. Czy określono wstępnie motyw w sprawie kobiety? -zapytał Lou.

- Rabunek.

- Gwałt? - Nie.

- A co z mężczyzną?

- To członek gangu. Zabity strzałem w głowę z dość bliskiej odległości.

- Niestety to wszystko brzmi dość znajomo. W takich przypadkach rzeczywiście nie tracimy zbyt wiele czasu na śledztwo. Czy autopsja ujawniła coś szczególnego?

- Nic nadzwyczajnego.

- Jak sądzisz, czy twój znajomy zdaje sobie sprawę, jak niebezpieczne bywają takie gangi? Mam wrażenie, że porusza się na krawędzi.

- Niewiele o nim wiem. W każdym razie nie jest nowojorczykiem. Pochodzi ze Środkowego Zachodu.

- Yhmm. Porozmawiam z nim o realiach życia w tym mieście, i to lepiej wcześniej niż później. Może się zdarzyć, że później nie będzie okazji.

- Nie mów tak - zaprotestowała Laurie.

- Interesujesz się nim nie tylko zawodowo?

- Nie poruszajmy lepiej tego tematu. Ale odpowiem: nie.

- Nie gniewaj się. Po prostu chcę poznać teren, po którym mam się poruszać. - Wstał.

- Pomogę facetowi, bo chyba potrzebuje pomocy.

- Dziękuję, Lou. - Laurie wstała i na pożegnanie jeszcze raz serdecznie uścisnęła przyjaciela. - Powiem mu, żeby zadzwonił do ciebie.

- Zrób tak.

Lou wyszedł, wsiadł do windy i zjechał na dół. Przechodząc przez korytarz

prowadzący do wyjścia z budynku, postanowił jeszcze zajrzeć do sierżanta Murphy'ego na stałe przydzielonego do zakładu medycyny sądowej. Porozmawiali nieco o szansach

Yankesów i Metsów w zbliżających się rozgrywkach baseballa. Nagle Lou usiadł i położył

nogi na skraju biurka sierżanta.

- Murph, powiedz mi coś. Szczerze. Co sądzisz o tym nowym lekarzu, Jacku

Stapletonie?

Jack wybiegł ze sklepu, przebiegł przez szpaler koszy na śmieci, minął cztery bloki i zatrzymał się. Ciężko dyszał z wysiłku. Między kolejnymi z wysiłkiem łapanymi oddechami słyszał falujący dźwięk syren policyjnych. Najwidoczniej jechali w stronę sklepu. Miał nadzieję, że Slam również zdołał umknąć. Ruszył dalej, ale już spokojnym krokiem, aby oddech i tętno wróciły do normalnego tempa. Ciągle jednak trząsał się. Wydarzenie w sklepie zdenerwowało go tak samo jak historia w parku, chociaż teraz wszystko zamknęło się w kilku sekundach. Świadomość, że próbowano go ponownie zabić, była ogłuszająca.

Syreny zlały się ze zgiełkiem ulicy, a Jack zaczął się zastanawiać, czy nie powinien wrócić na miejsce zdarzenia, porozmawiać z policją i być może udzielić pomocy komuś rannemu. Wróciło jednak ostrzeżenie Warrena o rozmowach z policją na temat gangów. W końcu Warren miał rację, sądząc, że Jack będzie potrzebował ochrony. Czuł, że gdyby nie Slam, już by nie żył.

Wzdrygnął się na tę myśl. W nieodległej przeszłości był taki czas, kiedy obojętnie patrzył na życie i śmierć. Nie zależało mu na pierwszym, nie bał się drugiego. Teraz, kiedy dwukrotnie otarł się o śmierć, odczucia zmieniły się. Chciał żyć, a pragnienie to kazało mu uzyskać odpowiedź na pytanie, dlaczego Black Kings nastają na jego życie. Kto im płaci? Czy sądzili, że wie coś, czego naprawdę nie wiedział, a może to z powodu tych jego podejrzeń dotyczących przyczyn śmiertelnych infekcji w Manhattan General?

Jack nie znał odpowiedzi na te pytania, jednak ponowny atak na jego życie utwierdził go w przekonaniu, że podejrzewania były uzasadnione. Teraz potrzebował dowodu.

Mniej więcej w połowie tych rozmyślań znalazł się naprzeciwko kolejnego sklepu z

lekami. Ten był mały, zapewne zaopatrywali się w nim tylko najbliżsi mieszkańcy. Jack wszedł do środka i podszedł do aptekarza, który był chyba właścicielem i sprzedawcą w jednej osobie. Na plakietce z nazwiskiem zapisane było jedynie „Herman”.

- Czy ma pan rymentadynę? - zapytał Jack.

- Kiedy ostatnio sprawdzałem, to była - odparł z uśmiechem Herman. - Ale to jest lekarstwo na receptę.

- Jestem lekarzem. Potrzebny mi tylko blankiet recepty.

- Czy mogę zobaczyć jakiś dokument?

Jack pokazał licencję stanową na wykonywanie zawodu lekarza.

- Ile pan potrzebuje?

- Pięćdziesiąt tabletek powinno wystarczyć. Nie należy przesadzać.

- Już podaję - odparł Herman. Zaczął odliczać tabletki na zapleczu sklepu.

- Ile czasu to zabierze?

- A jak długo może trwać liczenie do pięćdziesięciu?

- W sklepie, w którym byłem poprzednio, kazano mi czekać dwadzieścia minut.

- To był sklep należący do sieci, prawda? - zapytał Herman.

Jack skinął głową.

- Te sklepy w ogóle nie dbają o poziom usług. To normalny kryminał. I pomimo takiej jakości obsługi ciągle próbują nas, niezależnych, wypchnąć z interesu. Złoszczą mnie jak wszyscy diabli.

Jack znowu potaknął. Doskonale znał to uczucie. Obecnie żaden fragment ogólnie pojmowanej służby zdrowia nie był bez zarzutu.

Herman wyszedł z zaplecza, niosąc w ręku małą plastikową fiolkę z pomarańczowymi tabletkami. Położył ją obok kasy.

- Czy to wszystko? - zapytał. Jack skinął głową po raz trzeci.

Herman wyklepał formułkę o skutkach ubocznych oraz przeciwwskazaniach, wzbudzając niekłamany podziw Jacka. Zapłaciwszy, Jack poprosił jeszcze o szklanę wody.

Herman podał mu plastikowy kubeczek z wodą. Jack zażył pierwszą tabletkę.

- Polecam się na przyszłość - powiedział na pożegnanie Herman.

Jack zdecydował się odwiedzić Glorię Hernandez. Zatrzymał taksówkę. Najpierw kierowca nie chciał się zgodzić na kurs do Harlemu, ale zmienił zdanie, gdy Jack przeczytał mu zasady wypisane na karcie przyczepionej do oparcia kierowcy.

Usiadł wygodnie, a samochód ruszył na pomoc, by następnie przeciąć miasto St.

Nicholas Avenue. Spoglądając przez okno, obserwował, jak Harlem zmienia się z dzielnicy murzyńskiej w hiszpańską. W każdym razie wszystkie napisy były w języku hiszpańskim.

Gdy dotarli do celu, Jack zapłacił należność i wysiadł. Ulica tętniła życiem. Podniósł głowę i spojrzał na budynek, do którego zamierzał wejść. Kiedyś był to piękny jednorodzinny dom stojący w bogatej okolicy. Bez wątplenia widywał lepsze dni niż dom, w którym mieszkał Jack.

Kiedy Jack wchodził na brązowe kamienne schody, a potem do hallu domu, parę osób obserwowało go z zainteresowaniem. Czarno-białej posadzce brakowało kilku płytek. Nazwiska wypisane na skrzynce pocztowej połączonej z domofonem wskazywały, że rodzina Hernandezów mieszka na drugim piętrze. Jack nacisnął przycisk dzwonka, chociaż miał świadomość, że urządzenie nie działa. Następnie spróbował otworzyć wewnętrzne drzwi. Podobnie jak w jego budynku, zamek magnetyczny w drzwiach został zepsuty dawno temu i nikt go nie naprawił.

Wszedł na drugie piętro i zapukał do drzwi mieszkania państwa Hernandezów. Nikt nie odpowiedział, zapukał więc ponownie, tylko głośniejsze. W końcu usłyszał dziecięcy głos

pytający, kto tam. Odpowiedział, że jest lekarzem i chce rozmawiać z Gloria Hernandez.

Po krótkiej, szeptanej wymianie zdań, która dobiegła zza drzwi, uchylono je na długość łańcucha. Jack ujrzał dwie twarze. Wyżej była twarz kobiety w średnim wieku z rozwichrzonymi, tlenionymi włosami. Oczy miała przekrwione i podsiniaczone. Miała na sobie pikowaną podomkę. Pokasływała od czasu do czasu. Jej usta miały lekko purpurowy odcień.

Niżej widział twarz cherubinka - dziecka dziewięcio - może dziesięcioletniego. Nie był pewien, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Włosy dziecka, czarne jak węgiel, zaczesane do tyłu, opadały na ramiona.

- Czy pani Hernandez? - zapytał blondynkę.

Dopiero gdy pokazał odznakę lekarską i powiedział, że przychodzi prosto z Manhattan General od pani Kathy McBane, kobieta otworzyła drzwi i zaprosiła go do środka.

Mieszkanie było małe i duszne. Ktoś usiłował je ożywić jaskrawymi barwami i plakatami filmowymi w języku hiszpańskim. Gloria natychmiast wróciła na tapczan, na którym odpoczywała, zanim przyszedł. Naciągnęła koc aż po uszy, najwyraźniej miała dreszcze.

- Przykro mi, że tak poważnie pani zachorowała.

- Okropnie - potwierdziła Gloria. Jackowi ulżyło, gdy usłyszał język angielski. Bardzo kaleczył hiszpański.

- Nie zamierzam pani niepokoić, ale jak pani zapewne wie, ostatnio kilka osób z pani działu poważnie zachorowało na różne choroby zakaźne.

Gloria otworzyła szeroko oczy.

- Przecież to tylko grypa, czyż nie? - zapytała wystraszonym tonem.

- Z pewnością tak właśnie jest. Katherine Mueller, Maria Lopez, Carmen Chavez i

Imogene Philbertson cierpiała na zupełnie inne choroby niż pani, tego możemy być pewni.

- Dzięki Bogu - westchnęła i przeżegnała się wskazującym palcem prawej ręki. -

Niech ich dusze spoczywają w pokoju.

- Niepokoi mnie to, że na ortopedii leżał pacjent o nazwisku Carpenter. Ostatniej nocy zapadł na chorobę bardzo podobną do tej, na którą pani cierpi. Czy to nazwisko mówi pani coś? Miała pani z nim jakiś kontakt?

- Nie. Pracuję w zaopatrzeniu szpitala.

- Wiem. Podobnie jak pozostałe wspomniane przeze mnie kobiety. W każdym przypadku jeden z pacjentów chorował na tę samą chorobę, którą zaraziła się któraś z pani koleżanek. Musi więc istnieć jakieś powiązanie i mam nadzieję, że pani pomoże mi je odnaleźć.

Gloria wyglądała na zakłopotaną. Zwróciła się do dziecka po imieniu. Juan zaczął w odpowiedzi mówić bardzo szybko po hiszpańsku. Jack domyślił się, że chłopak tłumaczy dla niej, widocznie nie wszystko rozumiała.

Gloria wielokrotnie kiwała głową na potwierdzenie i powtarzała „si”. Ale kiedy Juan skończył, spojrzała na Jacka, pokręciła głową i powiedziała, że nie.

- Żadnych powiązań. Nie widzimy pacjentów.

- Nigdy pani nie wchodziła do pokoju pacjenta?

- Nie.

Umysł Jacka intensywnie pracował. Zastanawiał się, o co jeszcze zapytać.

- Czy zeszłego wieczoru wydarzyło się w pracy coś niezwykłego?

Gloria wzruszyła ramionami i znowu zaprzeczyła.

- Pamięta pani, co robiła? Proszę opowiedzieć, jak mijała zmiana.

Gloria zaczęła mówić, ale wysiłek, jaki w to wkładała, wywołał gwałtowny atak

kaszlu. Jack zamierzał poklepać ją po plecach, ale uniosła rękę, dając znak, że nie trzeba. Juan przyniósł jej szklankę wody, którą łapczywie wypila.

Zacząła opowiadać, starając się niczego nie pominąć. Jack słuchał jej uważnie, zastanawiając się, w jaki sposób mogła zetknąć się z wirusem. Nie widział takiej możliwości. Upierała się przy twierdzeniu, że do końca zmiany nie opuszczała magazynów. Doszedł do wniosku, że żadnej ważnej informacji już od niej nie uzyska, i zapytał, czy będzie mógł się z nią skontaktować, jeśli jeszcze coś mu się przypomni. Zgodziła się. Jack zaczął ją namawiać, by zawiadomiła doktor Zimmerman o swojej chorobie.

- A co ona może zrobić? - zapytała Gloria.

- Może zechce zaaplikować pani jakieś szczególne lekarstwo. Pani i pozostałym członkom rodziny.

Wiedział, że rymantadyna nie tylko zapobiega zarażeniu się grypą, ale jeśli podana zostanie dostatecznie wcześnie, znacznie złagodzi przebieg choroby i czas jej trwania.

Problem polegał tylko na tym, że lek nie był tani, a AmeriCare nie lubiła wydawać pieniędzy na opiekę nad pacjentami, jeśli nie była do tego zmuszona.

Jack wyszedł z mieszkania pani Hernandez, zszedł na dół i skierował się w stronę Broadwayu, gdzie zamierzał złapać taksówkę. Czuł się teraz nie tylko poruszony kolejną próbą zamachu na jego życie, ale także zniechęcony do wszystkiego. Wizyta u Glorii nie wniosła niczego nowego, jedynie naraziła go na kontakt z chorobą, która jego zdaniem mogła zabić Carpentera. Jedynym pocieszeniem było to, że zażył rymantadyne. Z drugiej strony, miał niestety świadomość, że nawet ten lek nie daje stuprocentowej pewności, szczególnie w wypadku nadzwyczajnie złośliwego wirusa.

Kiedy znowu wszedł do budynku medycyny sądowej, było późne popołudnie. Gdy przechodził obok pokoju lekarskiego, zastanowiło go to, co zobaczył po przeciwnej stronie

korytarza, w małym pokoju przeznaczonym dla rodzin identyfikujących zwłoki. Siedział tam David. Nie znał jego nazwiska, ale to był ten sam David, który odwoził Jacka i Spita do domu po pamiętnym wieczorze w Central Park.

David także zauważył Jacka, ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy. Jack wyczuł złość i pogardę.

Powstrzymując chęć wejścia do pokoju, Jack natychmiast skierował się do kostnicy.

Uderzając głośno obcasami w cementową posadzkę, przeszedł obok lodówek, zastanawiając się, jakie odkrycie go czeka. W hallu stał jeden wózek ze świeżo przywiezionym ciałem. Był dokładnie oświetlony ostrym światłem padającym z zawieszanej nad głową ofiary lampy.

Prześcieradło przykrywało całą postać z wyjątkiem twarzy. Przygotowano je w ten sposób do zdjęcia, na którego podstawie rodzina mogła później dokonać identyfikacji.

Fotografia wydawała się bardziej ludzkim sposobem niż prezentowanie pogrążonej w smutku rodzinie często okaleczonego ciała.

Jack poczuł w gardle ucisk, kiedy spoglądał na spokojną twarz Slama. Oczy miał zamknięte i naprawdę zdawało się, że śpi. Młodszy po śmierci niż za życia, takie sprawiał wrażenie. Wyglądał na czternastolatka.

Jack, kompletnie załamany, wsiadł do windy i pojechał do siebie. Z ulgą zobaczył, że Cheta nie ma w pokoju. Trzasnął drzwiami, usiadł za biurkiem i złapał się za głowę. Czuł, że się rozpłacze, nie pojawiła się jednak ani jedna łza. Wiedział, że przyczynił się osobiście do jeszcze jednej śmierci młodego człowieka.

Zanim zdołał pogrążyć się w bolesnym poczuciu winy, rozległo się pukanie do drzwi.

W pierwszej chwili zignorował je z nadzieją, że ten ktoś odejdzie. Jednak tajemniczy gość ponowił pukanie. Zirytowany Jack zawołał w końcu, że drzwi są otwarte.

Laurie uchyliła je niezdecydowanym ruchem.

- Nie chciałabym ci przeszkadzać - powiedziała. Od razu wyczuła nastrój Jacka. W oczach miał dziką zawziętość.

- Czego chcesz?

- Jedynie powiedzieć, że rozmawiałam z detektywem Lou Soldano, tak jak prosiłeś. -

Weszła do pokoju i delikatnie położyła karteczkę z zanotowanym numerem na krawędzi biurka Jacka. - Czeka na twój telefon.

- Dziękuję, Laurie. Nie wydaje mi się, abym w tej chwili miał nastrój do rozmowy.

- Myślę, że on mógłby ci pomóc. Właściwie to...

- Laurie! - przerwał jej ostro. Po sekundzie, już łagodniejszym tonem dodał: - Proszę, Laurie, zostaw mnie samego.

- Jasne - odparła spokojnie. Wyszła z pokoju, zamknęła za sobą drzwi i przez chwilę patrzyła na nie. Jej obawy gwałtownie się nasiliły. Nigdy dotąd nie widziała Jacka w takim stanie. W niczym nie przypominał nonszalanckiego, zuchwałego faceta.

Pospieszyła do swojego pokoju i natychmiast zadzwoniła do Lou.

- Parę minut temu zjawił się doktor Stapleton - oznajmiła.

- Świetnie. Powiedz, żeby zadzwonił do mnie. Będę u siebie co najmniej przez godzinę.

- Obawiam się, że nie zamierza tego robić. Teraz wygląda znacznie gorzej niż rano.

Coś się wydarzyło. Jestem pewna.

- Dlaczego nie zadzwoni?

- Nie wiem. Nie chciał nawet ze mną rozmawiać. W kostnicy leżą zwłoki jeszcze jednego chłopaka z gangu. Strzelanina miała miejsce w pobliżu Manhattan General.

- Myślisz, że był w jakiś sposób w to wmieszany?

- Nie wiem, co myśleć. Po prostu się martwię. Boję się, że może się zdarzyć coś

strasznego.

- Dobra, uspokój się. Zostaw to mnie. Coś wykombinuję.

- Obiecujesz?

- Czy kiedyś cię zawiodłem? - zapytał Lou.

Jack przetarł oczy, zamrugał i otworzył je. Rzucił wzrokiem na biurko zavalone

teczkami personalnymi ofiar, które czekały na sekcję zwłok. Zdawał sobie sprawę, że nie znajdzie dość siły, aby skoncentrować się na papierkowej robocie.

Wodząc wzrokiem po teczkach, zauważył dwie obco wyglądające koperty. Jedna była duża i szara, druga wyglądała na urzędową. Najpierw sięgnął po większą. Zawierała kopię karty szpitalnej i notatkę od Barta Arnolda, który wyjaśniał, że zdecydował się dołączyć do już przesłanych kart ofiar infekcji także kopię karty Kevina Carpentera.

Jack był mu wdzięczny. Taka inicjatywa była godna pochwały i świadczyła jak najlepiej o całym zespole dochodzeniowym. Otworzył kartę i przejrzał informacje. Kevin Carpenter został przyjęty do szpitala w poniedziałek rano z powodu urazu prawego kolana. Jackowi przyszło do głowy, że objawy choroby pojawiły się u Kevina natychmiast po operacji. Odłożył jego kartę na bok i sięgnął po inne. W przypadku Susanne Hard było podobnie, ona także zachorowała zaraz po cesarskim cięciu. Spojrzał w kartę Paciniego i odkrył to samo.

Zastanowił się, czy możliwy jest związek między zabiegami chirurgicznymi a zarażeniem się rzadkimi chorobami. Nie wydawało się to prawdopodobne, tym bardziej że ani Nodelman, ani Lagenthorpe nie zostali poddani żadnym zabiegom. Mimo to postanowił zapamiętać chirurgiczny trop.

Wrócił do karty Kevina. Dowiedział się, że objawy grypy pojawiły się nagle o godzinie osiemnastej i stopniowo, ale nieubłaganie nasilały się aż do dwudziestej pierwszej z

minutami. Wtedy stan chorego gwałtownie się pogorszył, na tyle zaniepokoił lekarza, że Carpentera przewieziono na oddział intensywnej terapii. Tam rozwinął się zespół ostrego wyczerpania oddechowego, który bezpośrednio doprowadził do zgonu pacjenta.

Jack zamknął kartę i odłożył ją na miejsce, gdzie leżały pozostałe. Po otwarciu mniejszej - zaadresowanej po prostu „Dr Stapleton” - znalazł w niej wydruk komputerowy i małą karteczkę od Kathy McBane. Kathy jeszcze raz dziękowała mu za zainteresowanie. Dodała, że ma nadzieję, iż dołączony wydruk okaże się pomocny.

Jack przyjrzał mu się uważnie. Zapisano w nim wszystko, co zostało wysłane z magazynu do pacjenta Brodericka Humphreya. Nie wspomniano o chorobie, a wymieniono jedynie jego wiek - czterdzieści osiem lat.

Lista była równie długa jak w przypadku zmarłych i podawała artykuły - zdawało się - przypadkowe. Nie wymieniono ich alfabetycznie, nie połączono w żadne grupy. Jack domyślił się, że lista wymieniała sprzęty i inne przedmioty w kolejności zamawiania.

Hipotezę podpierał fakt, że wszystkie wykazy zaczynały się tak samo, prawdopodobnie dlatego, że każdy przyjęty pacjent otrzymywał standardowe, identyczne wyposażenie.

Brak uporządkowania tematycznego czynił listy trudnymi do porównania. Zadaniem Jacka było odnalezienie, czym lista kontrolna różni się od pozostałych. Piętnaście minut bezskutecznie przebiegał wzrokiem poszczególne pozycje wykazu, a potem postanowił użyć komputera.

Po pierwsze stworzył osobne pliki dla każdego z pacjentów. Następnie do każdego z plików wprowadził dane z odpowiedniej listy. Nie mógł powiedzieć o sobie, że jest najlepszy na świecie w pisaniu na maszynie, więc praca zabrała mu mnóstwo czasu.

Upłynęło kilka godzin. Kiedy był w połowie pracy, ponownie zapukała Laurie.

Chciała powiedzieć „dobranoc” i zapytać, czy nie mogłaby w czymś pomóc. Pochłonięty

pracą Jack zapewnił ją, że ma się dobrze i da sobie radę.

Kiedy wszystkie dane zostały wpisane, Jack zadał pytanie, czy listy osób zmarłych różnią się czymś od kontrolnego wykazu. Odpowiedź była zniechęcająca - kolejna długa lista!

Przeglądając ją, zrozumiał, w czym rzecz. W odróżnieniu od przypadku kontrolnego, wszyscy pozostali pacjenci znaleźli się na oddziale intensywnej opieki medycznej. A poza tym pięć zainfekowanych osób zmarło, a pacjent, którego dane służyły za przypadek kontrolny, żył.

Przez kilka minut Jack żałował straconego czasu i bezproduktywnego wysiłku, gdy nagle do głowy przyszedł mu kolejny pomysł. Skoro wpisał pozycje z wykazu w tej samej kolejności, w jakiej znajdowały się na listach, mógł zadać pytanie, jakie wyposażenie trafiło do pacjentów tuż przed skierowaniem ich na oddział intensywnej terapii.

Gdy nacisnął odpowiedni przycisk, na ekranie niemal natychmiast pojawiła się odpowiedź: „nawilżacz”. Zamyślił się. Wyraźnie we wszystkich przypadkach infekcji zastosowano nawilżacze powietrza, natomiast w przypadku kontrolnym tego nie zrobiono.

Ale czy było to ważne? Z dzieciństwa pamiętał, że matka przynosiła do jego pokoju nawilżacz zawsze, gdy miał kaszel. Przypominał sobie małe urządzenie, właściwie kociołek z wrzącą wodą, z którego unosiła się para wodna. Nie potrafił jednak wyobrazić sobie, co takie urządzenie mogłoby mieć wspólnego z rozsiewaniem bakterii. W stu stopniach Celsjusza bakterie zostają przecież zabite.

No tak, przypomniał sobie, obecnie produkuje się nawilżacze niskotemperaturowe, ultradźwiękowe, a to może być zupełnie inna historia.

Jack złapał za słuchawkę telefonu i zadzwonił do Manhattan General. Poprosił o połączenie z działem zaopatrzenia. Pani Zarelli skończyła już pracę, więc poprosił o rozmowę z kierownikiem zmiany. Nazywała się Darlene Springborn. Jack przedstawił się i wyjaśnił, kim jest, a następnie zapytał, czy zaopatrzenie wydaje także nawilżacze.

- Oczywiście, że wydajemy, szczególnie w czasie miesięcy zimowych - odpowiedziała

Darlene.

- Jakiego rodzaju nawilzaczy używacie w szpitalu? Parowych czy zimnych?

- Prawie wyłącznie zimnych.

- Co się dzieje z urządzeniem, kiedy wraca z pokoju pacjenta?

- Przygotowujemy je do następnego użycia.

- Czy jest czyszczone?

- Oczywiście. Włączamy na krótko, żeby sprawdzić jego sprawność, a następnie dokładnie szorujemy. Dlaczego?

- Czy czyste nawilzacze przechowywane są zawsze w tym samym miejscu?

- Tak. Trzymamy je w małym magazynie, w którym jest bieżąca woda. Czy coś się stało? Jakiś problem z nawilzaczami?

- Nie jestem pewien, ale gdy się upewnię, dam znać pani lub pani Zarelli.

- Będziemy wdzięczni.

Jack pożegnał się i rozłączył rozmowę, nie odkładał jednak słuchawki. Odszukał numer telefonu do Glorii Hernandez i zadzwonił do niej. Odebrał mężczyzna, który mówił tylko po hiszpańsku. Po kilku zdaniach wypowiedzianych przez Jacka łamanym hiszpańskim, mężczyzna kazał mu poczekać.

Po chwili usłyszał młody głos. Domyślił się, że rozmawia z Juanem. Zapytał chłopca, czy mógłby porozmawiać z mamą.

- Jest bardzo chora. Ma silny kaszel i trudno się jej oddycha.

- Czy zadzwoniła do szpitala, jak radziłem?

- Nie, nie chciała nikogo w szpitalu niepotrzebnie niepokoić.

- Zadzwonię po karetkę pogotowia - zdecydował bez wahania Jack. - Powiedz mamie,

żeby się trzymała, dobra?

- Dobra - odparł chłopiec.

- Tymczasem zadaj jej jedno pytanie. Zapytaj, czy ostatniej nocy czyściła jakiś nawilżacz? Wiesz, co to takiego nawilżacz, prawda?

- Tak, wiem. Niech pan poczeka.

Jack czekał, niecierpliwie bębniąc palcami w kartę Kevina Carpentera. Do i tak już silnego poczucia winy dołączyła się myśl, że powinien był osobiście zrealizować swoją sugestię i zadzwonić w sprawie Glorii Hernandez do doktor Zimmerman. Do telefonu podszedł Juan.

- I co z tym nawilżaczem?

- Tak. Mówi, że czyściła dwa albo trzy, ale nie pamięta dokładnie.

Jack zadzwonił po karetkę, podając adres mieszkania państwa Hernandezów.

Poinformował dyspozytora, że pojedą po zakaźnie chorą, obsługa karetki powinna więc nosić przynajmniej maski ochronne. Powiedział także, aby chorą zawieźć do Manhattan General Hospital.

Z rosnącym podnieceniem zadzwonił do Kathy McBane. Było już późno i nie spodziewał się, że ją zastanie. Był więc zaskoczony, gdy usłyszał głos Kathy w słuchawce.

Ciągle siedziała w biurze. Kiedy Jack zauważył ze zdziwieniem, że dawno po osiemnastej, a ona ciągle w pracy, odpowiedziała, że jeszcze trochę pewnie pobędzie.

- A co się dzieje? - zapytał.

- Wiele rzeczy. Na oddział intensywnej opieki medycznej przyjęto Kim Spensor z zespołem ostrego wyczerpania oddechowego. W szpitalu jest także George Haselton. Jego stan ulega pogorszeniu. Obawiam się, że pańskie złe przeczucia nie były bezpodstawne.

Jack dodał, że wkrótce w izbie przyjęć zjawi się także Gloria Hernandez. Ponadto

stwierdził, że wszystkie osoby mające kontakt z chorymi powinny natychmiast zacząć zażywać rymantadynę.

- Wątpię, czy doktor Zimmerman zdecyduje się zaaplikować rymantadynę osobom z kontaktu z chorymi. Udało mi się ją jednak namówić do izolacji tych pacjentów.

Wydzieliliśmy specjalny oddział w szpitalu.

- To może pomóc, więc na pewno warto spróbować. Co z laborantką z mikrobiologii?

- Już po nią pojechali.

- Mam nadzieję, że karetką, a nie taksówką - zauważył Jack.

- Tak zaleciłam, ale doktor Zimmerman nie przyjął tej propozycji z entuzjazmem.

Nie wiem, co ostatecznie zdecydowano.

- Wydruk, który pani przysłała, okazał się pomocny - powiedział Jack, przypominając sobie w końcu, po co zadzwonił. Pamięta pani, że mówiła mi pani, iż jakieś trzy miesiące temu mieliście w szpitalu kłopoty z rozpylaczami, które skaziły powietrze? Myślę, że podobny problem dotyczy teraz nawilżaczy.

Jack opowiedział, w jaki sposób doszedł do takiej konkluzji, podkreślając szczególnie fakt, że Gloria Hernandez poprzedniego wieczoru czyściła jakieś nawilżacze.

- Co powinnam zrobić? - zapytała zaniepokojona Kathy.

- W tej chwili nie powinna pani nic robić.

- Ale powinnam przynajmniej wycofać z użycia nawilżacze i sprawdzić je, upewnić się, że nie zagrażają pacjentom.

- Nie chcę, żeby mieszała się pani do tego. Obawiam się, że robienie podobnych rzeczy mogłoby okazać się niezwykle niebezpieczne.

- O czym pan mówi? - zapytała poirytowana Kathy. - Już jestem w to zamieszana.

- Proszę się nie denerwować. Przepraszam. Zdaje się, że źle się wyraziłem. - Jack

absolutnie nie chciał następnej osoby wplątywać w pajęczynę swych podejrzeń, bojąc się o jej bezpieczeństwo. Jednak w tej sytuacji chyba nie miał wyboru. Kathy miała rację - nawilzacze powinny zostać wycofane.

- Kathy, niech pani posłucha - zaczął Jack i najzwyczajniej, jak to było możliwe, wyjaśnił, na czym polega jego teoria o celowym zarażaniu śmiertelnymi chorobami. Powiedział także, że Beth Holderness mogła zostać zabita dlatego, że prosił ją o poszukanie w laboratorium podejrzanych wirusów.

- To raczej dość niezwykła opowieść - zauważyła Kathy z pewnym wahaniem w głosie. Po chwili zastanowienia dodała: - Trudno to wszystko przełknąć naraz.

- Nie zamierzam pani prosić o włączenie się w sprawę. Moją intencją jest jedynie zapewnić pani bezpieczeństwo. Informacje otrzymane ode mnie proszę zachować wyłącznie dla siebie. I na miłość boską, niech pani nikomu nie powtarza mojej teorii. Nawet jeśli mam rację, ciągle nie wiem, kto za tym stoi.

- Boże drogi. Cóż mam powiedzieć?

- Nic pani nie musi mówić, ale jeśli chce pani pomóc, jest coś, co można zrobić.

- Co takiego? - zapytała z wyraźną obawą.

- Proszę pójść do laboratorium mikrobiologicznego i bez wyjaśniania powodów zabrać nieco pożywki stosowanej jako podłoże pod kultury bakterii oraz pojemnik do przenoszenia wirusów. Następnie proszę poprosić kogoś z działu technicznego, aby odkręcił zbiornik przy syfonie pod umywalką w pomieszczeniu, w którym przechowywane są nawilzacze. Płyn zawarty w zbiorniku proszę podzielić na dwie części, wylać na pożywkę, zapakować wszystko ostrożnie i przesłać do laboratorium miejskiego. Proszę ich zapytać, czy z tych próbek zdołają wyodrębnić któryś z pięciu czynników chorobotwórczych.

- Sądzi pan, że jakieś mikroorganizmy ciągle mogą tam być?

- Jest taka możliwość. To strzał na dużą odległość, ale staram się znaleźć dowody i zrobię wszystko, co może mi w tym pomóc. W każdym razie to, o co panią proszę, nie może nikomu wyrządzić szkody z wyjątkiem pani, jeśli nie zachowa się pani wystarczająco ostrożnie.

- Pomyślę o tym - obiecała Kathy.

- Gdyby nie niechętny stosunek do mnie w szpitalu, zrobiłbym to sam. Czym innym jednak było wyjść nie zauważonym z pani biura, a czym innym pobierać próbki do badań laboratoryjnych z umywalki w magazynie zaopatrzenia.

- W tej sprawie muszę się z panem zgodzić - przyznała Kathy.

Odłożywszy słuchawkę, Jack zastanowił się nad reakcją Kathy na rewelacje, które jej przedstawił. Słyszał, że wyraźnie ściszyła głos. Poczul dreszcz. Nie potrafił dodać nic, co mogłoby ją przekonać. Pozostało mu mieć nadzieję, że poważnie potraktuje jego ostrzeżenia. Miał jeszcze jeden telefon do załatwienia. Gdy wybierał zamiejscowy numer, przesądnie zacisnął lewy kciuk, na wszelki wypadek. Dzwonił do Nicole Marquette z Centrum Kontroli Chorób. Liczył na dwie sprawy. Po pierwsze, pragnął się dowiedzieć, że próbki dotarły. Po drugie, chciał usłyszeć od Nicole, że stężenie czynnika w próbce jest wysokie, co oznacza, że mają dość materiału, aby wykonać testy bez długiego oczekiwania na wyhodowanie kultur w laboratorium.

Zanim uzyskał połączenie, spojrzął na zegarek. Minęła dziewiętnasta. Miał teraz do siebie pretensje, że nie zadzwonił prędzej, i być może będzie musiał poczekać do rana, aż Nicole zjawi się znowu w pracy. Na szczęście w słuchawce rozległ się głos Nicole.

- Wszystko dotarło bezpiecznie - odpowiedziała na pierwsze pytanie Jacka. - Muszę pana pochwalić za wzorowe zapakowanie próbek. Ochrona ze styropianu i pojemnik chłodzący doskonale zabezpieczyły materiał przed uszkodzeniem.

- Jaka jest jakość materiału do badań?

- To również mnie zachwyciło. Skąd pan pobrał próbki?

- To są popłuczyny oskrzelowe.

Nicole cicho gwizdnęła.

- Przy takiej koncentracji mamy tu niezwykle groźny szczep bakterii.

- Ofiarą był młody, zdrowy mężczyzna. Ponadto jedna z pielęgniarek opiekujących się nim przebywa obecnie na oddziale intensywnej opieki medycznej z ostrą niewydolnością oddechową. Nie minęła jeszcze doba od zetknięcia się z wirusem.

- Coś podobnego! Lepiej więc natychmiast zabiorę się do oznaczania. Zostanę dłużej.

Czy poza tą pielęgniarką są jakieś inne przypadki?

- Wiem jeszcze o trzech - przyznał Jack.

- W takim razie zadzwonię rano - obiecała Nicole i odłożyła słuchawkę.

Jack poczuł się nieswojo, że tak nagle przerwała rozmowę, z drugiej jednak strony cieszył się, że najwidoczniej poważnie potraktowała sprawę.

Odkładając słuchawkę, zauważył, że drży mu ręka. Wziął kilka głębokich wdechów i zastanowił się, co ma dalej robić. Pomyślał przede wszystkim o powrocie do domu i poczuł obawy. Nie wiedział przecież, jak Warren zareagował na wieść o śmierci Slama. Zastanawiał się także, czy kolejny zamachowiec zostanie wysłany z morderczą misją.

Niespodziewany dzwonek telefonu wyrwał go z zamyślenia. Zanim podniósł słuchawkę, próbował zgadnąć, kto to dzwoni. Było już późno, owładnęło nim dziwne przeczucie, że być może dzwoni ten sam człowiek, który po południu usiłował zabić go w sklepie.

W końcu podniósł słuchawkę i z ulgą rozpoznał głos Teresy.

- Obiecałeś, że zadzwonisz - przypomniała z wyrzutem. - Mam nadzieję, że nie

odpowiesz, że zapomniałeś.

- Nie, miałem kilka pilnych spraw do załatwienia i dopiero co skończyłem.

- Jasne, rozumiem. Ale od godziny jestem gotowa do wyjścia. Może więc prosto z pracy przyjdiesz do restauracji?

- O rany - wymknęło się Jackowi. W natłoku faktów kompletnie zapomniał o umówionej kolacji.

- Tylko nie próbuj się wykręcać.

- Miałem straszny dzień.

- To tak jak ja. Obiecałeś, a poza tym ustaliliśmy, że musisz jeść. Odpowiedz szczerze, jadłeś dzisiaj lunch?

- Nie.

- No widzisz. Nie wolno ci zrezygnować także z kolacji. Zbieraj się. Jeżeli będziesz musiał wrócić do pracy, to zrozumieć to. Ja też mam jeszcze sporo roboty.

Teresa miała wiele zdrowego rozsądku. Nawet jeśli nie odczuwał głodu, to i tak powinien coś zjeść, a odrobina relaksu także mu się przyda. Jeżeli dodać do tego spodziewany upór Teresy, to wiadomo, że nie przyjmie odmowy, a on nie miał siły na spory.

- Jesteś tam jeszcze? - zapytała zniecierpliwiona. - Jack, proszę! Cały dzień czekałam na to spotkanie. Będziemy mogli porównać doniesienia z linii frontu i przegłosować, czyj dzień był gorszy.

Jack czuł zmęczenie. Nagle świadomość, że spędzi czas z Teresą i zje kolację, okazała się cudowną odmianą. Bał się oczywiście, że przebywanie w jego towarzystwie może narazić dziewczynę na niebezpieczeństwo, gdyby znowu podjęto próbę zamachu, ale prawdę powiedziawszy, nie sądził, by wydarzyło się coś podobnego. Jeśli jednak coś zauważą, zgubi napastnika w drodze do restauracji.

- Jak nazywa się restauracja? - zapytał w końcu.

- Dziękuję. Wiedziałaś, że się zdecydujesz. „Positano”. Przy Madison, przecnicę od mojego biura. Spodoba ci się. Jest mała i bardzo przytulna. Bardzo nienowojorska.

- W takim razie spotkamy się tam za pół godziny - zdecydował.

- Doskonale. Naprawdę nie mogę się doczekać. Ostatnie dni były koszmarne.

- Z tym mogę się zgodzić - przyznał Jack.

Zamknął pokój i zjechał na parter. Nie miał pojęcia, jak sprawdzić, czy ktoś go śledzi, postanowił więc przynajmniej zerknąć przez drzwi wejściowe na zewnątrz i zobaczyć, czy nikt szczególnie podejrzany nie kręci się w pobliżu. Przechodząc do wyjścia, zauważył, że sierżant Murphy rozmawia w swoim pokoju z kimś, kogo Jack nie znał.

Machnęli sobie na pożegnanie. Jacka zastanowiło, dlaczego sierżant ciągle jest na posterunku. Normalnie kończył pracę o siedemnastej.

Gdy stanął w drzwiach wyjściowych, rozejrzał się po najbliższej okolicy. Natychmiast też zdał sobie sprawę z bezcelowości swoich wysiłków. Tuż obok, w budynku starego szpitala Bellevue mieścił się przytułek dla bezdomnych, więc kręciło się mnóstwo ludzi znakomicie nadających się na podejrzanych.

Przez kilka chwil przyglądał się ruchowi na Pierwszej Avenue. Zgiełk i ruch uliczny panowały w najlepszym stopniu. Samochód za samochodem posuwały się wolno w korku ulicznym. Autobusy jechały zapchane, wszystkie taksówki były zajęte.

Jack zastanawiał się, co zrobić. Stanie na ulicy i czekanie na taksówkę nie uśmiechało mu się. Byłby zbyt wystawiony na ewentualny atak. Skoro próbowano go zastrzelić w sklepie, tym mniej bezpieczny był na ruchliwej ulicy.

Przejeżdżająca furgonetka podsunęła Jackowi pewien pomysł. Zawrócił od drzwi, minął kostnicę i wszedł do biura. Dyżurujący w biurze kostnicy Marvin Fletcher zrobił sobie

właśnie podwieczorek złożony z kawy i pączków.

- Marvin, czy możesz wyświadczyć mi przysługę? - zapytał Jack.

- Co takiego? - zapytał Marvin, popijając kęs pączka łykiem kawy.

- To sprawa osobista i nie chciałbym, abyś komuś o tym wspominał - poprosił Jack.

- Taak? - zapytał Marvin coraz bardziej zainteresowany, otwierając szeroko oczy.

- Muszę wskoczyć do New York Hospital. Mógłbyś podrzucić mnie jedną z furgonetek kostnicy?

- Nie powinienem... - zaczął Marvin.

- Wiesz, mam poważny powód - przerwał mu Jack. - Chciałbym uniknąć spotkania z pewną dziewczyną, która, jak sądzę, będzie czekała przed budynkiem. Z pewnością facet tak przystojny jak ty rozumie podobne sprawy.

Marvin roześmiał się.

- No jasne.

- To ci zabierze sekundę. Wskoczmy na Pierwszą Avenue i już jesteśmy w centrum.

W mgnieniu oka będziesz z powrotem, a ja za przysługę płacę dychę. - Jack położył na biurku banknot dziesięciodolarowy.

Marvin spojrzał na banknot, następnie na Jacka.

- Kiedy chcesz jechać?

- Zaraz.

Jack wsiadł do furgonetki przez drzwi dla pasażera, a następnie przeszedł na tył samochodu. Złapał się jakiegoś uchwyty i trzymał mocno, podczas gdy Marvin wycofał samochód na Trzydziątą Ulicę. Gdy czekali na światłach na wjazd na Pierwszą Avenue, Jack upewnił się, że nie jest widoczny z ulicy.

Pomimo ruchu szybko znaleźli się przed New York Hospital. Marvin wyrzucił Jacka

tuż przed zatłoczonym wejściem głównym. Jack natychmiast zniknął w środku. Stał pod ścianą hallu i spoglądając w stronę wejścia przez pięć minut, patrzył, czy nikt podejrzany nie wejdzie za nim. Gdy się upewnił, przeszedł do izby przyjęć.

Nie miał najmniejszych kłopotów z poruszaniem się po szpitalu, gdyż gościł w nim wielokrotnie. Z izby przyjęć wyszedł na podjazd i poczekał na pierwszą taksówkę, która przywiozła pacjenta. Nie musiał długo czekać.

Poprosił kierowcę o podwiezienie do Bloomingdale's*.

Sklep był tak zatłoczony, jak Jack się spodziewał. Wszedł do środka, przeszedł przez główny hall i wyszedł na Lexington, gdzie złapał kolejną taksówkę. Tym razem kazał się zatrzymać przecnicę przed restauracją „Positano”.

* Bloomingdale's (ang.) - duży sklep w Nowym Jorku, sprzedający różnego rodzaju towary, znany jednak przede wszystkim z działu z drogą odzieżą (przyp. tłum.).

Aby zyskać stuprocentową pewność, że jest bezpieczny, na kolejne pięć minut stanął w wejściu sklepu obuwniczego. Ruch samochodowy i pieszy był teraz umiarkowany. Tu, inaczej niż w pobliżu kostnicy, piesi ubrani byli elegancko. Żadna z obserwowanych osób nie wyglądała na członka zbrodniczego gangu.

Ufny w swe bezpieczeństwo, pochwalił sam siebie za ostrożność i spokojnie wszedł do restauracji. Nie mógł wiedzieć, że w czarnym cadillacu, który zaparkował przed chwilą między sklepem z obuwem a restauracją, siedzi dwóch czekających na niego mężczyzn.

Przechodząc obok samochodu, nie mógł zajrzeć do wnętrza, gdyż czarne połyskujące szyby auta były jak lustra.

Jack otworzył drzwi do restauracji, następnie rozsunął kotarę, która chroniła gości siedzących w pobliżu wejścia przed chłodnym powiewem z ulicy, i stanął w miłym, ciepłym wnętrzu lokalu. Po lewej miał mały, mahoniowy kontuar baru. Po prawej całą powierzchnię

sali zajmowały stoliki. Ściany i sufit pokrywała drewniana, biała kratownica, po której piał się łudząco przypominający prawdziwy, sztuczny bluszcz. Jack poczuł się tak, jakby nagle wszedł do restauracji w ogrodzie gdzieś we Włoszech.

Z apetycznego aromatu wypełniającego restaurację wywnioskował, że szef kuchni przywiązuje równie dużą wagę do czosnku jak on sam. Wcześniej już poczuł, że chętnie by coś zjadł. Teraz czuł się tak, jakby za chwilę miał z głodu umrzeć.

W sali było pełno, a jednak brakowało tego charakterystycznego, nowojorskiego tumultu. Być może to zieleń powodowała, że rozmowy stałych bywalców i brzęk naczyń zdawały się przytłumione. Jack uznał, że spokój panujący w restauracji Teresa nazwała „nienowojorską” atmosferą.

Jacka przywitał *maître d'hôtel* i zapytał, czy może w czymś pomóc. Jack poinformował go, że jest umówiony z panią Hagen. Szef sali odpowiedział skinieniem głowy i poprosił gościa, aby udał się za nim. Wskazał Jackowi stolik pod ścianą, tuż za barem.

Teresa, wstała, aby uściskać Jacka. Kiedy zobaczyła jego twarz, powstrzymała się.

- Mój Boże! Twoja twarz wygląda okropnie.

- To samo ludzie powtarzają o całym moim życiu - odpowiedział.

- Jack, proszę nie żartuj. Mówię poważnie. Na pewno dobrze się czujesz?

- Jeśli mam być szczerzy, to powiem ci, że nawet zapomniałem o twarzy.

- Ależ to na pewno cię boli. Chciałam cię pocałować na przywitanie, ale boję się, że może cię to bardziej zabołec, niż ucieszyć.

- Usta mam całe.

Teresa pokręciła głową, uśmiechnęła się i machnęła ręką.

- Jesteś niemożliwy. Zanim cię spotkałam, sądziłam, że to ja potrafię zawsze znaleźć najlepszą odpowiedź.

Usiedli.

- Jak ci się tu podoba? - zapytała Teresa, rozkładając jednocześnie serwetkę.
- Od razu mi się spodobała. Jest przytulnie, a o niewielu restauracjach w mieście da się to powiedzieć. Nigdy bym tu nie zajrzał. Szyld na zewnątrz jest niemal niewidoczny.
- To jedno z moich ulubionych miejsc.
- Cieszę się, że nalegałaś na to spotkanie. Nie znoszę przyznawać racji, ale tym razem ją miałaś. Umieram z głodu.

Przez następny kwadrans studiowali uważnie menu, wysłuchując równocześnie długiej listy polecanych przez kelnera dań. W końcu złożyli zamówienie.

- Może weźmiemy też wino? - zaproponowała Teresa.
- Czemu nie - zgodził się Jack.
- Wybierzesz? - spytała, podając mu listę win.
- Mam przeczucie, że lepiej niż ja wiesz, co zamówić.
- Białe czy czerwone?
- Obojętnie.

Z butelką wina na stole i pełnymi kieliszkami usiedli wygodnie i starali się zrelaksować. Oboje jednak byli napięci. Jack podejrzewał, że Teresa jest nawet bardziej zdenerwowana niż on. Dostrzegł jej ukradkowe spojrzenie na zegarek.

- Widziałem - poinformował ją.
- Co widziałeś?
- Widziałem, że patrzyłaś na zegarek. Zdawało mi się, że mamy się odprężyć. Dlatego też nie pytam cię o twój dzień ani nie opowiadam o swoim.
- Przepraszam. Masz rację. Nie powinnam była. To tylko odruch. Wiem, że Colleen i zespół cały czas pracują w studio i chyba czuję się nieco winna, siedząc tu i przyjemnie

spędzając czas.

- Czy powinienem zapytać, jak przebiega kampania?

- Dobrze. Bałam się o to i dlatego skontaktowałam się ze znajomą z National Health.

Zjadłyśmy razem lunch. Kiedy opowiedziałam jej o nowym pomysle, była tak podekscytowana, że błagała mnie, abym pozwoliła jej powiedzieć o wszystkim szefowi.

Oddzwoniła po południu i powiedziała, że szef jest zachwycony pomysłem i myśli o podniesieniu budżetu reklamowego o dwadzieścia procent.

Jack spróbował wyliczyć, ile to może oznaczać dwadzieścia procent. Okazało się, że w grę wchodzi milion dolarów. Rozzłościł się, gdy dowiedział się, że pieniądze pochodzą z funduszu opieki nad chorymi. Nie chciał jednak psuć nastroju, więc nie zdradził się z myślami. Wręcz przeciwnie, pogratulował Teresie sukcesu.

- Dziękuję - odpowiedziała.

- Nie brzmi to jak opowieść o złym dniu - stwierdził Jack.

- Cóż. To, że klientowi podoba się koncepcja, to dopiero początek. Teraz staje przed nami zadanie skompletowania materiałów i zaprezentowanie ich, a wreszcie, po ostatecznej akceptacji, przeprowadzenie właściwej kampanii reklamowej. Nie masz pojęcia, ile problemów rodzi się w czasie produkcji trzydziestosekundowego spotu reklamowego.

Wzięła mały łyk wina. Gdy odstawiła kieliszek na stół, znowu spojrzała na zegarek.

- Tereso! - powiedział z nie ukrywaną złością Jack. - Znowu to zrobiłaś!

- Masz rację! - przyznała i przyłożyła dłoń do czoła. - Co się ze mną dzieje?

Prawdopodobnie jestem pracoholikiem. Przyznaję się. Zaraz! Wiem, co powinnam zrobić.

Mogę przecież zdjąć ten cholerny zegarek! - Rozpięła bransoletę, zdjęła zegarek i wrzuciła go do torebki. - No i jak?

- Znacznie lepiej - odparł Jack.

- Ten facet uważa się za jakiegoś pieprzonego supermena albo co i stąd te problemy - stwierdził Twin. - Nagadał pewnie braciom i kompletnie im odbiło. Wkurwia mnie to.

Kapujesz?

- To dlaczego sam nie załatwisz sprawy? Dlaczego ja? - Krople potu perliły się na czole Phila.

Twin oparł się na kierownicy cadillaca. Powoli obrócił głowę i spojrzał na swego zastępcę. W samochodzie panował półmrok, jedynie światła przejeżdżających samochodów oświetlały krótkimi smugami twarz Phila.

- Uspokój się. Wiesz, że nie mogę się tam pokazać. Natychmiast by mnie rozpoznał i byłoby po zabawie. Najważniejsze jest zaskoczenie.

- Przecież ja też byłem u niego w chacie - opierał się Phil.

- Ale tobie staruszek nie patrzył prosto w oczka i to nie ty walnąłeś frajera. Nie zapamiętał cię. Zaufaj mi.

- Ale czemu ja? - Phil nie ustępował. - BJ chciał to zrobić, szczególnie po kłęsce w sklepie. Chce jeszcze jednej szansy.

- Po historii w sklepie doktor może rozpoznać BJ. Poza tym jest to wreszcie okazja dla ciebie. Niektórzy z braci narzekają, że nigdy nie zrobiłeś roboty, więc nie powinieneś być moim zastępcą. Wierz mi, wiem, co robię.

- Ale ja nie jestem dobry w te klocki. Nigdy do nikogo nie strzelałem.

- Stary, to nic takiego. Za pierwszym razem możesz się obawiać, ale to proste. Trach!

I po wszystkim. To również świetnie odpręża, stary, a ty jesteś cholernie spięty.

- Jestem spięty, racja - przyznał Phil.

- Wyluzuj się, chłopie. Wejdiesz tam i nawet nie musisz do nikogo odezwać się słowem. Broń trzymaj w kieszeni i nie wyciągaj jej, dopóki nie staniesz tuż przed doktorem.

Wtedy dopiero wyciągaj spluwę i trach! Potem jak najszybciej zabieraj stamtąd swoją czarną dupę i spływamy. Proste.

- Co będzie, jeśli doktorek zwieje?

- Nie zwieje. Będzie tak zaskoczony, że nie ruszy palcem. Jeżeli gość spodziewa się ataku, to ma jakąś szansę, ale jak coś wali mu się na łeb jak pieprzony grom z jasnego nieba, to nie ma mocnych. Frajer ani zipnie. Widziałem to już nieraz.

- Mimo wszystko boję się - przyznał Phil.

- Jasne, trochę się boisz. Niech ci się przyjrzę. - Odepchnął Phila do tyłu i zlustrował jego wygląd. - Jak tam krawat?

Phil złapał nerwowo za węzeł i poprawił go.

- Myślę, że w porządku.

- Wyglądasz świetnie. Jakbyś się wybierał do kościoła. Wyglądasz jak cholerny bankier albo prawnik. - Twin roześmiał się i nagle uderzył kumpla w ramię.

Phil skrzywił się, jakby uderzenie rzeczywiście go zabolowało. Czuł się fatalnie. To była najgorsza rzecz, jaką przyszło mu w życiu zrobić, i zastanawiał się, czy warto było. Z drugiej jednak strony zdawał sobie sprawę, że nie ma wielkiego wyboru. To tak jakby wsiadł na rollercoaster i znalazł się na szczycie pierwszego wzniesienia.

- Okay, czas zdmuchnąć staruszka - zdecydował Twin. Raz jeszcze klepnął Phila w ramię, pochylił się przed nim i otworzył drzwi od strony pasażera.

Phil wysiadł i stanął na chodniku na uginających się nogach.

- Phil! - zawołał Twin.

Tamten schylił się i zajrzał do samochodu.

- Pamiętaj, po trzydziestu sekundach od twojego wejścia do restauracji podjadę przed wejście. Masz szybko wyjść i do wozu. Rozumiesz?

- Tak sędę.

Phil wyprostował się i ruszył w stronę restauracji. Czuł, jak pistolet uderza go w udo.

Trzymał go w prawej kieszeni spodni.

Gdy Jack po raz pierwszy spotkał Teresę, odniósł wrażenie, że tak jest zajęta osiągnięciem własnych celów, że nie potrafi rozmawiać na jakies mniej ważne tematy. Teraz musiał jednak przyznać, że się pomylił. Kiedy zaczął jej dokuczać, bezlitośnie upierając się, że poza pracą świata nie widzi, nie tylko przyjęła pełen uszczypliwości atak ze spokojem, ale na dodatek odbijała piłeczkę równie celnie jak on. Po drugim kieliszku wina oboje byli szczerze rozbawieni.

- Nie sądziłem, że będę się jeszcze dzisiaj tak serdecznie śmiał - powiedział Jack.

- Przyjmuję to jako komplement.

- I słusznie.

- Przepraszam - powiedziała Teresa, zwijając serwetkę. - Zdaje się, że za chwilę podadzą do stołu, więc jeśli mi wybaczysz, na chwilę jeszcze zostawię cię samego.

- Ależ oczywiście, proszę - odparł Jack. Złapał za krawędź stolika i lekko przyciągnął go do siebie, dając Teresie więcej miejsca do ruchu. W niewielkiej restauracji stoliki stały bardzo blisko siebie.

- Zaraz wracam - obiecała. Uścisnęła Jacka za ramię. - Nie odchodź - szepnęła.

Widział, jak podeszła do *maître d'hôtel*, który wysłuchał jej, a następnie skierowała się na zaplecze lokalu. Jack odprowadził ją wzrokiem, gdy zgrabnym krokiem przechodziła przez salę. Jak zwykle ubrana była w prostą, szytą na miarę sukienkę, podkreślającą jej szczupłą, wysportowaną sylwetkę. Bez trudu wyobraził sobie Teresę na sali gimnastycznej ćwiczącą z taką samą determinacją, z jaką próbuje zrobić zawodową karierę.

Kiedy Teresa zniknęła z pola widzenia, wrócił wzrokiem do stolika. Podniósł kieliszek

i upił mały łyk wina. Kiedyś czytał, że podobno czerwone wino zabija wirusy. To skierowało jego myśli na coś, o czym nie myślał, a być może powinien. Zetknął się z wirusem grypy i podczas gdy sam mógł czuć się bezpieczny po zaaplikowaniu sobie odpowiednich środków, z pewnością nie chciał narażać nikogo na chorobę, a szczególnie Teresy.

Rozmyślając o możliwości zarażenia, wysnuł wniosek, że skoro nie występują u niego żadne objawy, to najwidoczniej nie rozmnaża się w nim wirus, a to oznacza, iż nie został zainfekowany. Miał nadzieję, że przynajmniej to nie podlega dyskusji. Wspomnienie grypy nakazało mu sięgnąć do kieszeni po lek. Z plastikowej buteleczki wyjął tabletkę i popijając obficie wodą, połknął ją.

Schował fiolkę i rozejrzał się po restauracji. Zauważył, że wszystkie stoliki były zajęte, a mimo to kelnerzy sprawiali wrażenia zagonionych. Jack uznał, że jest to wynik doskonałej organizacji i profesjonalizmu.

Spojrzał w prawo, w stronę baru, przy którym siedziało kilka par i paru mężczyzn.

Wszyscy popijali drinki, czekając najprawdopodobniej na zwolnienie stolika. Wtedy zauważył, że zasłona przy wejściu rozsunęła się i do restauracji wszedł młody, elegancko ubrany ciemnoskóry mężczyzna.

Jack nie był pewny, dlaczego chłopak zwrócił jego uwagę. W pierwszej chwili pomyślał, że z powodu wysokiej i szczupłej sylwetki - przypominał graczy z koszykarskiego boiska, na którym Jack tak lubił spędzać czas. Cokolwiek to było, Jack nie spuszczał wzroku z mężczyzny, który zawahał się przy drzwiach. Nagle ruszył w głąb sali, rozglądając się dookoła. Jego chód nie przypominał sprężystego, żwawego kroku koszykarza. Raczej powłóczył nogami jak człowiek dźwigający na plecach ciężar. Prawą rękę trzymał w kieszeni spodni, lewa sztywno zwisała. Jack od razu zauważył, że nie porusza nią. Tak jakby w miejscu zdrowego ramienia miał protezę.

Phil rozglądał się po sali. Podszedł do niego *maître d'hôtel*. Krótko o czymś rozmawiali. Szef sali skinął głową i gestem zaprosił mężczyznę do restauracji. Mężczyzna znowu zaczął powoli przesuwać się do przodu, nadal kogoś szukając.

Jack uniósł kieliszek i upił mały łyk wina. Gdy wykonał ten gest, oczy mężczyzny spoczęły na nim i ku zaskoczeniu Jacka, mężczyzna ruszył prosto w jego stronę. Jack powoli odstawił kieliszek. Nieznajomy podszedł do stolika.

Jak we śnie Jack zobaczył unoszącą się prawą rękę mężczyzny. W dłoni trzymał broń.

Zanim Jack zdążył zaczerpnąć powietrza, lufa była wycelowana prosto w niego.

W niewielkim pomieszczeniu odgłos strzału był ogłuszający. Jack instynktownie złapał za obrus i uniósł go, chcąc się za nim schować. W efekcie wywrócił kieliszki i zrzucił butelkę. Rozprysła się w kawałeczki.

Wstrząs wywołany strzałem i odgłosem tłuczonego szkła sprawił, że zapadła grobowa cisza. Chwilę później ciało osunęło się na stół. Broń z łoskotem upadła na podłogę.

- Policja! - ktoś zawołał.

Na środek sali wyszedł mężczyzna, unosząc odznakę policyjną. W drugiej ręce trzymał typową policyjną trzydziestkę ósemkę. - Proszę się nie ruszać. Nie ma powodów do paniki.

Jack ze wstrętem odepchnął stolik, który przygwoździł go do ściany. Kiedy stół wrócił do właściwej pozycji, z blatu zsunęło się ciało martwego mężczyzny i ciężko opadło na podłogę.

Policjant wsunął rewolwer do kabury i schował odznakę do kieszeni. Przyklęknął przy zwłokach. Sprawdził puls i niespodziewanie zawołał:

- Niech ktoś wezwie karetkę!

Teraz dopiero restaurację wypełniły głosy przerażenia. Wystraszeni goście zaczęli

wstawać od stolików. Kilka osób siedzących blisko wyjścia natychmiast skierowało się do drzwi.

- Proszę zostać na swoich miejscach - policjant wydał krótkie polecenie. - Wszystko jest pod kontrolą.

Niektórzy od razu zastosowali się do polecenia i usiedli. Inni stali nieporuszeni z oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia i strachu.

Odzyskując zimną krew, Jack przykląkł za policjantem.

- Jestem lekarzem - poinformował.

- Tak, wiem - odparł policjant. - Proszę sprawdzić. Zdaje mi się, że on umiera.

Jack sprawdzał puls, zastanawiając się równocześnie, skąd policjant go zna. Nie stwierdził pulsu.

- Nie pozostawił mi wielkiego wyboru - stwierdził policjant. - Wszystko stało się tak szybko w obecności tylu przypadkowych ludzi. Strzeliłem w klatkę piersiową z lewej strony.

Musiałem trafić w serce.

Obaj wstali.

Policjant zmierzył wzrokiem Jacka.

- Dobrze się pan czuje? - zapytał.

Jack obmacał się z niedowierzaniem. Mógł przecież zostać zraniony i nie czuć tego w szoku.

- Chyba wszystko w porządku - odpowiedział po chwili.

Policjant pokręcił głową.

- Niewiele brakowało. Nie sądziłem, że coś tu panu grozi.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zapytał zaskoczony Jack.

- Sądziłem, że kłopoty zaczną się, gdy opuści pan restaurację.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi, ale jestem bardzo wdzięczny, że znalazł się pan w pobliżu.

- Proszę podziękować nie mnie, ale Lou Soldano.

Z toalety wróciła Teresa zaniepokojona zamieszaniem i odgłosami dochodzącymi z sali. Szybko podeszła do stolika. Kiedy dostrzegła leżącego człowieka, gwałtownie zasłoniła usta dłońmi. Patrzyła na Jacka w osłupieniu. Po sekundzie opanowała się i zapytała:

- Co się stało? Jesteś blady jak ściana.

- Ale przynajmniej żyję. Dzięki temu panu. Skonsternowana odwróciła się w stronę policjanta, chcąc usłyszeć jakieś wyjaśnienia, lecz w tej samej chwili na ulicy dały się słyszeć syreny, więc policjant, przeciskając się do wyjścia, ponaglał gości, aby wrócili do stolików.

Rozdział 30

Wtorek, godzina 20.45, 26 marca 1996 roku

Jack wyglądał przez okno pędzącego samochodu, obserwując niewidzącymi oczami lśniącą neonami scenerię wieczornego miasta. Siedział obok Shawna Magoginala, prowadzącego samochód na południe drogą Franklina D. Roosevelta. Shawn, detektyw w cywilu, zjawił się w restauracji, żeby uratować Jacka w razie niebezpieczeństwa.

Minęła już ponad godzina od tragicznego wydarzenia, ale Jack ciągle był spięty.

Prawdę powiedziawszy, teraz, po upływie godziny, kiedy zastanowił się nad trzecią próbą zamachu na jego życie, był nawet bardziej poruszony niż zaraz po strzelaninie. Przeżywał prawdziwy wstrząs psychiczny. Chcąc ukryć tę opóźnioną reakcję, zacisnął obie dłonie na kolanach.

Kiedy zjawiły się wozy policyjne i karetka, w restauracji zapanował chaos. Policjanci wypytywali wszystkich o nazwiska i adresy. Jedni odmawiali, inni bez protestów podawali niezbędne informacje. Początkowo Jacka traktowano jak innych gości, ale w końcu Shawn

zakomunikował mu, że detektyw porucznik Lou Soldano pragnie porozmawiać z nim w komisariacie.

Nie miał ochoty na tę rozmowę, ale nie miał też wyboru. Teresa nalegała, aby zabrał ją ze sobą, jednak zdołał jej ten pomysł wyperswadować. Zyskała jedynie obietnicę Jacka, że zadzwoni do niej później. Poinformowała, że wraca do agencji i tam będzie czekać na telefon.

Po takich doświadczeniach nie chciała wracać samotnie do domu.

Jack cały czas poruszał językiem. Wino i napięcie po zamachu sprawiły, że czuł trudną do zwalczenia suchość w ustach. Obawiał się, że policja może zechcieć go zatrzymać.

Nie zameldował o zabójstwie Reginalda, był świadkiem zajścia w sklepie. Na dodatek powiedział Laurie wystarczająco dużo, aby połączyć Reginalda ze śmiercią Beth.

Westchnął i nerwowo przeczesał włosy palcami. Zastanawiał się, jak odpowiedzieć na nieuniknione pytania.

- Wszystko w porządku? - zapytał Shawn. Zerkał na Jacka, wyczuwając jego podenerwowanie.

- Tak, świetnie. To był cudowny wieczór. Nowy Jork to miasto, w którym nie można się nudzić.

- Oto przykład pozytywnego myślenia o życiu - zgodził się Shawn.

Jack rzucił policjantowi krótkie spojrzenie. Tamten zdawał się dosłownie zrozumieć jego odpowiedź.

- Mam kilka pytań - powiedział Jack. - Jak to się stało, że znalazł się pan w restauracji? I skąd pan wiedział, że jestem lekarzem? I dlaczego mam dziękować Lou Soldano?

- Porucznik Soldano miał przecucie, że mogą pana spotkać kłopoty - wyjaśnił Shawn.

- Skąd pan wiedział, że będę w restauracji?

- To proste. Sierżant Murphy i ja jechaliśmy za panem od kostnicy.

Jack znowu spojrzął za okno i niedostrzegalnie pokręcił głową. Głupio mu się zrobiło, kiedy przypomniał sobie, jak dumny był z siebie, mając pewność, że nie ciągnie za sobą żadnego „ogona”. Świadomość, że brakuje mu do pierwszej ligi więcej niż jest w stanie przeskoczyć, była bolesna.

- Prawie się udało w Bloomingdale's, ale zgadłem, co pan zamierza zrobić - przyznał Shawn.

Jack odwrócił się ponownie w stronę detektywa.

- Kto dał cynk porucznikowi Soldano? - Podejrzewał, że musiała to być Laurie.

- Tego nie wiem. Ale już wkrótce sam pan będzie mógł go zapytać.

Droga FDR niedostrzegalnie przeszła w South Street Viaduct. Przed sobą Jack dostrzegł znajomą sylwetkę mostu Brooklińskiego. Na tle bladego nieba rysował się niczym gigantyczna lira.

Skręcili na północ i niebawem znaleźli się przed budynkiem komendy miejskiej.

Jack nigdy przedtem nie widział tego gmachu i teraz czuł się zaskoczony jego nowoczesną sylwetą. Zanim dostał się do środka, musiał przejść przez bramkę-wykrywacz metali. Shawn odprowadził go do biura Lou Soldano i zaraz potem zniknął.

Lou wstał i wyciągnął rękę na przywitanie. Podsunął krzesło.

- Proszę siadać, doktorze. To jest sierżant Wilson. - Lou wskazał na czarnego policjanta, który wstał, gdy wymieniono jego nazwisko. Był mężczyzną imponującego wzrostu, a mundur leżał na nim nieskazitelnie. Jego robiąca wrażenie postura kontrastowała z raczej przeciętną powierzchownością porucznika Soldano.

Jack wymienił uścisk dłoni z sierżantem. Jego siła również zrobiła na nim wrażenie.

Tymczasem drżąca i spocona dłoń Jacka nie mogła wywołać pozytywnych skojarzeń.

- Poprosiłem na rozmowę sierżanta Wilsona, ponieważ kieruje naszą specjalną grupą do zwalczania gangów młodzieżowych - wyjaśnił Lou, gdy usiadł znowu za swoim biurkiem. No to wspaniale, pomyślał Jack, obawiając się, że w rozmowie pojawi się nazwisko Warrena. Próbował się uśmiechnąć, ale zawahał się i uśmiech wypadł dość niewyraźnie. Bał się, że jego napięcie widoczne jest jak na dłoni. Miał przygnębiające wrażenie, że obaj policjanci doświadczeni w ściganiu osób łamiących prawo dostrzegli w nim przestępcę, kiedy tylko przekroczyli próg pokoju.

- Rozumiem, że dzisiejszy wieczór nie był przyjemny - zaczął Lou.

- Bez wątpienia - przytaknął Jack. Przyjrzał się porucznikowi. Wyglądał inaczej, niż oczekiwał. Gdy Laurie wspomniała, że łączyło ich kiedyś coś więcej niż przyjaźń, podejrzewał Lou o bardziej rzucającą się w oczy, wysportowaną sylwetkę. Tymczasem miał przed sobą własną, nieco pomniejszoną replikę, biorąc pod uwagę krępą, muskularną budowę i krótko ostrzyżone włosy. - Czy mogę zadać panu pytanie?

- Ależ oczywiście - odpowiedział Lou, rozkładając ręce w geście zaproszenia. - To nie jest przesłuchanie, lecz jedynie rozmowa.

- Dlaczego kazał pan swemu podwładnemu mnie śledzić? Proszę mnie źle nie zrozumieć, nie narzekam. Przecież uratował mi życie.

- Za to powinien pan podziękować doktor Laurie Montgomery. Niepokoiliła się o pana i kazała mi obiecać, że coś zrobię. Przywieszenie panu „ogona” było jedyną rzeczą, którą mogłem zrobić.

- Szczerze to doceniam - odpowiedział Jack, a w duchu zastanawiał się, jak powinien podziękować Laurie.

- Tak, jest jednak wiele spraw, które, jak sądzę, powinniśmy sobie teraz wyjaśnić - stwierdził Lou. Oparł się łokciami o biurko. - Może najpierw przedstawi nam pan własną

wersję wydarzeń.

- Tak naprawdę to jeszcze nie wiem.

- Jasne, doskonale rozumiem. Ale, panie doktorze, proszę pamiętać, że to tylko rozmowa.

- Nie jestem pewien, czy w stanie takiego poruszenia nadaję się do rozmów.

- Może w takim razie najpierw ja powiem panu, co wiem- zaproponował Lou.

W kilku zdaniach streścił informacje uzyskane od Laurie. Powiedział, że wie, iż Jack co najmniej raz został napadnięty i pobity oraz że zamachu na jego życie dokonał członek młodzieżowego gangu z południowego East Side. Wspomniał także o znanej mu niechęci Jacka do AmeriCare i jego podejrzeniach dotyczących chorób zakaźnych w Manhattan General. Wiedział i o tym, że Jack w czasie swych wizyt w szpitalu kilka osób zdenerwował. Skończył przypomnieniem, że sugestia o możliwym związku między śmiercią Beth a Reginaldem po wstępnych badaniach została potwierdzona.

Jack głośno przełknął ślinę.

- No, no. Zaczynam podejrzewać, że wie pan więcej ode mnie.

- Jestem pewny, że to akurat nie jest prawdą. - Na twarzy Lou pojawił się wymuszony uśmiech. - Być może jednak podane przeze mnie informacje podpowiedzą panu, czego jeszcze nie wiemy, a co wiedzieć powinniśmy, aby powstrzymać falę przemocy grożącą panu i innym. Niedaleko Manhattan General doszło dzisiaj do innej strzelaniny i zabójstwa członka gangu młodzieżowego. Czy wie pan coś na ten temat?

Jack znowu przełknął ślinę. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Kołatało mu w głowie napomnienie Warrena, ale także świadomość dwukrotnej ucieczki z miejsca zbrodni i udziału w jednym morderstwie. Co by nie powiedzieć, był przestępcą.

- Wolałbym teraz o tym nie mówić - przyznał.

- Ooo? A to dlaczego, jeśli można zapytać?

Jack zaczął gorączkowo poszukiwać usprawiedliwienia, wreszcie z ciężkim sercem skłamał.

- Staram się w ten sposób uchronić pewne osoby przed grożącym im niebezpieczeństwem.

- Ależ po to się tu spotkaliśmy. Aby chronić ludzi przed niebezpieczeństwem.

- Rozumiem, mamy jednak do czynienia raczej z wyjątkową sytuacją. Dzieje się sporo rzeczy i zapewne sporo się jeszcze wydarzy. Obawiam się, że możemy znaleźć się na krawędzi prawdziwej epidemii.

- Czego? - zapytał Lou.

- Grypy. Takiej odmiany grypy, która zabija.

- Czy wiele było już takich przypadków?

- Jak dotąd jeszcze nie tak wiele. Niemniej jednak mam uzasadnione obawy.

- Epidemie mnie przerażają, to prawda, ale znajdują się poza moimi kompetencjami -

powiedział Lou. - Co innego zamachy. Jak pan sądzi, kiedy będziemy mogli porozmawiać o tych morderstwach, o których wspomniałem, skoro nie jest pan gotowy w tej chwili?

- Proszę dać mi dzień. Groźba epidemii jest realna. Niech mi pan zaufa.

- Hmm... - zamyślił się Lou. Spojrzał na Wilsona.

- W ciągu dnia może się wiele wydarzyć - zauważył sierżant.

- Tego się właśnie boję - przytaknął Lou. Spojrzał na Jacka. - Niepokoi nas to, że zamordowani należeli do dwóch różnych gangów. Nie chcemy tu żadnej wojny gangów. W jej wyniku zginie wielu niewinnych ludzi.

- Potrzebuję dwudziestu czterech godzin - powtórzył Jack. - Do jutra, mam nadzieję, zdołam udowodnić to, co próbuję udowodnić. Jeśli mi się nie uda, to przyznam, że się

pomyliłem, i powiem wszystko, co wiem. Uprzedzam, że wbrew pozorom nie ma tego wiele.

- Niech pan posłucha, doktorze. Już teraz mógłbym pana aresztować i oskarżyć o utrudnianie śledztwa. Świadomie uniemożliwia pan prowadzenie dochodzenia w kilku sprawach o morderstwo. Mam zresztą wrażenie, że doskonale orientuje się pan w tym, co robi, prawda?

- Sądzę, że tak.

- Mógłbym więc pana oskarżyć, ale nie zamierzam tego zrobić. Zamiast tego skłonny jestem zaufać panu. Z szacunku dla doktor Montgomery, która uważa pana za przyzwoitego faceta, uzbroję się w cierpliwość i odstawię moje sprawy na bok. Ale najpóźniej jutro wieczorem otrzymam od pana wiadomość. Rozumiemy się?

- Doskonale rozumiem - przytaknął Jack. Popatrzył na porucznika, potem na sierżanta i znowu na porucznika. - Czy to wszystko?

- Na razie.

Jack wstał i skierował się do drzwi. Zanim doszedł, odezwał się jeszcze sierżant Wilson.

- Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę, jak niebezpieczne bywają układy z gangami. Uważają, że niewiele mają do stracenia, więc konsekwentnie nie czują respektu dla życia ani swojego, ani cudzego.

- Będę o tym pamiętał.

Jack pospiesznie opuścił budynek. Gdy wyszedł w noc, poczuł olbrzymią ulgę, jakby odroczone mu wykonanie wyroku.

Czekając na taksówkę, rozmyślał, co powinien zrobić. Bał się wracać do domu. W tej chwili nie chciał spotkać ani Black Kings, ani Warrena. Pomyślał o wizycie u Teresy, obawiał się jednak, że narazi ją na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Wybrał jakiś tani hotel. W ten sposób i on, i jego przyjaciele będą bezpieczni.

Rozdział 31

Środa, godzina 6.15, 27 marca 1996 roku

Pierwszym objawem, który Jack zauważył, była nagła wysypka na przedramionach.

Szybko rozprzestrzeniła się na klatkę piersiową i brzuch. Wskazującym palcem nacisnął miejsce na skórze, gdzie pojawiła się jedna z krostek. Chciał sprawdzić, czy pod wpływem ucisku skóra miejscowo zblednie. Nie tylko nie zbladła, ale wręcz przeciwnie, uciśnięte miejsce pociemniało.

Niemal równocześnie z pojawieniem się wysypki skóra zaczęła swędzić. Początkowo próbował zignorować nieprzyjemne uczucie, ale swędzenie stawało się nie do zniesienia i musiał się podrapać. Podrażniona skóra zaczęła krwawić. Każda z zadrapanych krost zamieniała się w otwartą ranę.

Wraz z krwawiącymi ranami pojawiła się gorączka. Najpierw rosła powoli, ale gdy przekroczyła 38°C, nastąpił gwałtowny, skokowy wzrost. Czoło Jacka wkrótce pokryło się potem.

Spojrzał w lustro i przeraził się widokiem własnej, rozpalonej twarzy, pokrytej otwartymi, krwawiącymi ranami. Kilka minut później poczuł trudności w oddychaniu. Nawet gdy się starał głęboko zaczerpnąć tchu, ledwo łapał powietrze.

W głowie huczało i dudniło, jakby zamiast serca miał potężny bęben. Nie miał pojęcia, czym się zaraził, ale bez wątplenia choroba wyglądała na niezwykle groźną. Intuicyjnie zgadywał, że na postawienie diagnozy i rozpoczęcie właściwego leczenia pozostało mu mało czasu.

Był jednak pewien problem. Do postawienia diagnozy potrzebował próbki, a nie miał pod ręką odpowiedniej igły.

Może dałoby się to zrobić za pomocą noża, pomyślał. Narobi bałaganu, ale może się uda. Gdzie mógłby znaleźć nóż?

Jack szeroko otworzył oczy. Przez chwilę przeszukiwał stolik nocny, ale szybko przestał. Był kompletnie zdezorientowany. Skądś dobiegało głębokie kołatanie. Nie potrafił zlokalizować miejsca, skąd dochodziły dziwne dźwięki. Uniósł rękę, aby przyjrzeć się wysypce, ale zniknęła. Dopiero teraz uświadomił sobie, gdzie jest. Przebudził się z koszmarne snu.

Temperaturę w hotelowym pokoju ocenił na jakieś 32°. Zrzucił z siebie koc. Leżał zlany potem. Usiadł na brzegu łóżka. Dziwne odgłosy dochodziły z grzejnika, który poza tym parskał i syczał. Zupełnie jakby ktoś walił młotem w rury.

Wstał i podszedł do okna. Chciał je otworzyć, ale nawet nie drgnęło. Czyżby było zabite gwoździami? Poddał się i podszedł do kaloryfera. Był tak rozgrzany, że nie sposób było dotknąć zaworu. Jack przyniósł ręcznik z łazienki, jednak okazało się, że zawór został zablokowany w pozycji „otwarte”.

Udało mu się otworzyć małe okienko w łazience. Do środka wpadł orzeźwiający podmuch. Jack nie ruszał się z miejsca przez kilka minut. Zimne płytki sprawiały przyjemność stopom. Oparł się o umywalkę i zadrżał na wspomnienie sennego koszmaru. Nabral tak przerażająco realnych kształtów. Jeszcze raz sprawdził ramiona i brzuch, żeby upewnić się, że naprawdę tylko śnił. Na szczęście wysypki nie było. Pozostał tylko ból głowy, ale to zapewne z przegrzania, pomyślał. Zastanowił się, dlaczego w tej temperaturze nie obudził się wcześniej.

Spojrzał w lustro i zauważył przekrwione oczy. Musiał się też ogolić. Miał nadzieję, że w hallu hotelu jest jakiś sklep, gdyż nie miał przy sobie żadnych przyborów toaletowych. Wrócił do pokoju. Kaloryfer przestał hałasować, a temperatura za sprawą chłodnego

nawiewu z łazienki spadła do znośnego poziomu.

Chcąc zejść na dół, musiał się ubrać. Wkładając ubranie, odtwarzał w pamięci zdarzenia z minionego wieczoru. Obraz wycelowanej w niego lufy rewolweru stanął mu przed oczyma z porażającą dokładnością. Wstrząsnął nim dreszcz. Jeszcze ułamek sekundy, a byłby załatwiony.

Trzykrotnie w ciągu dwudziestu czterech godzin zajrzał śmierci w oczy. Za każdym kolejnym razem mocniej uzmysławiał sobie, jak bardzo chce żyć. Po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy jego lekkomyślne, wariackie niemal zachowanie po stracie żony i córek nie było złą przysługą dla pamięci o nich.

W obskurnym hotelowym sklepiku kupił jednorazową maszynkę do golenia i małą tubkę pasty do zębów z dołączoną do niej szczoteczką. Gdy czekał na windę, na podłodze obok zamkniętej budki za gazetami zauważył zapakowaną i przewiązaną taśmą świeżą prasę. Na pierwszej stronie „Daily News” przeczytał sensacyjny tytuł: „Lekarz z miejskiej kostnicy bliski gwałtownej śmierci w restauracji. O strzelaninie w «Positano» czytajcie na stronie 3”. Jack spróbował wyjąć gazetę, ale nie udało mu się. Zabezpieczająca taśma okazała się zbyt mocna, by rozerwać ją gołymi rękami. Podszedł do kontuaru recepcji i poprosił zaspanego recepcjonistę o przecięcie taśmy i sprzedaż jednego egzemplarza „Daily News”. Zapłacił za gazetę pieniędzmi, które natychmiast zniknęły w kieszeni marynarki recepcjonisty.

Idąc w stronę windy, zaszokowany oglądał siebie na zdjęciu na stronie trzeciej. Z restauracji „Positano” wyprowadzał go pod rękę Shawn. Nie mógł sobie przypomnieć, kto i kiedy zrobił zdjęcie. Pod fotografią widniał podpis: *Doktor Jack Stapleton, patolog z zakładu medycyny sądowej, prowadzony przez detektywa Shawna Magoginala po próbie nieudanego zamachu na jego życie. Zamachowiec, członek nowojorskiego gangu, został śmiertelnie*

postrzelony w czasie zajścia.

Jack przeczytał artykuł. Nie był długi. Skończył czytać, zanim doszedł do pokoju. W jakiś sposób dziennikarz dowiedział się, że Jack miał już wcześniej kłopoty z gangiem. Tekst aż nadto wyraźnie sugerował jakąś skandalizującą historię. Jack zmiął i rzucił gazetę na podłogę. Poczł się zde gustowany niespodziewanym rozgłosem. Martwił się też, czy nie przeszkodzi mu to w załatwieniu jego spraw. Miał przed sobą pracowity dzień, więc nie życzył sobie kłopotów wywołanych przypadkową reklamą.

Umył się, ogolił, wyczyścił zęby. Poczł się jak nowo narodzony, choć bolała go głowa i mięśnie nóg. Również krzyż. Nie potrafił przestać myśleć, że być może są to pierwsze objawy grypy. Nie musiał przypominać sobie o zażyciu leku.

Jack poprosił taksówkarza, żeby wysadził go od strony kostnicy. Chciał w ten sposób uniknąć ewentualnego spotkania z dziennikarzami, którzy mogli czekać przed głównym wejściem.

Od razu skierował się na górę do pokoju kierownika zmiany. Z niepokojem oczekiwał informacji z nocy. Kiedy wszedł do pokoju, Vinnie opuścił gazetę.

- Cześć, doktorze. Zgadnij, co się stało. Jesteś bohaterem porannej prasy.

Jack zignorował uwagę i ruszył w stronę gabinetu George'a.

- Nie jesteś zainteresowany? Wydrukowali nawet zdjęcie.

- Widziałem. Drugi profil mam lepszy.

- Powiedz, co się wydarzyło - nalegał Vinnie. - Do diabła, przecież to jak w kinie czy co. Dlaczego ten facet chciał cię zabić?

- Pomylił mnie z kimś.

- O nie! Chcesz powiedzieć, że chciał strzelić do kogoś innego?

- Coś w tym rodzaju. - Jack zakończył rozmowę i wszedł do biura George'a. Zapytał,

czy w nocy przywieziono jakieś ofiary grypy.

- Naprawdę ktoś do ciebie strzelał? - zapytał George, jakby nie słyszał pytania Jacka.

On także interesował się tą sprawą. Cudze nieszczęścia mają magiczną siłę przyciągania uwagi.

- Czterdzieści, może pięćdziesiąt razy. Na szczęście strzelali takim dużym karabinem, no wiesz, na piłeczki pingpongowe. Jednak nie zawsze udawało mi się bezboleśnie odbijać je głową.

- Domyślam się, że nie chcesz o tym rozmawiać - trafnie zauważył George.

- Masz rację, George. No, gadaj, są jakieś nowe ofiary grypy?

- Cztery.

Serce zabiło Jackowi szybciej.

- Gdzie są?

George stuknął palcem w plik teczek.

- Przeznaczyłem dwoje dla ciebie, ale Calvin zadzwonił i kazał mi zadysponować ci kolejny papierkowy dzień. Zdaje się, że także czytał gazety. Prawdę powiedziawszy, to nie wiedział nawet, czy zjawiłeś się już w pracy, czy jeszcze nie.

Jack nie odpowiedział. Miał tyle do zrobienia, że decyzję Calvina uznał za prawdziwy dar niebios. Otworzył teczki i szybko przeczytał nazwiska ofiar. Chociaż mógł zgadnąć, kim byli, przeczytanie czarno na białym ich nazwisk wywołało szok. Kim Spensor, George Haselton, Gloria Hernandez i William Pearson, technik laboratoryjny z wieczornej zmiany, wszyscy zmarli w nocy z powodu zespołu ostrego wyczerpania oddechowego. Obawy, że wirus grypy może być naprawdę groźny, przestały istnieć, teraz było to niezbitym faktem. Zmarli byli zdrowymi, dorosłymi osobami, które po mniej więcej dwudziestu czterech godzinach od zetknięcia się z wirusem zeszły ze świata. Trwoga wywołana

prawdopodobieństwem wybuchu epidemii odżyła w Jacku ze zdwojoną siłą. Miał tylko nadzieję, że nie mylił się co do źródła choroby zlokalizowanego w nawilżaczach, wszystkie bowiem ofiary bezpośrednio zetknęły się z tym urządzeniem. Jednak żadna z nich nie zachorowała po kontakcie z chorym, a to byłby kluczowy dowód, że epidemia się zaczęła. Jack szybko wyszedł z pokoju, nie zwracając uwagi na kolejne pytania Vinniego. Nie wiedział, od czego zacząć. Po doświadczeniach z dżumą uznał, że najpierw powinien porozmawiać z Binghamem, a on dopiero będzie musiał zawiadomić władze miejskie. Z drugiej strony zagrożenie zwiększało się z każdą minutą i w związku z tym nie chciał tracić czasu.

- Doktorze Stapleton, było do pana wiele telefonów! -zawołała za przechodzącym Marjorie Zankowski. Pracowała na nocnej zmianie jako telefonistka w centrali. - Niektórzy zostawili wiadomości na pańskiej automatycznej sekretarce, a tu mam pełną listę. Miałam zamiar zanieść panu do biura, ale skoro już pan tu jest... - Podała Jackowi plik różowych karteczek z zapisanymi informacjami. Jack wziął je i poszedł przed siebie.

W windzie przejrzał karteczki. Kilka razy dzwoniła Teresa, ostatni raz o czwartej nad ranem. To, że dzwoniła tyle razy, wywołało w Jacku poczucie winy. Powinien był zatelefonować do niej z hotelu, lecz prawdę powiedziawszy, nie miał ochoty na rozmowę z kimkolwiek.

Ku swemu najwyższemu zdziwieniu zobaczył, że jest również wiadomość od Clinta Abelarda i Mary Zimmerman. W pierwszej chwili pomyślał, że Kathy McBane powtórzyła im wszystko, co usłyszała od niego. Jeżeli tak, to informacje od Abelarda i Zimmerman nie mogły należeć do przyjemnych. Zadzwonili kolejno po sobie po szóstej rano.

Najbardziej intrygujące i trapiące zarazem były telefony od Nicole Marquette z Centrum Kontroli Chorób. Pierwszy około północy, drugi za kwadrans szósta.

Wpadł do biura, zrzucił płaszcz, usiadł na biurku i oddzwonił do Nicole. Wydawała się wyczerpana. Tak przynajmniej brzmiał jej głos.

- To była długa noc - stwierdziła. - Próbowałam się z panem połączyć kilka razy.

Dzwoniłam do pracy i do domu.

- Przepraszam. Powinienem podać pani zapasowy numer.

- Kiedy zadzwoniłam do pańskiego mieszkania, odebrał mężczyzna, który przedstawił się jako Warren. Mam nadzieję, że to znajomy. Jednak jego głos nie brzmiał przyjacielsko.

- To mój przyjaciel - odpowiedział Jack, chociaż wiadomość zaniepokoiła go.

Spotkanie twarzą w twarz z Warrenem nie zapowiadało się przyjemnie.

- Właściwie nie wiem, od czego zacząć. Pewne jest, że tej nocy pozbawił pan snu wiele osób. Próbkę z wirusem grypy, które pan przysłał, wywołały u nas prawdziwy ogień.

Przetestowaliśmy je na wszystkich antyciałach, jakie mamy w laboratorium. Nie zadziałały w najmniejszym stopniu. Innymi słowy albo musi to być nowy szczep, albo stary, i to sprzed tylu lat, że nie możemy mieć antyciał.

- To zdaje się nie jest dobra wiadomość?

- Nie bardzo - przyznała Nicole. - Raczej przerażająca. Szczególnie jeśli uwzględnimy zjadliwość badanego szczepu. Zdaje się, że wirus zabił już pięć osób?

- Skąd pani wie? Sam dopiero co dowiedziałem się o czterech nowych zgonach.

- Przez całą noc byliśmy w kontakcie z miejscowymi władzami odpowiedzialnymi za działania w takich przypadkach. To zresztą jeden z powodów, dla których tak usilnie chciałam się z panem skontaktować. Sądzymy, że grozi nam wybuch epidemii. Nie chciałam, aby poczuł się pan wykolegowany ze sprawy. Otóż widzi pan, w końcu znaleźliśmy coś, co zadziałało na próbki. Mówię o zamrożonej surowicy, w której, jak sądzymy, powinny być przeciwciała wirusa grypy odpowiedzialnej za epidemię w latach tysiąc dziewięćset

osiemnaście, tysiąc dziewięćset dziewiętnaście.

- Dobry Boże! - zawołał Jack.

- Gdy tylko to odkryłam, natychmiast powiadomiłam mojego szefa, doktora Hirose Nakano. On z kolei zadzwonił do dyrektora Centrum Kontroli Chorób. Skontaktował się z lekarzem dyżurnym kraju. Wywołaliśmy tu prawdziwą wojnę. Potrzebujemy szczepionki i to bardzo szybko. Ciągle mamy w pamięci świńską grypę z siedemdziesiątego szóstego.

- Czy mogę jakoś pomóc? - zapytał, chociaż miał wrażenie, że zna odpowiedź.

- W tej chwili nie. Jesteśmy wielce zobowiązani za tak szybkie powiadomienie nas o problemie. W rozmowie z dyrektorem szczególnie mocno to podkreśliłam. Nie zdziwię się, jeśli osobiście zadzwoni do pana.

- Więc szpital także został powiadomiony?

- Przede wszystkim. Zespół interwencyjny z Centrum Kontroli Chorób jeszcze dzisiaj zjawi się u nich i włączy się do walki z chorobą. Pomogą również lokalnemu epidemiologowi. Nie muszę chyba mówić, że jesteśmy zainteresowani odpowiedzią na pytanie, skąd wziął się ten wirus. Jedną z tajemnic grypy są rezerwuary wirusów. Podejrzewa się ptaki, szczególnie kaczki, czasami świnie, ale nikt nie wie na pewno. Zadziwiające, że wirus drzemał ponad siedemdziesiąt pięć lat i nagle zapolował na nas.

Kilka minut później Jack odłożył słuchawkę. Był zaszokowany, ale też poczuł prawdziwą ulgę. Wreszcie ostrzeżenia o grożącej epidemii zostały poważnie potraktowane, a odpowiednie służby zmobilizowane. Ludzie, którzy mogli zażegnać niebezpieczeństwo, zaczęli działać.

Ciągle jednak nie wiedział, skąd pochodził wirus. Jack był pewny, że nie wchodziły w grę naturalne rezerwuary jak w przypadku innych rodzajów grypy. Na pewno sprawcami nie były ptaki czy inne zwierzęta. Pod uwagę brał tylko pojedynczego człowieka albo organizację

i na wyjaśnieniu tej wątpliwości postanowił się skupić.

Zanim cokolwiek zrobił, zadzwonił najpierw do Teresy. Zastał ją w domu. Głos Jacka bardzo ją uspokoił.

- Co się z tobą działo? Umierałam ze strachu.

- Zostałem na noc w hotelu.

- Dlaczego nie zadzwoniłeś, jak obiecałeś? Sama dzwoniłam do ciebie kilkanaście razy.

- Przepraszam. Wiem, że powinienem był zatelefonować. Ale po rozmowie w komendzie policji pojechałem do hotelu i nie miałem zupełnie nastroju do rozmów. Nie mogę ci teraz opowiedzieć, jak stresujące były dla mnie ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Boję się, że już nie jestem sobą.

- Myślę, że cię rozumiem. Nawet dziwię się, że po tym przerażającym zdarzeniu w ogóle jesteś dzisiaj na chodzie. Nie uważasz, że powinieneś zostać w domu? Ja chyba tak bym zrobiła.

- Za bardzo jestem wplątany we wszystko, co się wydarzyło.

- Tego się właśnie obawiałam. Jack, posłuchaj mnie, proszę. Zostałeś pobity, a wczoraj omal cię nie zamordowano. Czy nie nadszedł już czas, aby zostawić sprawę innym ludziom, a samemu wrócić do normalnej pracy?

- Sprawy zaszły już tak daleko. Specjaliści z Centrum Kontroli Chorób są w drodze do Nowego Jorku. Będą próbowali powstrzymać zbliżającą się epidemię. Ja moje sprawy zakończę dzisiaj.

- A co to w praktyce oznacza?

- Jeżeli do wieczora nie wyjaśnię osobiście całej tajemnicy, poddam się. Tyle obiecałem wczoraj policji.

- To balsam dla mojej duszy. Kiedy będę mogła się z tobą zobaczyć?
- Po ostatnich wydarzeniach uznałem, że przebywanie w pobliżu mojej osoby nie jest dla ciebie bezpieczne.
- Spodziewam się, że kiedy zakończysz tę swoją batalię, dadzą ci wreszcie spokój.
- Zadzwoń do ciebie. Nie mam w tej chwili pojęcia, jak potoczy się dzień.
- Wczoraj też obiecałeś, że zatelefonujesz, i nie zadzwoniłeś. Jak mogę ci ufać?
- Cóż, musisz dać mi jeszcze jedną szansę. Teraz muszę już wracać do pracy.
- Nie chcesz wiedzieć, co u mnie?
- Myślę, że jeśli będziesz chciała, to mi powiesz.
- National Health odwołało spotkanie w sprawie przeglądu materiałów do kampanii.
- To dobrze?
- Znakomicie. Po prostu w pełni zaakceptowali pomysł, o którym opowiedziałam wczoraj znajomej. Tak więc nie musimy organizować prezentacji i otrzymaliśmy miesiąc na dokładne przygotowanie końcowych materiałów.
- To cudownie. Cieszę się z tobą.
- Ale to nie wszystko. Sam Taylor Heath zadzwonił i złożył mi gratulacje. Powiedział także, że dowiedział się, co zamierzał zrobić Barker, więc pozbył się go. Niemal mnie zapewnił, że awans na dyrektora mam w kieszeni, że będę szefem Willow and Heath.
- Trzeba to będzie uczcić - uznał Jack.
- Ja też tak sądzę. Doskonałym sposobem na to byłby dzisiejszy lunch w „Four Seasons”.
- Jesteś uparta.
- Jako kobieta, która chce zrobić karierę, nie mam wyjścia.
- Na lunch nie mogę się umówić, ale może na kolację. Jeżeli oczywiście nie trafię do

tego czasu do więzienia.

- A to co znowu? - zaniepokoiła się Teresa.

- Wyjaśnianie zabrałoby za dużo czasu. Zadzwoń do ciebie później. Cześć, Tereso. -

Jack odłożył słuchawkę, zanim Teresa zdołała coś powiedzieć. Wiedział, że potrafiłaby naciągnąć go nawet na lunch, wołał więc nie ryzykować.

Zamierzał pójść do laboratorium DNA, gdy w drzwiach pojawiła się Laurie.

- Nie potrafię wyrazić, jak bardzo się cieszę, że cię widzę -powiedziała na przywitanie.

- A ja winien ci jestem podziękowanie za to, że mogę tu być. Parę dni temu uważałem, że niepotrzebnie próbujesz się wmieszać w całą historię. Teraz już tak nie myślę. Doceniam, że powiedziałaś o wszystkim porucznikowi Soldano, ponieważ w ten sposób ocaliłaś moje życie.

- Zadzwoił do mnie wczoraj i opowiedział o zamachu. Później wielokrotnie próbowałam dodzwonić się do ciebie.

- Jak wiele innych osób. Powiem szczerze, że bałam się wracać do domu.

- Lou mówił, że wiele ryzykujesz, narażając się takim gangom. Osobiście uważam, że powinieneś już przestać zajmować się tą sprawą.

- Cóż, jeśli to cię pocieszy, powiem, że jesteś po stronie większości. No i jestem pewien, że gdybyś zadzwoniła do mojej mamy do South Bend w Indianie, w pełni zgodziłaby się z tobą.

- Nie rozumiem, jak możesz być tak beztroski po tym wszystkim, co się wydarzyło?

Poza tym Lou prosił mnie, abym upewniła się, że wiesz, iż policja nie może zapewnić ci dwudziestoczworogodzinnej ochrony. Lou nie ma tylu ludzi. Możesz liczyć tylko na siebie.

- A to oznacza, że będę pracować z kimś, z kim spędziłem jak dotąd mnóstwo czasu.

- Jesteś niemożliwy! Kiedy przestaniesz ukrywać się za tymi ciętymi odpowiedziami.

Chyba najwyższy czas odkryć karty, przynajmniej przed Lou. Opowiedz mu o wszystkim i zostaw mu resztę. Pozwól przeprowadzić dochodzenie. Jest w tym naprawdę dobry. To jego praca.

- Być może - odparł Jack. - Jednak w tej sprawie mamy do czynienia z wyjątkowymi okolicznościami. Sądzę, że potrzebna jest wiedza, której on nie ma. Nie bez znaczenia jest i to, że ta sprawa może wiele zmienić w moim życiu. Nie wiem, czy to widać, ale ostatnie kilkadziesiąt godzin bardzo mnie zmieniło.

- Jesteś tajemniczym człowiekiem. A także upartym. Nie znam cię dostatecznie dobrze i nie wiem, kiedy żartujesz, a kiedy mówisz serio. Obiecuj tylko, że będziesz bardziej ostrożny, niż byłeś przez ostatnie kilka dni.

- Zawrzyjmy układ - zaproponował Jack. - Ja obiecuję, że będę uważał na siebie, ale ty w zamian zażyjesz rymantadyne.

- Dowiedziałam się, że na dole są nowe ofiary grypy. Uważasz, że powinniśmy zacząć zażywać rymantadyne?

- Bez dwóch zdań. Centrum Kontroli Chorób potraktowało tę serię niezwykle poważnie, więc i ty powinnaś. Prawdę powiedziawszy, to podejrzewają, że możemy mieć do czynienia z tą samą odmianą wirusa, która wywołała epidemię grypy w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku. Sam zacząłem już wczoraj zażywać lek.

- Jak to możliwe, żeby to był ten sam wirus? Przecież ten szczep nie istnieje.

- Grypa potrafi się przyczaić. To między innymi spowodowało takie poruszenie w Centrum Kontroli Chorób.

- No, jeśli okazałoby się to prawdą, to twoja teoria o celowym działaniu niewiele byłaby warta. Nie sposób podejrzewać, że ktoś specjalnie rozsiewa wirusy pochodzące z nie

znanego nikomu, naturalnego ukrytego źródła.

Jack przez chwilę wpatrywał się w Laurie. Miała rację, i doprawdy nie wiedział, dlaczego sam o tym dotychczas nie pomyślał.

- Nie chcę wchodzić ci w paradę - powiedziała Laurie.

- W porządku - rzekł zatroskany. Zaczął się poważnie zastanawiać, czy możliwe było, żeby wybuch grypy był nie zawiniony przez nikogo, podczas gdy wcześniejsze śmiertelne zachorowania zostały spowodowane. Takie rozumowanie łamało jedną z podstawowych zasad diagnostyki medycznej - nawet najbardziej nieprawdopodobne wyjaśnienia dla każdego przypadku muszą zostać sprawdzone.

- Mimo wszystko groźba rozprzestrzenienia grypy istnieje - przyznała Laurie. -

Wezmę leki, ale chcę mieć kontrolę, czy dopełniasz swojej części umowy, i zobowiązuję cię do pozostawania ze mną w stałym kontakcie. Zauważyłam, że Calvin odsunął cię dzisiaj od autopsji, więc jeśli wyjdiesz z biura, masz do mnie regularnie telefonować.

- Może ty już rozmawiałaś z moją mamą - zastanawiał się na głos Jack. - Dokładnie to samo mi kazała, kiedy wyjechałem po raz pierwszy do college'u.

- Wchodzisz w to czy nie? - krótko zapytała Laurie.

- Niech będzie, wchodzę.

Po wyjściu Laurie Jack poszedł do laboratorium DNA, by porozmawiać z Tedem Lynchem. Z ulgą wyszedł z biura. Doceniał dobre intencje, lecz bardzo nie lubił wysłuchiwać rad, a Chet w każdej chwili mógł się zjawić. Nie miał wątpliwości, że usłyszałby od przyjaciela to samo, co usłyszał od Laurie.

Idąc po schodach, myślał nad tym, co powiedziała Laurie o źródle grypy. Nie mógł uwierzyć, że sam na to nie wpadł. Stracił nieco pewności siebie. Zdawał sobie sprawę, ile zależało teraz od analizy próbek otrzymanych z National Biologicals. Jeżeli wyniki okażą się

negatywne, straci nadzieję na dowiedzenie swych racji. Dysponował jedynie wątpliwej jakości zawartością zbiornika spod umywalki w magazynie działu zaopatrzenia otrzymaną od Kathy McBane.

Ted Lynch, widząc wchodzącego Jacka, schował się za stołem laboratoryjnym. Gdy Jack obszedł stół i znalazł Teda, ten zażartował:

- Kurczę, znalazłeś mnie. Miałem nadzieję, że nie zobaczę cię aż do popołudnia.
- No to masz pechowy dzień. Nie robię dzisiaj autopsji, postanowiłem więc spędzić trochę czasu z tobą. Domyślam się, że nie zdołałeś uporać się z moimi próbkami.
- Zostałem wczoraj do późna i dzisiaj przyszedłem wcześniej, żeby przygotować nukleoproteiny. Jestem gotowy do analizy. Jeżeli dasz mi jeszcze z godzinę, to może będą pierwsze wyniki.
- Dostałeś wszystkie cztery kultury?
- Oczywiście. Agnes jest dobrym fachowcem.
- Zajrzę później - obiecał Jack.

Miał trochę czasu, więc zszedł na dół do kostnicy i przebrał się w kombinezon.

W sali autopsyjnej praca odbywała się zgodnie z codzienną rutyną. Na sześciu z ośmiu stołów przeprowadzano w różnym stopniu zaawansowane badania. Jack powoli szedł między stołami, aż zauważył znajomą twarz. Na stole leżała Gloria Hernandez. Zatrzymał się. Spoglądając w jej blade oblicze, próbował zrozumieć istotę śmierci. Wczoraj rozmawiał z nią w jej mieszkaniu, dzisiaj... cóż za niepojęta przemiana.

Autopsję wykonywała Riva Mehta, koleżanka Laurie. Była niską kobietą o indiańskim pochodzeniu. Do pracy przy stole autopsyjnym potrzebowała podwyższenia. W tej chwili otwierała klatkę piersiową.

Jack przystanął i obserwował. Gdy wyciągnęła płuca, spytał, czy mógłby im się

przyjrzeć. Wyglądały identycznie jak u Kevina Carpentera. Widoczne były nawet takie same ranki, jak po nakłuciu szpilką. Nie miał wątpliwości, że zmarła na pogrypowe zapalenie płuc. Przechodząc dalej, rozpoznał Cheta. Zajmował się pielęgniarzem, George'em Haseltonem. Jack był zaskoczony. Normalnie Chet przed zejściem do sali autopsyjnej wpadał choćby na krótko do pokoju. Kiedy Chet zorientował się, kto przy nim stoi, wydawał się zagniewany.

- Dzwoniłem wczoraj do ciebie kilka razy. Dlaczego nie podnosiłeś słuchawki?

- Nie sięgałem. Była za daleko. Nie spędziłem nocy w domu.

- Colleen zadzwoniła do mnie i powiedziała, co się wydarzyło. Jeśli chcesz wiedzieć, to moim zdaniem wszystko zaszło stanowczo za daleko.

- Chet, może zamiast tyle gadać, pokazałbyś mi płuco.

Chet bez słowa podał mu płuco badanego. Niczym nie różniło się od płuc Glorii

Hernandez i Kevina Carpentera. Kiedy Chet wrócił do przerwanej rozmowy, Jack po prostu się oddalił.

Został w sali autopsyjnej, dopóki się nie przekonał, że wszystkie przypadki dotyczyły grypy. Nie było niespodzianek. Wszyscy byli pod wrażeniem niezwyklej agresywności wirusa.

Przebrał się w swoje ubranie i poszedł do laboratorium. Tym razem Ted z zadowoleniem powitał kolegę.

- Nie jestem pewien, co według ciebie miałem znaleźć - zaczął Ted. - Ale trafiłeś w pięćdziesięciu procentach. Dwie z czterech próbek okazały się pozytywne.

- Dwie? - zdziwił się Jack. Spodziewał się, że albo wszystkie będą pozytywne, albo wszystkie negatywne. Stał przed kolejną tajemnicą.

- Jeżeli chcesz, mogę jeszcze raz wykonać analizę i zmienić wyniki - zażartował Ted.

- Ile ma być pozytywnych?
- A myślałem, że to ja jestem tu mistrzem dowcipu -odparł Jack.
- Czy takie wyniki nie pasują do twojej teorii?
- Nie jestem pewien. Które dały pozytywny wynik?
- Dżuma i tularemia.

Jack wrócił do swojego pokoju i rozważał w myślach nowe informacje. W końcu doszedł do wniosku, że nie ma znaczenia, ile z próbek okazało się pozytywnych. To, że którakolwiek z nich dała pozytywny wynik, podtrzymywało teorię. Z drugiej strony trudno jednak było wejść w posiadanie sztucznie hodowanych kultur bakterii, jeżeli nie było się pracownikiem laboratorium.

Przysunął sobie telefon, podniósł słuchawkę i wybrał numer do National Biologicals.

Poprosił o przywołanie Igora Krasnyansky'ego. Uznał, że skoro zajmował się przygotowaniem próbek do wysyłki, będzie najlepszym źródłem informacji.

Jack przypomniał mu, kim jest.

- Pamiętam pana - zapewnił Igor. - I co, przydały się nasze próbki na coś?
- Owszem. Jeszcze raz dziękuję za ich przysłanie. Ale mam jeszcze kilka pytań.
- Spróbuję na nie odpowiedzieć.
- Czy National Biologicals wysyła także wirusy wywołujące gripę?
- Tak. Wirusy stanowią sporą część przesyłek, w tym wirusy grypy. Mamy wiele szczepów, szczególnie typu A.
- Czy macie także ten, który wywołał epidemię w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku? - Jack chciał mieć stuprocentową pewność.
- Chcielibyśmy - odpowiedział Igor ze śmiechem. - Niewątpliwie wśród badaczy ten wirus cieszy się szczególną popularnością. Nie, nie mamy go. Mamy jednak bardzo podobny,

na przykład szczep, który wywołał epidemię świńskiej grypy w siedemdziesiątym szóstym.

Powszechnie się sądzi, że wirus z tysiąc dziewięćset osiemnastego roku był permutacją H1N1, ale nikt nie wie dokładnie.

- Moje kolejne pytanie dotyczy dżumy i tularemii.

- Mamy oba rodzaje.

- Wiem o tym. Chciałbym natomiast uzyskać od pana informację, kto zamawiał kultury bakterii tych chorób w ostatnich kilku miesiącach.

- Obawiam się, że zwykle nie udzielamy podobnych informacji.

- Rozumiem - odpowiedział Jack. Przez moment bał się, że będzie zmuszony skorzystać z pomocy Lou Soldano, by uzyskać niezbędne dane. Pojawiła się jednak iskierka nadziei. Może udałoby się wyciągnąć wiadomości od Igora. Przecież powiedział, że „zwykle” nie udzielają takich informacji.

- Może zechciałby pan porozmawiać z naszym dyrektorem - zasugerował Igor.

- Proszę pozwolić, że wyjaśnię, dlaczego potrzebuję tych danych. Jako lekarz i patolog z Zakładu Medycyny Sądowej badałem ostatnio kilka ofiar zmarłych na te choroby. Chcemy wiedzieć, które z laboratoriów powinniśmy ostrzec. Musimy zapobiec dalszym tragicznym wypadkom.

- I ofiary zachorowały na choroby z naszych kultur bakteryjnych? - zapytał Igor.

- Dlatego właśnie prosiłem o próbki. Właściwie już wiemy dość, ale potrzeba nam ostatecznych dowodów.

- Hmm - zastanowił się Igor. - Nie jestem pewien, czy te wyjaśnienia mnie przekonują.

- Chodzi wyłącznie o bezpieczeństwo ludzi - zapewnił Jack.

- To brzmi bardziej przekonująco. Te dane nie są traktowane jako poufne. Przesyłamy

listę naszych klientów do kilku producentów sprzętu i wyposażenia laboratoryjnego.

Sprawdźmy, co się uda ustalić.

- Aby ułatwić panu zadanie, podpowiem, że chodzi o laboratoria z obszaru Nowego Jorku.

- Doskonale - odparł Igor. Jack słyszał stukot klawiszy komputera. Zaczniemy od tularemii. Jest. - Zapadła cisza. - Tak - znowu dał się słyszeć głos Igora. - Wysłaliśmy tularemię do National Health i do Manhattan General Hospital. To wszystko. Przynajmniej w ostatnich kilku miesiącach.

Jack wyprostował się. National Health był najpoważniejszym przeciwnikiem AmeriCare.

- Potrafi pan powiedzieć, kiedy przesłaliście te kultury?

- Tak sądzę. Mam. Przesyłka dla National Health wyszła dwudziestego drugiego tego miesiąca, a do Manhattan General piętnastego.

Entuzjazm Jacka nieco osłabł. Przed dwudziestym drugim wykrył tularemię u Susanne Hard.

- Czy można także ustalić, kto był odbiorcą przesyłki dla Manhattan General?

- Chwileczkę. Komputer pokazuje, że zlecenie podpisał doktor Martin Cheveau.

Krew w żyłach Jacka zaczęła szybciej pulsować. Dowiadywał się o sprawach, które wiele osób zapewne chciało zachować w tajemnicy. Zapewne nawet sam Martin Cheveau nie przypuszczał, że w National Biologicals oznaczają podatność swych kultur na określone bakteriofagi.

- A co z dżumą?

- Jedną chwileczkę - odparł Igor i poszukał odpowiedniego pliku.

Nastąpiła kolejna przerwa. Jack słyszał nawet oddech Igora.

- Okay, mam to. Dżumy raczej nie wysyłamy na Wschodnie Wybrzeże, chyba że do laboratoriów uniwersyteckich. Ale ósmego mieliśmy jedną wysyłkę. Do laboratorium Frazera.

- Nigdy nie słyszałem o takim. Ma pan adres?

- 550 Broome Street.

- Kto zamówił?

- Po prostu laboratorium na własne potrzeby.

- Często macie z nimi do czynienia?

- Nie wiem. - Igor znowu postukał w klawisze. - Składali kilka zamówień. To musi być jakieś małe laboratorium diagnostyczne. Ale jest coś dziwnego.

- Co takiego?

- Zawsze płacą czekiem potwierdzonym. Nigdy się nie spotkałem z czymś podobnym. Oczywiście tak można, ale nasi klienci zazwyczaj otwierają u nas konto kredytowe.

- Mam pan ich telefon?

- Nie, tylko adres - odpowiedział Igor i raz jeszcze go podał.

Jack podziękował Igorowi za pomoc i pożegnał się. Wziął książkę telefoniczną i spróbował znaleźć laboratorium Frazera. Nie było takiego. Zadzwoił więc do informacji. Skutek był podobny.

Kolejny raz otrzymał informację, której nie oczekiwał. Wskazano mu dwa potencjalne źródła śmiertelnych bakterii. O laboratorium w Manhattan General już co nieco wiedział, postanowił więc najpierw odwiedzić laboratorium Frazera. Jeżeli uda mu się znaleźć coś, co łączy to laboratorium ze szpitalem lub Martinem Cheveau, zawiadomi Lou Soldano.

Pierwszy problem dotyczył jednak osobistego bezpieczeństwa. Poprzedniego wieczoru zdawało mu się, że jest dość sprytny, by wymknąć się potencjalnym zamachowcom,

a okazało się, że Shawn Magoginal jechał za nim cały czas. No, ale ostatecznie Shawn był zawodowcem. Black Kings nie byli profesjonalistami. Braki w fachowości pokrywali bezlitosnym działaniem. Zdawał sobie sprawę, że musi zginąć w tłumie, zanim bandyci wyzbędą się resztek skrupułów i zaatakują go na ulicy.

Równocześnie obawiał się spotkania z Warrenem i jego gangiem. Nie wiedział, co o nich myśleć. Kompletnie nie miał pojęcia, co Warren myśli o nim po wczorajszych wydarzeniach. Będzie musiał stawić jemu czoło w niedalekiej przyszłości.

Najłatwiej można zgubić śledzącego w miejscu zatłoczonym z wieloma wyjściami.

Natychmiast pomyślał o dworcu kolejowym lub autobusowym. Zdecydował się na pierwszy, gdyż był bliżej.

Żałował, że nie ma połączenia podziemnego między Zakładem Medycyny Sądowej a metrem. Zdany był na radiotaxi. Poprosił dyspozytora, by taksówkarz podjechał od tyłu i zabrał go spod kostnicy.

Wszystko zdawało się układać idealnie. Samochód przyjechał szybko. Jack wślizgnął się do wozu chyba nie zauważony przez nikogo. Udało im się bez zatrzymywania minąć pierwsze światła na Pierwszej Avenue. Siedział wtulony w siedzenie, dostrzegając we wstecznym lusterku zdziwione spojrzenia kierowcy. Po chwili wyprostował się nieco i obejrzał za siebie. Przez tylną szybę samochodu nie dostrzegł nic podejrzanego. Kazał zatrzymać wóz tuż przed wejściem na dworzec. Gdy taksówka zatrzymała się, Jack wyskoczył z niej i wbiegł przez główne wejście do hallu dworca. Od razu zmieszał się z tłumem. Aby na sto procent upewnić się, że nie jest śledzony, zszedł do stacji metra i wsiadł do pociągu jadącego na Czterdziestą Drugą. Kiedy pociąg miał ruszyć i drzwi zaczęły się zamykać, Jack zablokował je rękami i wyskoczył na peron. Pobiegł do głównego hallu i wyszedł na ulicę, ale nie tym wejściem, przez które wchodził, lecz innym.

Poczuł się bezpieczny. Pomachał na taksówkę. Najpierw poprosił o kurs do World Trade Center. Jadąc Piątą Avenue, pilnie obserwował inne samochody, taksówki i furgonetki, starając się upewnić, że nie jest przez nie śledzony. Gdy nic na to nie wskazywało, zmienił dyspozycję i podał adres: 550 Broome Street.

Rozluźnił się. Usiadł wygodnie i przyłożył dłonie do skroni. Ból głowy nie minął do końca. Jack gotów był przypisać nieustające tętnienie w skroniach wczorajszym przejściom, lecz zaczęły ujawniać się nowe objawy choroby. Czuł trudny do określenia ból gardła, któremu towarzyszył lekki katar. Być może podłoże choroby było psychosomatyczne, nie wiedział jednak, jak to sprawdzić, i martwił się.

Okrążyli Washington Square, skręcili na południe w Broadway, a stąd na wschód na Houston Street.

Jack uważnie przyglądał się mijanym ulicom. Nie miał pojęcia, gdzie leży Broome Street, chociaż domyślał się, że może to być gdzieś na południu miasta, w okolicach Houston. Ta część metropolii, jak i wiele innych, była mu prawie nie znana. Większość nazw ulic brzmiała dla jego uszu całkowicie obco.

Z Houston Street skręcili w prawo w Eldridge, a następnie w lewo. Jack spojrzał na tabliczkę. Wjeżdżali w Broome Street. Cztero- lub pięciopiętrowe domy w części nie były zamieszkane, okna zabito deskami. Nieprawdopodobne, żeby w takiej okolicy mieściło się laboratorium medyczne.

Za następną przecznicą okolica nieco się zmieniła. Zauważył sklep z akcesoriami hydraulicznymi z okratowanymi oknami. Wzdłuż ulicy ciągnęły się sklepy z narzędziami i materiałami budowlanymi i wykończeniowymi. Nad sklepami były mieszkania, a może magazyny.

W połowie ulicy taksówkarz skręcił i podjechał do krawężnika. Stanęli przy Broome

Street 550. Nie było tu żadnego laboratorium. Poczta, lombard, sklep monopolowy i zakład szewski.

Jack zawahał się. W pierwszej chwili pomyślał, że pomylił adres. To było jednak mało prawdopodobne. Nie tylko zapisał go na kartce, ale pamiętał, że Igor dwukrotnie go powtórzył. Zapłacił za kurs i wysiadł.

Jak wszystkie sklepy w okolicy, tak i ten był zabezpieczony spuszczaną na noc kratą.

W oknie wystawowym leżała mieszanina najprzeróżniejszych przedmiotów - obok elektrycznej gitary kilka kamer i bogaty wybór taniej biżuterii. Wielki szyld nad drzwiami informował: OSOBISTE SKRZYNKI POCZTOWE. Na szybie drzwi wymalowano:

REALIZUJEMY CZEKI.

Jack podszedł do okna i zajrzał do wnętrza. Za kontuarem stał wąsaty mężczyzna w punkowej fryzurze. Ubrany był w wojskowy mundur polowy. Z tyłu sklepu znajdowała się kabina z pleksi przypominająca bankowe stanowisko kasjera. Po lewej stronie w ścianie zamontowano kilka rzędów skrzynek pocztowych.

Zaciekawiło to Jacka. Jeżeli laboratorium Frazera korzystało tu ze skrzynki pocztowej, to budziło to podejrzenia. W pierwszym odruchu chciał wejść do sklepu i zapytać, lecz rozmyślił się. Wiedział, że obsługa osobistych skrzynek pocztowych miała obowiązek zachowania pełnej dyskrecji w sprawach klientów. Prywatność była głównym powodem zakładania anonimowych skrzynek pocztowych.

Jack chciał nie tylko dowiedzieć się, czy laboratorium Frazera ma tu swoją skrzynkę, ale najlepiej zwabić przedstawiciela laboratorium do sklepu. Powoli w jego głowie rodził się plan działania.

Odszedł od okna, aby nie zauważył go właściciel sklepu. Przede wszystkim potrzebował książki telefonicznej. Okolica lombardu wydawała się opustoszała. Poszedł więc

na południe w stronę Canal Street. Tam znalazł aptekę.

Z książki telefonicznej przepisał cztery adresy: najbliższego sklepu z odzieżą służbową, wypożyczalni furgonetek, sklepu z artykułami biurowymi i biura Federal Express. Sklep z odzieżą był najbliżej, tam więc skierował pierwsze kroki.

W sklepie niestety nie potrafił sobie przypomnieć, jak wyglądają służbowe ubiory kurierów Federal Express. Nie załamał się takim drobiazgiem. Jeśli on nie pamięta, to pewnie i sprzedawca nie pamięta. Kupił parę niebieskich spodni i białą koszulę z zapinanymi kieszeniami i naramiennikami. Kupił także czarny pasek i niebieski krawat.

- Nie będzie miał pan nic przeciwko temu, że tu się przebiorę? - zapytał sprzedawcę.

- Ależ skądże, bardzo proszę - odparł zapytany i wskazał prowizoryczną kabinę.

Spodnie okazały się nieco za długie, ale Jackowi się podobały. Gdy spojrzął w lustro, uznał, że czegoś mu brakuje. Dokupił więc niebieską czapkę z daszkiem. Otrzymawszy należność, sprzedawca zapakował ubranie Jacka. Zanim jednak je zapakował, Jack przypomniał sobie o rymantadynie i wyjął fiołkę z kieszeni. Nie chciał przeoczyć żadnej z kolejnych dawek.

Następny przystanek wyznaczył sobie w sklepie z artykułami biurowymi. Kupił papier pakowy, taśmę klejącą, średniej wielkości pudełko, sznurek i paczkę nalepek informacyjnych naklejanych na paczki. Ku swemu zdziwieniu znalazł również nalepki z oznaczeniem „Uwaga! Zagrożenie biologiczne”. W innej części sklepu znalazł plakietki-identyfikatory przywieszane do kieszeni i blok z wydrukowanymi formularzami zamówień. Po zgromadzeniu wszystkiego podjechał do kasy i zapłacił.

Kolejny postój miał miejsce w biurze Federal Express. Z kosza stojącego w hallu biura wyjął kilka nalepek adresowych oraz plastikowych kopert używanych do przymocowania adresu do paczki. Ostatnim etapem była wypożyczalnia furgonetek.

Wypożyczył samochód odpowiedni do rozwożenia paczek. To zabrało mu najwięcej czasu, gdyż musiał poczekać, aż ktoś z obsługi sprowadzi samochód z parkingu położonego gdzieś dalej. Czas oczekiwania wykorzystał na przygotowanie paczki. Chcąc nadać jej odpowiedni ciężar, postanowił włożyć do środka trójkątny kawałek drewna, który zauważył na podłodze przy wejściu do biura wypożyczalni. Prawdopodobnie służył za blokadę dla otwartych drzwi. Kiedy osoba obsługująca klientów opuściła na moment stanowisko za ladą, Jack błyskawicznie podniósł klocek i wrzucił do pudełka. Wyrwał kilka stron z „New York Post” i wypchał nimi pudełko. Zamknął je i potrząsnął. Nic nie grzechotało w środku. Zadowolony, dokładnie okleił je taśmą. Po owinięciu w papier i obwiązaniu sznurkiem oblepił paczkę informacyjnymi etykietami, również tą z napisem: „Uwaga! Zagrożenie biologiczne”. Ostatnia była etykieta Federal Express, którą starannie wypełnił, adresując do Laboratorium Frazera. Jako nadawcę wpisał National Biologicals. Oryginał oderwał, a kopię włożył do plastikowej zawieszki i przymocował na paczce. Był zadowolony. Paczka wyglądała bardzo oficjalnie, a nalepki nadały jej pożądany wygląd.

Kiedy przyjechała furgonetka, Jack wyszedł z biura, wrzucił na tył samochodu resztę papieru pakowego, przesyłkę, paczkę ze swoim ubraniem, zamknął drzwi, wsiadł za kierownicę i odjechał.

Zanim dojechał na miejsce, zatrzymał się dwukrotnie. Raz przed apteką, w której skorzystał z książki telefonicznej. Kupił w niej lek na coraz bardziej dokuczliwy ból gardła. Drugi raz przed restauracją sprzedającą jedzenie na wynos. Nie był głodny, ale zrobiło się późno, a on nic jeszcze nie jadł. Nie wiedział też, jak długo przyjdzie mu czekać po doręczeniu paczki.

Jadąc z powrotem na Broome Street, otworzył kupiony w restauracji sok pomarańczowy i zażył kolejną tabletkę. Wobec nasilających się objawów choroby chciał

utrzymać wysoki poziom leku we krwi.

Podjechał prosto pod lombard. Silnik zostawił włączony, światła zapalone. Trzymając w ręku podkładkę z formularzami, wyskoczył z samochodu, podszedł od tyłu. Wyjął paczkę i wszedł do sklepu.

Dzwonek zamocowany na drzwiach ostro zadzwonił. Jak wcześniej w sklepie nie było klientów. Wąsaty mężczyzna w wojskowym moro spojrzął znad gazety. Włosy sterczały mu pionowo, co sprawiało, że wyglądał na permanentnie zaskoczonego.

- Mam przesyłkę dla laboratorium Frazera - oznajmił Jack. Położył paczkę na kontuarze i podsunął formularz pod nos mężczyźnie. - Proszę tu podpisać - powiedział, podając mu ołówek.

Sprzedawca wziął ołówek, ale zawahał się i spojrzął badawczo na paczkę.

- To chyba dobry adres? - zapytał Jack.

- Tak sądzę - odparł wąsacz. Przygryzł wąsa i spojrzął na Jacka. - Co w tym jest?

- Powiedzieli mi, że suchy lód - odpowiedział Jack. Nagle schylił się w stronę sprzedawcy i dodał ściszym głosem: - Dysponent uważa, że to mogą być żywe bakterie.

Wie pan, do badań czy czegoś.

Mężczyzna skinął głową.

- Zdziwiło mnie, że nie mam dostarczyć przesyłki wprost do laboratorium. Nie mogłem usiedzieć spokojnie obok tego. Nie, żeby się bał, że to wycieknie albo coś podobnego. No, ale że umrze i będzie bezużyteczne. Myślę, że powinien pan jak najszybciej zawiadomić swojego klienta.

- Tak sądzę - powtórzył sklepikarz.

- Tak panu radzę. No, ale niech pan podpisze, bo mam jeszcze robotę.

Mężczyzna podpisał formularz. Czytając do góry nogami, Jack poznał jego nazwisko -

Tex Hartman. Tex oddał podkładkę z formularzami Jackowi, a ten wsunął ją pod pachę.

- Cieszę się, że pozbyłem się tego. Nigdy nie lubiłem tych bakterii czy wirusów.

Czytał pan o dżumie w mieście w zeszłym tygodniu? Przeraziłem się na śmierć.

Mężczyzna znowu skinął głową.

- Niech pan uważa - powiedział na pożegnanie Jack i wyszedł.

Wsiadł do samochodu i zadowolony z siebie przejechał kilkadziesiąt metrów i skręcił.

Żałował, że facet nie był bardziej gadatliwy. Nie był pewny, czy Tex dzwonił do laboratorium, ale gdy zwałniał hamulec ręczny, zauważył, że wykręca jakiś numer.

Zaparkował niedaleko lombardu i wyłączył silnik. Zamknął drzwi i sięgnął po jedzenie. Był głodny czy nie, ale postanowił coś przekąsić.

- Jesteś pewny, że powinniśmy to zrobić? - zapytał BJ.

- Tak, człowieku, jestem - odparł, Twin. Manewrował swoim cadillakiem wokół

Washington Square, szukając miejsca do zaparkowania. Nie wyglądało różowo. Park był

zapchany ludźmi, którzy postanowili się tu rozerwać. Jeździli na deskorolkach i

łyżworolkach, rzucali do siebie latającym dyskiem, popisywali się w break dance, grali w

szachy i handlowali narkotykami. Tu i tam widać było wózki dziecięce. Atmosfera jak w

czasie karnawału. Dlatego właśnie Twin wybrał to miejsce na spotkanie.

- Kurde, człowieku, bez armaty czuję się, jakbym był nago. Nie podoba mi się to.

- Zamknij mordę BJ i szukaj jakiegoś miejsca na wózek - rozkazał Twin. - To ma być

spotkanie braci. Nie ma powodu do strzelaniny.

- A co jeśli oni zaczną? - zapytał BJ.

- Człowieku, czy ty nikomu nie ufasz? - odpowiedział pytaniem Twin. W tej chwili

zauważył ruszający z postoju samochód. - Mamy szczęście, nie?

Twin z wprawą zajął zwolnione miejsce i zaciągnął ręczny hamulec.

- To miejsce wyłącznie dla samochodów zaopatrzenia -zauważył BJ. Spojrzał przez okno na napis na znaku parkingowym.

- Z całym tym prochem, jaki upchnęliśmy w tym roku, to myślę, że możemy się zaliczyć do zaopatrzenia - odpowiedział ze śmiechem Twin. - Dalej, weź swoją czarną dupę i wyłaź z wozu.

Wysiedli, przeszli przez ulicę i weszli do parku. Twin sprawdził godzinę. Pomimo kłopotów z zaparkowaniem byli przed czasem. Tak właśnie lubił, mieć dość czasu na zlustrowanie miejsca spotkania. Nie, żeby nie ufał braciom, ale wolał być ostrożny.

Lecz tym razem życie zaskoczyło go. Oglądając miejsce umówionego spotkania, spostrzegł niespodziewanie, że sam jest obserwowany przez jednego z najlepiej zbudowanych facetów, jakiego ostatnio widział.

- Cholera - zaklął pod nosem.

- Co jest? - zapytał zaalarmowany BJ.

- Bracia zjawili się przed nami.

- Co mam zrobić? - Oczy BJ zaczęły biegać po ludziach, aż zatrzymały się na tym samym osiłku, którego zauważył Twin.

- Nic. Po prostu idź.

- Wygląda na cholernie odprężonego. Niepokoi mnie to -zauważył BJ.

- Zamknij się! - warknął Twin.

Twin podszedł do człowieka, który ani na chwilę nie przestał patrzeć mu prosto w oczy. Wycelował w niego dwoma palcami jak lufą pistoletu i zawołał:

- Warren!

- Czołem. Jak leci?

- Nieźle - odparł Twin.

Zgodnie z rytuałem uniósł prawą rękę, Warren zrobił to samo i przybili piątkę na przywitaniu. Był to tylko pozornie gest przyjazny, podobny do podania sobie ręki przez przedstawicieli dwóch rywalizujących ze sobą banków.

- To David - Warren przedstawił swego kompana.

- A to BJ - Twin przedstawił swego, wykonując nieznaczny ruch głową.

David i BJ czujnie się obserwowali, ale nie ruszali się i nic nie mówili.

- Posłuchaj, człowieku - zaczął Twin. - Pozwól, że powiem od razu jedną rzecz. Nie wiedzieliśmy, że ten doktor mieszka na waszej ziemi. To znaczy, może wiedzieliśmy, ale nie sądziliśmy, że to ważne, skoro chodzi o białasa.

- Co was łączy z doktorem? - zapytał Warren.

- Łączy? Nic nas nie łączy. Nie mam z nim żadnych układów.

- To dlaczego chcesz go zdmuchnąć?

- Takie małe zlecenie. Przyszedł do nas kiedyś taki gość, co niedaleko mieszka, i zaproponował sałatę za ostrzeżenie doktora, żeby nie wtykał do czegoś nosa. Ale on nie usłuchał, więc gość zjawił się drugi raz i zaproponował więcej za załatwienie doktora.

- Więc twierdzisz, że doktor nie miał z wami żadnych układów? - zapytał jeszcze raz Warren.

- Kurwa, nie - roześmiał się Twin. - Nie potrzebujemy w interesie jakichś pieprzonych doktorów.

- Powinieneś najpierw przyjść do nas - stwierdził Warren. - Powiedzielibyśmy ci o doktorze. Gra z nami w kosza od czterech czy pięciu miesięcy. Jest w porządku. Przykro mi z powodu Reginalda, ale nie doszłoby do tego, gdybyśmy porozmawiali.

- Żałuję dzieciaka. To nie powinno się zdarzyć. Problem w tym, że się cholernie wkurzyliśmy z powodu Reginalda. Nie mogliśmy uwierzyć, że brat zabił Reginalda za

jakiegoś białego doktora.

- Rachunki są więc wyrównane - oznajmił Warren. - Nie liczymy ostatniego wieczoru, ale to nas nie dotyczy.

- Wiem. Możesz sobie wyobrazić tego doktora? Jak kot z dziewięcioma zyciami. Jak, do cholery, ten gliniarz tak szybko zareagował? Zdaje mu się, że jest Wyatt Earp czy jaka inna cholera.

- Chodzi o to, że między nami jest zawieszenie broni - powiedział Warren.

- Cholerna racja, stary. Nigdy więcej brat nie strzeli do brata. Mamy z tym już dość kłopotów.

- Ale zawieszenie oznacza, że zostawiacie w spokoju także doktora - dodał Warren.

- Interesuje cię, co się stanie z tym facetem?

- Tak.

- Stoi. Forsa nie jest warta wojny.

Warren wyciągnął dłoń w kierunku Twina. Ten przybił i wyciągnął swoją. Warren powtórzył gest. Umowa została przypieczętowana.

- Trzymaj się zdrowo - powiedział Warren.

- Ty też, człowieku.

Warren skinął na Davida. Ruszyli w stronę Washington Arch, gdzie zaczynała się Piąta Avenue.

- Poszło nieźle - skwitował Dawid. Warren wzruszył ramionami.

- Wierzysz mu? - zapytał Dawid.

- Tak, wierzę. Może i handluje narkotykami, ale głupi nie jest. Jeżeli trwałoby to dłużej, wszyscy musielibyśmy zapłacić.

Rozdział 32

Sroda, godzina 17.45, 27 marca 1996 roku

Jack nie czuł się dobrze. Zaczęły go boleć mięśnie, cały był zdrętwiały. Siedział w samochodzie dłużej, niż się spodziewał. Obserwował wchodzących i wychodzących klientów lombardu. W sklepie nigdy nie było tłoku, ale ruch klientów utrzymywał się na stałym poziomie. Większość z nich nie znajdowała się w najlepszej kondycji, sądząc po stanie ubrania. Dla Jacka stało się jasne, że sklep prowadzi uboczną działalność, zapewne nielegalną loterię, może handel narkotykami.

Okolica nie należała do przyjemnych. Zauważył to już przedtem z okien taksówki.

Zapadający zmrok skłaniał go do powrotu do domu. Ktoś próbował się włamać do jego samochodu. Wsunął cienką, długą metalową listwę między szybę a drzwi i próbował je otworzyć. Dopiero gdy Jack zastukał w okno, a złodziejasek przekonał się, że wóz już ma właściciela, przestraszony uciekł.

Jack często sięgał po tabletki do ssania. Przynosiły mu nieznaczną ulgę. Gardło bolało jednak nadal i do tego pojawił się kaszel. Nie jakiś trudny do zniesienia, raczej suchy, krótki. Ale tylko pogarszał stan gardła, drażniąc je, i Jack rzeczywiście zaczął się obawiać, że złapał grypę od Glorii Hernandez. Chociaż dzienną dawkę rymanadyny stanowiły dwie tabletki, kiedy pojawił się kaszel, Jack zażył trzecią.

Już zamierzał przyznać, że jego sprytny plan z paczką spalił na panewce, gdy nadszedł właściwy klient. Mężczyzna w pierwszej chwili nie wzbudził zainteresowania Jacka. Nie spodziewał się przede wszystkim, że ten ktoś przyjdzie pieszo. Mężczyzna ubrany w kurtkę narciarską z kapturem, przypominającą okrycia Eskimosów. Spotykało się tu wielu podobnie ubranych ludzi. Ale kiedy wyszedł ze sklepu, w ręku trzymał paczkę. Mimo bladego światła i odległości Jack rozpoznał ją po nalepkach i etykietach. Przydały się.

Musiał szybko podjąć decyzję, gdyż mężczyzna zwałym krokiem oddalał się w

stronę Bowery. Jack nie spodziewał się, że przyjdzie mu śledzić pieszego. Nie wiedział, czy lepiej wysiąść z wozu i iść ostrożnie za mężczyzną, czy krążąc po okolicy wozem, starać się utrzymać go w polu widzenia.

Doszedł do wniosku, że wolno poruszająca się furgonetka wzbudzi więcej podejrzeń niż pieszy, wysiadł więc i poszedł za mężczyzną w kapturze, utrzymując odległość. Doszli do Eldridge Street. Mężczyzna skręcił w prawo. Jack dobiegł do narożnika. Wychylił się zza węgła i dostrzegł, że tamten wchodzi do domu po drugiej stronie ulicy.

Jack szybkim krokiem podszedł do budynku. Miał pięć pięter, jak sąsiednie domy. Na każdym piętrze zauważył dwa wielkie okna, rozmiarami przypominające wystawy sklepów. Po bokach, z każdej strony były mniejsze okienka. Zygzak schodów przeciwpożarowych ciągnął się od góry budynku do końca pierwszego piętra z lewej strony fasady domu. Ostatnia ich część, drabina z przeciwwagą, sięgała teraz około czterech metrów nad chodnik.

Pomieszczenia na parterze były do wynajęcia, o czym informowała wywieszka przyczepiona do szyby okna po jej wewnętrznej stronie.

Jedynie światła paliły się w oknach na pierwszym piętrze. Z miejsca, w którym stał, wydawało się, że znajdują się tam jakieś pomieszczenia gospodarcze, lecz nie miał pewności. Nie dostrzegł żadnych firanek czy innych oznak domowej atmosfery.

Kiedy tak stał, obserwując budynek i zastanawiając się, co robić dalej, rozblęśły światła na ostatnim piętrze. Zauważył kogoś w małym oknie po lewej stronie. Nie był w stanie ocenić, czy to mężczyzna, którego śledził, ale tak podejrzewał.

Rozejrzał się, czy nie jest obserwowany, i upewniwszy się, że wszystko w porządku, wszedł zdecydowanym krokiem do bramy, w której zniknął mężczyzna z przesyłką.

Znalazł się w małym przedsionku. Po lewej stronie na ścianie wisały cztery skrzynki na listy. Tylko na dwóch były nazwiska. Pierwsze piętro zajmował G. Heilbrunn, lokatorem

czwartego był R. Overstreet. Żadnego laboratorium.

Wewnętrzne drzwi do budynku były zamknięte. Z boku dostrzegł domofon z czterema przyciskami. Zawahał się, gdyż nie bardzo wiedział, co miałby powiedzieć, aby go wpuszczono. Stał tak dłuższą chwilę, zastanawiając się, lecz nic nie przyszło mu do głowy.

Nagle zauważył, że skrzynka na listy dla lokatora z czwartego piętra jest nie domknięta.

Już zamierzał do niej zajrzeć, gdy nagle otworzyły się wewnętrzne drzwi.

Przestraszyło to Jacka i odskoczył na bok. Zachował jednak trzeźwość umysłu i stał odwrócony tyłem do osoby, która weszła. Nie chciał zdradzać swej tożsamości. Osobnik, najwyraźniej zmieszany niespodziewaną obecnością kogoś w bramie, błyskawicznie minął Jacka i wybiegł na ulicę. Jack kątem oka zauważył ten sam kaptur zimowej kurtki. Sekundę później mężczyzny nie było.

Jack zareagował instynktownie, wsuwając stopę między drzwi. Nie zdążyły się zamknąć. Począł chwilę, aby mieć pewność, że mężczyzna nie cofnie się, i wszedł do środka. Drzwi za nim zamknęły się. Schody biegły w górę wokół szybu windy zbudowanego ze stalowej ramy pokrytej grubą, również stalową siatką. Domyślił się, że winda przeznaczona była do wożenia towarów. Świadczył o tym nie tylko jej rozmiar, ale i sposób jej otwierania - zamiast tradycyjnych drzwi miała poziome, unoszone w górę. Poza tym podłoga wyłożona była z grubsza tylko ostruganymi deskami.

Wsiadł do windy i nacisnął czwórkę.

Winda trzęsła się i robiła mnóstwo hałasu, ale dowiozła Jacka na czwarte piętro.

Wysiadł i stanął przed dużymi, ciężkimi drzwiami. Nie było na nich żadnej wizytówki, żadnego dzwonka. Mając nadzieję, że nikogo nie ma, zapukał. Kiedy po drugim pukaniu, prawie dobijaniu się, nie było odpowiedzi, uspokojony spróbował otworzyć drzwi. Niestety były zamknięte.

Schody pięły się jednak wyżej. Postanowił sprawdzić, czy prowadzą na dach. Udało się, niestety drzwi zatrzasnęły się natychmiast po ich puszczeniu. Zanim zwiedzi dach, chciał znaleźć coś, czym dałoby się zablokować drzwi, pozostawiając sobie drogę odwrotu. Tuż przy progu zauważył mały przedmiot, jakieś dwa na cztery cale.

Zablokował drzwi i ostrożnie ruszył w stronę krawędzi dachu. Przed sobą dojrzał łuk poręczy drabiny przeciwpożarowej rysującej się na tle ciemniejącego nieba. Wszedł na zewnętrzny gzyms budynku, złapał poręcz drabiny i spojrział w dół. Natychmiast poczuł lęk wysokości, na który cierpiał od dawna. Świadomość, że ma zejść po drabinie na czwarte piętro, ugięła pod nim nogi. Jednak trzy metry poniżej widział dobrze oświetlony podest schodów przeciwpożarowych.

Przemógł strach i ruszył. Wiedział, że to szansa, której nie powinien zmarnować.

Przynajmniej będzie mógł zerknąć przez okno. Mocno trzymając się poręczy, nie spuszczać oczu z kolejnych stopni, powoli schodził w dół. Wreszcie poczuł pod stopami twardy grunt podestu schodów. Przezornie nie spoglądał pod nogi. Nadal trzymając się poręczy, wychylił się, aby zajrzeć przez okno do wnętrza. Jak podejrzewał, było to pomieszczenie gospodarcze, tyle tylko, że poprzedzielane dwumetrowej wysokości ściankami działowymi na kilka części. Tuż przed nim znajdowała się część mieszkalna z łóżkiem i małą kuchnią ustawioną pod lewą ścianą. Na okrągłym stole leżała rozpakowana paczka. Kawałek drewna i pomięte gazety męczyzna, zapewne w złości, rzucił na podłogę.

Bardziej zainteresował go wierzchołek wystającego ponad ściankę metalowego urządzenia, które nie wyglądało na standardowe wyposażenie mieszkania. Mając przed sobą nie domknięte okno, nie potrafił się powstrzymać przed wejściem do wnętrza. Uznał, że poza wszystkim, łatwiej mu będzie zejść schodami w budynku niż schodami przeciwpożarowymi. Nadal starał się nie patrzeć w dół. Puścił drabinę, powoli przesunął się po podeście w

stronę okna, wsunął głowę i w jednej chwili znalazł się w środku. Ciężko oddychał. Gdy stanął na podłodze, bez dalszych obaw wyjrzał przez okno na ulicę, sprawdzając, czy czasami mężczyzna w kapturze nie uznał za stosowne wrócić.

Usatysfakcjonowany, obrócił się. Z sypialnio-kuchni przeszedł do pokoju dziennego z dużym oknem. Stały w nim dwa tapczany naprzeciwko siebie i ława na niewielkim, wytartym dywaniku. Ściany działowe udekorowano plakatami zapowiadającymi międzynarodowe sympozja mikrobiologów. Wszystkie magazyny na ławie traktowały o mikrobiologii. Jack poczuł się ośmielony. Może jednak odnalazł laboratorium Frazera. Nagle coś go zaniepokoiło. Pod przeciwległą ścianą stała witryna z imponującą kolekcją broni. Mężczyzna w kapturze okazał się nie tylko miłośnikiem mikrobiologii, ale i pasjonatem broni strzeleckiej.

Szybko przeszedł przez pokój z zamiarem opuszczenia mieszkania. Jednak gdy tylko wyszedł z salonu, zamiast skierować się w stronę drzwi wyjściowych, zatrzymał się. Reszta pomieszczenia pełniła funkcję laboratorium. Stalowe wysokie urządzenie, które widział przez okno, okazało się inkubatorem, do którego można było wchodzić przez metalowe drzwi. Pod przeciwległą ścianą, w kącie po prawej stronie stało stanowisko do badań mikrobiologicznych trzeciej generacji. Wyciąg doprowadzony był do jednego z małych okienek.

Jack spodziewał się, że może odkryć prywatne laboratorium, ale sprzęt, jaki znalazł, zadziwił go. Takie wyposażenie nie należało do tanich, a połączenie aneksu mieszkalnego z laboratorium również rodziło wiele pytań.

Uwagę Jacka przyciągnęła duża zamrażarka. Stała z boku obok kilku butli ze sprężonym azotem. Zamrażarka została tak przerobiona, że pracując na ciekłym azocie, utrzymywała temperaturę około minus pięćdziesięciu stopni.

Spróbował zajrzeć do jej wnętrza, niestety, była zamknięta.

Do uszu Jacka dobiegł trudny do określenia, stłumiony odgłos. Rozejrzał się. Znowu coś usłyszał. Dźwięk dochodził z zaplecza laboratorium. Stała tam jakby szopa o powierzchni mniej więcej dwóch, trzech metrów kwadratowych. Jack podszedł bliżej, aby przyrzeć się dokładnie dziwnej konstrukcji. Przewód wentylacyjny wychodził z niej góra i kończył się nad jednym z dużych okien.

Uchylił drzwi. Poczul wstrętny odór i usłyszał pojedyncze groźne warknięcia.

Otwierając drzwi nieco szerzej, dostrzegł krawędzie metalowych klatek. Zapalił światło.

Ujrzał kilka psów i kotów, przede wszystkim jednak pomieszczenie wypełniały szczury i myszy. Zwierzęta patrzyły na niego tępo. Niektóre psy pomachały z nadzieją ogonami.

Zamknął drzwi. Mężczyzna w kapturze zaczął rysować się w wyobraźni Jacka jako opętany mikrobiologią maniak. Nie chciał nawet się domyślać, jakie eksperymenty prowadził na tych biednych zwierzętach.

Nagle odległy, ale ostry jęk maszynierii gwałtownie przyspieszył bicie serca Jacka. Od razu wiedział, co to jest -winda!

Z rosnącą paniką rozpoczął szaleńcze poszukiwania drzwi wyjściowych. Wyposażenie laboratorium przykuło jego uwagę i zapomniał o drzwiach. Szybko je znalazł, lecz pomyślał, że do tego czasu winda mogła zbliżyć się do czwartego piętra.

Pierwszą myślą było wyskoczyć z laboratorium, pobiec schodami na dach, stamtąd wrócić do budynku i opuścić go normalną drogą, gdy mężczyzna wejdzie już do siebie. Ale teraz, słysząc nadjeżdżającą windę, bał się, że zostanie rozpoznany. Oznaczało to konieczność opuszczenia laboratorium drogą, którą wszedł do środka. Winda zatrzymała się, w drzwiach zazgrzytał klucz. Jack zdał sobie sprawę, że za późno na ucieczkę.

Musiał się szybko ukryć, najlepiej w pobliżu drzwi wyjściowych. Trzy metry od nich

zauważył kolejne drzwi. Otworzył je i wszedł. Znalazł się w łazience. Zamknął się w niej.

Liczył na to, że mężczyzna w kapturze będzie miał inne sprawy w głowie niż mycie rąk czy korzystanie z toalety.

Ledwie zdążył się ukryć, usłyszał otwierane drzwi wejściowe. Mężczyzna wszedł i szybkim krokiem poszedł w głąb pomieszczenia. Odgłos jego kroków cichł, w końcu zamilkł. Przez sekundę Jack wahał się. Obliczał, ile czasu będzie potrzebował, aby dostać się do drzwi i otworzyć je. Wierzył, że gdy znajdzie się na schodach, ucieknie. Wiedział, że jest w doskonałej formie i da sobie radę.

Tak cicho, jak to tylko możliwe, otworzył drzwi łazienki. Najpierw uchylił je nieznacznie, aby słyszeć, co się dzieje na zewnątrz. Cisza. Powoli otworzył szerzej. Zerknął przez szparę.

Ze swojego miejsca widział sporą część laboratorium. Mężczyzny nie dostrzegł.

Pchnął jeszcze trochę i prześlizgnął się przez szparę. Spojrzał na drzwi wyjściowe. Kilka cali nad klamką była zasuwka.

Raz jeszcze zerknął w stronę laboratorium i nieco uspokojony podszedł do drzwi.

Lewą ręką chwycił za klamkę, a prawą uniósł do zasuwki. Niespodziewanie pojawił się nowy problem. Zasuwa nie miała uchwyty. Z zewnątrz i od wewnątrz do jej zamykania i otwierania niezbędny był klucz. Był uwięziony!

Spanikowany, wrócił do łazienki. Był w potrzasku, jak te biedne zwierzęta na zapleczu laboratorium. Pozostała mu już tylko nadzieja, że mężczyzna opuści laboratorium, nie zaglądając do łazienki. Nie miało się jednak tak stać. Po kilku dręczących minutach drzwi do łazienki gwałtownie się otworzyły. Mężczyzna, już bez kaptura, wchodząc, wpadł na Jacka. Obaj głośno stęknęli.

Jack zamierzał powiedzieć coś inteligentnego, ale mężczyzna wycofał się i trzasnął drzwiami tak mocno, że na podłogę spadła zasłonka od prysznica razem z podtrzymującą ją

żerdzią.

Jack nie zwlekając, doskoczył do drzwi, złapał za klamkę i naparł na nie. Obawiał się zamknięcia na klucz. Drzwi jednak otworzyły się bez oporu. Wypadł z łazienki, ledwo utrzymując równowagę. Kiedy stanął pewnie na nogach i rozejrzał się po laboratorium, stwierdził, że mężczyzna zniknął.

Skierował się do kuchni i otwartego okna. Nie miał innego wyboru. Zdażył wyjść z salonu, gdy okazało się, że mężczyzna pobiegł w tę samą stronę, żeby wyjąć z szuflady stolika wielki rewolwer. Gdy Jack się pojawił, mężczyzna wycelował broń i rozkazał Jackowi zatrzymać się.

Bez zwłoki zastosował się do żądania. Nawet podniósł ręce do góry. Widząc wycelowany w siebie tak wielki rewolwer, chciał wyglądać na chętnego do współpracy.

- Co tu robisz, do diabła? - sapnął mężczyzna. Na czoło opadły mu włosy i musiał odrzucić je do tyłu, by lepiej widzieć.

Ten gest pozwolił Jackowi bezbłędnie rozpoznać mężczyznę. To był Richard, szef techników laboratoryjnych z Manhattan General.

- Odpowiadaj! - warknął Richard.

Jack uniósł wyżej ręce, mając nadzieję, że tym gestem zadowoli Richarda na jakiś czas. Desperacko zaczął szukać powodu, który usprawiedliwiałby jego obecność w tym miejscu. Niestety nic nie przychodziło mu do głowy. W tych okolicznościach w ogóle nie potrafił wymyślić żadnej sensownej odpowiedzi.

Nie spuszczał oczu z lufy, która znalazła się jakiś metr od jego nosa. Zauważył, że jej koniec drży, co oznaczać mogło, iż Richard jest zły, ale i bardzo zdenerwowany. Według Jacka taka kombinacja mogła okazać się niezwykle niebezpieczna.

- Zastrzelę cię, jeśli zaraz nie odpowiesz - syknął Richard.

- Jestem patologiem z zakładu medycyny sądowej. Prowadzę dochodzenie -

odpowiedział Jack.

- Gówno! - wrzasnął Richard. - Patolodzy z sądówki nie włamują się do prywatnych mieszkań.

- Nie włamałem się. Okno było otwarte.

- Zamknij się! To to samo. Włamujesz się i wścibiasz nos w cudze sprawy.

- Przepraszam, ale może moglibyśmy o tym porozmawiać?

- Czy to ty przysłałeś tę fałszywą paczkę?

- Jaką paczkę? - zapytał niewinnie Jack.

Richard zmierzył Jacka wzrokiem.

- Masz nawet na sobie strój fałszywego doręczyciela. Sprawileś sobie wiele zachodu.

- O czym ty mówisz? Zawsze się tak ubieram, kiedy nie pracuję. - Jack brnął dalej.

- Gówno! - powtórzył Richard. Lufą wskazał jeden z tapczanów. - Siadaj!

- Już dobrze - spokojnie powiedział Jack. - Pytaj, tylko mógłbyś być nieco miłszy. -

Pierwszy szok minął i zaczęła wracać mu wyobraźnia i spryt. Usiadł na wskazanym miejscu.

Richard tymczasem wycofał się w stronę witryny z bronią, nie spuszczać z Jacka

oczu ani na ułamek sekundy. Wyjął z kieszeni klucze i nie patrząc, co robi, starał się otworzyć witrynę.

- Może mógłbym ci pomóc? - zapytał Jack.

- Zamknij się! - wrzasnął znowu Richard. Ręka z kluczem trzęsła się.

Wreszcie udało mu się otworzyć oszklone drzwi, sięgnął do środka i wyjął parę kajdanek.

- To niezwykle poręczne mieć taki drobiazg pod ręką - zauważył Jack.

Z kajdankami w dłoni i lufą rewolweru wycelowaną w twarz Jacka, Richard zbliżył

się do swojej ofiary.

- Coś ci powiem - zaczął Jack. - Może zadzwonimy na policję. Przyznam się i zamknę mnie. Będziesz miał mnie z głowy.

- Zamknij się! - rozkazał Richard. Gestem nakazał mu wstać.

Jack znowu bez zmrużenia oka zastosował się do żądania. Wstał i podniósł ręce.

- Ruszaj! - nakazał Richard, wskazując na środek laboratorium.

Jack wycofywał się tyłem. Bał się spuścić wzrok z broni. Richard nadal szedł w jego kierunku z kajdankami w lewej ręce.

- Do kolumny!

Jack podszedł do jednej z licznych kolumn podtrzymujących konstrukcję budynku i oparł się o nią.

- Twarzą! - polecił Richard. Jack posłusznie odwrócił się.

- Obejmij ją rękami i spleć palce!

Kiedy zrobił, co mu kazano, poczuł zaciskające się na nadgarstkach bransoletki kajdanek. Został przykuty do kolumny.

- Czy pozwolisz, że usiądę? - zapytał.

Nie uzyskał odpowiedzi. Richard zniknął w części mieszkalnej. Jack usiadł więc spokojnie na podłodze. Najwygodniej było siedzieć, obejmując kolumnę nogami tak jak rękoma.

Słyszał, że Richard dzwoni do kogoś. Kiedy usłyszał rozmowę, pomyślał, czy nie krzyknąć o pomoc, ale natychmiast uznał pomysł za chybiony. Richard mógłby się bardziej jeszcze zdenerwować, a poza tym ktoś, do kogo dzwonił, niewiele by dbał o wołania Jacka.

- Jest tutaj Jack Stapleton - zaczął Richard bez wstępów. - Złapałem go w mojej cholernej łazience. Dowiedział się o laboratorium Frazera i weszyl tu. Wiem, co mówię. Tak

jak Beth Holderness w laboratorium.

Jack dostał gęziej skórki, gdy usłyszał o Beth.

- Nie mów mi, żebym się uspokoił! To wyjątkowa sytuacja! Nie powinienem się był mieszać do tego wszystkiego. Lepiej szybko przyjeżdżaj. To tak samo twój problem, jak i mój - krzyczał Richard.

Z trzaskiem odłożył słuchawkę. Jack uznał, że jest nawet bardziej pobudzony niż przed rozmową. Kilka minut później Richard znowu pojawił się w laboratorium. Tym razem bez broni.

Podszedł do Jacka i spojrzał na niego z góry. Wargi mu drgały.

- Jak się dowiedziałeś o laboratorium Frazera? Wiem, że to ty wysłałeś te śmieci, więc nie ma co kłamać.

Jack spojrzał w twarz mężczyzny. Źrenice miał mocno rozszerzone. Wyglądał, jakby tracił nad sobą kontrolę. Bez ostrzeżenia uderzył Jacka otwartą dłonią. Z kącika ust spłynęła kropla krwi.

- Lepiej zacznij gadać.

Jack delikatnie językiem pomacał ranę. Wargę zaczęła mu drętwieć. Poczł też słony smak krwi.

- Może powinniśmy poczekać na twojego kolegę? - zaproponował, aby cokolwiek odpowiedzieć. Intuicja podpowiadała mu, że za chwilę spotka się z Martinem Cheveau albo z Kelleyem, albo może z doktor Zimmerman.

Uderzenie musiało zboleć także Richarda, gdyż kilka razy otwierał i zaciskał dłoń, a w końcu zniknął w części mieszkalnej. Z odgłosów, które dobiegały uszu Jacka, wywnioskował, że Richard otworzył lodówkę i wyjął lód, pewnie na okład.

Po następnych kilku minutach Richard wrócił i popatrzył na Jacka. Rękę miał

obwiązaną rącznikiem. Zaczął chodzić w tę i z powrotem, zerkając co chwila na zegarek.

Czas włókł się niemiłosiernie. Jack bardzo chciał zażyć następną tabletkę od bólu

gardła, lecz niestety, nie było to możliwe. Kaszel wzmógł się i Jack czuł się chory.

Najprawdopodobniej miał także gorączkę. Oparł głowę o kolumnę. Poderwał ją, gdy dotarł do

niego odległy, ostry, znany mu już jęk windy. Uzmysłował sobie, że nie słyszał przedtem

domofonu. Oznaczało to, że ten, kto jechał, miał własny klucz.

Richard także usłyszał windę. Podszedł do drzwi, otworzył je i czekał w hallu.

Winda zatrzymała się z charakterystycznym tąpnięciem. Silnik wyłączył się i drzwi z

hałasem poszły w górę.

- Gdzie on jest? - zapytał wyraźnie zagniewany głos. Jack nie patrzył w stronę drzwi,

gdy Richard z gościem weszli do laboratorium. Usłyszał zamykane drzwi i zasuwana blokadę.

- Tam - wskazał Richard jadowitym głosem. - Przykuty do kolumny.

Jack wstrzymał oddech i odwrócił głowę, kiedy usłyszał zbliżające się kroki. Uniósł

wzrok i... ciężko westchnął.

Rozdział 33

Środa, godzina 19.45, 27 marca 1996 roku

- Ty sukinsynu! - rzuciła wściekle Teresa. - Jakie lichy cię podkusiło? Ty i ten twój

upór! Zniszczyłeś wszystko właśnie wtedy, gdy cel został niemal osiągnięty.

Jackowi odjęło mowę. Spoglądał w górę, w jej błękitne oczy, które niedawno miały w

sobie tyle łagodności. Teraz przypominały zimne szafiry. Usta straciły swą zmysłowość.

Pobladłe wargi zacięły się w grymasie złości.

- Tereso! - wrzasnął Richard. - Nie trać czasu na rozmowy z nim. Musimy

doprowadzić do końca to, co zaczęliśmy. A jeśli ktoś wie, że on tu jest?

Teresa spojrzała na Richarda.

- Masz tu te głupie bakterie? - zapytała.

- No pewnie.

- No to się ich pozbądź. Wyrzuć je do sedesu i splucz.

- Ale, Tereso! - zawołał zrozpaczony Richard.

- Żadnego „ale, Tereso”. Pozbądź się ich. Natychmiast!

- Grypy też?

- Przede wszystkim grypy! - warknęła. Przygnębiony Richard poszedł do zamrażarki, otworzył ją i zaczął przeszukiwać jej zawartość.

- I co ja mam teraz z tobą zrobić? - Teresa zapytała samą siebie, patrząc znowu na Jacka.

- Na początek mogłabyś zdjąć te kajdanki - zaproponował Jack. - Potem będziemy mogli pójść na miłą kolację do „Positano”, a ty zawiadomisz swoich przyjaciół, gdzie jesteśmy.

- Zamknij się! Mam dość tych twoich uwag.

Zostawiła go i podeszła do Richarda. Patrzyła, jak trzyma pełną garść zmrożonych próbek.

- Wszystko, od razu! Nie może zostać żaden dowód -ostrzegła.

- Zgoda na współpracę z tobą była najgorszą decyzją w moim życiu - płaczliwym głosem skarżył się Richard. Wziął wszystkie próbki i zniknął w łazience.

- Jak się w to wplątałaś? - zapytał Jack.

Nie odpowiedziała. Przeszła do salonu. Jack usłyszał odgłos spuszczonej wody i ciarki przeszły mu po grzbiecie na myśl o tym, co znajdzie się w miejskich ściekach, w których roiło się od szczurów.

Richard wyszedł z łazienki i także wszedł do salonu. Jack nie mógł ich widzieć, ale

ścianki działowe nie dochodziły do wysokiego stropu, więc dokładnie słyszał każde słowo.

- Musimy się go natychmiast stąd pozbyć - stwierdziła Teresa.

- I co zrobić? - zapytał ponuro Richard. - Wrzucić do East River?

- Nie, sądzę, że po prostu musi zniknąć. Co z farmą rodziców w Catskills?

- Nie pomyślałem o tym. - Głos Richarda zabrzmiał radośniej. - Tak, czemu nie. To dobry pomysł.

- Jak go tam zawieziemy? - zastanawiała się Teresa.

- Podjadę moim explorem.

- Trudno będzie wsadzić go do wozu.

- Mam ketaminę - powiedział Richard.

- Co to jest?

- To środek znieczulający. Stosuje się go w weterynarii. Czasami także u ludzi, ale wywołuje halucynacje.

- Nie dbam o jego halucynacje. Ważne, czy go to uspokoi, czy nie. Najlepiej byłoby go całkowicie uśpić.

- Mam tylko ketaminę. To jedyny środek, jaki mogłem kupować bez recepty. Stosowałem go u zwierząt.

- Nie chcę o tym słuchać. Można go tym odurzyć jak narkotykiem?

- Nie jestem pewien. Spróbuję.

- Jak mu to podasz?

- Zastrzyk. Ale ketamina ma krótkotrwałe działanie, więc będziemy musieli kilka razy powtórzyć dawkę.

- Zobaczmy, jak to działa - zdecydowała Teresa.

Kiedy zjawili się oboje, Jack poczuł, jak spływa po nim pot. Nie wiedział jedynie, czy

to z gorączki, czy ze strachu wywołanego podsłuchaną rozmową. Nie podobała mu się rola królika doświadczalnego. Richard podszedł do szafki i wyjął kilka strzykawk. Z innej półki zdjął lek - biały proszek w szklanej butelce zamkniętej gumowym korkiem. Zatrzymał się, aby odmierzyć odpowiednią dawkę.

- Jak sądzisz, ile on waży? - zapytał Teresę, jakby rozmawiali o bezrozumnym zwierzęciu.

- Jakieś osiemdziesiąt dwa kilogramy, powiedzmy plus minus dwa - uznała Teresa.

Richard dokonał w pamięci przeliczenia i napełnił jedną ze strzykawk.

Gdy zbliżył się do Jacka, ten czuł, że powinien walczyć, krzyczeć, ale nie miał siły.

Poczuł ukłucie w prawe ramię. Skrzywił się z bólu. Miejsce wstrzyknięcia wściekle piekło.

- Zobaczymy, co to da - powiedział Richard. Odsunął się od Jacka i zniszczył zużytą strzykawkę. - Pójdę teraz po samochód.

Teresa skinęła głową. Richard sięgnął po swoją kurtkę i włożył ją. Przy drzwiach odwrócił się i zawołał, że będzie za dziesięć minut.

- A więc to operacja rodzeństwa - zauważył Jack, kiedy zostali sami.

- Nie przypominaj mi - odpowiedziała, potrząsając głową. Zaczęła chodzić nerwowo jak wcześniej Richard.

Pierwszym efektem działania ketaminy było dzwonienie w uszach. Potem obraz

Teresy zaczął się dziwnie zmieniać. Jack mrugnął oczami i potrząsnął głową. Czuł, że opadła na niego ciężka chmura, a on wyszedł z siebie i z boku przyglądał się zdarzeniom. Nagle

dostrzegł Teresę na końcu długiego tunelu. Niespodziewanie jej twarz urosła do niewyobrażalnych rozmiarów. Mówiła, lecz dźwięki przechodziły w nie kończące się echo.

Słowa stawały się niezrozumiałe.

Świadomość wróciła, gdy poczuł, że idzie. Ale to był dziwny, nie skoordynowany

chód. Nie miał pojęcia, gdzie znajdują się poszczególne części jego ciała. Spojrzał w dół i na skraju pola widzenia dostrzegł stopy wylaniające się z mroku, a następnie stawiane na ziemi. Gdy starał się zobaczyć, dokąd idzie, zdołał dojrzeć jedynie fragmenty kolorowych kształtów i linii pływających w powietrzu.

Poczuł lekkie mdłości. Wstrząsnął się i przeszło. Zamrugał oczami i kolorowe kształty zlały się w jeden obiekt. W polu widzenia pojawiła się ręka, która dotknęła obiektu. Zdał sobie sprawę, że to jego ręka dotyka samochodu.

Inne elementy najbliższego otoczenia zaczęły również przybierać rzeczywiste kształty. Widział światła i dom. Zorientował się, że po obu stronach są ludzie. Podtrzymują go. Rozmawiali, lecz ich głosy miały głęboki, metaliczny dźwięk, jakby płynęły z syntetyzatorów.

Poczuł, że upada, ale nie potrafił się zatrzymać. Miał wrażenie, że minęło kilka minut, zanim zetknął się z twardym podłożem. Teraz widział wyłącznie ciemne kształty. Leżał na dywanie. Coś wrzytało mu się w brzuch. Starał się poruszyć. Coś wstrzymywało mu rękę. Czas mijał. Nie miał pojęcia, ile to trwało. Mogły to być minuty lub godziny. W końcu odzyskał zdolność orientacji, halucynacje minęły. Zrozumiał, że leży na podłodze jadącego samochodu, a ręce przykute ma do umocowania przedniego fotela. Prawdopodobnie jechali do Catskills.

Aby ulżyć uciskanemu brzuchowi, podkurczył nieco nogi, chcąc przykucnąć. Daleko było do ideału, ale poczuł się nieco lepiej. Złe samopoczucie brało się jednak nie tylko z niewygodnej pozycji. Objawy grypy stawały się coraz bardziej nie do zniesienia. Na to wszystko nałożyło się działanie ketaminy. Nigdy w życiu nie czuł się tak fatalnie.

Podejrzane szmery zwróciły uwagę Teresy. Odwróciła się.

- Dobry Boże! - zawołała.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał Jack. Miał ochrypły głos, a wysiłek wywołał gwałtowny atak kaszlu. Miał katar, ale z rękoma skutymi kajdankami nic nie mógł na to poradzić.

- Siedź cicho, albo zadusisz się na śmierć - poradził Richard.

Teresa odwróciła się do brata.

- Czy ten kaszel i katar to reakcja po zastrzyku?

- Skąd mam wiedzieć? Nigdy przedtem nie podawałem ketaminy człowiekowi.

- Nietrudno się domyślić, że i takie miałeś pomysły. W końcu dręczyłeś te biedne zwierzęta.

- Obrażasz mnie - odpowiedział tamten, wyraźnie dotknięty. - Doskonale wiesz, że traktowałem zwierzęta jak przyjaciół. Dlatego najpierw podawałem im ketaminę.

Jack wyczuł, że niepokój wywołany jego obecnością powoli zmieniał się u nich w złość. Wywnioskował to ze sposobu, w jaki się do siebie odnosili.

Po krótkim milczeniu odezwał się Richard.

- Doskonale wiesz, że cała historia była twoim pomysłem.

- O nie! - zaprzeczyła gwałtownie. - Nie kazałam ci wyrywać się z tym. Nie moja wina, że mnie źle zrozumiałeś. To ty wymyśliłeś, że można AmeriCare wpędzić w kłopoty przez choroby szpitalne. To by mi nigdy nawet przez myśl nie przeszło.

- Zasugerowałem to dopiero po tym, jak gorzko narzekałaś, że AmeriCare wypycha z rynku National Health pomimo tej twojej idiotycznej kampanii reklamowej. Błagałaś mnie o pomoc.

- Chciałam pomysłów. Czegoś, co by się dało wykorzystać w reklamie.

- Jasne. Do diabła z tobą! Nie chodzi się do warzywniaka po młotek i gwoździe. Nie mam pojęcia o reklamach. Wiedziałaś, że moja specjalność to mikrobiologia. Rozumiałaś, co sugerowałem. Liczyłaś, że to pomoże.

- Nigdy o tym nie myślałam - zaprzeczła. - Poza tym sugerowałeś jedynie wywarcie nacisku przez sprowokowanie jakiejś dokuczliwej infekcji. Myślałam o przeziębieniu, biegunce, grypie.

- Wywołałam grypę.

- Tak, wywołałeś grypę. Ale czy to jest normalna grypa? Nie, to musiała być jakaś wściekła odmiana, która postawiła wszystkich na nogi, łącznie z panem doktorem-detektywem. Myślałam, że to będzie jakaś normalna choroba, a nie dżuma, na miłość boską. Albo te inne. Nawet nie pamiętam, jak się nazywały.

- Kiedy prasa wzięła ich na widelec i wskaźniki popularności na rynku odwróciły się, nie narzekałaś. Wręcz przeciwnie, byłaś cała w skowronkach.

- Byłam przerażona. I bałam się. Tylko nic nie mówiłam.

- Gadasz bzdury! - wrzasnął Richard. - Dzień po sprawie z dżumą rozmawiałem z tobą. Nawet nie pisnęłaś. Kiedy przyjąłem na siebie to zadanie, musiałem nawet walczyć z własnym sumieniem.

- Bałam się coś powiedzieć. Nie chciałam mieć z tym nic wspólnego. To było okrutne, ale pomyślałam, że tak widocznie musiało się stać. Nie wiedziałam, że planujesz dalsze wypadki.

- Nie wierzę własnym uszom - powiedział Richard.

Jack wyczuł, że samochód zwolnił. Uniósł głowę tak wysoko, jak tylko pozwoliły mu ręce przykute do podstawy fotela. Nikłe światło lampy oświetliło wnętrze auta. Przez dłuższą chwilę jechali w ciemności.

Nagle pojawiło się mnóstwo światła i samochód zatrzymał się pod jakimś dachem.

Kiedy Jack usłyszał, że okno od strony kierowcy otwiera się, zrozumiał, że znaleźli się przy wjeździe na płatną drogę. Zaczął wołać o pomoc, lecz głos miał słaby i cichy.

Richard zareagował błyskawicznie, odwracając się i uderzając go jakimś twardym narzędziem. Trafił w głowę. Jack upadł na podłogę.

- Nie bij za mocno - upomniała brata Teresa. - Zaplamisz samochód krwią.

- Uznałem, że ważniejsze jest zamknąć mu pysk - odpowiedział i wsunął kilka monet do automatu przy szlabanie.

Teraz głowa bolała Jacka jeszcze mocniej. Zamknął oczy. Próbował znaleźć wygodniejszą pozycję, chociaż nie miał dużego wyboru. Los się nad nim w końcu zlitował. Zapadł w niespokojną drzemkę, rzucany z boku na bok. Po przejechaniu bramki wjechali na wijącą się szosę.

Obudził się na kolejnym postoju. Ostrożnie uniósł głowę. Znowu na zewnątrz paliły się lampy.

- Nawet o tym nie myśl - upomniał go Richard. W ręku trzymał rewolwer.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał słabym, drżącym głosem.

- Przed sklepem. Teresa chciała kupić parę rzeczy.

Po chwili wróciła z torbą pełną jedzenia.

- Rusza się? - zapytała.

- Tak, obudził się.

- Próbował krzyczeć?

- Nie. Nie odważył się drugi raz.

Jechali przez następną godzinę. Teresa z Richardem dalej starali się zrzucić całą winę jedno na drugie. Żadne z nich nie chciało ustąpić.

W pewnej chwili zjechali w boczną drogę i jechali nią, telepiąc się na głębokich koleinach. Jack znowu skrzywił się z bólu, gdy jego ciało zaczęło bezwładnie podskakiwać. Gwałtownie skręcili w lewo i zatrzymali się. Richard wyłączył silniki i oboje wysiedli.

Jack został w wozie sam. Unosząc głowę jak najwyżej, zdołał dojrzeć skrawek nocnego nieba. Było bardzo ciemne. Podkurczył nogi, ukląkł i spróbował wyrwać kajdanki spod fotela. Nie dał rady. Zahaczone były o część stalowej konstrukcji.

Położył się na podłodze i zrezygnowany postanowił czekać. Minęło pół godziny, zanim przyszli po niego. Otworzyli dwoje drzwi po stronie pasażera.

Teresa zdjęła mu z jednej ręki bransoletkę kajdanek.

- Z wozu! - zakomenderował Richard. Rewolwer trzymał wycelowany w głowę Jacka.

Zrobił, co mu kazano. Teresa szybko podeszła i ponownie skuliła obie ręce Jacka.

- Do domu!

Jack ruszył przed siebie na chwiejnych nogach. Szedł przez mokrą trawę. Było znacznie zimniej niż w mieście, z ust unosiły się obłoki pary. Przed nim w ciemności zamajaczył biały, wiejski dom. Światła z okien oświetlały ganek. Dostrzegł ulatujący z komina dym i kilka iskier.

Gdy dotarli na ganek, Jack rozejrzał się. Po lewej stronie zauważył ciemny zarys szopy. Dalej rozciągało się pole. Jeszcze dalej majaczyły wierzchołki gór. Nie dostrzegł żadnych świateł. Miejsce było samotnią ukrytą z dala od ludzkich osiedli.

- Dalej! - ponaglił Richard, szturchając Jacka lufą rewolweru w żebra. - Do środka!

Wnętrze urządzone było wygodnie w stylu angielskiego domku letniskowego. Po obu stronach kominka zbudowanego z polnych kamieni stały kanapy. Większą część podłogi pokrywał dywan w orientalne wzory. W kominku płonął wesoło ogień.

Przez wykończone łukiem przejście wchodziło się do kuchni. Stał w niej duży, okrągły stół i drewniane krzesła z drabinkowym oparciem. Za stołem zainstalowano prymitywny piec kuchenny. Pod drugą ścianą znajdował się przymocowany do niej stylowy żeliwny zlewozmywak.

Richard popchnął Jacka do kuchni i wskazał mu chodnik pod zlewozmywakiem. Jack domyślił się, że zostanie przykuty do rury wodociągowej. Poprosił o możliwość skorzystania z toalety.

Prośba doprowadziła do kolejnej sprzeczki między rodzeństwem. Teresa chciała, żeby Richard poszedł z Jackiem do łazienki, lecz ten stanowczo odmówił. Odparł, że sama może to zrobić. Upierała się jednak, że to jego zadanie. W końcu ustalili, że Jack może iść sam do łazienki, w której okno jest małe, więc nie zdoła się przez nie przecisnąć.

Gdy pozostał sam, wyjął tabletkę rymantadyny i zażył ją. Miał przeczucie, że lek jednak nie powstrzymał rozwoju infekcji, chociaż na pewno spowolnił jej rozwój. Bez wątplenia, gdyby nie brał rymantadyny, jego stan byłby znacznie gorszy.

Kiedy wyszedł z łazienki, Richard zabrał go z powrotem do kuchni i tam, jak Jack wcześniej przewidział, przykuł do rury wodociągowej. Teresa i Richard usiedli przed kominkiem na kanapie, Jack tymczasem dokładnie przyjrzał się rurze, przy której został uwięziony. Szukał sposobu ucieczki. Niestety nie była to nowoczesna rura z PCV, lecz stara, żeliwna. Spróbował pociągnąć, ale nawet nie drgnęła.

Rezygnując na moment z wysiłków, postanowił znaleźć sobie najwygodniejszą pozycję. Położył się na plecach na chodniku. Słuchał ciągnącej się jeszcze przez chwilę kłótni między Teresą a Richardem o odpowiedzialność za katastrofę, do której doszło. Powoli ich argumenty stawały się bardziej racjonalne. Wiedzieli, że muszą podjąć jakąś decyzję.

Leżał płasko na plecach, więc wydzielina z nosa zaczęła spływać do gardła. Kichnął kilka razy, co wywołało atak kaszlu. Kiedy wreszcie atak ustąpił, zorientował się, że patrzy w twarz Teresy.

- Musimy wiedzieć, w jaki sposób dowiedziałeś się o laboratorium Frazera? -

powiedział Richard, kolejny już raz przykładając lufę rewolweru do głowy Jacka.

Jack bał się, że jeśli wyda się, iż jest jedyną osobą, która zna prawdę, bez zmruczenia oka zabiją go.

- To było proste - odparł.

- Opowiedz - poprosiła Teresa.

- Po prostu zadzwoniłem do National Biologicals i spytałem, czy ktoś ostatnio zamawiał bakterie dżumy, a oni powiedzieli, że laboratorium Frazera.

Teresa zareagowała, jakby dostała w twarz. Wściekła odwróciła się do Richarda.

- Tylko mi nie mów, że zamawiałeś towar. Myślałam, że masz to wszystko w swojej kolekcji?

- Dżumy nie miałem. Sądziłem, że dżuma narobi najwięcej hałasu w mediach. Zresztą co to za różnica? I tak nie dojdą, skąd pochodzą bakterie.

- Tu także się mylisz - oznajmił Jack. - National Biologicals znakuje swoje kultury bakterii. Odkryliśmy to w zakładzie już dawno.

- Ty idioto! Ślady za tobą ciągną się aż do drzwi mieszkania! - krzyknęła Teresa.

- Nie wiedziałem, że oznaczają swoje bakterie - odpowiedział potulnie Richard.

- O Boże! - jęknęła Teresa, spoglądając bezsilnie w sufit. - To znaczy, że wszyscy w jego zakładzie wiedzą o sztucznym zakażeniu dżumą.

- Co teraz zrobić? - zapytał nerwowo Richard.

- Poczekaj chwilę - powiedziała Teresa. Spojrzała na Jacka. - Nie jestem pewna, czy mówi prawdę. Nie bardzo mi to pasuje do tego, co mówiła Colleen. Zaraz do niej zadzwonię.

Rozmowa Teresy z Colleen była krótka. Teresa powiedziała swojej podwładnej, że martwi się o Jacka, i poprosiła ją, aby porozmawiała z Chetem i wypytała go, jak rozwinęła się sprawa z teorią o celowych zakażeniach. Chciała wiedzieć, czy ktokolwiek jeszcze podpisuje się pod nią. Poinformowała Colleen, że choć sama jest w tej chwili nieuchwytna,

zadzwoń za piętnaście minut, by dowiedzieć się, co ustaliła.

W czasie oczekiwania przeważnie milczeli. Teresa jedynie zapytała Richarda, czy na pewno zniszczył wszystkie bakterie. Brat zapewnił ją, że wszystko spuścił z wodą.

Po kwadransie raz jeszcze połączyła się z Colleen. Na koniec krótkiej rozmowy

Teresa podziękowała i odwiesiła słuchawkę.

- To pierwsza dobra wiadomość dzisiejszego wieczoru. Nikt w Zakładzie Medycyny Sądowej nie daje złamanego centa za teorię Jacka. Chet powiedział Colleen, że wszyscy kładą to na karb nienawiści Jacka do AmeriCare.

- Więc może nikt inny nie wie o laboratorium i oznaczonych bakteriach - doszedł do wniosku Richard.

- No właśnie. A to dramatycznie zmienia sytuację. Teraz musimy jedynie pozbyć się Jacka.

- A jak to zrobimy?

- Po pierwsze weźmiesz łopatę, wyjdiesz i wykopiesz dół. Najlepiej za stodołą, pod jeżynami.

- Teraz?

- Przecież nie możemy z tym czekać w nieskończoność, ty idioto.

- Ziemia jest pewnie zmarznięta. To jakbym miał kopać w granicie - narzekał Richard.

- Trzeba było pomyśleć wcześniej, kiedy warzyłeś to całe piwo. Wynoś się stąd i zabieraj do roboty. Łopata i kilof powinny być w szopie.

Richard mamrotał coś pod nosem, wkładając kurtkę. Wziął latarnię i wyszedł.

- Tereso, nie sądzisz, że posunęłaś się trochę za daleko? -zapytał Jack.

Wstała z kanapy i weszła do kuchni. Oparła się o kredens i spojrzała na Jacka.

- Nie próbuj wzbudzić we mnie litości. Ostrzegałam cię kilkanaście razy, żebyś

zostawił tę sprawę. Teraz możesz winić wyłącznie siebie.

- Nie wierzę, że kariera zawodowa jest dla ciebie aż tyle warta. Umarli ludzie, a umrze jeszcze więcej, nie tylko ja.

- Nigdy nie chciałam, żeby umierali. To zawdzięczamy memu pustogłowemu bratu.

Kochał się w tych mikrobach od szkoły średniej. Kolekcjonował bakterie jak filatelista znaczki. Podniecały go. Może powinnam była się spodziewać, że kiedyś popełni jakieś szaleństwo, zresztą czy ja wiem. Teraz próbuję jedynie wyciągnąć nas oboje z tego bałaganu.

- Przecież jesteś rozsądna. Doskonale wiesz, że jesteś równie winna jak on.

- Jack, coś ci powiem. W tej chwili zupełnie nie dbam o to, co myślisz.

Wróciła do kominka. Słyszał, że dorzuciła kilka polan do ognia. Złożył głowę na przedramieniu i zamknął oczy. Mizernie się czuł, był chory i przerażony. Skazaniec daremnie oczekujący ulaskawienia.

Kiedy godzinę później otworzyły się drzwi, Jack podskoczył. Znowu się zdrzemnął.

Pojawił się nowy symptom choroby - gdy poruszał gałkami oczu, czuł przejmujący ból.

- Wykopanie dziury okazało się łatwiejsze, niż myślałem - stwierdził Richard. Zrzucił kurtkę. - W ogóle nie była zmarznięta. Kiedyś musiało w tym miejscu być bagno, bo nie natrafiłem na ani jeden kamyk.

- Mam nadzieję, że dół jest dostatecznie głęboki - odezwała się Teresa, odkładając książkę. - Nie chcę więcej żadnych wpadek, jak na przykład wypłukanie ciała przez wiosenne deszcze.

- Absolutnie wystarczy - zapewnił Richard i poszedł do łazienki umyć ręce.

Kiedy wrócił, Teresa włożyła płaszcz.

- Dokąd idziesz?

- Wychodzę. Przejdę się, a ty go w tym czasie zabijesz.

- Zaraz. A czemu ja?

- Jesteś mężczyzną - odpowiedziała ze złośliwym uśmiechem. - To męska robota.

- Do diabła z tym. - Nie zamierzam go zabijać. Nie mógłbym. Nie mogę zastrzelić kogoś skutego kajdankami.

- Nie wierzę ci. Gadasz bez sensu. Nie miałeś skrupułów, gdy wkładałeś śmiertelne bakterie do nawilżaczy, które miały ratować bezbronnych ludzi, chociaż wiedziałeś, że ich mordujesz, a teraz masz wyrzuty sumienia.

- To bakterie zabijały. To była walka między bakterią a systemem immunologicznym człowieka. Ja właściwie nie zabijałem. Oni mieli szansę.

- Zaraz, chwileczkę, uspokój się! - zawołała Teresa, wznosząc oczy w górę. - Dobra, bakterie zabijały nie ty. Teraz też nie ty zabijesz, tylko kula. Może być? Uspokaja to twoje pokręte poczucie odpowiedzialności?

- To co innego. Tego się w ogóle nie da porównać.

- Richard, nie mamy wyboru. Inaczej pójdziesz na resztę życia do więzienia.

Richard z wahaniem spoglądał na leżący na stoliku rewolwer.

- Bierz go! - rozkazała, widząc, że patrzy na broń.

Ruszył, ale zaraz się cofnął.

- No dalej! - nalegała.

Podszedł do stolika i niezdecydowanym ruchem sięgnął po rewolwer. Trzymając za rękojeść, kciukiem odciągnął kurek.

- Dobrze. Teraz idź tam i zrób to.

- Może gdybyśmy zdjęli mu kajdanki, a on zaczął uciekać... - powiedział. Nie dokończył, widząc wpatrzona w siebie płonąca złością oczy siostry.

Bez ostrzeżenia spoliczkowała go. Richard cofnął się pod uderzeniem. Złość w nim

zakupiała.

- Nawet nie myśl o tym, głupku. Nie mamy innego wyjścia. Rozumiesz?

Richard przyłożył dłoń do palącego policzka i spojrzał na nią, jakby spodziewał się zobaczyć krew. Nagła furia uszła z niego jak powietrze z przebitego balonu. Zrozumiał, że Teresa ma rację. Skinął wolno głową.

- Dobra. Zabieraj się do roboty. Będę na zewnątrz. - Skierowała się do drzwi. - Zrób to szybko i nie narób bałaganu - powiedziała jeszcze i wyszła.

W pokoju zapanowała cisza. Richard nie poruszył się. Obrócił tylko rewolwer w dłoni, jakby chciał mu się dokładnie przyjrzeć. W końcu odezwał się Jack:

- Nie wiem, czy słuchałbym jej. Możesz dostać wyrok za zarażonych, jeśli udowodnią, że to ty stałeś za wszystkim, ale zabicie mnie w ten sposób, z zimną krwią, oznacza w Nowym Jorku karę śmierci.

- Zamknij się! - wrzasnął Richard. Wszedł do kuchni, stanął za Jackiem i wycelował.

Minęła pełna minuta, dla Jacka trwała ona wieczność. Wstrzymał oddech. Po chwili wypuścił powietrze i gwałtownie zaczął kaszleć. Nagle zobaczył Richarda odkładającego broń na stół kuchenny. Podbiegł do drzwi, otworzył je i krzyknął w noc:

- Nie mogę tego zrobić!

- Ty cholerny skurwysynu! - odkrzyknęła siostra.

- Czemu sama tego nie zrobisz? - odszczeknął się Richard.

Już chciała odpowiedzieć, ale zamiast tego weszła do domu, podeszła do kuchennego stołu, chwyciła broń i zbliżyła się do Jacka. Trzymając rewolwer oburącz, wycelowała w twarz. Jack patrzył prosto w jej oczy.

Koniec lufy zaczął drżeć. Nagle Teresa zakląła i rzuciła rewolwer z powrotem na stół.

- O, żelazna dama nie jest tak twarda, jak myślała - zakpił Richard.

- Zamknij się! - krzyknęła.

Usiadła na kanapie. Brat usiadł po przeciwnej stronie. Poirytowani spojrzeli na siebie.

- To się zamienia w kiepski żart - stwierdziła.

- Oboje jesteśmy zbyt zdenerwowani - dodał Richard.

- To chyba pierwsze mądre słowa, jakie ci się dziś udało powiedzieć. Jestem wyczerpana. Która godzina?

- Po północy.

- Nic dziwnego. Boli mnie głowa.

- Ja też się źle czuję.

- Prześpijmy się. Załatwimy to rano. Teraz nawet nie potrafię patrzeć prosto przed siebie.

Jack obudził się o czwartej trzydzieści nad ranem. Drżał. Ogień w kominku zgasł i temperatura szybko spadała. Chodnik dawał nieco ciepła i Jackowi udało się nim owinać.

W pokoju panował mrok. Teresa i Richard poszli do osobnych sypialni, nie zostawiając żadnego światła. Jedyne przez okno nad zlewozmywakiem wpadało do kuchni nieco światła. Jack rozpoznawał kształty mebli.

Nie wiedział, co pogarsza jego samopoczucie - strach czy grypa. Przynajmniej nie dokuczał mu teraz kaszel. Rymantadyna być może jednak uchroniła go od pogrypowego zapalenia płuc.

Przez kilka minut pozwolił sobie na luksus nadziei, że nie wszystko stracone. Kłopot w tym, że ta nadzieja była minimalna. Jediną osobą, która wiedziała, że próbki dżumy z National Biologicals odpowiedziały pozytywnie na testy porównawcze, był Ted Lynch, lecz on nie wiedział, co to oznaczało. Agnes by wiedziała, nie było jednak powodu, żeby Ted rozmawiał o tym z Agnes.

Jeżeli nie należało spodziewać się pomocy, pozostało mu spróbować ucieczki.

Odrętwiałymi palcami zbadał rurę, do której był przykuty. Szukał jakiegoś uszkodzenia, nieszczelności. Niczego takiego nie znalazł. Przekładał kajdanki na różne pozycje i zapierając się nogami, próbował ciągnąć. Zrezygnował, gdy bransoletki poprzecinały mu skórę na nadgarstkach. Rura ani drgnęła.

Jeżeli ma uciec, będzie musiał to zrobić, kiedy pozwoli mu rano pójść do toalety. Nie miał pojęcia, jak to zrobić. Całą nadzieję pokładał w tym, że nie będą zbyt czujni.

Przeszedł go dreszcz, gdy zastanowił się, co może przynieść ranek. Dobry nocny wypoczynek może wzmocnić postanowienie Teresy. Fakt, że ani ona, ani Richard nie potrafili go zeszłego wieczoru zastrzelić z zimną krwią, był słabą pociechą. Oboje byli tak egoistyczni, że nie powinien bez końca na tym polegać.

Używając nóg, jeszcze raz udało mu się wślizgnąć pod chodnik. Usadowił się najwygodniej, jak mógł. Gdyby miała się pojawić jakaś okazja do ucieczki, chciał być fizycznie zdolny wykorzystać ją jak najlepiej.

Rozdział 34

Czwartek, godzina 8.15, 28 marca 1996 roku

Góry Catskill, Nowy Jork

Dla Jacka godziny mijały wolno. Nie zdołał zasnąć. Nie znalazł też dość wygodnej pozycji. Kiedy w końcu do kuchni wszedł Richard, z rozczochranymi po nocy włosami, omal się nie ucieszył.

- Muszę do toalety - poprosił.

- Musisz poczekać, aż wstanie Teresa - odparł gospodarz i zajął się rozpalaniem ognia.

Drzwi pokoju Teresy otworzyły się kilka minut później. Ubrana w stary szlafrok, nie wyglądała lepiej niż brat. Zwykła burza loków na jej głowie zamieniła się w miotłę. Nie miała

makijażu i wyglądała o wiele gorzej niż zwykle.

- Ciągle boli mnie głowa i słabo spałam - narzekała.

- Ja też. To ten stres, no i nie zjedliśmy porządnej kolacji.

- A ja nie jestem głodna. Nie potrafię tego pojąć.

- Muszę iść do toalety. Czekam całe godziny - odezwał się Jack.

Teresa zwróciła się do Richarda.

- Weź broń. Otworzę kajdanki.

Podeszła do Jacka, schyliła się i sięgnęła pod zlewozmywak.

- Przykro mi, że się nie wyspałaś. Powinnaś położyć się obok mnie, w kuchni. Byłoby cudownie.

- Nie chcę słyszeć ani słowa więcej - warknęła. - Nie mam nastroju.

Kajdanki szczęknęły i jedna z bransolet otworzyła się. Potarł zbolące nadgarstki i spróbował stanąć na zdrętwiałych nogach. Stracił równowagę. Żeby nie upaść, wsparł się na kuchennym stole. Teresa szybko zatrzasnęła kajdanki na uwolnionej chwilowo ręce. Jack nie był w stanie przeciwstawić się, nawet gdyby zamierzał.

- Okay, maszeruj - powiedział Richard, popędzając Jacka rewolwerem.

- Chwileczkę. - Pokój ciągle pływał mu przed oczyma.

- Nie kombinuj! - upomniała go Teresa. Odsunęła się od niego.

Kiedy tylko mógł, ruszył na ciągle chwiejnych nogach do łazienki. Po pierwsze musiał załatwić sprawy podstawowe. Po drugie zażyć rymantadynę, popić sporą porcją wody.

Dopiero teraz zaryzykował spojrzenie w lustro. To, co zobaczył, zaskoczyło go. Nie był pewny, czy rozpoznałby siebie na ulicy. Wyglądał jak włóczęga. Oczy miał przekrwione i podpuchnięte. Na lewym policzku zobaczył zastygłą krew, która poplamiała również koszulę.

Płynęła zapewne z rany powstałej po uderzeniu. Także usta mu spuchły. To po pierwszym

ciosie Richarda, pomyślał. Obrazu dopełniał nie golony zarost.

- Szybciej tam! - zawołała Teresa.

Odkręcił kran i zaczął myć twarz. Palcem umył zęby. Zaczepnął wody i przygładził zmierzwiłone włosy.

- Czas najwyższy - powiedziała, gdy ukazał się w drzwiach.

Jack stłumił ochotę na złośliwą odpowiedź. Wiedział, że stąpa po linie, nie chciał nadmiernie drażnić tych ludzi. Miał nadzieję, że nie przykują go z powrotem do rury. Niestety tak właśnie się stało.

- Powinniśmy coś zjeść - stwierdził Richard.

- Kupiłam w nocy płatki.

- Świetnie.

Usiedli przy stole, zaledwie metr od Jacka. Teresa jadła mało. Znowu wspomniała, że nie jest głodna. Jackowi nic nie zaproponowali.

- Myślałaś, co zrobimy? - zapytał Richard.

- A może zwrócić się do tych, którzy mieli go zabić w mieście? Co to za jedni?

- To gang z sąsiedztwa.

- Jak się z nimi umawiałeś?

- Zwykle dzwoniłem, ale byłem też w ich siedzibie. Umawiałem się z facetem o przydomku Twin.

- No to go, do cholery, sprowadźmy tu.

- Mógłby przyjechać. Jeżeli forsa będzie odpowiednia.

- Zadzwoń do niego. Ile mu obiecałeś za robotę w mieście?

- Pięćset.

- Jeśli będziesz musiał, zaproponuj tysiąc. Ale powiedz, że to pilna sprawa i że musi

przyjechać jeszcze dzisiaj.

Richard odsunął z hałasem krzesło, wstał i poszedł do pokoju po telefon. Wrócił z nim do kuchni. Chciał, aby Teresa słyszała rozmowę, na wypadek gdyby cena była bardziej wygórowana. Nie wiedział przecież, jak Twin przyjmie propozycję przyjazdu na farmę do Catskills.

Richard wybrał numer. Słuchawkę podniósł Twin. Richard powiedział, że chciałby jeszcze pogadać o załatwieniu doktora.

- Hej, człowieku, to nas już nie interesuje - odparł Twin.

- Wiem, że w przeszłości były z tym pewne kłopoty, ale tym razem to będzie jak splunąć. Mamy go skutego kajdankami i ukrytego poza miastem.

- No to nas nie potrzebujesz - stwierdził Twin.

- Chwileczkę! - zawołał Richard. Czuł, że tamten chce odłożyć słuchawkę. - Nadal potrzebujemy pomocy. Aby wynagrodzić stratę czasu spowodowaną przyjazdem do nas, zapłacimy podwójnie.

- Tysiąc dolców?

- Tyle płacimy - potwierdził Richard.

- Twin, nie przyjeżdżaj, to pułapka! - zawołał Jack.

- Gówno! - warknął Richard. Poprosił Twina, żeby nie odkładał słuchawki.

Podskoczył do Jacka i z furią walnął go w głowę kolbą rewolweru.

Jack mocno zacisnął powieki, aby powstrzymać łzy. Ból głowy był nie do zniesienia.

Znowu poczuł spływającą po głowie stróżkę krwi.

- Czy to ten doktor? - zapytał Twin.

- Tak, on - odpowiedział rozzłoszczony Richard.

- Co to miało znaczyć „pułapka”?

- Nic. Papele od rzeczy. Jest przykuty do rury w kuchni.

- Niech no poukładam te klocki. Płacicie tysiąka za przyjazd do was i załatwienie faceta, którego przykuliście do rury?

- To będzie jak strzelanie do kaczki - zapewnił go Richard.

- Gdzie jesteście?

- Około stu mil na północ od miasta. W Catskills.

Zapadła cisza.

- I co ty na to? To łatwe pieniądze - zachęcał Richard.

- No dobra. Podaj namiary. Ale jeśli się okaże, że to jakiś dowcip, nie będziesz się z niego śmiał.

Richard poinformował Twina, jak dojechać do farmy, i zapewnił, że będą czekać.

Powoli odkładał słuchawkę, spoglądając jednocześnie na Teresę triumfalnym wzrokiem.

- No, dzięki Bogu! - westchnęła z ulgą.

- Zawiadomię szpital, że jestem chory. Powinienem być w pracy - oświadczył

Richard.

Gdy skończył, Teresa zrobiła to samo, dzwoniąc do Colleen. Potem poszła wziąć prysznic. Richard nappełnił kosz drewnem.

Jack usiadł, pokonując ból. Krwawienie w końcu ustało. Perspektywa przyjazdu Black Kings zdawała się dopełnić przeznaczenia. Z gorzkiego doświadczenia wiedział, że gangsterzy zastrzelą go bez żadnych skrępowań. Nie będzie miało dla nich znaczenia, w jakim jest stanie. Na kilka sekund całkowicie stracił kontrolę nad sobą. Jak dziecko w napadzie hysterii zaczął szarpać gwałtownie kajdanki, ale poranił sobie tylko nadgarstki i wyrzucił pudełko z proszkiem do szorowania. Nie było szansy ani na wyłamanie rury, ani na zerwanie kajdanek.

Po ataku załamał się i rozpłakał. To również nie trwało długo. Wytarł twarz w rękaw koszuli i wyprostował się. Wiedział, że musi uciec. Przy następnym wyjściu do łazienki musi czegoś spróbować. To była jego ostatnia szansa, a czasu nie miał zbyt wiele.

Trzy kwadranse później zjawiła się Teresa. Usiadła na kanapie. Na drugiej leżał Richard i przeglądał magazyn „Life” z 1950 roku.

- Nie czuję się najlepiej - narzekała Teresa. - Ten ból głowy mnie zabije. Przeziębiam się czy co?

- Ja też - przyznał Richard, nie odrywając wzroku od czasopisma.

- Muszę znowu do toalety! - zawołał Jack.

- Daj mi spokój - rzuciła Teresa.

Przez kilka minut nikt się nie ruszył ani nie odezwał.

- Oczywiście mogę sobie ulżyć w kuchni - przerwał milczenie Jack.

Teresa westchnęła i wstała z kanapy.

- Dalej, rusz się, dzielny wojowniku - odezwała się kpiąco do brata.

Postąpili jak wcześniej. Teresa otworzyła kajdanki, a Richard celował z rewolweru.

- Czy muszę mieć kajdanki? - zapytał Jack.

- Zdecydowanie.

Po wejściu do łazienki zażył natychmiast kolejną dawkę rymantadyny i popił obficie wodą. Wodę zostawił odkręconą, sam natomiast wszedł na sedes, chwycił za klamkę i zaczął ciągnąć. Spróbował z całej siły i w tej samej chwili otworzyły się drzwi.

- Złaź stamtąd - sapnęła ze złością Teresa.

Jack posłusznie zszedł i skulił się w sobie. Bał się, że Richard znowu uderzy go w głowę. Jednak tamten tylko wszedł do łazienki i przyłożył odbezpieczony rewolwer do czoła Jacka.

- Daj mi tylko powód - syknął Richard.

Zapadło krótkie milczenie. Przerwała je Teresa, nakazując Jackowi powrót do kuchni.

- Nie mogłabyś znaleźć jakiegoś innego miejsca? Znudził mi się widok.

- Nie przeciągaj struny.

Z odbezpieczonym rewolwerem przystawionym do głowy nic nie mógł zrobić. Po

kilku sekundach znowu siedział na podłodze przykuty do rury.

Pół godziny później Teresa postanowiła pojechać do sklepu po aspirynę i zupę.

Zapytała Richarda, czy ma jakieś życzenia. Poprosił o lody. Uznał, że mogą mu pomóc na gardło.

Gdy Teresa wyszła, Jack znowu poprosił o zgodę na pójście do łazienki.

- Tak, pewnie - odparł Richard, nie ruszając się z kanapy.

- Naprawdę. Ostatnim razem nie zdażyłem.

Richard roześmiał się.

- No to masz teraz główniany problem do rozwiązania.

- Daj spokój. To zabierze minutkę.

- Słuchaj. Jeżeli tam przyjdę, to wyłącznie po to, żeby ci strzelić w łeb. Kapujesz?

Zrozumiał aż za dobrze.

Dwadzieścia minut później usłyszał chrzęst opon na zwirowej drodze. Poczuł

gwałtowny przypływ adrenaliny. Czy to Black Kings? Ogarnęła go panika. Bez nadziei wpatrywał się w rurę.

Drzwi otworzyły się. Z ulgą zobaczył wchodzącą do domu Teresę. Rzuciła torbę z

jedzeniem na stół w kuchni, wróciła do pokoju, położyła się na kanapie i zamknęła oczy.

Kazała Richardowi rozpakować zakupy.

Wstał bez entuzjazmu. Włożył część produktów do lodówki, lody do zamrażalnika, a

puszkę z zupą do szafki. Na dnie torby znalazł aspirynę i paczkę krakersów z masłem orzechowym.

- Możesz dać kilka krakersów Jackowi - powiedziała Teresa.

Richard spojrzął na więźnia z góry.

- Chcesz? - zapytał.

Jack skinął głową. Ciągle czuł się chory, ale apetyt mu wrócił. Od poprzedniego popołudnia, kiedy czekał pod lombardem, nie miał nic w ustach. Richard karmił Jacka jak ptasia mama pisklę. Wkładał mu do ust całe ciastka, które Jack łakomie gryzł i połykał. Po zjedzeniu pięciu krakersów poprosił o wodę.

- Za cholere! - podniósł głos Richard. Wściekał się, że ten obowiązek spadł na niego.

- Daj mu! - zawołała z pokoju Teresa.

Richard niechętnie zrobił, o co go proszono. Jack wypił szklanekę wody i podziękował.

Richard kazał mu dziękować Teresie.

- Przynieś mi dwie aspiryny i szklanekę wody - poprosiła Teresa.

Richard stracił cierpliwość.

- A co ja jestem, służący?

- Zrób to, nie gadaj - odpowiedziała również rozdrażniona.

Po kolejnych trzech kwadransach dał się słyszeć samochód.

- Wreszcie! - zawołał Richard, odrzucił czasopismo i zerwał się z kanapy. - Czy oni

jechali przez Filadelfię? - Skierował się do drzwi, a Teresa podniosła się i usiadła.

Zdenerwowany Jack z trudem przełknął ślinę. Czuł, jak puls tętni mu w skroniach.

Zrozumiał, że zostało mu niewiele życia.

Richard podszedł do drzwi.

- Cholera! - zawołał.

Teresa wyprostowała się.

- Co się stało?

- To Henry, pieprzony dozorca! - szepnął ze złością Richard. - Co my teraz zrobimy?

- Zajmij się Jackiem. Ja z nim pogadam. - Wstała i zatoczyła się, czując silny dreszcz.

Zebrała się w sobie i wyszła na zewnątrz.

Richard przykucnął przy Jacku. Uniósł rękę z bronią. Rewolwer trzymał teraz za lufę jak toporek.

- Jedno słowo, a wybiję ci z głowy ochotę do życia.

Jack spojrzał na Richarda i dojrzał w jego oczach determinację. Usłyszał zatrzymujący się przed domem samochód, a później przłumiony głos Teresy.

Jack znalazł się w niezwykle kłopotliwej sytuacji. Mógł krzyknąć, ale nie wiedział, czy zdołałby wydobyć głos, zanim Richard wymierzy mu cios. Z drugiej jednak strony jeśli nie spróbuje, w każdej chwili znajdzie się twarzą w twarz z Black Kings i niechybną śmiercią.

Zdecydował się zaryzykować.

Odchylił głowę do tyłu i zaczął wzywać pomocy. Jak się spodziewał, Richard wymierzył mu cios w czoło. Krzyk został ucięty, zanim przerodził się w jedno choćby słowo.

Ogarnęła go litościwa ciemność.

Przytomność odzyskiwał na raty. Najpierw uświadomił sobie, że nie otwierają mu się oczy. Wysilił się i odemknął prawą powiekę, minutę później lewą. Kiedy wytarł twarz w rękaw, zrozumiał, że zlepiła je zakrzepła krew.

Na czole, na linii włosów wyczuł sporą ranę. Wiedział, że to dobre miejsce do wymierzenia potężnego razu. Ta część czaszki była najmocniejsza.

Zamrugał, by lepiej widzieć. Sprawdził godzinę na zegarku. Było tuż po czwartej.

Potwierdzało to słabe, popołudniowe słońce przysyłające swe promienie przez okno nad

zlewozmywakiem.

Spojrzał w stronę pokoju. Z tego, co mógł dostrzec z kuchni, zauważył, że ogień przygasł, a Teresa i Richard leżeli bez ruchu.

Jack zmienił pozycję i poruszył przy tym butelkę z płynem do czyszczenia szyb.

- Co on tam robi? - zapytał Richard.

- A kogo to obchodzi? - odpowiedziała obojętnie Teresa.

- Już po czwartej - zauważył Richard.

- Gdzie są ci twoi zaprzyjaźnieni gangsterzy? Jadą tu na rowerach?

- Mam zadzwonić i sprawdzić?

- Nie, poczekamy jeszcze z tydzień.

Richard położył na piersiach aparat telefoniczny i wykręcił numer. Kiedy uzyskał połączenie, poprosił o rozmowę z Twinem. Po dłuższej chwili odezwał się szef gangu.

- Dlaczego, psiakrew, jeszcze tam jesteś? Cały dzień tu czekamy.

- Człowieku, nie przyjadę.

- Przecież mówiłeś, że przyjedziesz.

- Nie mogę, człowieku. Nie mogę.

- Nawet za tysiąc dolarów?

- Nawet.

- Ale dlaczego?

- Ponieważ dałem słowo.

- Dałeś słowo? Co to znaczy?

- To, co powiedziałem. Nie rozumiesz po angielsku?

- Przecież to śmieszne.

- Facet, to twoje zdanie i twoje przyjęcie. Sam zajmij się tym gównem.

Richard zorientował się, że rozmowa została przerwana. Trzasnął słuchawką.

- Bezwartościowa szumowina. Nie zrobi tego. Nie do wiary.

Teresa usiadła na tapczanie.

- I tyle z pomysłu. Jesteśmy w punkcie wyjścia.

- Nie patrz tak na mnie. Ja tego nie zrobię. Już ci wyjaśniłem dlaczego. To twoja sprawa, siostrzyczko. Do diabła, wszystko to przynosiło tobie korzyści, nie mnie.

- Przypuśćmy. Ale czy sam nie czerpałeś z tego chorej radości? W końcu mogłeś użyć tych swoich bakterii zbieranych przez całe życie. A teraz nie możesz zrobić takiej prostej rzeczy. Jesteś zwykłym... - zabrakło jej słowa. - Degeneratem! - dopowiedziała po chwili zastanowienia.

- Proszę, proszę, ty za to jesteś krystalicznie czysta. Nic dziwnego, że mąż uciekł od ciebie.

Twarz Teresy zapłonęła. Otworzyła usta, ale nie wydała z siebie ani dźwięku. Nagle sięgnęła po broń.

Richard cofnął się. Wystraszył się, że przesadził, poruszając zakazany temat. Przez moment bał się, że Teresa użyje broni przeciwko niemu. Ona tymczasem ruszyła do kuchni, odbezpieczając po drodze rewolwer. Stała przed Jackiem i wycelowała w jego zakrwawioną twarz.

- Odwróć się! - rozkazała.

Jack czuł, że serce przestaje mu bić. Patrzył na dygoczącą lufę, a potem w zimne jak lód, błękitne oczy Teresy. Był jak sparalizowany, nie mógł się poruszyć.

- Niech cię cholera! - zawołała i nieoczekiwanie wybuchnęła płaczem.

Spuściła kurek rewolweru i odrzuciła broń. Wróciła na kanapę, rzuciła się na nią i szlochała z głową ukrytą w dłoniach.

Richard poczuł się winny. Wiedział, że nie powinien był tego mówić. Strata dziecka, a później męża była tragedią dla Teresy. Podeszedł do niej po cichu, przysiadł obok.

- Nie myślałem tak - odezwał się, gładząc delikatnie siostrę po plecach. - Tak mi się wyrwało. Nie jestem sobą.

Teresa usiadła i wytarła oczy.

- Ja też nie jestem sobą. Nie wiem, skąd te łzy. Jestem kompletnie rozbita. Czuję się okropnie. Nawet gardło mnie boli.

- Chcesz jeszcze aspiryny? Pokręciła głową.

- Jak sądzisz, co Twin miał na myśli, mówiąc, że dał słowo?

- Nie wiem. Dlatego go pytałem.

- Dlaczego nie zaproponowałeś mu więcej pieniędzy?

- Nie dał mi szansy. Odłożył słuchawkę.

- Zadzwoń jeszcze raz. Musimy się stąd wynieść.

- Ile mam zaproponować? Wiesz, że nie mam takiej sumy.

- Ile będzie trzeba. W tej sytuacji pieniądze nie mogą nas ograniczać.

Richard znowu wziął telefon i wykręcił numer. Tym razem, kiedy poprosił o rozmowę z szefem, usłyszał, że Twin wyszedł. Nie wróci co najmniej przez godzinę. Richard odłożył słuchawkę.

- Musimy poczekać.

- To nic nowego - skomentowała Teresa.

Położyła się znowu i przykryła ręcznie dzianym szalem wełnianym. Wstrząsały nią dreszcze.

- Czy tu się ochłodziło, czy to ja się trzęsę?

- Mnie też jest zimno - przyznał Richard. Podeszedł do kominka i dołożył kilka polan.

Przyniósł z sypialni koc i położył się na tapczanie.

- Zaczynam się martwić o coś innego - stwierdził.

- O co? - zapytała Teresa. Oczy miała zamknięte.

- Jack kaszle i pociąga nosem. Jesteś pewna, że nie zetknął się z moimi wirusami, na przykład przez nawilżacz?

Wstał, owinał się w koc i poszedł do kuchni zapytać Jacka. Nie odpowiedział.

- Dalej, doktorku - nalegał Richard. - Nie zmuszaj mnie do bicia.

- A jaka to różnica? - zapytała z pokoju Teresa.

- To wielka różnica. - Istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że mój wirus wywołał w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku światową epidemię. Pobrałem to na Alasce z ciała dwóch zamrożonych Eskimosów, którzy zmarli na zapalenie płuc. Czas śmierci się zgadzał.

Teresa przyszła do kuchni.

- Teraz to już mnie zaczynasz wkurzać. Podejrzewasz, że mógł się tym zarazić i przenieść na nas?

- To możliwe.

- Cudownie! - powiedziała Teresa i spojrzała na Jacka. - No? Zaraziłeś się?

Jack nie był pewien, czy wyjawić, iż naraził się na zetknięcie z chorobą, czy nie. Nie wiedział, co bardziej ich rozżłości - prawda czy milczenie.

- Nie podoba mi się to jego milczenie - oznajmił Richard.

- Jest patologiem sądowym. Musiał być narażony. - Badał zmarłych. Mówił mi o tym - stwierdziła Teresa.

- O to się nie boję. Groźniejsze są kontakty z żywymi, kichającymi, kaszlącymi, zakatarzonymi ludźmi.

- Patolog sądowy nie zajmuje się żywymi. Jego pacjenci to trupy.

- To prawda - przytaknął Richard.

- Jednak Jack wygląda na poważnie chorego. Jest bardzo przeziębiony. Ale czy nie byłby teraz bardziej chory, gdyby zaraził się twoją grypą?

- Masz rację. Nie myślę już trzeźwo. Gdyby zaraził się hiszpanką, już by nie żył.

Rodzeństwo wróciło do pokoju i położyło się.

- Dłużej tego nie zniosę. Fatalnie się czuję - odezwała się Teresa.

O piątej piętnaście, dokładnie godzinę po poprzednim telefonie, Richard znowu zadzwonił do Twina.

- Po jaką cholere znowu do mnie dzwonisz?

- Chcę ci zaproponować więcej pieniędzy. Rzeczywiście, tysiąc to nie była właściwa oferta. Rozumiem. Długa droga i inne kłopoty. Ile chcesz?

- Ty mnie chyba nie rozumiałeś, co? Przecież ci powiedziałem, że nie mogę.

Wszystko. Gra skończona.

- Dwa tysiące. - Richard spojrzał na Teresę. Skinęła.

- Człowieku, czy ty jesteś głuchy? Ile razy...

- Trzy tysiące - przerwał mu Richard, a Teresa skinęła i tym razem.

- Trzy tysiące ziela? - powtórzył Twin.

- Tak jest - potwierdził Richard.

- Wygląda, że nie masz wyjścia.

- Skoro chcemy zapłacić trzy tysiące, to to mówi samo za siebie.

- I mówisz, że doktor jest skuty kajdankami?

- Jak najbardziej. Dla ciebie to jak bułka z masłem.

- Wiesz co, przyślę tam kogoś jutro rano.

- Ale nie zamierzasz nas wystawić tak jak dziś?

- Nie. Gwarantuję, że przyślę kogoś, żeby się zajął robotą.

- Za trzy tysiące. - Richard chciał być pewny, że obaj dobrze się rozumieją.

- Tak, trójka będzie w sam raz.

Richard odłożył słuchawkę i spojrzał na Teresę.

- Wierzysz mu? - zapytała.

- Tym razem zagwarantował. A kiedy on coś gwarantuje, nie rzuca słów na wiatr.

Będą rano. Ufam mu.

Teresa westchnęła.

- Dzięki Bogu choć za to.

Jack nie był tak wdzięczny. Strach wrócił. Postanowił, że w nocy musi znaleźć drogę ucieczki. Ranek stanie się jego apokalipsą.

Popołudnie przechodziło w wieczór. Teresa i Richard zasnęli. Ogień zgasł. Wraz z mrokiem nadszedł chłód. Jack ze wszystkich sił starał się znaleźć sposób ucieczki, ale nie mógł nic zdziałać, dopóki nie uwolni się od rury.

Około siódmej oboje zaczęli kaszleć przez sen. Na początku bardziej przypominało to chrząkanie niż kaszel, lecz wraz z upływem czasu ataki stawały się dłuższe i gwałtowniejsze. Objawy znacząco szybko nasilały się. Zaczął się domyślać, że zagrał rolę nosiciela. Zarazili się od niego, tak jak przypuszczał Richard. Gdyby rzeczywiście był chory, nie mogli się ustrzec zarażenia, choćby w czasie długiej jazdy samochodem. Wtedy objawy wystąpiły ze szczególnym nasileniem. Za każdym kichnięciem czy kasznięciem rozsiewał miliony zarazków w małej przestrzeni samochodu.

Nie mógł jednak być pewny. Równie mocno jak choroby obawiał się porannego spotkania z Black Kings. Miał więc poważniejsze zmartwienia niż samopoczucie swoich oprawców.

Szarpnął bezskutecznie rękoma, jednak wywołał tylko hałas i bardziej obtarł nadgarstki.

- Zamknij się tam! - usłyszał od rozzłoszczonego, przebudzonego rumorem Richarda.

Zapalił lampę na stoliku i wtedy napadł go gwałtowny atak kaszlu.

- Co się stało? - zapytała słabym głosem Teresa.

- To zwierzę się szarpie - odrzekł Richard. - Boże, muszę się napić wody. - Usiadł na tapczanie, odczekał parę sekund i wstał. - Słabo mi. Chyba mam gorączkę.

Chwiejnym krokiem przeszedł do kuchni i nalał wody do szklanki. Kiedy ją napełniał, Jack zastanowił się, czy nie kopnąć go w nogi. Uznał, że mogłoby to tylko doprowadzić do kolejnego ciosu w głowę, i zrezygnował.

- Muszę do łazienki - poprosił.

- Zamknij się.

- Minęło już dużo czasu - upomniał się Jack. - Przecież nie proszę o spacer po podwórku. Ale jeśli nie pójde, zrobi się tu nieprzyjemnie.

Richard pokręcił głową z rezygnacją. Wypił kilka łyków wody i zawołał Teresę, mówiąc, że jej pomoc będzie niezbędna. Wziął rewolwer ze stołu.

Jack usłyszał, jak odbezpieczał broń. Ograniczyło to możliwości działania.

Teresa pojawiła się z kluczem. Jack zauważył, że jej oczy płoną; miała gorączkę.

Schyliła się i otworzyła jedną z bransoletek kajdanek, jak to czyniła wcześniej. Nie powiedziała ani słowa. Cofnęła się, gdy wstawał. I tym razem kuchnia zatańczyła mu przed oczami. Czyżby malował to artysta na odlocie, pomyślał cynicznie. Był słaby z głodu, niedospania, braku płynów. Teresa zamknęła kajdanki.

Richard, z rewolwerem gotowym do strzału, maszerował tuż za Jackiem, który nie mógł na to nic poradzić. Kiedy wszedł do łazienki, spróbował zamknąć za sobą drzwi.

- Przykro mi, lecz straciłeś ten przywilej - powiedziała Teresa, wsuwając stopę między drzwi a futrynę.

Jack spojrział na jedno, potem na drugie. Nie było sensu się spierać. Wszedł do łazienki, odwrócił się i ulżył swym cierpieniom. Gdy skończył, stanął przy umywalce.

- Chyba mogę przemyć twarz?

- Jeśli musisz - odpowiedziała Teresa. Nagle i ją opanował atak kaszlu. Nie było wątpliwości, że stan jej gardła także się pogarsza.

Stojąc przy umywalce, znalazł się poza zasięgiem wzroku Teresy. Po puszczeniu wody błyskawicznie wyjął lekarstwo i zażył kolejną tabletkę rymantadyny. W pośpiechu omal nie wypadła mu z ręki fiołka, zdołał ją jednak w porę złapać i schować do kieszeni. Spojrział w lustro i cofnął się. Wyglądał znacznie gorzej niż rano. Zawdzięczał to między innymi zranionemu czołu. Rana była potężna i jeżeli nie miała zostawić po sobie blizny, powinny zostać założone szwy. Zaśmiał się w myślach. Też sobie wybrał chwilę, by myśleć o własnej urodzie.

Podróż do miejsca chwilowego internowania przeszła bez incydentów. Kilka razy miał już coś zrobić, ale za każdym razem odwaga go opuszczała. Rozczarowany swoją postawą i podłamany, został znowu przykuty do rury. Miał nieprzyjemne przeczucie, że zaprzepaścił ostatnią nadzieję na wymknięcie się z pułapki.

- Chcesz zupy? - Teresa zapytała Richarda.

- Nie jestem głodny. Potrzebna mi tylko aspiryna. Czuję się, jakby przejechała po mnie ciężarówka.

- Też nie jestem głodna - przyznała Teresa. - Tu jest bardziej niż zimno. Jestem pewna, że mam gorączkę. Sądzisz, że powinniśmy się tym martwić?

- Oczywiście zaraziliśmy się od Jacka. Podejrzewam, że on jest bardziej odporny. W

każdym razie myślę, że jutro po wizycie Twina będziemy musieli pojechać do lekarza. Kto zresztą wie, może wystarczy nam mocny sen.

- Zażyję dwie aspiryny - stwierdziła Teresa.

Po zażyciu proszków wrócili do pokoju. Richard spędził kilka minut na rozpalaniu ognia w kominku. Teresa ułożyła się wygodnie na kanapie. Wkrótce zrobił to samo Richard.

Oboje wydawali się wyczerpani.

Jack nie miał wątpliwości, że oboje zarazili się śmiertelną grypą. Nie wiedział, co w tej sytuacji nakazywała mu etyka lekarska. Problem polegał na tym, że miał rymantadynę, która z pewnością mogłaby powstrzymać rozwój choroby. Dręczyły go wątpliwości, czy powinien powiedzieć o swojej chorobie i kazać im zażyć lek, który uratowałby pewnie ich życie, mimo że oni zdecydowali się go zabić i byli odpowiedzialni za śmierć wielu innych niewinnych ofiar. Czy mając to w pamięci, był im winny współczucie? Czy przysięga lekarska winna wziąć górę?

Walka dobra ze złem okazała się niezwykle trudna. A jeżeli podzieli się z nimi rymantadyną, a oni mu ją zabiorą? W końcu nie dbali o to, jak on umrze, jeśli tylko sami nie będą musieli zabijać.

Westchnął. Nie potrafił podjąć decyzji. Ale niepodjęcie decyzji było również decyzją. Jack zrozumiał, że stanął na rozwidleniu dróg.

Przed dziewiątą wieczorem oddechy Teresy i Richarda stały się ciężkie, rwane atakami kaszlu. Teresa była w gorszej kondycji niż Richard. O dziesiątej kaszel ją obudził.

Jęknęła. Mamrotała pod nosem, wołała brata.

- Co się stało? - zapytał sennie Richard.

- Czuję się jeszcze gorzej. Potrzebuję wody i aspiryny.

Richard, słaby i zaspany, wstał i poszedł do kuchni. Kopnął Jacka, aby usunął mu się z

drogi. Nie potrzebując więcej zachęty, Jack przesunął się w bok na tyle, na ile pozwoliły mu kajdanki i rura. Richard napełnił szklankę i poczłapał z powrotem do pokoju.

Teresa uniosła się, aby połknąć tabletkę i popić wodą, a Richard pomagał jej, podtrzymując szklankę. Kiedy wypiała, odepchnęła naczynie i wytarła usta. Jej ręka drżała.

- Nie sądzisz, że powinniśmy pojechać do miasta? Fatalnie się czuję - zapytała brata.

- Musimy poczekać na Twina. Zresztą jestem w takim stanie, że nie mógłbym prowadzić.

- Masz rację - odpowiedziała i opadła na plecy. - Ja też nie byłabym w stanie sięść za kierownicą. Ten kaszel. Trudno złapać oddech.

- Postaraj się zasnąć. Zostawię tu resztę wody. - Postawił szklankę na podłodze.

- Dziękuję.

Wrócił na swoją kanapę. Owinął się szczelnie kocem i głośno westchnął.

Czas uciekał, a oddechy Teresy i Richarda z każdą chwilą stawały się coraz płytsze, coraz bardziej rwane. O dziesiątej trzydzieści Jack słyszał, że Teresa oddycha już tylko siłą woli. Nawet z oddali doskonale widział, że jej usta pociemniały. Zdumiał się, że śpi. Aspiryna bez wątpienia zabiła gorączkę.

Pomimo wątpliwości zdecydował się w końcu coś powiedzieć. Zawołał do Richarda, że Teresa wygląda fatalnie i źle oddycha.

- Zamknij się! - mruknął tamten pomiędzy napadami kaszlu.

Zamilkł. Po półgodzinie zdawało mu się, że usłyszał słabe odgłosy jakby zachłyśnięć, zakończone rżeniem. Jeżeli się nie mylił, oznaczało to, że Teresa wpadła w ostrą niewydolność oddechową.

- Richard! - zawołał pomimo wcześniejszych ostrzeżeń.

- Z Teresą jest bardzo źle!

Nie było odpowiedzi.

- Richard! - krzyknął głośniejsze.

- Czego? - usłyszał słaby głos.

- Zdaje się, że twoja siostra powinna się znaleźć na intensywnej terapii.

Znowu bez odpowiedzi.

- Ostrzegam cię. Jestem w końcu lekarzem i wiem, co mówię. Jeśli nie zrobisz czegoś, to popełnisz być może ostatni błąd w życiu.

Jack poruszył jakąś wrażliwą strunę, bo Richard zwał się z kanapy i powiedział:

- Błąd? To ty popełniłeś błąd, przywlekając ze sobą to choróbsko. - Zaczął

gorączkowo szukać rewolweru, lecz nie pamiętał, gdzie go położył po ostatniej bytności

Jacka w toalecie. Trwało to kilka sekund. Nagle stanął, złapał się za głowę i jęknął. Zaczął narzekać na ból. Zanim dotarł do kanapy, upadł na podłogę.

Jack odetchnął z ulgą. Nie spodziewał się, że tak zdenerwuje Richarda. Wolał nie wyobrazić sobie, co by się stało, gdyby broń trafiła do ręki chorego.

Uznał, że nie zostało mu nic innego, jak biernie się przyglądać. Miał być świadkiem

złoty, które zbierze śmiertelny wirus grypy. Dostrzegając gwałtowne pogorszenie stanu

zdrowia Teresy i Richarda, przypomniał sobie opowieści o chorych na hiszpankę w 1918

roku. Chorzy wsiadali z lekkimi objawami do metra w Brooklynie, a do Manhattanu

dojeżdżali już jako trupy. Wtedy uważał opowieści za przesadzone. Teraz, obserwując Teresę

i Richarda, już tak nie myślał. Postępująca błyskawicznie choroba stała się namacalnym

dowodem niszczycielskiej siły wirusa.

O pierwszej w nocy oddech Richarda stał się tak samo urywany jak Teresy. Ona była

sina i oddychała resztką sił. O czwartej nad ranem zsiniała też skóra Richarda. Teresa już nie

żyła. O szóstej Richard wydał z siebie kilka nieartykułowanych dźwięków i przestał

oddychać.

Rozdział 35

Piątek, godzina 8.00, 29 marca 1996 roku

Ranek nadchodził opieszale. Pierwsze blade promyki słońca niezobowiązująco musnęły brzeg porcelanowego zlewozmywaka. Z miejsca, w którym siedział, Jack mógł dostrzec wierzchołek bezlistnej pajęczyny gałęzi drzewa, rozwiniętej na tle jaśniejącego powoli nieba. W nocy nie zmrużył oka.

Gdy pokój cały wypełnił się światłem, Jack spojrzął przez ramię za siebie. To, co ujrzał, było przerażające. Oboje, Teresa i Richard, leżeli martwi. Z ust po brodzie i szyi ciągnął się ślad zakrzepłej krwi. Oboje też, a szczególnie Teresa, zaczęli puchnąć. Domyślił się, że to z powodu gorąca od dogasającego powoli ognia.

Zdesperowany patrzył na rurę, która skutecznie więziła go pod zlewozmywakiem.

Znajdował się w wyjątkowo kłopotliwym położeniu. Twin i jego Black Kings byli zapewne w drodze. Nawet bez trzech tysięcy gang miał powody, aby się go pozbyć, przede wszystkim za to, że przyczynił się do śmierci dwóch członków bandy.

Odrzucając głowę do tyłu, z całej mocy zawołał o pomoc. Zdał sobie sprawę z bezsensowności wysiłków, kiedy stracił oddech. Szarpnął kajdankami i włożył głowę pod zlewozmywak, żeby przyjrzeć się łączeniom rur. Próbował palcem ukruszyć ołów łączący rury, oczywiście bez efektu.

Usiadł wyprostowany. Niepokój słabł wraz z nim. Trudno było trzeźwo myśleć bez snu, pożywienia, picia. Coś jednak musiał wymyślić. Nie miał dużo czasu.

Wziął pod uwagę i taką, mało jednak prawdopodobną, możliwość, że jak dnia poprzedniego Black Kings nie pojawią się w Catskills. Jego perspektywy nawet w takim wypadku nie wyglądały najróżowiej. Byłby skazany na śmierć z zimna i pragnienia.

Oczywiście, jeśli nie udałooby się zażywać regularnie rymantadyny, grypa zabiłaby go pierwsza.

Walczył ze sobą, by się nie rozpłakać. Jak mógł być równie nierozsądny, by dać się złapać, a teraz siedzieć w tak głupim położeniu? Sam sobie dawał reprimendę za niepotrzebną brawurę i bohaterszczyznę, za dziecinną w gruncie rzeczy ochotę na zabawę w detektywa. W całej tej historii zachowywał się tak nierozważnie, wręcz wariacko, jak każdego dnia, kiedy pędził po ulicach Nowego Jorku na rowerze. Wtedy także próbował zajrzeć śmierci prosto w oczy.

Minęły dwie godziny, gdy usłyszał słaby odgłos, zwiastun nieszczęścia - samochód jadący zwirową drogą. Black Kings jednak zjawili się.

W kolejnym przypiływie paniki kopnął parę razy w rurę - bezskutecznie. Przestał i nasłuchiwał. Samochód zbliżał się. Jack spoglądał na zlewozmywak. Był wielki, żeliwny, z dużą komorą i miejscem do suszenia naczyń. Wagę ocenił na jakieś sto pięćdziesiąt kilogramów. Był mocno osadzony w ścianie i podłączony do wytrzymałej na nieszczęście Jacka rury.

Podciągnął stopy pod siebie, podparł ramionami zlewozmywak od spodu i spróbował wypchnąć go w górę. Lekko się poruszył, a kilka odłamków tynku ukruszyło się i wpadło do zlewozmywaka.

Jack wykręcił się jak akrobata i oparł prawą stopę o brzeg nieszczęsnego urządzenia.

Naparł na nie od dołu. W tej samej chwili samochód zatrzymał się przed domem. Usłyszał, że zlewozmywak puszcza. W mgnieniu oka obie stopy pchały jego krawędź. Z całą mocą, jaką dysponował, naparł na zlew.

Z trzaskiem i zgrzytem zlewozmywak odsunął się od ściany. Kawałek tynku spadł na twarz Jacka. Ciągle jednak trzymał się na rurze. Raz jeszcze odepchnął go nogami do przodu,

na kuchnię. Miedziana rurka doprowadzająca wodę pękła i woda zaczęła oblewać Jacka. Rura odprowadzająca, do której był przykuty, nie drgnęła, póki nie pękło ołowiane łączenie. Nagle mosiężna rura wysunęła się z żeliwa i zlewozmywak, robiąc niewyobrażalny hałas, runął na krzesło, łamiąc je doszczętnie i spadł z hukiem na podłogę.

Jack był zlany wodą, ale wolny! Zerwał się na nogi, gdy usłyszał ciężkie kroki na ganku przed domem. Wiedział, że drzwi nie są zamknięte i że Black Kings za sekundę znajdą się w środku. Nie miał wątpliwości, że słyszeli hałas.

Nie mając czasu na szukanie rewolweru, rzucił się do tylnych drzwi. W szalonym zdenerwowaniu ledwie poradził sobie z zasuwą, pchnął drzwi i znalazł się na zewnątrz. Impet, z jakim wypadł z domu, rzucił go na mokrą od rosy trawę.

Zgięty w pół, z ciągle skutymi rękoma gnał przed siebie tak szybko, jak potrafił.

Zobaczył staw. W nocy, kiedy zajechali na farmę, zdawało mu się, że to pole. Na lewo od stawu stała stodoła i w jej stronę ruszył. Była jego jedyną szansą. Otaczający farmę las był rzadki, a drzewa pozbawione liści.

Z walącym sercem dopadł wrót stodoły. Na szczęście nie były zamknięte. Otworzyły się z jękiem. Wślizgnął się do środka i zamknął je za sobą.

Wewnątrz było ciemno, wilgotno, odpychająco. Odrobina światła wpadała przez jedyne, wychodzące na zachód okno. W półmroku majaczyły resztki zardzewiałego traktora.

W kompletnej panice zaczął szukać po omacku miejsca do ukrycia się. Oczy przyzwyczajały się do ciemności. Trafił na kilka boksów przeznaczonych dla zwierząt, ale nie było sposobu, by się w nich ukryć. Górna półka w stodole pozbawiona siana też nie dawała schronienia.

Patrzył czujnie na drewnianą podłogę, w nadziei, że znajdzie zejście do schowka pod stodołą. Bezskutecznie. Z tyłu znajdowało się małe pomieszczenie na narzędzia ogrodnicze,

jednak tam również nie było się gdzie schować. Już miał zamiar poddać się, gdy zauważył drewnianą skrzynię wielkości trumny. Doskoczył do niej i uniósł wieko. Wewnątrz śmierdziały niemiłosiernie worki po nawozach.

Jack zastygł w bezruchu. Usłyszał z zewnątrz męski głos.

- Tak, człowieku, gdzieś tu. Ślady na trawie są wyraźne.

Nie mając wyboru, wyrzucił worki, wsunął się do skrzyni i przymknął wieko. Choć drżał ze strachu i przejmującego zimna, spociał się. Łapał powietrze krótkimi, płytkimi oddechami. Starał się być cicho. Jeżeli kryjówka miała się sprawdzić, musiał być cicho.

Drzwi do stodoły otworzyły się ze znanym mu już charakterystycznym zgrzytem.

Usłyszał głosy. Na drewnianej podłodze zaskrzypiały kroki. Doszedł go łoskot przewróconego przedmiotu i przekleństwa. I znowu jakiś trzask.

- Odbezpieczyłeś pistolet? - zapytał jakiś ochrypły głos.

- Myślisz, że zgłupiałem? - odparł inny.

Jack usłyszał zbliżające się kroki. Wstrzymał oddech, starał się nie drzeć i siłą powstrzymywał kaszel. Cisza. Kroki oddaliły się. Jack pozwolił sobie wypuścić powietrze.

- Ktoś tam jest! Na pewno! - powiedział głos.

- Zamknij się i obserwuj - nakazał drugi.

Bez ostrzeżenia wieko skrzyni odleciało. Stało się to tak niespodziewanie, że Jack był kompletnie dezorientowany. Wydał niekontrolowany, stłumiony okrzyk. Czarny mężczyzna zrobił to samo i natychmiast zatrzasnął wieko skrzyni. Po sekundzie znowu je otwarto. W wolnej ręce mężczyzny Jack dostrzegł pistolet automatyczny. Na głowie miał dziergany na drutach beret.

Jack i czarny chłopak przez moment patrzyli sobie prosto w oczy, wreszcie napastnik zawołał do swojego partnera.

- Doktor jest w pudełku. Cały.

Jack bał się poruszyć. Słyszał zbliżające się kroki. Był przygotowany na triumfujący uśmiech Twina. Oczekiwania nie ziściły się jednak. Kiedy spojrzał w górę, nie ujrzał twarzy Twina. Spoglądał na niego Warren.

- Cholera, doktorze. Wyglądasz, jakbyś sam jeden wygrał wojnę w Wietnamie - zaczął Warren.

Jack przełknął ślinę. Spojrzał na drugiego z mężczyzn i dopiero teraz rozpoznał w nim jednego z graczy z boiska. Znow patrzył na Warrena. Był zaskoczony, bał się, że to halucynacje.

- Dalej, doktorze - powiedział Warren, wyciągając do Jacka rękę. - Wyłaź z tej skrzynki, to zobaczymy, czy reszta jest w równie kiepskim stanie jak gęba.

Jack pozwolił sobie pomóc w wyjściu z ukrycia. Stał na podłodze. Był cały mokry.

- Reszta wygląda na sprawną. Ale nie pachniesz ładnie. Obrączki też trzeba będzie zdjąć.

- Skąd się tu wzięliście? - zdołał wreszcie wykrztusić z siebie Jack.

- Przyjechaliśmy samochodem. A ty myślałeś, że jak? Metrem?

- Ale spodziewałem się Black Kings. Faceta imieniem Twin.

- Przepraszam, że cię rozczarowaliśmy. Niestety, muszę ci wystarczyć ja - odpowiedział Warren.

- Nie rozumiem.

- Twin zawarł ze mną układ. Umówiliśmy się, że nie będziemy więcej do siebie strzelać. Częścią umowy było zostawienie ciebie w spokoju. Wczoraj zadzwonił do mnie i powiedział, że cię mają i że jak chcę uratować twój tyłek, to swój muszę załadować do wozu i ruszyć w góry. No i jesteśmy, kawaleria przybyła.

- Dobry Boże! - zawołał Jack, kręcąc z niedowierzaniem głową. Mimo wszystko to było nieprzyjemne uczucie dowiedzieć się, jak bardzo los człowieka czasami leży w cudzych rękach.

- Tamci ludzie w domu nie wyglądają zdrowo - zauważył Warren. - A śmierdzą gorzej niż ty. Co im zaszkodziło?

- Grypa.

- Bez jaj! Tu też? Słyszałem coś o grypie w ostatnich wiadomościach. Podobno wielu ludzi w mieście trąbi o tym.

- I mają rację. Najlepiej zrobisz, jak opowiesz mi, co słyszałeś.

Epilog

Czwartek, godzina 19.45, 25 kwietnia 1996 roku

Nowy Jork

Grali do jedenastu. W tej chwili był remis, po dziesięć. Według zasad zwycięstwo zaliczano przewagą dwóch punktów, więc przewaga jednego punktu nie kończyła gry i trzeba było zdobyć kolejny. Jack myślał o tym, gdy kozłował w stronę kosza przeciwników. Kryty był bezlitośnie przez agresywnie grającego Flasha, który był szybszy od niego. Mecz był zawzięty. Gracze czekający przy linii bocznej na swoją kolej zamiast jak zwykle w milczeniu przyglądać się grze, ostro dopingowali przeciwników Jacka. Zmiana w zachowaniu spowodowana została nieprzerwanym pasmem zwycięstw drużyny Jacka. Tworzyli ją poza nim Warren i Spit.

Normalnie Jack nie rozgrywał piłki, to była robota Warrena. Ku zmartwieniu Jacka po poprzednim rozegraniu, kiedy Flash wszedł na kosz i zdobył punkt warty remis, piłka z kosza wpadła właśnie w ręce Jacka. Wprowadził ją więc do gry tak szybko, jak można było, podając do Spita, który natychmiast oddał ją z powrotem.

Gdy podciągnął piłkę na wysokość pola rzutów osobistych, Warren zamarkował odejście w bok i natychmiast ruszył pod kosz. Jack dostrzegł manewr kątem oka i wyrzucił ramiona w stronę Warrena. Flash, spodziewając się podania, błyskawicznie cofnął się o krok, aby przejąć piłkę. Jack jednak nie wypuścił jej z rąk. Nagle czując nieco luzu, zmienił zdanie i zamiast podawać do Warrena, wykonał typowy dla siebie rzut z dystansu. Nieszczęśliwie piłka trafiła w tył obręczy i wpadła nie do kosza, lecz w czekające już na nią ręce Flasha. Akcja ku radości widzów przeniosła się pod drugi kosz.

Flash szybko przebiegł z piłką boisko. Jack postanowił przykleić się do niego, nie dać mu sposobu na kolejne wejście pod kosz. Niestety, jeden zły krok i Flash pozostał sam. Ku

zaskoczeniu Jacka, mimo że Flash nie należał do dobrze rzucających z dystansu, odbił się w miejscu i ze sporej odległości rzucił.

Jack z przerażeniem usłyszał szmer muśniętej piłką siatki. Czyste punkty. Na twarzach kibiców pojawiły się szerokie uśmiechy. Wygrali skazani na porażkę.

Flash triumfalnie biegł dookoła boiska, wysoko unosząc kolana i przybijając piątkę w wyciągnięte rzędem dłonie. Ceremonię rozpoczęli przede wszystkim jego partnerzy, ale dołączyli się również kibice.

Warren podszedł do Jacka. Na jego twarzy malowała się lekka złość.

- Powinieneś mi podać wcześniej - stwierdził.

- Mój błąd - przyznał Jack. Był zasmucony. Zrobił trzy błędy pod rząd.

- Cholera, nie sądziłem, że mogę przegrać w tych nowych papciach.

Jack spojrzał na zupełnie nowe Nike'i, o których mówił Warren, a później na swoje stare, przetarte Filasy.

- Może i ja powinienem kupić sobie nowe buty?

- Jack! Hej, Jack! Hallo! - rozległ się kobiecy głos.

Jack odwrócił się i spojrzał przez ogrodzenie na chodnik. Przy płocie stała Laurie.

- No, dzieciaku! - powiedział Warren. - Zdaje się, że twoja mała zdecydowała się kupić bilet na mecz.

Celebrowanie zwycięstwa nagle ustało. Wszystkie oczy zwróciły się na Laurie.

Dziewczyny i żony nie przychodziły na boisko. Nie interesowały się koszykówką, czy też zabroniono im, tego Jack nie wiedział. Złamanie reguły przez Laurie wprowadziło Jacka w zakłopotanie. Zawsze starał się przestrzegać nie pisanych reguł rządzących boiskiem.

- Zdaje się, że chce pogadać - powiedział Warren.

Laurie machała ręką w stronę Jacka.

- Nie zapraszałem jej tu. Mieliśmy się spotkać później -usprawiedliwił się Jack.

- Nie ma sprawy. Niezła babka. Widocznie w łóżku jesteś lepszy niż na boisku -
zaśmiał się Warren.

Jack odpowiedział wymuszonym uśmiechem i ruszył w stronę Laurie. Usłyszał, że pozostali wrócili do świętowania zwycięstwa, i nieco mu ulżyło.

- Teraz już wiem, że historia była prawdziwa. Ty naprawdę grasz w koszykówkę -
przywitała go Laurie.

- Mam nadzieję, że nie oglądałaś ostatnich trzech zagrywek. Gdybyś widziała,
mogłabyś pomyśleć, że chyba rzadko grywam.

- Wiem, że mieliśmy się spotkać dopiero o dziewiątej, ale nie mogłam dłużej czekać.

- Coś się stało?

- Dzwoniła do ciebie Nicole Marquette z Centrum Kontroli Chorób. Była tak
rozczarowana, że cię nie zastała, że Marjorie połączyła ją ze mną. Nicole poprosiła mnie o
przekazanie informacji.

- Tak?

- Wprowadzili program szczepień ochronnych. Od dwóch tygodni nie zanotowano
nowego przypadku zarażenia grypą Alaski. Kwarantanna daje dobre rezultaty. Można już
stwierdzić, że choroba została opanowana tak jak wybuch świńskiej grypy w tysiąc
dziewięćset siedemdziesiątym szóstym roku.

- To wspaniałe wieści! - ucieszył się Jack.

Laurie wiedziała, że przez ostatni tydzień modlił się, aby tak się stało. Po
pięćdziesięciu dwóch przypadkach, w tym trzydziestu czterech zgonach, nastąpiło
uspokojenie. Wszyscy wstrzymali oddechy.

- Czy podała jakieś wyjaśnienie, dlaczego tak się stało?

- Owszem. Ich badania pokazały, że wirus jest wyjątkowo niestabilny poza organizmem żywiciela. Uważają, że temperatura w pogrzebanej chacie Eskimosów musiała ulegać wahaniom i może nawet dochodziło do częściowego tajenia. To oznaczałoby dalekie od idealnych warunki dla przechowywania wirusów. Jak wiadomo, najlepiej przechowują się w stałej temperaturze minus pięćdziesięciu stopni.

- Wielka szkoda, że nie została w ten sposób zniszczona agresywność wirusa.

- Ale przynajmniej pozwoliło tym z Centrum osiągnąć sukces dzięki kwarantannie. A przecież wiadomo, że z grypą nie zawsze to się udaje. Być może w przypadku Alaski kontakt z osobą zainfekowaną musiał trwać względnie długo i być dość bliski, żeby doszło do zarażenia.

- Myślę, że wszyscy mieliśmy wiele szczęścia. Sporo zawdzięczamy też farmaceutom. W rekordowym czasie dostarczyli niezbędne ilości rymantadyny.

- Skończyłeś grać? - zapytała Laurie. Spojrzała przez ramię Jacka w stronę boiska i zauważyła, że zaczęła się nowa gra.

- Obawiam się, że tak. Mój zespół dzięki mnie przegrał.

- Czy mężczyzna, z którym rozmawiałeś, to Warren?

- Zgadza się.

- Jest dokładnie taki, jak go opisałeś. Wygląda imponująco. Ale czegoś nie rozumiem. Jak się na nim trzymają te spodenki? Są co najmniej o kilka numerów za duże, a on jest przecież wąski w biodrach.

Jack roześmiał się. Spojrzał na Warrena, który rzucał właśnie osobiste. Zabawne, ale Laurie miała rację - spodenki Warrena zaprzeczały teorii Newtona o przyciąganiu ziemskim. Jack oswojony był ze stylem hip-hop do tego stopnia, że zupełnie nie zwracał na niego uwagi.

- Zdaje się, że dla mnie to także nie wyjaśniona tajemnica. Będiesz musiała go sama

zapytać.

- W porządku. I tak chciałam się z nim spotkać.

Jack spojrział na nią z niewyraźną miną.

- Mówię poważnie. Chciałabym poznać człowieka, którego się boisz i który uratował ci życie.

- Nie pytaj go o spodnie - ostrzegł Jack. Nie miał pojęcia, jak by to mogło zostać zrozumiane.

- Proszę! Mam jeszcze odrobinę taktu. Jack zawołał Warrena i machnął mu ręką.

Podszedł dostojnym krokiem do ogrodzenia, kozłując równocześnie piłkę. Jack nie czuł się pewnie w tej sytuacji i nie wiedział, czego się spodziewać. Przedstawił ich sobie i ku jego zaskoczeniu rozmowa potoczyła się gładko.

- Prawdopodobnie nie powinnam tego mówić... - zaczęła Laurie po krótkiej wymianie grzecznościowych uwag -i Jack pewnie nie chciałby, żebym mówiła, ale...

Jack aż skurczył się w sobie. Nie miał zielonego pojęcia, co Laurie chciała powiedzieć.

- ... chciałam osobiście bardzo podziękować za wszystko, co zrobiłeś dla Jacka.

Warren wzruszył ramionami.

- Pewnie nie wmieszałbym się w całą tę historię, gdybym z góry wiedział, że nie poda mi dzisiaj piłki.

Jack zacisnął pięść i stuknął lekko Warrena w czubek głowy. Warren uchylił się i odskoczył.

- Miło było cię poznać, Laurie - powiedział na odchodnym. - Cieszę się, że wpadłaś.

Ja i kilku braci martwiliśmy się już o staruszka, więc teraz cieszymy się, widząc, że ma taką małą.

- Małą? - zapytała Laurie.

- Przyjaciółkę - wyjaśnił Jack.

- Wpadaj, kiedy masz ochotę, Laurie - zaprosił Warren. - Jesteś znacznie ładniejsza od niego. - Rzucił jeszcze spojrzenie w stronę Jacka i kozłując, wrócił do swoich rzutów.

- „Mała” to znaczy przyjaciółka? - zapytała Laurie.

- Tak zwykle mówią. To jedno z sympatyczniejszych określeń. Jednak nie powinnaś tego brać dosłownie - zapewnił ją Jack.

- Źle mnie oceniasz. Nie obraziłam się. Właściwie można by Warrena i jego „małą” zaprosić na kolację. Chciałabym go lepiej poznać.

Jack wzruszył ramionami i spojrzał w stronę Warrena.

- To jest jakiś pomysł. Ciekawe, czy przyszedłby?

- Nie dowiesz się, póki nie zapytasz.

- Trudno się nie zgodzić.

- Przypuszczam, że ma dziewczynę.

- Prawdę powiedziawszy, nie wiem - odparł Jack.

- Chcesz mi powiedzieć, że przeszliście wspólnie tygodniową kwarantannę i nie wiesz, czy ma dziewczynę? O czym rozmawialiście przez cały ten czas?

- Nie pamiętam. Poczekaj. Zaraz wracam.

Jack podszedł do Warrena i zapytał, czy poszedłby z nimi na kolację i zabrał ze sobą swoją „małą”.

- To znaczy, jeżeli masz jakąś.

- Jasne, że mam. - Popatrzył chwilę na Jacka, potem na Laurie. - To jej pomysł.

- Tak. Ale sądzę, że to dobry pomysł. Nigdy przedtem cię nie zapraszałem, bo nie sądziłem, że przyjmiesz zaproszenie.

- Gdzie?

- Restauracja nazywa się „Elios”, na East Side. O dziewiątej. Tak się umówiłem.

- Stoi - zdecydował Warren. - Jak się tam dostaniesz?

- Pojedziemy ode mnie taksówką.

- Nie musicie. Podrzucę was. Będę po was za piętnaście dziewiąta.

- To na razie. - Jack odwrócił się i ruszył w stronę Lamie.

- To nie znaczy, że już nie jestem wkurzony za to twoje zagranie! - zawołał Warren.

Jack uśmiechnął się i nie oglądając się za siebie, machnął ręką.

- Cudownie - ucieszyła się Laurie na wieść, że Warren przyjął zaproszenie.

- Też się cieszę. Zjem dzisiaj kolację z dwojgiem z czworga ludzi, którzy uratowali mi życie.

- A pozostała dwójka?

- Niestety, Slama już nie ma z nami. To historia, którą jeszcze będę musiał ci kiedyś opowiedzieć. I Spit. To ten gość w jasnoczerwonej bluzie przy bocznej linii boiska.

- Czemu i jego nie zaprosisz?

- Innym razem. Nie chcę tego zamieniać w przyjęcie. Szukam okazji do rozmowy.

Więcej dowiedziałaś się o Warrenie przez dwie minuty niż ja w ciągu miesiący.

- Nigdy nie rozumiałam, o czym wy, mężczyźni, rozmawiacie ze sobą.

- Posłuchaj, muszę wziąć prysznic i przebrać się. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zapraszam do siebie.

- Bardzo chętnie. Jestem niezwykle ciekawa, jak mieszkasz, szczególnie po tym, jak to miejsce opisałeś.

- To nie jest elegancki apartament.

- Prowadź! - zakomenderowała Laurie.

Jack ucieszył się, że na parterze, na klatce schodowej akurat tego dnia nie spał żaden bezdomny. Niestety, jak zwykle na piętrze kłócili się. Laurie nie komentowała tego jednak i w końcu weszli bezpiecznie do mieszkania. Rozejrzała się i stwierdziła, że wygląda miło i przytulnie jak oaza.

- Za pięć minut będę gotowy. Mogę ci coś zaproponować? Niewiele mam. Może piwo?

Laurie podziękowała i powiedziała, żeby już poszedł i wykąpał się. Chciał jej dać coś do czytania, lecz także podziękowała.

- Nie mam niestety telewizora - powiedział przeproszająco.

- Zauważyłam.

- W tym budynku telewizor stanowi zbyt dużą pokusę. Szybko by stąd wymaszerował.

- Skoro mówimy o telewizji, widziałeś tę nową reklamę National Health „U nas nie czekasz”? Wszyscy o tym mówią.

- Nie, nie widziałem.

- Powinieneś zobaczyć. Niezwykle efektowna. Jeden ze spotów stał się już klasykiem.

Taki filmik z hasłem: „My czekamy na ciebie, ale nigdy ty na nas”. Bardzo sprytne.

Uwierzysz, że wartość akcji National Health na giełdzie poszła w górę?

- Możemy porozmawiać o czymś innym?

- Oczywiście. A co się stało? Czy powiedziałam coś nie tak?

- Nie, nie chodzi o ciebie, tylko o mnie. Czasami bywam przewrażliwiony. Reklamy medyczne zawsze mnie nieco irytowały, a ostatnio nawet bardziej niż zwykle. Ale nie martw się. To także ci kiedyś wyjaśnię.